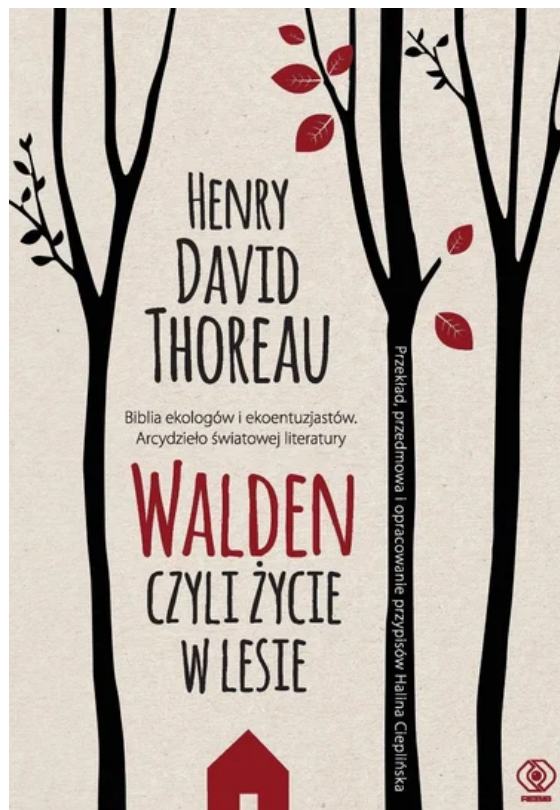


# Walden

Czyli życie w lesie

Henry David Thoreau



1854

# Spis treści

Przedmowa . . . . .	3
<b>Gospodarka</b>	<b>17</b>
<b>Gdzie żyłem i po co</b>	<b>66</b>
<b>Lektura</b>	<b>78</b>
<b>Dźwięki</b>	<b>85</b>
<b>Samotność</b>	<b>97</b>
<b>Goście</b>	<b>104</b>
<b>Poletko fasoli</b>	<b>114</b>
<b>Miasteczko</b>	<b>123</b>
<b>Stawy</b>	<b>127</b>
<b>Farma Bakera</b>	<b>144</b>
<b>Szczytne zasady</b>	<b>150</b>
<b>Zwierzęta sąsiadami</b>	<b>158</b>
<b>Ogrzewanie domu</b>	<b>167</b>
<b>Poprzedni mieszkańcy i zimowi goście</b>	<b>178</b>
<b>Zwierzęta zimą</b>	<b>188</b>
<b>Staw w zimie</b>	<b>195</b>
<b>Wiosna</b>	<b>205</b>
<b>Zakończenie</b>	<b>217</b>

## Przedmowa

Renesans umysłowy w dziewiętnastowiecznej Ameryce to następstwo wpływu rewolucji romantycznej na mentalność purytańską. Dominował w nim duch filozofii utopijnej, ale każdy z nurtów tego odrodzenia znajdował własną drogę do utopii. Transcendentalizm – najwspanialszy trend renesansu w Nowej Anglii – nie zagościł w niej na długo (1830-60), tylko przez chwilę panował tam intelektualista, a nie kupiec, lecz ruchowi temu udało się wywołać nie znany dotychczas ferment, który wywarł ogromny wpływ na amerykańską umysłowość i literaturę również XX wieku. Idealizm tego odrodzenia romantycznego trafiał tylko do nielicznych silnych i subtelnych osobowości szanujących walory etyczne, odegrał jednak rolę nieproporcjonalnie wielką do liczebności jego głosicieli. Było to odrodzenie społeczne, literackie i filozoficzne.

Historycznie rzecz biorąc transcendentalizm to jeden z wielu ruchów religijnych rozposzechnionych w Ameryce pierwszej połowy XIX wieku. Nową Anglię należało wyzwolić z ciasnych dogmatów kalwinizmu. Kilkanaście lat wcześniej zaczął z nimi walkę unitarianizm jako ruch liberalny w ramach kongregacjonalizmu. Poddał rewizji deterministyczną teologię Kalwina w świetle nowej filozofii Rousseau i odrzucił doktrynę o predestynacji i wiecznym potępieniu zastępując ją nauką o miłosierdziu Bożym i doskonałej naturze człowieka. Tak to unitarianizm połączył purytańską przeszłość z nowym światem, który się rodził. Mściwy Bóg ustąpił miejsca Bogu miłości, nowa umysłowość życzliwie przyjmowała myśl społeczną romantycznej Europy. Owa doktryna wolności myśli zrodziła właśnie transcendentalizm, który – według O. B. Frothinghama, autora pierwszej historii ruchu – był w swej praktyce „potwierdzeniem bezspornej godności jednostki ludzkiej; w teorii zaś potwierdzeniem boskiej istoty instynktu, przyznaniem nadprzyrodzonych atrybutów fizycznej naturze człowieka”.

Transcendentalizm nowoangielski łączył w sobie wpływy pięciu źródeł: neoplatonizmu, niemieckiego idealizmu i mistycyzmu, mistycznej filozofii Wschodu, francuskich doktryn utopijnych oraz tradycji purytańskiej, szkockiej i kwakerskiej. Z pierwszego źródła przejął przekonanie o wyższości ducha nad materią, wiarę w absolutne Dobro, Prawdę i Piękno. Z drugiego, z którego czerpał przede wszystkim pośrednio, z pism Coleridge’a, Wordswortha i Carlyle’a, zapożyczył wiarę w intuicję, w instynkt, a nie w rozum i doświadczenie, jako główne środki poznania, wiarę w sumienie jako podstawę prawdy i zaufania do siebie, jedyny bodziec wewnętrzny mogący wskazywać człowiekowi jego własną drogę. Z filozofii Wschodu transcendentalizm przejął ten rodzaj mistycyzmu, który pozwolił mu wypełnić luki w nie usystematyzowanym programie. Z czwartego źródła wypływało zainteresowanie przyrodą, miłość do niej, wiara w możliwość ucieczki od nowej epoki przemysłowej na łono natury albo w furierystyczną utopię. Wpływ piątego źródła nadawał ruchowi zabarwienie moralizatorskie i dydaktyczne.

Dążąc do ideału, a z drugiej strony blisko z nim współżyjąc, skłaniał swoich wyznawców do krytycyzmu, wyrażał niezadowolenie z rzeczywistości, potępiał materializm jankeeskiego świata. Pilnie strzegł ideałów społecznych Deklaracji Niepodległości, wyznawał

zasadę egalitaryzmu. Usiłował pogodzić skrajny indywidualizm z odpowiedzialnością społeczną, propagował zasadę polegania na samym sobie (*self-reliance*).

Lecz mimo wszystko trudno transcendentalizm nazwać w pełni systemem filozoficznym. J. E. Cabot, uznany krytyk ruchu, tak oto, nieco żartobliwie, wyraził się o poglądach grupy myślicieli z Concord: „Pojęcie «transcendentalny» mieściło w sobie wszystko, co leżało poza ogólnie przyjętymi zasadami i tradycyjnymi przekonaniem.” H. D. Gray, jeden z pierwszych biografów Emersona, również utrzymuje, że termin „transcendentalizm nowoangielski” odnosił się, po pierwsze, do różnych form idealizmu, który głoszone w Nowej Anglii w drugiej ćwierci XIX wieku, z tym, że głównym celem twórców i uczestników ruchu nie była filozofia sama w sobie. Zapożyczyli i zmodyfikowali myśl Platona, neoplatoników, mistyków, Kanta i jego następców tylko po to, żeby stworzyć podstawę własnych poglądów religijnych i sposobu życia. Po drugie, transcendentalizm według Graya nie był filozofią, lecz właśnie ruchem. Po trzecie, terminem tym określano wszystko, co wykaczało poza zdrowy rozsądek zarówno w sposobie myślenia, jak i wyrażania się czy zachowania. Frothingham twierdził podobnie: „Transcendentalizm uważa się na ogół za system filozoficzny. Sprawiedliwiej jednak byłoby nazywać go ewangelią. Utrzymując, że to system filozoficzny, należałoby używać liczby mnogiej, tak dalece bowiem był niejednolity.” I dodaje: „Transcendentalizm to wybuch entuzjazmu, fala uczuć, oddech umysłu.”

Lecz nawet wszystkie te określenia razem wzięte nie dają pełnej definicji transcendentalizmu. Był on również wyzwaniem. „Etykę należy mierzyć sumieniem, naukę umysłem, a wiarę kościołów i konstytucje państw konstytucją wszechświata” – mówił Theodore Parker, „transcendentalny duchowny”, „wzór Amerykanina”, typowy przedstawiciel Nowej Anglii ukształtowany przez spływy jankeskie i tradycję purytańską. Transcendentalizm był produktem typowo amerykańskim, nie znalazłby pełnego wyrazu w żadnym innym kraju. Charles Dickens w swoich *American Notes* (1842, *Notatki z podróży do Ameryki*, PIW 1978) pisał: „Gdybym urodził się w Bostonie, chybabym został transcendentalistą.”

Twórców tego ruchu głęboko przejmowała jakość amerykańskiego życia. Kraj zalewała wielka fala dobrobytu. Przemysł, handel, rolnictwo rozwijały się wielkimi skokami. Przeciętny człowiek zdawał się otrzymywać należną mu część. A jednak co wrażliwi obserwatorzy mieli poważne wątpliwości, czy wszystko jest, jak być powinno. Wśród nich znaleźli się Ralph Waldo Emerson, Henry David Thoreau, Theodore Parker, Margaret Fuller i inni transcendentaliści, dla których nadrzędną była idea odrodzonej ludzkości. Potępiali niskie handlowe instynkty ziomków. Ich zdaniem należało stawiać na naturę ludzką, która ma nieograniczone możliwości rozwoju.

Concord, położone w Massachusetts, było w pierwszej połowie XIX wieku miasteczkiem żyjącym z rolnictwa i handlu, ale zarazem jednym z centrów myśli amerykańskiej. Tutaj wokół mędrca-filozofa Emersona zgromadziła się awangarda filozoficzna i literacka, która początkowo spotykała się w Bostonie, u znanej działaczki kulturalnej, właścicielki księgarni, Elizabeth Peabody.

Trzon Klubu Transcendentalistów, istniejącego w latach 1836-43, tworzyli młodzi ludzie porwani nowymi ideami: Bronson Alcott, Cyrus Bartol, Orestes Brownson, Ellery Channing, William H. Channing, James F. Clarke, Christopher Cranch, John S. Dwight, Ralph

Waldo Emerson, Margaret Fuller, Frederick H. Hedge, Theodore Parker, Elizabeth Peabody, George i Sophia Ripley, Henry David Thoreau oraz Jones Very.

Pełna lista uczestników ruchu przekraczała liczbę czterdziestu osób. Większość z nich urodziła się i wychowała w Bostonie. Prawie wszyscy zainteresowali się transcendentalizmem przed ukończeniem trzydziestego roku życia, ponad połowa kształciła się na pastorałów unitariańskich, ale podobnie jak Emerson, zerwała z filozofią Locke'a i zastąpiła ją Platonem, zagadnieniami metafizycznymi. Prawie wszyscy mężczyźni studiowali na Uniwersytecie Harvarda. Większość uczestników dawała moralne poparcie ruchowi propagującemu zniesienie niewolnictwa oraz stosowanie biernego oporu w walce z despotyzmem państwa, chociaż nie działała czynnie w organizacjach na ich rzecz, z wyjątkiem udziału w ruchu abolicyjnym w ostatnim dziesięcioleciu przed Wojną Secesyjną. Większość też parała się literaturą, ale przeważnie niezawodowo. Połowa z nich była poetami, ponad połowa zajmowała się krytyką literacką, prawie wszyscy pisali dzienniki, eseje literackie, kazania i oracje.

Po raz pierwszy Klub zebrał się jesienią 1836 roku u George'a Ripleya w Bostonie. Następne, nieregularne spotkania odbywały się w innych domach. Dyskutowano o korzeniach kultury amerykańskiej, o prawie, teologii, prawdzie, indywidualizmie, Opatrzności, mistycyzmie, panteizmie. Tę grupę młodych ludzi bezsprzecznie cechowała duma. Podziwiali oni siłę, odwagę, pewność siebie, niezależność myśli. Lecz również potrafili być skromni i bezwzględnie krytyczni wobec samych siebie. Ich dążeniem był rozwój własny, pogłębianie wiedzy, lepsze rozumienie świata i życia. Niektórzy z nich, wśród nich Thoreau, mieszkali od czasu do czasu u Emersona.

Myśliciel ów był przez ponad trzydzieści lat autorytetem moralnym Ameryki i surowym jej krytykiem. Wyzbył się jankeskiej małostkowości, wyzbył się purytańskiej nietolerancji i oziębłości. Jako twórca idealistycznego kodeksu etyki, poeta i eseista stał się nie tylko wieszczem ideału, demokracji i indywidualizmu, lecz także krytykiem wulgarnego materializmu Ameryki, demaskującym narodową fanfaronadę, obłudę i zakłamanie, przeciwnikiem władzy państwowej opartej na przemocy. Jego przenikliwość była iście niebywała – tylko nieliczne z głoszonych przez niego opinii skorygował wpływ czasu.

Dla zgromadzonych wokół Emersona w Concord transcendentalistów jego myśl była zaczynem, wielką inspiracją. Mogli też liczyć na pomoc, zachętę i poparcie. Był człowiekiem jakby stworzonym do inspirowania i pokrzepiania innych, którym udzielały się jego odwaga i energia. W 1842 roku dwudziestotrzyletni wówczas Whitman po wysłuchaniu w Nowym Jorku jednego z wykładów znanego już filozofa tak się wyraził: „Gotowało się we mnie, gotowało, gotowało, aż Emerson doprowadził mnie do punktu wrzenia.”

W wygłoszonym w Bostonie wykładzie *Man the Reformer* (Człowiek-reformator) Emerson postuluje życie w „nowym duchu”, wzywa do „rozpoczęcia świata od nowa”. W słynnym eseju *The American Scholar* (1837, Amerykański uczoney) utrzymuje, że książki „istnieją wyłącznie po to, aby inspirować”. Dzięki zdolności wyrażania aprobaty i zrozumienia Emerson wzywający do odrodzenia życia spełniał w okresie romantycznym literatury amerykańskiej rolę ducha katalicznego, podobnie jak Ezra Pound w okresie modernizmu. „Wiejski nauczyciel”, mówiła Gertruda Stein o Poundzie. Niektórzy twierdzą, że określenie

to pasuje wybornie także do mędrca z Concord. Ale działał z rozmachem – wszędzie wykladał, wszystkich znał. Jednym z najlepszych jego przyjaciół w Nowym Jorku był Henry James, wybitny teolog, zwolennik Swedenborga, a podczas ostatniej podróży po Europie, którą Emerson odbył w 1872 roku, opiekował się nim syn Jamesa seniora, Henry James junior, sławny pisarz. Dwadzieścia lat wcześniej w uciążliwej podróży koleją i parowcem do St. Louis, gdzie Emerson miał wygłosić serię wykładów, towarzyszył mu pastor unitariański, Wilham Greenleaf Eliot, dziadek T. S. Eliota. Wrażenie, że Emerson wycisnął swoje piętno na całej ówczesnej tradycji literackiej północno-wschodniego wybrzeża Ameryki, pogłębia fakt, że „samotnica z Amherst”, Emily Dickinson, również uchodzi za jego duchową córkę. Nie wszystkie jednak wielkie nazwiska Amerykańskiego Renesansu skupiały się wokół Emersona. O rok młodszy od niego Nathaniel Hawthorne, wyrosły z tego samego jankeskiego pnia, również zamieszkały w Concord, wypracował swoje artystyczne i osobiste credo w oderwaniu od ruchu transcendentalnego. Z ironią patrzył na entuzjazm jego uczestników, na publiczne wykłady, unitarianizm, „Dial” i feministkę Margaret Fuller. W głębi duszy pozostał wierny purytańskiemu poczuciu winy, mrocznemu światu i przekonaniu o niepodważalności wszelkich ograniczeń, z którą to tradycją tak żarliwie walczył Emerson. Drugim wielkim członkiem frakcji anti-Emersonowskiej był Herman Melville, bardzo wysoko ceniący Hawthorne. „Nie oscyluję wokół łuku tęczy Emersona” – pisał. A po lekturze kilku esejów „tego mówiącego przez nos Platona” tak się wyraził: „Czym jest cała ta gadanina dla kogoś, kto opłynął przylądek Horn jako zwykły marynarz?” W *The Confidence Man* (1857, Mąż zaufania), satyrze na skomercjalizowanie i egoizm epoki, Melville tworzy karykaturę Emersona – jest nią Mark Winsome, który podróżuje po Missisipi z przypominającym Thoreau „uczniem” Egbertem. Obaj są przedstawieni jako rzecznicy „nie ludzkiej filozofii”, „pustej gadaniny” odpowiedniej dla „natur lodowato zimnych”.

W 1835 r. wyruszył Emerson w swoją pierwszą podróż do Europy. Odwiedził Francję, Włochy i Anglię, poznał takich pisarzy jak Landor, Coleridge, Wordsworth i Carlyle, pozostających pod wpływem niemieckiej filozofii idealistycznej. Znajomość z Carlyle’em przetrwała się w długoletnią przyjaźń. Pobyt za granicą odkrył przed Emersonem sposoby myślenia obce w Concord czy Bostonie, wyzwolił go ostatecznie z jankeskiego provincializmu, rozbudził na nowo zainteresowanie Platonem. Europejski idealizm i transcendentalna metafizyka przeobraziły Emersona całkowicie.

Napisany w 1836 roku esej *Nature* (Natura) to ekspozycja zasad filozofii transcendentalnej, a we wspomnianym już esej opublikowanym rok później *The American Scholar*, który jest manifestem odrębności i niezależności kulturowej Ameryki od Europy, Emerson zawarł kwintesencję transcendentalnego indywidualizmu. Natomiast *Divinity School Address* (1838, Przemówienie do studentów wydziału teologii) stał się biblią transcendentalnej religii. Pozycję pisarza ugruntowały tomiki esejów: *Essays, First Series* (1841) i *Essays, Second Series* (1844), będące najdojrzałą prezentacją doktryny etycznej transcendentalizmu. Pierwszy tomik zawiera jeden z najistotniejszych esejów Emersona wykładających jego założenia filozoficzne: *The Over-Soul* (1841, Wszechdusza) – dusza każdego człowieka jest częścią duszy wszechświata objawiającej się w naturze. Niektórzy utrzymują, że właśnie pod wpływem emersonowskiego określenia „Over-soul”, które można również tłumaczyć

dosłownie „naddusza”, Nietzsche najprawdopodobniej ukuł swojego „nadcześniaka” („Übermensch”), mimo że niemiecki przekład tytułu eseju brzmiał *Die höhere Seele*, czyli „wyższa dusza”. Trudno jednak za to winić idealistę Emersona. Zawarty w tym samym tomiku esej *Self-reliance* (1841, Poleganie na samym sobie) odcisnął chyba największe piętno na umysłowości amerykańskiej.

W 1845 roku Emerson wygłosił serię wykładów opublikowanych następnie pod tytułem *Representative Men* (1850, *Przedstawiciele ludzkości*, Warszawa 1871). Zabrał ich teksty w drugą podróż do Europy. Odwiedził Anglię i Paryż. Wzbudził entuzjazm Mickiewicza, który uważając Emersona za wybitnego myśliciela zaszczerpiał zainteresowanie nim studentom *College de France*. Twierdził, że niektóre rozdziały dzieł concordzkiego erudyty są „Jak gdyby poświęcone wyjaśnianiu filozofów i poetów polskich”. Tłumaczył też jego aforyzmy opublikowane później pod tytułem *Myśli z Emersona*.

Niezwykle znaczące w dorobku filozofa są również następujące eseje: *English Traits* (1856, Cechy narodowe Anglików), *The Conduct of Life* (1860, Sposób życia), *Society and Solitude* (1870, Społeczeństwo i samotność).

„Mędrzec z Concord” był pierwszym amerykańskim myślicielem, którego wpływy dotarły do Europy. Miał wielkie oparcie w Carlyle’u, a Matthew Arnold kiedyś się wyraził, że najsilniejszy wpływ w dziewiętnastym wieku wywarła właśnie proza Emersona.

Niektórzy współcześni mu, a wśród nich Margaret Fuller, Carlyle i wspomniany już Melville, oskarżali wielkiego filozofa o chłód. Podobnie dzisiaj John Updike zastanawia się, czy w wielu przesłaniach Emersona – zarazem najbardziej przyjaznego i życzliwego myśliciela – nie należałoby się dopatrywać idei wyjaśniających trzy wielkie bolączki Ameryki naszych czasów: poczucie samotności, obojętność wobec drugiego człowieka i przemoc. Dla poparcia swojej tezy posługuje się cytatem z eseju *Experience* (1844, Doświadczenie): „Człowiek życzliwie nastawiony do innych staje przed dylematem takim samym jak ktoś, kto utrzymuje się na powierzchni wody pośród tonących: wszyscy chcą się go chwycić; i jeśli pozwoli złapać się za nogę lub palec, utonie razem z innymi.” Cytat jednak został dobrany tendencyjnie, mimo że jednym z głównych haseł transcendentalizmu jest poleganie na samym sobie. Już bowiem następne zdanie wyjaśnia, iż intencja idealisty Emersona była subtelniejsza niż propagowanie bezdusznego stoicyzmu i izolacji jako praktycznego zastosowania kodeksu etyki transcendentalizmu. Brzmi ono: „Chcą pni się ratować przed szkodami wyrządzonymi przez ich własne wady, a nie przed własnymi wadami. Uczynek miłosierny pójdzie zatem na marne, będzie bowiem służył ledwie usuwaniu symptomów.”

Emerson jako człowiek i filozof sam stał się jak gdyby ową stworzoną przez siebie „przejrzystą gałką oczną”, w której skupiały się najbardziej wartościowe nurty dziedzictwa przeszłych wieków. Jego pozycja wśród najświetniejszych postaci amerykańskiego panteonu literackiego jest niezachwiana – stał się nie tylko „instytucją” jako filozof, moralista i poeta, lecz także symbolem liberalnych, demokratycznych postaw amerykańskiego społeczeństwa.

W latach 1840-44 Emerson wraz z Thoreau, Parkerem i Margaret Fuller wydawali oficjalne czasopismo Klubu, „Dial”. Debiutowało w nim kilku członków, między innymi sam Thoreau pierwszymi utworami poetyckimi.

W 1841 roku grupa transcendentalistów pod kierownictwem Ripieva założyła utopijną kolonię kooperatystyczną Brook Farm, a w 1843 Fruitlands, na czele której stał Bronson Alcott. Podobnych kolonii działających na zasadach furieryzmu było wówczas na Północy czterdzieści. Zakładanie ich to reakcja na rewolucję przemysłową, ucieczka od epoki rozwijającej się mechanizacji, próba realizowania – przez kooperację – pełniejszego życia.

W eksperymencie Brook Farm wziął udział między innymi Hawthorne. Owocem jego tamtejszych doświadczeń była powieść *The Blithedale Romance* (1852, Romans w Szczęśliwej Dolinie). Natomiast bardziej niezależni członkowie Klubu, a wśród nich Emerson i Thoreau, trzymali się na uboczu, pozostając tylko obserwatorami eksperymentu. Skrajny indywidualista Thoreau „sam dla siebie był kolonią”, nie potrafiłby się podporządkować narzucanym rygorom, jego dwuletni samotny pobyt nad stawem Walden w okolicach Concord wydawał się karykaturą furierystycznej wspólnoty.

Nadzieją Ameryki, wołała Margaret Fuller, może być tylko wiedza. Miarą cywilizacji nie jest liczba ludności państwa, jego siła ani kwitnąca gospodarka, lecz jakość kultury: sztuki, muzyki, literatury, filozofii, nauki i religii. Ciężka praca transcendentalistów nad przekładami, antologiami i wykładami przybliżyła Amerykanom dziedzictwo kultury europejskiej. Ich zdaniem reforma społeczna była istotna, aczkolwiek nie jako cel sam w sobie, jedynie jako środek zbudowania lepszego społeczeństwa, w którym mogłyby się swobodnie rozwijać sztuka i nauka. Toteż niewiele stron poświęcali w „Dial” sprawie furieryzmu, koncentrowali się przede wszystkim na Szekspirze, Dantem, Goethem, Michale Aniele, Homerze, Chaucerze, Shelleyu, Kancie i Miltonie. Margaret Fuller, pierwsza redaktorka pisma, twierdziła, że głównym celem jej życia jest „udostępnienie Ameryce dzieł tych największych geniuszy”.

Podobnie jak Emerson, Thoreau i Parker, Fuller należała do radykalnego skrzydła transcendentalistów. Była ponadto feministką, postacią nieprzeciętną i buntowniczą, niezwykle często z tego powodu krzywdzoną. Przyjęła na siebie bardzo trudną rolę: prowadziła walkę nie tylko z ciasną ortodoksją Harwardzkiej uczelni, lecz także o wyzwolenie kobiet. Jest autorką, między innymi, *Woman in the Nineteenth Century* (1845, Kobieta dziewiętnastowieczna) – pierwszego poważniejszego dzieła feministycznego w Ameryce.

Lecz sławy, jaką się cieszyła u współczesnych, nie tłumaczy nam jej twórczość literacka, gdyż pisarką była mierną. Zawdzięczała ją głównie innym przymiotom: jej bystry umysł oddziaływał na wszystkich, z którymi się stykała. Niespokojna, stale szukająca nowych idei, intelektualnie i emocjonalnie wrażliwa, miała niezwykle dynamiczne usposobienie. Utrzymywała bliskie związki z osobistościami epoki (Mazzinim, George Sand, Mickiewiczem), pracowała w jednym z rzymskich szpitali podczas rewolucji 1848 roku. Była kobietą niezwykłą, nadzwyczaj wykształconą, o licznych talentach, których jednak nigdy nie zdołała w pełni rozwinąć. Przeszkodził jej w tym, według Parringtona, emocjonalizm wdzierający się w sferę myśli oraz rozbieżność między jej osobowością a możliwościami ciasnego, purytańskiego Bostonu. Jako natura niezwykle bogata, delikatna, wiele wymagająca od życia, czuła na piękno i szlachetne ideały, usiłująca wbrew instynktom zmieścić się w formach purytańskich, uosabiała ferment lat czterdziestych.



Transcendentaliści nie rozgraniczali sztuki od życia, lecz jeśli wziąć pod uwagę czasy, w jakich żyli, ich stanowisko nie powinno budzić zdziwienia. Przecież podstawowym założeniem myśli romantycznej – i nie tylko romantycznej – była idea sztuki jako wyrazicielki charakteru twórcy. Transcendentaliści jednak nie traktowali tej idei wyłącznie jako hasła. Niezwykle poważnie usiłowali ją realizować w praktyce. W Concord z ukosa patrzono na stare ubranie i zabłocone buty Thoreau – strój nieodpowiedni dla absolwenta Uniwersytetu Harvarda. Odpowiedzią jego, zanotowaną kiedyś w dzienniku, było oświadczenie, że zamierza zostać poetą. A poeta w jego pojęciu to najwyższy przedstawiciel współczesnej ludzkości, szlachetniejszy od uczonego i filozofa. Najszlachetniejszym zaś dziełem poety jest jego życie. Poezja wypływa z życia, ale nigdy nie będzie od życia ważniejsza. Musi być relacją o nim prawdziwą, absolutnie szczerą i uczciwą. Można ją pisać wierszem albo prozą, forma nie jest istotna. Liczy się tylko fakt, że utwór został napisany przez prawdziwego poetę. W tym też sensie nie tylko jego wiersze, lecz także *Walden* i inne eseje to utwory poetyckie. Niezwykle serio podchodzili więc transcendentaliści również do roli poety-kapłana, bardziej serio niż romantycy angielscy, może z wyjątkiem Blake’a czy Shelleya.

Wprawdzie poszczególni uczestnicy ruchu różnili się między sobą znacznie w spojrzeniu na różne kwestie, lecz wszyscy podzielali ten sam pogląd na wzniosłe relacje między religią a sztuką: sztuka jest wyrazem uczuć religijnych, a uczucia religijne z racji samej swej natury wymagają twórczej ekspresji. O. B. Frothingham utrzymywał, że chociaż transcendentalizm należy traktować przede wszystkim jako ruch religijny, to „był on z gruntu poezją i myślą swą w sposób naturalny wyrażał w pieśni”.

Echa owej pieśni rozbrzmiewają w wielu zjawiskach życia amerykańskiego i w literaturze tego kraju. Przeciwnostawne elementy transcendentalizmu: idealizm i „fizyczny” sposób postrzegania przyrody, indywidualizm i demokracja nadawały mu dynamiczność i „elektryczność”, jak lubił mówić Whitman. Rysy te, widoczne w późniejszej literaturze amerykańskiej, określiły jej szczególny charakter. Poszukiwanie cudowności w przyrodzie, w każdym źdźble trawy czy liściu, w najpowszedniejszych kontaktach z naturą, zapoczątkowane przez Emersona, Thoreau i Whitmana, stało się nurtem obecnym w twórczości zarówno Emily Dickinson – zresztą związanej w pewnym stopniu z transcendentalizmem – jak i Dreisera, Londona, Dos Passosa oraz Updike’a. Tęsknota za utraconą niewinnością, wpływająca z wiary w twierdzenie Wordswortha, że „dziecko jest ojcem mężczyzny”, obecna jest nie tylko u Twaina i Salingera, lecz także u Hemingwaya. Dzieci, które w większej liczbie pojawiły się w literaturze amerykańskiej właśnie po okresie romantyzmu, są i lepsze, i mądrzejsze od dorosłych. „Cudowność” odkrywana w życiu codziennym, w zwyczajnych sprawach – to kolejna zapożyczona od romantyków cecha wielu pisarzy amerykańskich. Podkreślanie „fizyczności” otoczenia, namacalności jego przedmiotów odróżnia na przykład poezję amerykańską od pisanej w tym samym języku poezji angielskiej, w której kontury fizycznego świata są jakby zatarte.

Transcendentalizm nowoangielski stworzył więc we współczesnej sobie Ameryce i w Ameryce następnych epok nie tylko nową umysłowość, lecz także literaturę o specyficznym smaku, zadecydował o jej odrębności.

Henry David Thoreau urodził się w 1817 r. w Concord. Ten asceta, moralista, stoik, „bakałarz natury”, „poeta naturalista”, buntownik i mistyk, który stał się symbolem amerykańskiego indywidualizmu, w tym małym miasteczku spędził całe życie. Nazywano go „produktem w stu procentach lokalnym”, rodzinne miasteczko stanowiło dla niego centrum świata. Podróżował niewiele, głównie w okolicach Concord, był w Nowym Jorku, gdzie poznał Walta Whitmana, w Maine, na przylądku Cod, w Kanadzie i niedługo przed śmiercią – w Minnesocie. Nie lubił podróży ani liczego towarzystwa, był ekscentrykiem i samotnikiem. Cecha ta nie sprzyjała zawieraniu bliskich przyjaźni nawet z ludźmi, z którymi mocniej się związał. Zarówno Emerson, jak i Channing, Hawthorne, Margaret Fuller i inni transcendentaliści doceniali jego intelekt i niezależność, ale żadne z nich nigdy nie darzyło Thoreau uczuciem głębokiej przyjaźni. Twierdzili, że ma w sobie coś wyzywającego.

Jeden z jego biografów, Henry Seidel Canby, zauważa, że w dzieciństwie Henry był „pogrążonym w marzeniach chłopcem, który nienawidził zabaw, parad ulicznych i zbyt licznych domowników”.

Studia ukończył na Uniwersytecie Harvarda w 1837 r., mając dwadzieścia lat. Nie cieszył się, podobnie jak Emerson, zbyt dobrą opinią profesorów. Otwierała się przed nim, jako absolwentem doskonałej uczelni, wspaniała przyszłość. Miał do wyboru tradycyjne drogi: zostać pastorem albo nauczycielem, prawnikiem czy lekarzem albo zająć się handlem. Wybrał zawód nauczyciela i zaczął pracę w szkole miejskiej w Concord. Po miesiącu stracił ją, gdyż sprzeciwiał się karaniu uczniów chłostą. Półtora roku był bez pracy. W końcu razem z bratem Johnem otworzył w Concord szkołę prywatną. Uczył greki, łaciny, matematyki i przyrody. Jednakże, mimo długiej listy uczniów czekających na przyjęcie, bracia zamknęli szkołę w 1841 r. Przez następnych parę lat Henry miał się różnych zajęć: pracował jako robotnik, majster do wszystkiego w domu Emersona, nauczyciel siostrzeńca Emersona, redaktor, wykładowca i producent ołówków. „Stopniowo zaczynał rozumieć, kim chciałby być. Wiedział, że po pierwsze, chce przeżyć życie dla samego życia, po drugie zaś, czuł, że ma do wypełnienia pewnego rodzaju misję. Widział siebie jako kaznodzieję, wierzył, że zostanie pisarzem, pisarzem rozumianym na sposób transcendentalny, to znaczy przede wszystkim poetą w życiu codziennym, a dopiero potem w swojej twórczości.” Przykładu nie musiał szukać daleko, przecież Emerson jako pastor zerwał z Kościołem, nie mogąc dłużej pogodzić własnych poglądów z unitarianizmem. W domu Emersona mieszkał od 1841 do 1843 r. Przeżywał w tym czasie swoją drugą – platoniczną – miłość, tym razem do starszej od siebie o kilka lat żony Emersona, Lidian. Pierwszym obiektem jego uczuć była Ellen Sewall. Uczynił z niej boginię, pisał na jej cześć wiersze, a w listach do niej zaczął wychwalać walory przyjaźni. Ellen jednak odrzuciła jego propozycje małżeństwa. W pół roku później Emerson zaprosił Henry’ego, aby u niego zamieszkał. Bliska znajomość z Emersonem ciągnęła się od ukończenia przez Thoreau studiów, kiedy to prawdopodobnie za namową „mistrza” Henry zaczął prowadzić *Journal* (wydany pośmiertnie w czternastu tomach). W 1840 r. Thoreau zadebiutował w „Dial” jako poeta – wierszem poświęconym bratu Ellen, Edmundowi Sewall – a w dwa lata później opublikował dziewięć wierszy i esej *Natural History of Massachusetts* (Przyroda Massachusetts). W tym czasie umarł jego ukochany brat John, z

którym odbył wiele wycieczek płynąc rzekami Concord i Merrimack, zbierając materiały do wydanej dopiero w 1849 r. pierwszej książki *A Week on the Concord and Merrimack Rivers* (Tydzień na rzekach Concord i Merrimack). W 1843 r. Thoreau opuścił dom Emersona, aby zostać nauczycielem jego siostrzeńca na Staten Island. Próbował przy okazji szczęścia na literackim rynku Nowego Jorku. Udało mu się opublikować kilka nowych wierszy i esejów. Skończył też pisać *A Winter Walk* (Zimowy spacer) dla „Dial”. Do Nowego Jorku odnosił się nieufnie. Miasto męczyło tego „ucznia Rousseau”, jego zbawieniem były pola i lasy. Tak pisał w liście: „Czyż nie jestem ulepiony z concordzkiej gliny? Nie potrafię uwierzyć, że słucham teraz ryku morza, a nie wicheru nad stawem Walden. [...] im lepiej poznaję miasto, tym mniej mi się podoba.”

W 1845 r. Thoreau przeniósł się nad położony, w concordzkich lasach staw Walden. Zbudował sobie tam chatę i w swej samotni spędził dwa lata w bliskim kontakcie z przyrodą. Kochał przyrodę, jak twierdził, po części dlatego że nie jest ona człowiekiem, lecz ucieczką od człowieka. Hawthorne tak o nim pisał: „jest zapalonym i wnikliwym obserwatorem Natury – genialnym obserwatorem [...] – a Natura w zamian za jego miłość zdaje się go adoptować jako dziecko na specjalnych prawach i odkrywa przed nim tajemnice, które niewielu ludzi ma prawo poznać”. Pędził nad Waldenem życie proste i surowe, potrzeby swoje ograniczał do podstawowych, aby móc zaspokoić niezbyt ciężką pracą własnych rąk, której w tym wymiarze nie uważał za trudny obowiązek. Pisał: „...jeśli chcemy żyć mądrze i skromnie, praca dająca utrzymanie na naszej ziemi nie jest trudem, lecz rozrywką. Wszak wysiłki ludów żyjących w większej prostocie nadal są rozrywką tych, które stworzyły sobie bardziej sztuczne warunki.”

Mieszkając w chacie nad stawem, wiele czasu poświęcał nie tylko na obserwacje przyrody, lecz także na lekturę i kontemplację. Wśród transcendentalistów z Concord był największym znawcą i miłośnikiem literatury greckiej. Przetłumaczył *Prometeusza w okowach* Ajschylosa i wiele utworów Pindara. Jako wielbiciel kultury greckiej, któremu bliska była jej atmosfera, tak oto wyjaśnia powody przeniesienia się nad Walden: „Zamieszkałem w lesie, albowiem chciałem żyć świadomie, stawiać czoło wyłącznie najbardziej ważkim kwestiom, przekonać się, czy potrafię przyswoić sobie to, czego może mnie nauczyć życie, abym w godzinie śmierci nie odkrył, że nie żyłem. Nie chciałem prowadzić życia, które nim nie jest, wszak życie to taki skarb; nie chciałem też rezygnować z niczego, chyba że było to absolutnie konieczne.”

Zaczął pisać w samotni pierwszą wersję swojej najsłynniejszej, opublikowanej w 1854 r. książki, której tytuł zapożyczył od nazwy stawu: *Walden, or Life in the Woods* (*Walden, czyli życie w lesie*).

Ten zbiór osiemnastu esejów stanowi obok dziennika (*Journal*) koronne dzieło i wyznacznik wiary filozoficznej Thoreau. Według Parringtona utwór ten jest „podręcznikiem ekonomii, usiłującym przekształcić powszednie trudy człowieka w zajęcie, któremu przyświeca cel szlachetniejszy od przyziemnej ewangelii dochodów i rozchodów”, usiłującym dociec, „...jak może istota rozumna najlepiej wykorzystać od Boga dane talenty, kierując się zasadami wyższej ekonomii i nie dając się zniewolić ekonomii bardziej przyziemnej”. Nazywano Thoreau „starożytnym Grekiem, który został transcendentalnym ekonomistą”, był

wielkim ekscentrykiem i idealistą, w oczach sąsiadów uchodził za dziwaka, bo na co dzień trzymał się zasad i praw, które oni szanowali tylko od święta, i żył zgodnie z zaleceniami starożytnych filozofów.

Decyzja zamieszkania nad Waldenem była nawet wśród transcendentalistów niezwykła. Przecież inni, chcąc się wyzwolić od tyranii społeczeństwa i uciec od industrializacji, wybrali eksperyment Brook Farm albo Fruitlands, ich bowiem zdaniem droga do pełniejszego życia prowadziła przez kooperację. Thoreau jednak nie zgadzał się z nimi, twierdził, że on może albo uznać społeczeństwo w postaci, w jakiej ono istnieje, albo je porzucić. Ponieważ w jego pojęciu społeczeństwo nie zasługiwało na akceptację, wybrał to drugie wyjście. Nie urodził się po to, podkreślał, aby zmieniać ten świat na lepszy, nadając się do życia, lecz po to, aby po prostu żyć w nim, niezależnie od tego, jaki jest. Nie chciał nikomu podsuwać żadnych recept ani dróg wyjścia, nie twierdził, że wszyscy mają żyć w prostych chatkach jak pustelnicy, ale walczył o to, aby każdy mógł dokonać własnego wyboru.

W 1847 r. Thoreau skończył swój eksperyment nad Waldenem i powrócił do cywilizacji. Rok później opublikował *The Maine Woods* (Lasy w Maine), który to szkic jest relacją z jego podróży do tego stanu. Natomiast w 1849 r. ukazał się esej *Civil Disobedience* (*Obywatelskie nieposłuszeństwo*, Czytelnik 1983), w którym ten skrajny indywidualista wkroczył w dziedzinę polityki.

Wydarzenia będące bezpośrednią inspiracją powstania eseju nastąpiły w 1845 r., kiedy Thoreau popadł w konflikt z państwem, ponieważ odmówił zapłacenia podatku. Chciał w ten sposób wyrazić protest przeciwko ówczesnej polityce rządu prowadzącego wojnę z Meksykiem i sankcjonującego niewolnictwo. Aresztowano go i zamknięto w miejscowym więzieniu. „Henry – miał zapytać go wtedy Emerson – dlaczego siedzisz tutaj?” A Thoreau podobno odpowiedział mu w charakterystyczny sposób: „A dlaczego ty tutaj nie siedzisz?” Incydent zakończył się banalnie, ponieważ ktoś z rodziny Thoreau zapłacił ów podatek i już następnego dnia Henry został wypuszczony na wolność.

Esaj rozpoczął najnowszą historię doktryny obywatelskiego nieposłuszeństwa, wzbudził zainteresowanie wielu sławnych ludzi i ugrupowań różnych epok. W 1894 r. zwrócił na siebie uwagę Lwa Tołstoja, który był nim zafascynowany, podobnie jak siedem lat wcześniej Czechów pierwszym opublikowanym w Rosji fragmentem *Waldenu*. Uznane przez Tołstoja za najlepszy z utworów Thoreau *Obywatelskie nieposłuszeństwo* ukazało się w rosyjskim przekładzie w 1898 r. Wiele lat później stało się jakby podręcznikiem dla licznych ugrupowań ruchu oporu w czasie drugiej wojny światowej, między innymi w Danii, nie rozstawał się z nim też Gandhi, którego związki z myślą Thoreau były bardzo bliskie.

Życie obywatela, według Thoreau, powinno być hamulcem powstrzymującym maszynę administracji. Obywatel ma prawo do nieposłuszeństwa. Thoreau, zgodnie z ideami transcendentalnego indywidualizmu, widział w państwie, narodzie czy społeczeństwie jedynie indywidualnych ludzi, żyjących w zorganizowanej gromadzie tylko na zasadach umowy i mających prawo ją unieważnić, jeżeli uznają, że narzucona im droga kłóci się z nakazami prawa moralnego, którego obowiązani są bronić. A prawo moralne – stosownie do tradycji purytańskiej – uważał za prawo podstawowe. Twierdził, że aby utrzymać się przy życiu, potrzebujemy raczej mniej niż więcej, aby zaś chronić życie, potrzebujemy odwagi

i uczciwości. Ludziom jednak brakuje pewności siebie i niezależności, są chwiejni i lękliwi, dlatego też dla ich ochrony istnieje państwo.

Minął zaledwie rok od opublikowania *Obywatelskiego nieposłuszeństwa*, kiedy Thoreau udowodnił, że tyranie państwa potrafi zwalczać nie tylko biernie, lecz także czynnie. Włączył się w nurt walki przeciwko niewolnictwu Murzynów. Kiedyś utrzymywał, że należy przede wszystkim obalić inne formy niewolnictwa. Zdawał sobie bowiem sprawę, że ludzie w jego rodzinnym Concord są niewolnikami głodu pieniądza oraz narzuconych im zasad. Początkowo więc napadał na abolicjonistów, twierdząc: „Wszyscy jesteście niewolnikami.” Lecz kiedy stan, w którym mieszkał – Massachusetts – stosując się do ustawy o zbiegłych niewolnikach, zaczął odsyłać na Południe wszystkich czarnych uciekinierów znajdujących się w jego granicach, Thoreau przyłączył się do abolicjonistów, dając im swoje pełne poparcie.

Owocem podróży do Kanady, którą Thoreau odbył w 1850 r., był opublikowany trzy lata później we fragmentach esej *A Yankee in Canada* (Jankes w Kanadzie). W 1855 r. w „Putnam’s Monthly Magazine” ukazały się z kolei fragmenty *Cape Cod* (*Przylądka Cod*, Czytelnik 1983). Tylko fragmenty, ponieważ nie chcąc się zgodzić na ingerencję redaktora, który zamierzał dokonać pewnych skrótów cenzuralnych, Thoreau wycofał resztę utworu. Rozdział *Przylądka Cod* pt. *Hodowca ostryg z Wellfleet*, opublikowany pośmiertnie, zawiera najlepsze w twórczości Thoreau obserwacje ludzi, jest jakby reportażem, w którym autor czuje się nadspodziewanie swobodnie.

Następne dwa lata obfitowały w wydarzenia. Thoreau pracował jako mierniczy, wygłaszał prelekcje, ponownie odwiedził Nowy Jork, poznał tam Walta Whitmana. Lecz i tym razem nie czuł się dobrze w tym dużym zbiorowisku ludzkim, co diametralnie różny od niego Whitman uważał za „niechęć chorobliwą”. Chodząc po Broadwayu, tęsknił do samotności i ciszy pól Concord.

Walka o zniesienie niewolnictwa się wzmagala. Thoreau poznał Johna Browna, straconego dwa lata później (w 1859 r.) za próbę zorganizowania powstania niewolników. Brown wywarł na nim ogromne wrażenie. W 1860 r. Thoreau opublikował dwa eseje poświęcone temu bojownikowi.

Pod koniec 1860 r. Thoreau zapadł poważnie na gruźlicę. Dla podreperowania zdrowia pojechał następnego roku do Minnesoty. Nadal pisał, ale już nie z taką twórczą energią jak eseje o Brownie. Jego zainteresowanie przyrodą jednak ani trochę nie osłabło w porównaniu z poprzednimi okresami życia. Tylko tak wielka sprawa jak ruch abolicjonistyczny i taki człowiek jak John Brown mogli mu na chwilę przysłonić zafascynowanie tym, co było mu zawsze tak bliskie, a pod koniec życia może jeszcze bliższe, gdyż obojętność i brak uznania dla jego twórczości na pewno jeszcze bardziej oddalały go od ludzi. Kończył pracę nad kilkoma esejami dla „The Atlantic Monthly”, między innymi nad *Walking* (1862, *Spacery*) i *Life Without Principle* (1863, *Życie bez zasad*, Czytelnik 1983). W tym drugim esej Thoreau wskazuje, że sposób, w jaki większość ludzi żyje, zasługuje na potępienie. Miał swoje ku temu powody: aby żyć zgodnie ze swoimi ideałami, musiał być bezkompromisowy. Zapłacił za to cenę, jaką płaci indywidualista, i zapłacił ją chętnie.

Ostatnich utworów nie ujrzał już w druku. Zmarł w maju 1862 r. w wieku czterdziestu czterech lat.

Henry David Thoreau uważany jest za wzorzec Jankesa, za reprezentanta Ameryki, ale tej, według Henry'ego Millera, jaką mogłaby się stać, nie zaś tej, jaką jest. Wraz z Emersonem i Whitmanem wskazywali społeczeństwu właściwą, trudną drogę, społeczeństwo jednak obrało inną, łatwiejszą i zlekceważyło ich mądrość. Lecz mimo wszystko wpływ filozofii Thoreau i jego postawy życiowej na rozwój amerykańskiej mentalności okazał się niezwykle istotny i nasilił się w kilkadziesiąt lat po jego śmierci, kiedy to twórczość tego erudyty i ekscentryka spotkała się w końcu z należnym uznaniem, a on sam zajął honorowe miejsce pośród pięciu, sześciu największych pisarzy amerykańskiego panteonu.

Koronne dzieło Thoreau stało się biblią brytyjskich radykałów, założycieli późniejszej Partii Pracy. W latach 1960-ych sięgnęła do niego amerykańska młodzież walcząca z konformizmem i obyczajowością mieszczańską. Także Martin Luther King prowadząc swoją walkę bez użycia siły przyznawał się do bliskich związków z Thoreau, a Sinclair Lewis wyraził się w 1937 roku, że przesłanie filozofa z Concord może stanowić wspaniałe antidotum na faszyzm. W latach 1980-ych nastąpił kolejny wzrost zainteresowania Thoreau. Powołują się na jego idee publicyści najgłośniejszych czasopism czy to w związku z kryzysem instytucji „państwa opiekuńczego”, czy to w rozprawach o filantropii, czy szukając w jego myśli poparcia dla ruchu „Zielonych” walczącego przeciwko „umieraniu lasów” i „umieraniu na wojnie”.

*Walden* to arcydzieło stworzone przez jednego z największych stylistów literatury amerykańskiej. Zwarta konstrukcja tomu jest niezwykle staranna. Doświadczenia dwóch lat, dwóch miesięcy i dwóch dni spędzonych nad stawem Thoreau zamyka w cyklu jednego roku. Każdy rozdział mógłby stanowić osobny esej, lecz zarazem wszystkie są ściśle ze sobą zespolone albo na zasadzie kontrastu (jak *Samotność* i *Goście*), albo zachowanej chronologii (na przykład *Staw zimą* i *Wiosna*), albo dzięki bezpośredniemu nawiązaniu pierwszym zdaniem do treści rozdziału poprzedniego (na przykład w *Lekturze* i *Dźwiękach*, *Poletku fasoli* i *Miasteczku*). Ponadto rozdziały występują w takiej kolejności, aby traktowały na przemian o sprawach ziemskich i duchowych. Nieprzypadkowe jest również usytuowanie trzech głównych rozdziałów (*Gospodarka*, *Szczytne zasady*, *Zakończenie*) na najbardziej eksponowanych pozycjach: pierwszej, środkowej i ostatniej. Podobnie przemyślaną, staranną konstrukcję mają poszczególne rozdziały i akapity. Te ostatnie są na ogół bardzo rozbudowane, jak również wiele zdań zostało ukształtowanych w okresy.

Warstwa słowna *Waldenu* jest niezwykle bogata, aluzyjny styl erudyty tak obfituje w figury retoryczne, że powstało dzieło o środkach ekspresji budzących podziw mistrzów, takich, na przykład, jak Robert Frost czy Marcel Proust.

Wreszcie ta klasyczna, podstawowa pozycja w kanonie literatury amerykańskiej i światowej doczekała się pełnego polskiego wydania. Pierwsze utwory Thoreau ukazały się w polskim przekładzie dopiero w latach 1970-ych cztery wiersze tłumaczone przez Ludmiłę Marjańską i Zygmunta Kubiaka w antologii *Poeci języka angielskiego*, PIW 1971, oraz dwa eseje w moim przekładzie: *Życie bez zasad* i *Obywatelskie nieposłuszeństwo* w „*Twórczości*” 8, 1973, i 4, 1981. Oba utwory opublikowano też w tłumaczeniu Sz. K. Zimmera w londyń-

skiej „Oficynie Poetów i Malarzy” (8,1972, i 5,1970). Ponadto wydany został tomik, w moim przekładzie, obejmujący część esejów *Waldenu* oraz *Obywatelskie nieposłuszeństwo*, *Życie bez zasad*, *Przylądek Cod* i *Ostatnie dni Johna Browna – Życie bez zasad*, Czytelnik 1983.

Twórczość Thoreau tłumaczono na kilkanaście języków. Przekładano głównie *Walden* i *Obywatelskie nieposłuszeństwo*. I tak *Walden* ukazał się w Argentynie – w języku hiszpańskim (1945) i portugalskim (1949), we Francji (1922), w Niemczech (w 1897 r. po raz pierwszy, lecz publikowano go tam jeszcze siedmiokrotnie), w Holandii (1902), w Danii (1949), w Szwecji (1947), w Norwegii (1953), Finlandii (1955), w Czechosłowacji (1924,1933), we Włoszech (1920,1928), w Grecji (1955), przekładano go na hebrajski (1960), japoński (w 1925 r. i potem dziesięciokrotnie) oraz na rosyjski (w 1910 r. i następnie w 1962). *Obywatelskie nieposłuszeństwo* ukazało się w przekładzie francuskim, hiszpańskim, jidysz, japońskim, duńskim, niemieckim i rosyjskim.

„Czas to tylko strumień, w którym łowię ryby” – mówi Thoreau. Niechże więc czas sprzyja jego dziełu, które czytelnik polski dostaje do rąk z takim opóźnieniem.

Halina Cieplińska

*Nie planuję napisać ody do zniechęcenia, lecz będę się  
przechwalał z takim zapałem jak kogut,  
który wskoczył rano na grzędę,  
aby niezwłocznie obudzić sąsiadów.*



# Gospodarka

Niniejsze stronicie, a raczej przeważającą ich część pisałem mieszkając samotnie w lesie, o milę od najbliższego sąsiada, w domu, który zbudowałem sam nad stawem Walden nie opodal miasteczka Concord w stanie Massachusetts; byt zapewniałem sobie wyłącznie pracą własnych rąk. Spędziłem w lesie dwa lata i dwa miesiące, po czym znów powróciłem do życia w cywilizacji.

Nie narzucalibyśmy tak swoich spraw uwadze czytelników, gdyby mieszkańcy mojego miasteczka nie zadawali mi bardzo szczegółowych pytań na temat mojego sposobu życia. Znalezli się tacy, którzy nazywali go zuchwałym, chociaż ja z kolei nie uważałem ich za impertynentów – wręcz przeciwnie, ze względu na okoliczności pytania ich wydawały mi się naturalne i stosowne. Niektórzy byli ciekawi, co jadałem, czy nie czułem się samotny, czy się nie bałem i tak dalej. Inni chcieli wiedzieć, jaką część dochodu poświęciłem na cele dobroczynne, a jeszcze inni, ci obarczeni licznymi rodzinami, ile biednych dzieci utrzymywałem. Zatem tych czytelników, których nieszczególnie interesuje moja osoba, przepraszam, że podejmuję się odpowiedzieć w tej książce na kilka z owych pytań. W większości wypadków literatura unika używania zaimka „ja”, czyli pierwszej osoby, aliści ja zastosuję go ze względów egoistycznych, i głównie tym książka moja będzie się różniła od innych. Przeważnie nie pamiętamy, że mimo wszystko narratorem zawsze jest pierwsza osoba. Nie mówiłbym tyle o sobie, gdybym kogoś innego znał równie dobrze. Niestety, ograniczona skala doświadczeń zmusza mnie do poprzestania na temacie własnej osoby. Ponadto według moich zasad każdy pisarz – niezależnie od tego, czy jest najlepszy, czy najgorszy – powinien zdać prostą i szczerą relację ze swego własnego życia, nie zaś opowiadać o tym, co słyszał o życiu innych; relacja taka ma przypominać list wysłany do rodziny z odległego kraju, jeśli bowiem piszący żył uczciwie, musiał według mnie żyć w kraju położonym daleko od naszej ojczyzny. Niniejsze stronicie będą zapewne przemawiać szczególnie do czytelników biednych. Przeto reszta zainteresowanych zechce łaskawie zwrócić uwagę na te partie książki, które odnoszą się głównie do nich. Ufam, że nikt nie będzie wciskał na siebie zbyt ciasnego płaszcza, albowiem może on się przydać komuś, na czyją miarę go uszyto. Chciałbym się wypowiedzieć w sprawach, które nie tyle dotyczą Chińczyków i mieszkańców Wysp Sandwich<sup>1</sup>, ile raczej czytelników niniejszych stronic, obywateli Nowej Anglii; chciałbym się wypowiedzieć na temat ich kondycji, a zwłaszcza ich położenia i warunków życia na tym świecie i w tym miasteczku, zastanowić się, jak to wszystko wygląda, czy koniecznie musi być tak źle, czy nic nie można zmienić na lepsze. Wiele wędrowałem po Concord; wszędzie, dokąd dotarłem – w sklepach, kantorach i na polach – miałem wrażenie, że miesz-

---

<sup>1</sup> Wyspy Sandwich – tak kapitan Cook nazwał pierwotnie Wyspy Hawajskie.

kańcy miasteczka odprawiają pokutę na tysiąc specyficznych sposobów. To, co słyszałem o praktykach braminów zadających sobie pokutę świadomie, chyba nie wygląda bardziej nieprawdopodobnie i zdumiewająco aniżeli sceny, których jestem świadkiem na co dzień, mimo że bramini siadają w kwadracie czterech ognisk, wpatrują się w tarczę słońca, wieszają głowami w dół nad płomieniami, patrząc w niebiosa przez ramię, „aż nie potrafią już powrócić do naturalnej pozycji, zaś na skutek skręcenia szyi nic prócz płynów nie może spłynąć im do żołądka”, żyją przykuci łańcuchem do drzewa przez całe życie, niby gąsienice przemierzają wzdłuż i wszerz rozległe imperia albo też stoją na jednej nodze na szczycie słupów. Zaiste, nawet dwanaście prac Herkulesa to drobiazg w porównaniu z przedsięwzięciami podejmowanymi przez moich sąsiadów, albowiem prac owych było tylko dwanaście i zostały ukończone. Natomiast nie widziałem, aby moi sąsiedzi uśmiercili kiedyś albo złapali potwora czy doprowadzili do końca jakąkolwiek pracę. Nie mają przyjaciela Jolaosa, który by przypalał rozżarzoną żelazną miejsca po odciętych głowach hydry, dlatego też, gdy pozbędą się jednej głowy, w miejsce jej wyrastają dwie.

Widuję młodych ludzi, mieszkańców naszego miasteczka, na których spadło nieszczęście w postaci odziedziczonych farm, domów, stodoł, bydła i narzędzi rolniczych. Łatwiej się to wszystko nabywa, aniżeli można się tego pozbyć. Lepiej, gdyby owi młodzieńcy urodzili się na otwartym pastwisku i wykarmiła ich własną piersią wilczyca<sup>2</sup>, gdyż wtedy przejrzeliby na oczy i wiedzieli, na którym polu powołano ich do pracy. Kto uczynił z nich niewolników roli? Dlaczego mają zjadać swoje sześćdziesiąt akrów, kiedy człowiekowi przeznaczone jest zjeść tylko garniec pomyj<sup>3</sup>? Dlaczego już zaraz po urodzeniu mają zacząć kopać sobie groby? Muszą prowadzić życie człowieka, dźwigać swoje brzemie i radzić sobie, jak mogą. Ileż spotkałem biednych nieśmiertelnych dusz niemal zdruzgotanych i przygniecionych ciężarem, pod którym czołgali się drogą życia, pchając przed sobą stodołę o wymiarach siedemdziesiąt pięć stóp na czterdzieści, nigdy nie sprzątane stajnie Augiasza, sto akrów ziemi, jej uprawę, pokos, paszę i zalesioną parcelę! Ludzie bez majątku, którzy się nie borykają z niepotrzebnie odziedziczonymi ciężarami, twierdzą, że dostatecznie pracochłonne jest ujarzmienie i udoskonalenie kilku stóp sześciennych ciała.

Pracując ludzie kierują się błędnym założeniem. W krótkim czasie lepsza część człowieka zostaje worana w ziemię i zamienia się w kompost. Zatrudnieni pozornie przez los powszechnie zwany koniecznością, jak głosi stara księga, gromadzą skarby, które zostaną pożarte przez mole albo rdzę lub ukradzione przez złodziei<sup>4</sup>. Prowadzą życie głupców, o czym się przekonają, gdy dojrzą do końca, a może wcześniej. Podobno Deukalion i Pyrra stwarzali ludzi z rzuconych za siebie kamieni; powstawali z nich mężczyźni i kobiety.

Inde genus durum sumus, experiensque laborum,  
Et documenta damus qua simus origine nati.<sup>5</sup>

<sup>2</sup> Odniesienie do mitu o Romulusie i Remusie.

<sup>3</sup> Odniesienie do starego przysłowia angielskiego o tej treści.

<sup>4</sup> „Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie je mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje podkopują i kradną.” Nowy Testament, Ewangelia św. Mateusza 6, 19.

<sup>5</sup> Skąd poszedł ród nasz twardy, na trudy wytrzymały. Na świadectwo, skąd wziął się i skąd się wywodzi. Owidiusz, *Przemiany*, I, 414–415. Przełożył Bruno Kiciński.

Albo, jak to Raleigh ujmuje w swoich dźwięcznych rymach:

„From thence our kind hard-hearted is, enduring pain and care,  
Approving that our bodies of a stony nature are.”<sup>6</sup>

Tyle, jeśli idzie o ślepe posłuszeństwo nieudolnej wyroczni rzucali za siebie kamienie nie widząc, gdzie padają.

Większość ludzi, nawet w tym stosunkowo wolnym kraju, na skutek zwykłej ignorancji i błędnego rozumowania tak jest zajęta wydumanymi troskami i nadmiernie ciężkimi obowiązkami, że nie potrafi zrywać piękniejszych owoców życia. Od nadmiernej harówki zbyt- nio im drżą niezdarne palce. Doprawdy, nie ma dnia, aby pracujący człowiek znalazł czas na prawdziwą rzetelność albo pozwolił sobie na utrzymywanie najprostszych, ludzkich stosunków z sąsiadami, albowiem cena jego pracy spadłaby na rynku. Ma czas tylko na to, aby być maszyną. Jakże może pamiętać o tym, że nie wie wielu rzeczy – to zaś jest warunkiem rozwoju – ten, który tak często musi spożytkować to, co wie? Toteż zanim wydamy o nim sąd, powinniśmy czasami dobrowolnie karmić go, ubierać i serdecznie podtrzymywać na duchu. Najpiękniejsze wartości naszej natury, podobnie jak meszek na owocach, można zachować jedynie dzięki najbardziej troskliwej pielęgnacji. Wszelako ani siebie, ani innych wcale tak delikatnie nie traktujemy.

Jak wszystkim wiadomo, istnieją ludzie biedni, którym trudno jest żyć, niekiedy więc prawie wegetują. Niektórzy czytelnicy tej książki nie są niewątpliwie w stanie zapłacić za wszystkie rzeczywiście zjedzone obiady czy liche, szybko się zdzierające – a właściwie już zdarte – płaszcze lub buty, do tej zaś stronicy dobrnęli dzięki chwilom pożyczonym albo skradzionym, dzięki godzinie znów wyrwanej wierzycielom z kieszeni. Przed moim zaostrzonym przez doświadczenie okiem nie ukryje się fakt, że wielu ludzi, usiłując rozwijać interesy albo pozbyć się długów, prowadzi marne i nędzne życie, zawsze na pograniczu wytrzymałości. Odwieczne to bagno, zwane przez Rzymian *aes alienum* – czyli cudzymi miedziami, albowiem część monet bito wówczas z miedzi. Trudnie żyją, umierają i grzebani są pod długami; wciąż przyrzekają oddać, przyrzekają oddać jutro, a umierają dzisiaj – niewypłacalni!) Na wszelkie sposoby szukają, komu by się przypocholebić, w którym sklepie dostać kredyt – na wszelkie sposoby, prócz przestępstw karanych więzieniem stanowym. Kłamią, pochlebiają, głosują, zamykają się w łupinie uprzejmości<sup>7</sup>, rozplývają w rozrzedzonej i lotnej jak opary atmosferze szczerości, przekonując sąsiada, że zrobią mu buty albo uszyją kapelusz czy płaszcz, że zbudują powóz albo załatwią dla niego import towarów kolonialnych. Udają chorobę, aby zebrać coś na czarną godzinę, coś, co można by wetknąć za stanik czy lepiej w pończochę, wsunąć w dziurę w ścianie albo za ruchomą cegłę – nieważne gdzie, nieważne ile, dużo czy mało.

Zastanawiam się, jak możemy być tak nierozważni – że tak powiem – aby zajmować się ową karygodną i niejako obcą nam formą poddaństwa zwaną niewolnictwem Murzynów. Tytu istnieje gorliwych i przebiegłych panów, że ujarzmiło zarówno Północ, jak i Południe.

<sup>6</sup> Sir Walter Raleigh, *History of the World*, ks. I, cz. I, rozdz. II, ten sam co powyżej fragment pochodzi z przekładu *Przemian* Owidiusza, pióra Raleigha – Ovid, *Metamorphoses*, I, 414-415.

<sup>7</sup> „O Boże! ja bym mógł być zamknięty w łupinie orzecha...” William Szekspir, *Hamlet*, akt II, sc. 2. Przełożył Józef Paszkowski.

Ciężko jest mieć nadzorcę z Południa, jeszcze gorzej atoli z Północy, lecz najgorzej być własnym ekonomem. Ileż mówi się o boskości ludzkiego wnętrza! Wystarczy popatrzeć na woźnicę podążającego gościńcem na rynek w dzień albo w nocy – czy budzi się w nim jakakolwiek boskość<sup>8</sup>? Najwyższym jego obowiązkiem jest nakarmić i napić konie! Co dla niego znaczy własne przeznaczenie w porównaniu z interesami frachtu? Czyż nie służy jako furman dziedzicowi Pobudliwemu<sup>9</sup>? Gdzież on boski, gdzież nieśmiertelny? Jakże się kuli ze strachu i przemyka, jak nieprzytomnie się boi przez cały dzień – nie jest ani nieśmiertelny, ani boski, jest tylko niewolnikiem i więźniem własnej opinii o sobie, sławy uzyskanej dzięki własnym czynom. Opinia publiczna to żaden tyran w porównaniu z naszym własnym mniemaniem o sobie.) To, co człowiek myśli na swój temat, decyduje o jego losie, czy raczej go określa. Ach, wyzwolić się od siebie samego, choćby w jakichś wyimaginowanych, fantastycznych Indiach Zachodnich – czy istnieje jakiś Wilberforce<sup>10</sup>, który by tego dokonał? Nie zapominajmy też o naszych damach, które z myślą o ostatnim dniu przędą powłóczki na eleganckie poduszki, aby ich nie posądzono, że się nie interesują własnym losem! Jak gdyby można było zabić czas nie raniąc wieczności.]

Większość ludzi prowadzi życie w cichej rozpacz. To, co nazywa się rezygnacją, jest usankcjonowaną rozpacz. Ze zrozpaczonego miasta człowiek udaje się na zrozpaczoną wieś i pociesza się dzielnością nerek i piźmoszczurów. Nawet w tym, co zwie się zabawami i rozrywkami ludzkości, kryje się stereotypowa, lecz nieświadoma rozpacz. Nie ma w nich elementu zabawy, albowiem rozrywką zajmują się ludzie po pracy. Mądrość jednak wyklucza kierowanie się w życiu rozpacz.

Zastanawiając się, co stanowi główny cel człowieka – użyję tu określenia z katechizmu – i jakie są jego prawdziwe potrzeby i środki życiowe, ma się wrażenie, iż ludzie jak gdyby umyślnie się zdecydowali na jeden wspólny sposób życia, wołąc ten właśnie od wszystkich innych. Aczkolwiek ich zdaniem stało się tak z braku wyboru. Czujne i zdrowe natury jednak pamiętają, że słońce wstało jasne. Nigdy nie jest za późno, aby się wyzbyć przesądów. Nie można zaufać żadnemu sposobowi rozumowania czy postępowania, choćby i najstarszemu, jeśli go się nie wypróbuje. To, co wszyscy powtarzają jak echo albo milcząc przyjmują dzisiaj za prawdę, jutro może się okazać fałszem, zaledwie mglistym obłokiem opinii, który kilku wzięło za chmurę w nadziei, że pokropi ich pola użyźniającym deszczem. Czynności, których zdaniem starych ludzi nie potrafimy wykonać, nie nastęrczają nam żadnych trudności, gdy się do nich zabierzemy. Przeto dawne postępowanie dla starych ludzi, nowe dla nowych. Starzy ludzie chyba zbyt małą mieli wiedzę, aby się domyślić, że ogień można podtrzymać podkładając do pieca świeże polana. Tymczasem nowi podkładają pod garnek trochę suchego chrustu i już, porwani w wir, lecą dookoła ziemi szybko jak ptacy, co – jak się mówi – zabiłoby staruszków. Sędziwy wiek nie bardziej się nadaje na

<sup>8</sup> „To boskość w nas się budzi.” Joseph Addison, *Cato*, V, 1.

<sup>9</sup> Chociaż tak nazwana postać nie występuje w *Pilgrim's Progress* Johna Bunyana” (*Wędrówka pielgrzyma*. Przełożyła Józefa Prower, Warszawa 1961), to pozostaje ona w tradycji tej alegoryczno-dydaktycznej opowieści.

<sup>10</sup> William Wilberforce (1759-1833) – angielski działacz społeczno-polityczny, bojownik o zniesienie handlu niewolnikami, a potem niewolnictwa w brytyjskich koloniach.

instruktora niż młody, zyskał bowiem mniej, aniżeli stracił. Można chyba wątpić, czy naj-  
mądrzejszego człowieka życie nauczyło czegoś, co miałyby wartość absolutną. Na dobrą  
sprawę starzy nie mają do przekazania młodemu żadnej naprawdę istotnej rady, albowiem  
ich własnemu doświadczeniu brakuje pełni, a życie ich to nieszczęsne fiasko, które, jak  
muszę wierzyć, ponieśli z powodów osobistych. Może jednak pozostaje im trochę wiary  
zadającej kłam owemu doświadczeniu, a ich młodość tylko się po prostu zestarzała. Żyję  
trzydzieści parę lat<sup>11</sup> na tej planecie i jeszcze nie słyszałem sylaby, która by dała początek  
wartościowej radzie ludzi starszych. Nie przekazali mi nic istotnego i prawdopodobnie nie  
potrafią przekazać. Oto życie, eksperyment w wielkim stopniu przeze mnie nie dokonany,  
wszelako nie przynosi mi korzyści fakt, że oni go dokonali. Jeżeli doświadczę czegoś, co  
uznam za wartościowe, z pewnością przypomnę sobie, że nic na ten temat nie słyszałem  
od swoich mentorów.

Onegdaj pewien farmer tak do mnie rzecze: „Nie możesz jadać wyłącznie pożywienia ro-  
ślinnego, gdyż brak w nim składników potrzebnych do budowy kości.”<sup>12</sup> Tymczasem, gdy  
sam poświęca fanatycznie część dnia na zaopatrywanie organizmu w surowiec, z którego  
powstają kości, idąc za pługiem ciągnionym przez roślinożerne woły o słabych kościach,  
ustawicznie pogania biedne zwierzęta, aby wbrew wszelkim przeszkodom wlokły go na-  
przód wraz z ociężałym pługiem. Istnieją rzeczy, które w pewnych kręgach – tych najbar-  
dziej bezradnych i chorych – są naprawdę potrzebami życiowymi, podczas gdy w innych  
tylko przedmiotem zbytku, a jeszcze w innych są kompletnie nie znane.

Niektórym ludziom się wydaje, że przodkowie ich przemierzali cały obszar ludzkiego  
życia, zarówno góry, jak i doliny, i że nad wszystkim mieli pieczę. Evelyn<sup>13</sup> pisze, że „mądry  
Salomon wprowadził przepisy, w jakiej odległości należy sadzić jedno drzewo od drugiego,  
a rzymscy pretorzy decydowali o tym, jak często można wchodzić na teren sąsiada, aby  
bez pogwałcenia prawa móc zbierać opadłe tam żołądziej; ustalali również, jaka ich część  
komu się należy”<sup>14</sup>. Hipokrates zostawił nawet wskazówki dotyczące obcinania paznokci.  
Utrzymywał, że najlepiej jest przycinać je równo z opuszkami palców – ani dłużej, ani kró-  
cej. Niewątpliwie nuda i znużenie przekonane, że wyczerpały bogactwo życia i wszelkie  
jego radości, są stare jak świat. Nigdy jednak nie zmierzono ludzkich możliwości. Przeto  
nie do nas należy na podstawie precedensów osądzać, co ludzie potrafią, niewiele bowiem  
próbowali. Człowieku, jakiegokolwiek poniosłeś porażki, „nie pogrążaj się w smutku, moje  
dziecko, albowiem kto przypisze ci uczynki ostatecznie nie popełnione?”<sup>15</sup>

Moglibyśmy życie nasze poddać tysiącu prostych doświadczeń. Na przykład wyobraźmy  
sobie, że to samo słońce, w którego ciepłe dojrzewa moja fasola, oświetla jednocześnie  
układ ziem podobnych do naszej. Gdybym był o tym pamiętał, uniknąłbym kilku błędów,

---

<sup>11</sup> W chwili zamieszkania nad stawem Thoreau miał prawie dwadzieścia osiem lat, lecz ostateczną wersję *Waldenu* napisał później. Całość skończył w 1854 r.

<sup>12</sup> Wśród transcendentalistów panowała moda na wegetarianizm.

<sup>13</sup> John Evelyn (1620-1706) – pamiętnikarz angielski, autor dziennika z lat 1641-1706, opisującego po-  
dróżę po Europie i epokę ostatnich Stuartów.

<sup>14</sup> John Evelyn, *Silva, or a Discourse of Forest-Trees*, Londyn 1729.

<sup>15</sup> *Wisznupurana*.

nie w tym bowiem świetle okopywałem grzędy. Jakichże cudownych trójkątów gwiazdy są wierzchołkami! Jakie dalekie, odmienne istoty w różnych królestwach wszechświata podziwiają jednocześnie blask tej samej gwiazdy! Natura i ludzkie życie tak się od siebie różnią jak typy budowy ciała. Któż może wiedzieć, jakie perspektywy życie szykuje komuś innemu? Czyż mógłby zaistnieć większy cud aniżeli ten, co zdarza nam się w chwili, kiedy patrzymy sobie nawzajem w oczy? W godzinę powinniśmy przeżyć wszystkie stulecia świata, ba, wszystkie światy stuleci. Historia, poezja, mitologia! Nie znam lektury, która by dostarczyła podobnie wstrząsających i kształcących przeżyć, jakich moglibyśmy wówczas doznać.

Większą część tego, co moi bliźni nazywają dobrem, ja w głębi duszy uważam za zło, i jeśli czegoś żałuję, to niewątpliwie swoich dobrych manier. Cóż za demon mnie opętał, że tak poprawnie się zachowywałem? Możesz, starcze, służyć mi najgłębszymi mądrościami – ty, który jako pewnego rodzaju wybraniec przeżyłeś siedemdziesiąt lat<sup>16</sup> – ale ja nie jestem zdolny się oprzeć głosowi zachęcającemu mnie do wręcz przeciwnego postępowania. Młode pokolenie porzuca zadania starego niby osiadłe na mieliźnie statki.

Myślę, że bez obawy możemy pozwolić sobie na dużo większą ufność w stosunku do naszych bliźnich. Możemy odrobinę mniej się troszczyć o samych siebie, odrobinę zaś bardziej uczciwie o innych. Natura przystosowana jest zarówno do naszej słabości, jak i siły. Ciągły niepokój i napięcie u pewnych ludzi to forma prawie nieuleczalnej choroby. Stworzeni zostaliśmy po to, aby wyolbrzymiać doniosłość naszej pracy. Jaka wszelako jej ilość pozostaje nie wykonana! A co by się stało, gdyby złożyła nas choroba? Jakże jesteśmy czujni! Zdecydowani nie żyć wiarą, jeśli można tego uniknąć, cały dzień spędzamy w pogotowiu, w nocy zaś niechętnie odmawiamy modlitwę i oddajemy się czemuś o nieokreślonym charakterze. Tak oto zmuszeni jesteśmy żyć do gruntu uczciwie, odnosząc się z czcią do naszego życia i zaprzeczając, jakoby istniała możliwość odmiany. Mówimy, że to jedyny sposób, ale można znaleźć ich tyle, ile promieni rozchodzi się z jednego środka. Wszelaka zmiana jest godnym podziwu cudem i cud ten zdarza się co chwilę. Konfucjusz twierdził: „Wiedzieć, że wiemy to, co wiemy, i że nie wiemy tego, czego nie wiemy – oto prawdziwa wiedza.” Przewiduję, że kiedy jeden człowiek sprowadzi fakt możliwy do objęcia wyobraźnią do faktu, który należy objąć rozumem, wszyscy ludzie będą się z czasem opierać w życiu na tej podstawie.

Zastanówmy się chwilę, co właściwie jest powodem tego niepokoju i obawy, o którym wspominałem, i na ile w istocie należy się martwić lub co najmniej niepokoić. Prymitywne, pionierskie życie – aczkolwiek pośród cywilizacji – przyniosłoby pewne korzyści, albowiem nauczyłoby człowieka, które potrzeby są podstawowymi potrzebami życiowymi i jakimi metodami je zaspokoić; można by także przejrzeć stare kupieckie księgi buchalteryjne, aby się przekonać, co ludzie najczęściej nabywali w sklepach i co trzymano w magazynach – słowem, jakie artykuły spożywcze są najmniej wyszukane. Postęp bowiem dokonujący się przez stulecia mały miał wpływ na podstawowe prawa ludzkiej egzystencji, podobnie jak i na nasze koście, trudne prawdopodobnie do odróżnienia od szkieletów naszych przodków.

---

<sup>16</sup> „Życie nasze trwa lat siedemdziesiąt.” Stary Testament, Księga Psalmów 90, 10.

Mówiąc „potrzeba życiowa” mam na myśli taką, która spośród wszystkich potrzeb zaspokajanych przez człowieka własnym wysiłkiem była od początku lub na skutek przyzwyczajenia stała się tak istotna dla ludzkiego życia, że niewielu ludzi – jeśli tacy w ogóle istnieją – nie stara jej się zaspokajać albo dlatego, że są dzicy, albo dlatego, że biedni, lub że taką wyznają filozofię. Dla wielu stworzeń istnieje tylko jedna w ten sposób rozumiana potrzeba życiowa – pożywienie. Bizonowi na prerii wystarczy kilka cali smacznej trawy i woda do picia, chyba że jeszcze potrzebuje schronienia w lesie albo w cieniu góry. Żadne z dzikich stworzeń nie ma innych potrzeb aniżeli pożywienie i schronienie. Potrzeby życiowe człowieka w naszym klimacie można podzielić dokładnie na cztery grupy: żywność, schronienie, odzież i opał. Dopiero kiedy je zaspokoimy, jesteśmy przygotowani do zajęcia się swobodnie prawdziwymi problemami życiowymi w nadziei, że nam się to powiedzie. Człowiek wynalazł nie tylko domy, lecz także odzież i gotowaną strawę. Prawdopodobnie obecna potrzeba siedzenia przy ogniu zrodziła się na skutek przypadkowego odkrycia ciepła, którego źródłem jest ogień, i konsekwentnego wykorzystywania tegoż odkrycia. Nietrudno zauważyć, że psy i koty też zyskały tę drugą naturę. Dzięki właściwemu schronieniu i odzieży w sposób uzasadniony zachowujemy własne wewnętrzne ciepło; mając je zapewnione w stopniu wyższym niż niezbędny, dysponując więc nadmiarem opału, gdyż zewnętrzne ciepło przewyższało swą mocą wewnętrzne, ludzie zaczęli gotować. Chyba właśnie tak do tego doszło.

Przyrodnik Darwin wiele opowiadał o mieszkańcach Tierra del Fuego. Podobno kiedy jego grubo ubranym towarzyszom, którzy siedzieli przy ogniu, wcale nie było zbyt ciepło, ku jego zdumieniu nadzy i dzicy tubylcy, choć oddaleni od ogniska, „spływali potem, gdyż było im za gorąco”<sup>17</sup>. Mówi się przeto, że obywatel Nowej Holandii<sup>18</sup> bezkarnie chodzi nagi, podczas gdy ubrany Europejczyk trzęsie się z zimna.) Czy nie można połączyć hartu dzikich z intelektem człowieka cywilizowanego? Liebig<sup>19</sup> twierdzi, że ciało człowieka jest piecem, żywność zaś opałem, który podtrzymuje wewnętrzne spalanie w płucach. Podczas chłódów jemy więcej, podczas upałów – mniej. Ciepło zwierząt wytwarza się przez powolne spalanie, choroba i śmierć następują wtedy, gdy spalanie staje się zbyt gwałtowne; ogień wygasa albo z powodu braku opału, albo na skutek uszkodzenia w kominie. Oczywiście ciepła witalnego nie należy mylić z ogniem. Dostyc jednak tych analogii. Z powyższych wyszczególnień chyba wynika, że życie zwierzęce to niemal synonim ciepła zwierzęcego, jeśli bowiem żywność można uważać za opał, który podtrzymuje w nas ciepło – opał służący tylko przygotowaniu owej żywności lub podwyższeniu temperatury naszych ciał dzięki dodaniu ciepła z zewnątrz – to schronienie i odzież także służą tylko zachowaniu wytworzonego w ten sposób i wchłoniętego ciepła.

A zatem ciepło i utrzymanie w naszym wnętrzu ciepła witalnego stanowią wielką potrzebę naszych ciał. Ileż skutkiem tego zadajemy sobie trudu, troszcząc się nie tylko o

<sup>17</sup> Charles Darwin, *Journal of Research [...] During a Voyage of H. M. S. Beagle*.

<sup>18</sup> Nowa Holandia albo Nowe Niderlandy – założona przez Holendrów kolonia wzdłuż rzeki Hudson. Od 1664 r. nazywane tak nadal przez Anglików terytorium obecnych stanów: Delaware, Nowy Jork i New Jersey.

<sup>19</sup> Justus von Liebig (1803-73) – chemik niemiecki, zsyntetyzował wiele związków organicznych, ulepszył metody analizy elementarnej związków organicznych.

żywność, odzież i schronienie, ale także o łóżka, które służą nam jakby za nocne okrycie, czyli schronienie wewnątrz schronienia, przypominające krecie leże w głębi nory, wymoszczone trawą i liśćmi, z tym, że aby wymościć nasze, rabujemy gniazda i skubimy ptasie piersi! Biedny człowiek ma zwyczaj narzekać, że świat jest zimny. Przeto zimnu – fizycznemu na równi ze społecznym – przypisuje większość swoich bolączek. W niektórych klimatach lato umożliwia człowiekowi prowadzenie życia niczym w Elizjum. Opału potrzeba jedynie do gotowania, słońce bowiem jest dla człowieka ogniskiem i w jego promieniach wiele owoców dostatecznie dobrze się gotuje; żywność bywa bardziej urozmaicona i łatwiej dostępna, a odzież i schronienie albo są w ogóle niepotrzebne, albo przydają się w małym stopniu. Opierając się na własnym doświadczeniu stwierdzam, że obecnie w naszym kraju po zaspokojeniu podstawowych potrzeb życiowych niezbędne jest posiadanie kilku następujących przedmiotów: noża, siekiery, łopaty, taczki i tym podobnych. Ludziom zajęтым nauką potrzebna jest lampa, materiały piśmienne i dostęp do kilku książek. Wszystko to można nabyć za drobne sumy. Aliści niektórzy niezbyt mądrzy ludzie podróżują na drugą stronę kuli ziemskiej w dzikie i niezdrowe tereny, aby tam przez dziesięć czy dwadzieścia lat poświęcać się handlowi – wszystko to, aby żyć, to jest zachować niezbędne ciepło – i w końcu umrzeć w Nowej Anglii Ludzie, którzy cieszą się zbytkiem i bogactwem, nie zachowują po prostu niezbędnego ciepła, ale żyją w nienaturalnym upale – jak poprzednio wykazałem, są ugotowani, i to oczywiście *à la mode*.

Większość luksusów i tak zwanych wygód życiowych jest nie tylko zbędna, lecz stanowi niewątpliwie przeszkodę w rozwoju duchowym ludzkości. Jeśli już mowa o luksusach i wygodach, to najmądrzejsi ludzie zawsze prowadzili prostsze i skromniejsze życie aniżeli biedacy. Starożytni filozofowie w Chinach, Indiach, Persji i Grecji tworzyli klasę tak biedną, jeśli idzie o zasoby materialne, że nie było biedniejszej, ale też i bogatszej, jeśli idzie o bogactwo duchowe. Niewiele o nich wiemy, znamienne jednak, że wiadomo nam chociaż tyle. To samo dotyczy bardziej współczesnych reformatorów i dobroczyńców narodów. Nikt nie potrafi być bezstronnym czy mądrym obserwatorem ludzkiego życia, jeśli obserwacji swych nie dokonuje z pozycji człowieka, którego nazwaliśmy dobrowolnym biedakiem. Owoc luksusowego życia stanowi luksus zarówno w rolnictwie oraz handlu, jak i w literaturze czy sztuce. W dzisiejszych czasach istnieją profesorowie filozofii, a nie filozofowie. Aliści wykłady godne są podziwu, jeśli kiedyś godne podziwu było życie. Być filozofem to nie tyle oddawać się wyrafinowanym rozmyśleniom ani nawet stworzyć nowy system, ile tak kochać mądrość, aby zgodnie z jej nakazami prowadzić życie proste, niezależne, wielkoduszne i ufne. To rozwiązywać niektóre problemy życiowe nie tylko teoretycznie, lecz także praktycznie. Natomiast powodzenie wielkich uczonych i myślicieli przypomina na ogół sukcesy dworzanina, nie zaś króla czy mężczyzny. Radzą sobie w życiu dzięki kompromisom, praktycznie takim samym jak ich ojcowie, i w najmniejszym stopniu nie są antenatami szlachetniejszego gatunku człowieka. Dlaczego jednak ludzie wciąż się degenerują? Z jakiego powodu wymierają rody? Co takiego jest w luksusie, że osłabia on i niszczy narody? Czy mamy pewność, że jego cząstka nie tkwi w naszym życiu? Filozof wyprzedza swoją epokę nawet zewnętrznymi formami życia. Nie żywi się, nie szuka schronienia,



odzieży i ciepła w taki sposób jak jemu współcześni. Jakże człowiek mógłby być filozofem i nie zachowywać ciepła witalnego dzięki metodom lepszym aniżeli inni ludzie?

Kiedy człowiek już się ogrzeje na tych kilka opisanych przeze mnie sposobów, czego z kolei potrzebuje? Z pewnością nie większej ilości ciepła tego samego rodzaju, lecz więcej bogatego pożywienia, obszerniejszych i wspanialszych domów, piękniejszych ubrań, liczniejszych, nie wygasających, gorętszych ognisk, i tym podobnych wygód. Zdobywszy to, co potrzebne do życia, może jednak dokonać innego wyboru niż zdobywanie nadmiaru, może się teraz zdobyć na odwagę i żyć, może zacząć wakacje i zaniechać bardziej upokarzającej harówki. Ziemia chyba nadaje się dla takich właśnie nasion, albowiem najpierw wypuszczają one w dół korzonki, potem zaś z równym zaufaniem strzelają kielkiem w górę. Dlaczego człowiek tak mocno zapuścił korzenie w ziemi, że nie może z równą energią poderwać się i wznieść ku niebu? Wszak szlachetniejsze rośliny ceni się dla owocu, jaki ostatecznie rodzą pośród powietrza i światła, daleko od ziemi. Nie traktuje się ich na równi ze skromniejszymi roślinami jadalnymi, które mimo że dwuletnie, uprawiane są tylko do czasu, kiedy w pełni wykształcą korzeń, i często ułatwia im się ów proces ścinając część naziemną, skutkiem czego większość ludzi nie wie nawet, jak wyglądają w okresie kwitnienia.

Nie zamierzam stwarzać reguł dla natur silnych i dzielnych, które zadbają o siebie i w niebie, i w piekle, które będą może budować wspanialej i wydawać bardziej rozrzutnie aniżeli najwięksi bogacze, i nigdy nie zbiednieją, albowiem w gruncie rzeczy wcale tak wystawnie nie żyją – jeśli doprawdy takie natury istnieją nie tylko w naszych snach. Nie zamierzam też dawać wskazówek tym, którzy znajdują zachętę i inspirację właśnie w obecnym porządku, rzeczy i pielęgnują go czule, z entuzjazmem kochankowi. W pewnym stopniu zaliczam siebie do ich grona. Nie adresuję mych słów również do tych, którzy znaleźli dobre zatrudnienie, niezależnie, w jakim charakterze, i świadomi są dodatnich i ujemnych stron swojego zajęcia. Zwracam się głównie do większości ludzi niezadowolonych i czczo utyskujących na zły los lub ciężkie czasy, podczas gdy mogliby się starać je poprawić. Przemawiam także do tych, którzy niepokieszeni, energicznie narzekają za wszystkich, twierdząc, że to ich obowiązek, jak również do tej pozornie bogatej, ale najstraszliwiej zubożałej klasy wszystkich tych ludzi, którzy zgromadzili śmiecie i nie wiedzą, jak je spożytkować albo jak ich się pozbyć, skutkiem czego zakuli się we własne złote czy srebrne kajdany.

Gdybym pokusił się opowiedzieć, jak pragnąłem spędzić ubiegłe lata, zdziwiłbym zapewne czytelników znających nieco ich faktyczny przebieg, a na pewno już tych, którzy nic na ten temat nie wiedzą. Napomknę tylko o kilku przedsięwzięciach wypieszczonych w marzeniach.

W każdą pogodę, w każdą godzinę dnia czy nocy pragnąłem wzbogacać wszystkie chwile i naznaczać je nacięciem na kiju, pragnąłem stać w miejscu stykania się dwóch wieczności<sup>20</sup> – przeszłości i przyszłości, czyli dokładnie w momencie teraźniejszym, pragnąłem się podporządkować jego nakazom. Proszę wybaczyć mi kilka niejasności, ale w moim fa-

---

<sup>20</sup> „Jedno życie – iskierka czasu pomiędzy dwiema wiecznościami” – Thomas Carlyle, *On Heroes and Hero-Worship*.

chu więcej mam tajemnic aniżeli inni ludzie, tajemnic, których zachowanie ów fach mi narzuca, są bowiem nierozzerwalnie związane z jego naturą. Gdyby to ode mnie zależało, z przyjemnością opowiedziałbym o nim wszystko i nigdy nie umieścił na swojej bramie napisu: „Wstęp zabroniony.”

Dawno temu zginął mi pies, gniady koń i turkawka. Nadal ich poszukuję. Pytałem o moje zguby wielu wędrowców, opisywałem ślady, opowiadałem, jak należy wołać zwierzęta, aby odpowiedziały. Jeden czy dwóch spotkanych słyszało psa i ciężkie stąpanie konia, a nawet widziało, jak turkawka zniknęła za chmurą. Wydawało się, że tak bardzo pragną odzyskać zwierzęta, jakby sami je utracili.

Ach, cieszyć się nie tylko wschodem słońca i zmierzchem, lecz jeśli to możliwe – samą Naturą! Ileż to razy rano w lecie czy w zimie krzątałem się przy tym właśnie moim ulubionym zajęciu, zanim którykolwiek z sąsiadów wstał do swoich obowiązków! Doprawdy, wielu mieszkańców naszego miasteczka spotykało mnie w drodze powrotnej z wyprawy po te ulubione doznania, podczas gdy sami dopiero się zabierali do własnych obowiązków – farmerzy wyruszali o brzasku do Bostonu, drwale zaś do lasu. Wprawdzie nigdy nie asystowałem osobiście przy wschodzie słońca, ale też niewątpliwie nie o tego rodzaju obecność szło.

Ileż to jesiennych, ba, zimowych dni spędziłem wśród pól i lasów, usiłując się wsłuchiwać w tony wiatru, usiłując usłyszeć je i wiernie oddać! Utopiłem w tym niemal cały kapitał, a biegnąc wiatrowi naprzeciw straciłem też oddech na tym interesie. Wierzcie mi, czytelnicy, gdyby sprawa dotyczyła którejś z partii politycznych, nowina owa ukazałaby się w „Gazette”<sup>21</sup> wśród porannych wiadomości. Innym razem obierałem sobie punkt obserwacyjny na skale czy drzewie, aby przekazywać telegraficznie wszystkie nowe doniesienia, albo czekałem wieczorami, aż spadnie coś z nieba, mając nadzieję, że uda mi się to coś złapać – choć nigdy dużo nie złapałem – i że to coś niby manna znów stopnieje w słońcu. Pracowałem przez długi czas jako reporter dziennika o niezbyt dużym nakładzie, którego wydawca dotychczas jeszcze nie uznał moich artykułów za nadające się do druku, 1 jak to zwykle bywa z pisarzami, jedynym zadośćuczynieniem za pracę był trud jej podjęcia. W tym jednak wypadku mój trud był mi sam w sobie nagrodą<sup>22</sup>.

Byłem przez wiele lat inspektorem – sam nim się mianowałem – śnieżnych zawieruch i letnich burz. Z obowiązków wywiązywałem się sumiennie. Pracowałem również jako mierzniczy – jeśli nie gościńców, to leśnych ścieżek i wszelkich traktów. Pilnowałem, aby w miejscach uczęszczanych były przejezdne przez wszystkie pory roku i aby nad parowami wisiały kładki i mostki.

Doglądałem w mieście żywego inwentarza, który sumiennemu pasterzowi przysparzał wielu kłopotów, skakał bowiem przez płoty. Nie spuszczałem też z oka zakątków gospodarstwa położonych na uboczu, chociaż nie zawsze było mi wiadomo, czy Jonasz lub Salomon pracują dziś na właściwym polu – nie wchodziło to w zakres moich obowiązków. Podle-

<sup>21</sup> Mowa prawdopodobnie o concordzkiej „Yeoman’s Gazette”

<sup>22</sup> Mowa prawdopodobnie o własnym dzienniku Thoreau (*Journal*), który opublikowano dopiero czterdzieści pięć lat po śmierci autora, albo o piśmie „Dial” – redaktorzy tego ostatniego, Ralph Waldo Emerson i Margaret Fuller, kilkakrotnie odrzucali mu teksty.

wałem borówkę, czereśnię i wiązowiec, sosnę czerwoną i jesion pensylwański, winorośl i fiołki, w przeciwnym bowiem razie mogłyby zmarnieć z powodu suszy.

Krótko mówiąc, zajmowałem się tym wszystkim przez długi czas (to prawda, nie przechwalam się), sumiennie wypełniając swoje obowiązki, dopóki nie nabrałem przekonania, że mimo wszystko moi sąsiedzi nie zaliczą mnie w poczet urzędników miejskich ani nie zamienią mej posady w synekurę o umiarkowanym dochodzie. Rachunków, które – mogę przysiąc – sumiennie prowadziłem, nigdy nie sprawdzałem; dość niechętnie akceptując je płaciłem i porządkowałem. Nie upierałem się jednak, żeby to robić. Nie brałem sobie tego do serca.

Niedawno temu wędrowny handlarz koszykami, Indianin, zatrzymał się w moim sąsiedztwie przed domem znanego prawnika. „Czy życzą sobie państwo kupić koszyk?” – zapytał. „Nie, dziękujemy” – odpowiedziano mu. „Co! – wykrzyknął Indianin cofając się do furtki – czy mamy umrzeć z głodu?” A wszystko wzięło się stąd, że Indianin pozazdrościwszy powodzenia swym białym pracowitym sąsiadom – wszak prawnik musiał tylko zgrabnie splatać argumenty, co jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki dawało mu majątek i pozycję – postanowił rzecz następującą: „Też mogę się wziąć do interesów, będąc wyplatał koszyki, to dla mnie właściwe zajęcie.” Myślał, że na wypleceniu ich skończy się jego rola, zacznie zaś rola białego człowieka, którego zadaniem będzie owe koszyki kupić. Nie przyszło mu do głowy, że sprzedaż ich wymaga starań, że ewentualnego kupca powinien przynajmniej przekonać, iż któryś z koszyków warto nabyć. Nie pomyślał też o tym, że może łatwiej by szła sprzedaż czegoś innego. Ja również wyplotłem takie jakby koszyki z delikatnej wikliny, ale nie starałem się nikogo przekonać, że warto je kupić. Osobiście bowiem uważałem, że skoro warto się zajmować ich wyplataniem, należy się skupić przede wszystkim na obmyśleniu sposobów unikania konieczności ich sprzedaży, a nie szukać ku niej sposobności. Ludzie wychwalają tylko jeden sposób życia. Dlaczego jednak mielibyśmy jednemu przypisywać wyższość nad innymi?

Przekonawszy się, że moi ziomkowie nie mają zamiaru proponować mi ani pokoju w gmachu sądu, ani wikariatu, ani beneficjum gdziekolwiek indziej i że sam muszę dać sobie radę, bardziej zdecydowanie niż kiedykolwiek przedtem zwróciłem swe myśli ku lasom, w których znano mnie od lepszej strony. Postanowiłem natychmiast zabrać się do rzeczy i nie czekać, aż zbiore potrzebny kapitał, choć dysponowałem skromnymi środkami. Nad Waldenem chciałem zamieszkać nie po to, aby żyć tanio lub drogo, lecz po to, aby móc zrealizować niektóre moje dążenia. Aby nie musieć się wspinać w górę, która to czynność przy braku odrobiny zdrowego rozsądku, przedsiębiorczości i talentu do interesów wyglądałaby nie tyle smutno, ile głupio.

Zawsze usiłowałem wyrobić w sobie surowe nawyki człowieka interesu, są bowiem niezbędne wszystkim ludziom. Jeżeli człowiek handluje z Imperium Niebieskim, wystarczy mu mały kantorek na wybrzeżu, w jakimś porcie Salem. Zajmie się eksportem takich artykułów, jakie państwo posiada, towarów wyłącznie rodzimych: sporych ilości lodu i drewna sosnowego, mniejszych zaś granitu. Zawsze będzie je wysyłał na rodzimych statkach. Transakcje okażą się opłacalne. Dobrze jest mieć osobisty nadzór nad wszystkimi drobiazгами, być jednocześnie pilotem i kapitanem, właścicielem i poręczycielem,

kupować, sprzedawać i prowadzić buchalterię, czytać wszystkie otrzymywane listy i pisać albo czytać wszystkie wysyłane, w dzień i w nocy nadzorować rozładunek towarów importowanych, przebywać w wielu miejscowościach na wybrzeżu prawie jednocześnie – często najbogatszy towar rozładowuje się na wybrzeżu stanu Jersey – być swoim własnym telegrafem, który niezmordowanie obsługuje horyzont i porozumiewa się ze wszystkimi statkami płynącymi do brzegu, nadal prowadzić stałą ekspedycję towarów, aby zaopatrzyć taki odległy i przesadnie wymagający rynek, zawsze mieć informacje o potrzebach rynków, perspektywach wojny i pokoju na całym świecie i przewidywać tendencje handlu i cywilizacji – dokonać tego na podstawie wyników badań wszystkich wypraw odkrywczych, korzystać z nowych dróg morskich i nowych przyrządów nawigacyjnych, studiować mapy, ustalać położenie raf, nowych latarni i boi oraz nieustannie korygować obliczenia według tablic logarytmicznych, albowiem wskutek błędnej nawigacji statki często rozbija się o skałę, zamiast dopłynąć do przyjaznego brzegu, tak jak to przydarzyło się La Perouse’owi<sup>23</sup>; należy dotrzymywać kroku nauce, badać życiorysy wszystkich wielkich odkrywców i żeglarzy, wielkich awanturników i kupców, począwszy od Hannu<sup>24</sup> i Fenicjan, a skończywszy na współczesnych; koniec końców sporządzać od czasu do czasu bilans kapitału, aby wiedzieć, jak się przedstawiają rachunki. Ta praca wymagająca od człowieka wysiłku i zdolności to problemy zysków i strat, udziałów, tary i dodatkowych opłat za uszkodzenia w czasie transportu oraz wszelkiego rodzaju wskaźników, do rozeznania się w których potrzeba wiedzy ogólnej.

Myślałem, że staw Walden będzie dobrym miejscem do prowadzenia interesów, nie tylko dzięki kolei i handlowi lodem. Oferuje bowiem korzyści, których wyjawienie może nie być politycznie wskazane; to dobre miejsce i twardy grunt. Wprawdzie wszędzie trzeba tu budować na palach, lecz nie ma potrzeby osuszania bagien, tak jak nad Newą. Podobno przyływ morza, zachodni wiatr i lód na Newie mogłyby znieść Petersburg z powierzchni ziemi.

Ponieważ miałem się wziąć do interesów, a nie posiadałem kapitału, niełatwo chyba będzie się domyślić, skąd mogłem uzyskać owe środki, które jednak przy każdym podobnym przedsięwzięciu są niezbędne. Od razu zatem przystępując do praktycznej strony zagadnienia, chciałbym podkreślić, że jeśli idzie o odzież, nabywając ją chyba częściej kierujemy się umiłowaniem nowości i opinią innych ludzi aniżeli prawdziwą jej przydatnością<sup>25</sup>. Pozwolę sobie przypomnieć tym, których czeka kupno odzieży, że celem, jaki ma ona spełniać, jest po pierwsze, zachowanie ciepła witalnego, po drugie zaś, w naszych warunkach społecznych – okrycie nagości<sup>26</sup>. Ludzie owi mogą ocenić, ile koniecznej i ważnej pracy można wykonać nie dokupując nowej garderoby. Wprawdzie królowie i królowe tylko raz wkładają strój specjalnie dla nich szyty przez krojczych i szwaczki, lecz nie znają przy-

---

<sup>23</sup> La Perouse, Jean Francois de Galaup (1741 – ok. 1788) – francuski żeglarz i podróżnik.

<sup>24</sup> Hanno (ok. VI-V w. p.n.e.) – żeglarz kartagiński. Patrz też: *Staw w zimie*, przyp. 20.

<sup>25</sup> Fragment ten wskazuje na związki poglądów Thoreau z filozofią Thomasa Carlyle’a, wyrażoną m. in. w *Sartor Resartus*.

<sup>26</sup> Stosunek autora do problemu nagości nie był bynajmniej wiktoriański. Współcześni nudyści uważają go za swojego prekursora.

jemności ubierania się w garderobę dobrze dopasowaną. Przypominają konie na kijach, na których zawieszono czystą odzież. Ubranie nasze z dnia na dzień coraz bardziej się z nami zrasta, właściciel wyciska na nim swoje piętno, aż nie ma ochoty się go pozbyć; kiedy zaś o tym postanowi, ani nie odczekuje jakiegoś czasu, ani nie stosuje żadnych zabiegów medycznych, ani nie stwarza atmosfery uroczystej powagi, jak gdyby sprawa dotyczyła ludzkich zwłok. Nigdy nie cenilem nikogo niżej za połataną odzież. Jestem wszelako pewien, że na ogół ludzie bardziej usilnie pragną mieć modne albo przynajmniej czyste i nie łatane ubranie aniżeli czyste sumienie. Największą zaś winą człowieka, który nie zacerował dziury, jest brak zapobiegliwości. Czasami chcąc poznać postawę swoich znajomych, zadaję im następujące pytanie: Kto z was mógłby chodzić z łatą albo chociaż z dwoma dodatkowymi szwami nad kolanem? Większość zagadniętych reaguje w taki sposób, jakby to mogło zrujnować ich perspektywy życiowe. Łatwiej zdecydowaliby się pokuśtykać do miasta ze złamaną nogą niż w rozerwanych spodniach. Często bywa, że gdy mężczyzna zrani się w nogę, leczy ją, natomiast jeśli podobne nieszczęście przydarzy się nogawkom jego spodni, nie dba o ich zacerowanie. Nie liczy się bowiem z tym, co naprawdę godne szacunku, lecz z tym, co szanowane.

Niewielu znamy mężczyzn, wiele zaś surdutów i spodni. Gdyby stracha na wróble ubrać w czyjąś: najnowszą odzież, a właściciela postawić obok nago, któż nie ukłoniłby się przede wszystkim strachowi?

Kiedy przechodziłem któregoś dnia przez pole i minąłem kapelusz i surdut na paliku, nagle rozpoznałem w owej postaci właściciela farmy. Był tylko trochę bardziej ogorzały, aniżeli kiedy poprzednio go widziałem. Słyszałem o psie, który szczekał na każdego ubranego obcego, jaki się zbliżył do posiadłości jego pana, natomiast nagi złodziej bez trudu potrafił psa uspokoić. Ciekawe, w jakim stopniu ludzie potrafiliby zachować swoją pozycję, gdyby pozbawiono ich odzieży. Czy moglibyśmy wówczas z całą pewnością orzec, że dana grupa ludzi cywilizowanych należy do najbardziej szanowanej klasy? Pani Pfeiffer<sup>27</sup> opowiadała, że podczas obfitującej w przygody podróży dookoła świata ze wschodu na zachód, kiedy bliska już powrotu do domu dotarła do azjatyckiej części Rosji, zaproszono ją na spotkanie z miejscowymi dygnitarzami. Poczula wówczas potrzebę przebrania się z sukni podróżnej w inną toaletę, albowiem „była teraz w kraju cywilizowanym, gdzie [...] ludzie oceniają się na podstawie ubioru”<sup>28</sup>. Nawet w naszych demokratycznych miastach Nowej Anglii jeśli przypadkiem ktoś jest bogaty, zamożnie się ubiera i jeździ powozem, natychmiast zyskuje sobie niemal powszechny szacunek. Ci wszelako, którzy darzą go owym szacunkiem, są jak jeden mąż po dziś dzień poganami i trzeba by im przysłać misjonarza. Ponadto problem ubrania pociąga za sobą problem szycia, a jest to tego rodzaju zajęcie, które można by nazwać nie kończącym się; w każdym razie szycie kobiecej sukni nie ma końca.

Człowiek, który znalazł sobie ostatecznie jakąś robotę, nie będzie potrzebował nowego ubrania, aby ją wykonać; wystarczy mu stare, leżące na zakurzonej strychu od niepamięt-

---

<sup>27</sup> Ida Laura Pfeiffer (1797-1858) – wiedeńska, podróżniczka, dwukrotnie objechała świat dookoła.

<sup>28</sup> Ida Pfeiffer, *A Lady's Voyage Round the World*, Nowy Jork 1852.

nych czasów. Stare buty posłużą bohaterowi dłużej aniżeli jego lokajowi – jeśli bohater miewa lokai – bose stopy starsze są od butów i bohater potrafi się nimi zadowolić. Tylko bywalcy przyjęć i siedzib Izb Ustawodawczych muszą mieć nowe surduty, które zmieniają tak często, jak sami ulegają w nich przeobrażeniom. Skoro jednak moja marynarka i spodnie, kapelusz i buty są odpowiednie do tego, bym chwalił w nich Boga, wystarczą mi też na inne okazje, nieprawdaż? Kto miał tak stare ubranie, na przykład stary płaszcz istotnie tak znoszony i zdarty, że ani obdarzenie nim jakiegoś biednego chłopca nie było aktem dobroczynnym, ani potem przekazanie go przez tegoż jeszcze biedniejszemu, a może bogatszemu – temu, który zadowalał się posiadaniem minimum? Należy, powiadam, Wystrzegać się wszelkich przedsięwzięć wymagających nowego odzienia, lecz nie nowego człowieka. Jakże bowiem nowe ubranie ma pasować na starego, nie przeobrażonego człowieka? Jeśli ma się przed sobą nowe zadanie, należy się starać spełnić je w starej odzieży. Nikt nie potrzebuje tego, czym by się mógł zadowolić, lecz tego, czym mógłby się zająć, czy raczej tego, czym mógłby się stać. Chyba nigdy nie powinniśmy się starać o nowe ubranie, choćby stare było w strzępach, dopóki tak sobą nie pokierujemy, nie postawimy przed sobą takich zadań albo nie poześlujemy tak daleko, że w starym staniemy się nowymi ludźmi, i dopiero wtedy przy wdziejemy nowe, aby się nie czuć jak młode wino w starych butelkach<sup>29</sup>. Okres tracenia piór musi – podobnie jak u ptactwa – być w naszym życiu przełomem. Nur zaszywa się na ten czas pośród samotnych jezior. Na skutek wewnętrznego wysiłku i rozrostu wąż zrzuca wylinę, a gąsienica – larwią osłonę; odzienie bowiem stanowi jedynie ostatnią warstwę naszego naskórka i naszą śmiertelną powłokę<sup>30</sup>. Jeżeli będziemy mieli do tej kwestii inny stosunek, okaże się, że żeglujemy pod fałszywą banderą i że nieuchronnie zostaniemy w końcu zdegradowani przez naszą własną opinię i opinię ludzkości.

Wdziewamy jedną część garderoby na drugą, niby rośliny rozwijające się za zewnętrzną przyczyną. Nasze wierzchnie, często cienkie i wyszukane odzienie stanowi jakby naskórek lub sztuczną skórę, która żyje własnym życiem, można więc oderwać ją tu i tam nie zadając człowiekowi śmiertelnej rany; nasze grubsze ubranie, stale noszone, to dla nas powłoka z komórek, czyli kora; natomiast koszule są naszym łykiem, czyli rzeczywistą korą, i nie można jej zerwać inaczej niż tak, jak się zrywa opaskę z kory, a to człowieka niszczy. Uważam, że wszystkie rasy ludzi noszą w pewnych porach odpowiedniki koszuli. Pożądane by było, aby człowiek ubierał się na tyle prosto, że potrafili się dotknąć w ciemności rękoma, aby pod każdym względem żył w takiej spoistości i gotowości, że gdyby miasto zajął wróg, mógłby je opuścić – podobnie jak pewien stary filozof – przechodząc bez obawy przez bramę z pustymi rękoma<sup>31</sup>. Skoro jedna gruba sztuka garderoby jest w większości wypadków równie dobra jak trzy cienkie, skoro tanią odzież można dostać po cenie naprawdę odpowiadającej klientom, skoro ciepły płaszcz kupiony za pięć dolarów będzie służył tyleż

---

<sup>29</sup> „I nie wlewają wina młodego do starych bukłaków, bo inaczej bukłaki pękają...” Nowy Testament, Ewangelia św. Mateusza 9, 17.

<sup>30</sup> „Kiedy zrzucimy z siebie więzy ciała...” William Szekspir, *Hamlet*, akt III, sc. 1. Przełożył Józef Paszkowski.

<sup>31</sup> Odniesienie do stwierdzenia Biasa z Prieny, który powiedział: „Wszystko, co posiadam, noszę w sobie.”

samo lat, skoro ciepłe spodnie można nabyć za dwa dolary, buty z wołowej skóry – za półtora dolara, letni kapelusz – za ćwierć dolara, a zimową czapkę – za sześćdziesiąt dwa i pół centa lub samemu zrobić w domu przy kosztach nominalnych, gdzie przebywa taki biedak ubrany w podobną odzież nabytą z własnych zarobków, że nie znajdzie się nikt mądry, kto by go szanował?

Kiedy proszę moją krawcową, aby uszyła mi ubranie o takim, a nie innym fasonie, odpowiada poważnie: „Teraz już takich się nie nosi”, podkreślając „nie nosi”, jak gdyby cytowała autorytet równie bezosobowy jak Los. Trudno mi zatem skłonić krawcową do uszycia ubrania według moich wskazówek, nie może bowiem uwierzyć, że naprawdę mówię to, co myślę, że jestem taki nieroztropny. Gdy słyszę owo brzmiące jak wyrok zdanie, na chwilę pograżam się w zadumie, powtarzając sobie każde słowo z osobna, aby lepiej je zrozumieć, aby pojąć, jakie pokrewieństwo łączy mnie ze wszystkimi, którzy czegoś nie noszą, i jaki autorytet mogą przedstawiać w sprawie tak blisko mnie dotyczącej. Ostatecznie skłonny jestem odpowiedzieć jej w jednakowo tajemniczy sposób, identycznie podkreślając bezosobowość autorytetu: „Prawda, ostatnio takich się nie nosiło, ale teraz się nosi.” Jaki sens ma branie mi miary, jeśli krawcowa nie szacuje mojego charakteru, lecz jedynie szerokość ramion, jakby były wieszakiem na płaszcz? Nie wielbimy ani Gracji, ani Parek, tylko modę. Przędzie ona, tka i kroci ciesząc się pełnym autorytetem. Awangardowe mały w Paryżu włożyły podróżną czapkę i już wszystkie mały w Ameryce robią to samo. Czasami tracę nadzieję, że będę mógł dostać na tym świecie coś całkiem prostego i uczciwego, co wykonali ludzie. Przede wszystkim należałoby przepuścić ich przez potężną prasę i wycisnąć stare pojęcia, aby nie byli zdolni prędko stanąć na własnych nogach. Potem jednak w towarzystwie znalazłby się ktoś postrzelony, pełen zrodzonych nie wiadomo kiedy pomysłów, których nawet ogień nie trawi, i cały trud poszedłby na marne. Niemniej nie zapomnimy, że to od mumii otrzymaliśmy w prezencie odrobinę egipskiej pszenicy.

Na ogół nie uważam, aby słuszne było twierdzenie, że w naszym czy innym kraju ubiór zyskał rangę sztuki. Ludzie obecnie radzą sobie nosząc to, co mogą kupić. Niby rozbitkowie wkładają wszystko, co znajdują na plaży, a odrobinę dalej – czy to w czasie, czy w przestrzeni – śmieją się ze swojej maskarady. Każde pokolenie wyśmiewa starą modę, aliści z namaszczaniem przestrzega nowej. Bawi nas widok szat Henryka VIII czy królowej Elżbiety, tak jakby były to stroje króla i królowej Wysp Kanibalskich. Wszystkie ubiory zdjęte z człowieka wyglądają żałośnie albo groteskowo. Tylko wyzierające z nich oko powagi i uczciwie przeżyte w nich życie powstrzymują nas od śmiechu i uświęcają odzienie wszystkich ludzi. Niech Arlekina chwyci atak kolki, a wnet jego strój będzie musiał się poddać temu samemu nastrojowi co jego pan. Gdy żołnierza trafi kula armatnia, jego łachmany przystoją mu jak purpura.

Dziecinny i barbarzyński pociąg mężczyzn i kobiet do nowych wzorów wymaga długiego potrząsania kalejdoskopem, zanim odkryje się taki wzór, jaki będzie odpowiadał dzisiejszemu pokoleniu. Fabrykanci się nauczyli, że pęd ów to jedynie kaprys. Z dwóch wzorów, różniących się tylko kilkoma szwami na materiale w mniej więcej tym samym kolorze, jeden z łatwością zostanie sprzedany, drugi zaś będzie zalegał na półkach, chociaż często się zdarza, że po upływie sezonu wchodzi w modę ten drugi. Podobnie sprawa przedstawia

się z tatuażem, który nie jest odrażającą praktyką, jak nauczono się sądzić. Nie zasługuje na miano barbarzyństwa, chociażby dlatego, że ma charakter naskórkowy i niezmienny.

Nie wierzę, że nasz system fabryczny stanowi najlepszy sposób zaopatrywania ludzi w odzież. Sytuacja robotników pracujących przy maszynach z każdym dniem upodabnia się do sytuacji robotników angielskich<sup>32</sup>. Nic w tym dziwnego, słyszałem bowiem, czy też sam spostrzegłem, że głównym celem nie jest dobra i przyzwoita odzież dla ludzi, ale niewątpliwie wzbogacenie się korporacji. Na dłuższą metę ludzie osiągają tylko to, do czego zmierzają. Dlatego też, gdyby nawet natychmiast mieli ponieść porażkę, niech lepiej zmierzają do jakiegoś wyższego celu.

Co do schronienia, to nie przeczę, że jest teraz koniecznością życiową, chociaż znane są przypadki ludzi, którzy obchodzili się bez niego w krajach zimniej szych od naszego. Samuel Laing<sup>33</sup> pisze, że „Lapończyk ubrany w skórę, ze skórzanym workiem nasuniętym na głowę i ramiona, co noc sypia na śniegu [...] w takim zimnie, że zgasłoby w nim życie, gdyby był w odzieży wełnianej”<sup>34</sup>. Widywał ich śpiących w ten właśnie sposób. Jednakże dodaje: „Nie są bardziej wytrzymali aniżeli inni ludzie.”<sup>35</sup> Prawdopodobnie jednak człowiekowi niewiele potrzeba było czasu, żeby odkryć, jak dogodnie jest posiadanie domu i jak miłe domowe ciepło, za którym to określeniem pierwotnie chyba kryło się przede wszystkim pojęcie schronienia, jakie dawał sam budynek, a nie ciepło rodzinne. Wprawdzie musi ono być w najwyższym stopniu niepełne i okresowe w klimatach, w których dom kojarzy nam się głównie z zimą czy porą deszczową, przez dwie trzecie roku zaś jest zbędny, wystarczy bowiem parasol od słońca. W naszym klimacie w letnią noc początkowo wystarczało jedynie okrycie. W słowniku Indian wigwam symbolizował jeden dzień marszu, a szereg ich wycięty albo namalowany na korze drzewa – liczbę nocy, podczas których musieli zakładać obozowiska. Człowiek nie został stworzony na tyle postawny i silny, aby nie musiał dążyć do zawężenia świata i zamurowywać się w ograniczonej do swoich rozmiarów przestrzeni. Najpierw był bosi i żył na łonie Natury. Co prawda sprawiało to przyjemność tylko w bezchmurną i ciepłą pogodę za dnia, a w porze deszczowej i w zimie, nie wspominając już o upalnym słońcu, zdusiłoby w zarodku jego plemię, gdyby nie znalazł sobie szybko pierwszej osłony umożliwiającej mu utrzymanie ciepła, którą był dach domu. Jak baśń<sup>36</sup> opowiada, Adam i Ewa, zanim zaczęli nosić odzienie, okrywali się liściem. Człowiek potrzebował domu – miejsca, w którym znalazłby ciepło czy wygodę, najpierw ciepło w sensie fizycznym, potem zaś ciepło uczuć.

Możemy sobie wyobrazić chwilę, kiedy w niemowlęctwie rodzaju ludzkiego jakiś przedsięwzięty śmiertelnik szukając schronienia wczołgał się do skalnej jaskini. Każde dziecko zaczyna odkrywać świat w pewnym stopniu od nowa i uwielbia przebywać na powietrzu,

---

<sup>32</sup> Thoreau był jednym z pierwszych Amerykanów protestujących przeciwko fabrycznemu systemowi pracy.

<sup>33</sup> Samuel Laing (1780-1868) – autor prac na temat ekonomicznych i społecznych warunków życia w Skandynawii.

<sup>34</sup> Samuel Laing, *Journal of Residence in Norway*, Londyn 1837.

<sup>35</sup> *Ibid*

<sup>36</sup> Nazywanie Pisma Świętego „baśnią” zrażało do autora nawet jego najbardziej oddanych przyjaciół.



nawet gdy jest mokro i zimno. Bawi się zarówno w dom, jak i w konia – ciągnie go do nich instynktownie. Kto nie pamięta, z jakim zainteresowaniem spoglądał w młodości na półki skalne czy otwór jaskini? Było to wyrazem naturalnej tęsknoty owej przetrwałej w nas cząstki naszego najbardziej prymitywnego przodka. Z jaskini postąpiliśmy ku dachom z palmowych liści, kory i gałęzi, z rozpostartego płótna, z traw i słomy, z desek i gontów, z kamieni i dachówek. W końcu nie wiemy, co to mieszkanie na świeżym powietrzu, i pędzimy życie ograniczone do czterech ścian domu także pod wieloma więcej względami niż tylko te, z których zdajemy sobie sprawę. Ognisko domowe dzieli od pola bardzo wielka odległość. Dobrze by chyba było, gdybyśmy spędzali więcej dni i nocy nie oddzieleni od ciał niebieskich żadnymi przegrodami, gdyby poeta nie tworzył, a święty nie spędzał tyle czasu pod dachem. Ptaki nie śpiewają w jaskini ani gołębnice nie cieszą się swą dziewiczością w gołębnikach.

Wszelako jeśli ktoś planuje budowę domu mieszkalnego, wypada mu użyć trochę jan-keskiego sprytu, aby ostatecznie nie znaleźć się w warsztacie, labiryncie bez wyjścia, muzeum, przytułku, więzieniu albo we wspianym mauzoleum. Należy wpięrow rozważyć, co nam wystarczy za skromne schronienie. Widziałem, jak w naszym miasteczku Indianie Penobscot mieszkali w namiotach z cienkiej bawełny, podczas gdy wokół nich leżał śnieg głęboki prawie na stopę. Pomyślałem, że byliby zadowoleni, gdyby spadł głębszy, gdyż osłaniałby ich od wiatru. Dawniej, kiedy kwestia rzetelnego urzędzenia sobie życia – łatwo ją rozwiązałem oddawszy się swoim prawdziwym dążeniom – niepokoiła mnie nawet bardziej aniżeli teraz, gdyż stałem się, niestety, trochę gruboskórny, przy torach kolejowych widywałem wielką skrzynię – sześć stóp długości na trzy szerokości – w której robotnicy chowali na noc narzędzia; przyszło mi do głowy, że każdy, kto odczuwa brak pieniędzy, mógłby kupić taką za dolara, wywiercić w niej kilka dziur dla wentylacji i zamknawszy pokrywą na haczyk mieć w skrzyni schronienie w deszczowe, a nawet pogodne noce, zapewniając sobie nieskrępowaną pielęgnację umiłowañ i wolność duszy<sup>37</sup>. Nie sądzę, aby było to najgorsze wyjście, a w żadnym razie godne pogardy. Mógłby siedzieć bez przeszkód do późna w nocy, obudziwszy się zaś o dowolnej porze – wyjść na dwór nie narażając się na nagabywanie gospodarza czy gospodyni o czynsz. Wielu ludzi do śmierci nęka opłata czynszu za większe i bardziej luksusowe skrzynie, a przecież nie zamariliby na śmierć w takiej jak ta przy torach. Wcale nie żartuję. Gospodarność to temat, który dopuszcza lekkie traktowanie, nie można atoli równie lekko uznać go za nieistotny. Ongiś zbudowano tutaj dla prymitywnego, odpornego plemienia, które żyło głównie pod gołym niebem, wygodny dom prawie wyłącznie z takiego budulca, jakiego w stanie gotowym dostarczyła Natura. Tak w 1674 roku pisał Gookin, nadzorca Indian w kolonii Massachusetts: „Najlepsze wigwamy bardzo porządnie i szczelnie pokryto korą drzew. Obdzierano z niej pnie o tej porze roku, kiedy soki podchodzą wysoko, a następnie wielkie płyty świeżej kory przyciskano ciężkimi palami [...] Gorsze wigwamy pokryto matami wyplatanyimi z sitowia. Są równie szczelne i ciepłe, lecz mimo to nie tak dobre jak kora [...] Widziałem kilka długich na sześćdziesiąt albo sto stóp i szerokich na trzydzieści [...] Często nocowałem w indiańskich

---

<sup>37</sup> „Jeśli w miłości jestem wolny /I dusza ma wolności zażywa...” Richard Lovelace, *To Althea from Prison*.

wigwamach, w których było tak ciepło jak w najlepszych angielskich domach<sup>38</sup>. Dodaje, że na ogół wewnątrz wykładano je i obudowywano wyszywanymi misternie matami oraz wyposażano w różne sprzęty. Indianie potrafili już wprowadzić ulepszenie, a mianowicie matą zawieszoną nad otworem w dachu, poruszaną za pomocą sznurka, regulowali wentylację. Taki wigwam budowano w jeden, a najdłużej dwa dni, składano i znowu rozstawiano w kilka godzin. Jedna rodzina dysponowała albo całym wigwamem, albo jedną jakby izbą za przepierzeniem.

Rodziny ludzi niecywilizowanych mieszkają w najlepszych schronieniach, bo zaspokajają one w wystarczającym stopniu ich prymitywniejsze, prostsze potrzeby. Moim zdaniem nie przesadzę twierdząc, że chociaż podniebne ptaki mają swoje gniazda, lisy swoje nory<sup>39</sup>, niecywilizowani zaś swoje wigwamy, we współczesnym społeczeństwie cywilizowanym nie więcej aniżeli połowa rodzin posiada schronienie na własność. W mniejszych i większych miastach, czyli tam, dokąd przede wszystkim dotarła cywilizacja, liczba ludzi mających na własność schronienie stanowi bardzo niewielki ułamek ogółu. Reszta płaci roczny podatek od tego zewnętrznego okrycia, które stało się niezbędne zarówno latem, jak i zimą. Można by za ów podatek kupić wioskę wigwamów, tymczasem jednak pomaga on utrzymywać Indian w biedzie do końca życia. Nie zamierzam podkreślać tutaj ujemnych stron wynajmu w porównaniu z rzeczywistym posiadaniem, aliści to oczywiste, że człowiek niecywilizowany posiada schronienie na własność, ponieważ tak mało ono kosztuje, podczas gdy człowiek cywilizowany na ogół je wynajmuje, ponieważ nie stać go na to, aby zostać właścicielem. Ostatecznie nie stać go nawet na wynajem. Wszelako – odpowie ktoś – płacąc ten podatek biedny człowiek cywilizowany zapewnia sobie siedzibę, która w porównaniu ze schronieniem niecywilizowanego jest pałacem. Roczny czynsz dwudziestu pięciu do stu dolarów (takie są stawki na prowincji) upoważnia człowieka do korzystania z dobrodziejstw i wynalazków całych stuleci, z przestronnych mieszkań, czystej farby i tapet, z kominków Rumforda<sup>40</sup>, zewnętrznych tynków, z żaluzji, miedzianej pompy, zamka sprężynowego, obszernej piwnicy i z wielu innych udogodnień. Jak to jednak się dzieje, że ten, kto podobno korzysta z tego wszystkiego, jest na ogół biednym człowiekiem cywilizowanym, podczas gdy niecywilizowany, który nie ma tych wygod, to bogaty dzikus? Jeżeli utrzymuje się, iż cywilizacja oznacza rzeczywisty rozwój warunków bytu człowieka – a moim zdaniem to prawda, chociaż tylko mądrzy udoskonalają swoje zdobycze – należy wykazać, że stworzyła lepsze domostwa nie podnosząc ich kosztów. Ceną zaś rzeczy jest ilość tego, co nazwałbym życiem, które należy za nią wymienić – natychmiast albo w ostatecznym rozrachunku. Przeciętny dom w mojej okolicy kosztuje chyba osiemset dolarów. Odłożenie tej sumy trwa w przypadku robotnika dziesięć, piętnaście lat, nawet jeśli nie jest obciążony rodziną. Przyjmując, że liczona w pieniądzech przeciętna wartość dziennej robocizny wynosi dolara dziennie – jedni bowiem otrzymują więcej, inni zaś mniej – ro-

<sup>38</sup> Daniel Gookin, *Historical Collections of the Indians in New England*, Boston 1792.

<sup>39</sup> „Lisy mają nory i ptaki niebieskie gniazda, ale Syn Człowieczy nie ma, gdzie by głowę skłonił.” Nowy Testament, Ewangelia św. Mateusza 8,20.

<sup>40</sup> Benjamin Rumford (1753-1814) – fizyk amerykański, twórca podstaw kinetycznej teorii ciepła, wynalazca bezdymnego pieca.

botnikowi upłynie na ogół połowa życia, zanim zarobi na własny wigwam. Jeśli założymy, że z dwojga złego wybierze płacenie czynszu, wątpliwe to będzie wyjście. Czy człowiek niecywilizowany mądrze by zrobił wymieniając na tych warunkach wigwam na pałac?

Można się domyślić, że całą korzyść wypływającą z posiadania tego nadmiernego majątku, który stanowi fundusz na zabezpieczenie przyszłości, w przypadku pojedynczego człowieka doprowadzam do możliwości pokrycia kosztów pogrzebu. Być może atoli człowiek nie musi siebie pochować. Niemniej jednak uwydatnia to istotnie różnicę między człowiekiem cywilizowanym a niecywilizowanym. Usiłuje się niewątpliwie – mając na względzie nasze dobro – stworzyć z życia ludzi cywilizowanych instytucję, która tłumi w pewnym stopniu życie jednostki w celu zachowania i doskonalenia egzystencji gatunku ludzkiego. Chcę jednak wykazać, ile poświęceń kosztuje obecnie to nasze dobro, i zaproponować prowadzenie takiego życia, które by je zapewniało, a zarazem nie miało dla nas ujemnych stron. Dlaczego to mówicie między sobą, że ubogich zawsze macie wśród siebie<sup>41</sup> albo że ojcowie jedli kwaśne grona, a zęby synów ścierpły?<sup>42</sup>

„Na moje życie – wyrocznia Jahwe Pana – Nie będziecie więcej powtarzali tej przypowieści w Izraelu. Oto wszystkie dusze są moje. Umrze tylko osoba, która zgrzeszyła.”<sup>43</sup>

Gdy rozmyślałam o swoich sąsiadach – farmerach z Concord, którzy są w co najmniej takim samym stopniu zamożni jak inne klasy, dochodzę do wniosku, że w większości wypadków dzięki ciężkiej harówce od dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu lat mogą teraz zostać rzeczywistymi właścicielami farm, które na ogół odziedziczyli wraz z długami albo kupili za pożyczone pieniądze – przy czym jedna trzecia ich harówki stanowi cenę domu – ale na ogół jeszcze nie wnieśli odpowiednich opłat. Wprawdzie czasami długi przewyższają wartość farmy, przez co ona sama staje się jednym wielkim obciążeniem, lecz nadal znajduje się ktoś, kto ją dziedziczy i – jak utrzymuje – dobrze zna. Zwróciwszy się do taksatorów, ze zdumieniem stwierdziłem, że nie potrafią oni wymienić bez namysłu nazwisk dwunastu mieszkańców miasta, którzy naprawdę posiadają nie obciążone farmy. Historię owych domostw można poznać w banku, oddano je tam bowiem w zastaw hipoteczny. Człowiek, który rzeczywiście zapłacił za farmę pracą na niej, należy do takiej rzadkości, że może go wskazać palcem każdy sąsiad. Wątpię, czy w Concord znajdzie się trzech tego rodzaju ludzi. To, co się mówi o kupcach, że przeważająca ich część – nawet dziewięćdziesięciu siedmiu na stu – na pewno poniesie fiasko, dotyczy także farmerów. Co do kupców wszakże, to jeden znajomy trafnie uważa, że większość ich niepowodzeń nie dotyczy właściwie finansów, lecz wywiązywania się z umów, co poczytują za niewygodę. Przeto zawodzi etyka. Stawia to sprawę w gorszym świetle, a ponadto podsuwa myśl, że może nawet pozostałym trzem nie uda się uratować dusz – może są gorszymi bankrutami aniżeli ci, którzy ponoszą fiasko uczciwie. Bankructwo, wypieranie się zawartych umów to dla znacznej części naszej cywilizacji jakby sprężynujące deski do odbijania się i fikania koziołków. Człowiek niecywilizowany natomiast stoi na niesprężynującej desce głodu. Co roku jednak świetnie się udaje

<sup>41</sup> „Albowiem ubogich zawsze macie wśród siebie...” Nowy Testament, Ewangelia św. Mateusza 26, 11.

<sup>42</sup> „Dlaczego to używacie między sobą przysłowia o ziemi izraelskiej: Ojcowie jedli kwaśne grona, a zęby synów ścierpły?” Stary Testament, Księga Ezekiela 18, 2.

<sup>43</sup> *Ibid.* 18, 3-4

pokaz bydła okręgu Middlesex<sup>44</sup>, jak gdyby wszystkie tryby maszyny rolniczej pracowały gładko.

Farmer usiłuje rozwiązać problem środków egzystencji za pomocą formuły bardziej skomplikowanej aniżeli sam problem. Aby zdobyć sznurowadła, spekuluje stadami bydła. Zastawił niezwykle precyzyjną pułapkę na wygodę i niezależność i odwróciwszy się, sam wsadził w nią nogę. Oto przyczyna jego biedy. Otoczeni luksusem, wszyscy jesteśmy biedni z podobnych względów, gdyż nie mamy dostępu do tysiąca przyjemności życia człowieka niecywilizowanego. Tak oto śpiewa Chapman:

Niewierne społeczeństwo ludzi – dla doczesnej chwały  
Całą niebiańską słodycz rozcieńcza w powietrzu.<sup>45</sup>

Gdy zaś farmer posiada dom na własność, nie znaczy to, że jest bogaty, może być wręcz biedniejszy, gdyż to dom nim zawładnął. W moim pojęciu Momus wysunął przeciwko domowi zbudowanemu przez Minerwę poważne zastrzeżenie, a mianowicie, że „domu nie można przesuwac i w ten sposób unikać złego sąsiedztwa”. Nadal to aktualny zarzut, nasze domy bowiem są taką nieporęczną nieruchomością, że często stajemy się bardziej ich więźniami aniżeli mieszkańcami. A złe sąsiedztwo, którego powinniśmy unikać, to nasze własne niegodziwe „ja”. Znam w naszym mieście przynajmniej dwie rodziny, które niemal przez całe pokolenie myślą o sprzedaży domów na rogatkach i przeprowadzeniu się do miasteczka, ale nie potrafią tego zrealizować. Tylko śmierć ich wyzwoli.

Załóżmy, że większość ludzi stać na posiadanie na własność albo też wynajmowanie nowoczesnego domu ze wszystkimi udogodnieniami. Aliści cywilizacja, wciąż wpływając na udoskonalenie naszych domów, nie wzbogaca w równym stopniu ludzi, ich przyszłych mieszkańców. Stworzyła pałace, ale trudniej było stworzyć panów i królów. Jeżeli zaś dążenia człowieka cywilizowanego nie przewyższają dążeń niecywilizowanego, jeżeli większą część życia zajęty jest po prostu zaspokajaniem podstawowych potrzeb życiowych i wygod, dlaczegóż miałyby mieszkać lepiej aniżeli człowiek dziki?

W jakim jednak położeniu znajduje się mniejszość? Zapewne okaże się, że tak jak jedni zewnętrznymi warunkami życia przewyższają człowieka niecywilizowanego, tak drudzy mu nie dorównują. Zbytek jednej klasy równoważony jest ubóstwem drugiej. Po jednej stronie stoi pałac, po przeciwnej zaś przytułek i „milcząca biedota”<sup>46</sup>. Niezliczone zastępy budowniczych piramid, czyli grobowców faraonów, żywiły się czosnkiem<sup>47</sup>. Ich wcale nie pochowano przyzwoicie. Murarz, który zdobi gzymsem pałac, wieczorem wraca do chałupy chyba gorszej od wigwamu. W błędzie jest ten, kto przypuszcza, że w kraju, gdzie istnienie cywilizacji jest bezsporne, ogromna liczba mieszkańców nie żyje w takich warunkach jak ludzie niecywilizowani. Mam tu na myśli zniżonych do tych warunków biednych, a nie bogatych. Aby się o tym przekonać, nie musiałem zaglądać dalej aniżeli do chat ciągnących się szeregami wzdłuż torów kolejowych – tej naszej ostatniej zdobyczy cywilizacji.

<sup>44</sup> Thoreau regularnie chodził oglądać ów pokaz bydła, który odbywał się corocznie w Concord.

<sup>45</sup> George Chapman, *Caesar and Pompey*. Przełożył Piotr Sommer.

<sup>46</sup> Dla tzw. milczącej biedoty, to znaczy ludzi ukrywających swe ubóstwo, aby uniknąć przytułku, utworzono w XVIII w. fundusz pomocy.

<sup>47</sup> Wzmiankę o tym można znaleźć u Herodota.

Podczas codziennych spacerów widuję tam istoty ludzkie żyjące w chlewach. Przez całą zimę trzymają drzwi otwarte, aby wpuścić więcej światła, nigdzie nie widać wymarzonego stosu chrustu, a postacie zarówno ludzi młodych, jak i starych skurczyły się od nawyku kulenia się z zimna i biedy. Przestali się rozwijać fizycznie i umysłowo. Słusznym jest niewątpliwie obserwowanie klasy, której praca tworzy dzieła odróżniające nasze pokolenie od innych. Podobne jest położenie robotników wszelkich kategorii w Anglii, będącej wielkim przytułkiem świata. Mógłbym również zwrócić uwagę czytelników na Irlandię – jedną z białych czy też, zdaniem innych, świątłych plam na mapie. Porównajmy warunki bytowe Irlandczyków z warunkami Indian północnoamerykańskich, mieszkańców wysp Mórz Południowych czy innego plemienia ludzi niecywilizowanych, zanim zwyrodniały one na skutek kontaktu z człowiekiem cywilizowanym. Nie mam jednak wątpliwości, że władcy owych ludów nie ustępują mądrością przeciętnym władcom cywilizowanym. Ich kondycja dowodzi tylko, jakie plugastwo może współistnieć z cywilizacją. Chyba nie potrzebuję się odwoływać tutaj do robotników w naszych stanach południowych, którzy produkują podstawowe artykuły naszego eksportu, sami zaś są podstawowym produktem Południa. Ograniczam się do tych, którzy znajdują się w pośrednim położeniu. Większość ludzi chyba nigdy się nie zastanawiała, czym jest dom. Są oni naprawdę biedni przez całe życie – choć to całkiem zbyteczne – uważają bowiem, że muszą mieć taki dom, jakiego właścicielem jest ich sąsiad. To tak, jak gdyby ktoś miał nosić płaszcz skrojony wyłącznie według gustu krawca albo ktoś inny stopniowo przestając nosić kapelusz z palmowych liści czy czapkę ze skóry świstaka, narzekał na ciężkie czasy, bo nie stać go na kupno korony! Można wymyślić i zbudować dom jeszcze wygodniejszy i bardziej luksusowy aniżeli owe zamieszkiwane przez nas obecnie, wszyscy jednak przyznaliby, że człowiek nie będzie w stanie za niego zapłacić. Czy zawsze mamy się zastanawiać, jak zdobyć więcej, zamiast cieszyć się niekiedy tym, co posiadamy, nawet jeśli posiadamy mniej? Czy szanowany obywatel powinien ciągnąć za sobą młodego człowieka i nauczać go, że musi się przed śmiercią zaopatrzyć w pewną liczbę par zbędnych kaloszy, parasoli i pustych pokoi gościnnych dla pustych gości? Dlaczego nasze meble nie miałyby być tak proste jak u Arabów czy Indian? Rozmyślając o dobroczyńcach gatunku ludzkiego, których apoteozujemy jako niebiańskich posłańców, nosicieli boskich darów dla człowieka, nie widzę w swojej wyobraźni orszaku u ich stóp ani wozu pełnego nowoczesnych mebli. A może powinienem dopuścić – czyż nie byłoby to szczególne ustępstwo? – aby meble nasze były bardziej wymyślne od mebli Araba, proporcjonalnie do naszej moralnej i intelektualnej wyższości nad nim! Teraz zaśmiecają one i beczeszczą nasze domy. Dobra gospodyni powinna wyrzucić je na śmietnik i w ten sposób dopełnić swych porannych zajęć. Poranne obowiązki! Na rumieniec Aurory i muzykę Memnona, co na tym świecie powinno należeć do porannych obowiązków człowieka? Na biurku moim leżały trzy kawałki wapienia, ale przeraziłem się stwierdziwszy, że trzeba je codziennie odkurzać, podczas gdy w mojej głowie nadal zalegał kurz. Zatem z obrzydzeniem wyrzuciłem kamienie przez okno. Jakże zatem mógłbym posiadać umeblowany dom? Wolę siedzieć na powietrzu, albowiem na trawie kurz się nie gromadzi, chyba że człowiek wykopał w ziemi dziurę].

To żądni luksusu i rozwiąźli ustalają modę, którą stado tak pilnie naśladowuje. Podróżnik zatrzymujący się w tak zwanych najlepszych domach odkrywa to szybko, albowiem właściciele gospod biorą go za Sardanapala. Gdyby poddał się ich czułościom, niebawem zupełnie by zniewieściał. Myślę, że w wagonie kolejowym skłonni jesteźmy wydać więcej na luksus aniżeli na bezpieczeństwo i wygodę, a powinno być odwrotnie. Jeżeli tego nie dopniemy, następstwa mogą być groźne, wagon bowiem stanie się nie lepszy od współczesnego salonu – z dywanami, otomanami, markizami i tysiącem innych orientalnych drobiazgow, które wieziemy ze sobą na Zachód<sup>48</sup>. Wynaleziono je dla dam z haremów i zniewieściałych mieszkańców Imperium Niebieskiego, Jonathan<sup>49</sup> wszelako powinien się wstydzić nawet znajomości ich nazw. Wolałby siedzieć na dyni, którą sam miałby do dyspozycji, aniżeli tłoczyć się na aksamitnej poduszce. Wolałby podróżować po ziemi wozem ciągnionym przez woły i mieć pełną swobodę poruszania się, aniżeli jechać do nieba w luksusowym wagonie pociągu wycieczkowego i przez całą drogę wdychać malarię.

Prostota i nagość ludzkiego życia w wiekach prymitywnych miały dla człowieka przynajmniej tę korzyść, że pozwalały mu być gościem Natury. Gdy się wzmocnił jadłem i snem, znów ruszał w dalszą drogę. Koczował na tym świecie jak gdyby w namiocie i albo przedzierał się przez doliny, albo przemierzał równiny, albo wspinał się na górskie szczyty. Tymczasem jednak ludzie stali się narzędziami swoich narzędzi. Człowiek, który bez skrupowania zrywał owoce, kiedy dokuczał mu głód, został farmerem; ten zaś, kto szukał schronienia pod drzewem – zarządcą. Nie rozbijamy już więcej obozowisk na noc, osiedliźmy bowiem na ziemi i zapomnieliźmy o niebie. Przyjęliźmy chrześcijaństwo tylko jako udoskonaloną metodę uprawy ziemi. Aby zaspokoić potrzeby życia na tym świecie, zbudowaliźmy rodzinny dom, z myślą zaś o tamtym świecie – rodzinny grób. Najwybitniejsze dzieła sztuki są wyrazem ludzkiej walki, aby zerwać z tym stanem rzeczy, w rezultacie atoli sztuka nasza pomaga zadbać o wygodę życia pośledniego rodzaju i zapomnieć o życiu wyższej miary. W naszym miasteczku naprawdę nie ma gdzie umieścić dzieła sztuki pięknej – gdyby nam także podarowano – albowiem nasze życie, nasze domy i ulice nie są dla niego właściwym postumentem. Nie ma gwoźdźcia, na którym można by powiesić obraz, ani półki na popiersie bohatera czy świętego. Kiedy rozmyślam nad tym, jak się buduje nasze domy, płaci za nie, utrzymuje i prowadzi gospodarstwo, ogarnia mnie zdziwienie, dlaczego spod nóg gościa, podziwiającego bibeloty nad kominkiem, nie ustępuje podłoga i gość nie spada do piwnicy, w której znalazłby solidny i uczciwy, aczkolwiek przyziemny grunt pod nogami. Jedyne, co mi się nasuwa, to prawda, że tak zwane bogate i wytworne życie ma wielu skwapliwie się na nie rzucających zwolenników. Nie zajmuję się już sztukami pięknymi, które są jego ozdobą, uwagę bowiem skupiam wyłącznie na skoku wykonywanym przez owych zwolenników. Pamiętam, że najdłuższym zarejestrowanym autentycznym skokiem, jakiego dokonano wyłącznie dzięki ludzkim mięśniom, był skok pewnych koczowniczych Arabów na odległość dwudziestu pięciu stóp. Pokonawszy ten odcinek człowiek niewątpli-

---

<sup>48</sup> Dziewiętnastowieczna moda na styl orientalny powstała dzięki rozwojowi handlu morskiego z Dalekim Wschodem.

<sup>49</sup> Jonathan – żartobliwa nazwa narodu amerykańskiego.

wie wraca na ziemię bez sztucznych ułatwień. Kusi mnie, aby właścicielowi owych niestosowności nad kominkiem zadać przede wszystkim następujące pytania: Kto cię popiera? Czy jesteś jednym spośród dziewięćdziesięciu siedmiu, którzy ponoszą fiasko, czy też jednym z trzech, którym się powodzi? O trzema wszy zaś odpowiedź, może zerknę na jego bibeloty i uznam, że są dekoracyjne. Stawianie sprawy na głowie nie jest ani piękne, ani pożyteczne. Zanim będziemy mogli ozdobić domy nasze pięknymi przedmiotami, należy ogołocić ściany, obnażyć nasze życie i położyć podwaliny pięknym gospodarowaniem i pięknym życiem. Właściwie zamiłowanie do piękna najbardziej kulturuje się poza domem, z dala od niego i gospodarza.

Stary Johnson opowiadając w swojej *Cudotwórczej przezorności* o pierwszych, współczesnych mu osadnikach w naszym miasteczku, zanotował: „Pierwszym ich schronieniem jest wykopana na stoku wzgórza nora w ziemi, w której przy najwyższej ścianie budują kopcające palenisko z pali i gliny. Nie wznoszą domów – pisze – dopóki ziemia nie wyda im z łaski Pana chleba na pożywienie.”<sup>50</sup> W pierwszym zaś roku plony były tak liche, że „długo musieli cieniutko kroić chleb”. W 1650 roku sekretarz prowincji Nowa Holandia pisząc po holendersku informator dla przyszłych osadników zaznacza, że „w Nowej Holandii, a szczególnie w Nowej Anglii osadnicy, którzy nie mają początkowo środków na budowę odpowiednich domostw, robią w ziemi kwadratowy wykop jak na piwnicę, sześć czy siedem stóp głęboki, a szeroki i długi wedle uznania, szalują wewnątrz drewnem wszystkie boki, drewno zaś okładają korą albo innym materiałem, aby ziemia się nie obsypywała; podłogę układają z desek, z których budują również sufit, nad nimi zaś kładą dach z bali, a te pokrywają z kolei korą albo zieloną darnią. Cała rodzina może tam sucho i ciepło przemieszkać dwa, trzy i cztery lata. Zrozumiało, że zależnie od wielkości rodziny dzieli się te wykopy na kilka pomieszczeń. W czasach pierwszych kolonii bogaci i szanowni obywatele Nowej Anglii podobnie budowali swoje pierwsze domostwa. To zaś z dwóch przyczyn: po pierwsze, aby nie tracić czasu na budowę, a w następnym roku nie odczuwać braku żywności; po drugie, aby nie zniechęcać biednych wyrobników, których zastępy przywieźli ze sobą z ojczyzny. Natomiast potem w ciągu trzech, czterech lat, kiedy ziemia zaczęła rodzić bogate plony, wznosili domy wydając na nie po kilka tysięcy.”<sup>51</sup>

Linia postępowania naszych przodków była roztropna, jak gdyby kierowali się zasadą zaspokojenia najpierw bardziej palących potrzeb. Czy teraz wszakże zaspokajają się potrzeby bardziej palące? Od nabycia któregoś z naszych luksusowych domów odstrasza mnie, powiedziałbym, fakt, że kraj nie jest jeszcze przystosowany do kultury ludzkiej i wciąż jesteśmy zmuszeni kroić sobie chleb duchowy o wiele cienie, aniżeli nasi przodkowie kroili pszeny. Nie twierdzę, że należy zarzucić wszelkie architektoniczne ozdoby nawet w najbardziej prymitywnych okresach; lecz zamiast nakrywać nasze domy czapą piękna, najpierw wyłóżmy je pięknem tam, gdzie się stykają z naszym życiem, niby pancerz skorupiaka z jego ciałem. Niestety jednak! Widziałem wnętrza kilku domów i wiem, czym je w środku wysłano.

---

<sup>50</sup> „Wonder-Working Providence of Sion’s Saviour”, *A History of New England*, Londyn 1654.

<sup>51</sup> E. B. O’Callaghan, *The Documentary History of the State New York, Albany 1851*

Kondycja nasza nie jest na tyle poślednia, abyśmy musieli dzisiaj mieszkać w jaskini albo wigwamie czy ubierać się w skóry, a zatem lepiej niewątpliwie jest uznać korzyści – drogo okupione – jakie przynoszą nam wynalazki i pracowitość rodzaju ludzkiego. W takiej jak nasza okolicy deski i gonty, wapno i cegłę łatwiej i taniej można kupić aniżeli znaleźć odpowiednie jaskinie, niespróchniałe pnie, wystarczające ilości kory czy nawet dobrze wyrobioną glinę albo płaskie kamienie. Orientuję się w tych sprawach, zaznajomiłem się bowiem z nimi zarówno od strony teoretycznej, jak i praktycznej. Mając trochę więcej rozumu moglibyśmy tak spożytkować ten budulec, że stalibyśmy się bogatsi od najbogatszych współczesnych nam ludzi, moglibyśmy uczynić naszą cywilizację błogosławieństwem. Człowiek cywilizowany to bardziej doświadczony i mądrzejszy dzikus. Aliści spieszo mi do mojego własnego eksperymentu.

Pod koniec marca 1845 roku pożyczyłem siekiere i ruszyłem do lasu nad staw Walden w pobliże miejsca, w którym chciałem postawić sobie dom. Zacząłem od ścinania młodych wysokich, strzelistych sosen wejmutek na budulec. Trudno jest zaczynać bez pożyczek, z drugiej strony jednak może to najbardziej wspaniałomyślna linia postępowania, jeśli pozwolimy znajomym mieć udział w naszym przedsięwzięciu. Właściciel siekiery wypuszczając z ręki jej stylisko oświadczył, że to jego oczko w głowie; ale zwróciłem ją bardziej naostrzoną, aniżeli otrzymałem. Pracowałem na malowniczym zboczu porośłym lasem sosnowym, u stóp którego między drzewami przezierała tafla stawu, i na małej leśnej polance, okolonej młodziutkami sosenkami i hikorami. Łód na stawie jeszcze nie stopniał, choć widać było, że miejscami woda jest już od niego wolna. Brunatnej barwy krę pokryła cienka warstewka wody. W ciągu tych dni, kiedy pracowałem w lesie, kilkakrotnie zrywała się niegroźna zadymka śnieżna, lecz przeważnie, gdy wracałem do domu po torach kolejowych, nasyp z żółtego piachu migotał w mglistym powietrzu, a szyny błyskały w wiosennym słońcu. Słyszałem skowronka i czajkę, i inne ptaki, które nadleciały, aby zacząć z nami następny rok. Nastąpiły przyjemne wiosenne dni, podczas których tajała zarówno zima niełaskawa dla ludzi<sup>52</sup>, jak i ziemia, a życie zapadłe w sen zimowy obudziło się i zaczęło przeciągać. Pewnego dnia, ponieważ zepsuła mi się siekiera, musiałem ciosać kamieniem klin z zielonej hikory, a potem zanurzyć w przerębli, aby drewno nasiąknęło wodą. Spostrzegłem wówczas w stawie prądkowanego węża. Ułożył się wygodnie na dnie i leżał przez cały czas, gdy patrzyłem na niego, czyli ponad kwadrans; może po prostu jeszcze niezupełnie się obudził ze snu zimowego. Pomyślałem sobie, że z podobnych przyczyn kondycja człowieka pozostaje niska i prymitywna, gdyby jednak ludzie poczuli wpływ budzącej ich wiosny wiosen, z konieczności podnieśliby się i pędzili życie na wyższą, nieziemską miarę. Uprzednio w mroźne poranki również widywałem węże, ale na ścieżce. Ciała ich częściowo zdrętwiały i sztywne czekały, by odtajać w słońcu. Pierwszego kwietnia padał deszcz i lód stopniał. Wstał niezwykle mglisty ranek, słyszałem, jak zabłąkana gęś krąży nad stawem, gęgając, jakby się zgubiła, co przypominało chichot ducha mgły.

---

<sup>52</sup> Dziś zimy naszej zmienia się niełaska na złote lato przy Yorka słońcu.” William Szekspir, *Ryszard III*, akt I, sc. 1. Przełożył Leon Ulrich.



Przez kilka dni ścinałem i ciosałem drewno na budulec, a także słupki i krokwie – wszystko to ową wąską siekierą. Nie myślałem o niczym szczególnym ani mądrym. Podśpiewywałem sobie:

Powiada się, że człek zna rzeczy mnogość wielką;  
Lecz spójrz! Umknęły, jakby urosły im skrzydełka,  
Nauka i sztuka wszelka, Nawet guzik i pętelka;  
Ten wiejący wiatr  
To wszystko, co człek zna.<sup>53</sup>

Największe bale ociosałem na sześć cali grubości, większość słupków tylko z dwóch stron, krokwie zaś i deski na podłogę po jednej, a na reszcie pozostawiałem korę, były więc proste jak heblowane, a dużo mocniejsze. Wszystkie krokwie łączyłem na czopy albo wpusty, do tego bowiem czasu pożyczyłem więcej narzędzi. Nie spędzałem w lesie całego dnia, lecz mimo to brałem sobie zwykle na obiad chleb z masłem i w południe czytałem gazetę, w którą był zawinięty. Siadywałem wśród zielonych, świeżo odrąbanych sosnowych gałęzi i ponieważ ręce umazane miałem grubo żywicą, chleb przechodził nieco jej zapachem. Zanim zabrałem się do tej roboty, nie darzyłem sosen wrogimi uczuciami, wręcz przeciwnie – byłem nastawiony do nich niezwykle przyjaźnie, a mimo to poznawszy je lepiej, ściałem kilka. Niekiedy odgłosy siekiery zwabiały wędrowca po leśnych ostępach i gawędziliśmy sobie przyjemnie nad sosnowymi drzazgami.

W połowie kwietnia, starając się pracować bez pośpiechu i jak najlepiej, postawiłem zrąb domu. Przedtem kupiłem – aby rozebrać ją na deski – chałupę Jamesa Collinsa, Irlandczyka, który pracował przy kolei fitchburskiej. Chałupa owa uchodziła za niezwykle ładną. Skoro przyszedłem ją obejrzeć, Jamesa nie zastałem. Obszedłem chałupę wkoło. Pani C. krzątała się wewnątrz, ale nie zauważyła mnie, gdyż okno było głęboko i wysoko osadzone. Wymiary chałupa miała niepokazane, dach spiczasty. Niewiele więcej dało się obejrzeć – do wysokości pięciu stóp ściany zasypane były stertami śmieci niby kompostem. Dach zachował się w najlepszym stanie, choć w wielu miejscach się wypaczył i rozsechł od słońca. Progu nie widziałem, kury zatem bez trudu spacerowały tam i z powrotem pod deskami drzwi. W końcu pani C. wyszła poprosić mnie, abym obejrzał chałupę od środka. Podchodząc bliżej zagnałem kury do sionki. Wnętrze było ciemne, klepisko w większej części przerażająco wilgotne, lepkie, malaryczne, tylko tu i tam położono deski, które nie przetrzymałyby już przesunięcia w inne miejsce. Zapaliła lampę, aby pokazać mi sufit i ściany, a także drewnianą podłogę pod łóżkiem, ostrzegając, żebym nie wpadł nogą do piwnicy, która wyglądała jak coś w rodzaju dołu na śmieci, głębokości dwóch stóp. Jak się wyraziła, deski były w dobrym stanie, „nad głową i naokoło, a także w obramowaniach okna”, które składało się do niedawna z dwóch kwadratów, ostatnio jednak wybiegł przez nie kot. Poza tym zobaczyłem: piec, łóżko, zydel, dziecko, które się tam urodziło, jedwabną parasolkę, lustro w złoconej ramie i nowiutki młynek do kawy przymocowany gwoździem do surowej dębowej deski. Wkrótce dobiliśmy interesu, jako że James właśnie zdążył wrócić. Ja miałem zapłacić tego samego wieczoru cztery dolary i dwadzieścia pięć centów, on – zwol-

---

<sup>53</sup> Wiersz H. D. Thoreau. Przełożył Piotr Sommer.

nić dom o piątej rano następnego dnia nie próbując sprzedać go nikomu innemu. O szóstej obejmę chałupę w posiadanie. Dobrze będzie, powiedział, jeśli zjawię się tam wcześniej, aby uprzedzić pewne niewyjaśnione i całkowicie nie usprawiedliwione żądania z tytułu renty dzierżawnej i opału. Zapewniał mnie, że to jedyne zadłużenie. A zatem o szóstej minąłem go wraz z rodziną na drodze. W jednym dużym tobole pomieścili wszystko: łóżko, młynek do kawy, lustro, kury. Wszystko prócz kotki, która uciekła do lasu i zdziczała. Potem dowiedziałem się, że wpadła w sidła na świstaki i tak wreszcie zakończyła swój żywot.

Chałupę rozebrałem tego samego ranka. Powyciągałem gwoździe i w małych partiach przewiozłem deski furą nad staw, gdzie rozłożyłem je na trawie, aby wybielały i – wypaczone – rozprostowały się w słońcu. Gdy jechałem leśną drogą, pozdrowił mnie raz czy dwa razy drozd, który też wstał wcześniej. Chłopak imieniem Patryk zdradził mi w zaufaniu, że kiedy ja przewoziłem deski, pewien sąsiad, Irlandczyk nazwiskiem Seeley, pochował sobie po kieszeniach względnie proste i nadające się do użytku gwoździe, skoble i kołki. Skoro zawróciłem, aby z nim pogawędzić, podniósł obojętnie wzrok, jak gdyby zajęty był dotychczas niewinnym rozmyśleniem, i spojrzawszy na resztki śladów po chałupie stwierdził, że robota skończona. Występował tam w roli widza i dzięki jego obecności to pozornie nic nie znaczące wydarzenie nabrało rangi wypadków związanych z uniesieniem wizerunków bogów trojańskich<sup>54</sup>.

Piwnicę wykopałem w południowym zboczu wzgórza, gdzie świstak wygrzebał sobie przedtem norę. Wykopałem jamę sześć stóp szerokości na siedem głębokości, przebijając się przez korzenie sumaka i jeżyn, przez najniższe warstwy roślinności, aż dotarłem do drobniutkiego piasku, w którym kartofle nie zmarzną w najsroższą zimę. Ściany oszalowałem, zamiast wykleść kamieniami, ale ponieważ słońce nigdy tam nie docierało, piasek się nie osypywał. Kosztowało mnie to wszystko dwie godziny pracy. Wdzieranie się w głąb ziemi dawało mi szczególną przyjemność, albowiem na wszystkich niemal szerokościach geograficznych ludzie kopią w ziemi szukając stałej temperatury. Pod najwspanialszym domem w mieście nadal można znaleźć piwnicę, gdzie mieszkańcy jak w dawnych czasach trzymają zapasy, i jeszcze długo po zniknięciu budowli naziemnej potomkowie mogą oglądać jej wklęsły fragment w ziemi. Dom to nadal tylko coś w rodzaju ganku przed wejściem do nory.

Ostatecznie na początku maja postawiłem zrąb domu z pomocą kilku przyjaciół<sup>55</sup>. Skorzostałem z niej raczej ze względu na okazję rozwinięcia dobrosąsiedzkich stosunków aniżeli konieczność. Miałem takich pomocników, jacy nigdy jeszcze nikogo nie zaszczyli. Ufam, że przeznaczeniem ich jest pomoc przy stawianiu bardziej wzniosłych budowli. Zamieszkałem w domu czwartego lipca, gdy tylko skończyłem stawiać ściany i położyłem dach. Deski starannie połączyłem na zakładkę, toteż zupełnie nie przepuszczały deszczu. Przedtem wszelako w jednym rogu domu wmurowałem fundament pod komin, zużywając na to dwie fury kamieni, które własnoręcznie przydzwigałem ze stawu pod górę. Komin

---

<sup>54</sup> Aluzja do ucieczki Eneasza z płonącej Troi. Uniósł on na barkach starego ojca i wizerunki bogów ojczystych. Po latach tułaczki Eneasza osiadł w Lacjum jako protoplasta Rzymian.

<sup>55</sup> Byli wśród nich: Emerson, Alcott i W. E. Channing.

zbudowałem jesienią, gdy już się uporałem z okopywaniem ogródka, lecz jeszcze zanim palenie ognia stało się koniecznością ze względu na chłody. Tymczasem gotowałem na ziemi przed domem, wcześniej rano, który to sposób nadal uważam za wygodniejszy i przyjemniejszy pod wieloma względami niż ten na ogół praktykowany. Jeżeli zrywała się burza, zanim upiekłem chleb, nad ogniskiem stawiałem daszek z desek i siadałem tam, aby pilnować bochenka. Spędzałem w ten sposób kilka przyjemnych godzin. W owym czasie, kiedy to ręce miewałem bardzo zajęte, czytałem mało, lecz najmniejsze, walające się tu i ówdzie świstki papieru dostarczały mi tyle samo rozrywki – a właściwie spełniały tę samą rolę – co *Iliada*.

Warto byłoby budować jeszcze bardziej rozważnie, niż ja to robiłem, zastanowić się, co w naturze człowieka każe mu mieć na przykład drzwi, okno, piwnicę czy strych, i być może nigdy nie wznosić budowli naziemnej, dopóki nie znajdziemy ku temu lepszych powodów aniżeli zaspokojenie naszych doczesnych potrzeb. W budowaniu domu przez człowieka jest element tego samego przystosowania co w budowie gniazda przez ptaka. Gdyby ludzie wznosili swoje domostwa własnymi rękami i zaopatrywali siebie i swoje rodziny w żywność w sposób dostatecznie prosty i uczciwy, kto wie, może wówczas rozwinęłyby się powszechnie zdolności poetyckie, tak jak u ptaków umiłowanie śpiewu. Lecz niestety! W istocie rzeczy lubimy kacyki i kukułki, które składają jaja w gniazdach zbudowanych przez inne ptaki i nie rozweselają wędrowca ani szczebiotem, ani niemelodyjnym kukanie. Czy na zawsze mamy zrezygnować na rzecz cieśli z przyjemności budowania? Jakie znaczenie dla masy ludzkiej ma architektura? Nigdy podczas swoich wędrówek nie natrafiłem na człowieka zajętego czymś tak prostym i naturalnym jak budowa własnego domu. Należymy do społeczeństwa. Człowiek jest w jednej dziewiątej części nie tylko krawcem, lecz także kaznodzieją, kupcem i rolnikiem<sup>56</sup>. Temu podziałowi pracy nie ma końca! I jakiemu celowi on ostatecznie służy? Ktoś inny może niewątpliwie myśleć za mnie, niezbyt to jednak pożądane, albowiem ja przestanę prawdopodobnie myśleć za siebie.

Słusznie, są w naszym kraju tak zwani architekci. Słyszałem przynajmniej o jednym owładniętym myślą, ażeby w zdobnictwie architektonicznym znalazło się miejsce na ziarno prawdy i nieodzowność, czyli na piękno. Myśl owa była dla niego jakby objawieniem. Słuszna to i wspaniała idea, lecz niewiele wykracza poza zwykły dyletantyzm. Cóż to za sentymentalny reformator architektury – zaczął od gzymsu, zamiast od fundamentu. Wystarczyło teraz tylko dopilnować, aby w ozdobach znalazło się ziarno prawdy, aby każdy cukierek miał w środku migdał albo kminek – choć ja utrzymuję, że migdały najzdrowsze są bez cukru – zamiast zadbać o to, aby mieszkaniac mogli budować naprawdę wewnątrz i na zewnątrz, zdobnictwo zaś pozostawić w spokoju. Czy ktoś rozsądny uważał kiedykolwiek, że ozdoby to coś zewnętrznego, co dotyczy tylko powłoki? Że żółwia obdarzono plamistą skorupą, a mięczaka masą perłową z podobnych względów, z jakich mieszkańcom Broadwayu podarowano kościół Świętej Trójcy? Człowiek ma tyle wspólnego ze stylem architektonicznym swojego domu, ile żółw z kształtem swojej skorupy. Żołnierz zaś nie musi być do tego stopnia próżny, aby koniecznie malować

---

<sup>56</sup> Odniesienie do angielskiego przysłowia: „Jeden człowiek to dziewięciu krawców.”

sztandar dokładnie na kolor swojego męstwa. Wróg i tak to sprawdzi. Skoro nadejdzie czas próby, żołnierz może zblednąć. Wydawało mi się, że ów architekt pochyla się nad gzymsem i bojaźliwie szepce swoją półprawdę do prymitywnych mieszkańców, którzy w rzeczywistości znają ją lepiej niż on. Wiem, że owo widoczne teraz dla oka piękno architektury kiełkowało stopniowo od wewnątrz i rozkrzewiało się na zewnątrz; wyrosło z potrzeb i charakteru mieszkańca, który jest jedynym budowniczym – z jakiejś nie wyrachowanej prawdomówności i szlachetności nie wpływających z chęci stwarzania pozorów. Aby mogło jeszcze powstać jakiegokolwiek piękno tego rodzaju, źródłem jego musi być pozbawione wyrachowania piękno życia. Najbardziej interesujące domostwa w naszym kraju – o czym wie malarz – są na ogół najmniej pretensjonalnymi, skromnymi chatami z bali, domkami ludzi biednych. Malownicze stają się dzięki życiu mieszkańców, dla których stanowią skorupę, a nie tylko dzięki szczególnej fasadzie. Równie interesujący będzie domek obywatela na przedmieściu, gdy życie jego stanie się tak proste i przyjemne, że miło będzie o nim pomyśleć, i gdy również w stylu domostwa wykluczy się elementy obliczone na efekt. Znaczna część ozdób architektonicznych jest dosłownie pusta i wystarczyłby poryw wrześniego wiatru, aby obdrzeć z nich zasadniczą konstrukcję – niby z cudzych piórek – nie przynosząc jej samej uszczerbku. Ci, którzy nie przechowują w piwnicach oliwek i win, mogą się obyć bez architektury. Co by to było, gdyby tyle samo szumu robiono wokół ozdobnego stylu w literaturze i gdyby architekci naszych biblii tyle samo czasu poświęcali ozdobnikom, co architekci kościołów gzymsum? Tak też tworzy się literaturę piękną, sztuki piękne oraz ich profesorów. Doprawdy, dużo to obchodzi człowieka, w jaki sposób nachyla się nad nim czy pod nim kilka desek i na jaki kolor pomalowaną ma skrzynię. Obchodziłoby do pewnego stopnia, gdyby to istotnie on układał te deski i malował. Gdy jednak duch opuści mieszkańca, co oznacza potrzebę zbitcia własnej trumny i łączy się z architekturą grobu, „cieśla” to nikt inny, jak „wytwórca trumien”. Pewien człowiek pograżony w rozpacz czy też obojętnie nastawiony do życia radzi, co następuje: „Należy się schylić, wziąć garść ziemi i pomalować swój dom na jej kolor.” Czy ma na myśli ostatnie, wąskie i podłużne schronienie? Zagrajmy w orła i reszkę również o to. Jakież on musi mieć nadmiar wolnego czasu! Po co brać ową garść piachu? Lepiej pomalować dom na kolor własnej twarzy – niech się za nas rumieni i blednie. Oto przedsięwzięcie, którego celem jest ulepszenie stylu architektonicznego chat! Ozdoby będą wieszają, gdy dostanę je od kogoś w podarunku.

Przed zimą zbudowałem komin i pokryłem szalunkiem boczne ściany domu, chociaż i bez tego były szczelne. Gonty miałem niezbyt dobrego gatunku, jeszcze mokre, ciąłem je bowiem z pierwszej deski pnia; brzegi musiałem wygładzić heblem.

W ten sposób zbudowałem dom nie mniej szczelny od otynkowanego, o wymiarach dziesięć stóp szerokości na piętnaście długości i osiem wysokości. Miał strych, spiżarnię, wielkie okna wychodzące na dwie strony, dwie pary drzwi zapadowych i jedną zwykłych w kącie izby, a naprzeciwko kominek z cegieł. Dokładne koszty budowy domu liczone według normalnych cen za materiały, wyłączając robociznę, jako że sam wszystko wykonałem, podaję poniżej. Sporządziłem szczegółowy wykaz, albowiem niewielu ludzi potrafi powie-

dzieć, ile dokładnie kosztują ich domy, a jeszcze bardziej nieliczni – jeśli w ogóle tacy się znajdują – mogą podać ceny poszczególnych materiałów, składające się na koszt ogólny.

Deski \$ 8,03 ½ w większości deski szalunkowe.

Szalunki (z odpadów) na dach i boki 4,00

Listwy 1,25

Dwa używane oszklone okna 2,43

Tysiąc sztuk starej cegły 4,00

Dwie beczki wapna 2,40 Było tego za dużo jak na moje potrzeby.

Włosie 0,31

Żelazne drzwiczki do pieca 0,15

Gwoździe 3,90

Zawiasy i śruby 0,14

Klamka 0,10

Kreda 0,01

Transport 1,40 Sporą część przeniosłem na własnych plecach.

Razem \$ 28,12½

Lista powyższa obejmuje wszystkie materiały prócz drewna, kamieni i piasku, które samowolnie sobie przydzieliłem. Obok domu zbudowałem małą drewnianą szopę, głównie ze zbywającego mi materiału.

Jeśli sprawi mi to tyle samo przyjemności, ile budowa tego domu, i nie będzie drożej kosztowało, zamierzam zbudować sobie inny – który wspaniałością i luksusem przewyższy wszystkie budynki przy głównej ulicy w Concord.

Dzięki swojemu przedsięwzięciu przekonałem się, że student poszukujący schronienia może znaleźć je do końca życia za cenę nie przewyższającą czynszu, który teraz regularnie płaci. Jeżeli czymś zdaniem przechwalam się więcej, niżby wypadało, mam na swoje usprawiedliwienie fakt, że robię to bardziej dla dobra ludzkości aniżeli swojego własnego, a moje niedociągnięcia i niekonsekwencje nie mają żadnego wpływu na prawidłowość tego wywodu. Nie zważając na wiele czczych frazesów i obłudnych stwierdzeń – jednym słowem na plewy, które trudno mi oddzielić od ziarna pszenicy i za które przepraszam, tak jak każdy człowiek – będę oddychał swobodnie i używał sobie, albowiem to taka ulga zarówno pod względem moralnym, jak i fizycznym. Ponadto zaś postanowiłem, że przez pokorę nie zostanę adwokatem diabła. Spróbuję szepnąć słówko za prawdą. Na uczelni w Cambridge<sup>57</sup> sam czynsz za studencki pokój, tylko troszkę większy od mojego, wynosi trzydzieści dolarów rocznie, chociaż korporacja skorzystała z możliwości zbudowania trzydziestu dwóch pokoi jeden obok drugiego i pokrycia ich wspólnym dachem. Najemca cierpi niewygody, musi znosić licznych hałaśliwych sąsiadów, a może jeszcze mieszkać na czwartym piętrze. Nie mogę się oprzeć myśli, że gdybyśmy byli doprawdy mądrzejsi, nie tylko nie trzeba by pobierać tylu nauk – albowiem ludzie już by się ich wyuczyli – lecz także w znacznym stopniu ograniczyłyby to finansowe koszty kształcenia. Owe wygody, które są

---

<sup>57</sup> Mowa o Uniwersytecie Harvarda.

udziałem studenta w Cambridge czy gdzie indziej, kosztują go albo tę drugą stronę dzie-  
sięć razy tyle wyrzeczeń, ile kosztowałyby przy umiejętnym pokierowaniu sprawą przez  
obie strony. Rzeczy pochłaniające najwięcej pieniędzy nie są wcale najbardziej studentowi  
potrzebne. Na przykład ważną pozycję w rachunku semestralnym stanowi chesne, podczas  
gdy za daleko bardziej wartościową edukację, która związana jest z przebywaniem wśród  
najbardziej uczonych i kulturalnych współczesnych, nie pobiera się żadnej opłaty. Uczel-  
nię zakłada się na ogół po to, aby najpierw zebrać opłaty w dolarach i centach, potem  
zaś przestrzegając ślepo i przesadnie zasad podziału pracy, zasad dopuszczalnych jedynie  
przy rozważnym ich stosowaniu, znaleźć sobie współnika chętnego do spekulacji, który  
zatrudni Irlandczyków albo innych robotników, aby położyli fundamenty, podczas gdy  
przyszli studenci podobno się przygotowują do wstąpienia na uczelnię. Za niedopatrzenie  
nadzorcy muszą płacić następne pokolenia. Myślę, że byłoby lepiej, gdyby nawet studenci  
albo ci, którzy pragną na tym skorzystać, sami położyli fundamenty. Student, który zdo-  
bywa sobie upragniony wolny czas i odosobnienie dzięki systematycznemu uchylaniu się  
od wszelkiej koniecznej dla człowieka pracy, zyskuje tylko marne i jałowe godziny, albo-  
wiem okrada siebie z doświadczenia i przeżyć – jedynych czynników zapładniających czas  
wolny. „Czyżby – ktoś zauważy – autor miał na myśli, że studenci powinni zacząć pracować  
fizycznie, zamiast umysłowo?” Nie, nie to dokładnie mam na myśli, ale coś bardzo podob-  
nego. Uważam, że nie powinni bawić się w życie ani tylko studiować go na koszt społecz-  
ności utrzymującej ich podczas owej kosztownej zabawy, lecz przeżywać życie sumiennie  
od początku do końca. Jak lepiej mogliby się młodzi nauczyć żyć, jeśli nie przez bezpo-  
średnie doświadczenie życia? Zdaje mi się, że gimnastykowałyby to ich umysły w takim  
samym stopniu jak matematyka. Gdybym chciał, aby chłopiec dowiedział się na przykład  
czegoś z dziedziny nauk humanistycznych i ścisłych, nie stosowałbym powszechnego spo-  
sobu, który polega po prostu na wysłaniu go w pobliże jakiegoś profesora, gdzie wykłada  
się i praktykuje wszystko prócz sztuki życia; gdzie bada się świat za pomocą teleskopu i  
mikroskopu, a nigdy gołym okiem; gdzie studiuje się chemię, ale nikt nie naucza, jak robi  
się chleb, albo mechanikę, lecz nikt nie tłumaczy, kiedy maszyny są rentowne; gdzie od-  
krywa się nowe satelity Neptuna<sup>58</sup>, lecz nie wykrywa się drzazgi w oku studenta<sup>59</sup> ani nie  
wyjaśnia mu, jakiego pielgrzyma on sam jest satelitą; gdzie mogą pożreć go kłębiące się  
wokół potwory, podczas gdy on przypatruje się poczworam w kropli octu. Który chłopiec  
zrobiłby przez miesiąc większe postępy: czy ten, który wykonałby scyzoryk z wydobytej  
przez siebie i wytopionej rudy, przeczytawszy na ten temat, ile byłoby konieczne, czy ten,  
który w tym samym czasie uczęszczałby na wykłady o metalurgii w instytucie, a scyzoryk  
firmy Rogersa otrzymałby od ojca? Który by się prędzej skaleczył w palec?... W dniu ukoń-  
czenia uczelni dowiedziałem się ku swojemu zdumieniu, że studiowałem nawigację!<sup>60</sup> Cóż,  
gdybym raz wypłynął z portu, lepiej poznałbym tę dziedzinę. Nawet biednego studenta na-

<sup>58</sup> William Lassell odkrył w 1846 r. satelitę Neptuna zaledwie w kilka miesięcy po ustaleniu położenia samej planety.

<sup>59</sup> „Czemu to widzisz drzazgę w oku swego brata, a belki we własnym nie dostrzegasz?” Nowy Testament, Ewangelia św. Mateusza 7, 3.

<sup>60</sup> Lista przedmiotów nauczanych na Uniwersytecie Harvarda w 1830 r. obejmowała nawigację.

ucza się w naszych uczelniach tylko ekonomii politycznej, podczas gdy na dobrą sprawę wcale mu się nie wykłada owej ekonomiki życia jednoznacznej z filozofią. W rezultacie student czyta Adama Smitha, Ricarda i Saya, jego ojciec zaś bezpowrotnie pograża się w długach.

Podobnie jak z uczelniami sprawa ma się z tysiącem „nowoczesnych wynalazków” – są one iluzją, postęp nie zawsze jest rzeczywisty. Diabeł nieprzerwanie wymaga składania mu do ostatka procentu od jego kapitału zakładowego i licznych inwestycji związanych z postępek. Nasze wynalazki to zwykle śliczne błyskotki, które odrywają naszą uwagę od rzeczy poważnych. Są tylko ulepszonymi środkami wiodącymi do nie ulepszanego celu, celu już i tak zbyt łatwo osiągalnego; przypominają kolej do Bostonu czy Nowego Jorku. Bardzo nam spieszo skonstruować telegraf magnetyczny z Maine do Teksasu, może atoli Maine i Teksas nie mają sobie nic ważnego do przekazania. Każdy z tych stanów jest w kłopotliwym położeniu, niczym mężczyzna, który żarliwie pragnął, aby przedstawiono go wybitnej kobiecie cierpiącej na głuchotę<sup>61</sup>, lecz gdy uczyniono zadość jego życzeniu i podano mu do ręki drugi koniec trąbki, którą ona przyłożyła sobie do ucha, nie miał nic do powiedzenia. Jak gdyby głównym celem było mówienie szybko, zamiast sensownie. Pragniemy przekopać tunel pod Atlantykiem i przybliżyć Stary Świat do Nowego o kilka tygodni podróży, niewykluczone jednak, że pierwsza wiadomość, która dotrze do wielkiego złaknionego nowin amerykańskiego ucha, będzie dotyczyła kokluszki księżniczki Adelajdy<sup>62</sup>. Mimo wszystko człowiek na koniu galopującym milę na minutę nie bywa posłańcem w najważniejszych sprawach; nie jest ewangelistą ani nie przybywa żywiąc się chlebem świętojańskim i miodem dzikich pszczół<sup>63</sup>. Wątpię, czy Fruwający Childers<sup>64</sup> zaniósł kiedykolwiek garniec zboża do młyna.

Pewien znajomy tak do mnie powiedział: „Dziwię się, że nie odkładasz pieniędzy. Tak lubisz podróżować, mógłbyś wsiąść w kolej, pojechać dziś do Fitchburga i obejrzeć sobie okolicę,” Ależ jestem na to za mądry. Przekonałem się, że najszybciej podróżuje się pieszo. Toteż odpowiadam mu: „Może spróbujemy, kto prędzej tam dotrze. Odległość wynosi trzydzieści mil, opłata dziewięćdziesiąt centów. To prawie dzienny zarobek. Pamiętam, kiedy robotnicy przy budowie tej właśnie kolei zarabiali sześćdziesiąt centów dziennie. A zatem ruszam teraz pieszo i dotrę tam przed nocą; podróżowałem już w tym tempie przez tydzień.

Tymczasem ty zarobisz na swój bilet i przyjedziesz tam jutro albo może dziś wieczorem, jeśli będziesz miał szczęście w porę dostać pracę. Zamiast iść do Fitchburga, będziesz pracował tu przez większą część dnia. Myślę, że gdyby kolej okrążyła świat, wciąż bym cię wyprzedzał. A co się tyczy oglądania okolicy i przeżywania tej podróży, twoją znajomość sprawy będę musiał całkowicie zignorować.”

---

<sup>61</sup> Mowa o Harriet Martineau, która odbyła słynną wówczas podróż po Ameryce w 1834-35 r.

<sup>62</sup> Księżniczka Adelajda (1792-1849) – córka Jerzego, księcia Saxe-Meiningen, żona Wilhelma IV, króla Anglii.

<sup>63</sup> Mowa o Janie Chrzcicielu. Nowy Testament, Ewangelia św. Mateusza 3, 4.

<sup>64</sup> Fruwający Childers (Flying Childers) – uważany za najszybszego na świecie konia wyścigowego. Wyhodowany (1715-41) w Anglii w stadninie księcia Devonshire.

Takie oto jest uniwersalne prawo, którego żaden człowiek nigdy nie przechytrzy, i w takim samym stopniu dotyczy ono kolei. Zbudowanie jej dookoła świata i udostępnienie całej ludzkości równoważne jest ze zrównaniem całej powierzchni planety. Ludzie mają niejasne przeczucie, że jeśli przez dostatecznie długi czas będą realizować to wspólne przedsięwzięcie kapitału akcyjnego i łopat, wszyscy w końcu dokądś zajadą, nadzwyczaj szybko i za darmo. Wszelako gdy tłum popędzi na dworzec, a konduktor wśród kłębow dymu i buchającej pary zawoła: „Proszę wsiadać!”, okaże się, że jedzie tylko kilka osób, reszta zaś została przejechana. I będzie się wówczas opowiadało, zresztą zgodnie z prawdą, o „straszonym wypadku”. Pojadą niewątpliwie w końcu ci, którzy zarobią na bilet, jeśli założyć, że żyć będą dostatecznie długo i nie stracą do tego czasu żywotności i chęci podróżowania. Ów problem spędzania najlepszego okresu życia na zarabianiu pieniędzy po to, aby cieszyć się wątpliwą swobodą w okresie życia najmniej wartościowym, przypomina mi o przypadku pewnego Anglika, który pojechał do Indii, aby najpierw zbić majątek, potem zaś móc wrócić do Anglii i wieść życie poety<sup>65</sup>. Powinien był od razu zamieszkać na mansardzie. „Cóż znowu! – wykrzyknie milion Irlandczyków wyskakując z niezliczonych lichych chałup w całym kraju – czy to niedobrze, że zbudowaliśmy kolej?” „Dobrze – odpowiem – nawet zupełnie nieźle, moglibyście się przecież spisać gorzej. Lecz ponieważ jesteście moimi braćmi, przeto żałuję, że nie mogliście spędzić życia lepiej, aniżeli kopiąc w tym piachu.”

Zanim skończyłem budowę domu, musiałem zarobić dziesięć czy dwanaście dolarów w jakiś uczciwy i przyjemny sposób, aby podolać nieoczekiwanym wydatkom. Obsadziłem przeto w pobliżu około dwóch i pół akra lekkiej, piaszczystej ziemi głównie fasolą, lecz częściowo również kartoflami, kukurydzą, groszkiem i rzepą. Cała działka obejmuje jedenaście akrów w przeważającej części porośniętych sosnami i hikorami. Sprzedano ją w poprzednim sezonie za cenę ośmiu dolarów i ośmiu centów za akr. Pewien farmer twierdził, iż działka „do niczego się nie nadaje, chyba że do hodowania piskliwych wiewiórek”. Nie nawoziłem jej, jako że nie byłem właścicielem, tylko samowolnym osadnikiem. Poza tym nie myślałem, że kiedyś zajmę się uprawą tyłu roślin. Nie okopałem też od razu całej działki. Orząc wykarczowałem kilka sągów pniaków, których przez długi czas używałem na opał. Parę wysepek czarnoziemiu zostawiłem w stanie dziewiczym; latem łatwo było poznać je dzięki bujniejszej aniżeli gdzie indziej fasoli. Ushłe i w przeważającej części nie nadające się do sprzedaży drzewa za domem oraz gałęzie wyrzucone przez wodę na brzeg stawu uzupełniły moje zapasy opału. Wprawdzie zmuszony byłem wynająć konia i oracza, lecz pług prowadziłem sam. W pierwszym sezonie wydatki na narzędzia rolnicze, ziarno, robociznę i tym podobne wyniosły 14 dol. i 72½ centa. Zboże siewne dostałem w prezencie. Nigdy nie kosztuje ono tyle, aby warto o tym wspominać, chyba że zasieje się więcej, niż potrzeba. Zebrałem dwanaście buszli fasoli, osiemnaście buszli kartofli, a ponadto trochę groszku i kukurydzy cukrowej. Żółtą kukurydzą i rzepą zasadziłem za późno i nie wyrosły. Cały dochód z mojej farmy wyniósł:

\$23,44 Minus wydatki 14,72½

---

<sup>65</sup> Mowa o autentycznej osobie, baronie Robercie Clive, który jako brytyjski urzędnik państwowy spędził wiele lat w Indiach oddając się także pisaniu poezji.



Pozostaje 8,71 ½

Należy jeszcze uwzględnić spożyte produkty i zapasy, jakie miałem w chwili robienia tych rachunków, a obie pozycje wynosiły razem 4,50 dolara, co jest kwotą bez trudu równoważącą ową odrobinę trawy, której nie wysiałem. Mogę powiedzieć, że w owym roku farma moja spisała się lepiej aniżeli inne gospodarstwa, albowiem zaspokajała zarówno potrzeby ludzkiej duszy, jak i dogadzała chęciom cieszenia się dniem dzisiejszym.

W roku następnym powiodło mi się jeszcze lepiej, gdyż skopałem cały potrzebny mi teren, około jednej trzeciej akra. Na podstawie doświadczeń obu lat nauczyłem się – absolutnie wolny od wpływów najśłynniejszych dzieł o rolnictwie, a wśród nich pracy Arthura Younga<sup>66</sup> – że jeśli człowiek będzie żył w prostocie i żywił się tylko zasianymi przez siebie płodami, nie uprawiając więcej, aniżeli zje, i nie wymieniając plonów na niewystarczającą liczbę artykułów bardziej luksusowych i drogich, wystarczy mu pod uprawę ledwie kilka prętów ziemi. Przekonałem się również, że taniej wyniesie skopanie tego gruntu łopatą aniżeli użycie wołów i pługa, zmienianie od czasu do czasu działki na nową aniżeli nawożenie wciąż tej samej. Wszystkie niezbędne prace rolnicze mógłby człowiek wykonywać od niechcenia latem, w wolnych godzinach, i nie być przywiązany do wołu, konia, krowy czy świni, tak jak to jest teraz regułą. Pragnę wypowiadać się w tej kwestii bezstronnie, nie jako ktoś zainteresowany powodzeniem czy klęską obecnego porządku gospodarczego i społecznego. Zachowałem większą niezależność aniżeli jakikolwiek inny farmer w Concord, nie zapuściłem bowiem korzeni w domu czy na farmie, w każdej chwili atoli mogłem iść za wewnętrznym impulsem, który na ogół otwiera przede mną krętą drogę. Nadto będąc teraz zamożniejszym od nich, utrzymałbym się niemal na takim samym poziomie dostatku, gdyby spalił się mój dom albo plony nie obrodziły.

W moim przekonaniu nie tyle ludzie są pasterzami stad, ile stada pasterzami ludzi, o ileż bowiem większą wolnością się cieszą. Ludzie i woły wymieniają się pracą, lecz jeśli weźmiemy pod uwagę tylko pracę konieczną, okaże się, że przewaga leży po stronie wołów, ponieważ ich farma jest o tyle większa. Część swojego przydziału pracy wymiennej człowiek wykonuje w sześć tygodni sianokosów i trudno robotę tę nazwać dziecinną igraszką. Z pewnością żaden naród, który zachowywałby prostotę we wszystkich dziedzinach życia, to znaczy żaden naród filozofów nie popełniłby tak wielkiego błędu jak wykorzystywanie zwierząt do pracy. Aliści nigdy nie istniał i prawdopodobnie nie będzie istniał naród filozofów. Nie jestem też przekonany, czy byłoby wskazane, żeby takież powstał. Nigdy nie ujeździłbym konia ani byka i nie wziąłbym ich na utrzymanie w zamian za pracę, jaką mogłyby za mnie wykonać, obawiałbym się bowiem, że zostanę po prostu kawalerzystą albo pastuchem. Jeżeli zaś odnosimy wrażenie, że odmiennie postępowanie przynosi społeczeństwu zyski, czy mamy pewność, iż zysk jednego człowieka nie może być stratą dla drugiego, iż chłopiec stajenny ma takie same podstawy do zadowolenia jak jego pan? Załóżmy wszelako, że bez pomocy zwierząt nie wykonano by jakichś robót publicznych, i pozwólmy człowiekowi dzielić chwałę za ich wykonanie razem z wołem i koniem. Czy w tym wypadku należy rozumieć, że człowiek nie mógłby dokonać dzieł bardziej siebie godnych? Kiedy lu-

---

<sup>66</sup> Arthur Young (1741-1820) – angielski specjalista w dziedzinie rolnictwa i gospodarki rolnej.

dzie zabierają się przy pomocy zwierząt do pracy nie tyle niepotrzebnej czy artystycznej, ile zbytkowej i błahej, nieuniknione, że niektórzy wykonują całą pracę wymiennie razem z wołami, czyli innymi słowy, stają się niewolnikami silniejszych<sup>67</sup>. Tedy człowiek nie tylko pracuje na zwierzę, które ma we wnętrzu, lecz – pozwolę sobie posłużyć się tu symbolem – również na zwierzę żyjące poza nim. Wprawdzie posiadamy wiele zasobnych domów z cegły i kamienia, lecz powodzenie farmera ciągle mierzy się stopniem, w jakim stodoła zamienia dom. Nasze miasteczko wzniosło podobno największe w tych stronach domy dla wołów, krów i koni, a budynki użyteczności publicznej również nie są gorsze od budowanych w innych rejonach kraju. Zbudowano jednak w naszym okręgu bardzo niewiele sal, w których można by praktykować wolność wyznania i wolność słowa. Narody powinny się starać utrwalac pamięć po sobie nie architekturą, lecz siłą abstrakcyjnego myślenia. O ileż godniejsza podziwu jest *Bhagawadgita*<sup>68</sup> aniżeli wszystkie ruiny Wschodu! Wieże i świątynie to książęce luksusy. Prosty i niezależny umysł nie mozoli się z rozkazu księcia. Geniusz nie chodzi w orszaku za żadnym monarchą ani nie jest materialnym srebrem, złotem czy marmurem, chyba że w znikomym stopniu. Zastanawiam się, w jakim celu tłucze się tyle kamienia? Gdy byłem w Arkadii, w ogóle nie widziałem tam kamienia tłuczonego. Narody opętała obłąkańcza ambicja uwiecznienia pamięci po sobie w ogromnych ilościach tłuczonego kamienia. Jak wyglądałby świat, gdyby tyle samo trudu zadawano sobie, aby wygładzić i wyszlifować obyczaje? Trochę zdrowego rozsądku pozostawiłoby bardziej niezatarte wrażenie aniżeli pomnik sięgający księżycy. Wolę oglądać kamienie na właściwym ich miejscu. Majestat Teb był wulgarny. Sensowniejszy jest kamienny mur długości jednego pręta, otaczający pole uczciwego człowieka, aniżeli Teby, do których prowadziło sto bram<sup>69</sup>, albowiem miasto owo bardziej się oddaliło od prawdziwego celu życia. Barbarzyńska i pogańska religia oraz cywilizacja – w przeciwieństwie do tego, co nazywamy chrześcijaństwem – wnoszą wspaniałe świątynie. Większość kamienia tłuczonego przez naród zużywa się dopiero na budowę jego grobu. A zatem naród sam grzebie się za życia. Co się tyczy piramid, to najbardziej niezwykły w nich jest fakt, że znalazło się tylu dostatecznie poniżonych ludzi, iż spędzili życie na budowaniu grobowca dla jakiegoś ambitnego cymbała, którego byłoby mądrzej i bardziej po ludzku utopić w Nilu, a ciało rzucić psom na pożarcie. Może mógłbym znaleźć dla nich i dla niego jakieś usprawiedliwienie, lecz nie mam na to czasu. Co się tyczy religii budowniczych i ich umiłowania sztuki, to na całym świecie są podobne, niezależnie od tego, czy wznoszonym budynkiem jest egipska świątynia, czy Bank Stanów Zjednoczonych. Kosztuje więcej, aniżeli jest wart. Zasadniczy motyw budowniczych to próżność oraz miłość do czosnku i chleba z masłem. Obiecujący młody architekt, pan Balcom, za pomocą twardego ołówka i linijki rysuje na okładce swojego Witruwiusza projekt i dzieło owo sprzedaje firmie kamieniarskiej Dobson & Sons. Trzydzieści

---

<sup>67</sup> „– Rozumiem cię – odezwał się – chociaż wasze Jahusy szczycą się, że nieco mają rozumu, jednak Houyhnhnmowie zawsze tak tu, jak wszędy są panami.” Jonathan Swift, *Podróże Guliwera*, przekład Anonima, PIW 1987.

<sup>68</sup> Tekst zawarty w *Mahabharacie*.

<sup>69</sup> Mowa o starożytnym mieście w Górnym Egipcie, nazywanym przez Homera „stubramnym”.

stuleci zaczyna się temu przyglądać z wyższością<sup>70</sup>, natomiast ludzkość – z podziwem. A propos strzelistych wież i pomników. Otóż żył sobie kiedyś w naszym mieście pewien zwariowany jegomość, który postanowił przekopać tunel do Chin. Jak twierdził, dotarł już tak daleko, że słyszał brzęk chińskich garnków i kociołków. Nie myślę jednak zbaczać z drogi, aby podziwiać wykopaną przez niego dziurę. Wielu ludzi interesuje się tym, kto zbudował pomniki Zachodu i Wschodu. Co do mnie, to chciałbym wiedzieć, kto w owych czasach ich nie budował, kto był ponad te błahostki. Wracam wszakże do swoich obliczeń.

Pomiarami gruntów, ciesielką i innymi dorywczymi robotami w miasteczku – mam tyle zawodów, ile palców – zarobiłem tymczasem 13 dolarów i 34 centy. Podaję poniżej, ile kosztowała mnie żywność przez osiem miesięcy – mieszkałem tam ponad dwa lata – to jest, od czwartego lipca do pierwszego marca, czyli do czasu, kiedy robiłem te rachunki, nie licząc kartofli, odrobiny zielonej kukurydzy i odrobiny groszku, które sam wyhodowałem, a także wartości tego, co stało w spiżarni ostatniego z liczonych dni.

Ryż \$ 1,73½

Melasa 1,73 Najtańszy odpowiednik sacharyny

Mąka żytnia 1,04¼

Mąka kukurydziana 0,99¼ Tańsza niż żytnia.

Wieprzowina 0,22

Mąka pszenna 0,88 Kosztuje więcej niż kukurydziana, zarówno pieniędzy, jak i zachodu.

Cukier 0,80

Słonina 0,65

Jabłka 0,25

Suszone jabłka 0,22

Pataty 0,10

Jedna dynia 0,06

Jeden arbuz 0,02

Sól 0,03

To, co zjadłem, kosztowało razem 8 dolarów i 74 centy. Nie ujawniałbym jednak tak bezwstydnie szczegółów swojej winy, gdybym nie wiedział, że większość moich czytelników zawiniła nie mniej ode mnie i że ich postęпки podsumowane i wydrukowane wcale by nie wypadły lepiej. W następnym roku łowiłem czasami miskę ryb na obiad, a raz posunąłem się tak daleko, że zarznąłem świstaka, który splądrował moje poletko fasoli – zainaugurowałem wędrówkę jego duszy, jak określiliby to jakiś Tatar – i pożarłem go, po części z ciekawości. Wprawdzie dostarczył mi chwilowego zadowolenia, mimo iż smakował piżmem, lecz się przekonałem, że na dłuższą metę nie byłby najlepszym pożywieniem, nawet gdybym go kupił u miejscowego rzeźnika.

Chociaż niewiele można wywnioskować z poniższego zestawienia, wydatki na odzież i jakieś drobne potrzeby w ciągu tego samego okresu wynosiły 8 dolarów i 40¼ centa, w tym na naftę i sprzęt domowy 2 dolary. Teraz podsumuję wszystkie rozchody, prócz kwot

---

<sup>70</sup> Thoreau prawdopodobnie się pomylił, albowiem Napoleon patrząc na piramidy miał zwrócić się do swojego wojska słowami: „Ze szczytu tych budowli patrzy na was czterdzieści stuleci.”

przeznaczonych na pranie i naprawy, których przeważnie sam nie robiłem i rachunków za nie jeszcze nie otrzymałem. Wszystkie te wydatki – a może nawet i więcej, niż poniosłem – są konieczne w tej stronie świata.

Dom \$ 28,12½

Farma (koszt roczny) 14,72½

Żywność przez osiem miesięcy 8,74

Odzież itp. przez osiem miesięcy 8,40¾

Nafta itp. przez osiem miesięcy 2,00

Razem 61,99¾

Teraz zwracam się do tych czytelników, którzy muszą zapewnić sobie utrzymanie. Ja niezbędne kwoty zdobyłem w następujący sposób:

Za sprzedaż produktów rolnych 23,44

Wynagrodzenie za dorywczą pracę 13,34

Razem \$ 36,78

Suma powyższa odjęta od sumy wydatków zamyka się bilansem 25 dolarów 21¾ centa z jednej strony – równa się on niemal mojemu kapitałowi wyjściowemu i kosztom, które miałem ponieść – a z drugiej strony, poza zdobytym w ten sposób wolnym czasem, niezależnością i zdrowiem, zapewnia mi wygodny dom, dopóki będę miał ochotę z niego korzystać.

Wprawdzie obliczenia te mogą się wydawać przypadkowe i stąd mało pouczające, lecz przedstawiają pewien obraz całości i dlatego mają swoją wartość. W zestawieniach rachunkowych uwzględniłem wszystkie otrzymane prezenty. Z powyższych obliczeń wynika, że sama żywność kosztowała mnie w gotówce około dwudziestu siedmiu centów na tydzień. Przez prawie dwa lata jadałem mąkę zbożową i kukurydzianą bez drożdży, ziemniaki, ryż, troszkę solonej wieprzowiny, melasę i sól, piłem wodę. Powinienem był żywić się głównie ryżem, ja, który tak kocham hinduską filozofię. Aby stawić czoło zastrzeżeniom niektórych niepoprawnych zrzęd, mogę również zaznaczyć, że jeśli zdarzało mi się jeść obiad poza domem – jak to przedtem miałem w zwyczaju i ufam, że w przyszłości też będę miał ku temu okazję – to zawsze psuło mi to domowe szyki. Natomiast jeżeli jądanie obiadu poza domem jest stałym elementem prowadzenia gospodarstwa, przy sporządzaniu podobnego zestawienia nie wlicza się wydatków na obiad.

Na podstawie dwuletniego doświadczenia przekonałem się, że nawet na tej szerokości geograficznej zdobycie niezbędnej żywności kosztuje nieprawdopodobnie mało trudu, że człowiek może żyć zachowując tak nieskomplikowaną dietę jak zwierzęta i nadal być zdrowy i silny. Gotowałem przyzwoity obiad, przyzwoity pod wieloma względami, składał się na niego po prostu talerz portulaki (*Portulaca oleracea*<sup>71</sup>) gotowanej z dodatkiem soli, a zrywanej na poletku kukurydzy. Podaję nazwę łacińską ze względu na aromat naszej nazwy popularnej. I powiedzcie, czego więcej może pragnąć rozsądny człowiek w spokojnych czasach, w zwykłe popołudnie, nad dostatni garnek zielonej kukurydzy cukrowej ugotowanej z dodatkiem soli? Nawet drobne urozmaicenia, na które sobie pozwalałem, były ustępstwem na rzecz wymagań apetytu, a nie zdrowia. Wszelako bywa, że ludzie często cierpią

---

<sup>71</sup> Nazwa wymyślona przez Thoreau jako gra słów z ang. *cerulean* – modry.

wielki głód nie z biedy, lecz z braku luksusów. Znam pewną poczciwą kobiecinę, której zdaniem syn jej postradał życie, dlatego że pijał tylko wodę.

Jak czytelnik zapewne spostrzegł, traktuję temat raczej z ekonomicznego aniżeli dietetycznego punktu widzenia, nie odważy się zatem poddać mojej wstrzeźliwości próbie, chyba że ma dobrze zaopatrzoną spiżarnię.

Chleb początkowo wypiekałem z czystej mąki kukurydzianej z dodatkiem soli. Były to prawdziwe placki kukurydziane, które piekłem nad ogniem na dworze, układając na kamieniach albo na żerdzi odpiłowanej podczas budowy domu. Zwykle jednak podwędzał się w dymie i pachniał sosną. Próbowalem też mąki żytniej, aż w końcu się przekonałem, że mieszanka żytniej z kukurydzianą jest najodpowiedniejsza i najsmaczniejsza. Gdy było zimno, niemałą radość sprawiało mi upieczenie kolejno kilku małych bochenków z tej właśnie mieszanki. Pilnowałem ich i przekładałem uważnie, niby Egipcjanin jaja, z których mają się wykluc pisklęta. Owe bochenki wydawały mi się prawdziwymi owocami zbożowymi dojrzałymi dzięki mnie, a zmysły moje nęciły zapachem podobnym do woni innych szlachetnych owoców, trzymanyh w domu, jak długo się dało, owiniętych w szmaty. Pojąłem starą, acz konieczną do zgłębienia sztukę wypieku chleba, korzystając z konsultacji znanych w tej materii autorytetów, z którymi cofnąłem się do prymitywnych czasów i pierwszego wynalazku chleba praśnego, kiedy to po ekstrawagancjach wyczynianych z orzechami i mięsem ludzie po raz pierwszy mieli okazję poznać delikatny i subtelny smak nowego pożywienia. A posuwając się stopniowo dalej w swych studiach, zapoznałem się ze zjawiskiem przypadkowego skwaśnienia ciasta, które, jak się przypuszcza, nauczyło ludzi procesu fermentacji, potem zaś z różnymi innymi fermentacjami, aż w końcu dotarłem do „dobrego, wonnego, zdrowego chleba” – podstawy życia. Drożdże są przez wielu uważane za duszę chleba, za ów *spiritus* wypełniający jego tkankę komórkową, i przechowywane z takim pietyzmem, jak westalki strzegą ognia. Przypuszczam, że jakaś cenna butelka drożdży przywieziona na „Mayflower” załatwiła Ameryce sprawę, jej zawartość zaś wciąż wzrasta, pęcznieje i rozprzestrzenia się zalewając cały kraj chlebowym ciastem – ten zaczyn dostarczano mi regularnie i sumiennie z miasteczka, aż w końcu pewnego ranka zapomniałem o regułach i zalałem drożdże wrzątkiem. Dzięki temu zdarzeniu odkryłem, że nawet one nie są niezbędne – odkryć swoich bowiem nie dokonywałem w procesie syntezy, lecz analizy – i odtąd, zadowolony, pomijałem je w recepturze, chociaż większość gospodyń żarliwie mnie przekonywała, że bez drożdży nie upiecze się jak należy dobrego chleba, a starsi ludzie przepowiadali mi osłabienie sił witalnych. Moim zdaniem atoli nie są one podstawowym składnikiem i po roku obywania się bez nich nadal należę do świata żywych. Cieszę się również, że uniknąłem banalnego noszenia w kieszeni butelki, która by od czasu do czasu zbijała mnie z tropu strzelając korkiem i opróżniając się z całej zawartości. Prościej i bardziej chwalebnie jest tego uniknąć. Człowiek to zwierzę, które łatwiej aniżeli jakiegokolwiek inne stworzenie potrafi się adaptować do wszystkich klimatów i warunków. Nie dodawałem też do chleba ani sody, ani innych kwasów czy zasad. Wydawałoby się, że piekłem go według przepisu Marka Porcjusza Katona jakieś dwa stulecia przed Chrystusem. „*Panem depsticium sic facito. Manus mortariumque bene lavato. Farinam in mortarium indito, aquae pau-*

*latim addito subigitoque pulchre. Ubi bene subegeris, defingito coquitoque sub testu.*<sup>72</sup> Co można przetłumaczyć: „Oto sposób na mieszanie chleba. Należy dobrze umyć ręce i dzieżę. Wsypać mąkę do dzieży, dodawać stopniowo wodę i dokładnie wymieszać. Dobrze ugniecione ciasto uformować i piec pod pokrywą”, czyli w specjalnej formie. Ani słowa o drożdżach. Nie zawsze wszelako mógł mnie wesprzeć ten podstawowy pokarm. Pewnego razu nie widziałem chleba ponad miesiąc, a zawdzięczałem to pustej sakiewce.

Każdy mieszkaniec Nowej Anglii mógłby łatwo uprawiać wszystkie zboża chlebowe w tym kraju, poczynając od żyta, a skończywszy na kukurydzy, nie zaś polegać na odległych i ulegających wahaniom rynkach. Tacy jednak jesteśmy dalecy od prostoty i niezależności, że w concordzkich sklepach rzadko sprzedaje się świeżą i miłą mąkę, a mamaługi i kukurydzy w jeszcze pospolitszej postaci prawie w ogóle się nie używa. W większości wypadków farmer daje swojemu bydłu i wieprzom ziarno własnej produkcji, w sklepie zaś kupuje droższą mąkę, która bynajmniej nie jest zdrowsza. Zrozumiałem, że bez trudu potrafię zebrać buszel czy dwa żyta i kukurydzy, albowiem jedno wyrośnie na najuboższej glebie, a drugie nie wymaga najżyźniejszej. Potem mogę zemleć je ręcznym młynkiem i obyć się w ten sposób bez ryżu i wieprzowiny. A gdybym potrzebował trochę stężonego cukru, wiem z doświadczenia, że świetną melasę robi się albo z dyni, albo z buraków. Przekonałem się również, że aby jeszcze łatwiej ją uzyskać, należało tylko zasadzić kilka klonów, tymczasem zaś, gdy będą rosły, używać różnych roślin zastępczych, obok tych, które wymieniłem. Jak śpiewali nasi przodkowie:

...iżby dla warg słodczy trunek zrobić, do tego  
Trzeba nam dyni i pasternaku, i orzecha włoskiego.<sup>73</sup>

W końcu przysłała kolej na najbardziej niewyszukany artykuł spożywczy, czyli sól. Można ją zdobyć urządzając sobie przyjemną wycieczkę nad morze. A gdybym całkiem się bez niej obył, prawdopodobnie piłbym mniej wody. Nie słyszałem, aby Indianie kiedykolwiek zadawali sobie trud szukania soli.

Tak oto – co się tyczy żywności – potrafiłem uniknąć wszelkiego handlu i wymiany, a gdy miałem już schronienie, pozostawało tylko zdobyć odzież i opał. Spodnie utkano mi w rodzinie farmerskiej – dzięki Bogu, pozostało w człowieku jeszcze tyle cnoty; myślę bowiem, że upadek farmera, który zamienił się w robotnika, jest równie wielki i brzemienny w skutki jak upadek człowieka, który zamienił się w farmera – a opał w nowym kraju to rzecz nietrudna do zdobycia. Jeżeli chodzi o zajmowany przeze mnie teren, to gdyby nie pozwolono mi nadal na nim mieszkać, gdyż nie był moją własnością, mógłbym zakupić jeden akr za cenę sprzedaży gruntu, który uprawiałem – a mianowicie za osiem dolarów i osiem centów. Skoro jednak nie robiono mi trudności, uważałem, że zajmując go przez zasiedzenie podnoszę jego wartość.

Istnieje pewna grupa niedowiarków, którzy zadają mi niekiedy pytanie, czy moim zdaniem mogę się na przykład żywić wyłącznie pożywieniem roślinnym. Ażeby od razu przy-

<sup>72</sup> Marek Porcjusz Katon (Katon Starszy), *De agri cultura* (O gospodarstwie wiejskim).

<sup>73</sup> Fragment anonimowego wiersza z antologii J. W. Barbera (1798-1885) *Historical Collections [...] of [...] New England* (1839). Przełożył Piotr Sommer.

stąpić do sedna zagadnienia, gdyż sednem jest wiara, zwykle odpowiadam, że żywię się gwoźdźmi. Jeżeli nie potrafią tego zrozumieć, niewiele są w stanie zrozumieć z tego, co mam do powiedzenia. Ja osobiście jestem zadowolony słysząc, że z żywnością przeprowadza się różne eksperymenty. Na przykład pewien młody człowiek próbował przez dwa tygodnie jeść tylko twardą, niedojrzałą kukurydzę – ogryzał kaczany, niczym sobie tej operacji nie ułatwiając. Wiewiórcze plemię również z powodzeniem przeprowadziło podobną próbę. Rodzaj ludzki interesuje się tymi eksperymentami, chociaż mogą one zaniepokoić starszki, które niezdolne są do ich dokonywania albo posiadają jedną trzecią udziału w młynach<sup>74</sup>.

Moje umeblowanie – częściowo sam jestem jego twórcą, a reszta nie kosztowała centa ponad to, co uwzględniłem w zestawieniu rachunkowym – składało się z łóżka, stołu, biurka, trzech krzeseł, lustra wielkości trzech cali, pary szczypiec i wilka, czajnika, rondla, patelni, warząchw, miski, dwóch noży i widelców, trzech talerzy, jednej filiżanki, jednej łyżki, dzbanka na naftę, dzbanka na melasę i lampy polakierowanej czarną japońską farbą. Nikt nie jest na tyle biedny, aby musiał siedzieć na dyni. Zakrawałoby to na niezaradność. Na strychach w miasteczku leży mnóstwo takich krzeseł, jakie najbardziej lubię, i właściciele chętnie się ich pozbędą, byleby ktoś je zabrał. Meble! Cóż, dzięki Bogu mogę siedzieć i stać bez pomocy składu meblowego. Jaki człowiek prócz filozofa nie wstydziłby się patrzeć na swoje meble załadowane na wóz, który wiezie je hen w dal, wystawione na światło dzienne i widok publiczny, niby puste pudła zdobyte przez żebraka? To meble Spauldinga<sup>75</sup>. Patrząc na taką furę nigdy nie umiałbym powiedzieć, czy należy do tak zwanego człowieka bogatego, czy biednego, zawsze bowiem miało się wrażenie, że właściciela dotknęła bieda. Istotnie, im więcej mamy tego typu przedmiotów, tym jesteśmy biedniejsi. Każdy załadowany wóz wygląda tak, jak gdyby zawierał wewnątrz kilkunastu lichych chałup. Jeżeli zaś chata jest biedna, to taka fura jest dwanaście razy biedniejsza. Powiedzcie mi, po co się przeprowadzamy, jeśli nie po to, aby się pozbyć mebli, naszych *exuviae*, a w końcu zejść z tego świata i wkroczyć w tamten z nowym umeblowaniem, stare zaś pozostawić na podpałkę? To zupełnie tak samo, jakby wszystkie te manatki przypięto człowiekowi do paska i nie mógłby wędrować po tym surowym kraju, gdzie zarzucił wędkę, nie ciągnąc ich za sobą – nie ciągnąc zastawionej na siebie pułapki. Taki z niego szczywany lis, że ogon przytrzasnęły mu sidła<sup>76</sup>. Wszak piżmoszczur odgryzie sobie nogę, aby się uwolnić. Nic dziwnego, człowiek stracił swoją giętkość. Jakże często zaginają na niego parol! „Przepraszam, że ośmielałem się pytać, co pan rozumie przez zaginanie parolu?” Otóż, jeśli ktoś jest jasnowidzem, to spotka wszy drugiego człowieka, przejrzy go na wskroś, będzie wiedział, co tamten posiada i co stara się ukryć, zobaczy nawet jego kredens i wszelką przechowywaną tandetę, której tamten nie chce rzucić na podpałkę, ujrzy go jak gdyby zaprzęzonego do tych rupieci i stąpającego mozolnie naprzód. Myślę, że parol zagięto na tego człowieka, który ciągnąc swoje załadowane sanie przez pętlę

---

<sup>74</sup> Według prawa wdowie należała się jedna trzecia spadku.

<sup>75</sup> Nazwisko popularne w okolicach Concord.

<sup>76</sup> Odniesienie do bajki Ezopa *Lis bez ogona*.

albo bramę, sam się przecież przez nią, lecz sanie pozostaną. Odczuwam tylko litość, gdy słyszę, że jakiś pozornie wolny upudrowany elegancik, cały przysposobiony do drogi, nagle przypomina sobie o swoim „umeblowaniu” i zastanawia się, czy ubezpieczył je, czy nie. „Ale cóż ja pocznę z meblami?” Oto mój radosny motyl zaplątał się w pajęczynę. Nawet ci, którzy przez długi czas robią wrażenie ludzi nie posiadających mebli, po bardziej dogłębnych badaniach przyznają, że zmagazynowali kilka sztuk w czyjejś stodole. Spoglądam na dzisiejszą Anglię okiem starszego pana podróżującego z wielką ilością bagażu, z rupieciami, które gromadził przez długie lata i których nie ma odwagi spalić; wiezie zatem wielki i mały kufer, pudło z kapeluszami i toból.

Niechby pozbył się przynajmniej pierwszych trzech sztuk bagażu. Zdrowemu człowiekowi nie starczyłoby dzisiaj sił, aby dźwigać na barkach łóżko<sup>77</sup>, choremu zatem radziłbym czym prędzej rzucić je i biec przed siebie. Gdy spotkałem imigranta chwiejącego się pod ciężarem tobołu z całym dobytkiem – toból wyglądał jak olbrzymi guz wyrosły biedakowi na karku – żal mi się zrobiło człeczyny, nie dlatego że był to jego cały dobytek, ale dlatego że musiał to wszystko dźwigać. Jeżeli będę zmuszony ciągnąć zastawione na siebie sidła, dopilnuję, aby były lekkie i mnie nie uciskały. Chyba jednak najmądrzej by było nigdy nie wkładać w nie łapy.

Zaznaczam przy okazji, że nic nie wydałem na firanki, nie miałem się bowiem przed kim kryć. Zaglądały do mnie jedynie słońce i księżyc, a ich wizyty zawsze chętnie witam. Z winy księżycyca nie skwaśnieje mi mleko ani nie zepsuje się mięso, słońce zaś nie zniszczy mi mebli ani nie odbarwi dywanu; jeżeli niekiedy zbyt ciepły z niego przyjaciel, to uważam, że jednak oszczędniej jest się schować za jakąś naturalną osłonę przyrody, aniżeli choć o jeden szczegół powiększyć wyposażenie domu. Któregoś dnia pewna dama chciała mi ofiarować słomiankę, ale ponieważ nie miałem w domu wolnego miejsca ani czasu, by trzepać ją czy to w środku, czy na zewnątrz, odmówiłem przyjęcia podarku, woląc wycierać nogi o darń przed progiem. Najlepiej jest unikać początków złego.

Niedługo potem obecny byłem na licytacji majątku pewnego diakona, jako że życia nie spędził bezowocnie:

Złe czyny ludzi żyją po ich śmierci<sup>78</sup>.

Jak zwykle większość dobytku stanowiły po prostu rupiecie, które zaczęto gromadzić za życia ojca diakona. Rzeczy owe przeleżały pół wieku na strychu, bądź na innych śmietnikach, i nikt nie wziął ich na podpałkę. Zamiast rozpalić z rupieci ognisko, które by było aktem oczyszczającej je zagłady, urządzono licytację, która pomnożyła ich wartość. Zebrali się sąsiedzi, chętni popatrzeć, po czym wszystkie kupili i ostrożnie przetransportowali na swoje strychy i śmietniki, aby graty leżały tam, dopóki ich właściciele się nie ruszą ze swoich posiadłości. Gdy człowiek umiera, pada w kurzawę<sup>79</sup>.

---

<sup>77</sup> „Wstań, weź łoże swoje i idź do domu swego!”, Nowy Testament, Ewangelia św. Mateusza 9, 6.

<sup>78</sup> „Złe czyny ludzi żyją po ich śmierci, /Dobre bywają częstokroć grzebane.” William Szekspir, *Juliusz Cezar*, akt III, sc. 2. Przełożył Józef Paszkowski.

<sup>79</sup> „[Hektor] Padł w kurzawę, a boski Achilles jął chełpić się z pychą...” Homer, *Iliada*, XXII, 325, przełożył Ignacy Wieniewski, WL 1986.



Moglibyśmy chyba z korzyścią naśladować zwyczaje niektórych dzikich plemion, albowiem rok w rok zachowują one przynajmniej pozory zrzucania wyliny; pojmują potrzebę takiego obrzędu, nawet jeśli jej realizacja pozostaje w sferze symboli. Czy nie byłoby dobrze, gdybyśmy poczęli urządzać takie tańce i śpiewy na ulicach albo „Święto pierwszego owocobrania”, jakie według opisu Bartrama<sup>80</sup> mieli zwyczaj obchodzić Indianie Mucclasse? „Przed owym świętem – pisze – mieszkańcy wioski zaopatrują się w nową odzież, nowe garnki, patelnie i inne naczynia oraz meble, a wszystką znoszoną, odzież i inne zasługujące na pogardę przedmioty wyrzucają, zamiatają i porządkują domostwa, place i całą wioskę, usuwając brudy, które razem z pozostałym po zimie ziarnem i innymi starymi zapasami zrzucają na wspólny stos i podpalają. Odprawiają czary i poszczą przez trzy dni, potem zaś w całej wiosce ogień wygasa. Podczas postu powstrzymują się od zaspokajania wszelkich apetytów i namiętności. Ogłasza się powszechną amnestię, wszyscy złoczyńcy mogą powrócić do swojej wioski.

Czwartego dnia rano najwyższy kapłan pociera jednym suchym drewnkiem o drugie i znów rozpala ogień na głównym placu, skąd roznosi nowy i czysty płomień do wszystkich domostw.”<sup>81</sup>

Wówczas rozkoszując się młodą kukurydzą i owocami, tańczą i śpiewają przez trzy dni, „a przez cztery następne przyjmują wizyty i weselą się z przyjaciółmi z sąsiednich wiosek, w taki sam sposób oczyszczonymi i przygotowanymi do nowego życia”<sup>82</sup>.

Meksykanie również odprawiali podobne obrzędy oczyszczające co pięćdziesiąt dwa lata, w przekonaniu, że nadszedł czas końca świata<sup>83</sup>.

Chyba nie słyszałem o świętszym sakramencie, to jest, według definicji podawanej w słowniku, o „zewnątrznej, widocznej oznace duchowej łaski”, i nie mam wątpliwości, że inspirację do odprawiania podobnych obrzędów lud ten zaczerpnął pierwotnie z Niebios, aczkolwiek nie istnieje w jego tradycji żadna biblia, która by opisywała doznane objawienie.

Przez ponad pięć lat żyłem wyłącznie z pracy własnych rąk. Przekonałem się, że pracując około sześciu tygodni w roku<sup>84</sup>, mogłem sprostac wszystkim wydatkom. Całe zimy, jak również większość miesięcy letnich miałem wolne na lekturę. Gruntownie wypróbowałem zawód dyrektora szkoły i spostrzegłem, że moje wydatki są proporcjonalne, a raczej nieproporcjonalne do dochodów, byłem bowiem zmuszony ubierać się i szkolić, nie mówiąc już o tym, że myśleć i wierzyć. Przeto wdawszy się w ten interes zmarnowałem tylko czas. Ponieważ nie uczyłem mając na względzie dobro mych braci, lecz po prostu zarabiałem na życie, poniosłem fiasko. Próbowałem też handlu, przekonałem się jednak, że dopiero po dziesięciu latach ruszyłbym naprzód i że wówczas kroczyłbym już może do piekła. Na-

---

<sup>80</sup> William Bartram (1739-1823) – amerykański przyrodnik i podróżnik.

<sup>81</sup> William Bartram, *Travels Through North and South Carolina, Filadelfia 1791.*

<sup>82</sup> *Ibid*

<sup>83</sup> William H. Prescott, *History of the Conquest of Mexico*, Nowy Jork 1843.

<sup>84</sup> Na zakończenie studiów na Uniwersytecie Harvarda podczas uroczystości nadawania tytułów, Thoreau wygłosił przemówienie, w którym postulował, aby ludzie odwrócili narzucony przez Pismo Święte porządek i pracowali tylko jeden dzień w tygodniu, a pozostałych sześć odpoczywali.

prawdę ogarnął mnie strach, że do tego czasu zacząłbym prosperować. Gdy przedtem się rozglądałem za sposobem zarabiania na życie, mając świeżo w pamięci pewne smutne doświadczenie z dostosowywaniem się do życzeń przyjaciół, co nadwerężyło moją prostolinijność, często i poważnie myślałem o zbieraniu czarnych jagód. Bezsprzecznie mógłbym się tym zająć, małe zaś zyski by wystarczyły, albowiem moją najbardziej przydatną umiejętnością jest nie pragnąć wiele. Tak mało kapitału wymaga to zajęcie, tak niewielkiego oderwania od moich zwykłych nastrojów – myślałem niemądrze. Znajomi związali się bez wahania z handlem albo z wolnymi zawodami, ja zaś zbieranie jagód uważałem za zajęcie bardzo tamtym pokrewne. Ach, całe lato przemierzać wzgórze, schylać się tylko po napotkane na drodze jagody, a potem pozbywać się ich bez trudu; jednym słowem, być pasterzem stad Admeta!<sup>85</sup> Marzyłem także o zbieraniu ziół albo roznoszeniu – a może nawet rozwożeniu furą – wiecznie zielonych roślin tym mieszkańcom miasteczka, którzy lubią, gdy coś przypomina im las. Od tamtego czasu wszelako nauczyłem się, że handel jest przekleństwem wszystkiego, czego się ima, i nawet jeśli wymiana dotyczy niebiańskich poruczeń, również ciąży na niej klątwa rzucona na handel. Skoro pewne rzeczy wolałem od innych, a szczególnie cenilem sobie wolność, nie chciałem spędzać czasu zarabiając na wspaniałe dywany, eleganckie meble, wykwintną kuchnię czy dom w stylu greckim albo gotyckim<sup>86</sup>. Jeżeli istnieją ludzie, którym zdobycie tych rzeczy w niczym nie przeszkadza i którzy wiedzą, jak z nich korzystać, im pozostawiam pogoń za owymi bogactwami. Niektórzy są „pracowici” i kochają pracę jakby dla niej samej, a może dlatego że trzyma ich z dala od gorszej biedy. Takim ludziom nie mam w tym miejscu nic do powiedzenia. Tym zaś, którzy nie wiedzieliby, co począc z większą ilością wolnego czasu aniżeli ta, jaką rozporządzają, radziłbym pracować dwa razy tak ciężko jak obecnie – pracować, aż zapłacą za siebie i otrzymają papiery ludzi wolnych<sup>87</sup>. Sam przekonałem się, że najbardziej niezależny jest robotnik pracujący na dniówki, szczególnie w sytuacji, gdy wystarczy się najmować tylko trzydzieści, czterdzieści dni w roku, aby zarobić na utrzymanie. Praca takiego robotnika kończy się o zachodzie słońca, kiedy to, wolny, może się zająć własnymi sprawami. Natomiast jego pracodawca, którego interesy w jednym miesiącu wiążą się ściśle z następnymi miesiącami, przez okrągły rok nie ma wytchnienia.

Krótko mówiąc, doszedłem do przekonania, zarówno dzięki teorii, jak i praktyce, że jeśli chcemy żyć mądrze i skromnie, praca dająca utrzymanie na naszej ziemi nie jest trudem, lecz rozrywką. Wszak dążenia ludów żyjących w większej prostocie nadal są rozrywką tych, które stworzyły sobie bardziej sztuczne warunki. Człowiek niekoniecznie musi zarabiać w pocie czoła, chyba że poci się łatwiej.

Jeden znajomy młodzieniec, który odziedziczył kilka akrów, przyznał się, że myślałby o prowadzeniu życia podobnego do mojego, gdyby miał środki. Nie chciałbym, aby ktokolwiek przyswajał sobie mój sposób życia z jakiegokolwiek powodu, albowiem po pierwsze, zanim się tego sposobu względnie dobrze nauczy, ja już mogę sobie znaleźć inny, po dru-

---

<sup>85</sup> Admet – król Feraj w Tesalii; bóg Apollo służył u niego przez pewien czas jako niewolnik. Jest to ulubiona aluzja Thoreau, często pojawiająca się w jego pismach.

<sup>86</sup> W dziewiętnastowiecznej architekturze amerykańskiej panowała moda na te pseudostyle.

<sup>87</sup> Mowa o emigrantach udających się do Ameryki.

gie zaś, pragnę, aby na świecie było jak najwięcej ludzi o własnych dążeniach. Dlatego też chciałbym, ażeby każdy z wielkim staraniem wybierał własną drogę i szedł naprzód własnie nią, zamiast drogą ojca, matki czy sąsiada<sup>88</sup>. Niech sobie młodzieniec buduje, uprawia rośliny czy żegluj, nie należy po prostu odwozić go od robienia tego, co stanowi jego wybór. Nie jesteśmy zbyt mądrzy, umiemy tylko liczyć, podobnie jak żeglarz czy zbiegły niewolnik kierujemy się Gwiazdą Polarną<sup>89</sup>, ale wystarczy nam ona za przewodnika przez całe życie. Możemy nie przybyć do portu w przewidzianym terminie, trzymać się jednak będziemy właściwego kursu.

Niewątpliwie w tym wypadku to, co jest prawdą dla jednego, może być jeszcze bardziej niekłamana prawdą dla tysiąca, podobnie jak duży dom nie musi być proporcjonalnie droższy od małego, ponieważ jednym dachem można przykryć, jedną piwnicą podbudować i jedną ścianą przedzielić kilka mieszkań. Ja osobiście wolałem jednak mieszkać sam, aniżeli przekonać kogoś drugiego o korzyściach wspólnej ściany. Bywa zresztą i tak, że gdy współnik już da się przekonać, ściankę działową stawia się cienką ze względu na koszty, on zaś może się okazać złym sąsiadem i nie dbać ze swojej strony o jej dobry stan. Jedyna współpraca, jaka jest na ogół możliwa, okazuje się niezwykle niesprawiedliwa i powierzchowna; tak niewiele w niej prawdziwej współpracy, jak gdyby w ogóle nie istniała, jak gdyby tworzyła harmonię nieuchwytną dla ludzkich uszu. Jeżeli człowiek żywi ufność i wiarę, wszędzie będą mu one jednakowo pomagały współpracować, jeżeli brak mu ufności i wiary, nadal będzie żył jak reszta świata, niezależnie od tego, w jakim będzie przebywał towarzystwie. Współpracować to znaczy – w najbardziej wysublimowanym i najbardziej przyziemnym sensie tego słowa – prowadzić życie razem i razem na nie zarabiać. Słyszałem ostatnio, że dwóch młodzieńców planuje odbyć wspólną podróż po świecie. Jeden jest bez pieniędzy i zamierza podczas owej podróży pracować jako majtek albo oracz, drugi ma w kieszeni czeki bankowe. Łatwo się zorientować, że ci dwaj nie mogą przebywać ze sobą długo ani współpracować, ponieważ jeden w ogóle nie będzie aktywny. Rozstaną się po pierwszym istotnym dla ich przygody nieporozumieniu. Poza wszystkim zaś, jak już próbowałem wykazać, człowiek, który wędruje samotnie, może wyruszyć choćby dzisiaj, natomiast ten, kto podróżuje z towarzyszem, musi czekać, aż tamten będzie gotowy do drogi, co może długo potrwać.

Słyszałem, że mieszkańcy mojego miasteczka nazywają to wszystko, co robię, wielkim samolubstwem. Przyznaję, że dotychczas w bardzo niewielkim stopniu oddawałem się działalności filantropijnej. Uczyniłem kilka ofiar na rzecz poczucia obowiązku, a wśród nich również tę przyjemność złożyłem na jego ołtarzu. Kilku moich bliźnich użyło całej swojej sztuki, aby mnie przekonać, bym podjął się dawać utrzymanie jakiejś biednej rodziny w miasteczku. Gdybym nie miał nic do roboty – beczynnym diabeł znajduje zajęcie – mógłbym spróbować tego typu rozrywki. Wszelako potem pomyślałem, że oddam jej się i tym samym zobowiązę Niebiosa owych bliźnich, albowiem będę utrzymywał pewne biedne

---

<sup>88</sup> Istotna jest paralela między tą opowieścią a przypowieścią o zamożnym człowieku, zawartą w Nowym Testamencie, w Ewangelii św. Łukasza 18.

<sup>89</sup> Gwiazdą Polarną kierowali się zbiegli niewolnicy uciekając do Kanady.

osoby pod każdym względem tak samo dostatnio jak siebie. Aliści gdy posunąłem się tak daleko, że złożyłem owym biedakom powyższą propozycję, wszyscy jak jeden mąż woleli bez wahania pozostać ubodzy<sup>90</sup>. Biorąc pod uwagę fakt, że mężczyźni i kobiety w moim miasteczku poświęcają się dla dobra swych braci na tyle sposobów, ufam, że przynajmniej jedną osobę można oszczędzić i pozwolić jej się zająć inną, mniej humanitarną działalnością. Dobroczynność, podobnie jak każda inna działalność, wymaga talentu. Dotyczy to również czynienia dobrze, która to profesja jest w pełni obsadzona fachowcami<sup>91</sup>. Ponadto próbowałem uczciwie działać w tej dziedzinie i choć może się to wydać dziwne, zadowolony jestem, że nie odpowiada ona mojej konstytucji psychicznej. Chyba nie powinienem świadomie i celowo zaniedbywać mojego szczególnego powołania do czynienia dobrze w dziedzinie, w której społeczeństwo tego ode mnie wymaga, to jest nie wolno mi zaniechać ratowania wszechświata przed zagładą. Sądzę, że jest on zdolny przetrwać tylko dzięki podobnej, lecz nieskończonej większej nieugiętości w innych rejonach. Nie stanąłbym jednak między człowiekiem a jego umysłem. Temu, kto uprawia tę nie odpowiadającą mi działalność i tak robi, radziłbym: „Wytrwaj”, nawet jeśli świat nazwie jego postępek czynieniem zła, co jest wielce prawdopodobne.

Nie mam podstaw uważać swojego przypadku za szczególny, chociaż wielu czytelników niewątpliwie obrałoby podobną linię obrony. Twierdzę bez wahania, że co się tyczy pracy, byłbym znakomitym robotnikiem najemnym – nie ręcę za zgodność opinii sąsiadów z moją własną – lecz o tym, czy to prawda, powinien się już przekonać pracodawca. Wszystko, co dobrego czynię w zwykłym tego słowa znaczeniu, musi powstawać przy okazji, poza moim głównym zajęciem, i w większości wypadków powinno być całkowicie nie zamierzone. Na dobrą sprawę ludzie takich oto udzielają sobie wskazówek: „Zaczynaj od tego, gdzie się znajdujesz i jaki jesteś; nie stawiaj sobie za główny cel podnoszenia własnej wartości, lecz z ukartowaną serdecznością zabieraj się do czynienia dobrze.” Gdybym miał w ogóle wygłosić kazanie w tym duchu, powiedziałbym raczej: „Czyn dobrze.” Tak jakby słońce stanęło rozpaliwszy swe ognie nie jaśniej niż księżyc czy gwiazda szóstej wielkości i wędrowało tu i tam niby Robin Goodfellow<sup>92</sup>, zaglądając przez okno do każdej chaty, budząc lunatyków, psując mięso i barwiąc widzialną ciemność, zamiast ciągle podsycać swój ożywczy ogień i wzmagać dobroczynne tchnienie, a w końcu zajaśnieć tak, że nie mógłby mu spojrzeć w twarz żaden śmiertelnik, i ruszyć po orbicie – przedtem również nieustannie po niej krążąc – czyniąc dobrze, czy raczej – według bardziej ścisłej filozofii – wpływając na to, aby krążący wokół niego świat stawał się dobry. Gdy Faeton zapragnął dobroczynnością udowodnić swoje boskie pochodzenie i tylko przez jeden dzień powoził rumakami wiozącymi słońce, zboczył z utartego traktu, zbliżył się zbyt do ziemi, spałił kilka zabudowań wzdłuż niżej położonych niebiańskich ulic, przypiekł powierzchnię ziemi, wysuszył wszystkie strumienie i stworzył wielką pustynię Saharę, aż w końcu Jo-

---

<sup>90</sup> Mimo powyższych – przekornych – uwag Thoreau zrobił prawdopodobnie więcej, aby pomóc biedocie irlandzkiej w Concord, niż inni mieszkańcy miasteczka.

<sup>91</sup> Prawdopodobnie aluzja do Cottona Mathera *Essays to Do Good* (1710) lub Benjamina Franklina *Dogood Papers* (1722).

<sup>92</sup> Robin Goodfellow, zwany też Puckiem – złośliwy skrzat w angielskich wierzeniach ludowych.

wisz strącił go piorunem wprost na ziemię; wówczas słońce, pogrążone w smutku po jego śmierci, nie świeciło przez rok.

Nie ma gorszego zapachu niż woń zepsutej dobroci. Jest ludzka, jest boska, jest padliną. Gdybym był przekonany, że jakiś człowiek zmierza do mnie w świadomym celu czynienia mi dobrze, uciekłbym co sił w nogach, jak przed owym suchym, piekącym wiatrem afrykańskich pustyń, zwanym samumem, który zatyka piachem usta, nos, uszy i oczy, aż człowiek się dusi; uciekłbym ze strachu, że dostałoby mi się trochę tej dobroci, że trochę jej zjadliwości zmieszałoby się z moją krwią. Nie, w takim wypadku wołałbym w naturalny sposób cierpieć zło. Nie uważam za dobrego takiego człowieka, który nakarmi mnie, gdy będę głodny, ogrzeje, gdy zmarznę, czy wyciągnie z rynsztoka, gdybym kiedykolwiek tam się stoczył. Znajdę wodolaza nowofundlanda, który zrobiłby tyle samo. Filantropia nie jest miłością bliźniego w najszerszym tego słowa znaczeniu. Niewątpliwie Howard<sup>93</sup> był na swój sposób niezmiernie dobrym i zacnym człowiekiem, co zostało mu wynagrodzone; pozwolę sobie jednak zapytać, co znaczy dla nas stu Howardów, jeśli ich filantropia nie pomaga nam, kiedy znajdujemy się w najlepszym położeniu, kiedy jesteśmy najbardziej godni tego, aby nam pomagano? Nigdy nie słyszałem, aby na którymś ze swoich spotkań filantropi wysunęli propozycję uczynienia czegoś dobrego dla mojej osoby lub ludzi mi podobnych.

Indianie, których jezuici palili przywiązanych do słupów, paraliżowali działalność swoich katów podsuwając im nowe sposoby tortur. Byli wyżsi ponad cierpienie fizyczne, a czasem się zdarzało, że i ponad pociechy misjonarzy. Prawo odpłacania pięknym za nadobne<sup>94</sup> mniej przekonująco przemawiało do tych, którzy ze swej strony nie dbali o to, co im uczyniono, którzy kierując się nowymi wzorcami kochali swoich wrogów<sup>95</sup> i bliscy byli dobrowolnego przebaczenia im wszystkich uczynków<sup>96</sup>.

Należy się upewnić, że pomoc dawana biednym dotyczy najbardziej istotnych dla nich potrzeb, chociaż to właśnie przykład dobroczyńców stale je powiększa. Jeżeli daje się pieniądze, należy poświęcić się razem z nimi, a nie tylko z nich zrezygnować. Niekiedy popełniamy dziwne błędy. Biedny człowiek często bywa nie tyle zmarznięty i głodny, ile brudny, obdarty i prostacki. Po części to kwestia jego gustu, a nie nieszczęścia. Jeżeli otrzyma w podarku pieniądze, niewykluczone, że znowu kupi za nie łachmany. Zwykle litowałem się nad niezdarnymi irlandzkimi robotnikami, którzy rąbali lód na stawie, ubrani bowiem byli w taką nędzną i podartą odzież, podczas gdy ja dygotałem w swojej porządniejszej i trochę modniejszej garderobie. Aż pewnego dnia, kiedy szczypał ostry mróz, któryś z nich wpadł do wody i przyszedł do mnie się ogrzać. Wówczas ujrzałem, że nim stanął nagi, ściągnął trzy pary spodni i dwie pary pończoch. Wprawdzie były dość brudne i podarte, lecz mógł sobie pozwolić na odmowę przyjęcia ode mnie dodatkowej wierzchniej odzieży, skoro

---

<sup>93</sup> John Eager Howard (1752-1827) – jeden z przywódców amerykańskiej wojny o niepodległość, gubernator stanu Maryland, senator.

<sup>94</sup> „A jak chcecie, aby ludzie wam czynili, czyńcie im tak samo i wy.” Nowy Testament, Ewangelia św. Łukasza 6, 31.

<sup>95</sup> „Miłujcie nieprzyjaciół waszych.”\* Nowy Testament, Ewangelia św. Mateusza 5, 44.

<sup>96</sup> „A Jezus rzeki: «Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią».” Nowy Testament, Ewangelia św. Łukasza 23, 34,

miał tyle sztuk spodniej. Kąpiel bardzo dobrze mu zrobiła. Naówczas zacząłem się litować nad sobą samym, albowiem zrozumiałem, że bardziej pożądane by było, gdyby to względem mnie spełniono dobry uczynek i podarowano mi flanelową koszulę, zamiast jemu cały sklep z tanią odzieżą. Na tysiąc ludzi odrąbujących gałęzie zła tylko jeden karczuje korzenie. Niewykluczone, że ten, kto poświęca najwięcej czasu i pieniędzy na pomoc potrzebującemu, swoim stylem życia pogłębia ową niedolę, której na próżno usiłuje ulżyć. To pobożny hodowca niewolników, poświęcający dochód zapewniany przez co dziesiątego z nich na kupno niedzielnej wolności dla pozostałych. Niektórzy okazują dobroć biednym zatrudniając ich u siebie w kuchni. Czyż nie byłiby lepsi, gdyby to siebie tam zatrudnili? Ktoś się chwali, że wydaje dziesiątą część dochodu na dobroczynność; może powinien przeznaczać na ten cel dziewięć dziesiątych i na tym poprzestać. Społeczeństwo odzyskuje tylko dziesiątą część własności. Czy dzieje się tak wskutek szczodrości właściciela, czy niedbalstwa urzędników sprawiedliwości?

Filantropia to niemal jedyna cnota, którą ludzkość docenia dostatecznie. Ba, w dużym stopniu przecenia, a to z racji swojego samolubstwa. Pewnego słonecznego dnia u nas w Concord jakiś krzepki biedak wychwalał przede mną innego mieszkańca naszego miasteczka za jego dobroć dla ubogich. Miał na myśli siebie. Dobrych wujków i ciotki gatunku ludzkiego ceni się bardziej aniżeli jego prawdziwych duchowych ojców i matki. Razu pewnego słyszałem wykład o Anglii wygłoszony przez wykształconego i inteligentnego pastora, który wymieniwszy jej dokonania naukowe, literackie i polityczne, Szekspira, Bacona, Cromwella, Milтона, Newtona i innych, przeszedł do omawiania jej bohaterów chrześcijańskich. Jak tego wymagał jego stan, wyniósł ich wysoko ponad wszystkich innych, nazywając największymi spośród największych. A byli to; Penn, Howard i pani Fry<sup>97</sup>. Tutaj wszyscy słuchacze niewątpliwie wyczuli fałsz i nieuczciwość. Albowiem owa trójka to nie najlepsi synowie i córki Anglii, lecz chyba najwięksi jej filantropi.

Nie chcę ujmować filantropii żadnych zasług, ale po prostu domagam się sprawiedliwej oceny wszystkich tych, którzy dzięki swojemu życiu i dziełu stanowią błogosławieństwo dla ludzkości. U człowieka nie cenię sobie głównie prawości i życzliwości, albowiem są one jak gdyby łądygą i liśćmi. Rośliny, z których wysuszonej zieleni parzymy chorym ziołową herbatę, mają jedynie skromne zastosowanie i zalecają je głównie znachorzy. Potrzeba mi tego, co jest w człowieku kwiatem i owocem, pragnę czuć, że owiewa mnie jego zapach i nadaje naszemu stosunkowi smak dojrzałości. Jego dobroć nie może być wyrwykowym, sporadycznie dokonywanym uczynkiem, lecz ciągłym nadmiarem, który nic go nie kosztuje i spełniany jest nieświadomie. Tak wygląda dobroczynność skrywająca mnogość grzechów<sup>98</sup>. Filantrop zbyt często otacza ludzkość atmosferą pamięci o swoich własnych nieszczęściach, którym się nie poddał, i nazywa to współczuciem. Powinniśmy służyć sobie odwagą, a nie rozpaczą, zdrowiem, ukojeniem, a nie chorobą, i uważać, aby nikogo nią

---

<sup>97</sup> William Penn (1644-1719) – reformator religijny i społeczny, kwakier, założyciel kolonii Pensylwania i miasta Filadelfia. Elizabeth Fry (1780-1845) – angielska filantropka, kwakierka, założycielka zakonu sióstr pielęgniarek. Howard – patrz przyp. 93.

<sup>98</sup> „Nade wszystko miejcie gorliwą miłość jedni ku drugim, gdyż miłość zakrywa mnóstwo grzechów.” Nowy Testament, Pierwszy list św. Piotra 4, 8.

nie zarazić. Na jakich to południowych równinach podniósł się lament? Pod jakimi szerokościami żyją poganie, którym powinniśmy nieść światło? Kto jest tym nieujarzmionym i brutalnym człowiekiem, którego powinniśmy odkupić? Jeżeli człowiekowi coś tak bardzo dolega, że nie może spełniać swoich obowiązków, jeżeli akurat szarpią go trzewia<sup>99</sup> – tam jest bowiem siedlisko współczucia – bezzwłocznie przystępuje do reformowania... świata. Będąc sam mikrokosmosem odkrywa – i prawdziwe to odkrycie, a dokonał go właśnie on – że świat je zielone jabłka. W jego oczach sama kula ziemiska jest w gruncie rzeczy wielkim zielonym jabłkiem i istnieje ogromne, wręcz nie do wyobrażenia niebezpieczeństwo, że plemię ludzkie ją ogryzie, zanim dojrzeje. Trawiony bólem, natychmiast swoimi drakońskimi metodami filantropa dopada Eskimosów i Patagończyków, panoszy się w ludnych wioskach indiańskich i chińskich. Tak oto dzięki kilku latom działalności charytatywnej – podczas których moce wykorzystują go do swych celów – niewątpliwie leczy się z niestrawności, światu wykwitają lekkie rumieńce na jednym bądź obu policzkach, jak gdyby zaczynał dojrzewać, życie przestaje traktować filantropa surowo i znów nasz bohater czuje się przyjemnie i zdrowo na tym padole. Nigdy nie śniła mi się większa potworność aniżeli ta, którą sam popełniłem. Nigdy nie znałem i nie poznam człowieka gorszego ode mnie.

W moim pojęciu reformator nie jest taki smutny dlatego, że przygnębia go niedola towarzyszy dotkniętych nieszczęściem, lecz – gdyby nawet był najświętszym synem Bożym – dlatego, że trawi go własna dolegliwość. Niech dojdzie do równowagi, niech zawita u niego wiosna i rano wstanie nad jego łóżem, a bez wyjaśnień zapomni o swoich wielkodusznych towarzyszach. Nigdy nie żułem tytoniu i jedynie tym mogę tłumaczyć fakt, że nie występuję przeciwko jego używaniu. To kara, jaką muszą zapłacić zwolennicy tego nałogu w zreformowanej postaci, wszak żułem w życiu dość rzeczy, przeciwko którym mógłbym się wypowiadać. Jeżeli zdarzyłoby się komuś oddać takiej czy innej działalności filantropijnej, niech się stara, aby jego prawica nie wiedziała, co robi lewica<sup>100</sup>, nie warto bowiem tego wiedzieć. Niech ratuje tonącego i zawiąże mocno sznurowadła. Niech się nie śpieszy i po namyśle zabierze do jakiejś niepłatnej roboty.

Nasze obyczaje uległy zepsuciu wskutek kontaktów ze świętymi<sup>101</sup>. Nasze księgi hymnów rozbrzmiewają melodią Bożych zakazów i złorzeczeń i chwałą wiekuiste trwanie Pana. Można by rzec, że nawet prorocy i zbawcy nie tyle krzepili ludzi w nadziei, ile pocieszali zalęknionych. Nie istnieje w pismach naszych nawet najprostsza dziękczynna oda do życia ani też niezapomniana pochwała Boga. Zdrowie i powodzenie sprawiają mi przyjemność, choćby się okazało, że są udziałem osób najdalszych mi i obcych; wszelkie choroby i niepowodzenia smucą mnie i wyrządzają mi zło – choćbyśmy darzyli siebie nawzajem największym współczuciem. A zatem, jeżeli mielibyśmy odbudowywać ludzkość środkami prawdziwie indiańskimi, botanicznymi, magnetycznymi albo naturalnymi, najpierw sami powinniśmy zyskać prostotę i dobroć Natury, rozpędzić chmury wiszące nam nad czołem

---

<sup>99</sup> „...a wtedy zadrżały moje wnętrzności.” Stary Testament, Pieśń nad Pieśniami 5, 4.

<sup>100</sup> „Ale ty, gdy dajesz jałmużnę, niechaj nie wie lewica twoja, co czyni prawica twoja.” Nowy Testament, Ewangelia św. Mateusza 6, 3.

<sup>101</sup> „Złe rozmowy psują dobre obyczaje.” Nowy Testament, Pierwszy list św. Pawła do Koryntian 15, 33.

i wchłonąć w pory odrobinę życia. Nie należy pozostawać nadzorcą ubogich, trzeba dążyć do kondycji jednego z najgodniejszych ludzi na świecie.

W Gulistanie, to jest ogrodzie Różanym Saadięgo z Szyrazu czytamy:

„- Uczonemu jednego męża raz zapytano: «Między tylu znanymi drzewami, które Bóg stworzył, to wysokie, to owoc wydające, jeden tylko cyprys nazywany jest 'szlachetny' (Azad), a jednak on żadnego owocu nie daje. Co w tym za znaczenie?» A uczony na to: «Każde drzewo ma coś w podziale o naznaczonej swej porze; w jednej porze są świeże, a w innej porze zwiędłe; jeden tylko cyprys tych przygód nie doznaje, bo zawsze jest świeży, a to jest właśnie przymiotem szlachetnych.» [w. p.] Nie wiąż serca do rzeczy znikomych, bo Tygrys / Długo będzie w Bagdadzie płynął po kalifach; / Jeśli szczęście po temu, bądź jak palma szczodry, / Jeśli nie, bądź jak cyprys wyniosły, szlachetny.”<sup>102</sup>

Wiersz uzupełniający

PRETENSJE UBÓSTWA

Zaprawdę, to zbyt wiele, ty nędzo chodząca.  
Abyś dla siebie miejsca żądał pośród niebios.  
Dlatego że w twym domku skromnym albo w kadzi  
Kryje się jakaś gnuśna, pedantyczna cnota  
Pod tanim światłem słońca bądź w cieniu, u źródła,  
Wśród korzonków, warzyw; gdzie twoja prawa ręka,  
Odrywająca namiętności od myślenia,  
Na którym bujnie kwiat prawdziwych cnót zakwita,  
Hańbi naturę i paraliżuje zmysły,  
I, jak Gorgona, zmienia ludzi czynu w kamień.  
Nie trzeba nam otępiałego społeczeństwa,  
Którego się domaga twoja powściągliwość,  
Jeśli tej głupoty – wbrew naturze – co nic nie wie  
O smutku i radości; ni wymuszonego  
Biernego hartu ducha, który błędnie chwalisz  
Kosztem czynów. Ten pospolity nędzny wyląg.  
Który się sam utwierdza w swym poślednim miejscu,  
Przemienia się w twój niewolniczy umysł. Lecz my  
Wspieramy takie cnoty, co uznają nadmiar,  
Uczynki śmiałe, szczodre, wspaniałość królewską.  
Roztropność, która widzi wszystko, wielkoduszność,  
Co nie zna granic, i tę heroiczną cnotę,  
Której nie zostawiła starożytność nazwy,  
A jedynie wzory, jak Herkules, Achilles, Tezeusz.  
I do komory swej obmierzłej wróć;  
A gdy zobaczysz nowy brzask na firmamencie,  
Popróbuj tylko dociec, kim byli ci wielcy.

<sup>102</sup> przełożył W. z Bibersteina Kazimirski, Paryż 1876. Nakładem Biblioteki Kórnickiej.



T. Carew<sup>103</sup>

---

<sup>103</sup> wiersz Thomasa Carew pochodzący z maski *Coelum Britannicum*. Tytuł wiersza dodał sam Thoreau. Przełożył Piotr Sommer.

## Gdzie żyłem i po co

W pewnym okresie życia na każdą okolicę mamy zwyczaj patrzeć jak na ewentualne miejsce zamieszkania. Pod tym kątem dokonałem przeglądu gospodarstw w promieniu dwunastu mil od domu<sup>1</sup>. Wyobrażałem sobie, że kupuję je po kolei, wszystkie bowiem wystawiono na sprzedaż i wypisano ich cenę. Oglądałem obejście, smakowałem dzikie jabłka farmera, rozmawiałem z nim o uprawie roli, byłem gotów kupić farmę za podaną cenę, za wszelką cenę, w duchu oddawałem mu gospodarstwo w zastaw hipoteczny. Często nawet proponowałem cenę wyższą. Zgadzałem się na wszystko, prócz przeniesienia prawa własności. Obstawiałem przy umowie ustnej, albowiem z całego serca lubiłem rozmawiać. Uprawiałem rolę i ufam, że do pewnego stopnia zjednywałem sobie farmera, gdy zaś dostatecznie nacieszyłem się posiadaniem, zostawiałem mu dalsze prowadzenie gospodarstwa. Proceder ten upoważniał moich znajomych do uważania mnie jakby za pośrednika handlu nieruchomościami. Mógłbym zamieszkać wszędzie, gdzie tylko na chwilę usiadłem i popatrzyłem na roztaczający się przede mną krajobraz. Czymże jest dom, jak nie *sedes*, czyli siedzibą? Lepiej, jeśli to siedziba wiejska. Odkryłem wiele nadających się pod budowę domu terenów, które raczej nie ulegną szybko cywilizacji. Niektórzy by pewnie uważali, że są zbyt oddalone od wioski, podczas gdy w moim pojęciu to wioska leży zbyt daleko od nich. Nagle stwierdzałem: tam mógłbym mieszkać – i mieszkałem, przez godzinę. Przeżyłem lato i zimę, minął rok, znów borykałem się z zimą i wyglądałem wiosny. Przyszli mieszkańcy tej okolicy – niezależnie od tego, gdzie postawią swoje domy – mogą być pewni, że przewidziano tutaj ich obecność. Popołudnie wystarczyło, aby zamienić pole w sad, zagajnik i pastwisko i zdecydować, które z pięknych dębów albo sosen powinno się zostawić, aby zdobiły fronton domu, i skąd najlepiej byłoby widać wielkie smagane wiatrem drzewa. I wówczas wszystko zostawiałem odłogiem, albowiem bogactwo człowieka proporcjonalne jest do liczby rzeczy, z których potrafi zrezygnować.

Wyobraźnia zaprowadziła mnie tak daleko, że zdobyłem prawo pierwokupu kilku farm – całkowicie mi ono wystarczało – ale nigdy się nie sparzyłem na rzeczywistym ich zakupie; najbliższy byłem posiadania farmy Hollowell<sup>2</sup>. Zacząłem już sortować nasiona i zbierałem drewno na budowę taczki do ich transportu. Zanim jednak właściciel wręczył mi prawo własności, jego żona – każdy mężczyzna ma podobną żonę – zmieniła zamiar i postanowiła gospodarstwa nie sprzedawać. Naówczas farmer zaproponował mi dziesięć dolarów odstępnego. Prawdę powiedziawszy, całego majątku miałem tylko dziesięć centów i obli-

---

<sup>1</sup> Pierwszy, drugi, trzeci i piąty akapit tego rozdziału ukazały się pierwotnie pt. *A Poci Buying a Farm* (Poeta kupuje gospodarstwo) w czasopiśmie „*Sartairfs Union Magazine*” XI, 1852.

<sup>2</sup> Stara farma położona nad rzeką Sudbury, pod Concord.

czenie, czy to ja jestem tym, który ma dziesięć centów, czy tym, do którego należy farma, czy też tym, który posiada dziesięć dolarów albo i wszystko razem, przekraczało moje zdolności arytmetyczne. Wszelako kazałem mu zatrzymać owe dziesięć dolarów i farmę, i tak bowiem dostatecznie daleko się posunąłem. Gdybym zaś chciał się uznać za szczodrego, mógłbym powiedzieć, że sprzedałem mu farmę za tyle, za ile ją kupiłem, i ponadto sprezentowałem mu dziesięć dolarów, ponieważ nie był bogatym człowiekiem. Swoje dziesięć centów, nasiona i drewno na taczkę zachowałem. Jednym słowem, nie nadszarpnąwszy swojego ubóstwa, stałem się bogatym człowiekiem. Zatrzymałem sobie również krajobraz i od tego czasu co rok zbieram jego plony, radząc sobie bez taczki. Z krajobrazami rzecz ma się następująco:

Królem jestem wszystkiego wokoło,  
Prawu memu tu nikt nie zaprzeczy<sup>3</sup>.

Często widziałem, jak wracał z farmy poeta, który się nacieszył jej bogactwem, zrzedliwy zaś farmer sądził, że posiada tylko kilka dzikich jabłek. Cóż! Długoletni właściciel nie zna swojego gospodarstwa, podczas gdy poeta zawarł je w rymach, otoczył całe jakby najpiękniejszym niewidzialnym płótem. Wręcz skonfiskował je, wydoił, zebrał z niego całą śmietankę i pozostawił farmerowi tylko odciągnięte mleko.

W farmie Hollowell pociągały mnie w istocie następujące jej cechy: po pierwsze, całkowite odosobnienie, leżała bowiem około dwóch mil od miasteczka i pół mili od najbliższego sąsiada, od drogi zaś oddzielały ją rozległe pola; po drugie, granica ciągnąca się wzdłuż rzeki, która – według relacji właściciela – oparami mgły chroniła farmę przed wiosennymi przymrozkami, choć dla mnie nie miało to znaczenia; po trzecie, szary tynk, zrzucony dom i stodoła oraz walące się płoty, z powodu których między moim tam pojawieniem się a bytnością ostatniego właściciela minęło sporo czasu; po czwarte, wypróchniałe i porośnięte mchem jabłonie ogryzione przez króliki – patrząc na nie wiedziałem, jakich miałbym sąsiadów. Ponad wszystko jednak pociągały mnie wspomnienia farmy z moich pierwszych wypraw w górę rzeki, gdzie dom skrywał się za gęstą kępą czerwonych klonów, spomiędzy których dochodziło mnie szczekanie psa. Spieszyłem się, aby kupić farmę, zanim właściciel skończy usuwać kamienie, ścinać wypróchniałe jabłonie i karczować młode brzoźki, które wyrosły na pastwisku, czy krótko mówiąc, zanim wprowadzi jeszcze jakieś udogodnienia. Aby cieszyć się tymi zaletami gospodarstwa, byłem gotów je przejąć i niby Atlas dźwignąć świat na ramionach – nigdy nie słyszałem, jaką za to otrzymał rekompensatę. Dokonałbym tego wszystkiego powodowany wyłącznie perspektywą, że gdy zapłacę za farmę i zostanę jej właścicielem, będę mógł postępować według własnego uznania. Przez cały bowiem czas wiedziałem, że jeśli tylko będzie mnie stać na pozostawienie jej w spokoju, przyniesie najobfitsze, upragnione przeze mnie plony. Lecz jak już mówiłem, sprawa nie doszła do skutku.

Na temat uprawy roli na dużą skalę (zawsze uprawiałem ogródek) mogłem tylko tyle wówczas powiedzieć, że nasiona miałem przygotowane. Wielu uważa, że z biegiem lat na-

---

<sup>3</sup> William Cowper, *Samotność Aleksandra Selkirka*, przełożył Czesław Miłosz, *Poeci języka angielskiego*, PIW 1971.

siona zyskują na jakości. Nie wątpię, iż czas różnie się obchodzi z rzeczami dobrymi i złymi; gdy zatem wreszcie je zasieję, chyba będę miał mniej powodów do rozczarowań. Wszelako raz na zawsze powinienem przestrzec swoich przyjaciół: „Jak długo możecie, życie wolni i nie wiążcie się niczym. Niewielka to różnica, czy związała was farma, czy więzienie okręgowe.”

Oto, co pisze Katon Starszy, którego *De Re Rustica* zastępuje mi „Rolnika”<sup>4</sup>. Jedyne znane mi angielskie tłumaczenie tego ustępu brzmi jak czysty nonsens: „Jeżeli zamierzasz nabyć posiadłość ziemską, pamiętaj o tym, byś nie kupował zbyt skwapliwie, byś nie skąpił trudu przy jej oglądaniu i nie poprzestał na tym, że ją raz jeden wkoło obejdiesz. Jeżeli posiadłość jest istotnie dobra, ilekroć pójdiesz ją obejrzyć, tylekroć lepiej ci się spodoba.”<sup>5</sup> Myślę, że nie będę kupował zbyt skwapliwie, lecz obchodził ją wkoło, jak długo starczy mi życia, i najpierw mnie na niej pochowają, aby tym bardziej mi się ostatecznie podobała.

Niniejszy eksperyment był kolejnym tego samego rodzaju i zamierzam opisać go bardziej szczegółowo, choć doświadczenie dwóch lat skrócę dla wygody do roku<sup>6</sup>. Jak wspominałem, nie planuję napisać ody do zniechęcenia, lecz będę się przechwalał z takim zapałem jak kogut, który wskoczył rano na grzędę, aby niezwłocznie obudzić sąsiadów<sup>7</sup>.

Gdy zamieszkałem w lesie, to znaczy gdy zacząłem spędzać tam zarówno dni, jak i noce, co przypadkiem nastąpiło w Święto Niepodległości, czyli czwartego lipca 1845 roku, dom nie był jeszcze przygotowany na zimę, dawał jedynie schronienie przed deszczem, nie miał tynków ani komina, a ściany zbudowane z wyblakłych w słońcu desek pełne były szerokich szpar, przez które w nocy przenikało zimno. Dzięki pionowym, białym ciosanym krokwiakom, świeżo oheblowanym drzwiom i ościeżnicom okiennym wyglądał czysto i przewiewnie, a rankiem drewno tak nasiąkało rosą, jakby około południa miało trysnąć słodką żywicą. W mojej wyobraźni przez cały dzień opromieniała dom blada albo rumiana świetlista zorza, upodabniając go do pewnego domu na wzgórzu, w którym gościłem rok wcześniej. Była to przewiewna, nie otynkowana altanka, gdzie mógłby się schronić leśny elf albo nimfa ciągnąca długi tren szaty. Takie zaś wichry smagały moje domostwo, jakby to wichura szalała po górskich graniach, świszcząc urywanymi tonami ziemskiej muzyki na niebiańskie głosy. Wiatr poranny zawsze wieje, pieśń stworzenia nie rwie się nigdy, dociera atoli do niewielu uszu. Olimp to jedynie fasada ziemi.

Nigdy przedtem nie miałem domu, chyba że łódź albo namiot, które służyły mi za schronienie podczas letnich wycieczek; namiot nadal leży zrolowany na strychu; natomiast łódź najpierw przechodziła z rąk do rąk, potem zaś porwał ją strumień czasu. Teraz miałem bardziej solidne schronienie, robiłem zatem postępy i zapewniałem sobie większą stabilizację

---

<sup>4</sup> Mowa albo o czasopiśmie „Boston Cultivator”, albo o „New England Cultivator”

<sup>5</sup> Marek Porcjusz. Katon, *O gospodarstwie wiejskim*, przełożył Stanisław Łoś, Zakład im. Ossolińskich, Wrocław 1956.

<sup>6</sup> Dzięki temu zabiegowi *Walden* zyskuje na zwartości. Jest to ulubiony zabieg Thoreau, zastosowany także w pierwszej książce *A Week On the Concord and Merrimack Rivers*, w której doświadczenia wielu wypraw opisuje jako tygodniową wyprawę. Podobnie w *Przylądku Cod* wiele wycieczek przedstawił jako jedną.

<sup>7</sup> Jest to zdanie, które stanowi motto dzieła. Oda do zniechęcenia – odniesienie do utworu Samuela Coleridge’a pod takim tytułem.

na tym świecie. Te mizerne zręby jakby się wokół mnie wykrystalizowały i nie byłem wobec nich obojętny. Przypominały naszkicowany obrazek. Aby zaczerpnąć powietrza, nie musiałem wychodzić na dwór, atmosfera wewnątrz nie straciła bowiem swej świeżości. Siadywałem nie tyle w domu, ile tuż za drzwiami, nawet w największy deszcz. *Harivansa*<sup>8</sup> głosi: „Siedziba bez ptaków to niczym mięso bez przypraw.” Mojego domu to nie dotyczyło, albowiem nagle się okazało, że jestem sąsiadem ptaków; nie dlatego że jednego z nich uwięziłem, ale dlatego że w ich sąsiedztwie siebie zamknąłem w klatce. Zbliżyłem się nie tylko do tych, które zwykle odwiedzają ogród i sad, lecz także do bardziej dzikich i porywających leśnych śpiewaków, co to rzadko kiedy, a właściwie nigdy nie śpiewają sere-nad wieśniakom. Były to: *Hylocichla mustelina*, *Hylocichla fuscescens*, *Piranga*, wróbel polny, kozodój i wiele innych.

Dom postawiłem nad brzegiem małego stawu, około półtorej mili na południe od miasteczka Concord, jakby troszkę od niego wyżej, w głębi wielkiego lasu między naszym miasteczkiem a Lincoln, i około dwóch mil na południe od jedyne słynnego w okolicy pola – pola bitwy pod Concord<sup>9</sup>; stał jednak tak nisko, że najdalsze krańce mojego horyzontu rysował odległy o pół mili przeciwległy brzeg, porośnięty, jak cała okolica, lasem. Przez pierwszy tydzień za każdym razem, gdy spoglądałem na staw, robił na mnie wrażenie górskiego oczka, hen wysoko na zboczu, z dnem położonym daleko wyżej aniżeli lustra innych jezior.

O wschodzie słońca wyłaniał się z mgieł nocnych szat i tu i ówdzie ukazywały mi się miękkie zmarszczki albo gładź połyskliwej tafli. Mgły niby duchy pierzchały ukradkiem w pierścień lasu, jak gdyby spłoszone po tajnym nocnym konwentyklu. Potem słońce chyba dłużej niż zwykle spijało perlistą rosę z drzew i górskich zboczy.

Najcenniejszym sąsiadem był ów niewielki staw w porze łagodnych sierpniowych burz, gdy zarówno powietrze, jak i woda stały nieruchomo, lecz niebo zaciągnięte było chmurami, popołudnie zaś przypominało swym spokojem wieczór, kiedy rozśpiewał się leśny drozd i pieśń jego niosło od brzegu do brzegu. Nigdy podobne jezioro nie może być gładsze aniżeli w taką pogodę; dzięki płytkiej i przyciemnionej przez chmury masie powietrza ponad nim woda, rozświetlona i połyskliwa, staje się niskim niebem, przeto tym bardziej ważkim. Z wierzchołka pobliskiego wzgórza, gdzie niedawno wycięto las, rozciągał się od przeciwległego brzegu stawu przyjemny widok na południe przez rozłożyste siodła wzgórz, które rysowały tam linię brzegu, a ich południowe stoki, spływające ku sobie, przywodziły na myśl strumień rwący w tamtym kierunku przez leśną dolinę. Było to jednak tylko złudzenie. Między owymi pobliskimi wzgórzami zieleni i ponad nimi wypatrywałem na horyzoncie bardziej odległych i wyższych wierzchołków, zabarwionych błękitem. A wspinając się na palce, jeszcze dalej na północnym zachodzie dostrzegałem w górskich łańcuchach szczyty ciemnobłękitne, owe szczerolazurowe monety z niebiańskiej mennicy. Widziałem też fragment miasteczka. Wszelako rozglądając się w innych kierunkach, nawet z tego właśnie miejsca, nie mogłem dostrzec nic, prócz otaczającego mnie lasu. Dobrze

---

<sup>8</sup> *Harivansa* – dodatek do *Mahabharaty*.

<sup>9</sup> Mowa o bitwie, która rozegrała się podczas amerykańskiej wojny o niepodległość 19 kwietnia 1775 r.

jest mieć wodę w okolicy, albowiem pławna wówczas ziemia unosi się na jej powierzchni. Cenna jest nawet najpłytsza studnia. Zaglądając w jej głębię widzimy, że ziemia to nie kontynent, lecz wyspa. Ma to nie mniejsze znaczenie niż fakt, że można w niej trzymać masło, aby się nie roztopiło. Gdy spoglądałem z tego wzgórza na przeciwległy brzeg stawu i dalej na łąki nad rzeką Sudbury, które podczas powodzi wydawały mi się – doprawdy ulegałem chyba tylko złudzeniu – wyniesione wyżej w tej kipiącej dolinie, niby moneta w miednicy, cała kraina rozciągająca się za stawem wyglądała jak cienka kromka chleba odkrojona i zatopiona w owej tak niewielkiej tafli zaborczej wody. Uprzytomniałem sobie również, że ziemia, na której mieszkam, nie jest bynajmniej jałowa.

Wprawdzie od progu mojego domu widok rozciągał się jeszcze mniej rozległy, lecz w najmniejszym stopniu nie odczuwałem ciasnoty ani ograniczenia. Moja wyobraźnia pasła się na otwartych pastwiskach przestrzeni. Oto porośnięty niską dębiną płaskowyż, ku któremu wspinał się przeciwległy brzeg, rozprzestrzeniony, sięgał prerii Zachodu i tatarskich stepów. Aż nadto było miejsca dla rodzin wędrowców i koczowników. „Jedynie szczęśliwe stworzenia na tym świecie to istoty żyjące swobodnie wśród otwartych pól” – głosił Damodaragupta<sup>10</sup>, gdy prowadził swoje stada na nowe, bezkresne pastwiska.

Zmieniłem zarówno miejsce, jak i czas, żyłem bliżej tych sfer wszechświata i epok historii, które najbardziej mnie pociągały. Zamieszkałem w takiej oddali, jak gdybym się przeniósł w regiony wypatrywane nocą przez astronomów. Mamy zwyczaj wyobrażać sobie niezwykle rozkoszne strony w niedoścignionych niebiańskich zakątkach układu, za Kasjopeją, z dala od hałasu i niepokoju. Odkryłem, że dom mój naprawdę stoi w takiej dalekiej i nigdy w pełni nie poznanej, nie zbezczeszczonej krainie wszechświata. Jeżeli warto się osiedlić w sferach bliskich Plejadom czy Hiadom, Aldebaranowi czy Altairowi, tam właśnie się znajdowałem, a jeśli nie tam, to równie jak one daleko od życia, które za sobą zostawiłem; odpływałem coraz to mniejszy, błyskając wspaniałym promieniem do najbliższego sąsiada, on zaś miał mnie dostrzegać tylko w nocie bezksiężycowe. W takiej oto krainie się osiedliłem:

Żył sobie kiedyś pewien pasterz na tym świecie,  
Którego myśli tak wysoko wędrowały,  
Jako te stoki, gdzie i stada  
Przy nim się tylko pasać chciały.<sup>11</sup>

Co sądzilibyśmy o życiu pasterza, którego stada wciąż by wędrowały ku pastwiskom wyższym aniżeli wzniosłość jego myśli?

Każdy ranek zachęcał mnie radośnie, abym żył równie prosto i powiedziałbym – niewinnie jak sama Natura. Jutrzenkę wielbię podobnie żarliwie jak Grecy. A zatem wstawałem wcześniej i kąpałem się w stawie; ten z gruntu religijny obrzęd to jedna z najistotniejszych czynności, jakie wykonywałem. Podobno na naczyniu kąpielowym władcy Cing-fang widniały znaki, które czytało się w następujący sposób: „Codziennie cały się odświeżaj; pa-

<sup>10</sup> Damodaragupta – poeta indyjski (VIII-IX w n.e.).

<sup>11</sup> Autor nieznany, wiersz zawarty w *The Muses Garden for Delights*, cz. IX, do muzyki napisanej w 1611 r. przez Roberta Jonesa. Przełożył Piotr Sommer.

miętaj o tym zawsze, zawsze, po stokroć zawsze.” Ja to rozumiem. Wraz z rankiem powraca epoka herosów. Delikatne brzęczenie niewidocznego komara, który odbywał nieprawdopodobną podróż po moim mieszkaniu o najwcześniejszym świcie, gdy siedziałem przy otwartych oknach i drzwiach, miało na mnie podobny wpływ jak opiewająca sławę trąbka<sup>12</sup>. To jakby *requiem* za Homera, jakby *Iliada* i *Odyseja* napełniały powietrze śpiewną opowieścią przepojoną gniewem i bólem tułaczki. Było w tym coś kosmicznego, wypróbowany – lecz kto wie, jak długo jeszcze dozwolony – inserat wiecznej siły i płodności świata. Ranek, ta najbardziej pamiętna pora dnia, jest godziną przebudzenia. Najmniej w nas wówczas ospałości; nawet ta cząstka, która drzemie w nas przez resztę dnia i nocy, budzi się przynajmniej na godzinę. Niewiele należy oczekiwać od dnia – czy w ogóle można nazwać go wtedy dniem? – jeśli nie budzi nas własny duch, tylko jakiś sługa mechanicznie trącający nas łokciem, jeśli nie budzi nas – zamiast syreny fabrycznej – własna świeżo zyskana siła wewnętrzna i pragnienie działania, i, przy akompaniamencie falującej niebiańskiej muzyki, odurzający zapach powietrza. Jeżeli nie wstajemy rano po to, ażeby rozpocząć życie lepsze niż poprzedniego dnia, ciemność zbiera owoce i dowodzi, że jest dobra, nie gorsza od jasności. Człowiek, który nie wierzy, że w każdym dniu istnieje wcześniejsza, bardziej święta godzina jaśniejszej zorzy aniżeli jemu znajoma pora, nie ma nadziei na życie, drepce w dół mroczną drogą. Funkcjonowanie zmysłów ulega w porze spoczynku przytępieniu, po czym dusza człowieka czy raczej jej organy pokrząją się co rano, a duch znów usiłuje prowadzić szlachetniejsze życie. Wszystkie pamiętne wydarzenia dzieją się rano i w atmosferze poranka. *Wedy* głoszą: „Wraz z porankiem budzi się wszelka mądrość.” Poezja i sztuka oraz najszlachetniejsze i najbardziej pamiętne uczynki człowieka datują się z tej godziny. Wszyscy poeci i bohaterowie, podobnie jak Memnon, są dziećmi Jutrzenki i o wschodzie słońca grają swą muzykę<sup>13</sup>. Dla tego, kto giętką i rzeźką myślą dotrzymuje kroku słońcu, dzień jest nie kończącym się porankiem. Nieważne stają się wskazówki zegarów, postawy i obowiązki człowieka. Poranek zaczyna się wówczas, gdy ja się budzę, gdy we mnie budzi się brzask. Odzwyczajenie się od snu jest reformą moralną. Jak to się dzieje, że ludzie marnie oceniają dzień bez drzemki? Wszakże nie są tak kiepskimi rachmistrzami. Gdyby nie zmorzyła ich senność, coś by w tym czasie zdziałało. Miliony ludzi zachowują dostateczną przytomność, aby wykonywać pracę fizyczną, lecz tylko jeden człowiek na milion może dokonać efektywnego wysiłku intelektualnego, jeden zaś na sto milionów zdolny jest żyć poezją albo boską strawą. Czuwać, to znaczy żyć. Jeszcze nigdy nie spotkałem człowieka, który byłby całkiem rozbudzony. Jakżeby mógł spojrzeć mu w oczy?

Musimy się uczyć budzenia się na nowo i przytomnego czuwania nie za pomocą środków mechanicznych, lecz przez oczekiwanie świtu, który nie zapomina o nas, nawet wówczas gdy leżymy pogrążeni w najgłębszym śnie. Najbardziej pociesza mnie fakt, że człowiek niewątpliwie potrafi przydawać swemu życiu wzniosłości świadomym wysiłkiem. Umiejętność namalowania obrazu albo wyrzeźbienia pomnika przedstawia jakąś wartość, albo

<sup>12</sup> „I trąbka, która sławę opiewa.” Felicia Hemans, *The Landing of the Pilgrims*

<sup>13</sup> W czasach cesarstwa rzymskiego z imieniem Memnona związane stojące koło Teb nad Nilem dwa posągi (zwane do dziś kolosami Memnona), z których o świcie wydobywały się dźwięki: miało to być powitanie pojawiającej się na niebie Eos przez syna.

wiem dzięki niej upiększa się przedmioty; daleko bardziej jednak chwalebne jest wyrzeźbić i odmalować atmosferę, czyli ośrodek, przez który postrzegamy. Potrafimy tego dokonać duchem. Największą zaś sztuką jest wpływanie na jakość dnia. Każdy człowiek ma za zadanie uczynić swoje życie takim – nawet w szczegółach – aby warte było zastanowienia w najwznioślejszej i krytycznej godzinie. Gdybyśmy nie mieli się skąd dowiedzieć, jak tego dokonać, albo otrzymalibyśmy zbyt skąpe wskazówki, wyrocznie dobitnie by nam wszystko wyjaśniły.

Zamieszkałem w lesie, albowiem chciałem żyć świadomie, stawać w życiu wyłącznie przed najbardziej ważkimi kwestiami, przekonać się, czy potrafię przyswoić sobie to, czego może mnie życie nauczyć, abym w godzinie śmierci nie odkrył, że nie żyłem. Nie chciałem prowadzić życia, które nim nie jest, wszak życie to taki skarb; nie chciałem też rezygnować z niczego, chyba że było to absolutnie konieczne. Pragnąłem żyć pełnią życia i wysysać z niego całą kwintesencję, żyć tak śmiało i po spartańsku, aby wykorzeń wszystko, co nie jest życiem, aby zbierać bogaty plon i dosięgać sedna, aby zapędzić życie w kozi róg i uprościć je do najskromniejszych potrzeb. A gdy okaże się podłe, cóż, wówczas wysysać z niego całą prawdziwą nikczemność i pokazać ją światu; gdy zaś okaże się wzniosłe, poznać je z doświadczenia, aby móc zdać z niego uczciwą relację w następnej wędrówce. Wydaje mi się bowiem, że większość ludzi jest dziwnie niepewna, czy życie pochodzi od diabła, czy od Boga, i niejako pochopnie wyciągnęła wnioski, że głównym celem człowieka na tym świecie jest „chwalić i wielbić Pana oraz wiernie Mu służyć”.

Prowadzimy atoli marne życie mrówek, aczkolwiek bajka utrzymuje, że dawno temu zamieniono nas w ludzi<sup>14</sup>; jak Pigmeje walczyliśmy z żurawiami<sup>15</sup>; jeden błąd po drugim, jeden szturchaniec po drugim, a najwyższą z naszych cnót niepotrzebnie przepają wielką nikczemność. Trawimy życie na drobiazgach. Uczciwemu człowiekowi rzadko kiedy potrzebne jest do liczenia więcej niż dziesięć palców; w skrajnych przypadkach może jeszcze dodać dziesięć palców u nóg i resztę sobie darować. Prostota, prostota i jeszcze raz prostota! Tak, niechaj ludzkie sprawy ograniczą się do dwóch czy trzech, a nie stu czy tysiąca; zamiast liczyć do miliona, człowiek powinien liczyć do dwunastu, a rachunki prowadzić na paznokciu kciuka. Pośród tego rozbujanego morza cywilizowanego życia należy się liczyć z chmurami, sztormami, ruchomymi piaskami i tysiącem innych spraw, aby człowiek mógł żyć, nie zaś utonąć i pójść na dno, nigdy nie dobijając do portu na skutek złych obliczeń. Ten, komu się powiedzie, musi naprawdę być dobrym rachmistrzem. Należy upraszczać, upraszczać. Zamiast trzech posiłków dziennie lepiej jadać jeden, jeśli i ten jest konieczny;

<sup>14</sup> Dzięki modłom Ajakosa, syna Zeusa i Eginie, ustala susza na wyspie Eginie, ale że ludzie zdążyli tymczasem wymrzeć, uprosił on Zeusa o pomoc. Ten zamienił mieszkańców mrowiska w ludzi, których nazwano Myrmidonami.

<sup>15</sup> Gdy ustawiły się wojska w ordynku z wodzami na czele,  
Z wrzawą ruszyli Trojanie i skwirem rozgłośnym jak ptaki:  
Niczym żurawie, co z wielkim klangorem w podniebne bezkresy  
Wzlatują w ucieczce przed zimą, przed ulew groźnymi upusty,  
Prują przestworza zmierzając ku rzece Okeanowi,  
Na skrzydłach zaś niosą zagładę i śmierć plemieniu Pigmejów...  
Homer, *Iliada*, III, 1-6. Przełożył Ignacy Wieniewski.



zamiast stu dań – pięć; inne rzeczy również należy proporcjonalnie zredukować. Nasze życie przypomina Związek Niemiecki, który składa się z maleńkich państweczek i nie ma stałych granic, tak że nawet niemiecki obywatel nie potrafi powiedzieć, jak w danym momencie przebiegają. Sam naród ze swoim tak zwanym wewnętrznym postępowaniem, który *nota bene* jest powierzchowny i narzucony z zewnątrz, stanowi taką właśnie ociążałą i zatłoczoną organizację, zapchaną meblami – podobnie jak milion domostw w kraju – wpadającą we własne pułapki, zniszczoną przez luksus i nierozważne wydatki, przez brak kalkulacji i godnego celu. Doprawdy, jedynym lekarstwem zarówno dla narodu, jak i poszczególnych ludzi jest twarda gospodarka, surowa, przewyższająca spartańską prostotę życia oraz wzniosły cel. Naród żyje zbyt szybko. Ludzie uważają za konieczne, ażeby Naród prowadził handel i eksportował lód, porozumiewał się za pomocą telegrafu i podróżował trzydzieści mil na godzinę, i nie zastanawiają się, w jakim stopniu to ich dotyczy; dotychczas jednak nie ustalili, czy mamy żyć jak pawiany, czy jak ludzie. Jeżeli nie poderwiemy śpiących podkładów kolejowych i nie wykujemy szyn, jeżeli nie poświęcimy dni i nocy na pracę nad nimi, lecz oddamy się partaczeniu swojego życia, chcąc je ulepszyć, kto zbuduje kolej żelazną? A skoro nie zbuduje się kolei, jak w porę dotrzemy do nieba? Jeżeli natomiast będziemy siedzieć w domu i pilnować własnego nosa, komu będą potrzebne koleje? To nie my jeździmy koleją, to ona jeździ nam po głowie. Czy zastanawialiśmy się kiedyś, kim są te śpiochy, które służą za podkłady kolejowe? Każdy z nich to człowiek, Irlandczyk albo Jankes, Na nich układa się szyny, zasypuje piaskiem, a potem gładko mkną nad nimi wagony. Zapewniam wszystkich, że ludzie owi mają dobry sen. Co roku kładzie się całe mnóstwo szyn, po których biegną pociągi. Tedy jedni zaznają przyjemności jazdy koleją, drudzy zaś mają nieszczęście służyć za podkłady. Gdy zaś szczęściarze przejadą po lunatyku, po zbytelnym śpiochu w nieprawidłowej pozycji, i obudzą go, gwałtownie zatrzymują wagony i podnoszą larum, jak gdyby się zdarzył wyjątkowy wypadek. Cieszy mnie wiadomość, że na każde pięć mil przypada grupa ludzi, która dba o to, aby owe zaspane podkłady istotnie spoczywały nieruchomo na wznak w swoich leżach, albowiem to daje nadzieję, że może kiedyś znowu powstaną.

Dlaczego mamy żyć w takim pośpiechu i marnować życie? Umrzemy z głodu, zanim zaczniemy go odczuwać. Ludzie powiadają: zaszyj dziurkę, póki mała, i zaszywają tysiąc dziurek dzisiaj, aby jutro nie było ani jednej. Co do pracy, to nie wykonujemy żadnej, która by odgrywała jakąś doniosłą rolę. Owszem, tańczymy taniec świętego Wita potrząsając nieustannie głowami. Gdybym tylko pociągnął kilka razy za sznur dzwonu w kościele parafialnym, uderzył bezładnie jak na pożar, trudno byłoby znaleźć mężczyznę na farmie pod Concord, który by nie zważając na nawał zajęć – choć tyle razy wymawiał się nim tego ranka – nie rzucił wszystkiego i nie podążył za biciem na alarm. Sądzę, że podobnie uczyniliby chłopcy i kobiety. Pobiegliby wszyscy, nie po to jednak, aby ratować dobytek z płomieni, lecz prawdę powiedziawszy, nade wszystko po to, ażeby popatrzeć na pożar. Niewątpliwie bowiem się pali, atoli oświadczam, że to nie my podłożyliśmy ogień<sup>16</sup>. Może chcieliby zo-

---

<sup>16</sup> W maju 1844 r. Thoreau wraz ze znajomym, Edwardem Hoarem, z którym wybrał się na ryby w pobliżu stawu Walden, rozpalili ognisko. Ogień rozprzestrzenił się w lesie, którego spory obszar spłonął. Chociaż Thoreau pobiegł wezwać straż pożarną i sam usiłował gasić pożar, mieszkańcy miasteczka nie mogli mu wy-

baczyć gaszenie pożaru i nawet pomóc, jeśli mieliby ochotę spełnić dobry uczynek. Tak, wydarzenia miałyby taki właśnie przebieg, nawet gdyby chodziło o sam kościół parafialny. Mało kto ucina sobie półgodzinną drzemkę po obiedzie, wszelako gdy się budzi, chwytając się za głowę pytając: „Co nowego słyhać”, jak gdyby reszta ludzkości trzymała przy nim wartość. Z tego właśnie, a nie innego powodu niektórzy proszą, aby budzono ich co pół godziny, potem zaś opowiadają w rewanzu, co im się śniło. Po przespanej nocy nowiny są podobnie niezbędne jak śniadanie. „Błagam, powiedz mi, co nowego wydarzyło się ludziom na tym globie” – i czyta taki nad kawą i bułkami o tym, że nad rzeką Washita jakimś mężczyźnie wylupiono oczy<sup>17</sup>. Nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, że sam żyje w ciemnej, obrzymiej, niezbadanej jaskini tego świata, a oczy ma w stanie szczątkowym<sup>18</sup>.

Jeśli idzie o mnie, to łatwo mógłbym się obejść bez poczty. Uważam, że niewiele przez nią przepływa ważnych informacji. Mówiąc bardziej dosadnie, w całym swoim życiu otrzymałem jeden czy dwa listy – pisałem to kilka lat temu – za których ofrankowanie warto było zapłacić. Ogólnie biorąc, poczta jest instytucją, dzięki której serio proponujemy pensa za czyjeś myśli – tak jak to często czynimy bezpiecznie w żartach<sup>19</sup>. Co się tyczy gazet, to jestem przekonany, że również w nich nigdy nie wyczytałem żadnych godnych zapamiętania nowin. Przeczytawszy o jednym obrabowanym, zamordowanym albo zabitym w wypadku człowieku, o jednym spalonym domu, o jednym rozbitym statku, jednym wysadzonym w powietrze parowcu, jednej krowie przejechanej na szynach Kolei Zachodniej, o jednym wściekłym psie, którego zabito, albo o jednej chmarze pasikoników, które pokazały się w zimie – nie musimy już czytać o innych podobnych wypadkach. Wystarczy przeczytać o jednym. Skoro ktoś zna tę zasadę, cóż obchodzą go miriady przykładów i wypadków? W pojęciu filozofa wszystkie tak zwane nowiny to plotki, a ich autorami i czytelnikami są starszki gawędzące przy podwieczorku. Aliści wielu ludzi łaknie tych plotek. Podobno któregoś dnia do jednej z redakcji wtargnął taki tłum żądny ostatnich wiadomości z zagranicy, że wygniół kilka wielkich szyb ze szlifowanego szkła – a szło o wiadomości, które bystry umysł potrafiłby z równą ścisłością podać na dwanaście miesięcy albo lat wcześniej. Naprawdę jestem o tym przekonany. Weźmy na przykład Hiszpanię. Jeżeli się wie, jak wtrącić od czasu do czasu słówko o Don Carlosie i infantce, o Don Pedrze, Sewilli i Granadzie w odpowiednich dawkach – może imiona i nazwy trochę się zmieniły, odkąd czytałem ostatnio gazety – albo wspomnieć o walce byków, kiedy inne rozrywki zawiodą, wszystko, co się powie, będzie prawdą i da nam równie dobre pojęcie o prawdziwej, dobrej czy złej sytuacji w Hiszpanii, co najbardziej szczegółowe i jasne sprawozdanie zamieszczone pod tym samym

---

baczyć tego, że uznawszy swoje samotne wysiłki za daremne, wspiął się na pobliski pagórek, aby przyglądać się widokowi lasu trawionego ogniem. Gdyby jego towarzysz nie był synem jednego z najbardziej poważanych obywateli miasteczka, Thoreau najprawdopodobniej zamknięto by w więzieniu. Echa tego wydarzenia do dziś rozbrzmiewają w Concord i służą za argument opozycjonistom Thoreau.

<sup>17</sup> Washita (Ouachita) – rzeka płynąca przez Arkansas, wpadająca do Rzeki Czerwonej w Luizjanie. Mieszkańcy jej dorzecza mieli zwyczaj wylupywać swoim przeciwnikom oczy kciukiem. (Francis Allen, *Walden*, Boston 1910).

<sup>18</sup> W jaskini Mammoth w Kentucky żyje gatunek ślepych ryb.

<sup>19</sup> Gra słów. Autor robi aluzję do popularnego w języku angielskim powiedzenia: „Dam pensa za twoje myśli.”

nagłówkiem w gazecie. Jeżeli zaś idzie o Anglię, to niemal ostatnimi istotnymi strzępami wiadomości z tamtej części świata były wieści o rewolucji w 1649 roku. Skoro ktoś poznał historię urodzaju jej ziem w przeciętnym roku, już nigdy nie musi uaktualniać swej wiedzy, chyba że interesują go spekulacje wyłącznie typu finansowego. Zdaniem człowieka, który rzadko zagląda do gazety, w obcych krajach nigdy nic nowego się nie dzieje, nie wyłączając rewolucji we Francji.

Nowiny! O ileż ważniejsze jest znać coś, co się nigdy nie starzeje! „Pewnego razu Ciou-he-ju (wysoki dygnitarz państwa Wej) posłał swego sługę do Kung-cy (Konfucjusza), aby się dowiedzieć, co u niego słychać. Kung-cy usadził posłańca obok siebie i zagadnął: «Cóż porabia twój pan?» Przybysz zaś odparł z szacunkiem: «Mój pan usiłuje zmniejszyć liczbę swych wad, aliści robocie tej nie ma końca.» Gdy zaś udał się w drogę powrotną, filozof zauważył: «Cóż to za zacny posłaniec!»<sup>20</sup> Zamiast brzęczeć nad uszami sennych farmerów w dzień wypoczynku pod koniec tygodnia – niedziela jest bowiem stosownym ukoronowaniem niewłaściwie spędzonego tygodnia, a nie świeżym i śmiałym początkiem nowego – kaznodzieja powinien w swoim niechlujnym kazaniu nawoływać grzmiącym głosem: „Basta! Stop! Przestańcie udawać, że płyniecie całą naprzód, przecież ledwo się posuwacie!”<sup>21</sup>

Pozory i złudzenia przyjmuje się za niezbitą prawdę, a rzeczywistość za fantazję. Gdyby ludzie stale obserwowali tylko rzeczywistość i nie pozwalali sobie na złudzenia, życie – w porównaniu z wiadomymi nam sprawami – przypominałoby bajkę z tysiąca i jednej nocy. Gdybyśmy uznawali tylko to, co nieuchronne i ma prawo być nieuchronne, ulice rozbrzmiewałyby muzyką i poezją. Po dłuższym zastanowieniu uświadamiamy sobie, że tylko to, co wielkie i cenne, jest wieczne i absolutne – że lekkie niepokoje i drobne przyjemności pozostają jedynie cieniem rzeczywistości. Taka chwila zawsze jest radosna i podniosła. Ludzie przymykają oczy i drzemią, godząc się na złudę pozorów, przez co codzienne życie opiera się na rutynie i nawykach, podczas gdy jego podstawy nadal są czysto iluzoryczne. Dzieci, które bawią się w życie, z większą aniżeli dorośli przenikliwością pojmują prawo życia i jego związki<sup>22</sup>. Dorośli bowiem nieumiejętnie i niegodnie żyjąc uważają, że są mądrzejsi dzięki doświadczeniu, czyli w tym wypadku niepowodzeniu. Czytałem w jakiejś hinduskiej księdze o „Królewskim synku, którego wywieziono z rodzinnego miasta, gdy był niemowlęciem. Znalazł go pewien mieszkaniec dżungli i zaopiekował się maleństwem. Gdy chłopiec dorósł, nic nie wiedział o swoim prawdziwym pochodzeniu. Aliści pewnego dnia odnalazł go w dżungli jeden z ministrów króla i wyjawiał całą prawdę. Tak to chłopiec się dowiedział, że jest księciem. Podobnie dzieje się z duszą – snuł swą myśl hinduski filozof – która sądząc po swoim położeniu, błędnie pojmuje swoją rolę, dopóki jakiś święty nauczyciel nie objawi jej prawdy. Wówczas wie, że jest Brahłą.” Jak sądzę, my, mieszkańcy Nowej Anglii, żyjemy w ten nędzny sposób, dlatego że nie przenikamy wzrokiem powierzchni rzeczy. Naszym zdaniem coś jest takie, jakie się wydaje. Gdyby ktoś

<sup>20</sup> Konfucjusz, *Wiosny i jesień albo Kronika państwa Lu*.

<sup>21</sup> Kaznodzieją tym był prawdopodobnie wielbny Taylor z Bostonu, słynący z używania żeglarskich terminów w swoich kazaniach, także literacki pierwowzór ojca Mapple z *Moby Dicka* Hermana Melville’a.

<sup>22</sup> Idea popularna wśród angielskich romantyków i amerykańskich transcendentalistów. Patrz: William Wordsworth *Oda o przeczuciach nieśmiertelności czerpanych ze wspomnień o wczesnym dzieciństwie*.

przeszedł przez nasze miasteczko dostrzegając tylko rzeczywistość, dokąd – można by się zastanowić – powędrowałyby Mill-dam<sup>23</sup>? Gdyby potem ów człowiek opowiedział nam, co widział, nie poznalibyśmy miasta. Wystarczy popatrzeć na zbór, gmach sądu, więzienie, sklep albo dom mieszkalny i opowiedzieć, czym są owe budynki pod badawczym spojrzeniem, a rozsypią się na kawałki. Ludzie uważają prawdę za odległą kategorię, której miejsce jest gdzieś na rubieżach układu słonecznego, za najdalszą gwiazdą, przed Adamem i po ostatnim człowieku. Wieczność ma w sobie coś z prawdy i wzniosłości. Wszystko jednak istnieje i dzieje się tutaj i teraz. Nawet Bóg jest w tym właśnie momencie Bogiem i nigdy na przestrzeni wieków nie osiągnie bardziej wysublimowanej boskości. Tylko przez ustawiczne wpajanie i dawkowanie sobie otaczającej nas rzeczywistości mamy możliwość pojąć, co to jest wzniosłość i szlachetność. Posłuszny wszechświat ciągle odpowiada naszym pojęciom; otwiera się przed nami trakt, niezależnie od tego, czy wędrujemy szybko, czy powoli. Przeto spędźmy życie na pojmowaniu. Tak chlubnego i szlachetnego celu nigdy jeszcze nie miał ani poeta, ani artysta, niechże więc osiągną go niektórzy ich potomkowie. Chociaż jeden dzień spędźmy tak rozważnie jak Natura i nie pozwólmy, aby cokolwiek skłoniło nas do zboczenia z raz obranej drogi. Wstańmy wcześnie, wraz ze świtaniem, nie ociągając się, cicho i bez zamieszania; niechaj zajrzy sąsiad, a potem sobie pójdzie, niech bije dzwon i płaczą dzieci. Postanówmy, że to wypełni nam dzień. Dlaczegoż mielibyśmy się poddawać i pędzić wraz z nurtem? Później nie pozwólmy wytrącić się z równowagi i porwać z mielizny południa temu gwałtownemu wirowi zwanemu obiadem. Przetrywajmy owe niebezpieczne chwile, a będziemy uratowani, dalej bowiem już z górki. Trzymając nerwy na wodzy, pełni porannego wigoru płynmy przez dzień przywiązani do masztu jak Ulisses, wpatrzeni przed siebie. Jeżeli zagwiżdże lokomotywa, niechaj sobie gwiżdże do woli, póki nie ochrypnie. Jeżeli odezwie się dzwon, niechaj sobie bije, nie będziemy się zrywać i biec. Wsłuchujmy się w muzykę. Pracujmy w spokoju, wierząc nogami w błocie i coraz głębiej wpychając je w grząską breję opinii, przesądu, tradycji, złudzenia, pozorów, aż przebijemy się przez ten namuł, który pokrywa kulę ziemską, przez Paryż i Londyn, przez Nowy Jork, Boston i Concord, przez Kościół i państwo, przez poezję, filozofię i religię, aż dotrzemy do twardego, skalistego dna, do tego, co możemy nazwać rzeczywistością. I wówczas powiedzmy: „O to niewątpliwie szło.” Potem zaś na owym twardym gruncie, który znaleźliśmy, głębiej aniżeli koryto rozszalałego strumienia, mrozu i ognia, poszukajmy miejsca, gdzie moglibyśmy postawić mur, położyć podwaliny państwa albo ustawić bezpiecznie słup latarni czy też może drąg z podziałką – lecz nie nilometr<sup>24</sup>, tylko realnometr – ażeby przyszłym stuleciom było wiadomo, jak głęboki wzbierał czasami strumień brei i pozorów. Stanąwszy oko w oko z faktem spostrzeżemy, że obie jego strony połyskują w słońcu niby metal bułatu, i poczujemy, jak jego rozkoszne ostrze przeszywa nam duszę i kość do szpiku, kładąc kres naszej, śmiertelnicy, szczęśliwej wędrowce po ziemskim padole. Życie czy śmierć, łak-

---

<sup>23</sup> Mill-dam – ulica handlowa w Concord.

<sup>24</sup> W Memfis zbudowano w starożytności „nilometr”, który miał wskazywać opadanie i podnoszenie się wód Nilu.

niemy tylko rzeczywistości. Doprawdy, skoro istotnie umieramy, niech z naszych gardeł wyrwie się charkot, a członki niech ostygną; skoro zaś żyjemy, róbmy, co do nas należy.

Czas to jedynie strumień, w którym łowię ryby. Czerpię z niego, lecz pijąc dostrzegam piaszczyste dno. Płytką woda toczy się leniwym nurtem, wieczność jednak nie przemija. Napiłbym się czerpiąc głębiej, łowiłbym ryby w niebiosach, których dno usiano gwiazdami. Nie potrafię zliczyć do jednego. Nie znam pierwszej litery alfabetu. Zawsze żałuję, że nie jestem taki mądry jak w dzień narodzin. Intelpekt to topór, wie, jak wyrąbać sobie drogę do tajemnic poznania. Nie pragnę mieć rąk zajętych częściej aniżeli to konieczne. Głowa zastępuje mi ręce i nogi. W niej, mniemam, skupiły się moje najbardziej niezwykle dary. Instykt podpowiada mi, że wprawdzie niektóre stworzenia ryją pyskiem i przednimi łapami, lecz ja powinienem czynić to głową. I właśnie przy jej pomocy wykopię i przeryję sobie drogę przez te wzgórza. Sądząc po różdżce i podnoszących się mgłach, najbogatsza żyła znajduje się gdzieś w tej okolicy. Zatem tu zacznę kopać.

# Lektura

Gdyby ludzie bardziej się zastanawiali nad wyborem własnej przyszłości, chyba wszyscy zostaliby przede wszystkim badaczami i obserwatorami, albowiem niewątpliwie wszystkich jednakowo interesuje własna natura i przeznaczenie. Gdy gromadzimy dobra dla siebie albo potomności, zakładamy rodziny albo kładziemy podwaliny państwowości, a nawet zyskujemy sławę – jesteśmy śmiertelni, gdy jednak dochodzimy prawdy, zyskujemy nieśmiertelność i nie musimy się obawiać, że zaskoczy nas coś niepomyślnego. Najstarszy egipski czy hinduski filozof uchylił skraj szaty narzuconej na pomnik boskości i od tego czasu udrapowana materia już go całego nie zasłania. Widzę ten sam co ów filozof świeży blask, albowiem to ja w mędrca byłem wówczas tak zuchwały, teraz zaś on we mnie wspomina ten obraz. Materii nie pokrył kurz, nie upłynęła sekunda, odkąd ujawniono ową boskość. Czas, który naprawdę doskonalimy albo który nadaje się do udoskonalenia, nie jest ani przeszły, ani teraźniejszy, ani przyszły.

Miejsce mojego zamieszkania w większym stopniu aniżeli uniwersytet sprzyjało nie tylko rozmyślaniom, lecz także poważnej lekturze, i chociaż się znajdowałem poza zasięgiem zwykłej biblioteki objazdowej, byłem pod większym niż kiedykolwiek wpływem książek krążących po świecie, książek, których wersy wryto pierwotnie na korze, teraz zaś tylko przepisuje się je na czerpanym papierze. Oto jak opowiada poeta Mîr Camar Uddîn Mast<sup>1</sup>: „Zasiadłem, ażeby się oddać wędrowce przez regiony świata duchowego; mogłem tego dokonać dzięki książkom. Doznałem przyjemności upicia się napojem z ezoterycznych doktryn niby jednym kieliszkiem wina.” Całe lato na stole moim leżała *Iliada* Homera, choć tylko od czasu do czasu rzucałem okiem na jej stronicę. Uważniejszą lekturę uniemożliwiała mi na początku nie kończąca się praca fizyczna, musiałem bowiem skończyć budowę domu i okopać fasolę. Podtrzymywała mnie wszelako myśl, że w przyszłości będę się mógł oddać takiej lekturze. W przerwach, które robiłem sobie podczas pracy, przeczytałem dwie lekkie książki podróżnicze, aliści wkrótce sam przed sobą wstydiłem się tego, zastanawiając się, jak moja istota mogła na to pozwolić.

Homera i Ajschylosa można czytać po grecku bez obawy marnotrawstwa czy zbytku, albowiem wówczas w pewnej mierze naśladuje się gorliwie ich bohaterów i poświęca poranne godziny stronicom ich dzieł. Epopeje historyczne, nawet wydrukowane w naszym ojczystym języku, zawsze pozostaną martwe w obecnych zdegenerowanych czasach; musimy – zależnie od naszej mądrości, męstwa i wielkoduszności – mozolnie się doszukiwać sensu każdego słowa i wersu, domyślając się szerszej ich wymowy, aniżeli by to wynikało z podstawowego znaczenia. Współczesna tania i płodna prasa wraz ze wszystkimi zamiesz-

---

<sup>1</sup> Mîr Camar Uddîn Mast – dziewiętnastowieczny poeta indyjski

czonymi w niej tłumaczeniami mało się przyczyniła do przybliżenia nam starożytnych twórców poezji heroicznej. Zarówno oni, jak litery, którymi drukuje się ich dzieła, pozostają jak zawsze niezwykli i osobliwi. Warto jest poświęcać młode lata i kosztowne godziny na naukę choćby kilku słów w językach klasycznych, albowiem wykraczają one poza trywialność ulicy i stanowią niewyczerpane źródło inspiracji i podniety<sup>2</sup>.

Nie na darmo farmer pamięta i powtarza kilka zasłyszanych łacińskich słów. Ludzie czasami uważają, że studiowanie literatury klasycznej jest drogą wiodącą ku bardziej współczesnym i praktycznym lekturom; jednakże człowiek bardziej żądny przygód pozostanie przy klasykach niezależnie od tego, w jakim języku napisano owe utwory i w jakim okresie starożytności. Czymże bowiem jest literatura klasyczna, jak nie skarbnicą najszlachetniejszych myśli ludzkości? Pozostają one jedynymi nie podupadłymi wyroczniami i można w nich znaleźć takie odpowiedzi na najbardziej współczesne pytania, jakich nie potrafiono udzielić ani w Delfach, ani w Dodonie. Równie dobrze moglibyśmy darować sobie studiowanie Natury, albowiem jest stara. Szlachetne to zajęcie – czytanie dobrej lektury, to znaczy prawdziwych książek przepojonych duchem autentyczności. Stawia ono przed czytelnikiem większe zadanie aniżeli powszechnie uznane codzienne zajęcia. Wymaga treningu podobnego do ćwiczeń sportowych, stałego poświęcenia prawie całego życia temu celowi. Książki powinno się czytać w podobnie rozsądny i powściągliwy sposób, jak sieje pisze. Nie wystarczy mówić językiem narodu, który je spłodził, istnieje bowiem znaczny przedział między językiem mówionym a pisanym, językiem słyszonym a czytanim. Ten pierwszy jest na ogół ulotnym dźwiękiem, mową, zaledwie prymitywnym dialektem; uczymy się go od matki nieświadomie, podobnie jak dzicy. Ten drugi stanowi dojrzałą formę pierwszego, wyrosłą na jego doświadczeniu. Jeśli pierwszy jest językiem naszych matek, drugi to język ojców – doborowy sposób wysławiania się, zbyt doniosły dla ducha, abyśmy mogli się nim posługiwać nie narodziny się po raz drugi<sup>3</sup>. Rzesze ludzi, którzy w średniowieczu mówili tylko po grecku i łacinie, z racji samego faktu urodzenia nie były uprawnione do czytania arcydzieł stworzonych w tych językach, albowiem owych utworów nie napisano w znanej im grece czy łacinie, lecz w wyborowym języku literackim. Zdaniem tych ludzi, którzy nie opanowali szlachetniejszych odmian greki czy łaciny, materia powstałych w tych językach dzieł była śmieciem, toteż przedkładali nad nią tanią literaturę współczesną. Gdy jednak kilka europejskich narodów wykształciło odrębne, choć prymitywne piśmiennictwo, z którego zaczęła wyrastać literatura narodowa, odrodził się pęd ku nauce i uczeni mieli możliwość dostrzec w odległej przeszłości starożytne skarby. Czego nie mogło słyszeć rzymskie i greckie pospólstwo, teraz, po upływie tylu stuleci, czytało kilku uczonych; i nadal czyta tylko kilku.

Wprawdzie wybuchy elokwencji oratora mogą wzbudzić w nas czasami największy podziw, lecz najszlachetniejsze słowo pisane przerasta na ogół ulotną mowę, podobnie jak gwiazdy na firmamencie górują nad chmurami. W tych dalekich gwiazdach mogą czytać

<sup>2</sup> Thoreau znał łacinę i grekę najprawdopodobniej lepiej niż inni transcendentaliści. Przetłumaczył na angielski wiele utworów literatury klasycznej.

<sup>3</sup> „Zaprawdę, zaprawdę powiadam Ci, jeśli się kto nie narodzi na nowo, nie może ujrzeć Królestwa Bożego.” Nowy Testament, Ewangelia św. Jana 3, 3.

ci, którzy potrafią. Zawsze obserwowali je i opisywali astronomowie. Gwiazdy to nie opary podobne do mgły naszych oddechów i codziennych rozmów. To, co na Forum nazywa się elokwencją, w gabinecie okazuje się na ogół retoryką. Orator porwany nastrojem, inspirowany chwilą przemawia do tłumu, czyli do zebranych, chętnych go słuchać, natomiast pisarza, którego inspiruje własne bardziej zrównoważone życie, rozpraszałyby wydarzenia i tłumy będące podniętą dla oratorów, toteż przemawia do intelektu i serca ludzkości, czyli do wszystkich rozumiejących go ludzi, niezależnie od wieku.

Nic dziwnego, że Aleksander Wielki na swoje wyprawy zabierał *Iliadę* w drogocennej kasie. Słowo pisane stanowi najbardziej doborową spuściznę. Od razu wytwarza atmosferę większej intymności i uniwersalności aniżeli jakiegokolwiek inne dzieło sztuki. Jest najbardziej zbliżone do samego życia. Można przetłumaczyć je na wszystkie języki i nie tylko czytać, lecz także wydychać ustami wszystkich ludzi; przedstawia się je nie tylko na płótnie czy w marmurze, lecz także rzeźbi w samym tchnieniu życia. Symbol myśli człowieka starożytności staje się mową człowieka współczesnego. Dwa tysiące lat nasyciło pomniki greckiej literatury, podobnie jak marmurowe posągi, jeszcze intensywniejszą jesienną barwą starego złota, Grecy bowiem przenieśli swoją pogodną niebiańską atmosferę do innych krajów, aby chronić swą spuściznę przed korozją czasu. Książki to najcenniejszy skarb bogactwa świata i najwspanialsze dziedzictwo pokoleń i narodów. Książki, te najstarsze i najlepsze, wypełniają półki we wszystkich domostwach, do czego z natury swej mają prawo. Nie występują w obronie własnej sprawy, lecz niosą czytelnikowi oświatę i podtrzymują go na duchu, czym zapewniają sobie poparcie jego zdrowego rozsądku. Autorami ich w każdym społeczeństwie jest urodzona arystokracja, która porywa ludzkość i wywiera na nią większy wpływ aniżeli królowie i imperatorzy. Gdy niepiśmienny i być może pogardzany kupiec dorobi się handlem i pracowitością należnego mu wolnego czasu i niezależności i zostanie dopuszczony do kół eleganckiego świata bogaczy, zwróci się nieuchronnie ku jeszcze wyższemu, lecz nieosiągalnemu środowisku intelektualistów i naukowców. Będzie sobie zdawał sprawę z niedoskonałości swojej kultury, próżności i nicości wszystkich swoich bogactw, dowiedzie zatem zdrowego rozsądku i dołoży wszelkich starań, aby dzieciom zapewnić ową kulturę intelektualną, której brak sam tak głęboko odczuwa. I w ten sposób zostanie założycielem rodziny.

Ci, którzy nie nauczyli się czytać literatury klasycznej w oryginale, muszą mieć bardzo niedoskonałą znajomość historii ludzkości, nigdy bowiem nie wykonano transkrypcji owych dzieł w żadnym współczesnym języku, chyba że naszą cywilizację można uważać za tego rodzaju transkrypcję. Nigdy jeszcze nie drukowano po angielsku Homera ani Aj-schylosa, ani nawet Wergiliusza<sup>4</sup>. Dzieła ich są tyleż wytworne, ile trwałe, pięknem swym zaś niemal dorównują urodzie poranka. Utwory późniejszych pisarzy – cokolwiek byśmy powiedzieli o ich talentach – rzadko kiedy dorastały do pięknie opracowanych i wyczyszczonych starożytnych epepei heroicznych, dzieł całego życia. Tylko ci twierdzą, że należy o nich zapomnieć, którzy ich nie znają. Wystarczy, jeśli puścimy je w niepamięć, wówczas gdy wiedzą i duchem będziemy na tyle bogaci, aby mieć możliwość zajęcia się nimi i doce-

---

<sup>4</sup> Mowa, oczywiście, o niedoskonałości przekładów.



nienia ich wartości. Naprawdę bogate będzie dopiero to stulecie, w którym nagromadzi się jeszcze więcej pamiątek nazywanych przez nas Literaturą Klasyczną i starszych, liczniejszych niż klasyczne, aliści znacznie mniej znanych pism świętych różnych narodów, stulecie, w którym Watykan przepełni *Wedy*, *Zend-Avesty* i *Biblie*, *Homerzy*, *Dantowie* i *Szekspirzy*. Potem już wszystkie następne wieki powinny gromadzić nadzieję, że po takiej stercie dotrzemy w końcu do nieba.

Ludzkość nigdy jeszcze nie czytała dzieł wielkich poetów, albowiem mogą je czytać jedynie wielcy poeci. Czytano owe utwory tylko tak, jak pospólstwo czyta w gwiazdach – w najlepszym razie według praktyk astrologicznych, a nie astronomicznych. Większość ludzi nauczyła się czytać ze względu na zwykłą wygodę, podobnie jak rachować – po to, aby prowadzić rachunki i nie dać się oszukać w handlu; wszelako o czytaniu traktowanym jako ćwiczenie intelektualne wiedzą mało albo i nic. Dopiero zaś ono stanowi lekturę wyższej miary, lekturę uprawianą w napięciu i z poświęceniem naszych najczujniejszych godzin świadomości, w przeciwieństwie do tej, która jest zbytkiem kołyszającym nas do snu i podporządkowującym sobie nasze szlachetniejsze dary.

Moim zdaniem znając alfabet powinniśmy czytać najlepsze dzieła literackie, a nie bez końca powtarzać ABC i jednosylabowe słowa siedząc przez całe życie w czwartej czy piątej klasie na pierwszej, najniższej ławce. Większość ludzi satysfakcjonuje lektura albo słuchanie czytanej na głos jednej dobrej przekonywującej ich chyba swą mądrością książki – *Biblii*. Przez resztę życia ludzie owi wegetują i trwonią swoje zdolności na to, co nazywa się lekturą łatwą. W naszej bibliotece objazdowej znajduje się wielotomowe dzieło pod tytułem *Drobne lektury*, który to tytuł uważałem za nazwę znanego mi ze słyszenia miasta<sup>5</sup>. Są osoby, które podobnie jak kormorany i strusie mogą strawić wszelkie bzdury tego rodzaju, nawet po najbardziej sytym mięsnyim obiedzie z jarzynami, albowiem nie znoszą, gdy coś się marnuje. Jeśli inni niby maszyny dostarczają ów obrok, ci z kolei niby maszyny pożerają go z ochotą. Czytają dziewięcioletnią z kolei opowieść o Zebulonie i Zofroniji, ich szalonej, niezwyklej miłości, o tym, jak na ich drodze stawały miliony przeszkód<sup>6</sup> – raz pokonywali je z nadzieją, raz tracili otuchę, nadal jednak kochali. Albo historię jakiegoś nieszczęśnika na strzelistej wieży, na którą nie powinien był się wspinać, ledwie bowiem potrafił wejść na dzwonnice. Tymczasem rozradowany powieściopisarz bije w dzwony zwołując cały świat, aby się przypatrywał z trwogą, jak nieszczęśnik usiłuje zejść na dół! Osobiście uważam, że lepiej by się stało, gdyby wszyscy ci kandydaci na bohaterów powieści światowej przemienili się w kurki na dachu i niczym bohaterowie niebiańskich przestworzy bujali tam, rdzewieli i nigdy nie wracali na ziemię zawracać uczciwym ludziom głowę swoimi wybrykami. Gdy następnym razem powieściopisarz uderzy w dzwon, nawet nie drgnę, choćby miał się spalić zbór. „Niebawem rozpoczniemy sprzedaż comiesięcznych odcinków romansu średniowiecznego *Niezwykłe przypadki Podskoka Palucha*, pióra sławnego autora *Dyń-dyń-dynia*;

---

<sup>5</sup> Pełny tytuł książki, o której autor mówi – rzeczywiście znajdowała się ona w katalogu biblioteki w Concord w 1836 r. – brzmi w oryginale *Much Instruction from Little Reading. A Reading* (wym. redin) to także nazwa miejscowości położonej niedaleko Concord.

<sup>6</sup> „Nigdy pogodnie prawdziwej miłości strumień nie płynął...” William Szekspir, *Sen nocy letniej*, akt I, sc. 1. Przełożył Stanisław Koźmian.

wróżymy książce wielkie powodzenie; Szanowni Czytelnicy – zachowajcie spokój, nikt nie odejdzie z pustymi rękami.” Podobną lekturę pochłaniają oczami wielkości kół młyńskich, z przejściem i prymitywną ciekawością, a ich niestrudzony żołądek trawi wszystko bez dodatkowych przypraw, zupełnie jak czteroletni berbecz swojego *Kopciuszka* w złotej oprawie za dwa centy. Nie robią żadnych zauważalnych postępów w wymowie, akcencie, emfazie, nie nabierają umiejętności wysnuwania ani wyśmiewania morału. Takie to daje skutki, że wzrok im gaśnie, następuje marazm krwiobiegu, ogólny rozkład i martwica zdolności intelektualnych. Chleb razowy tego rodzaju piecze się codziennie niemal we wszystkich piecach i to bardziej skwapliwie aniżeli chleb pszenny czy żytni<sup>7</sup>. Ma on również zapewniony szerszy rynek zbytu.

Najlepszych książek nie czytają nawet ci, których się nazywa dobrymi czytelnikami. Do czego sprowadza się kultura w Concord? Miasteczka naszego nie opanowała – poza nielicznymi wyjątkami – miłość do najlepszej albo bardzo dobrej literatury, nawet angielskiej, której słowa wszyscy potrafią czytać i pisać. Nawet wychowankowie uczelni i ludzie obznajmieni z tak zwanymi sztukami wyzwolonymi – nie tylko u nas, także gdzie indziej – naprawdę źle znają angielskich klasyków albo w ogóle nie mają o nich pojęcia. Jeśli zaś chodzi o rejestry mądrości ludzkiej – o klasyków starożytnych i Biblię – to chociaż dostępne są dla wszystkich chętnych, niewielu ludzi zadaje sobie trud, by te teksty poznać. Pewien znajomy drwal w średnim wieku sięga po francuską gazetę nie dlatego, że interesują go wiadomości, jak bowiem twierdzi, nic go podobne sprawy nie obchodzą, lecz po to, aby „nie wyjść z wprawy”. Jest Kanadyjczykiem z pochodzenia i gdy pytam go, jakie cele przyświecają mu na tym świecie, odpowiada, że prócz powyższego należy do nich doskonalenie angielszczyzny. Mając to samo na względzie, absolwenci uczelni postępują czy pragną postępować mniej więcej podobnie, z tym, że sięgają po gazetę angielską. Przypuśćmy, że ktoś właśnie skończył lekturę jednej z najlepszych, być może, angielskich książek; przekona się, z iloma ludźmi i jak szczegółowo będzie mógł o niej porozmawiać. Albo założmy, że skończył czytać w oryginale greckich czy rzymskich klasyków, których sława dotarła nawet do tak zwanych analfabetów; nie znajdzie nikogo, z kim mógłby porozmawiać, nie będzie miał do kogo otworzyć ust. Doprawdy, w naszych uczelniach nie ma chyba profesora, który pokonawszy trudności językowe w takim samym stopniu rozwiązał zagadki intelektu i poezji greckiego mistrza i potrafi się podzielić swoimi wiadomościami z czujnym i bohaterskim czytelnikiem. A cóż dopiero z pismami świętymi czy bibliami ludzkości – kto w tym mieście potrafi podać mi choćby ich tytuły? Większość ludzi nie wie, że nie tylko naród żydowski ma swoje Pismo Święte. Człowiek, każdy człowiek widząc srebrnego dolara zboczy znacznie z drogi, ażeby go podnieść, natomiast mija wybite na swojej drodze złotymi zgłoskami słowa wypowiedziane przez największych mędrców starożytności, których mądrość potwierdziły następne stulecia, i uczy się czytać tylko łatwą lekturę, elementarze i podręczniki, a gdy ukończy szkołę – *Drobne lektury* i książki z opowiadaniem

---

<sup>7</sup> Podczas pobytu autora nad Waldenem doktor Sylvester Graham prowadził kampanię na rzecz zmiany sposobu odżywiania się, propagując zasadę spożywania chleba pieczonego z mąki grubo mielonej. Transcendentaliści interesowali się tym problemem i wielu z nich skorzystało z rad doktora.

dla chłopców i początkujących uczniów. Nasza lektura, rozmowy i sposób rozumowania pozostają na bardzo niskim poziomie, godnym Pigmejów albo karłów.

Pragnę zaznajomić się z ludźmi mądrzejszymi aniżeli synowie concordzkiej ziemi, z ludźmi o nazwiskach niemal tu nie znanych. A może usłyszawszy imię Platon nigdy nie powinienem sięgnąć po jego dzieła? Postąpiłbym wówczas tak, jak gdyby Platon był obywatelem tego samego co ja miasta, lecz nigdy bym go nie widział, albo moim najbliższym sąsiadem, lecz nigdy bym nie słyszał jego poglądów ani nie zważał na mądrość jego słów. A jak w istocie sprawa się przedstawia? *Dialogi* Platona zawierające to, co miał w sobie nieśmiertelnego, leżą tuż obok na półce, nigdy ich wszakże nie czytałem. Jesteśmy źle wychowani, mało wykształceni i niepiśmienni; a w tym względzie przyznaję, że nie ma dla mnie wielkiej różnicy między analfabetyzmem mojego sąsiada, który w ogóle nie potrafi czytać, a analfabetyzmem kogoś, kto nauczył się czytać tylko lekturę przeznaczoną dla dzieci i miłąkłych umysłów. Powinniśmy dorównywać najgodniejszym starożytnym, wprawdzie atoli musimy wiedzieć, na ile byli dobrzy. Jesteśmy gatunkiem małych ludzi, wzlatujemy intelektem w górę, niewiele jednak wznosimy się ponad poziom codziennych gazet.

Nie wszystkie książki są równie nudne jak ich czytelnicy. Istnieją prawdopodobnie takie słowa przemawiające wprost do ludzkiej kondycji, jakie – gdybyśmy naprawdę mogli je słyszeć i rozumieć – uznalibyśmy za bardziej zbawienne dla naszego życia aniżeli poranek czy wiosnę. Możliwe również, że ukazałyby nam w nowym świetle porządek rzeczy. Ilu ludzi wraz z przeczytaniem jakiejś książki rozpoczęło nową epokę w swoim życiu! Być może istnieje dzieło, które wyjaśni nam stare i objawi nowe cuda. Rzeczy obecnie niewyraźne może znajdziemy już gdzieś wyrażone. Wszystkich bez wyjątku mądrych ludzi niepokoiły, zadziwiała i wprawiała w zakłopotanie te same co nas pytania, każdy odpowiadał, jak umiał, własnymi słowami i własnym życiem. Ponadto wraz z mądrością będzie nam przybywało tolerancji. Samotny robotnik najemny na farmie w okolicach Concord, którego po powtórnych narodzinach i specyficznych przeżyciach religijnych wiara zagnała w głęboką, jego zdaniem, zadumę i odosobnienie, może uznać, iż te słowa są nieprawdą, jednakże tysiące lat temu, gdy Zaratustra przewędrował tę samą drogę zdobywając podobne doświadczenie, był na tyle mądry, że uświadamiał sobie, na ile owa droga jest uniwersalna. Zgodnie z tym przeświadczeniem traktował bliźnich i podobno założył nawet sektę religijną. Niechże zatem ów robotnik najemny obcuje pokornie z Zaratustrą, a dzięki poszerzającemu horyzonty wpływowi wszelkich wartości – z samym Jezusem Chrystusem. Niechże „nasz Kościół” wyleci za burtę.

Pyszniimy się swoją przynależnością do dziewiętnastego stulecia i najgwałtowniejszym rozwojem, jaki może przypaść w udziale narodowi. Lecz pomyślcie, jakże mało miasteczko nasze dba o swoją kulturę. Nie pragnę pochlebiać moim sąsiadom ani być przez nich przyjemnie łechtany, albowiem dzięki temu nie posuniemy się naprzód. Należy nas prowokować, popędzać i gnać kłusem jak woły, którymi jesteśmy. Posiadamy stosunkowo przyzwyczajony system szkół powszechnych, szkół tylko dla dzieci, alifci z wyjątkiem cherlawej w zimie sali wykładowej i słabowitej, niedawno założonej i propagowanej przez władze biblioteki – żadnej szkoły dla nas samych. Wydajemy więcej na każdy prawie artykuł, który leczy dolegliwości ciała czy w ogóle dolegliwości, aniżeli na dolegliwości ducha. Czas, abyśmy

mieli szkoły niepowszechne, abyśmy nie przestawali się kształcić, z chwilą kiedy wyrastamy na mężczyzn i kobiety. Pora, ażeby miasteczka stały się uniwersytetami, a starsi ich mieszkańcy – wykładowcami, którzy mieliby dość wolnego czasu, gdyby istotnie byli tak zamożni, na zgłębianie nauk humanistycznych przez resztę życia. Czy świat zawsze ma się ograniczać do jednego Paryża czy Oxfordu? Czyż tutaj, pod niebo Concord nie mogą przybywać studenci i kształcić się w sztukach wyzwolonych? Czyż nie możemy nająć jakiegoś Abelarda, który prowadziłby dla nas wykłady? Niestety!

A co by było z pasaniem bydła i pilnowaniem sklepu? Zbyt dawno temu skończyliśmy ze szkołą i wielce zaniedbaliśmy swoją naukę. W kraju naszym miasteczko powinno pod niektórymi względami spełniać rolę europejskiego arystokraty. Powinno zostać mecenasem sztuk pięknych. Jest na to dostatecznie zamożne. Brakuje mu tylko wspaniałomyślności i poloru. Wydaje dosyć pieniędzy na rzeczy cenione przez farmerów i kupców, ale propozycje przeznaczenia jakiejś sumy na sprawy daleko bardziej cenione przez ludzi inteligentniejszych uważa za utopię. Wprawdzie wydało siedemnaście tysięcy dolarów na budowę ratusza – dzięki przypadkowi albo polityce – lecz prawdopodobnie przez sto lat nie wyda podobnej sumy na żywe umysły – na tę prawdziwą treść, którą należałoby wypełnić ów zrąb. Sto dwadzieścia pięć dolarów przeznaczonych rocznie na utrzymanie sali wykładowej w zimie to mądrzejszy wydatek niż każdy inny w podobnej wysokości ponoszony z kwot zebranych w miasteczku. Jeżeli żyjemy w dziewiętnastym wieku, dlaczego nie mielibyśmy się cieszyć jego zaletami? Dlaczegoż życie nasze ma być w pewnym sensie prowincjonalne? Jeżeli chcemy czytać prasę, dlaczego nie mielibyśmy darować sobie bostońskich plotek i od razu nie wziąć do rąk gazety najlepszej, zamiast karmić się mlekiem prasy z „rodziny neutralnej” albo paść „Gałązkami Oliwnymi”<sup>8</sup> tutaj w Nowej Anglii? Sprawmy, aby napływały do nas raporty od wszystkich wykształconych społeczeństw, a przekonamy się, czy one rzeczywiście coś wiedzą. Dlaczegoż mielibyśmy pozwolić, aby Harper & Brothers oraz Redding & Co<sup>9</sup> dobierały nam lekturę? Podobnie jak arystokrata o wyszukany smaku otacza się wszystkim, co składa się na jego kulturę, a mianowicie: nauką, rozumem, dowcipem, książkami, malarstwem, rzeźbą, muzyką, instrumentami filozoficznymi i tym podobnymi bogactwami, tak niechaj postępuje miasteczko – niech nie staje jak wryte przed pedagogiem, pastorem, kościelnym, biblioteką parafialną i trzema radnymi miejskimi. Wszak nasi dziadowie Pielgrzymi<sup>10</sup> przeżyli niegdyś z nimi mroźną zimę na niegościnnej skale. Kolektywne działanie zgodne jest z duchem naszych instytucji. Sądzę, że mając bardziej sprzyjające warunki dysponujemy środkami większymi aniżeli ów arystokrata. Nowa Anglia może nająć i wyżywić wszystkich mądrych ludzi na świecie, byleby przybyli ją kształcić – skończy wówczas z prowincjonalizmem. Takiej niepowszechnej szkoły nam brakuje. Zamiast arystokracji rodowej, niechaj żyje u nas arystokracja duchowa. Jeżeli trzeba, pójdźmy wzdłuż rzeki, omińmy jeden most, a trochę dalej przerzućmy przynajmniej jedno przęsło nad mroczną zatoką niewiedzy obmywającą nasze brzegi.

---

<sup>8</sup> Woryg. „Olive Branches” – tygodnik wydawany przez koła duchownych w Bostonie.

<sup>9</sup> Harper & Brothers, Redding & Co – wydawnictwa amerykańskie.

<sup>10</sup> Właściwie: Ojcowie Pielgrzymi – przybyli na „Mayflower” purytanie.

# Dźwięki

Aczkolwiek gdy ograniczamy się do literatury, choćby najbardziej doborowej i klasycznej, i czytamy tylko w określonych językach przelanych na papier, które są ledwie prowincjonalnymi gwarami, narażamy się na niebezpieczeństwo zapomnienia języka faktów i zdarzeń, pozbawionego metafor, a jedynie on jest płodny i może stanowić wzór. Wiele się publikuje, niewiele jednak drukuje. Gdy otworzymy na oścież okiennicę, natychmiast zapominamy, że przedzierały się przez nią promienie słońca. Żadna metoda ani wykształcony nawyk nie zastąpi konieczności czuwania w pogotowiu. Czym jest rozwój historii, filozofii czy poezji, nawet tej najcelniej dobranej, najdoskonalszego społeczeństwa czy najbardziej godnego podziwu trybu życia w porównaniu z nawykiem dostrzegania zawsze tego, co można dostrzec? Czy będziesz czytelnikiem, to znaczy ledwie uczniem, czy obserwatorem? Odczytuj swój los, patrz na to, co przed tobą, i wędruj w przyszłość<sup>1</sup>.

Przez pierwsze lato nie czytałem książek; okopywałem fasolę. Skądże, często lepiej spędzałem czas. Niekiedy nie stać mnie było na poświęcenie kwiatu chwili bieżącej i zajmowanie się jakąkolwiek pracą – ani umysłową, ani fizyczną. Uwielbiam mieć w życiu dużą swobodę. Bywały takie letnie dni, gdy wzięwszy jak zwykle kąpiel, cały poranek – od wschodu do południa – spędzałem siedząc w słońcu na progu, zatopiony w myślach, pośród sosen, hikor i sumaków, w niezmaconej samotności i spokoju, a wkoło śpiewały ptaki albo przemykały bezszelestnie przez mój dom, dopóki słońce nie przypomniało mi o upływie czasu zaglądając w okno od zachodu czy też z odległej drogi nie doleciał turkot wozu jakiegoś podróźnego. W taki czas rosłem niby kukurydza w nocy<sup>2</sup> i dawał mi on więcej zadowolenia, aniżeli gdybym wykonywał jakąkolwiek pracę rękami. Nie był to czas, który należałoby odjąć z mojego życia, lecz dodany do niego i o wiele bogatszy. Zdałem sobie sprawę z tego, co ludzie Wschodu rozumieją przez kontemplację i zaniechanie zajęć. Przeważnie nie zważałem na to, która jest godzina. Dzień posuwał się naprzód jak gdyby po to, abym w jego świetle wykonywał jakąś pracę; tymczasem wstał ranek i oto zapada już wieczór, lecz ja nie dokonałem niczego pamiętnego. Zamiast śpiewać tak jak ptaki, w ciszy uśmiechałem się do swojego niezmiennie sprzyjającego losu. Podobnie jak wróbel na hikorze przed moimi drzwiami wyśpiewywał swój tryl, ja wydobywałem z gardła chichot lub stłumiony szcze-

---

<sup>1</sup> Pierwsze zdanie tego akapitu wynika z treści poprzedniego rozdziału. W ten sposób Thoreau łączył pozornie nie związane ze sobą rozdziały książki. Istotne jest również to, że dźwięki opisane w tym rozdziale występują w porządku chronologicznym, tzn. Thoreau zaczyna od porannych i przez popołudniowe, wieczorne i nocne dochodzi znów do porannych. W ten sposób rozdział stanowi streszczenie dnia, podobnie jak cała książka streszczenie roku. Rozdział ten kończy się motywem odnowy – odnowy świtu, podobnie jak cała książka odnowy wiosny.

<sup>2</sup> Kukurydza należy do najszybciej rosnących warzyw.

biot, który pewnie go dolatywał z mojego gniazda. Dni moje nie były dniami tygodnia z wyciśniętym na nich piętnem pogańskiego bożka<sup>3</sup> ani nie były przemielone na godziny czy podzielone na drobinki przez tykanie zegara; żyłem podobnie jak Indianie Puri<sup>4</sup>, którzy podobno jednym i tym samym słowem nazywają dzień wczorajszy, dzisiejszy i jutrzejszy; różnicę między nimi wyrażają przez wskazywanie do tyłu, gdy mają na myśli wczoraj, do przodu, gdy mówią o jutrze, i do góry, gdy idzie im o dzień, który właśnie upływa<sup>5</sup>. W oczach mieszkańców naszego miasteczka uchodziło to za czyste nieróbstwo – niewątpliwie; aliści gdyby oceniały mnie według swoich kryteriów ptaki i kwiaty, zdałbym u nich egzamin. Impuls do codziennych zajęć człowiek musi znaleźć w sobie samym. Dzień jako taki jest bardzo spokojny i trudno, aby zganił człowieka za jego próżniactwo.

Przynajmniej tę przewagę miałem w swoim sposobie życia nad tymi, którzy zmuszeni byli szukać rozrywek za granicą, w towarzystwie czy teatrze, że samo moje życie stanowiło dla mnie rozrywkę i zawsze miało mi coś nowego do zaoferowania. Było sztuką teatralną o wielu odsłonach i bez zakończenia. Gdybyśmy istotnie zawsze żyli i porządkowali swoje życie według ostatniego i najlepszego ze sposobów, jakiego się nauczyliśmy, nigdy by nas nie nękała nuda. Trzymaj się podszeptów własnego ducha, a cię nie zawiedzie, i w każdej godzinie roztoczy przed tobą nowe perspektywy. Prace domowe stanowiły przyjemną rozrywkę. Gdy podłoga była brudna, wstawiałem wczesnie, wynosiłem wszystkie meble z domu na trawę, to znaczy łóżko i jego ramę tworzące całość, po czym zlewałem podłogę wodą, sypałem na nią biały piasek ze stawu i szorowałem szczotką do czysta – deski robiły się bielusiętkie; zanim mieszkańcy miasteczka zaspokoili głód, poranne słońce wysuszyło mój dom na tyle, że znów mogłem się do niego wprowadzić niemal nie przerywając swoich rozmyślań. Miło było patrzeć na cały mój dobytek rzucony na trawę, tworzący małą stertę podobną do cygańskiego tłumoka, i na ustawiony wśród sosen i hikor stół o trzech nogach, z którego nie usunąłem książek, pióra i atramentu. Wydawały się zadowolone z tego, że wyjrzały na dwór, i chyba niechętnie wracały do izby. Niekiedy kusiło mnie, aby rozciągnąć nad nimi plandekę i rozsiaść się pod nią. Warte zachodu było ujrzeć te rzeczy w słońcu i usłyszeć, jak owiewa je swawolny wiatr – o ile bardziej interesująco wyglądają znajome przedmioty na dworze aniżeli w domu. Na pobliskiej gałęzi siedzi ptak, pod stołem rosną kocanki, pędy jeżyn oplatają mu nogi; dookoła ziemia usiana jest szyszkami sosnowymi, kolczastymi kasztanami i liśćmi poziomek. Wyglądało na to, że nasze meble: stoły, krzesła i łóżka to owe przeobrażone formy świata roślin, przeobrażone dzięki temu, że ongi przebywały jedne wśród drugich.

Mój dom zbudowałem na zboczu pagórka, tuż na skraju większego lasu, pośród młodego zagajnika sosen smołowych i hikor, sześć prętów od stawu, do którego stokiem pagórka prowadziła wąska ścieżka. Przed domem rosły poziomki, jeżyny, kocanki, dziurawiec i nawłóć, krzewiny dębu, czereśnia ptasia, czarna borówka i orzech ziemny. Pod koniec maja

---

<sup>3</sup> Nazwy dni tygodnia w języku angielskim pochodzą od imion bogów pogańskich, np. od Thora (jednego z głównych bogów mitologii skandynawskiej), od Wodana (z mitologii zachodniogermańskiej z odpowiednikiem Woden w anglosaskiej).

<sup>4</sup> Plemię Indian Puri zamieszkiwało wschodnie tereny dzisiejszej Brazylii.

<sup>5</sup> Ida Pfeiffer, *A Lady's Voyage Round the World*, Nowy Jork 1852.

czereśnia ptasia, *Cerasus pumila*, zdobiła skraje ścieżki delikatnymi kwiatuśkami tworzącymi baldaszki dookoła krótkich łodyżek, a potem jesienią obwisała dużymi ładnymi czereśniami układającymi się promieniście w wianuszki. Skosztowałem ich, aby przypodobać się Naturze, chociaż były prawie niejadalne. Obok domu rósł wybujął sumak, *Rhus glabra*, przedzierając się przez usypane przeze mnie obwałowanie; w pierwszym roku wyrósł na pięć, sześć stóp w górę. Miał ładny szeroki, pierzasty liść tropikalny, lecz patrząc na niego odnosiło się dziwne wrażenie. Późną wiosną z suchych patyków, które wydawały się martwe, nagle wystrzelały duże pąki i jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozwijały się w pełne wdzięku zielone delikatne gałęzie o średnicy cala; czasami, gdy siedziałem przy oknie, tak niefrasobliwie się rozrastały wystawiając na próbę swoje słabe węzły, że zdarzało mi się słyszeć, jak młoda i delikatna gałąź pada nagle na ziemię niby wachlarz, podczas gdy powietrze stało nie poruszone najlżejszym powiewem – gałąź łamała się pod własnym ciężarem. W sierpniu wielkie skupiska jagód, które kwitnąc zwabiały gromady dzikich pszczoł, stopniowo nabierały jasnofioletowej aksamitnej barwy; delikatne gałązki uginały się pod ich ciężarem i łamały.

Gdy siedzę przy oknie dziś w letnie popołudnie, nad moją polanką szybują jastrzębie; gromada gołębi frunących szparko dwójkami i trójkami zasłania mi nagle widok, a potem usadawia się wierząc na gałęziach sosny wejmutki za moim domem i rozpoczyna gruchanie; rybołów marszczy lustrzaną powierzchnię stawu i wyciąga rybę; norka wymyka się chyłkiem z mokradła przed drzwiami domu<sup>6</sup> i na brzegu dopada żabę; turzyca ugina się pod ciężarem gajówek przemykających to tu, to tam; przez ostatnie pół godziny dolatuje mnie turkot pociągu wywożącego podróżnych z Bostonu, a to zamierający, a to narastający niby furkot skrzydeł kuropatwy. Albowiem nie żyłem tak jak ów chłopak, który podobno został oddany na służbę do farmera we wschodniej części miasteczka, lecz niebawem uciekł i wrócił do domu obdarty i stęskniony. Nigdy przedtem nie zdarzyło mu się widzieć takiego nudnego i położonego na uboczu miejsca; wywędrowali stamtąd wszyscy, ba, nawet nie słysząc było gwizdka! Wątpię, czy teraz znajdzie się w Massachusetts takie miejsce:

Wieś nasza, prawdę mówiąc, ledwie dzisiaj punktem  
Na drodze jednej z owych szybkobieżnych strzał, co  
Przelatując kojący dźwięk wydają – Concord.<sup>7</sup>

Około stu prętów na południe od mojego domu Kolej Fitchburska dochodzi do samego stawu. Do miasteczka wędruję zazwyczaj jej nasypem i jak gdyby łączy mnie ona ze społeczeństwem. Kolejarze w pociągach towarowych, pokonujący cały odcinek tej drogi, kłaniają mi się jak staremu znajomemu – mijają mnie tak często, że najwyraźniej uchodzę w ich oczach za kolejarza; nim też jestem. Chętnie bym naprawiał tory biegnące gdzieś po orbicie ziemi.

Gwizd lokomotywy przeszywa moje lasy w lecie i zimie, podobny do pisku jastrzębia frunącego nad podwórzem gospodarskim, i powiadamia mnie, że w obręb miasteczka przy-

---

<sup>6</sup> Jak wykazały badania nad tekstem, fragment zdania o norce został przez Thoreau dodany później, po wyprowadzeniu się znad Waldenu, kiedy to autor już zapomniał, że z jego chaty nie widać było mokradła.

<sup>7</sup> Ellery Channing, *Walden Spring*, z tomu *The Woodman and Other Poems*. Przełożył Piotr Sommer.

bywa gromada ruchliwych miejskich kupców albo że z przeciwnej strony nadciągają żądni przygód wiejscy handlarze. A gdy się znajdą pod jednym horyzontem, ich nawoływania do zmiany toru na przeciwny rozlegają się w obrębie dwóch miast. Oto, moja wsi, przybywają twoje artykuły spożywcze! Oto, wieśniacy, wasze racje żywnościowe! Bo też nie ma ani jednego na tyle niezależnego farmera, aby mógł powiedzieć im „nie”. A tu zapłata za to wszystko! – rozlega się przeraźliwy gwizdek wieśniaka; drewniane bale niby długie tarany zbliżają się do murów miasta dwadzieścia mil na godzinę, jak również krzesła, których jest dość, aby wystarczyło dla wszystkich spracowanych i obciążonych<sup>8</sup> mieszkańców w obrębie murów. Z taką to wielką, acz niezdarną uprzejmością wieś podaje krzesło miastu. Ogołocono wszystkie należące do Indian wzgórze jagodowe, przetrzebiono na użytek miasta wszystkie łąki, na których rosły żurawiny. Wiozą do miasta bawełnę, wywożą tkaniny; wwożą jedwab, wywożą wełnę; wwożą książki, lecz wywożą rozum, który je płodzi.

Ziemia zdaje się miejscem zamieszkanym przez godne tego plemię, gdy spotykam lokomotywę z orszakiem wagonów, mknącą niby planeta, a właściwie kometa; albowiem obserwator nie wie, czy ta prędkość i obrany kierunek pozwolą jej kiedykolwiek wrócić do naszego systemu, skoro orbita jej nie przypomina krzywej skręcającej w naszym kierunku; mknącą jak kometa z ogonem pary wijącej się niby złocisto-srebrne wstęgi sztandaru, podobne do puszystych obłoków, jakich wiele widywałem wysoko na niebie, rozwijających swe kłęby w stronę światła – jak gdyby ten wędrujący półbóg, ten miotacz obłoków<sup>9</sup> miał wkrótce przybrać swój orszak w liberię z płonącego zachodem nieba. Ziemia zdaje się miejscem zamieszkanym przez godne tego plemię, gdy słyszę, jak ten żelazny rumak zmusza pobliskie wzgórze, aby odbijały echem jego chrapanie, które przypomina huk grzmotu, jak jego kopyta wstrząsają ziemią, jak z nozdrzy bucha mu dym i ogień (nie wiem, jaki skrzydlaty koń czy ognisty smok zostanie bohaterem nowej Mitologii)<sup>10</sup>. Gdyby wszystko

---

<sup>8</sup> „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni, a ja wam dam ukojenie.” Nowy Testament, Ewangelia św. Mateusza 11,28.

<sup>9</sup> Zeus był między innymi panem nieba, światła i piorunów.

<sup>10</sup> Można znaleźć wiele paraleli między tym fragmentem a ustępem ze Starego Testamentu, z Księgi Joba 39, 19-25.

Czy ty dajesz koniowi siłę,  
odziewasz jego kark w grzywę?  
Czy każesz mu podskakiwać jak  
szarańcza?  
Jego dumne rżenie sieje postrach.  
Drze kopytami ziemię, dumny  
ze swej siły, wybiega na spotkanie zbrojnych.  
Drwi z trwogi i nie lęka się, i nie ustępuje przed mieczem.  
Na nim chrzęści kołczan, błyszczą oszczep i dzida.  
Wśród zgiełku i hałasu pochłania  
przestrzeń  
i na głos trąby nie ustoi spokojnie.  
Ilekroć zabrzmie trąba, zarży: Iha!  
i z daleka wyczuwa bitwę,  
gromki głos dowódców i okrzyk



było takie, jakie się wydaje, i gdyby ludzie uczynili z żywiołów swe sługi w szlachetnych celach! Gdyby chmura wisząca nad lokomotywą była oparem potu wyciśniętego przy dokonywaniu bohaterskich czynów albo gdyby spełniała podobnie dobroczynną rolę jak ta, która przepływa nad polami farmera, wówczas żywioły i sama Natura z radością by towarzyszyły ludziom w wykonywaniu ich zadań i stanowiłyby ich eskortę.

Mam to samo uczucie patrząc na przejeżdżający rano pociąg, co obserwując wschód słońca, które bynajmniej nie wstaje z większą regularnością. Orszak obłoków ciągnący się daleko za wagonami, ulatujący coraz to wyżej do nieba, podczas gdy wagony pędzą do Bostonu, zasłania na chwilę słońce i rzuca cień na moje odległe pole – oto niebiański pociąg<sup>11</sup>, przy którym orszak malutkich wagonów uczepionych ziemi jest ledwie wąsem włócznie. W dzisiejszy zimowy ranek stajenny doglądający tego żelaznego konia wstał wcześniej, przy świetle gwiazd migocących wśród gór, aby nakarmić i osiodłać swego rumaka. Ogień również rozbudzono wcześniej, aby napełnić rumaka siłami witalnymi i wyprawić w drogę. Gdyby tylko owo przedsięwzięcie było równie niewinne, jak wczesna była pora! Kiedy ziemię pokrywa głęboki śnieg, rumakowi wkłada się rakiety śnieżne i tym gigantycznym pługiem orze on bruzdę od gór do morza, w której wagony niby sunący za pługiem siewnik wysypują – miast ziarna na pole – wszystkich wędrowców i ruchomości. Ognisty rumak fruwa nad krajem przez cały dzień, a przystaje jedynie po to, aby jego pan mógł wypocząć; o północy, gdy w odległej leśnej kotlinie stawia czoło żywiołom zakutym w lód i śnieg, budzi mnie stukot jego kopyt i prowokujące parskanie; do stajni dotrze ledwie o świtaniu i znów wyruszy w drogę bez odpoczynku czy drzemki. Być może słyszę go niekiedy wieczorem, jak w stajni wypuszcza zbędną parę nie zużytą w ciągu dnia, aby przez kilka godzin żelaznej drzemki uspokoić nerwy, ostudzić wątrobę i mózg. Gdyby tylko owo przedsięwzięcie było równie bohaterskie i imponujące, jak jest przewlekłe i niestrudzone!

Hen, przez ciągnące się z dala od miasteczek odludne lasy, w które ongi zapuszczał się myśliwy tylko za dnia, mkną teraz przez najciemniejszą noc owe oświetlone wagony bez wiedzy ich mieszkańców; zatrzymują się a to na jarzącej się światłem stacji w miasteczku czy mieście, oczekiwane przez tłum ludzi, a to znów na Ponurych Moczarach<sup>12</sup> płosząc sowę i lisa. Odjazdy i przyjazdy pociągów to teraz epokowe wydarzenia w życiu miasteczka. Pociągi odjeżdżają i przybywają z taką regularnością i punktualnością, a ich gwizd słychać z tak daleka, że farmerzy nastawiają sobie według nich zegary – w ten oto sposób jedna dobrze zorganizowana instytucja reguluje życie kraju. Czyż odkąd wynaleziono kolej, ludzie nie stali się bardziej punktualni? Czy nie rozmawiają i nie myślą szybciej na stacji kolejowej aniżeli na postoju dyliżansów? W atmosferze tej pierwszej jest coś elektryzującego. Zdumiewające, jak cudownie oddziałuje owo miejsce; mam sąsiadów, którzy – jak powinienem był to przewidzieć raz na zawsze – aczkolwiek nigdy by się nie udali do Bostonu tak szybkim środkiem lokomocji, to jednak, gdy odezwał się dzwon, stali w gotowości. Działać „w stylu kolei” stało się teraz powiedzeniem na czasie i należy cenić sobie fakt, że jakaś

---

wojenny.

<sup>11</sup> Odniesienie do satyry Nathaniela Hawthorne'a *The Celestial Railroad* (Niebiański pociąg).

<sup>12</sup> Ponure Moczary (Dismal Swamp) – podmokłe tereny w południowo-wschodniej Wirginii i północno-wschodniej Karolinie Północnej.

siła daje nam tak częste i szczerze ostrzeżenia, aby usunąć jej się z drogi. Albowiem na ogół nikt się nie zatrzymuje, by przeczytać ustawę o wzniecaniu buntów, ani nie oddaje strzałów nad głowami tłumu. Stworzyliśmy sobie boginię losu Atropos, która nigdy się nie odwraca<sup>13</sup>. (Niech nią będzie nasza lokomotywa.) Ludzie czytają anonse, że o takiej to a takiej godzinie strzały owe pomkną w konkretne punkty koła, nikomu to jednak nie przeszkadza w jego zajęciach i dzieci chodzą do szkoły przeciwnym torem. Dzięki temu żyjemy spokojniej. W taki oto sposób wszystkich nas wyuczono na synów Telia. W powietrzu aż się roi od niewidzialnych strzał. Każda droga prócz twojej własnej jest drogą losu. Przeto trzymaj się własnego toru.

To, co cenię sobie w handlu, to jego przedsiębiorczość i odwagę. Nie składa on rąk do modlitwy, aby wznosić ją do Jowisza. Widzę, jak z większą czy mniejszą odwagą i zadowoleniem ludzie ci doglądają codziennie swoich interesów wykonując nawet więcej pracy, aniżeli sami zakładają, i być może lepiej ją wykonują, aniżeli świadomie by to sobie narzucili. Mniejsze wrażenie robi na mnie bohaterstwo tych, którzy w bitwie pod Buena Vista<sup>14</sup> przez pół godziny stawiali czoło przeciwnikowi w pierwszej linii, aniżeli wytrwałość, męstwo i pogoda ludzi, którzy w pługu śnieżnym szukają zimowej siedziby, których do czynu nie pcha tylko odwaga, na jaką można się zdobyć o trzeciej nad ranem – uważana przez Bonapartego za najrzadszą – lecz których męstwo nie udaje się na spoczynek o tak wczesnej porze, którzy kładą<sup>15</sup> się spać, dopiero wówczas gdy ucicha burza albo gdy mróz usidli ich żelaznego rumaka. W dzisiejszy poranek, gdy być może szaleje jeszcze Wielka Śnieżyca<sup>16</sup> i mrozi w ludziach krew, słyszę stłumiony dźwięk dzwonu ich lokomotywy, przebijający się przez tuman mgły z oziębionej pary ich oddechów; stłumiony dźwięk dzwonu, który zapowiada, że pociąg nadjeżdża bez wielkiego opóźnienia, nie zważając na sprzeciw szalejącej na północnym wschodzie nowoangielskiej śnieżycy; widzę ludzi przy pługach, obsypanych śniegiem i pokrytych szronem – głowy ich wyglądają znad odkładnicy pługów, która odwraca teraz inne skiby aniżeli te pełne stokrotek i gniazd polnych myszy<sup>17</sup>, i przypominają otoczaki w górach Sierra Nevada, zajmujące miejsce na skraju wszechświata.

Handel jest nadspodziewanie pewny siebie i pogodny, czujny, żądny przygód i niezadowolony. A przy tym stosuje bardzo naturalne metody, daleko bardziej naturalne aniżeli

---

<sup>13</sup> Mowa o jednej z trzech greckich bogiń losu i przeznaczenia. Atropos (Nieodwracalna) przecinała nić ludzkiego losu, którą przędły Kloto (Przędka) i Lachezis (Obdarzająca).

<sup>14</sup> W bitwie tej, rozegranej w północnym Meksyku podczas Wojny Meksykańskiej w 1847 r., wojska amerykańskie powstrzymały groźny atak przeciwników. Thoreau występował przeciwko tej wojnie, jego zdaniem bowiem miała ona na celu zdobycie nowych terenów, na których wprowadzono by niewolnictwo. Pisze o tym w eseju *Obywatelskie nieposłuszeństwo*.

<sup>15</sup> W *Le Mémorial de Sainte-Hélène*, pamiętnikach, które ukazały się w 1823–24 r., markiz Las Cases, wierny towarzysz Napoleona i redaktor tekstu, wyjaśnia, że „przez odwagę, na jaką można się zdobyć o drugiej nad ranem” (Thoreau mylnie zapamiętał „o trzeciej”), Napoleon rozumiał odwagę odczuwaną doraźnie, zryw, w przeciwieństwie do odwagi mającej głębsze podstawy.

<sup>16</sup> Wielka Śnieżyca nawiedziła część wschodniego wybrzeża Ameryki w 1717 r. Opisał ją szczegółowo Cotton Mather. Patrz też: *Ogrzewanie domu*, przyp. 18, i *Poprzedni mieszkańcy...* przyp. 18.

<sup>17</sup> Odniesienie do dwóch wierszy Roberta Burnsa *To a Mouse* (Do myszy) i *To a Mountain Daisy* (Do górskiej stokrotki).

wiele ekscentrycznych przedsięwzięć i sentymentalnych eksperymentów, stąd też odnosi niepowszednie sukcesy. Gdy mija mnie z turkotem pociąg towarowy, czuję się jak gdyby pokrzepiony i jak gdyby rozszerza się moje pole działania – wdycham zapachy transportowanych towarów, które rozsiewają swoją woń przez całą drogę od Długiego Nabrzeża do jeziora Champlain<sup>18</sup>, przypominając mi o obcych krajach, o rafach koralowych, oceanach indyjskich, strefach tropikalnych i rozmiarach globu. O ileż bardziej się czuję obywatelem świata, gdy widzę liść palmowy, który w przyszłym roku w lecie okryje tyle płowych głów w Nowej Anglii<sup>19</sup>, gdy widzę konopie z Manili, łupiny orzechów kokosowych<sup>20</sup>, stare rupiecie, worki jutowe, złom i zardzewiałe gwoździe. Ten wagon załadowany podartymi żaglami jest bardziej wymowny i interesujący teraz, niż gdyby przerobiono je na papier i wydrukowane książki. Kto może opisać historię przebytych sztormów tak obrazowo jak owe poszarpane szmaty? Są one arkuszami korekty nie wymagającej poprawek. Oto jedzie budulec z lasów Maine, który nie spłynął do morza wraz z ostatnim potokiem i podniósł się w cenie o cztery dolary na tysiącu, albowiem część bali woda porwała do morza, inne zaś popękały<sup>21</sup>; sosna, świerk, cedr – pierwszej, drugiej, trzeciej i czwartej jakości, a do niedawna wszystkie jednej i tej samej, szumiały nad niedźwiedziem, łosiem i karibiu. Dalej toczy się lipa z Thomaston, najprzedniejsza partia towaru, która zmięknie dopiero hen głęboko wśród wzgórz. Te gałgany w belach wszelkich barw i jakości, najniższy stan, do jakiego może upaść bawełna i len, ostatnie stadium garderoby – we wzory już nie zachwalane, chyba że w Milwaukee, podobnie jak wspaniałe tkaniny drukowane w Anglii, Francji czy Ameryce, materie z farbowanej przędzy, muśliny i tak dalej, zebrane wśród wszystkich sfer elegancji i ubóstwa zostaną przerobione na papier w jednym kolorze czy ledwie kilku odcieniach, na którym zaiste powstaną opowieści z prawdziwego życia, wzniosłe i przyziemne, oparte na faktach! Zapach solonej ryby wydobywający się z zamkniętego wagonu, mocna woń Nowej Anglii i handlu przypomina mi o Grand Banks i rybołówstwie<sup>22</sup>. Kto nie widział solonej ryby trwale zakonserwowanej na użytek tego świata, tak aby nic nie było w stanie jej popsuć, przyprawiającej wytrwałych świętych o rumieniec? Ryby, którą można zamiatać czy brukować ulice albo też łupać drwa na podpałkę; ryby, za którą woźnica wraz z towarem może się schronić przed słońcem, wiatrem i deszczem, a kupiec – jak to zrobił jeden z Concord<sup>23</sup> – może ją powiesić przy drzwiach na znak, że sklep jest otwarty, aż ostatecznie najstarszy z jego klientów nie będzie potrafił bez wahania rozpoznać, czy to zwierzę, roślina czy minerał<sup>24</sup>, wszelako ryba zachowa czystość płątka śniegu, ugotowana

---

<sup>18</sup> Długie Nabrzeże (Long Wharf) – główne nabrzeże rozładunkowe w porcie bostońskim. Jezioro Champlain położone jest na granicy stanów Nowy Jork i Vermont.

<sup>19</sup> Z liści palmowych wyrabiano wówczas kapelusze na lato.

<sup>20</sup> Z łupin orzechów kokosowych wyrabiano wszelkiego rodzaju maty.

<sup>21</sup> Thoreau często był w lasach Maine, gdzie zaobserwował to niszczycielskie działanie wezbranych wiosną potoków.

<sup>22</sup> Grand Banks – wielkie łowiska na południowy wschód od Nowej Fundlandii.

<sup>23</sup> W dzienniku Emersona znajduje się notatka wskazująca na to, że Thoreau miał na myśli autentyczną osobę, kupca nazwiskiem Deacon Parkman (*Journal*, V, 36-37).

<sup>24</sup> Thoreau najprawdopodobniej robi tu aluzję do podziału stosowanego w modnej również wówczas grze „Dwadzieścia pytań”.

zaś w garnku, okaże się doskonałym daniem na sobotni obiad. Następnie jadą hiszpańskie wyprawione skóry, przy których ogony nadal sterczą zagięte pod tym samym kątem, jak wówczas gdy skóry należały do wołów galopujących po pampasach Równiny Hiszpańskiej<sup>25</sup> – oto symbol wszelkiej zawziętości, dowód na to, jak niemal beznadziejnie nieuleczalne są wszelkie wady ustrojowe. Przyznaję, że praktycznie biorąc, odkąd poznałem rzeczywiste predyspozycje człowieka, nie mam nadziei na to, aby na tym padole uległy one zmianie na lepsze czy gorsze. Jak powiadają ludzie Wschodu: „Ogon kundla można ogrzewać, przyciskać czy wiązać tasiemkami, lecz nawet po dwunastu latach podobnych wysiłków zachowa swój naturalny kształt.” Jedyna skuteczna rada na tego rodzaju zawziętość to przerabianie owych ogonów na klej – co też, w moim przekonaniu, jest ogólnie stosowaną praktyką – a wówczas leżą płasko przylepione. Oto beczka melasy albo winiaku, adresowana do Johna Smitha w Cuttingsville w stanie Vermont, jakiegoś kupca z Gór Zielonych, który importuje towary dla farmerów zamieszkujących okolice jego polany; dziś rano stoi on, być może, za kontuarem i rozmyśla o tym, jaki wpływ mogą mieć najnowsze dostawy do portów na wyznaczane przez niego ceny, a klientom wyjaśnia – tak jak czynił to już razy dwadzieścia – że właśnie najbliższym pociągiem spodziewa się dostawy towaru pierwszej jakości. Anons o tym zamieszcza „Cuttingsville Times”.

Jedne towary jadą w tamtą stronę, inne w przeciwną. Słyszac świsł podnoszę głowę znad książki i widzę wysoką sosnę, którą ścięto wśród odległych północnych wzgórz i która przemknęła w dziesięć minut przez Góry Zielone i Connecticut niby strzała przez okrąg sześciu mil kwadratowych; nie dostrzegła jej chyba żadna inna para oczu, a ma ona

być masztem dla  
Jakiegoś wielkiego admirała<sup>26</sup>.

Lecz nastawcie uszu! Oto nadjeżdża pociąg wiozący bydło z tysiąca wzgórz<sup>27</sup>, zagrody dla owiec, stajnie i zagrody dla krów wirujące w powietrzu, poganiaczy z kosturami i pastuchów wśród stad, wszystko prócz górskich pastwisk, przygnane tu niby liście wydarte górom przez wrześnie zawieruchy. W powietrzu rozlega się muczenie cieląt i beczenie owiec oraz tupot wołów, jak gdyby obok mnie przejeżdżała pasterska dolina. Gdy stary baran, przewodnik stada, podzwania dzwonkiem, góry istotnie podskakują jak barany, a pagórki niby jagnięta<sup>28</sup>. Pośród tego jedzie wagon pełen poganiaczy zrównanych ze swymi stadami – chociaż powołanie ich do tego zajęcia na nic się już przyda, nadal trzymają się bezużytecznych kosturów niby godła zawodu. A gdzie podziały się owczarki? Wpadły w popłoch, są zupełnie zbite z tropu, straciły węch. Chyba słyszę ich szczekanie za Wzgórzami Peterboro albo też ich zdyszany oddech na zachodnich zboczach Gór Zielonych. Zabraknie

---

<sup>25</sup> Równiną Hiszpańską (Spanish Main) nazywano pierwotnie północne wybrzeże Ameryki Południowej od Przesmyku Panamskiego do ujścia Orinoko, potem zaś nazywano tak Morze Karaibskie, szczególnie strefę przy północnym wybrzeżu Ameryki Południowej, na pamiątkę rejsów hiszpańskiej floty handlowej między półkulą zachodnią a wschodnią.

<sup>26</sup> John Milton, *Raj utracony*, I, 293-294.

<sup>27</sup> „Mój bowiem jest wszelki zwierz leśny, /Tysiące zwierząt na górach.” Stary Testament, Księga Psalmów 50, 10.

<sup>28</sup> „Góry podskakiwały jak barany, /Pagórki jak jagnięta.” Stary Testament, Księga Psalmów 114, 4.

tych psów w najbardziej ważkiej chwili. Ich zawód również stał się niepotrzebny. Wierność i mądrość spadły poniżej przeciętnej. Powrócą owczarki w niełasce do swych bud lub może zdziczeją i sprzymierzą się z wilkiem i lisem. Tak to przeminie porwane w wir pasterskie życie. Lecz oto odzywa się dzwon, muszę więc zejść z szyn, aby przepuścić wagony –

A jaki szyny mają dla mnie sens?

Nigdy nie sprawdził,

Gdzie ich kres.

Dziury w ziemi łatają,

Jaskółkom w nasypach żyć dają,

Za ich przyczyną piach się z wiatrem zrywa,

I czarnych jagód przybywa,<sup>29</sup>

przechodzę jednak przez tory jak przez leśny trakt dla wozów. Nie chcę, aby dym, para i syk pociągu wyłupiły mi oczy i popsuły słuch.

Teraz, gdy wagony już pojechały w dal, a wraz z nimi cały niespokojny świat, tak że ryb w stawie już nie niepokoi dudnienie kół, jestem bardziej sam aniżeli kiedykolwiek. Resztę długiego popołudnia poświęconego na rozmyślania przerwie mi, być może, tylko cichy turkot powozu lub zaprzęgu na odległej drodze.

Niekiedy w niedziele przy sprzyjającym wietrze dochodziło mnie bicie dzwonów w Lincoln, Acton, Bedford czy Concord – nikła, słodka melodia, jak gdyby dzieło Natury, które warto było przenieść do leśnej głuszy. Dźwięk ten niesiony przez las z dostatecznie dużej odległości nabiera pewnego rodzaju wibrującego poszumu, jak gdyby igły sosnowe na horyzoncie były strunami szarpanej przez niego harfy. Wszelkie dźwięki dolatujące z największej odległości robią jedno i to samo wrażenie – wibrują niby harfa wszechświata, podobnie jak za sprawą atmosfery odległa krawędź ziemi przyciąga nasze oko swym błękitnym zabarwieniem. Dolatywała mnie zatem melodia przesiana przez powietrze, melodia, która prowadziła rozmowę z każdym liściem i igłą w lesie, owa porcja dźwięków wchłonięta i modulowana przez żywioły, odbijająca się echem z jednej dolinki do drugiej. Echo to w pewnym stopniu dźwięk pierwotny, stąd też jego magia i urok. Nie jest ledwie powtórką tego, co warto powtórzyć w dzwonie, lecz w pewnej mierze jest głosem lasu – te same błahe słowa i nuty śpiewane przez leśną nimfę.

Wieczorem porykiwanie krowy gdzieś w oddali na horyzoncie, hen za lasem brzmiało słodko i melodyjnie, toteż najpierw wziąłem je mylnie za głosy minstreli śpiewających mi niekiedy serenady, teraz atoli błędzących może przez wzgórza i doliny; niebawem jednak głosy owe przerodziły się w tandetną muzykę Natury – w krowi ryk, co nie było dla mnie niemiłą niespodzianką. Nie chcę tu posługiwać się satyrą, lecz tylko stwierdzić, że przez porównanie krowiego porykiwania do śpiewu owych młodzieńców pragnąłem jedynie wyrazić dla nich podziw – ostatecznie i jedna muzyka, i druga były tą samą mową Natury.

Przez część lata regularnie o wpół do ósmej, gdy już przejechał wieczorny pociąg, kozo-  
doje siadały na pniaku przy drzwiach albo na kalenicy domu i przez pół godziny wyśpie-  
wywały swoje nieszpory. Zaczynały śpiewać niemal z regularnością zegarka, co wieczór w

---

<sup>29</sup> Wiersz Thoreau. Przełożył Piotr Sommer.

pięć minut po zachodzie słońca. Miałem rzadką sposobność poznania ich zwyczajów. Niekiedy słyszałem głosy czterech czy pięciu naraz z różnych stron lasu i tak się składało, że jeden śpiewał opóźniony o takt w stosunku do drugiego i tak blisko mnie, że nie tylko rozróżniałem cmoknięcie po każdej nucie, lecz często także owo szczególne brzęczenie podobne do brzęczenia muchy uwięzionej w pajęczynie, tyle że proporcjonalnie głośniejsze. Niekiedy jeden z kozodojów krążył po lesie dookoła mnie, w odległości kilku stóp, jak gdyby przywiązany na sznurku, prawdopodobnie bowiem stałem blisko jego gniazda z jajeczkami. Kozodoje śpiewały z przerwami przez całą noc, a gdy nadchodził świt, znów w pełni wznawiały muzykowanie.

Gdy inne ptaki milczą, odzywają się sowy uszate, a ich głosy przypominają lament kobiet w dawnych czasach: u-lu-lu<sup>30</sup>. To smętne zawodzenie brzmi naprawdę jak u Bena Jonsona<sup>31</sup>. Mądre więdźmy spiskujące o północy! Nie jest to szczere, otwarte: tu-lit, tu-hu, jak u poetów, lecz – bez żartów – najsmętniejsza pieśń cmentarna, wzajemne pocieszanie się kochanków, którzy popełniwszy samobójstwo przypominają sobie w gajach piekła ból i uniesienia boskiej miłości. A jednak uwielbiam słuchać ich zawodzeń, ich smutnych odpowiedzi wibrujących po skraju lasu, przywodzących na pamięć muzykę i śpiew ptaków; to jak gdyby ciemna i smutna strona muzyki, żale i westchnienia, którym należy dać upust w śpiewie. To nastroje, smętne nastroje i melancholijne przecucia upadłych dusz, które niegdyś pod ludzkimi postaciami spacerowały po ziemi jak lunatycy i popełniały ponure czyny, a teraz pokutują za grzechy śpiewając smętne hymny i treny w tej samej scenerii, w jakiej dopuszczały się wykroczeń. Dzięki nim na nowo pojmuję różnorodność i charakter owej Natury, która jest naszą wspólną siedzibą. „Ouuu, obym się nigdy nie urodziła!”<sup>32</sup> – zawodzi jedna po tej stronie stawu i doprowadzona do rozpaczki, niespokojnie fruwa wkoło szukając nowej grzędy pośród szarych dębów. Na to z przeciwnej strony stawu druga z przejmującą szczerością odpowiada echem: „Obym się nigdy nie urodziła!”, a z dala, od strony lasów w pobliżu Lincoln dolatuje słabe „urodziła”.

Serenady śpiewał mi także puchacz. Słuchając go z bliska można dojść do wniosku, że wydaje najbardziej melancholijny dźwięk w Naturze, jak gdyby chciał w ten sposób uwiecznić w swym refrenie stereotyp jęków umierającej istoty ludzkiej, jakichś biednych, słabych śmiertelnych szczątków, które utraciwszy nadzieję, wyjąć niby zwierzę, choć łkania ich są ludzkie, wkraczają w ciemną dolinę<sup>33</sup>, tym straszniejszą, że rozlega się w niej jakby melodyjne bulgotanie – przyłapuję się na tym, że usiłując je naśladować zaczynam od liter „gl” – wyrażające stan umysłu, co osiągnął stadium galaretowato-spleśniałe, albowiem wszelka zdrowa i odważna myśl została objęta gangreną. Przypominało to wycie upiórów, ludzi

---

<sup>30</sup> Thoreau zapożyczył prawdopodobnie tę onomatopieję z łacińskiego *ululo* – wyć, lamentować. *Ulula* to również łacińska nazwa gatunku sowy.

<sup>31</sup> Thoreau prawdopodobnie odnosi się tu do wersu ze sztuki Bena Jonsona *Masque of Queens*, II, 317-318: „Wołamy do cię: hu!”

<sup>32</sup> Odniesienie do 686 wersu z elegii Geoffreya Chaucera *The Book of Duchess*: „O, ja nieszczęsna, po co się urodziłam!”

<sup>33</sup> Odniesienie do *Boskiej komedii* Dantego, cz. I *Piekło*, pieśń III, 1, 9: „Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją...” Przełożył Edward Porębowicz.

niedorozwiniętych i obłąkanych. Lecz nagle z dalekich lasów dolatuje odpowiedź, której ton zdążył nabrać melodyjności: „Hu, hu, hu, hurer-hu”; i zaiste nasuwał głównie miłe skojarzenia, czy słuchało się go dniem, czy nocą, w lecie czy w zimie.

Cieszę się, że istnieją sowy. Niech sobie pohukują dla ludzi w idiotyczny i maniacki sposób. Jest to dźwięk cudownie współgrający z moczarami i lasami o zmierzchu, za dnia nie miałby tego samego wyrazu – przywodzi na myśl bezmiar pierwotnej natury, do której ludzie się nie przyznają. Są to symbole całkowitego mroku i nieprzyjemnych myśli, które nawiedzają każdego. Przez cały dzień słońce świeciło na powierzchnię dzikich moczarów, gdzie rośnie jedyny czarny świerk pokryty porostami *usnea* – kołują nad nim małe jastrzębie, sikora szczebiocze pośród zimozielonych roślin, kuropatwa i królik przyczaiły się skulone; teraz jednak budzi się bardziej mroczna i odpowiednia pora, a wraz z nią inny gatunek stworzeń, które oddadzą istotę tamtejszej Natury.

Późnym wieczorem dochodził mnie z oddali turkot furgonów na mostach – dźwięk, który niósł się w nocy najdalej ze wszystkich – ujadanie psów, a niekiedy znów muczenie jakiejś niepocieszony krowy w dalekiej oborze. Tymczasem staw rozbrzmiewał wkoło kumkaniem wielkich żab, śmiałymi odgłosami hulank dawnych opojów i biesiadników, którzy nadal nie okazując skruchy usiłovali odśpiewać kanon w tym swoim jeziorze styksowym – jeśli nimfy w Waldenie wybaczą mi to porównanie, albowiem wprowadzie nie ma w nim wodorostów, lecz są żaby – i którzy z ochotą nadal pielęgnowałyby swoje wesołe obyczaje przy dawnych stołach biesiadnych, chociaż ich głosy już ochrypli i pobrzmiwają w nich tony poważne i ponure, kpiące z uciechy, a wino straciło smak i stało się jedynie napitkiem do rozdymania ich wydatnych brzuchów, już nigdy zatem nie utopią w słodkim odurzeniu wspomnień z przeszłości, mogą się jedynie upić, przesiąknąć alkoholem i dostać wzdęcia. Jegomość najbardziej podobny do radnego miejskiego, z brodą opartą o liść lucerny, która służy za serwetki dla jego śliniących się kompanów, pod moim północnym brzegiem łyka haust niegdyś wzgardzonej wody i z okrzykiem: „trrr-u-nek, trrr-u-nek, trrr-u-nek!” podaje dalej kielich; a z odległej zatoczki dolatuje po wodzie to samo hasło, albowiem tam inny jegomość, drugi co do starszeństwa i obwodu pasa, także połknął już, co należy<sup>34</sup>; gdy zaś wszyscy dookoła stawu dopełnią już tego rytuału, mistrz ceremonii wykrzykuje z zadowoleniem: „trrr-u-nek!”, co powtarza każdy po kolei – pomyłki wykluczone – aż do jegomości z najmniej rozdętym, nieszczelnym i sflaczałym brzuchem; potem kielich zaczyna krążyć od nowa i znów od nowa, dopóki słońce nie rozproszy porannej mgły, i tylko patriarcha nie znalazł się pod stawem<sup>35</sup>, lecz nadal pokrzykuje nadaremnie od czasu do czasu „trunek” i czeka na odpowiedź.

Nie jestem pewien, czy ze swojej polanki słyszałem kiedyś pianie koguta, sądziłem atoli, że może warto by było trzymać kogucika po prostu ze względu na jego muzykalność – jako ptaka śpiewającego. Głos tego niegdyś dziko żyjącego indyjskiego bażanta należy bezsprzecznie do najznakomitszych, i gdyby można było naturalizować te ptaki, a nie oswajać,

---

<sup>34</sup> Zgodnie z dawnym zwyczajem na kielichu zaznaczano od wewnątrz, ile ma wypić każdy z uczestników biesiady.

<sup>35</sup> Thoreau ma na myśli „pod stołem”.

śpiew ich stałby się niebawem najślynniejszym dźwiękiem w naszych lasach, niezrównanym na tle krzyku gęsi i pohukiwania sowy; do tego wyobraźmy sobie gdakanie kur w przerwach, w których by milkły trąbki ich panów! Nic dziwnego, że człowiek włączył tego ptaka do gromadki ptactwa domowego – że nie wspomnę o innych korzyściach: jajkach i pieczonych udkach. Pomyślcie – spacerować po lesie w zimowy poranek, po rodzimym lesie tych ptaków, w którym jest ich tak wielka obfitość, i słuchać piania dzikich kogucików na drzewach, piania niosącego się czystym, przenikliwym głosem przez całe mile po rozbrzmiewającej dźwiękami ziemi, zagłuszającego słabsze głosy innych ptaków. Taki spacer postawiłby w pogotowiu narody. Któż by nie wstał wcześniej i nie zrywał się coraz to wcześniej w kolejne poranki życia, aż stałby się niewymownie zdrowy, bogaty i mądry?<sup>36</sup> Ów śpiew cudzoziemskiego ptaka opiewają poeci wszystkich narodów wraz z pieśniami swoich rodzimych śpiewaków. Odważnemu Kogutowi sprzyjają wszystkie klimaty. Jest nawet w większym stopniu tubylcem aniżeli mieszkańcy danego kraju. Zawsze cieszy się dobrym zdrowiem, płuca ma krzepkie, nigdy nie upada na duchu. Jego głos budzi nawet marynarza na Atlantyku czy Pacyfiku<sup>37</sup>, aczkolwiek mnie ten przeszywający ton nigdy nie wyrwał z drzemki. Nie trzymałem ani psa, ani kota, ani krowy, ani świni, ani kur, można by zatem rzec, że w moim domu brakowało domowych odgłosów – nie słychać było pokrzepiających mlaśnień maselnicy, turkotu kołowrotka, nawet czajnik nie śpiewał, nie mruczał dzbanek, nie płakały dzieci. Staroświecki mężczyzna postradałby od tego zmysły albo by umarł z nudy. Nawet szczyry nie chrobotowały w ścianach, albowiem padły z głodu czy raczej nic nie zwabiło ich do środka – jedynie wiewiórki skakały po dachu i podłodze, jedynie kozodój hałasował na kalenicy, sójka pokrzykiwała pod oknem, zając czy świstak chrobotał pod domem, sowa uszata czy puchacz pohukiwały za domem, stado dzikich gęsi i śmiejący się nur pluskały się w stawie, w nocy zaś poszczekiwał lis. Nigdy mojej polanki nie odwiedziły nawet skowronek ani kacyk – owe delikatne ptaki śpiewające na plantacjach. Na podwórzu nie piał koguty ani nie gdały kury. Nie było podwórza! – jedynie nie grodzona Natura podchodziła pod same parapety okien. Sięgał do nich młody zagajnik, do piwnicy wdierały się dzikie sumaki i krzewy jeżyn, krzepkie sosny smołowe ocierały się o szalunek i skrzypiały poszukując miejsca, wrastając korzeniami aż pod sam dom. Zamiast kubła na węgiel czy okiennicy zerwanej przez zawieruchę za domem leżała przeznaczona na opał sosna, która się złamała albo wyrwało ją z korzeniami. Zamiast brakującej ścieżki, która by prowadziła w Wielką Śnieżycę do furtki na podwórzu przed domem – nie było furtki, nie było podwórza – żadna inna ścieżka nie wiodła w cywilizowany świat!

---

<sup>36</sup> Odniesienie do angielskiego powiedzenia, którego autorem jest Benjamin Franklin, odpowiednika polskiego: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.”

<sup>37</sup> Kapitanowie z Cape Cod mieli zwyczaj zabierać na statki wielorybiczne kojec z kurami.



# Samotność

Jakiż zachwycający to wieczór, którego rozkosz całe ciało wchłania każdym swym porzem niby jednym zmysłem. Przechadzam się pośród Natury mając przedziwne uczucie wolności – jestem Jej częścią. Idąc kamienistym brzegiem stawu tylko w koszuli, aczkolwiek jest chłodno, pochmurno i wietrznie, nie dostrzegam niczego szczególnego, co by przykuło moją uwagę – stopiłem się z żywiołami. Duże żaby dmą w trąby, aby obwieścić swe wkroczenie w noc, wiatr szemrze nad wodą niosąc śpiew kozodoja. Porozumienie, jakie odczuwam z drżącymi liśćmi olchy i topoli, niemal zapiera mi dech, atoli spokój mój – podobnie jak stawu – nie został zmacony, jedynie zafalował. Owe delikatne falki, którymi wieczorny wiatr pomarszczył staw, niczym nie przypominają fal sztormowych, podobnie jak nie przypomiwałyby ich tafla gładka niby lustro. Mimo że zapanowały już ciemności, wiatr grasuje i huczy po lesie, fale biją o brzeg, jakieś stworzenia kołyszą śpiewem do snu pozostałą część Natury. Nigdy cała nie zażywa odpoczynku. Czuwają najdziksze zwierzęta i polują na żer; lis, skunks i królik buszują bez strachu po polach i lasach. Są strażnikami Natury, łącznikami poszczególnych dni aktywnego życia.

Gdy powracam do domu, zastaję ślady gości, którzy pod moją nieobecność zostawili wizytówki: czy to bukiet kwiatów, czy to wieniec z jodły, czy imię wypisane ołówkiem na żółtym liściu orzecha włoskiego, czy drewnienko. Ci, którzy rzadko chodzą po lesie, chwytają w rękę jakąś jego część, aby bawić się nią po drodze, potem zaś albo specjalnie, albo przypadkiem zostawiają ją u mnie. Ktoś odarł z kory wierzbową witkę, zwinął ją w pierścień i porzucił na moim stole. Zawsze poznawałem, czy pod moją nieobecność ktoś zawitał – a to po zgniecionych gałązkach bądź trawie, a to po śladach stóp; płęć, wiek lub gatunek gości rozpoznawałem na ogół po jakimś drobiazgu: po upuszczonym gdzieś kwiatku, po wiązce trawy zerwanej i porzuconej nawet hen na torach kolejowych odległych o pół mili lub też po snującym się zapachu cygara czy fajki. Powiem więcej, woń dymu fajkowego często powiadamia mnie, że odległym o sześćdziesiąt prętów gościńcem wędruje podróżny.

Zazwyczaj mamy dokoła siebie dość przestrzeni. Nasz horyzont nigdy się nie zacieśnia wokół naszych łokci. Gęsty las nie podchodzi aż pod nasze drzwi, staw podobnie – zawsze bowiem mamy dokoła siebie polanę, znajomą, wydeptaną przez nas samych, w taki czy inny sposób dostosowaną czy ogrodzoną, odebraną Naturze. Dlaczegoż ludzie pozostawili do mojego użytku ten ogromny teren, obwód kilku mil kwadratowych nie uczęszczanego lasu? Od najbliższego sąsiada dzieli mnie mila, w okolicy nie widać ani jednego domostwa, chyba że ze szczytów pagórków, które to same odległe są od mojego domu o pół mili. Horyzont mój tworzą lasy i w jego kręgu pozostaję zupełnie sam; z jednej strony mam odległy widok torów kolejowych podchodzących pod sam staw, z drugiej płot biegnący wzdłuż leśnej drogi. Niemniej jednak okolica, w której żyję, przypomina na ogół takie pustkowia,

jakim jest preria. W równym stopniu to Azja czy Afryka co Nowa Anglia. Mam jak gdyby własne słońce, księżyc i gwiazdy, mam swój własny mały świat. W nocy podróźni nie mijali mojego domu ani nie pukali do drzwi częściej, niż gdybym był pierwszym czy ostatnim człowiekiem, chyba że wiosną, kiedy to od czasu do czasu przychodził ktoś z miasteczka łowić miętusy – oczywiście większych połowów dokonywał w Waldenie własnej natury, a na haczyk nadziewał przynętę z ciemności – niebawem jednak się wycofywał powracając do domu zazwyczaj z lekkim koszem, aby zostawić „mnie i mrokom świat cały dookoła”; czarnego jądra ciemności człowiek nigdy nie sprofanował swoją obecnością. Myślę, że ludzie nadal się boją ciemności, chociaż powieszono już wszystkie czarownice i wkroczyło chrześcijaństwo w blasku świateł.

Wszelako wiem z doświadczenia, że najmiłsze i najserdeczniejsze, najbardziej niewinne i zachęcające towarzystwo można znaleźć w każdym tworze Natury; znajdzie je nieszczęsny mizantrop i największy melancholik. W najczarniejszą melancholię nie popadnie ten, kto żyje pośród Natury, albowiem znajduje w niej spokój dla swoich zmysłów. Jeszcze się nie zdarzyła taka burza, która by dla zdrowego, niewinnego ucha nie była eolską muzyką. Nic nie zdoła wtrącić prostodusznego i dzielnego człowieka w otchłań pospolitego smutku. Ciesząc się przyjaźnią pół roku ufam, że życie nigdy nie stanie się dla mnie ciężarem. Drobną deszcz, który skrapia dziś moją fasolę i nie pozwala mi wyjść z domu, nie jest ponury i melancholijny, mnie bowiem również dobrze robi. Wprawdzie przeszkadza mi okopywać fasolę, lecz jest o wiele bardziej pożyteczny aniżeli to moje okopywanie. Gdyby padał tak długo, że nasiona w ziemi zaczęłyby gnić, a na nizinach niszczałyby kartofle, to i tak byłby pożyteczny dla trawy rosnącej na wyżynach, a będąc pożyteczny dla trawy, przedstawiałby również wartość dla mnie. Czasami, gdy porównuję się z innymi ludźmi, wydaje mi się, że jestem bardziej aniżeli oni faworyzowany przez bogów – poza wszelkimi bezludnymi okolicami, o których mi wiadomo – jak gdybym otrzymywał z ich rąk poręczenie i zapewnienie nie dane moim ziomkom, jak gdybym miał specjalną ochronę i przewodnika. Nie pochlebiam sobie, lecz – jeżeli to możliwe – oni schlebiają mnie. Nigdy nie czułem się samotny ani w najmniejszym stopniu zgnębiony przez uczucie samotności, prócz jednego razu, a było to kilka tygodni po moim sprowadzeniu się do lasu; wówczas ogarnęły mnie na godzinę wątpliwości, czy aby zachować pogodę i zdrowie, nie powinienem koniecznie żyć w bliskim sąsiedztwie człowieka. Nieprzyjemnie czułem się sam. Zarazem jednak miałem świadomość, że popadanie w taki nastrój to lekkie szaleństwo, i przewidywałem szybko się z niego wydobyć. Padał drobny deszcz, a ja, zajęty swoimi myślami, nagle zdałem sobie sprawę, że wszak w samej Naturze znajduję przemiłe i dobroczynne towarzystwo – w głuchym kapaniu kropel, w każdym dźwięku i widoku wokół domu – bezgraniczną, niewytłumaczalną życzliwość, która niespodzianie zaczęła mnie pokrzepiać niby atmosfera, aż korzyści, jakie według swoich wyobrażeń mógłbym czerpać z towarzystwa człowieka, stały się nieistotne i od tego czasu nigdy nie powróciłem do nich myślą. Każda igielka sosny wzbierała i nabrzmiewała sympatią i okazywała mi przyjaźń. Tak wyraźnie uświadomiłem sobie, że otacza mnie coś pokrewnego, że istnieje to nawet w scenach, które przywykliśmy nazywać gwałtownymi i strasznymi, że najbliższe więzy krwi i człowieczeństwa nie łączą

mnie z żadną osobą ani mieszkańcem miasteczka, iż pomyślałem: nigdzie i nigdy nie będę się już czuł obco.

Niewczesny lament trawi żałobników;  
Policzone ich dni w krainie żywych,  
Piękna córko Toskara.<sup>1</sup>

Najprzyjemniejsze swoje godziny spędzałem podczas długich wiosennych lub jesien-nych burz, które nie pozwalały mi wychodzić z domu całe popołudnia, a także przedpo-łudnia, i kołysały mnie swoim nieprzerwanym grzmieniem i bębnieniem deszczu o dach; rów-nież wówczas gdy wczesny zmierzch wkroczył w długi wieczór i wiele moich myśli miało czas się ukorzenić i rozwinąć. Skoro padały te wędrujące na północny wschód deszcze, które poddawały próbie domy w miasteczku, a służące zmuszały do stania w pogotowiu na progę z wiadrami i ścierkami do zbierania lejącej się strumieniami wody, ja siedzia-łem za drzwiami swojego małego domu, całego stojącego otworem, i napawałem się po-czuciem bezpieczeństwa, jakie mi dawał. Podczas jednej strasznej burzy piorun strzelił w wysoką sosnę smołową po przeciwnej stronie stawu, ryjąc w niej od góry do dołu łatwo wi-doczny, doskonale regularny spiralny rowek, głęboki na cal czy może więcej, a szeroki na cztery, pięć cali, podobny do takiego, jaki żłobi się na laskach. Pewnego dnia znów tamtędy przechodziłem i zdjęła mnie groza, gdy spojrzawszy w górę ujrzałem owo piętno bardziej widoczne aniżeli kiedykolwiek, wyryte straszliwym bezlitosnym piorunem, który strzelił przed ośmiu laty z nieszkodliwego nieba. Często ludzie tak do mnie mówią: „Musisz się tam czuć samotny i pewnie ciągnie cię do towarzystwa w deszczowe i śnieżne dni, zwłaszcza wieczorem.” Wówczas kusi mnie, aby im powiedzieć: Cała ta ziemia, którą zamieszkujemy, jest jedynie punktem we wszechświecie. Jak daleko od siebie, myślicie, bytują dwaj najbar-dziej oddaleni mieszkańcy tamtej gwiazdy, której średnicy nie sposób zmierzyć naszymi przyrządami? Dlaczego miałbym się czuć samotny? Czyż nasza planeta nie znajduje się na Drodze Mlecznej? Zadaliście pytanie, które nie wydaje mi się najważniejsze. Jakiego rodzaju przestrzeń oddzielająca człowieka od jego braci sprawia, że czuje się samotny? Jak wiem z doświadczenia, nawet największy wysiłek nóg niewiele przybliży do siebie dwa umysły. Najbliżej czego mieszkalibyśmy najchętniej? Z pewnością nie w sąsiedztwie zbyt wielu ludzi, nie w pobliżu dworca, poczty, baru, zboru, szkoły, sklepu, Beacon Hill czy Five Points<sup>2</sup>, gdzie ludzie najczęściej się gromadzą, lecz jak najbliżej nie wysychającego źródła naszego życia, z którego – jak nas nauczyło całe nasze doświadczenie – ono właśnie wy-pływa; podobnie jak wierzba, która stojąc nad wodą wypuszcza korzenie w jej kierunku. Dla każdej natury miejsce to będzie odmienne, lecz właśnie w nim mądry człowiek wyko-pie sobie piwnicę... Pewnego wieczoru wyprzedziłem na drodze prowadzącej nad Walden pewnego mieszkańca naszego miasteczka, goniącego parę byków na jarmark. Zgromadził to, co się zwie „niezłym majątkiem”, choć nigdy nie widziałem tej jego posiadłości w pełnej krasie, a teraz zadał mi pytanie, jak mogłem podjąć decyzję zrezygnowania z tyłu życio-

---

<sup>1</sup> *The Genuine Remains of Ossian, Londyn 1841.*

<sup>2</sup> Beacon Hill – wzniesienie w Bostonie, na którym stoi jeden z budynków państwowych. Five Points – część śródmieścia Nowego Jorku, która słynęła z nędzy i wysokiej przestępczości.

wych wygod. Odparłem, że ponad wszelką wątpliwość zadowala mnie takie życie, i wcale nie żartowałem. Poszedłem spać do domu pozostawiając go na drodze, którą musiał po ciemku brnąć przez błoto do Brighton<sup>3</sup> – czy Bright-town<sup>4</sup> – i nie miał widoków na dotarcie tam wcześniej aniżeli rankiem.

Gdyby martwego człowieka czekała perspektywa przebudzenia się, czyli powrotu do życia, nie miałby żadnych wymagań co do czasu i miejsca, w którym mogłoby to nastąpić. Owo miejsce jest zawsze to samo, nieopisanie miłe wszystkim naszym zmysłom. Przeważnie godzimy się na to, aby na nasze codzienne sprawy składały się jedynie wydarzenia drugorzędne i przemijające. W istocie one tylko rozpraszają naszą uwagę. Najbliższa wszelkiej rzeczy jest siłą kształtująca ich istnienie. Tuż obok nas dokonuje się nieustannie działanie najdonioślejszych praw. Tuż obok nas nie stoi robotnik, którego najęliśmy i z którym tak lubimy pogwarzyć, lecz ten, którego jesteście dziełem.

„Jakże ogromny i głęboki jest wpływ eterycznych mocy Niebios i Ziemi!”<sup>5</sup>”

„Usiłujemy je dostrzec, lecz ich nie widzimy; usiłujemy je usłyszeć, lecz ich nie słyszymy; nie można ich oddzielić od substancji rzeczy, z którymi są zespolone.”

„Za ich sprawą w całym wszechświecie ludzie oczyszczają i uświęcają swoje serca oraz przybierają odświętne odzienie, aby złożyć ofiary i dary swoim przodkom. To ocean eterycznych mądrości. Są wszędzie: ponad nami, ze strony lewej i prawej, otaczają nas ze wsząd.”<sup>6</sup>

Jesteśmy przedmiotem eksperymentu, który niewiele mnie interesuje. Czyż w takich okolicznościach nie możemy się przez chwilę obejść bez towarzystwa plotek, mieć naszych własnych rozweselających myśli? Konfucjusz słusznie powiada: „Cnota nie pozostaje niby porzucona sierota, musi z konieczności mieć sąsiadów.”

Za sprawą myśli możemy stanąć obok siebie w pełni władz umysłowych. Świadomym wysiłkiem umysłu możemy trzymać się na uboczu postępów i ich konsekwencji – wówczas wszystko: dobro i zło przepływa obok nas niczym potok. Nie jesteśmy w pełni związani z Naturą. Mogę być albo drewnem płynącym nurtem strumienia, albo Indrą<sup>7</sup> spoglądającym na to z nieba. Może mnie poruszyć przedstawienie teatralne, a z drugiej strony mogę pozostać całkowicie nie poruszony rzeczywistym wydarzeniem, które niby o wiele bardziej mnie dotyczy. Znam siebie tylko jako istotę ludzką – można by rzec, scenę dla myśli i uczuć; i jestem świadom pewnej dwoistości, dzięki której mogę stanąć tak daleko od siebie jak od innej osoby. Niezależnie od intensywności doznań wiem, że część mojej osoby pozostaje krytyczna, nie jest jak gdyby częścią mnie, lecz obserwatorem, który nie bierze udziału w moich doznaniach, tylko je rejestruje – w takiej samej mierze to ja, w jakiej może to być ktoś inny. Gdy dramat życia – a może i tragedia – dobiega końca, obserwator odcho-

<sup>3</sup> Brighton – przedmieście Bostonu, gdzie wówczas znajdowało się wiele rzeźni.

<sup>4</sup> Nieprzetłumaczalna w zestawieniu z nazwą Brighton gra słów: wiele ulubionych byków w tamtych czasach farmerzy nazywali Bright (jasny). Town – miasto.

<sup>5</sup> Konfucjusz, *Doktryna środka*.

<sup>6</sup> Konfucjusz, *Wiosny i jesień albo Kronika państwa Lu*.

<sup>7</sup> Indra – w panteonie wedyjskim bóg nieba, burzy i wojny; w hinduizmie znaczenie jego zmniejszyło się na rzecz głównej trójcy bóstw (Brahma, Wisznu, Siwa).

dzi własną drogą. Dla niego był to jedynie rodzaj fikcji, jedynie dzieło imaginacji. Niekiedy przez ową dwoistość łatwo stajemy się kiepskimi sąsiadami i przyjaciółmi. Przebywanie przez większość czasu w samotności wychodzi mi na zdrowie. Towarzystwo, nawet najlepsze, po niedługim czasie nuży i rozprasza. Uwielbiam być sam. Nigdy nie poznałem towarzysza, który byłby tak towarzyski jak samotność. Gdy jedziemy za granicę i obracamy się wśród ludzi, bywamy przeważnie bardziej samotni, aniżeli wówczas gdy pozostajemy we własnych mieszkaniach. Człowiek, który rozmyśla czy pracuje, zawsze jest sam, przeto uszanujmy jego wolę. Samotność nie mierzy się w milach oddzielających człowieka od jego braci. Prawdziwie pracowity student jednego z tłocznych ulic Cambridge College<sup>8</sup> jest samotny niby derwiz na pustyni. Farmer może przez cały dzień pracować sam na polu czy w lesie, kopiąc motyką lub rąbiąc drwa, i bynajmniej nie musi się czuć samotny, albowiem ma zatrudnienie; gdy jednak wraca wieczorem do domu, nie potrafi usiąść sam w pokoju na łasce swoich myśli, lecz musi przebywać tam, gdzie ma „na widoku swoją rodzinę”, gdyż tylko wówczas odpocznie i – jak mu się zdaje – wynagrodzi sobie całodniową samotność; dlatego też dziwi się, jak to możliwe, aby student przebywał sam w domu przez cały wieczór i większą część dnia nie odczuwając nudy ani chandry; aliści nie zdaje sobie sprawy z tego, że ówże student właśnie w domu pracuje na swoim polu i rąbie drwa w swoim lesie, podobnie jak farmer w swoim, potem zaś szuka takiego samego odpoczynku jak ten ostatni, z tym, że może w bardziej stężonej formie.

Towarzystwo to przeważnie rzecz tandetna. Spotykamy się po bardzo krótkich przerwach, kiedy upłynęło jeszcze zbyt niewiele czasu, abyśmy mogli zyskać dla siebie nową wartość. Spotykamy się trzy razy dziennie przy posiłkach i częstujemy nawzajem nową odmianą tego samego spleśniałego sera, którym sami jesteśmy. Aby te częste spotkania były znośne, aby nie dochodziło do otwartej wojny, musieliśmy ustanowić pewien zestaw zasad nazywany etykietą i dobrymi manierami. Spotykamy się na poczie, na wieczorku towarzyskim i co wieczór przy kominku; żyjemy w ciasnocie, wchodzimy sobie w drogę i potykamy się o siebie tracąc tym samym, mam wrażenie, po trosze wzajemny szacunek. Rzadsze spotkania z pewnością zaspokoilyby naszą potrzebę utrzymywania ważnych i serdecznych kontaktów. Weźmy robotnice fabryczne – nigdy same, prawie nigdy nie pogrążone w marzeniach. Lepiej by było, gdyby na jedną milę kwadratową przypadał tylko jeden człowiek, podobnie jak tu, gdzie ja mieszkam. O wartości człowieka nie stanowi jego skóra, toteż nie musimy go dotykać.

Znam opowieść o człowieku, który choć zabłądził w lesie i umierał pod drzewem z głodu i wyczerpania, nie czuł się aż tak bardzo samotny dzięki groteskowym wizjom, jakie roztaczała przed nim chora – w osłabionym ciele – wyobraźnia; wierzył, że są rzeczywiście. Toteż zdrowe ciało i umysł przez swą siłę mogą dodawać nam nieustannie otuchy zapewniając podobne, aliści bardziej normalne i naturalne towarzystwo, dzięki czemu przekonamy się, że nigdy nie jesteśmy sami.

W moim domu otacza mnie liczne towarzystwo, zwłaszcza rano, gdy nie mam gości. Chciałbym tu użyć kilku porównań, które mogą dać wyobrażenie o mojej sytuacji. Nie je-

---

<sup>8</sup> Mowa o Uniwersytecie Harvarda.

stem bardziej samotny aniżeli nur na stawie – ptak śmiejący się tak głośno, ani też bardziej aniżeli sam staw Walden. Jakież to towarzystwo ma ten samotny staw? Wszelako w jego wodach lazurowej barwy brak niebieskich diabłów, są jedynie niebieskie anioły. Słońce jest jedno, chyba że w pochmurną pogodę, gdy się wydaje, że świecą dwie tarcze – lecz jedna z nich jest pozorna. Bóg jest jeden, diabłu atoli daleko do samotności; przebywa w liczonym towarzystwie, postaci ma niezliczone<sup>9</sup>. Nie jestem bardziej samotny aniżeli rosnąca w pojedynkę na pastwisku dziewanna czy mlecz, ani też liść fasoli, szczaw, giez koński czy trzmiel. Nie jestem bardziej samotny aniżeli Młyński Strumień<sup>10</sup>, kogut na dachu, Gwiazda Północna, południowy wiatr, ulewa kwietniowa, odwilż w styczniu czy pierwszy pająk w nowym domu.

Od czasu do czasu w długie zimowe wieczory, gdy sypie śnieg, a wiatr wyje wśród lasu, składa mi wizyty dawny mieszkaniec i pierwotny właściciel tych stron, który jakoby miał wykopać staw Walden, obłożyć go kamieniami i obramować lasem sosnowym; snuje on opowieści o dawnych czasach i nowej wieczności. Spędzamy razem wesoły wieczór ciesząc się towarzystwem i pogodną atmosferą, nawet bez jabłek czy jabłecznika – to najmądrzejszy i najzabawniejszy znajomy i bardzo go kocham, on zaś bardziej się ze sobą kryje, aniżeli robili to kiedykolwiek Goffe czy Whalley<sup>11</sup>, i choć podobno już nie ma go wśród żywych, nikt nie wie, gdzie go pochowano<sup>12</sup>. Ponadto w moim sąsiedztwie mieszka pewna starsza dama<sup>13</sup> niewidzialna dla większości ludzi – niekiedy przechadzam się z rozkoszą po jej ogrodzie pachnącym ziołami i zrywam lecznicze rośliny słuchając jej baśni; talent do nich ma niezrównany i niezwykle płodny, pamięcią sięga czasów wcześniejszych aniżeli mitologiczne, potrafi mi opowiadać o źródłach baśni i wydarzeniach, które dały im początek, albowiem zaszły w czasach jej młodości. Czerstwa i pełna wigoru starsza dama, która rozkoszuje się każdą porą roku i pewnie przeżyje wszystkie swoje dzieci.

Jakże nieopisanie niewinna i dobroczyzna jest Natura – słońce, wiatr i deszcz, lata i zimy ileż dają zdrowia, ileż radości! I tyle mają zrozumienia dla naszego gatunku, że gdyby jakiś człowiek bolał kiedyś nad słuszną sprawą, odbiłoby się to na całej Naturze: promienie słońca by zbladły, wiatry szeptałyby litościwie, chmury by płakały deszczem, lasy potraciłyby liście i w środku lata stałyby okryte żałobą. Czyż mam nie odczuwać porozumienia z ziemią? Czyż sam nie jestem w pewnej części ulepiony z liści i roślin?

Jaka pastylka<sup>14</sup> zapewni nam zdrowie, spokój, zadowolenie? Nie ta, którą pozostawili nam moi czy twoi pradiadowie, lecz uniwersalny, roślinny, botaniczny lek naszej prababki Natury, która dzięki niemu zachowała na zawsze młodość i przeżyła już tylu starych

---

<sup>9</sup> „I zapytał go: Jak ci na imię? Odpowiedział mu: Na imię mi Legion, gdyż jest nas wielu.” Nowy Testament, Ewangelia św. Marka 5, 9.

<sup>10</sup> Mowa o strumieniu Mili Brook, który płynie przez Concord.

<sup>11</sup> Goffe i Whalley – dwaj sprawcy stracenia Karola I. Ukrywali się w różnych miejscach w Connecticut River Valley.

<sup>12</sup> Prawdopodobnie mowa tu o greckim bożku Panie. Według Plutarcha, za panowania cesarza Tyberiusza podróżni na statku płynącym w pobliżu wyspy Paksos usłyszeli wołanie: „Wielki Pan umarł!”

<sup>13</sup> Mowa o przyrodzie.

<sup>14</sup> Mowa prawdopodobnie o „Pastylce Morrisona”, którą opisuje Thomas Carlyle w „*Past and Present*”, w rozdziale pod właśnie takim tytułem.

Parrów<sup>15</sup>, żywiąc się dla podtrzymania zdrowia ich rozkładającym się tłuszczem. Dla mnie panaceum to niejedna z owych szarlatańskich mieszanek w buteleczce, zaczerpnięta z wód Acheronu<sup>16</sup> i Morza Martwego i dostarczana długimi, płytkimi wozami o czarnych plandekach, które widzimy niekiedy na drodze, przeznaczonymi do rozwożenia butelek<sup>17</sup> – panaceum to łyk nie rozcieńczonego porannego powietrza. Poranne powietrze! Jeżeli ludzie nie chcą go pić u źródeł dnia, cóż, musimy nawet zabutelkować pewną jego ilość i sprzedawać w sklepach dla dobra tych, którzy zgubili kwit na subskrypcję poranku na tym świecie. Aczkolwiek należy pamiętać, że nie utrzyma się ono do południa nawet w najchłodniejszej piwnicy, lecz powypycha korki o wiele wcześniej i podąży na zachód w ślad za Aurorą. Nie jestem czcicielem Hygieji, córki owego starego lekarza – zielarza Eskulapa<sup>18</sup>, przedstawianej na wizerunkach z wężem w jednej ręce i czarą, z której wąż popija mleko, w drugiej; czczę raczej Hebe, podczaszynię Jowisza, która była córką Junony i dzikiej sałaty i która miała moc przywracania bogom i ludziom młodzieńczych sił żywotnych. Była zapewne jedyną krzepką, zdrową i silną młodą kobietą, jaka kiedykolwiek stąpała po ziemskim globie, i gdzie tylko się pojawiała, rozkwitała tam wiosna.

---

<sup>15</sup> Mowa o Thomasie Parr, który urodził się w Anglii w 1483 r., a zmarł w Salop w 1635 r. przeżywszy 152 lata.

<sup>16</sup> Acheron – rzeka oddzielająca w mitologii greckiej świat żywych od świata zmarłych. Por. Styks.

<sup>17</sup> Takimi wozami w czasach Thoreau domokrażcy rzeczywiście przewozili lekarstwa.

<sup>18</sup> Thoreau używa tu łacińskiego imienia boga sztuki lekarskiej, w mitologii greckiej nazywa się on Asklepios. Jego córka Hygieja to grecka bogini zdrowia.

# Goście

Myślę, że lubię towarzystwo w takim samym stopniu, w jakim lubi je większość ludzi, i gotów jestem przyssać się niby pijawka do każdego napotkanego człowieka pełnej krwi. Nie mam natury pustelnika i gdyby zmusił mnie do tego interes, chyba bym potrafił przetrzymać najbardziej zagorzałego bywalca barów.

W domu miałem trzy krzesła – jedno dla samotności, drugie dla przyjaźni, trzecie dla towarzystwa. Gdy odwiedzała mnie niespodzianie większa grupa gości, mogłem im wszystkim zaproponować tylko to trzecie krzesło, lecz oni na ogół pozostawali w pozycji stojącej ze względu na oszczędność miejsca. Zadziwiające, ile wielkich mężczyzn i kobiet może pomieścić mały dom. Pod moim dachem bywało po dwadzieścia pięć, trzydzieści dusz wraz z ciałami, a jednak rozstając się nie zdawaliśmy sobie często sprawy z tego, że tak się do siebie zbliżyliśmy. Wiele naszych budynków, zarówno użyteczności publicznej, jak i prywatnych, mieszczących niemal niezliczone apartamenty, olbrzymie westybule i piwnice, w których przechowuje się wina oraz inne zapasy gromadzone w czasie pokoju, jest moim zdaniem przesadnie przestronnych jak na potrzeby ich mieszkańców. Są tak ogromne i wspaniałe, że ci ostatni zdają się ledwie robactwem, które w nich się roi. Skoro herold wzywa wszystkich obywateli do stawienia się na *piazza* przed budynkiem Tremont, Astor czy Middlesex<sup>1</sup>, ze zdziwieniem stwierdzam, że skądś wpełza i skrada się śmieszna mysz, która niebawem znów chyłkiem się skryje w jakiejś dziurze w chodniku<sup>2</sup>.

W moim tak małym domu zaznaję niekiedy tylko jednej niewygody: gdy wraz z gościem zaczynamy wypowiadać wielkie myśli wielkimi słowami, trudno mi odsunąć się od niego na dostateczną odległość. Myślom potrzeba przestrzeni, aby mogły złapać wiatr w żagle i przed dotarciem do portu popłynąć jednym czy dwoma kursami. Zanim kula twojej myśli dosięgnie ucha słuchacza, musi zapanować nad odrzutem w bok i rykoszetem oraz obrać ostateczny i stały tor, albowiem w przeciwnym razie może słuchaczowi przeorać bok głowy. Wypowiadane przez nas zdania również potrzebowały przestrzeni, aby w przerwie mogły się rozwinąć i uformować w kolumny. Między jednostkami, podobnie jak między narodami, muszą istnieć odpowiednio szerokie naturalne granice, a nawet spory pas ziemi neutralnej. Rozmowa z towarzyszem, który stał po przeciwnej stronie stawu, była dla mnie niezwykłym luksusem. W domu przebywaliśmy tak blisko siebie, że nie potrafiliśmy zacząć słuchać – nie umieliśmy mówić dostatecznie cicho, aby być słyszonym; podobnie jak dwa kamienie rzucone w spokojną wodę tak blisko siebie, że ich kręgi fal się zderzają. Jeżeli

---

<sup>1</sup> Tremont, Astor, Middlesex – nazwy znanych w czasach Thoreau hoteli w Bostonie, Nowym Jorku i Concord.

<sup>2</sup> Prawdopodobnie odniesienie do: „Parturient montes, nascetur ridiculus mus” – „Góry będą nad tym pracowały, aby wydobyć śmieszna mysz”, Horacy, *De Arte Poetica*, 1, 139.



jesteśmy ledwie gadatliwymi i hałaśliwymi rozmówcami, możemy pozwolić sobie na to, aby stać bardzo blisko siebie – głowa przy głowie – i czuć wzajemnie swoje oddechy; gdy jednak nasze wypowiedzi są powściągliwe i głęboko przemyślane, chcemy się znajdować dalej od siebie, ażeby całe zwierzęce ciepło i wilgoć miały szansę z nas wyparować. Jeżeli pragnęlibyśmy się cieszyć najbardziej intymnym towarzystwem tej części swojej własnej osoby, która pozostaje bardziej na zewnątrz lub powyżej nas samych, i z nią rozmawiać, nie tylko musimy zachować milczenie, lecz także w miarę taką fizyczną odległość, abyśmy nie mogli słyszeć nawzajem swoich głosów. Zgodnie z tą normą, mowa istnieje dla wygody tych, którzy nie dosłyszą, aczkolwiek krzykiem nie jesteśmy w stanie wyrazić wielu subtelności. Skoro rozmowa zaczynała przybierać bardziej podniosły i wspaniały ton, stopniowo odsuwaliśmy krzesła coraz dalej od siebie, aż docieraliśmy z nimi w przeciwległe kąty, po czym już w ogóle brakowało miejsca.

Wszakże moim „najlepszym” pokojem, tym, do którego przechodziłem i na którego dywan rzadko padało słońce<sup>3</sup>, zawsze gotowym na moje przyjęcie był las sosnowy za domem. Właśnie tam zabierałem znakomitych gości, którzy przybywali w letnie dni, a nieoceniona służąca zamiatała podłogę, ścierała z mebli kurze i robiła porządki.

Jeżeli odwiedził mnie jeden gość, uczestniczył niekiedy w moim skromnym posiłku, albowiem wówczas można było mieszać „pospieszny pudding”<sup>4</sup> czy przyglądać się, jak rośnie i dojrzewa chleb w popiele, i nie przerywać rozmowy. Lecz gdy przyszło dwudziestu gości i pozostawało w domu, nie było mowy o obiedzie, chociaż chleba mogło starczyć na dwoje, a zatem mieliśmy go więcej, niż gdyby całkiem zarzucić zwyczaj jedzenia; lecz naturalnie zachowywaliśmy abstynencję, czego nie rozumiano jako naruszenia zasad gościnności, tylko jako najbardziej odpowiednie i wyszukane danie. Wydawało się wówczas, że osłabienie i rozkład sił fizycznych, które tak często należy podreperowywać, w cudowny sposób ulega odroczeniu i nie ubywa też sił witalnych. Tak oto mogłem przyjąć u siebie tysiąc gości równie dobrze jak dwudziestu i jeśli którykolwiek z nich opuszczał mój dom rozczarowany czy głodny, może być pewien, że przynajmniej mu współczułem. Naprawdę łatwo – chociaż wielu gospodarzy o tym wątpi – wprowadzić nowe zwyczaje w miejsce starych. Opinia o człowieku nie powinna opierać się na obiadach, które wydaje. Jeżeli idzie o mnie, nigdy z większym skutkiem nie odstraszano mnie od bywania w czyimś domu – nie dokonał tego nawet żaden Cerber – aniżeli ceremoniami czynionymi wokół wydanego na moją cześć obiadu, co poczytywałem za bardzo grzeczną i zakamuflowaną aluzję, abym już nigdy nie sprawił tyle kłopotu. Myślę, że nie będę ponownie gościem w takich miejscach. Na moim domu z dumą bym jako motto umieścił następujące wersy Spensera, które jeden z moich gości wypisał na żółtym liściu orzecha włoskiego:

---

<sup>3</sup> Angielska nazwa salonu *drawing room* pochodzi od wyrazu *draw* – przesuwac się, przechodzić, był to bowiem pokój, do którego panie przechodziły po kolacji. Nowoangielskim zwyczajem dywan w salonie chroniono przed słońcem zasłaniając w ciągu dnia okna.

<sup>4</sup> Nazwa papki z mąki kukurydzianej.

Przybywszy tutaj, ledwie się zmieścili  
W ciasnej izdebce; żadna też biesiada  
Nie czeka na nich, spoczynek w tej chwili  
Ucztą najślodsza.<sup>5</sup>

Gdy Winslow, późniejszy gubernator kolonii Plymouth, udał się pieszo przez lasy wraz z towarzyszem z uroczystą wizytą do wodza Massassoita i gdy dotarł do jego wigwamu zmęczony i głodny, wódz powitał ich obu serdecznie, lecz nie było tego dnia mowy o posiłku. A skoro zapadła noc – przytoczę tu ich własne słowa – „ułożył nas na posłaniu wraz z sobą i swoją żoną; oni z jednego końca, my z drugiego, na gołych deskach stopę nad ziemią, pokrytych tylko cienką matą. Ciasnota była taka, że dwóch ze starszyny napierało z drugiego boku i aż wsuwało się na nas; tak to nocleg okazał się bardziej męczący od podróży.”<sup>6</sup> Nazajutrz o godzinie pierwszej Massasoit „przyniósł dwie ustrzelone przez siebie ryby”<sup>7</sup>, mniej więcej trzykrotnie większe od leszcza; „skoro je ugotowano, do obdzielenia nimi stanęło co najmniej czterdzieści osób. Większość dostała swoją porcję. Był to jedyny posiłek w ciągu półtorej doby; gdyby jeden z nas nie kupił przepiórki, podróż odbylibyśmy o poście.”<sup>8</sup> Obawiając się, że mogą osłabnąć z braku pożywienia i snu – tego ostatniego nie zaznali, albowiem „dzicy mieli w zwyczaju śpiewać sobie do snu barbarzyńskie pieśni”<sup>9</sup> – postanowili wyruszyć w drogę do domu, póki jeszcze mieli na to dość sił. Jeśli idzie o nocleg, to prawda, że przyjęto ich nader skromnie, lecz to, co uważali za niewygodę, miało niewątpliwie stanowić zaszczyt; co jednak tyczy się pożywienia, to moim zdaniem, jak na możliwości Indian, gospodarze nie mogli się sprawić lepiej. Sami nie mieli co jeść i dobrze wiedzieli, że przeprosiny nie zastąpią gościom posiłku; toteż zacisnęli pasa i nie wspomnieli na ten temat ani słowem. Gdy następnym razem Winslow złożył Indianom wizytę – a panował u nich w tym okresie dostatek – niczego mu tam nie brakowało.

Co do ludzi, to rzadko kiedy nie dopisują jako goście. Gdy mieszkałem w lesie, zjawiało się u mnie więcej odwiedzających aniżeli w jakimkolwiek innym okresie mojego życia; chcę przez to powiedzieć, że miałem ich kilka. Niektórych ludzi poznałem tam w warunkach o wiele bardziej sprzyjających, aniżeli byłoby to możliwe gdzie indziej. Co prawda mniej ich przychodziło w banalnych sprawach. Pod tym względem sama odległość od miasteczka przesiała moje towarzystwo. Wypłynąłem tak daleko na ogromny ocean samotności, do którego toczyły swe wody rzeki społeczeństwa, że jeśli szło o moje potrzeby, przeważnie zbierał się wokół mnie najznakomitszy osad. Ponadto wiatr niósł mi świadectwa istnienia nie odkrytych kontynentów, cieszących się swoim stanem naturalnym na przeciwległym brzegu.

---

<sup>5</sup> Edmund Spenser, *Królowa wieszczek*, ks. I, pieśń I, zw. 35. Przełożył Jan Kasprowicz.

<sup>6</sup> *A Relation or Journal of the Beginning and Proceedings of the English Plantation at Plymouth in New England, Londyn 1622, cz. II: A Journey to Packanokik.*

<sup>7</sup> *Ibid.*

<sup>8</sup> *Ibid.*

<sup>9</sup> *Ibid.*

Któż mógłby zawitać w moim domostwie w dzisiejszy poranek, jeśli nie człowiek prawdziwie homerycki czy z Paflagonii<sup>10</sup> – miał tak odpowiednie i poetyckie imię, że żał mi, iż nie mogę go tutaj napisać – Kanadyjczyk, drwal ciosający pale, który potrafi wydrążyć otwory w pięćdziesięciu słupach dziennie, który ostatnio jadł na kolację świstaka złapanego przez swojego psa. On również słyszał o Homerze i „gdyby nie książki”, nie wiedziałby, co począć ze sobą w deszczowe dni, aczkolwiek mimo częstych deszczy pewnie nie przeczytał w całości ani jednej. Pewien ksiądz w jego rodzinnej parafii daleko stąd znał grekę i nauczył drwala czytać wersy w Testamencie, a teraz ja muszę mu tłumaczyć z książki, którą trzyma, wymówki Achillesa czynione Patrokłowskiemu za to, że na jego obliczu maluje się smutek. „Czemu to płaczesz, Patroklu, niczym malutka dziewczeczka?”

Czy-li wiadomość jakowąś, nie znaną innym, masz z Ftyi?  
Toć jeszcze żywię, jak słyszę, Menojtios, syn Aktorowy,  
Żywię też Pelej, Ajaków szczep, w myrmidońskiej krainie;  
Po nich zaś żałość najsroźsza przejęłaby nas, gdyby zmarli.<sup>11</sup>

Mój gość mówi: „To dobre.” Trzyma pod pachą wielką wiązkę kory dębu białego, której nzbierał dziś, w niedzielę rano, dla jakiegoś chorego. „To chyba nic zdrożnego zajmować się dzisiaj czymś podobnym”, mówi. Wprawdzie nie wiedział, o czym pisze Homer, lecz był to w jego pojęciu wielki pisarz. Trudno o prostszego i bardziej naturalnego człowieka. Niemal nie istniały dla niego występki i choroby, które nadają światu takie posępne zabarwienie moralne.

Miał około dwudziestu ośmiu lat, dom ojcowski i Kanadę opuścił przed dwunastoma laty, aby w Stanach zapracować na kupno farmy, być może w kraju rodzinnym. Ulepiony był z najtwardszej gliny, budowę miał potężną, ruchy powolne, acz lekkie, gruby opalony kark, ciemne gęste włosy i senne niebieskie oczy, w których od czasu do czasu pojawiały się wyraziste błyski. Ubrany był w płaską czapkę z szarego płótna, wyświechtany płaszcz w kolorze wełny i buty z wołowej skóry. Spożywał bardzo dużo mięsa, obiad nosił do pracy – przez całe lato ścinał drzewa około dwóch mil za moim domem – w blaszanym wiadrze; miał w nim zimne mięso, często było to zimne mięso świstaka, a kawy nalewał do kamiennej butelki, która wisała mu u pasa huśtając się na sznurku; niekiedy częstował mnie tym napitkiem. Zjawiał się wcześniej, w drodze do pracy przecinał moje poletko fasoli, lecz krok miał spokojny, niespieszny, odwrotnie aniżeli Jankesi. Nie chciał nadszarpnąć sobie sil. Nie robiło mu różnicy, że zarabiał tylko na wikt. Często, gdy pies złapał po drodze świstaka, drwal pozostawiał obiad w krzakach i wracał półtorej mili, aby oprawić zwierzę i schować w piwnicy domu, w którym się stołował; przedtem deliberował przez pół godziny, czy nie bezpieczniej pozostawić świstaka zanurzonego w stawie aż do zapadnięcia nocy – uwielbiał długo się rozwodzić na takie tematy. Nazajutrz przechodząc nie opodał tak mówił: „Jakież tłuste te gołębie! Gdyby w moim zawodzie nie pracowało się codziennie, mógłbym pójść

---

<sup>10</sup> Paflagonia to państwo istniejące w starożytności w Azji Mniejszej. Thoreau mówi o swoim dobrym znajomym z Concord, nazwiskiem Alex Therien (patrz: J. Lyndon Shanley, *The Making of Walden*, Chicago 1957).

<sup>11</sup> Homer, *Iliada*, XVI, 7 oraz 13-16. Przełożył Ignacy Wieniewski.

na polowanie i zdobyć całe potrzebne mi mięso: gołębie, świstaki, zająca, przepiórki. Na Boga! W jeden dzień zgromadziłbym wszystko na cały tydzień.”

Był z niego zręczny drwal, w swojej sztuce pozwalał sobie na zakrętasy i ozdoby. Drzewa ścinał poziomo, blisko ziemi, aby nowe pędy odrastały silniejsze i aby po pniakach mogły sunąć sanie; drzewa nie pozostawiał w całości, by podeprzeć nim sąg, lecz odrąbywał korę, a pień strugał tak długo, aż pozostała z niego cienka żerdź czy szczapka, którą w końcu łamało się w ręce.

Budził moje zainteresowanie, albowiem był taki spokojny i samotny, a przy tym taki pogodny; tryskał humorem i zadowoleniem. Jego wesołość była niezmacona. Czasami odwiedzałem go przy pracy w lesie, gdy ścinał drzewa, a wówczas witał mnie ze śmiechem i niewymownym zadowoleniem, pozdrawiając w kanadyjskiej francuszczyźnie, chociaż mówił także po angielsku. Gdy podchodziłem bliżej, przerywał pracę i na wpeł poskromiwszy wesołość wyciągał się wzdłuż powalonego akurat pnia sosny, odrywał łyko i zwijał je w kulkę, którą żuł śmiejąc się i rozmawiając. Miał w sobie tyle werwy, że niekiedy padał na ziemię i tarzał się ze śmiechu ze wszystkiego, co dało mu coś do myślenia i go ubawiło. Rozglądał się dookoła i patrząc na drzewa wołał: „Do licha! Znakomicie mi przy tym wyrębie, nie potrzebuję lepszego zajęcia.” Czasami gdy nie pracował, przez cały dzień zabawiał się w lesie kieszonkowym pistoletem – przechadzał się oddając na swoją cześć salwy w regularnych odstępach. W zimie rozpalał ognisko, na którym podgrzewał sobie w południe kawę w dzbanku; a gdy przysiadł na pniu, aby zjeść obiad, czasami nadlatywały sikory, siadały mu na ręce i dziobały kartofel w jego palcach; mówił, że lubi „koło siebie te jejmościanki”.

Rozwinięte miał głównie cechy zwierzęce. Jeśli idzie o wytrzymałość fizyczną i poczucie zadowolenia, spokrewniony był z sosnami i skałami. Pewnego razu zapytałem go, czy nie czuje się niekiedy zmęczony wieczorem po całodziennym pracy, a on tak odpowiedział ze szczerem i poważnym spojrzeniem: „Do kroćset, nigdy w życiu nie byłem zmęczony.” Jego sfera umysłowa i to, co nazywa się sferą duchową, pozostawały uśpione jak u niemowlęcia. Pobierał tylko te nieszkodliwe i bezowocne nauki, których księża katolicycy udzielają tubylcom, a które nie dają uczniowi wiedzy na poziomie świadomości, lecz jedynie na poziomie wiary i czci, toteż dziecko nie zamienia się w mężczyznę, tylko pozostaje dzieckiem. W chwili stworzenia Natura wyposażyła go w silne ciało i odpowiednio do niego proporcjonalne poczucie zadowolenia oraz z każdej strony podparła poczuciem czci i zaufania, aby swoje siedemdziesiąt lat<sup>12</sup> mógł przeżyć jako dziecko. Był taki autentyczny i niewyrzafinowany, że wystarczy przedstawić go tak, jakby się zapoznawało sąsiada ze świstakiem. Musiałby go znaleźć takim, jakim ty go znalazłeś. Drwal nie odgrywałby żadnej roli. Ludzie dawali mu zapłatę za pracę, czym przyczyniali się do tego, że mógł się wyżywić i ubrać, lecz nigdy nie dochodziło między nimi do wymiany zdań. Miał w sobie taką szczerą i naturalną pokorę – jeśli można nazwać pokornym człowieka, któremu brak aspiracji – że pokora nie stanowiła wyróżniającej go cechy ani też nie zdawał sobie z niej sprawy. Ludzie mądrzejsi byli dla niego półbogami. Gdy mówiono mu, że ktoś taki się zbliża, postępował tak, jak gdyby jego zdaniem owa wspaniała istota niczego od niego nie oczekiwała,

---

<sup>12</sup> „Życie nasze trwa lat siedemdziesiąt.” Stary Testament, Księga Psalmów 90,10.

lecz wszystko zamierzała wziąć na siebie, jego pozostawiając w spokoju. Nigdy nie słyszał, jak brzmi pochwała. Z czią odnosił się zwłaszcza do pisarza i kaznodziei. Ich wystąpienia były cudownymi wydarzeniami. Skoro powiedziałem mu, że troszkę piszę, przez długi czas był przekonany, iż miałem na myśli samą umiejętność pisania, albowiem on potrafił nieźle kaligrafować. Czasami przy głównej drodze widywałem na śniegu ładnie wypisaną nazwę jego rodzinnej parafii, z poprawnie zaznaczonym francuskim akcentem – wówczas wiedziałem, że tędy przechodził. Pytałem go, czy nigdy nie pragnął zapisać swoich myśli. Odparł, że czytał i pisał listy tym, którzy sami tego nie potrafią, aliści nigdy nie próbował zapisywać myśli – nie, nie umiałby tego, nie wiedziałby, od czego zacząć, to by go zabiło, a ponadto trzeba by jeszcze uważać na ortografię!

Podobno wybitny i mądry człowiek, reformator, zapytał go, czyby nie chciał zmienić tego świata, lecz drwał chichocząc ze zdziwienia i nie zdając sobie sprawy, że nie jest pierwszą osobą, której zadano podobne pytanie, tak odpowiedział ze swoim kanadyjskim akcentem: „Nie, przecież podoba mi się na tym świecie.” Gdyby miał z nim do czynienia filozof, wyciągnąłby wiele wniosków. W oczach nieznanym drwał uchodził za kogoś, kto nie ma o niczym pojęcia, ja wszelako dostrzegałem w nim niekiedy człowieka, którego wcześniej się nie dopatrzyłem, toteż nie wiedziałem, czy posiada mądrość Szekspira, czy po prostu ignorancję dziecka, czy podejrzewać, że ma umysłowość wrażliwą i poetycką, czy że jest durniem. Pewien mieszkaniec naszego miasteczka mówił mi, że gdy spotyka go na przechadzce uliczkami, pogwizdujący sobie drwał w małej, ciasnej czapce przypomina mu księcia w przebraniu.

Jedynymi czytany przez niego książkami były almanach i podręcznik arytmetyki, który znał stosunkowo dobrze. Ten pierwszy służył mu za rodzaj encyklopedii zawierającej, jego zdaniem, kwintesencję wiedzy ludzkiej, co do czego w znacznym stopniu miał słuszość. Lubilem go sondować, co myśli o różnych nowościach epoki, on zaś wypowiadał się na ich temat patrząc niezawodnie z najprostszego i najpraktyczniejszego punktu widzenia. Nigdy o takich rzeczach nie słyszał. Czy obyły się bez fabryk? – zapytałem. Odparł, że ubrania nosi z samodiału tkanego w Vermont i że dobrze mu służą. Czy mógłby się obyć bez herbaty i kawy? Czy nasz kraj dostarcza jakichś napitków prócz wody? Namaczał w wodzie liście cykuty i pił to, albowiem w ciepłe dni smakował mu ten napój lepiej aniżeli woda. Gdy zadałem pytanie, czy potrafiły się obyć bez pieniędzy, w taki sposób przedstawił dogodności wypływające z ich istnienia, że jego wywód pozostawał w zgodzie z najbardziej filozoficznym spojrzeniem na genezę instytucji pieniądza” oraz samo pochodzenie słowa *pecunia*<sup>13</sup>. Gdyby mianowicie miał na własność wołu, a chciał kupić w sklepie igły i nici, niewygodne i wnet niemożliwe by było, jego zdaniem, stopniowe zastawianie części tegoż zwierzęcia na daną kwotę. Potrafiły lepiej aniżeli filozof bronić istnienia wielu instytucji, albowiem opisując je na podstawie swojego praktycznego zetknięcia z nimi, mówił o rzeczywistych racjach ich rozpowszechnienia się – żaden z powodów nie był wynikiem jego dociekań. Innym znów razem, gdy usłyszał ode mnie definicję człowieka, której autorem był Platon – „stworzenie dwunożne, nieopierzone” – a następnie opowieść o tym, jak

---

<sup>13</sup> Łacińskie *pecunia* – pieniądze pochodzi od *pecus* – bydło.

ktoś później pokazał oskubanego koguta i nazwał go człowiekiem Platona<sup>14</sup>, drwał zauważył, że istotna różnica polega na tym, iż kogutowi kolana zginają się w niewłaściwą stronę. Niekiedy wołał: „Jakże ja lubię rozmawiać! Niech to licha, mógłbym rozmawiać przez cały dzień!” Pewnego razu po wielu miesiącach niewidzenia zadałem mu pytanie, czy podzieli się ze mną tego lata jakimiś nowymi przemyśleniami. „Dobry Boże – odparł – dobrze jest, jeżeli człowiek tak ciężko pracujący jak ja nie zapomina tego, co dawniej wiedział. Bywa, że człowiek, z którym gracujesz motyką, chce to robić na wyścigi, a wówczas musisz, do diabła, skupić się na gracowaniu i myśleć o chwastach.” Niekiedy się zdarzało, że widząc mnie, pierwszy pytał, czy zrobiłem jakieś postępy. Pewnego zimowego dnia zadałem mu pytanie, czy zawsze jest z siebie zadowolony, chcąc mu podsunąć myśl, że nie powinien polegać na naukach księdza, lecz znaleźć mądrość w sobie oraz że dobrze by było, aby kierował się w życiu jakimś wznioślejszym celem. „Czy jestem zadowolony?! – zawołał. – Jednych zadowala jedno, innych drugie. U licha, przecież kogoś, kto cieszy się dostatkiem, może zadowalać siedzenie przez cały dzień za stołem i grzanie pleców przy kominku.” Wszelako nigdy nie udało mi się żadnym manewrem wykrzesać z niego uduchowionego spojrzenia na świat; najwznioślejszym z jego pojęć były po prostu korzyść i wygoda, czyli to samo, co – można by oczekiwać – ceni sobie zwierzę; na dobrą sprawę tak to też wygląda u większości ludzi. Gdy mu podsuwałem, że powinien udoskonalić sposób, w jaki żyje, nie silił się na żadne ubolewania, lecz po prostu odpowiadał, iż jest na to za późno. Głęboko jednak wierzył w uczciwość i tym podobne cnoty.

Mogłem w nim się dopatrzeć niejakiej oryginalności, której przejawy były pozytywne. Otóż niekiedy miałem okazję zauważyć, że myśli samodzielnie i wyraża swoje własne zdanie, co jest tak rzadkim zjawiskiem, iż bym przebywał codziennie dziesięć mil marszem, aby tylko móc je oglądać, gdyż równałoby się ono ponownym narodzinom wielu instytucji społecznych. Wprawdzie w jego wypowiedziach nie brakowało zawahań oraz niejasności, lecz zawsze kryła się w nich myśl, którą warto się podzielić. Wszelako rozumowanie jego cechowała taka prymitywność i wypływało ono z takich czeluści jego sfery zwierzęcej, że choć przedstawiając się bardziej obiecująco aniżeli sposób rozumowania człowieka, który jest jedynie uczonej, rzadko kiedy w sposób dojrzały doprowadzało do czegoś, co warto by odnotować. Jego osoba stanowiła przykład na to, że w najniższych sferach życia można znaleźć ludzi genialnych, którzy pozostając niezmiennie pokorni i niepiśmienni, zawsze mają własne spojrzenie na daną kwestię albo nie udają, że w ogóle potrafią ją dostrzec; którzy aczkolwiek może ciemni i mętni, są bodaj tak niezgłębieni, jak ongi uważano, że niezgłębiony jest staw Walden.

Wielu wędrowców zbaczało z drogi, aby zobaczyć się ze mną i obejrzeć wnętrze domu, a pretekstem do złożenia mi wizyty była potrzeba napicia się wody. Oświadczałem, że ja piję wodę ze stawu, i wskazując w jego stronę proponowałem użyczenie czerpaka. Wprawdzie mieszkalem daleko, atoli nie omijały mnie owe doroczne wizyty, które wszyscy składają chyba około pierwszego kwietnia, gdy następuje powszechne ożywienie; i mnie przeto trafił się ów łut szczęścia, aczkolwiek wśród odwiedzających znajdowały się osobliwe okazy.

---

<sup>14</sup> Zrobił to Diogenes.

W odwiedzinach przychodzili ludzie z przytułku<sup>15</sup> i skądś tam jeszcze, którzy mieli w głowie niewiele rozumu, lecz starałem się zmusić do wysiłku całą ich pomyślunek, aby robili mi zwierzenia, co oznaczało, że rozum stał się przedmiotem naszej rozmowy i w ten sposób jego braki się zrekompensowały. W istocie okazało się, że niektórzy byli mądrzejsi od tak zwanych stróżów przytułków i radnych miejskich<sup>16</sup>, i pomyślałem, że czas pobić przeciwnika jego własną bronią. Jeśli idzie o rozum, to przekonałem się, że nie taka znów wielka różnica, czy ma się go w połowie, czy w całości. Zwłaszcza gdy pewnego dnia złożył mi wizytę i wyraził chęć życia w podobny do mojego sposób pewien nieszkodliwy, prostoduszny żebrak, którego często widywałem wraz z innymi, jak niby kółek w płocie sterczał na polu lub siedział na koszu i pilnował, aby ani on sam, ani bydło się nie pogubili. Powiedział mi z największą prostotą i szczerością, wyższą czy raczej niższą od tego, co nazywa się pokorą, że mu „brakuje pomyślunku”. To jego własne słowa. Takim stworzył go Pan, lecz żebrak zakładał, że Bóg ma dla niego takie same względy jak dla innych. „Zawsze byłem taki – stwierdził – od dzieciństwa. Nigdy nie miałem za wiele rozumu. Różniłem się od innych dzieci. Brak mi oleju w głowie. Przypuszczam, że taka była wola Pana.” Dla potwierdzenia jego słów wystarczyło na niego spojrzeć. Stanowił dla mnie prawdziwą zagadkę metafizyczną. Rzadko kiedy zdarzało mi się spotkać ziomka na tak obiecującym gruncie – wszystko, co mówił, było takie proste, szczere i prawdziwe. Wszelako – co w zupełności zrozumiałe – proporcjonalnie do okazywania pokory potrafił się wywyższać<sup>17</sup>. Było to wynikiem mądrej taktyki, o czym początkowo nie wiedziałem. Opierając się na takich podstawach prawdy i szczerości, jakie położył biedny żebrak o słabym umyśle, nasze stosunki mogły się chyba rozwinąć w coś lepszego aniżeli związek dwóch mędrców.

Przybywali również goście, którzy wprawdzie nie rekrutowali się spośród osób powszechnie uznanych w miasteczku za biedaków, lecz którzy powinni zostać za takich uznani, a w każdym razie tacy, którzy należą do grona biedaków tego świata, którzy nie odwołują się do naszej gościnności, tylko do charytatywności, którzy żarliwie pragną pomocy i którzy poprzedzają swój apel stwierdzeniem, że po pierwsze postanowili nie pomagać samym sobie. Nie wymagam, aby gość naprawdę przymierał głodem, chociaż może mu dopisywać najlepszy apetyt na świecie, zaostrzony z dowolnych przyczyn. Przedmiotem dobroczynności nie są goście. Ludzie, którzy nie wiedzą, że wizyta ich dobiegła końca, choć powróciłem już do swoich zajęć i odpowiadam im z coraz to większego oddalenia. W tym okresie migracji odwiedzali mnie wędrowcy prawie na wszystkich poziomach umysłowych. Tacy, którzy mieli więcej rozumu, aniżeli potrafili wykorzystać, również zbiegli niewolnicy o przyzwyczajeniach nabytych na plantacji<sup>18</sup>, nasłuchujący od czasu

---

<sup>15</sup> Przytułek miasteczka Concord mieścił się stosunkowo niedaleko stawu Walden.

<sup>16</sup> W wielu małych miastach Nowej Anglii oba wymienione urzędy sprawował jeden człowiek.

<sup>17</sup> „A kto się będzie wywyższał, będzie poniżony, a kto się będzie poniżał, będzie wywyższony.” Nowy Testament, Ewangelia św. Mateusza 23, 12.

<sup>18</sup> Chata nad Waldenem była punktem przerzutowym organizacji Podziemna Kolej, która pomagała zbiegłym niewolnikom dotrzeć do Kanady. Moncure Conway w książce *Autobiography, Memoirs and Experiences* (Boston 1904) opisuje szczegółowo przypadek, kiedy Thoreau zajmował się zbiegłym niewolnikiem.

do czasu – niby ów lis z bajki<sup>19</sup> – czy nie słyhać ujadania psów gończych na ich szlaku, niewolnicy o błagalnym spojrzeniu, które jak gdyby mówiło do mnie: O chrześcijaninie, czy odeślesz mnie?<sup>20</sup>

A wśród pozostałych jeden prawdziwy zbiegły niewolnik, któremu pomogłem wyruszyć w stronę Gwiazdy Północnej. Ludzie jednej idei, podobni do kury opiekującej się jednym kurczęciem, które jest właściwie kaczątkiem. Ludzie o tysiącu idei i niechlujnych głowach, podobni do owych kur zmuszanych do opieki nad setką kurcząt, które szukają jednego robaka i dwudziestka ich gubi się co dzień w porannej rosie, zmierzwiona i nędzna. Ludzie, którym idee zastępują nogi, rodzaj rozumnych krocionogów zmuszających innych do pełzania. Ktoś wystąpił z propozycją założenia księgi – goście wpisywaliby do niej swoje nazwiska, podobnie jak to jest w zwyczaju w Górach Białych. Lecz niestety! Mam zbyt dobrą pamięć, aby taka księga była konieczna.

Jakże łatwo rzucały mi się w oczy szczególne zachowania moich gości. Dziewczęta, chłopcy i młode kobiety na ogół cieszyły się pobyt w lesie. Wpatrywali się w staw, patrzyli na kwiaty, czyli spożytkowywali czas. Ludzie pracy, nawet farmerów, zajmował jedynie problem mojej samotności i zajęć oraz wielkiego oddalenia, w jakim żyłem od takiego czy innego miejsca, i wprawdzie twierdzili, że niekiedy uwielbiają wędrować po lesie, aliści było to oczywistą nieprawdą. Ludzie nie znający spoczynku, oddani pracy, których cały czas upływał na zarabianiu na chleb lub utrzymaniu tego, co już zdobyli. Pastorzy, którzy mówili o Bogu w taki sposób, jak gdyby posiadali na to monopol, i którzy nie znosili różnicy zdań; doktorzy, prawnicy, niespokojne gospodynie domowe, które pod moją nieobecność wścibiały nos w mój kredens i łóżko – jakże inaczej pani... odkryłaby, że moja pościel nie jest taka czysta jak jej? Młodzi ludzie, którzy przestali być młodzi i doszli do wniosku, że najbezpieczniej jest podążać bitym traktem zawodowym – wszystkie te osoby na ogół twierdziły, że w wybranym przeze mnie położeniu niemożliwe jest działać tyle samo dobrego. „W tym sęk cały.”<sup>21</sup> Starych, niedołączonych i bojaźliwych, niezależnie od wieku i płci, najbardziej zajmowały choroby, nagłe wypadki i zgony; życie wydawało im się pełne niebezpieczeństw – a jakże powstaje niebezpieczeństwo, jeśli nie w umyśle? – i byli zdania, że rozważny człowiek wybierze najbezpieczniejsze położenie, to znaczy takie, w którym doktor B.<sup>22</sup> zjawi się na każde wezwanie. Miasteczko stanowiło dla nich dosłownie społeczność, ligę wzajemnej obrony i wedle wszelkich przypuszczeń nie wybraliby się oni na jagody bez apteczki. Sprowadza się to do faktu, że jeśli człowiek żyje, zawsze istnieje niebezpieczeństwo jego zejścia z tego świata, aczkolwiek na wstępie należy uznać, że owo niebezpieczeństwo jest proporcjonalnie mniejsze w wypadku człowieka, który pozostaje martwy za życia. Kto nie ryzykuje, ten nie jedzie. Aż wreszcie wśród gości

---

<sup>19</sup> Mowa o bajce Ezopa *Kogut i lis*.

<sup>20</sup> Źródła tego cytatu dotychczas nie zidentyfikowano.

<sup>21</sup> William Szekspir, *Hamlet*, akt III, sc. I. Przełożył Józef Paszkowski.

<sup>22</sup> Mowa o doktorze Josiahu Bartlett, który praktykował w Concord przez ponad pół wieku.



zdarzali się również samozwańczy reformatorzy<sup>23</sup>, najwięksi nudziarze ze wszystkich, których zdaniem po wsze czasy będę śpiewał:

Oto dom, który zbudowałem ja;  
Oto człowiek, co mieszka w domu, który zbudowałem ja;

lecz nie wiedzieli, jak brzmi trzecia linijka:

A oto ludzie, którzy dręczą człowieka,  
Co mieszka w domu, który zbudowałem ja.<sup>24</sup>

Nie bałem się błotniaków, rabusiów kur<sup>25</sup>, albowiem nie hodowałem kurcząt, bałem się raczej rabusiów ludzkich.

Miewałem wszelako gości bardziej podnoszących na duchu aniżeli ci ostatni. Odwiedzały mnie dzieci powracające z wyprawy na jagody, robotnicy kolejowi, którzy w czystych koszulach wybrali się na spacer w niedzielny poranek, rybacy i myśliwi, poeci i filozofowie, czyli krótko mówiąc, uczciwi pielgrzymi wszelkiego rodzaju – naprawdę pozostawiali miasteczko za sobą, aby w lesie zażywać swobody. Gotów byłem ich powitać: „Witajcie, Anglicy! Witajcie, Anglicy!”<sup>26</sup>, albowiem czułem porozumienie z tym gatunkiem ludzi.

---

<sup>23</sup> Dom Emersona w Concord był mekką reformatorów i innych wybitnych umysłów z całego świata. Thoreau znał wielu z nich.

<sup>24</sup> Parodia znanego wierszyka dla dzieci. Przełożył Piotr Sommer.

<sup>25</sup> Tak miejscowi farmerzy nazywali większe jastrzębie.

<sup>26</sup> Tymi słowami wódz indiański Samoset pozdrawiał Ojców Pielgrzymów przybyłych do Ameryki na „Mayflower”.

# Poletko fasoli

Tymczasem moja fasola, której grzędy dodane razem miały siedem mil długości, niecierpliwie czekała na okopanie, albowiem ta najwcześniej posadzona zdążyła znacznie urosnąć, zanim ziarna najpóźniejszej znalazły się w ziemi; istotnie, niełatwo było sprostać temu zadaniu. Jakie miała znaczenie ta jakże miarowa i godna, ta niewielka praca Herkulesowa, nie wiedziałem. Pokochałem moje grzędy, moją fasolę, aczkolwiek było ich o wiele więcej, niż potrzebowałem. Przytwierdzały mnie do ziemi, z której czerpałem swe siły podobnie jak Anteusz<sup>1</sup>. Lecz dlaczego miałbym podnosić pędy fasoli? Tylko Bóg jeden wie. Tę osobliwą pracę wykonywałem przez całe lato – ową połąć powierzchni ziemi, która uprzednio rodziła tylko srebrniki, czarne jagody, dziurawiec i tym podobne słodkie dzikie owoce i miłe oku kwiaty, zmuszałem, aby wydała na świat tę roślinę strączkową. Czego nauczę się od fasoli albo ona ode mnie? Pielęgnuję ją, okopuję, doglądam wcześniej i późno, i tak upływa mi dzień pracy. Przyjemnie patrzeć na ten ładny szeroki płat. Moimi oddziaływaniami posiłkowymi są deszcze i rosa nawadniające tę suchą ziemię, bo jak może być płodna sama gleba, przeważnie chuda i wyjałowiona. Moimi wrogami są robaki, chłodne dni i nade wszystko świstaki. Te ostatnie ogryzły mi ze szczętem jedną czwartą akra. Lecz jakie prawo ja miałem wyrugować dziurawiec i pozostałe rośliny i zniszczyć ich pradawny zielony ogród? Niedługo jednak pozostała fasola stanie się za twarda dla świstaków i będzie stawiać czoło nowym wrogom.

Dobrze pamiętam, jak w wieku czterech lat przywieziono mnie z Bostonu tu do rodzinnego miasta<sup>2</sup> i aż nad staw właśnie przez te lasy i to pole. Owa scena jest jedną z najdawniejszych, jakie wyryły mi się w pamięci. A teraz, dziś wieczorem obudziłem fletem<sup>3</sup> echa właśnie nad tą wodą. Sosny nadal tu stoją starsze ode mnie, a na pniakach tych, które się zwały, gotuję wieszak; wszędzie dookoła pnie się nowa roślinność szykując swój następny strój dla nowych dziecięcych oczu. Niemal ten sam dziurawiec wyrasta tu na pastwisku z tego samego wiecznego korzenia i nawet ja ostatecznie pomogłem odziać się temu bajecznemu krajobrazowi z moich dziecięcych snów, a jednym ze śladów mojej bytności tutaj i działalności są owe liście fasoli, źdźbła zboża i kłącza ziemniaków.

Obsadziłem około dwóch i pół akra pagórka, a ponieważ upłynęło dopiero jakieś piętnaście lat od wykarczowania tego terenu i ja sam wyrąbałem z niego dwa lub trzy sagi

---

<sup>1</sup> Anteusz – syn Gai i Posejdona, niezwyciężony w zapasach, jak długo dotykał matki-Ziemi. Pokonał go Herakles podnosząc do góry i pozbawiając w ten sposób siły.

<sup>2</sup> Thoreau urodził się w Concord, w 1818 r. jego rodzina przeprowadziła się do pobliskiego Chelmsford, następnie w 1821 r. do Bostonu, a w 1823 r. powróciła na stałe do Concord.

<sup>3</sup> Flet był ulubionym instrumentem Thoreau. Jego własny flet przechowywany jest do dziś w Concord Antiquarian Society.

pniaków, niczym go nie nawoziłem; lecz w ciągu lata wykopałem przy gracowaniu grotę strzał stanowiącą dowód na to, że dawno temu zamieszkiwał tutaj wymarły naród<sup>4</sup>, który – nim przybyli biali ludzie i wykarczowali teren – siał zboże i sadił fasolę wyjaławiając w niej jakimś stopniu ziemię, która przestała rodzić te plody.

Zanim jednak świstak czy wiewiórka przebiegły drogę albo słońce wspięło się ponad dębiny, to aczkolwiek rosa jeszcze nie wyschła, zaczynałem – wbrew temu, co radzili mi farmerzy, lecz wam również radzę wykonywać możliwie całą pracę, gdy jeszcze mokro od rosy – wyrównywać na polu fasoli szeregi wyniosłych chwastów i rzucać proch na ich głowy<sup>5</sup>. Wcześniej rano pracowałem boso, taplając się niby garncarz w zroszonej i rozdrobnionej glebie, później atoli, w ciągu dnia słońce pokrywało moje stopy pęcherzami. Oto słońce świeciło mi, abym okopywał fasole; kroczyłem zatem powoli tam i z powrotem po żółtym piaszczystym pagórku, między długimi zielonymi grzędami długości piętnastu prętów, z jednej strony kończąc wędrówkę w dębowym zagajniku, w którego cieniu mogłem odpocząć, z drugiej zaś na polu jagodowym, gdzie zielone jagody, gdy kolejny raz nawracałem, nabierały ciemniejszego zabarwienia. Wyrwanie chwastów, usypywanie kopczykówek wokół łodyg fasoli, dodawanie otuchy tej posadzonej przeze mnie roślinie, skłanianie żółtej gleby do wyrażania swych kanikułowych myśli raczej w liściach fasoli i kwiatach aniżeli w piołunie, pieprzycy i prosownicy, skłanianie ziemi do tego, aby mówiła „fasola” zamiast „trawa” – oto moje codzienne zajęcia. Skoro niewiele pomagały mi konie czy woły, starsi i młodzi parobcy czy narzędzia rolnicze, pracowałem o wiele wolniej i zadzierzgałem z moją fasolą bardziej przyjacielskie węzły, aniżeli to zazwyczaj bywa. Lecz praca rąk, nawet jeśli stanie się wprost harówką, chyba nigdy nie jest najgorszą z form nieróbstwa. Ma w sobie stały, nieprzemijający sens moralny, a dla uczonego jej wynik jest klasyczny. Dla podróżnych, którzy udawali się w kierunku zachodnim przez Lincoln i Wayland<sup>6</sup> w niewiadomą stronę, byłem właśnie *agricola laboriorus*<sup>7</sup> – oni rozparci w dwukółkach, z łokciami wspartymi o kolana i lejcamy zwisającymi w girlandach, ja zasiedziały w domu, pracowity autochton tej ziemi. Niebawem jednak moje domostwo zniknęło im z oczu i nie zaprzętało ich myśli. Na długim odcinku drogi było to jedyne po obu jej stronach pole uprawne, toteż wykorzystywali ten fakt, aby do woli sobie poużywać, i niekiedy człowiek na polu miał okazję słyszeć więcej plotek i komentarzy rzucanych przez podróżnych, aniżeli to było przeznaczone dla jego uszu: „Tak późno fasola! Tak późno groch!” – pastor-rolnik<sup>8</sup> nie rozumiał, jak to możliwe, albowiem ja jeszcze sadiłem, gdy inni już zaczynali okopywać. „Kukurydza, mój chłopcze, kukurydza na paszę.” „Czy on tam mieszka?” – pyta szary płaszcz w czarnym czepku, a farmer o grubych rysach ściąga swego zgrabnego konia pociągowego, aby zapytać, co robisz, bo przecie nie widać w bruzdzie nawozu, i zaleca w takim razie podsypanie odrobiny trocin albo innych odpadków, czy może popiołu lub wapna. Bruzd

<sup>4</sup> Thoreau, który przez całe życie interesował się życiem Indian, zgromadził sporą kolekcję używanych przez nich przedmiotów. Znajduje się ona obecnie w Peabody Museum w Uniwersytecie Harvarda.

<sup>5</sup> „...i rzucali proch w górę na swoje głowy.” Stary Testament, Księga Joba 2, 12.

<sup>6</sup> Droga biegnąca w pobliżu stawu Walden prowadzi z Concord do Lincoln, a następnie do Wayland.

<sup>7</sup> *Agricola laboriorus* (łac.) – ciężko pracujący robotnik rolny.

<sup>8</sup> Był to wilebny Henry Coleman, o którym mowa także poniżej.

jednak było dwa i pół akra, a do wozu tylko motyka i dwie ręce, aby go ciągnąć – jako że do innych wozów i koni odczuwano awersję – ponadto trociny były daleko. Inni podróżni z miasteczka przejeżdżając z turkotem, robili porównania mojego pola z tymi, które już minęli, i w taki oto sposób dowiadywałem się, jaką zajmuję pozycję w świecie rolniczym. Było to jedyne pole nie uwzględnione w raportach pana Colemana<sup>9</sup>. A przy okazji – kto dokonuje oceny płodów, które Natura rodzi na polach jeszcze dzikszych i nie uprawianych przez człowieka? Zbiory angielskiego siana<sup>10</sup> waży się dokładnie, biorąc pod uwagę jego wilgotność, jak również zawartość krzemianów i potasu, podczas gdy wszędzie w dolinach, przy leśnych jeziorach, na pastwiskach i moczarach ziemia wydaje różne bogate płody, których człowiek nie zbiera. Moje pole stanowiło jak gdyby ogniwo pośrednie między polami dzikimi a uprawianymi; podobnie jak istnieją państwa cywilizowane i na wpół cywilizowane albo dzikie czy barbarzyńskie, tak moje pole było – chociaż nie w negatywnym znaczeniu – polem na wpół uprawianym. Fasola z radością powracała do stanu dzikiego i prymitywnego, uprawiałem ją tedy, a moja motyka grała jej *Ranz des Vaches*<sup>11</sup>.

Tuż obok, na najwyższej gałązce brzozy śpiewa przez cały ranek brązowy drozd – czy czerwony drozd śpiewak, jak niektórzy lubią go nazywać – zadowolony z naszego towarzystwa ptak, który upodobałby sobie pole innego farmera, gdyby mojego nie było. Gdy wsadzasz w ziemię nasiona, on krzyczy: „Rzuć je, rzuć je, zasyp je, zasyp je, wydłub je, wydłub.” Lecz nie było to ziarno kukurydzy, toteż nic mu nie zagrażało ze strony takich wrogów jak ptak. Można się zastanawiać, co ma wspólnego sadzenie z bajdurzeniem ptaka, z jego amatorskimi popisami Paganiniego na jednej strunie czy na dwudziestu, a jednak lepsze to od wylugowanego popiołu czy wyprawy wapiennej. Był to rodzaj taniego nawożenia najwyższego rzędu, w którym pokładałem całą wiarę.

Gdy obsypywałem grzędy ziemią jeszcze świeższą, wzruszałem motyką popioły nie opisanych w kronikach ludów, które żyły pod tymi niebiosami w zamierzchłych czasach, a teraz ich drobne przybory wojenne i myśliwskie wyglądały na światło naszego dnia. Leżały pomieszane z innymi kamieniami w stanie naturalnym, z których wiele miało ślady opaleń od indiańskich ognisk, inne zaś od słońca. Wykopywałem również skorupy naczyń glinianych i szklanych sprowadzonych tu przez tych, którzy ostatni uprawiali tę ziemię. Gdy motyka moja zabrzęczała o kamień, muzyka owa niosła się echem w las i hen do nieba i była akompaniamentem do mojej pracy wydającej natychmiast niezliczalne płody. To już nie fasolę okopywano ani też nie ja to robiłem; z taką samą dozą żalu co dumy przypominali mi się – jeśli w ogóle mi się przypominali – moi znajomi, którzy udali się do miasta, aby słuchać oratoriów. W słoneczne popołudnia – niekiedy bowiem spędzałem na polu cały dzień – krążył nad głową lelek niczym żdźbło w oku, czy też może w oku niebios, i opadał od czasu do czasu z takim impetem i krzykiem, jak gdyby niebios się rozdarły, rozszarpały ostatecznie na strzępy, a jednak sklepienie ostało się bez szwów; fruwały małe ptaszki

---

<sup>9</sup> Henry Coleman (1785-1849) opublikował cztery raporty o stanie rolnictwa w Massachusetts w latach 1838-41.

<sup>10</sup> Nasiona uprawianych w Nowej Anglii traw przeznaczonych na paszę sprowadzone były pierwotnie z Anglii.

<sup>11</sup> Pieśń śpiewana przez szwajcarskich pasterzy, gdy zwołują swe stada.

niby chochliki, których pełno w powietrzu i które składają jaja na ziemi: na gołym piasku albo na skalistych szczytach wzgórz, gdzie niewielu je znalazło, chochliki pełne wdzięku i giętkie jak drobne falki poderwane ze stawu, podobne do liści uniesionych przez wiatr, aby szybowały w niebiosach – oto jakimi węzłami pokrewieństwa wiąże Natura. Lelek jest powietrznym bratem fali, na której żegluje i którą poddaje penetracji, a te jego doskonale skrzydła nadęte powietrzem odpowiadają żywiołowym, nieopierzonym skrzydłom morza. Niekiedy też przyglądałem się krążącej wysoko na niebie parze błotniaków, która na przemian wznosiła się i opadała, zbliżała się do siebie i rozdzielała, jak gdyby była ucieleśnieniem moich własnych myśli. Uwagę przyciągały także przeloty dzikich gołębi z jednego lasu do drugiego, tak pospieszne jak gołębi pocztowych, wśród lekkiego trzepotu i bicia skrzydeł. Zdarzało mi się również wykopać motyką spod spróchniałego pniaka niemrawą, złowróżbną i obcą salamandrę nakrapianą, ślad Egiptu i Nilu – teraz nam współczesny. Gdy przystawałem, aby wesprzeć się na motyce, słyszałem i oglądałem po kolei owe dźwięki i widoki dookoła – stanowiło to część niewyczerpanej rozrywki, jaką ma do zaofiarowania wieś.

W uroczyste dni rozlegają się w mieście strzały wielkich dział, które niosą się echem w te lasy niby odgłosy pukawek, a od czasu do czasu aż tu dobiegają zabłąkane dźwięki muzyki wojskowej. Dla mnie przebywającego hen daleko na polu fasoli po przeciwnej stronie miasta salwy wielkich dział brzmiały jak odgłosy pękającej purchawki; a gdy odbywały się jakieś ćwiczenia wojskowe, o których nie wiedziałem, przez cały dzień miałem niekiedy wrażenie, że horyzont nęka pewnego rodzaju uczucie swędzenia i choroba, jak gdyby niebawem miało tam dojść do wybuchu czy do epidemii szkarlatyny, czy zapalenia gardła, dopóki w końcu jakiś bardziej łaskawy powiew wiatru śpieszącego nad polami i drogą do Wayland nie przyniósł mi wiadomości, że to zebrali się „celowniczy”<sup>12</sup>. Odległe bzyczenie brzmiało tak, jak gdyby wyroiły się czyjeś pszczoły, a sąsiedzi – zgodnie z radą Wergiliusza – wygrywali delikatnie tindinnabulum<sup>13</sup> na najdonośniej dźwięczących naczyniach, usiłując zwołać je z powrotem do ula. Gdy zaś te odgłosy całkiem zamarły i bzyczenie ustało, a najbardziej życzliwe wietrzyki nie przyniosły żadnej opowieści, wiedziałem, że udało się zwabić do ula Middlesex nawet ostatniego trutnia i że teraz myśli wszystkich zajmował miód, którym ul był wysmarowany.

Przestrzeżenie w takim stopniu swobód obywatelskich w Massachusetts i w całej naszej ojczyźnie napawało mnie dumą, a kiedy powracałem do swojego gracowania, odczuwałem niewysłowioną ufność, dzięki której mogłem dalej pracować ochoczo i ze spokojem patrzeć w przyszłość.

Gdy grało kilka zespołów muzycznych, brzmiało to tak, jak gdyby całe miasteczko było jednym wielkim miechem – wszystkie budynki pęczniały i waliły się po kolei z łoskotem. Lecz niekiedy docierały w te lasy tony naprawdę szlachetne i podnoszące na duchu, także trąbki, która opiewa sławę<sup>14</sup>, i wówczas czułem się tak, że z prawdziwą przyjemnością

<sup>12</sup> Concord było siedzibą Concordzkiej Artylerii, oddziału milicji stanowej. Jego członków nazywano „celowniczymi”.

<sup>13</sup> Według konkordancji Wergiliusz nie używa tego słowa.

<sup>14</sup> Felicia Hemans, *The Landing of the Pilgrims* (Przybycie pielgrzymów).

mógłbym nadzieć na ostrze jakiegoś Meksykanina<sup>15</sup> – dlaczego bowiem zawsze mamy popierać sprawy błahe? – rozglądałem się zatem za świstakiem lub skunksem, aby na nich dać upust swym rycerskim zapędom. Owe tony melodii wojskowych jak gdyby dobiegały aż z Palestyny i przypominały mi wyprawy krzyżowców majaczące na horyzoncie, podobne do lekko rozedrganych chyżych wierzchołków wiązków, które wisiały nad miasteczkiem. Był to jeden z wielkich dni, aczkolwiek słońce oglądane z mojej polany miało tę samą, wiekuście wspaniałą urodę, jaką jaśnieje na co dzień, i nie dostrzegałem w nim żadnej różnicy. Owa długa znajomość, w którą wszedłem z fasolą, dostarczała mi szczególnych przeżyć, po części przez sadzenie, okopywanie, zbieranie, łuskanie, przebieranie i sprzedawanie – to ostatnie było najtrudniejsze – a po części przez jedzenie, albowiem jej kosztowałem. Po-  
stanowiłem poznać fasolę<sup>16</sup>. Gdy rosła, okopywałem ją od piątej rano do południa, a resztę dnia zazwyczaj spędzałem na innych czynnościach. Jakże bliskie i ciekawe znajomości zawiera się z różnymi odmianami roślin, kiedy tak bezlitośnie narusza się ich delikatne kolonie i w tak rażąco różny sposób traktuje je motyką, zrównując z ziemią całe szeregi jednego gatunku, a starannie uprawiając inne. Relacja o tym będzie długa, aczkolwiek usprawiedliwiona faktem, że praca moja nie trwała krótko. Oto piołun, tam znów lebioda, dalej szczaw, ówdzie pieprzycza – ruszaj na nią, zasiecz ją, wyrwóć korzeniami do słońca, nie pozostaw ani jednego korzonka w cieniu, albowiem przekreśli się na drugi bok i w dwa dni będzie zielona jak por. Długa wojna, nie z żurawiami<sup>17</sup>, lecz z chwastami, owymi Trojanami, którzy mają po swojej stronie słońce, deszcz i rosę. Co dzień fasola widziała, jak uzbrojony w motykę, przychodziłem jej na ratunek i przetrzebiałem szeregi wrogów, wypełniając bruzdy martwym zielskiem. Niejeden krzepki, powiewający pióropuszem Hektor, który górował o całą stopę nad tłumem towarzyszy, padał pod moją bronią i walił się w kurzawę<sup>18</sup>.

Owe dni lata niektórzy mi współcześni poświęcali sztukom pięknym w Bostonie czy Rzymie, inni kontemplacji w Indiach, a jeszcze inni handlowi w Londynie lub Nowym Jorku, natomiast ja wraz z innymi farmerami Nowej Anglii poświęcałem je uprawie roli. Nie żebym chciał jeść fasolę, albowiem w tej kwestii jestem z natury wyznawcą Pitagorasa<sup>19</sup>, niezależnie od tego, czy stanowi ona pokarm, czy służy do liczenia<sup>20</sup>, wymieniałem ją przeto

---

<sup>15</sup> Kiedy Thoreau mieszkał nad Waldenem, rząd Stanów Zjednoczonych prowadził wojnę z Meksykiem. Oczywiście Thoreau ironizuje.

<sup>16</sup> Nieprzetłumaczalna gra słów. Popularne w Nowej Anglii powiedzenie brzmi dosłownie: „On nie zna fasoli”, co znaczy: „Nie ma o niczym pojęcia.”

<sup>17</sup> Odniesienie do porównania zawartego w *Iliadzie*, III, 1-5. Patrz też: Gdzie żyłem i po co, przyp. 15.

<sup>18</sup> Odniesienie do ustępu z *Iliady*, XXII, 323-327:

Włócznia jednak z jesionu o ciężkim ostrzu spiżowym  
Nie przecięła tchawicy i głosu nie stracił bohater.  
Padł w kurzawę, a boski Achilles jął chełpić się z pychą:  
„Snadź ci się zdało, Hektorze, gdyś zbroję zdzierał z Patrokla,  
Że ci to ujdzie bezkarnie, a o mnieś, głupcze, zapomniał”...

Przełożył Ignacy Wieniewski.

<sup>19</sup> Pitagoras zabraniał swoim uczniom spożywać fasolę, bo według jego teorii składała się na nią ta sama rozłożona materia, z której na początku świata powstał człowiek.

<sup>20</sup> W starożytności liczbę głoszących obliczano na podstawie wrzuconych przez nich ziarenek fasoli.

na ryż; lecz, być może, niektórzy muszą pracować na polach choćby w imię metafor i siły wyrazu, aby pewnego dnia służyć twórcy przypowieści. Stanowiło to na ogół rzadką rozrywkę, która gdyby zbyt długo trwała, mogłaby się przerodzić w rozpustę. Wprawdzie nie nawoziłem fasoli i nie okopywałem całej za jednym razem, lecz robiłem to na wybranym odcinku nadzwyczaj dobrze i na końcu otrzymywałem za to zapłatę, „albowiem prawdę rzekłszy – jak pisze Evelyn<sup>21</sup> – nie istnieje ani taki kompost, ani taka radość, których efekty można by przyrównać do tego ustawicznego ruchu, pokrzepiania się i przewracania łopatą skiby.” „Ziemia – dodaje w innym miejscu – zwłaszcza świeża, ma w sobie pewnego rodzaju magnetyzm i tenże przyciąga sól, siłę czy cnotę (można to nazwać albo jednym, albo drugim), która daje jej życie i jest logiczną podstawą wszelkiej pracy i wysiłku, jakie w nią wkładamy, aby się utrzymać; wszelkie nawozy czy podłe mieszanki są jedynie zastępczymi wikariuszami tegoż usprawnionego sposobu uprawy.”<sup>22</sup> Ponadto było to jedno z owych „wyeksploatowanych i wyjałowionych pól leżących odłogiem, które cieszyły się szabatem”, i być może – co sir Kenelm Digby uważa za prawdopodobne – przyciągało „duchy żywotne” z powietrza. Zebrałem dwanaście buszli fasoli.

Przedstawię jednak dokładniejsze dane, albowiem ogólnie się narzeka, że raport pana Colemana dotyczył głównie kosztownych eksperymentów dobrze sytuowanych farmerów. Mianowicie, moje nakłady wynosiły:

Za motykę \$ 0,54

Orka, bronowanie, bruzdy 7,50 (zbyt dużo)

Ziarna fasoli 3,12½

Kartofle 1,33

Groch 0,40

Nasiona rzepy 0,06

Biały sznur na zabezpieczenie przed wronami 0,02

Kultywator konny i chłopak wynajęty na trzy godziny 1,00

Koń i wóz przy zbieraniu plonów 0,75

Razem \$ 14,72½

Na moje wpływy składały się („*patrem familias vendacem, non emacem esse oportet*”<sup>23</sup>) następujące pozycje:

Dziewięć buszli i dwanaście kwart sprzedanej fasoli \$ 16,94

Pięć buszli dużych kartofli 2,50

Dziewięć buszli małych kartofli 2,25

Trawa 1,00

Łodygi 0,75

Razem \$ 23,44

Co przyniosło mi dochód finansowy, jak już gdzie indziej wspomniałem: 8 dolarów i 71½ centów.

<sup>21</sup> John Evelyn, *Terra: A Philosophical Discourse of Earth*, Londyn 1729.

<sup>22</sup> *Ibid*

<sup>23</sup> „Pan powinien mieć zwyczaj sprzedawania, a nie kupowania.” Marek Porcjusz Katon, *O gospodarstwie wiejskim*.

Oto wynik mojego eksperymentu z uprawą fasoli. Zasadź pospolitą małą fasolę karlową około pierwszego czerwca, w rzędach trzystopowych oddalonych od siebie o osiemnaście cali, dbając o to, aby wyselekcjonować świeże, okrągłe, jednego gatunku ziarnka. Przede wszystkim uważaj na robaki, ponadto uzupełniaj powstałe luki sadząc w nich ponownie. Następnie, jeśli sadzisz na wolnej przestrzeni, zwróć uwagę na świstaki, albowiem gdy wyrosną najwcześniejsze delikatne listki, świstaki ogryzą je ze szczytem, a potem, gdy pojawią się młode wici, wypatrzą je i obedrą razem z pąkami i młodymi strączkami, stanąwszy słupka jak wiewiórki. Nade wszystko jednak zbieraj fasolę jak najwcześniej, aby uniknąć przymrozków i mieć dobre i nadające się na sprzedaż zbiory; w ten sposób możesz się uchronić przed licznymi stratami.

Dodatkowo nabyłem również następującego doświadczenia. Otóż powiedziałem sobie, że w następne lato nie będę z tak wielką pilnością sadił fasoli ani kukurydzy, lecz takie ziarna – jeśli nie wyginęły – jak szczerść, prawda, prostota, wiara, niewinność i tym podobne, aby przekonać się, czy nie wyrosną w tej glebie nawet przy mniejszym mozole i nakładzie pracy na jej uprawę i czy nie dadzą mi utrzymania, tej gleby bowiem nie wyjąłoby jeszcze podobne płody. Niestety! Powiedziałem to do siebie, aliści teraz, gdy minęło następne lato, kolejne i jeszcze następne, czuję się w obowiązku powiedzieć Tobie, Czytelniku, że ziarna, które zasiałem, jeśli istotnie były ziarnami owych cnót, to zostały zjedzone przez robaki albo utraciły siły żywotne, albowiem nie zakiełkowały. Zazwyczaj ludzie są tylko tacy dzielni jak ich ojcowie albo tacy jak oni bojaźliwi. Obecne pokolenie na pewno będzie sadiło kukurydzę czy fasolę w każdym kolejnym roku, dokładnie tak samo, jak robili to Indianie wieki temu i jak nauczyli tego pierwszych osadników – zupełnie jak gdyby było to zrzędzeniem losu. Pewnego dnia widziałem starego człowieka, który – ku mojemu zdumieniu – co najmniej po raz siedemdziesiąty kopał motyką doły, bynajmniej nie po to, aby samemu w jednym z nich się położyć! Wszakże dlaczego mieszkaniec Nowej Anglii nie powinien by skosztować innych przygód i nie kłaść takiego nacisku na swoje zbiory ziarna, kartofli, siana i owoców – dlaczego nie powinien by uprawiać innych płodów? Dlaczego mamy tak się kłopotać o ziarna fasoli do sadzenia, a wcale się nie troszczyć o nowe pokolenie ludzi? Naprawdę powinniśmy czuć się syci i napełnieni otuchą, poznając człowieka o niewątpliwie zakorzenionych i rozwiniętych pewnych przymiotach, o których wspominałem i które wszyscy cenimy sobie wyżej aniżeli owe płody ziemi, lecz które są przeważnie rozsypane na cztery wiatry i unoszą się w powietrzu. Oto nadchodzi drogą taka na przykład subtelna i niewymowna wartość jak prawda czy sprawiedliwość w choćby najmniejszej dozie czy nowej odmianie. Nasi ambasadorowie powinni otrzymać polecenie odesłania takich ziaren do domu, a Kongres powinien ułatwiać ich dystrybucję w całym kraju<sup>24</sup>. Nigdy nie należy robić ceremonii ze szczerością. Jeśli istnieje w nas jądro wartości i przyjaźni, nigdy nie powinniśmy oszukiwać się, obrażać i odpędzać nawzajem swoją nikczemnością. Przeto nie należy odbywać pośpiesznych spotkań. Z większością ludzi w ogóle się nie spotykam, albowiem nie mają chyba na to czasu, zajęci swoją fasolą. Nie powinniśmy zatem obcować z człowiekiem wciąż zaharowanym, wspierającym się na motyce czy łopacie jako ten kolek

---

<sup>24</sup> W czasach Thoreau kongresmeni rozdzielali między wyborców darmowe nasiona.



pośród własnej pracy, atoli z takim, co podnosi się nad ziemię wyżej aniżeli grzyb, jedynie częściowo nad nią wyniesiony, z kimś podobnym do jaskółek, które właśnie sfrunęły z wyżyn i stąpają po ziemi.

A kiedy mówił, skrzydła mu się rozwijały,  
Jak gdyby chciał odfrunąć, to się znów składały,<sup>25</sup>

abyśmy podejrzewali, że rozmawialiśmy z aniołem. Chleb nie zawsze może nas nakarmić, lecz zawsze nam służy, nawet naszym stawom odbiera sztywność, a gdy nie wiemy, co nam dolega, daje nam giętkość i pogodę ducha, abyśmy dostrzegli każdy przejaw szczodrości w człowieku czy Naturze i mogli wspólnie znajdować powody do niezmałoczonej, bohaterkiej radości.

Starożytna poezja i mitologia co najmniej podsuwają myśl, że uprawa ziemi była kiedyś uświęconą sztuką, my natomiast traktujemy ją z lekceważącym pośpiechem i niedbalstwem, albowiem naszym celem jest jedynie posiadanie dużych gospodarstw i zbieranie obfitych plonów. Nie mamy ani takiego święta, ani nie urządzamy takiej procesji czy nie obchodzimy takiej uroczystości – nie wykluczając naszych pokazów bydła i tak zwanych Świąt Dziękczynienia – za sprawą których farmer wyraża sens swego świętego powołania, albo też jemu zostają przypomniane początki owej świętej tradycji. Kusi go jedynie nagroda i uczta. Nie składa ofiar Ceres ani Jowiszowi, lecz właściwie piekielnemu Plutosowi. Przez skąpstwo i samolubstwo oraz nawyk upadlania się, których to cech nikomu z nas nie brakuje, od traktowania ziemi jako własności czy głównie jako środka jej nabywania krajobraz się zdeformował, uprawa ziemi została przez nas zdegradowana, a farmer prowadzi życie najnędrniejsze z możliwych. Zna Naturę tylko jako rabuś. Katon twierdzi, że zyski z rolnictwa mają szczególnie zbożny i rzetelny charakter (*maximeque pius quaestus*<sup>26</sup>), a według Warrona starzy Rzymianie „nazywali tę samą ziemię Matką i Ceres i uważali, że ci, którzy ją uprawiają, prowadzą zbożne i pożyteczne życie i że tylko oni pozostali z plemienia króla Saturna”<sup>27</sup>.

Mamy zwyczaj zapominać, że słońce spogląda na nasze pola uprawne, prerie i lasy nie robiąc między nimi różnicy<sup>28</sup>. Wszystkie one w podobny sposób odbijają i wchłaniają jego promienie, a te pierwsze składają się tylko na niewielką część przepięknego obrazu, który słońce ogląda podczas codziennej wędrówki. Dla niego cała ziemia jest tym samym uprawianym ogrodem. Dlatego dar światła i ciepła powinniśmy przyjmować z odpowiednią ufnością i wspaniałomyślnością. Co z tego, że cenię ziarna tej fasoli i zbieram je jesienią? To szerokie pole, na które patrzę od tak dawna, nie na mnie spogląda jako na głównego rolnika, obraca atoli spojrzenie ku wpływom bardziej ożywczym – to dzięki nim ma wodę

<sup>25</sup> Francis Quarles, *The Shepard's Oracks*, Ec. V.

<sup>26</sup> Katon, *op. cit.*

<sup>27</sup> Marek Terencjusz Warron, *Rerum Rusticarum* (O rolnictwie). „Nec sine causa terram eandem appellabant matrem et Cererem.” Kiedy Jowisz zrzucił z tronu Saturna, ten uciekł do Italii i nauczył mieszkańców sztuki uprawiania ziemi.

<sup>28</sup> „... bo słońce jego wschodzi nad złymi i dobrymi i deszcz pada na sprawiedliwych i niesprawiedliwych.” Nowy Testament, Ewangelia św. Mateusza 5, 45.

i może się zielenić. Moja fasola rodzi płody, których ja nie zbieram. Czyż nie rośnie częściowo dla świstaków? Kłos pszenicy (po łacinie *spica*, dawniej *specca*, od *spe* nadzieja) nie powinien być jedyną nadzieją rolnika; nie rodzi tylko jądra czy ziarna (*granum* od *gerendo* rodzenie)<sup>29</sup>. Jakże zatem nasze żniwa mogłyby się nie udać? Czy nie mam się także cieszyć obfitością ziela, którego nasiona są spichlerzem dla ptaków? To, czy pola napełniają farmyrom czeluść stodół, ma stosunkowo niewielkie znaczenie. Prawdziwy rolnik powodowany troską zaprzestanie wysiłków – podobnie do wiewiórek, które nie okazują zainteresowania tym, czy lasy w tym roku obrodzą w kasztany, czy nie – i skończy z codzienną harówką rezygnując z wszelkich żądań, aby jego pola wydawały płody, i w duchu poświęci nie tylko swe pierwsze, lecz także ostatnie owoce.

---

<sup>29</sup> Odniesienie do: Warron, *Rerum Rusticarum*.

# Miasteczko

Skoro skończyłem przed południem pracować, czytać albo pisać, zazwyczaj jeszcze raz kąpałem się w stawie. Pływałem jakiś czas w jednej z jego zatoczek, zmywając z siebie kurz i pył pracy bądź wygładzając ostatnie zmarszczki, które wyryła mi na czole lektura. Popołudnia miałem zupełnie wolne. Codziennie lub co drugi dzień wybierałem się na spacer do miasteczka, aby posłuchać plotek, które ciągle się tam rodziły i krążyły albo z ust do ust, albo z gazety do gazety. Połykane w dawkach homeopatycznych, odświeżały mnie niby szelest liści czy kumkanie żab. Do lasu chodziłem przyglądać się ptakom i wiewiórkom, do miasteczka natomiast zobaczyć się z mężczyznami i ich synami. Zamiast szumu wiatru wśród sosen dolatywał mnie turkot wozów. Patrząc z mojego domu w jedną stronę widziało się kolonię piżmoszczurów na nadrzecznych łąkach, spoglądając zaś w przeciwną – wśród wiązów i platanów zagajnika można było dostrzec na horyzoncie miasteczko zaganianych ludzi, którzy – w moim pojęciu – wyglądali niezwykle osobliwie, niby psy na prerii, warując przy swoich norach albo biegając do sąsiada na plotki. Często chodziłem tam, aby podglądać ich zwyczaje. Miasteczko wydawało mi się wielką czytelną gazet, łasą na nowiny. Aby zapewnić jej utrzymanie, po jednej stronie – podobnie jak kiedyś w pomieszczeniach Spółki Redding przy ulicy State – składowano orzechy, rodzynki, sól, mąkę i inne artykuły spożywcze. Niektórzy mieszkańcy mają tak ogromny apetyt na ów pierwszy wymieniony przeze mnie towar, to jest, na nowiny, i tak zdrowe organy trawienia, że mogą nieustannie wysiadywać bez ruchu na uliczkach miasteczka, podczas gdy nowiny gotują się w nich i bulgocą owiewając ciekawskich parą, niby śródziemnomorskie pasaty albo eter, który wywołuje drętwość i niewrażliwość na ból – inaczej słuchanie byłoby często bolesne – lecz nie wpływa na utratę świadomości. Skoro wędrowałem przez miasteczko, rzadko udawało mi się nie widzieć owych cnotliwych obywateli usadzonych szeregiem. Albo wygrzewali się w słońcu na drabinie, z ciałami podanymi do przodu, i lustrowali od czasu do czasu ulicę zerkając łakomymi oczyma to w jedną, to w drugą stronę, albo stali oparci o stodołę, z rękami w kieszeniach, niby podpierające ją atlanty. Przebywając głównie na powietrzu, słyszeli wszystkie nowiny, jakie niósł wiatr. Spełniali rolę najpospolitszych młynów, w których wszystkie plotki najpierw poddaje się surowej obróbce czy rozdrobnieniu, potem zaś wsypuje do koszy młyńskich, gdzie miele się je na miałko. Zauważyłem, że życie miasteczka koncentruje się w sklepie spożywczym, w szynku, na poczcie i w banku. Niezbędnymi częściami całej maszynerii były również rozmieszczone w odpowiednich miejscach dzwon, armata i sikawka do gaszenia pożaru. Domy stawiano w taki sposób, ażeby czerpać z ludzkości jak najwięcej korzyści. Ciągnęły się bowiem szeregami zbudowanymi naprzeciwko siebie po to, aby każdy wędrowiec musiał przejść między dwoma rzędami surowych i krytycznych par oczu mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy mogli używać sobie na

nim do woli. Oczywiście ci zajmujący stanowiska w pierwszym szeregu, skąd najwięcej widzieli i najlepiej ich było widać, a nadto pierwsi mogli się rzucić na przechodnia, płacili za miejsce najwyższe ceny, podczas gdy nieliczni mieszkańcy domów ustawionych z dala od głównej ulicy, gdzie w linii budynków przeświecały nie zabudowane przestrzenie i wędrowiec mógł zniknąć za płotem albo skręcić w ścieżkę dla krów i w ten sposób uciec, płacili bardzo niskie podatki od gruntu, a właściwie w tym wypadku od okna<sup>1</sup>. Po obu stronach wisały szyldy zachęcające wędrowca, aby wstąpił do środka. Niektóre miały przyciągać go działając na apetyt, jak na przykład tablica szynku czy składu żywności, niektóre działając na wyobraźnię, jak szyld sklepu z tekstyliami i jubilera, inne jeszcze miały na względzie dobro włosów, stóp czy garderoby wędrowca, jak szyld fryzjera, szewca i krawca. Ponadto – co było tym straszniejsze – przed każdym z owych domów stała stęskniona za towarzystwem postać zapraszająca do środka. W większości wypadków sprytnie uciekałem przed owymi niebezpieczeństwami: albo natychmiast zmierzając śmiało i bez namysłu do celu – tak jak radzi się nieszczęśnikom, którzy muszą przebiec między dwoma rzędami chłozących ich żołnierzy – albo rozmyślając o rzeczach wyższych, podobnie jak Orfeusz, który „swą grą na lirze i głośnym śpiewem zagłuszył pieśń syren i umknął przed niebezpieczeństwem”<sup>2</sup>. Niekiedy znikałem całkiem niespodzianie i nikt nie wiedział, gdzie się znajduję, albowiem prawie obce mi było poczucie przyzwoitości i nigdy się nie wahałem, czy skorzystać z dziury w płocie. Miałem nawet zwyczaj składać niespodziewane wizyty w kilku domach, w których miło mnie podejmowano<sup>3</sup>, a wysłuchawszy najświeższych nowin – co w trawie piszczy, co już ucichło, jakie są perspektywy wojny, a jakie pokoju, i czy świat ma szansę jeszcze przetrwać – wymykałem się bocznymi uliczkami i znów kryłem w lesie.

Bardzo przyjemnie było zostać w miasteczku do późna, a potem pograć się w nocy, szczególnie jeśli była ciemna i zbierało się na burzę, jakże miło postawić żagle i ruszyć z oświetlonego miejskiego saloniku albo sali wykładowej, z torbą ryżu czy mąki kukurydzianej na ramieniu – ruszyć ku mojemu przytulnemu portowi w lesie. Tęgo zabezpieczywszy wszystko na pokładzie, schodziłem do kabiny z wesołą załogą myśli, przy sterze zaś pozostawiałem tylko swoją zewnętrzną powłokę albo w ogóle przywiązywałem ster, aby sam trzymał kurs, jeśli warunki żeglugi nie nastroczały trudności. Podczas rejsu towarzyszyło mi przy ogniu w kabinie wiele radosnych myśli. Nigdy mój statek się nie rozbił ani nie znalazł w niebezpieczeństwie nawet w najgorszą pogodę, choć przyznam, że przeżyłem kilka poważnych sztormów. Nawet w zwykłą noc w lesie jest ciemniej, aniżeli wielu ludzi przypuszcza. Musiałem często spoglądać w górę i wypatrywać prześwitu między drzewami nad ścieżką, aby się upewnić, któredyś biegnie droga, zaś tam, gdzie nie jeździły wozy, mogłem wyczuć stopami nikły, wydeptany przeze mnie ślad. Potrafiłem też posuwać się według znanych mi drzew, obmacując je rękoma. Nawet w głębi lasu w najciemniejszą noc umiałem przejść między dwiema sosnami, które rosły osiemnaście cali od siebie. Czasami, gdy

---

<sup>1</sup> Podatek od okna wprowadzono w pierwszych latach po uzyskaniu niepodległości. W 1799 r. wybuchło w Pensylwanii zbrojne powstanie przeciwko systemowi podatkowemu.

<sup>2</sup> Appolonios z Rodos, *Argonautika*.

<sup>3</sup> Thoreau często odwiedzał dom rodzinny i przyjaciół, szczególnie blisko miał znad Waldenu do domu Emersona.

o tak późnej porze wracałem do domu w ciemną i parną noc, wyczuwając stopami ścieżkę niewidoczną dla oczu, całkowicie pogrążony w swych myślach i marzeniach, dopiero konieczność podniesienia ręki, aby chwycić za klamkę, przywoływała mnie do przytomności. Nie potrafiłem sobie przypomnieć ani jednego kroku po drodze. Myślałem, że może ciało moje znajdzie drogę do domu, skoro jego pan zawiedzie, podobnie jak ręka znajduje bez pomocy drogę do ust. Kilkakrotnie zdarzyło się, że gdy gość zasiedziało się u mnie do późna, a noc była ciemna, musiałem odprowadzić go do biegnącej za domem drogi jezdnej i pokazać kierunek, w którym powinien się udać, cały czas polegając jednak bardziej na przewodnictwie nóg aniżeli oczu. Pewnej bardzo ciemnej nocy pokazałem drogę dwóm młodym ludziom, którzy łowili ryby i zasiedzieli się długo nad stawem. Mieszkali jakąś milę dalej, idąc przez las, i całkiem dobrze drogę znali. Dzień czy dwa później jeden z nich opowiadał mi, że większą część nocy krążyli po lesie w pobliżu swojego domu, aliści dotarli do niego dopiero nad ranem, przemoknięci do suchej nitki, gdyż w nocy kilkakrotnie zlewała ich ulewa i moczyło spływające deszczem listowie. Słyszałem o wielu wypadkach zabłądzenia ludzi nawet na ulicach miasteczka, gdy – jak to się mówi – ciemność zapadła tak gruba, że tylko nożem wycięłoby się drogę przez jej gęstwiny. Niekiedy mieszkańcy peryferii, którzy przybywają wozami na zakupy do miasteczka, zmuszeni są pozostać w nim na noc. Czasami panowie i panie idąc z wizytą, zbaczają pół mili z drogi, gdyż chodnik mogą wyczuć tylko stopami, tracą zatem orientację, gdzie należy skręcić. Zabłądzić w lesie to zdumiewające, pamiętne i wartościowe przeżycie. Często podczas śnieżnej zawieruchy zdarza się, że nawet w dzień wyszedłszy na znaną drogę absolutnie nie ma się pojęcia, w którą stronę należy iść do miasteczka. Wprawdzie przemierzało się ją tysiąc razy, lecz teraz robi wrażenie w ogóle nie znanej, niby obca droga na Syberii. Nocą daleko łatwiej stracić orientację. Podczas spacerów po znajomej okolicy nieustannie – choć może nieświadomie – sterujemy sobą niczym piloci, kierując się według znanych boi oraz latarni, i jeżeli zboczymy ze zwykłego kursu, zachowujemy w pamięci położenie najbliższego przyładka. Dopiero gdy zupełnie zabłądzimy bądź zakręci nam się w głowie – człowiekowi bowiem wystarczy raz się obrócić z zamkniętymi oczami, aby zupełnie stracić orientację na tym świecie – wówczas zaiste doceniamy bezmiar i obcość Natury. Każdy człowiek za każdym przebudzeniem ze snu albo wyrwaniem z pochłaniających go rozważań musi się od nowa uczyć odczytywać skalę busoli. Dopiero gdy zabłądzimy, czyli innymi słowy, zgubiwszy drogę, zgubimy się na tym świecie, zaczynamy naprawdę odnajdywać siebie i zdawać sobie sprawę z naszego położenia i z nieskończonej liczby naszych związków.

Pewnego popołudnia u schyłku mojego pierwszego lata nad stawem, gdy szedłem do miasteczka, aby odebrać but od szewca, złapano mnie i wsadzono do więzienia, albowiem – jak to opowiedziałem już gdzie indziej<sup>4</sup> – nie zapłaciłem podatku, czyli nie uznałem władzy państwa, które na progu budynku senatu handluje mężczyznami, kobietami i dziećmi niby byłem. Nie po to wybrałem mieszkanie w lesie. Dokądkolwiek atoli człowiek się uda, lu-

---

<sup>4</sup> Historię swojego osobistego buntu przeciwko niewolnictwu i rządowi autor opowiada w *Resistance to Civil Government*, opublikowanym w „Aesthetic Papers” w 1849 r., eseju słynnym na całym świecie pt. *Civil Disobedience – Obywatelskie nieposłuszeństwo*, w: Henry D. Thoreau, *Życie bez zasad*, Czytelnik 1983.

dzie będą ścigać go i obłapiać swoimi brudnymi instytucjami i jeśli zdołają, zmuszą go, aby stał się członkiem ich desperackiego towarzystwa totumfackich. Prawda, mogłem przecież stawiać bardziej zdecydowany opór z większym czy mniejszym skutkiem, mogłem wpaść w szal i przeciwstawić się społeczeństwu, lecz wolałem, aby to ono wpadło w szal z mojego powodu, jako że to jego sytuacja była beznadziejna. Jednakże następnego dnia uwolniono mnie, otrzymałem naprawiony but i powróciłem do lasu akurat w porze obiadu, na który spożyłem czarne jagody na wzgórzu Fair Haven. Nigdy nikt mi się nie naprzykrzał, prócz reprezentantów państwa. Nie miałem zamka ani rygla – chyba że w biurku, w którym trzymałem swoje papiery – nie używałem również gwoździ do zabijania drzwi i okien. Drzwi nie zamykałem ani w dzień, ani w nocy, nawet wówczas gdy opuszczałem dom na parę dni czy kiedy następnej jesieni wybrałem się na dwutygodniową wędrówkę po lasach Maine. Wszelako dom mój cieszył się większym szacunkiem, niż gdyby otaczał go kordon żołnierzy. Znużony wędrowiec mógł odpocząć i ogrzać się u mnie przy ogniu, literat zakosztować lektury kilku książek na moim stole, a ciekawski mógł uchylić drzwi spiżarni i zerknąć na resztki mojego obiadu albo na przygotowaną kolację. Wprawdzie nad staw przybywało wielu ludzi wszelkiego autoramentu, lecz nie sprawili mi najmniejszej subiekcji. Nigdy też nie spostrzegłem żadnego braku poza jedną rzeczą – małą książeczką, tomikiem Homera, który być może niepotrzebnie pozłożono. Ufam jednak, że znalazła się już w rękach jakiegoś żołnierza z naszego obozu<sup>5</sup>. Jestem przekonany, że gdyby wszyscy ludzie żyli w takiej prostocie jak ja nad stawem, nie znano by złodziejstwa ani rabunku. Istnieją one tylko w społeczeństwach, w których kilku posiada więcej, aniżeli im wystarczyło, podczas gdy reszta ma mniej, niż należy. Homerów Pope'a<sup>6</sup> wkrótce rozpowszechniono by we właściwy sposób.

Nec bella fuerunt,  
Faginus astabat dum scyphus ante dapes.<sup>7</sup>

„Ty, który zarządzasz sprawami publicznymi, jaką potrzebę masz stosować kary? Kochaj cnotę, a naród będzie cnotliwy. Cnoty człowieka wyższej miary są jak wiatr; cnoty prostego człowieka przypominają trawę; trawa przewiana wiatrem chyli się ku ziemi.”<sup>8</sup>

---

<sup>5</sup> Thoreau przygotował dla „Dial” III aforyzmy Konfucjusza, z których jeden brzmiał: „Jeden żołnierz zgubił swoją tarczę, ale znajdzie ją drugi z naszego obozu; i posłuży się nią.”

<sup>6</sup> Aleksander Pope (1688-1744) – angielski poeta i krytyk, jest autorem parafrazowanego przekładu *Iliady* i *Odysei*.

<sup>7</sup> Nikt ran nie zadawał,

Gdy przy uczcie na stole kubek z drzewa stawał.

Tibullus, *Elegie*, I, 10, 7-8, przełożyła Anna Świderkówna, Ossolineum 1955.

<sup>8</sup> Konfucjusz, *Wiosny i jesienie albo Kronika państwa Lu*.

# Stawy

Czasami, gdy odczuwałem przesyt towarzystwem ludzi i plotkami oraz zmęczenie wszystkimi znajomymi w miasteczku, wędrowałem jeszcze dalej na zachód, aniżeli normalnie przebywam, w bardziej odludną okolicę, „ku świeżym lasom, nowym pastwiskom”<sup>1</sup>, albo też o zachodzie szykowałem sobie kolację z czarnych jagód i borówek na wzgórzu Jasna Przystań robiąc zapasy na kilka dni. Owoce nie ofiarowują swojego prawdziwego smaku tym, którzy je kupują albo zbierają na sprzedaż. Istnieje tylko jeden sposób, aby go z nich wydobyć, lecz niewielu się na to decyduje. Gdybyś chciał się dowiedzieć, jaki smak mają czarne jagody, zapytaj o to pastucha krów czy przepiórkę. Ci, którzy przypuszczają, że poznali smak czarnych jagód, chociaż nigdy ich nie zbierali, popełniają najbardziej powszechną omyłkę. Czarne jagody nie docierają do Bostonu – odkąd wyrosły na trzech wzgórzach miasta<sup>2</sup>, przestały być tam znane. Ambrozyjska, zasadnicza część owocu ginie wraz z kwieciami, które niszczy na wozie handlarza, i z jagód robi się obrok. Jak długo rządzi Wieczna Sprawiedliwość, nie można przetransportować tutaj z wiejskich wzgórz ani jednej niewinnej jagody.

Niekiedy po ukończeniu dziennej porcji gracowania podchodziłem do niecierpliwego towarzysza, który od rana łowił ryby w stawie – milczący i nieporuszony niby kaczka czy liść opadły na wodę – i który po wypraktykowaniu różnych rodzajów filozofii dochodził na ogół do wniosku – zanim do niego się zbliżyłem – że należy do starej sekty cenobitów<sup>3</sup>. Nad stawem bywał także jeden starszy człowiek, świetny rybak, jak również specjalista w różnych odmianach stolarki, który z przyjemnością patrzył na mój dom jak na budynek wzniesiony dla wygody rybaków, a ja z równym zadowoleniem patrzyłem na niego, gdy siadał na moim progu, aby porządkować swe linki. Zdarzało się, że razem przebywaliśmy na stawie – on z jednej strony łodzi, ja z drugiej, wymienialiśmy jednak niewiele słów, ostatnimi laty bowiem stracił słuch, aczkolwiek od czasu do czasu nucił jakiś psalm, który nie najgorzej harmonizował z moją filozofią. Przeto nasze stosunki układały się niezwykle harmonijnie, daleko bardziej zadowalająco, niż gdyby polegały na wymianie słów. Gdy nie miałem żadnego towarzystwa – a zazwyczaj tak właśnie bywało – wydobywałem echa bijąc wiosłem w burtę łodzi, co napełniało okoliczne lasy rozplywającym się kłosem dźwiękiem i pobudzało je niby dozorca menażerii swoje dzikie zwierzęta, aż udało mi się wydobyć ryk z każdej leśnej dolinki i stoku wzgórza.

---

<sup>1</sup> John Milton, *Lycidas*, ostatni wers.

<sup>2</sup> To znaczy na wzgórzach Copp's, Fort i Beacon, na których założono miasto.

<sup>3</sup> Cenobita – zakonnik prowadzący życie razem z innymi w jednym budynku. W oryginale powstała nieprzetłumaczalna gra słów, oparta na prawie identycznej wymowie nazwy zakonników (si: noubaits) oraz zdania: *See, no baits* (si: noubeits), co znaczy: „Patrz, nic nie bierze.”

W ciepłe wieczory siadywałem często w łodzi, aby grać na flecie, i wówczas widywałem okonie, które jak gdyby przeze mnie zaczarowane, kręciły się wokoło, a nad żebrowanym dnem, usianym wrakami lasu, wędrował księżyc. Dawniej przychodziłem od czasu do czasu nad ten staw z towarzyszem, szukając przygód w ciemne letnie noce; rozpalaliśmy ognisko na skraju wody sądząc, że to przynęca ryby, i łapaliśmy miętusy na robaki nanizane na linkę, a gdy już głęboko w noc zbieraliśmy się do odejścia, ciskaliśmy płonące żagwie wysoko w powietrze niby rakiety, które spadając do stawu gasły z sykiem, podczas gdy my, nagle złapani przez kompletne ciemności, szukaliśmy po omacku drogi. W ten sposób, pogwizdując jakąś melodię, zmierzaliśmy znów ku legowiskom ludzi. Aliści teraz założyłem już sobie dom nad stawem.

Niekiedy pozostawałem w miejskim saloniku, dopóki rodzina nie udała się na spoczynek, i powracałem do lasu, gdzie – po części ze względu na obiad następnego dnia – spędzałem północne godziny na łowieniu z łodzi w świetle księżyca i przy serenadach sów oraz lisów, przerywanych niekiedy zgrzytliwą nutą jakiegoś nieznanego ptaka w pobliżu. Przejścia owe były niezwykle pamiętne i cenne – zakotwiczałem na czterdziestu stopach głębokości, dwadzieścia czy trzydzieści prętów od brzegu, czasem otoczony tysiącami drobnych okoni i połyskliwych siei marszczących ogonkami taflę w świetle księżyca, połączonych długą, płową linią z tajemniczymi rybami nocy, które zamieszkiwały czterdzieści stóp głębiej; albo niekiedy dryfując w łagodnym nocnym powiewie przeciągałem po stawie sześćdziesiąt stóp linki, co jakiś czas odczuwając w palcach lekkie drżenie, które wskazywało na to, że u końca linki poluje na zdobycz coś żywego, coś, co dąży do celu ospale i niezdarnie, podejmując powoli decyzję. Ostatecznie kończyło to się wyłowieniem – powolnym ruchem ręki za ręką – jakiegoś miętusa, który wijąc się łapał nad wodą powietrze, jakby wydawał pisk. Zwłaszcza w ciemne noce, kiedy myśli wędrowały ku odległym kosmogonicznym tematom w innych sferach, osobliwie było czuć to lekkie szarpnięcie, które przerywało mi marzenia i przywoływało z powrotem na łono Natury. Omalże mogłem następnie zarzucić linkę wysoko w powietrze, a potem ściągnąć w dół, aby znów zanurzyć w tym żywiole chyba nie gęściejszym. A zatem jakbym złapał dwie ryby na jeden haczyk. Krajobraz wokół Waldenu jest skromny i aczkolwiek naprawdę piękny, daleko mu do majestatycznego; nie bardzo też może zainteresować kogoś, kto od lat nie bywa nad stawem ani nie mieszka nad jego brzegiem; a jednak staw ten jest tak szczególny, jeśli idzie o jego głębokość i czystość, że zasługuje na drobiazgowy opis. Jest to przejrzysta, głęboka zielona studnia o długości pół mili, obwodzie jednej i trzech czwartych mili, a powierzchni sześćdziesięciu jeden i pół akra – nie wysychające źródło pośród sosnowo-dębowego lasu, bez widocznego dopływu czy odpływu wody, chyba że są nimi chmury i parowanie. Stoki pagórków otaczających staw wspinają się stromo od samej wody na wysokość czterdziestu do osiemdziesięciu stóp, lecz na południowym wschodzie i wschodzie dochodzą do około stu oraz stu pięćdziesięciu stóp na odcinku ćwierć mili oraz jednej trzeciej mili. Porośnięte są całkowicie lasem. Wszystkie nasze concordzkie wody mają co najmniej dwa kolory – jeden dostrzega się z oddali, drugi, ten właściwszy, z bliska. Pierwszy jest bardziej uzależniony od światła i naśladuje niebo. Latem w czystym powietrzu, z niewielkiej odległości wody wydają się niebieskie, szczególnie gdy nie są gładką taflą, i podobnie wyglądają z daleka. W burzową po-



godę przybierają czasem barwę ciemnoszarej dachówki. Tymczasem morze jednego dnia ma podobno kolor niebieski, a innego zielony, bez żadnej dostrzegalnej zmiany w atmosferze. Gdy okolicę pokrywał śnieg, widziałem, że nasza rzeka – zarówno woda, jak i lód – była niemal tak zielona jak trawa. Niektórzy uważają, że niebieski „to kolor czystej wody, czy to w stanie płynnym, czy stałym”.

Natomiast gdy nasze wody ogląda się z łódki patrząc w ich głąb, mają bardzo różne kolory. Walden raz jest niebieski, raz zielony, nawet gdy patrzy się na niego pod tym samym kątem. Znajdując się między ziemią a niebiosami ma w sobie coś z koloru obydwu. Oglądany ze szczytu pagórka, odbija kolor nieba, natomiast z bliska ma zabarwienie żółtawe tuż przy brzegu, gdzie widać piasek, dalej zaś kolor jasnozielony, który stopniowo ciemnieje aż do jednolitej ciemnej zieleni bliżej środka. W innym świetle natomiast, nawet gdy przyglądać mu się ze szczytu pagórka, jest tuż przy brzegu koloru jaskrawozielonego. Niektórzy łączą to z faktem, że odbija się w nim zielona roślinność, lecz staw ma taką samą zieloną barwę po stronie piaszczystego nasypu kolejowego również wiosną, zanim rozwiną się liście, może zatem przyczyny należy po prostu upatrywać w tym, że zieleń jest mieszanką przeważającego dookoła błękitu z żółtością piasku. Oto kolor jego tęczówki. Na wiosnę właśnie w tej jego części lód – ogrzewany ciepłem słońca odbitego od dna, a także przekazanego przez ziemię – topnieje pierwszy i tworzy wąski kanał dokoła nadal zlodowaciałego środka. Podobnie jak inne nasze wody, gdy mimo ładnej pogody ich powierzchnie są lekko wzburzone, tak że fale mogą odbijać niebo pod właściwym kątem, albo też dlatego że z wodą miesza się więcej światła, z niewielkiej odległości staw ma kolor bardziej niebieski aniżeli samo niebo. Gdy w taki czas przebywałem na jego powierzchni i patrzyłem tak, aby jednocześnie widzieć odbicie, dostrzegłem niezrównaną i nieopisaną barwę jasnoniebieską, podobną do koloru połyskliwego czy mieniącego się jedwabiu lub ostrza miecza, bardziej modrą aniżeli samo niebo, a po drugiej stronie fal zamieniającą się w pierwotną ciemnozieloną, która w żadnym razie nie wyglądała muliście w porównaniu z tamtą. Pamiętam ją jako szkliscie zieloniebieską niby owe pasma zimowego nieba widziane na zachodzie w przerwach między chmurami przed udaniem się słońca na spoczynek. Wszelako szklanka wody ze stawu, oglądanej pod światło, jest równie bezbarwna jak podobna ilość powietrza. Powszechnie wiadomo, że duża tafła szkła będzie miała, jak twierdzą szklarze, z racji swojej „masy” zielone zabarwienie, podczas gdy mała będzie bezbarwna. Nigdy nie ustaliłem, jakiej potrzeba masy wody z Waldenu, aby zabarwiła się na zielono. Dla kogoś, kto patrzy w głąb wody w naszej rzece, jest ona czarna albo intensywnie ciemnobrązowa i podobnie jak woda w większości stawów, nadaje ciałom kąpiących się żółtawy odcień; natomiast woda Waldenu jest tak krystalicznie czysta, że ciało kąpiącego się nabiera koloru białego alabastru, co robi tym bardziej nienaturalne wrażenie, że przy powiększonych i na dodatek zniekształconych kończynach cała sylwetka wygląda monstrualnie i świetnie by się nadawała na model dla jakiegoś Michała Anioła.

Woda jest tak przejrzysta, że przy głębokości dwudziestu czy trzydziestu stóp łatwo można dostrzec dno. A gdy wiosłuje się przez staw, można oglądać na wiele stóp pod powierzchnią ławice okoni i siei, mających może tylko cal długości, lecz mimo to pierwsze z nich łatwo rozpoznać po poprzecznych wąsach, i przychodzi człowiekowi do głowy, że są

to chyba ryby-ascetki, skoro znajdują tam pożywienie. Kiedyś zimą, wiele lat temu, gdy rąbałem w lodzie przeręble, aby łowić młode szczupaki, w pewnej chwili wróciłem na brzeg rzucając siekiere z powrotem na lód, a ona – jak gdyby kierowana przez złego ducha – przesunęła się cztery czy pięć prętów po lodzie i wpadła wprost do jednego z przerębli, pod którym woda miała dwadzieścia pięć stóp głębokości. Wiedziony ciekawością, położyłem się na lodzie i wpatrywałem w ów przerębel, dopóki nie ujrzałem trochę przesuniętej w bok siekiery, która stała na ostrzu, ze styliskiem sterczącym w górę, lekko kołyszącym się tam i z powrotem zgodnie z pulsowaniem stawu; gdybym jej nie przeszkodził, pewnie by tak sterczała tam rozkołysana, dopóki stylisko by nie zgniło. Zrobiłem jednak drugi przerębel wprost nad siekierą za pomocą dłuta do lodu, ściałem nożem najwyższą brzozę w okolicy, zawiązałem pętlę zaciskową i przymocowałem ją do wierzchołka brzozy, którą wsunąłem ostrożnie w przerębel, zatrzymałem nad zgrubieniem styliska, zaciągnąłem pętlę linką biegnącą wzdłuż brzozy i w ten sposób wydobyłem siekiere na powierzchnię. Wzdłuż brzegu ciągnie się pas gładkich, zaokrąglonych białych kamieni przypominających bruk, tylko w kilku miejscach zastępują go małe piaszczyste plaże; brzeg jest taki stromy, że w wielu jego punktach jeden skok do wody może oznaczać zanurzenie wraz z głową, a gdyby woda nie była aż tak przejrzysta, dno ponownie by się pokazało dopiero na płyciźnie pod przeciwległym brzegiem. Niektórzy są zdania, że staw nie ma dna<sup>4</sup>. Nigdzie nie widać w nim mułu, jak również niezbyt uważny obserwator stwierdzi nawet, że nie rosną w nim wodorosty; wśród roślin, które daje się zauważyć – prócz tych rosnących na małych, od niedawna dopiero zalanych łączkach, a zatem nie stanowiących właściwej flory stawu – nawet uporczywe wypatrywanie nie doprowadzi do wykrycia tataraku ani sitowia, ani lilii żółtej, ani białej, lecz ledwie pozwoli dostrzec żabieniec, rdestnicę i może kilka strzałek; aczkolwiek kąpiący się w stawie może nie zauważyć żadnej z tych roślin, są one bowiem tak czyste i świetlane jak żywioł, w którym rosną. Kamienie sięgają pręt czy dwa pod wodę, a dalej dno wysłane jest czystym piaskiem, z wyjątkiem najgłębszych partii, gdzie na ogół leży trochę osadu, prawdopodobnie ze zgniłych liści, które wiatr przez wiele jesieni nawiewał na staw; jasnozielone zielsko wyciąga się na kotwicy nawet w środku zimy.

Mamy drugi taki sam staw – White w Nine Acre Corner, około dwóch i pół mili na zachód. Chociaż znam większość stawów w promieniu dwunastu mil, to jeśli idzie o ten czysty, przypominający studnię zbiornik, nie znany mi jest taki trzeci. Kolejne ludy piły z niego, podziwiałały go i sondowały, po czym schodziły z tego świata, a jego woda nadal pozostaje jednakowo zielona i przejrzysta. Nieprzerwana wiosna! Być może staw Walden istniał już w ów wiosenny poranek, gdy Adam i Ewa zostali wypędzeni z raj, może nawet puszczał wówczas na nim lód w lekkim wiosennym deszczu, któremu towarzyszyła mgła i południowy wiatr, może usłany był miriadami kaczek i gęsi nic nie wiedzących, co to upadek, skoro wciąż im wystarczały takie czyste jeziora. Nawet wówczas zaczął się już wznosić i opadać, oczyszczać swe wody i zabarwiać je na taki kolor, jaki mają obecnie, a także otrzymał od niebios patent na to, aby pozostać jedynym na świecie stawem Walden i destylatorem niebiańskiej rosy. Kto wie, w ilu zapomnianych literaturach narodowych

---

<sup>4</sup> W Nowej Anglii prawie w każdej wiosce czy miasteczku krążyły legendy o stawach „bez dna”.

był Kastalskim Źródłem<sup>5</sup>? lub jakie nimfy strzegły go w Złotym Wieku? To klejnot czystej wody i Concord nosi go w swoim herbie.

Być może jednak pierwsi, którzy przybyli do tej studni, pozostawili jakieś ślady stóp. Okrążając staw, ze zdziwieniem wykryłem na stromym stoku – nawet tam, gdzie przy brzegu akurat wycięto gęsty las – wąską ścieżkę przypominającą półkę, która a to wznosiła się, a to opadała, a to zbliżała się do skraju wody, a to oddalała od niego, pewnie tak starą jak ludzki ród zamieszkujący te strony, wydeptaną stopami rdzennych myśliwych i nadal od czasu do czasu deptaną nieświadomie przez obcych mieszkańców krainy. Szczególnie wyraźnie widać ją ze środka stawu w zimie, tuż po lekkim opadzie śniegu – wygląda wówczas jak wyraźna falista biała linia, nie zatarta przez chwasty i gałązki, bardzo ostro zarysowana w wielu miejscach ćwierć mili dalej, gdzie w lecie trudno ją dostrzec z bliska. Śnieg jak gdyby odbijają na nowo wyraźnym białym drukiem *alto-relievo*<sup>6</sup>. Jakiś jego ślad może się zachować na zdobionych posadzkach willi, które zbuduje tu się pewnego dnia.

Woda w stawie podnosi się i opada, lecz na ile regularnie i na jak długi czas, nikt nie wie, aczkolwiek, jak to zwykle bywa, wielu udaje, że wie. Przeważnie wyższa jest w zimie, a niższa w lecie, niezależnie jednak od ogólnej wilgotności czy suszy. Pamiętam, że była o stopę czy dwie niższa, a innym razem o pięć stóp wyższa aniżeli podczas mojego pobytu nad stawem. Wcina się w nią wąska łacha piachu i po jednej jej stronie woda jest bardzo głęboka. Na tej łasze, w odległości jakichś sześciu prętów od brzegu stawu około 1824 roku pomagałem gotować potrawę z ryby, co było nie do pomyślenia przez dwadzieścia pięć lat; z drugiej strony atoli, jak opowiadałem znajomym słuchającym mnie z niedowierzaniem, kilka lat później przyzwyczailem się do łowienia z łódki w zacisznej zatoczce wśród lasu, piętnaście prętów od jedynej znanej im linii brzegu, w którym to miejscu już dawno temu wyrosła łąka. Lecz przez dwa ostatnie lata woda w stawie systematycznie się podnosiła i teraz, w lecie 1852 roku, jest akurat o pięć stóp wyższa, aniżeli wówczas gdy tam mieszkałem, czy też równie wysoka jak trzydzieści lat temu, przeto znów łowi się na łące<sup>7</sup>. Daje to przesunięcie linii brzegowej o sześć czy siedem stóp, przy czym nieistotna jest ilość wody dostarczanej przez otaczające wzgórza; jedynej przyczyny podnoszenia się poziomu wody w stawie należy upatrywać w tym, że źródła głębinowe również podlegają wpływom. Lecz tego lata woda w stawie znów zaczęła opadać. Godny uwagi jest fakt, że owa fluktuacja – czy to okresowa, czy nie – wymaga chyba wieloletniej fazy przygotowawczej. Sam zaobserwowałem jeden przypadek podniesienia się poziomu wody i częściowo dwa obniżenia, uważam zatem, że potrzeba następnych dwunastu, piętnastu lat, aby woda osiągnęła tak niski poziom, jaki w ogóle zdarzyło mi się widzieć. Staw Flinta<sup>8</sup>, położony o milę na wschód – aczkolwiek występują w nim zakłócenia powodowane przez dopływy i odpływy – jak rów-

---

<sup>5</sup> Kastalskie Źródło – święte źródło w Delfach w pobliżu Parnasu, poświęcone Apollinowi i muzom.

<sup>6</sup> *Alto-relievo* – relief wypukły.

<sup>7</sup> Jeden z wielu fragmentów wskazujących na to, że dużą część *Waldenu* Thoreau napisał w ciągu siedmiu lat od chwili wyprowadzenia się z nad stawu.

<sup>8</sup> Staw ten ma drugą nazwę Sandy – Piaszczysty. Położony jest w okolicy miasteczka Lincoln, około mili na południowy wschód od Waldenu. W 1836 r. szkolny kolega Thoreau, Charles Stearns Wheeler, wybudował nad nim chatę, w której spędzał wakacje przez sześć lat. Niemal pewne jest, że Thoreau go tam odwiedzał

niez mniejsze stawy między nim a Waldenem solidaryzują się z tym ostatnim i niedawno osiągnęły najwyższy poziom wody w tym samym czasie co on. Jak zaobserwowałem, podobnie sprawy mają się ze stawem White.

Owe długie okresy podnoszenia się i opadania wody w Waldenie spełniają między innymi następującą rolę: woda utrzymując się przez rok czy dwa na wysokim poziomie wprawdzie utrudnia chodzenie wokół stawu, lecz zarazem zabija krzewy i drzewa, które wyrosły na jej skraju od czasu uprzedniego wysokiego stanu, to znaczy zabija sosny smołowe, olchy, osiki i inne drzewa i ponownie opadając pozostawia brzeg ogołocony. Stąd – w przeciwieństwie do innych stawów i wszelkich wód, które podlegają codziennemu zjawisku pływów – Walden ma najczystszy brzeg wówczas, gdy woda jest najniższa. Po tej samej stronie stawu, gdzie stoi mój dom, tylko kawałek dalej, został w ten sposób zabity i przewalony niczym lewarem rząd sosen smołowych, co położyło kres ich wdzieraniu się w staw; po ich długości można było ocenić, ile lat minęło od ostatniego podniesienia się wody do tego poziomu. Owa fluktuacja zapewnia stawowi prawo do posiadania brzegu, a zatem brzeg jest obrzeżony i drzewa nie mogą go sobie przywłaszczyć. To wargi jeziora, których nie porasta broda. Od czasu do czasu staw je oblizuje. Gdy woda osiąga najwyższy poziom, olchy, wierzby i klony podejmują obronne wysiłki, aby przetrwać, i wypuszczają ze wszystkich stron pnia zanurzonego w wodzie mnóstwo włóknistych czerwonych korzeni długości kilku stóp oraz na wysokości trzech, czterech stóp od ziemi; widziałem przy brzegu także krzewy wysokiej borówki, która normalnie nie wydaje owoców, lecz w tych warunkach rodziła je obficie.

Niektórzy ze zdumieniem słuchali opowieści, jak doszło do tego, że brzeg stawu został tak regularnie wyłożony kamieniami. Owo podanie znają wszyscy mieszkańcy miasteczka, najstarsi twierdzą, że słyszeli je w młodości. Otóż dawno temu zebrali się Indianie na pobliskim wzgórzu, które wznosiło się w niebiosa tak wysoko, jak głęboko teraz staw zapada się w ziemię. Podanie głosi, że choć to dla Indian występki, jakiego nigdy się nie dopuszczali, teraz rzucali przekleństwami na wszystkie strony. Nagle wzgórze zadrżało i zapadło się. Uciekła tylko jedna stara *squaw*, imieniem Walden, którym też nazwano staw. Ludzie snują domysły, że gdy wzgórze zadrżało, kamienie stoczyły się po zboczu i utworzyły obecny brzeg<sup>9</sup>. W każdym razie jedno jest pewne – niegdyś nie było tu stawu, a teraz istnieje. To podanie o Indianach pod żadnym względem nie kłóci się z opowieścią owego wspomnianego przeze mnie starego osadnika<sup>10</sup>, który tak dobrze pamięta, jak to za pierwszym swoim

---

i że między innymi odwiedziny te stały się dla niego źródłem inspiracji do zamieszkania na dwa lata nad Waldenem.

<sup>9</sup> W pierwszym wydaniu *Waldenu* Thoreau odnotowuje, że jest to właściwie opowieść dotycząca jeziora Alexander w Killingly, stan Connecticut, zawarta w *Connecticut Historical Collections* Barbera (New Haven 1838, str. 431). Lecz Kenneth Cameron w *Thoreau and the Folklore of Walden Pond* (ESQ, III, 1956, 11) cytuje artykuł z concordzkiej gazety „Middlesex Gazette” z 11 sierpnia 1821 r., z którego wynika, że legenda ta dotyczy stawu Walden. Cytuje także fragment artykułu zamieszczonego w „Boston Herald” (15 stycznia 1956 r.), pióra geologa J. H. Hartshorna utrzymującego, że w miejscu dzisiejszego stawu Walden mogło niegdyś wznosić się wzgórze, które się zapadło, gdyż w jego wnętrzu była tzw. kieszeń lodowa powstała w okresie zlodowacenia. Kiedy lód stopniał, cienka pokrywa ziemi nad nim zapadła się i utworzyła dno stawu.

<sup>10</sup> Mowa o bożku Panie. Patrz rozdział *Samotność*.

tu pobyt z różdżką ujrzał nad murawą lekkie opary i jego leszczynowa różdżka zwracała się uparcie do dołu, toteż zaczął kopać tu studnię. Jeśli idzie o kamienie, to wielu nadal uważa, że ich istnienia nie bardzo można tłumaczyć oddziaływaniem lodowca na pobliskie wzgórze; natomiast ja widzę, że te wzgórza wprost usiane są kamieniami tego samego rodzaju, co zmusiło budowniczych traktu kolejowego do ustawiania murków z tych kamieni po obu jego stronach na odcinku, na którym biegnie on najbliżej stawu; ponadto największej ich leży tam, gdzie brzeg jest najbardziej stromy. Toteż sprawa kamieni nie stanowi już dla mnie tajemnicy. Wykryłem brukarza. Gdyby nazwa stawu nie pochodziła od jakiejś angielskiej miejscowości – na przykład od Saffron Walden<sup>11</sup> – można by przypuszczać, że pierwotnie nazwano go Walled-in<sup>12</sup>.

Staw był dla mnie już wykopaną, gotową studnią. Przez cztery miesiące w roku woda w nim jest taka zimna, jak pozostaje czysta w każdą porę; uważam również, że smakiem nie ustępuje żadnej innej w miasteczku – jeśli nie jest w ogóle najlepsza. W zimie we wszystkich otwartych zbiornikach woda robi się zimniejsza aniżeli źródłana czy studzienna, nie wystawiona na wpływy atmosferyczne. Temperatura wody ze stawu, postawionej w mojej izbie, gdzie przebywałem od piątej po południu do południa następnego dnia, szóstego marca 1846 roku, kiedy termometr wskazywał przez pewien czas 65-70 stopni<sup>13</sup>, co było częściowo wynikiem nasłonecznienia dachu, wynosiła 42 stopnie<sup>14</sup>, czyli była o jeden stopień niższa aniżeli wody akurat naciągniętej z jednej z najzimniejszych studni w miasteczku<sup>15</sup>. W tym samym dniu temperatura Wrzącego Źródła wynosiła 45 stopni<sup>16</sup>, czyli była najwyższą temperaturą wszystkich wód poddanych owego dnia badaniu, chociaż w lecie to najzimniejsza spośród tych, jakie znam, albowiem płytka i stojąca obok woda, która wypłynęła na powierzchnię, już się nie miesza z buchającą wprost ze źródła. Ponadto w lecie Walden – z racji swojej głębokości – nigdy tak się nie nagrzewa jak większość wód wystawionych na działanie słońca. W najcieplejszą pogodę umieszczałem w piwnicy wiadro napełnione wodą, która pozostawała chłodna zarówno w nocy, jak i następnego dnia; odwiedzałem

---

<sup>11</sup> Thoreau zaczerpnął tę nazwę z dziennika Evelyny. Była ona jednak znana mu również z tradycji rodzinnej, gdyż, przodkowie jego matki przybyli do Ameryki z londyńskiego przedmieścia Saffron Walden. Wspomina o tym w swoim dzienniku (*Journal*, 2 grudnia 1857). Jednocześnie w nie opublikowanym rękopisie, który jest własnością Huntington Library, Thoreau twierdzi, że kiedy owi przodkowie przybyli do Concord, staw już nazywał się Walden. Natomiast Hannah Hudson w *Concord Books* („Harper’s Monthly”, LI, 1875, 29) utrzymuje, że nazwa stawu może pochodzić od nazwiska Richarda Waldena, zasłużonego pioniera, który osiadł w Concord w XVII w.

<sup>12</sup> Nieprzetłumaczalna gra słów polegająca na bardzo zbliżonym brzmieniu nazwy Walden i słowa walled-in – otoczony murem. Nie wymyślił jej sam Thoreau. Kenneth Cameron w *Thoreau and the Folklore of the Walden Pond* (ESQ, III, 1956, 10) cytuje wzmiankę na ten temat, zamieszczoną w concordzkiej gazecie „Yeoman’s Gazette” z 21 sierpnia 1830 r.

<sup>13</sup> 65°-70° Fahrenheita = 18°-21° Celsjusza

<sup>14</sup> 42° Fahrenheita = 5½° Celsjusza.

<sup>15</sup> Wprawdzie podawanie tych szczegółowych danych może irytować współczesnego czytelnika, podobnie jak podawanie przez Melville’a w *Moby Dicku* szczegółowych wymiarów wieloryba, lecz ilustruje ono rosnące zainteresowanie nauką w Ameryce połowy XIX w.

<sup>16</sup> 45° Fahrenheita = 7° Celsjusza. Owo źródło położone jest na zachód od stawu Walden; nie jest to tzw. źródło gorące – woda w nim kipi i tak wypływa na powierzchnię.

atoli również pobliskie źródło. Woda w wiadrze była tak samo dobra po tygodniu jak w dniu, kiedy jej zaczerpnąłem, i nie miała posmaku wody z pompy. Każdy, kto w lecie rozbije na tydzień obóz nad brzegiem jakiegokolwiek stawu, aby zapewnić sobie luksus dysponowania lodem, musi tylko zakopać wiadro wody na głębokości kilku stóp, w cieniu swojego obozu.

Łowiono w Waldenie młode szczupaki – zdarzyło się, że jeden ważył siedem funtów, nie mówiąc już o drugim, któremu po popisie błyskawicznego rozwijania linki z kołowrotka rybak przypisywał co najmniej osiem funtów wagi, jako że nie zdołał go zobaczyć; łowiono okonie i miętusy ponad dwufuntowe, sieje, klenie lub płocie (*Leuciscus pulchellus*), bardzo niewiele leszczy (*Pomotis obesus*), a także kilka węgorzy, w tym jednego czterofuntowego – podaję te szczegóły, albowiem sławę ryba zazwyczaj zawdzięcza swojej wadze, a poza tym to jedyne złapane tu węgorze, o których słyszałem; przypominam sobie także jak przez mgłę małe rybki długości jakichś pięciu cali, o srebrnych bokach i zielonkawym grzbiecie, trochę podobne do kleni, wspominam zaś o nich głównie dlatego, że to fakty, a nie legenda. Niemniej jednak ten staw niezbyt obfituje w ryby. Jego chlubą są głównie młode szczupaki, nie występują atoli w wielkich ilościach. Pewnego razu widziałem, jak leżały na lodzie młode szczupaki co najmniej trzech różnych odmian: długie i płaskie stalowej barwy, przypominające te, które łowi się w rzece, inne jasnozłote z zielonkawymi refleksami, znacznie potężniejsze i najpospolitsze tutaj, oraz jeszcze inne – o złocistej barwie i kształcie podobnym do poprzednich, lecz upstrzone na bokach drobnymi ciemnobrązowymi lub czarnymi cętkami zmieszanych z kilkoma bladokrwistymi, bardzo przypominające pstrąga. Nie pasuje do nich określenie *reticulatus*, raczej powinno je się nazywać *guttatus*<sup>17</sup>. Wszystkie te ryby są bardzo jędrne i ważą więcej, aniżeli można by oczekiwać po ich rozmiarach. Sieje, miętusy i okonie, a także wszystkie właściwie ryby żyjące w tym stawie są o wiele czystsze, ładniejsze i jędrniejsze aniżeli żyjące w rzece i w większości innych stawów, albowiem woda tu jest czystsza; dlatego łatwo je odróżnić od innych ryb. Prawdopodobnie wielu ichtiologów podzieliłoby niektóre z nich na jeszcze inne odmiany. Żyje także w stawie czyste plemię żab i żółwi oraz kilka małży, wszędzie wokół pozostawiają swe ślady piźmoszczury i norki, a niekiedy składa stawowi wizytę wędrujący żółw błotny. Gdy rankiem odbijałem łódką od brzegu, zdarzało mi się wypłoszyć takiego wielkiego żółwia, który skrył się pod nią w nocy. Wiosną i jesienią odwiedzają staw kaczkami i gęsi, białobrzuche jaskółki (*Hirundo bicolor*) muskają jego powierzchnię, w zatoczkach zrywają się do lotu zimorodki, a brodzie (*Totanus macularius*) hałasują na jego kamienistym brzegu przez całe lato. Czasami spłoszyłem rybołowa siedzącego na sośnie wejmutce nad wodą, lecz wątpię, aby kiedyś Walden sprofanowało skrzydło mowy, jak to się zdarza stawowi Fair Haven. W najlepszym razie toleruje on jednego nura na rok. Oto i cała istotna fauna bywająca nad stawem.

W bezwietrzną pogodę pod piaszczystym wschodnim brzegiem – gdzie woda ma osiem czy dziesięć stóp głębokości – a także w innych partiach stawu można z łódki dostrzec okrągłe kopczyki o obwodzie sześciu stóp i o stopie wysokości, usypane z kamyków mniejszych

---

<sup>17</sup> *Reticulatus* (łac.) – siatkowy, *guttatus* (łac.) – cętkowany.

aniżeli kurze jajko, podczas gdy wszędzie dookoła widać tylko sam piach. Najpierw człowiek się zastanawia, czy to Indianie usypali je w jakimś celu na lodzie, a gdy ten stopniał, kopczyki zapadły się i osiadły na dnie. Są jednak zbyt regularne i niektóre z nich po prostu zbyt świeże. Przypominają podobne kopczyki w rzekach, lecz skoro w stawie nie żyją ani tasze, ani minogi, nie wiem, jakie ryby mogłyby je utworzyć. Być może to gniazda kleni. Dzięki nim dno tchnie pociągającą tajemniczością.

Brzeg jest dostatecznie nieregularny, aby nie wyglądać monotennie. Widzę oczami wyobraźni brzeg zachodni powcinany głębokimi zatoczkami, bardziej odważny północny i piękny fryz południowego, gdzie kolejne nakładające się na siebie przylądki jak gdyby kryją istniejące między nimi zatoczki. Las nigdy nie ma takiej dobrej oprawy ani nie jest tak jednoznacznie piękny, jak wówczas gdy patrzy się na niego ze środka małego jeziora pośród pagórków wznoszących się od skraju wody, albowiem woda, w której las się odbija, nie tylko tworzy najlepszy pierwszy plan, lecz także swoim wijącym się brzegiem otacza go niby najbardziej naturalną, cieszącą oko granicą. Linia lasu pozbawiona jest surowości czy niedoskonałości, takiej jak w miejscach, w których wcięła się w nią siekiera czy styka się z nią pole uprawne. Drzewa mają aż nadto miejsca, aby rozrastać się nad wodą, i każde wysuwa w jej stronę najżywotniejszą gałąź. Natura uprzedła nad brzegiem naturalną krajkę, której pasy wzrok mierzy stopniowo od niskich nadbrzeżnych krzewów do najwyższych drzew. Niewiele widać śladów ludzkiej ręki. Woda obmywa brzeg tak, jak obmywała go lata temu.

Jezioro jest najpiękniejszym i najbardziej wyrazistym elementem krajobrazu. To oko ziemi, w które zaglądając mierzymy głębię własnej natury. Nadwodne drzewa na brzegu to wiotkie, obramowujące jezioro rzęsy, a leśne pagórki i skały dookoła to jego krzaczaste brwi.

Stojąc na gładkiej piaszczystej plaży po wschodniej stronie stawu w pogodne wrześniowe popołudnie, gdy lekka mgielka zasnuwa linię przeciwległego brzegu, zrozumiałem, skąd bierze się określenie „szklista powierzchnia jeziora”. Patrząc na nią do góry nogami ma się wrażenie, że to rozciągnięta przez kotlinę najcieńsza nić babiego lata, która połyskując na tle odległych lasów sosnowych oddziela jedną warstwę atmosfery od drugiej. Można by pomyśleć, że udałoby się przejść pod nią suchą stopą aż do pagórków na przeciwległym brzegu albo że muskające nić jaskółki mogłyby przycupnąć na niej rzędem. W istocie, czasem dają nura pod tę linię, jak gdyby przez pomyłkę, po czym wyprowadzają się z błędu. Patrząc na staw ku zachodowi, trzeba obiema rękoma chronić oczy przed promieniami słońca zarówno odbitymi jak i rzeczywistymi, które są jednakowo jaskrawe. A jeśli popatrzeć badawczo na powierzchnię stawu między jednymi a drugimi, wydaje się ona dosłownie gładka jak szkło, prócz miejsc, w których rozsiane po całej tafli w równych odstępach narutki drżą w słońcu i roziskrzają staw najpiękniej, jak tylko można sobie wyobrazić; niekiedy też kaczka wygląda pióra dziobem czy – o czym już wspomniałem – jaskółka frunie tak nisko, że muska tafel. Zdarza się również, że ryba w oddali zakreśla w powietrzu łuk o wysokości trzech do czterech stóp, a wtedy w miejscu, w którym się wynurza, pojawia się jeden oślepiający błysk, tam zaś, gdzie znów przesywa wodę – drugi; niekiedy dostrzec można cały srebrzysty łuk. Tu i ówdzie widać na powierzchni puch ostu,

a rzucające się na niego ryby znów marszczą taflę. Przypomina ona płynne szkło, ostygłe, lecz nie stężałe, a te nieliczne pyłki na niej są czyste i piękne niczym skazy na szkłe. Często można wypatrzeć jeszcze gładszą i ciemniejszą wodę, oddzieloną od pozostałej jak gdyby spoczywającą na niej niewidoczną pajęczyną – ruchomym jazem wodnych nimf. Ze szczytu wzgórza widać na całym stawie skaczące ryby, albowiem ani młody szczupak, ani sieja nie porywa owada z gładkiej powierzchni, tylko demonstracyjnie burzy równowagę całego jeziora. To cudowne, z jakim kunsztem zapowiadane jest owo nieskomplikowane wydarzenie, owo rybnie morderstwo dokonane<sup>18</sup> – z mojej odległej grzędy dostrzegam kręgi fal, gdy mają sześć prętów średnicy. Z odległości ćwierć mili można nawet wypatrzeć pluskwiaka wodnego (*Gyrinus*), który nieprzerwanie posuwa się po gładkiej powierzchni, albowiem pozostawia on za sobą na wodzie płytką bruzdkę, widoczną dzięki zmarszczce ograniczonej dwiema rozchodzącymi się liniami, podczas gdy nartniki szybują nad wodą nie robiąc na niej widocznych zmarszczek. Gdy powierzchnia jest wzburzona, nie pojawiają się na niej ani nartniki, ani pluskwiaki, które dopiero w spokojne dni najwyraźniej opuszczają swoje przystanie i śmiało prą naprzód od strony brzegu krótkimi zrywami, aż całkowicie pokryją powierzchnię. To kojące zajęcie siedzieć sobie na pniu tak wysoko jak teraz w jeden z owych ładnych jesiennych dni, gdy docenia się w pełni ciepło słońca, i patrzeć na staw obserwując zmarszczki kręgów, które rysują się nieprzerwanie na jego widocznej tylko dzięki nim powierzchni pośród odbijających się niebios i drzew. Na tym wielkim obszarze nie zdarza się, aby jakiś zamęt od razu nie począł się zacierać i uspokajać podobnie jak na wodzie w wazonie, którym wstrząśnięto, a drgające kręgi podążają do brzegu i znów zapanowuje spokój. Ani skok ryby, ani opadnięcie owada na staw nie może nie zostać odnotowane zmarszczkami kręgów, liniami piękna, jak gdyby staw ciągle tryskał źródłem, delikatnie pulsował życiem, falował piersią. Nie do odróżnienia są dreszcze radości od dreszczy bólu. Jakże przepojone spokojem są zjawiska na jeziorze! Znów dzieła rąk człowieka połyskują niby na wiosnę. Tak, każdy liść, gałązka, kamień i pajęczyna iskrzą się teraz w połowie popołudnia tak, jak gdyby mokre były od rosy w wiosenny ranek. Każdy ruch wiosła czy owada rodzi błysk światła, a gdy wiosło opada, jakże słodkie budzi echo!

W taki wrześnieowy czy październikowy dzień Walden jest doskonałym lustrem lasu, obramowanym kamieniami tak drogimi mojemu oku, jak gdyby były mniej liczne czy bardziej niezwykle. Nic podobnie jasnego i czystego, a zarazem tak dużego jak jezioro chyba nie istnieje na powierzchni ziemi. Niebiańska woda. Niepotrzebne jej ogrodzenie. Ludy przybywają i odchodzą niczym jej nie kalając. To zwierciadło, którego nie stłucze kamień, na którym srebro nigdy się nie wytrze, którego złocenia Natura nieprzerwanie konserwuje – jego powierzchnia nigdy nie zmętnieje od burz ani od kurzu, na zawsze pozostanie nie zniszczona; zwierciadło, w którym toną wszelkie osiadające na nim nieczystości, zmiecione mglistą miotłą słońca niby delikatną ściereczką do kurzu; zwierciadło, które nie pochłania przeznaczonych dla niego powiewów, lecz swoim oddechem tchnie w górę, aby jako chmury zawieszono wysoko odbijał się jeszcze w jego piersi.

---

<sup>18</sup> „Mordre wol out” – Geoffrey Chaucer, *Opowieści kanterberyjskie. Opowieść przeoryszy*, wers 1766.



Obszar wody oddaje nastrój panujący w powietrzu. Nieprzerwanie przekazywane są mu z góry nowe życie i ruch. Jest z natury czymś pośrednim między lądem a niebem. Na lądzie falują tylko drzewa i trawa, wodę marszczy wiatr. Gdzie gna po niej bryza, rozpoznają po smugach i błyskach światła. To nadzwyczajne, że możemy oglądać powierzchnię wody z góry. Wreszcie będziemy może zdolni oglądać z góry powierzchnię powietrza i dostrzec, gdzie przemyka po niej jeszcze bardziej lotna materia.

Nartniki i pluskwiaki wodne w końcu znikają w drugiej połowie października, gdy nadchodzą ostre mrozy. Wówczas, jak również w listopadzie, absolutnie nic w spokojny dzień nie marszczy powierzchni wody. Pewnego listopadowego popołudnia, gdy po trwającym kilka dni deszczu i burzy zapanował spokój i niebo było nadal całkowicie zachmurzone, a powietrze przesycone mgłą, zaobserwowałem, że staw jest nadzwyczaj gładki i trudno rozpoznać, gdzie się kończy, a gdzie zaczyna jego powierzchnia; wszelako nie odbijały się już w niej jaskrawe barwy października, lecz ponure listopadowe kolory otaczających go pagórków. Chociaż płynąłem jak najostrożniej, lekkie falki wychodzące spod dziobu łódki zataczały niemal tak dalekie kręgi, jak tylko sięgał mój wzrok, a w nich falowało odbicie pagórków. Przyglądając się jednak tafli widziałem w oddali to tu, to tam lekkie migotanie, jak gdyby zgromadziły się w tym miejscu nartniki, które umknęły przed mrozami, albo może właśnie tu wytryskało z dna źródło zdradzające w ten sposób na gładkiej powierzchni swe istnienie. Wiosłując ostrożnie w stronę jednego z takich miejsc, ze zdumieniem stwierdzałem, że otaczają mnie miriady małych okoni około pięciu cali długości – ciemnobrązowe w zielonej wodzie, hasały podpływając co chwila pod samą powierzchnię, marszczyły ją i niekiedy pozostawiały na niej bańki powietrza. Przez tę przejrzystą i na pozór bezduszną głębinę płynąłem jak gdyby balonem w powietrzu, a hasające ryby były niczym fruujące czy zawieszane w powietrzu zbite stado ptaków, które miało mnie odrobinę niżej od prawej lub lewej, z płetwami sterczącymi niby postawione żagle. W stawie pływało wiele takich ławic, najwyraźniej wykorzystując ową krótką porę przed zimą, która zamknie lodową okiennicę nad ich szerokim świetlikiem; niekiedy przez owe ławice powierzchnia wody wyglądała jak gdyby poruszona lekkim wietrzykiem albo tak jakby spadło na nią kilka kropel wody. Jeżeli podpłynąłem nieuważnie i spłoszyłem je, zrywały się nagle z pluskiem, marszcząc ogonami wodę, jak gdyby ktoś uderzył w tafle rosochatą gałęzią, i natychmiast skrywały się w głębinie. W końcu podnosił się wiatr, mgła gęstniała, fale się podrywały, a okonie skakały o wiele wyżej aniżeli przedtem, do połowy wynurzając się z wody – sto czarnych przecinków długości trzech cali w jednej chwili nad powierzchnią. Pewnego roku nawet jeszcze piątego grudnia widziałem kilka kółeczek na wodzie i myśląc, że zaraz lunie deszcz – powietrze było przesycone mgłą – pośpiesznie zająłem miejsce przy wiosłach, aby dopłynąć do domu; wydawało się, że deszcz gwałtownie się wzmaga, choć nie czułem go na policzku, i bałem się przemoknąć do suchej nitki. Aliści kółeczka nagle znikły, ponieważ robiły je okonie, które spłoszył plusk moich wiosł, i ryby skryły się w głębinie – widziałem niewyraźnie, jak uciekają całe ich ławice. I tak w końcu popołudnie minęło bez deszczu.

Starzec, który przychodził nad Walden niemal przed sześćdziesięciu laty, gdy lasy otaczające staw nadawały wodzie ciemną barwę, opowiada mi, że w tamtych czasach aż roiło się tu od kaczek i innego ptactwa wodnego, jak również częstymi gośćmi były orły. Sta-

rzec przychodził tu na ryby, na które wypływał starym canoe znalezionym na brzegu. Canoe zrobione było z dwóch pni sosny wejmutki, wydrążonych i połączonych razem, miało ścięty dziób i rufę. Nie było zwrotne, lecz przetrwało wiele lat, zanim nasiąknęło wodą i pewnie zatoneło osiadając na dnie. Starzec nie wiedział, czyją było własnością – należało do stawu. Linkę do mocowania kotwicy robił z powiązanych pasków hikorowej kory. Inny starzec, garncarz, który mieszkał nad stawem przed Rewolucją<sup>19</sup>, powiedział mu kiedyś, że na dnie stawu spoczywa żelazna, skrzynka i że sam ją widział. Czasami wypływa na brzeg, lecz kiedy człowiek do niej się zbliży, odpływa z powrotem na głębiny i znika. Cieszyła mnie opowieść o starym canoe, co zajęło miejsce canoe indiańskiego z tego samego surowca, lecz o konstrukcji o wiele pełniejszej wdzięku – mogło to być drzewo najpierw rosnące na brzegu, potem zwalone do wody i przez całe pokolenie unoszące się na powierzchni jako najbardziej odpowiednia łódź do pływania po jeziorze. Pamiętam, że gdy po raz pierwszy spojrzałem w te głębiny, majaczyło mi na dnie wiele dużych pni, które albo dawno temu zwały się do wody, albo pozostawiono je na lodzie przy ostatniej wycince, kiedy jeszcze drewno było tańsze; teraz jednak większość owych pni znikła.

Gdy po raz pierwszy wiosłowałem po Waldenie, był całkowicie otoczony gęstym i wysokim lasem sosnowo-dębowym, a gdzieniegdzie w zatoczkach z drzew rosnących przy samej wodzie zwisały winorośle tworząc altanki, pod którymi mogła przepłynąć łódź. Nadbrzeżne pagórki są tak strome, a porastające je lasy tak wysokie, że gdy patrzyło się na staw od strony zachodniej, wyglądał jak amfiteatr, w którym można było wystawiać jakieś leśne widowiska. W młodszym wieku wiosłowałem na środek stawu i spędzałem tak w letnie przedpołudnia wiele godzin, leżąc na plecach w poprzek ławek łódki, śniąc na jawie i dając się unosić zefirowi w dowolnym kierunku, dopóki nie obudziło mnie stuknięcie łodzi o nadbrzeżny piach, a wówczas podnosiłem się, aby sprawdzić, na jakim brzegu los kazał mi wylądować; oto czasy, gdy bezczynność była najatrakcyjniejszym i najbardziej produktywnym zajęciem. Ukradłem wiele przedpołudni woląc właśnie w ten sposób spędzić najbardziej wartościową część dnia, albowiem bogaciłem się – jeśli nie w pieniądze, to w słoneczne godziny i letnie dni, które spędziłem rozrzutnie; nie żałuję też, że nie spędziłem ich więcej w warsztacie czy przy pulpicie nauczycielskim<sup>20</sup>. Lecz odkąd opuściłem te brzegi, świstaki jeszcze bardziej je ogołociły i teraz przez wiele lat nie będzie już wędrówek po leśnych alejkach, podczas których tylko od czasu do czasu lustro wody przezierałoby przez przesiekę. Jeśli od tego czasu moja Muza milczy, łatwo ją usprawiedliwić. Jakże można oczekiwać, że ptaki będą śpiewały, gdy wycięto ich gaje?

Teraz nie ma już pni na dnie stawu ani starego canoe, ani ciemnych nadbrzeżnych lasów<sup>21</sup>, a mieszkańcy miasteczka, rzadko kiedy zorientowani, gdzie położony jest Walden, zamiast przychodzić tu na kąpiel lub aby napić się wody, obmyślają, jak tu pociągnąć ją – wodę, która powinna uchodzić za co najmniej tak świętą jak Ganges – rurami do miasteczka, aby można było zmywać w niej naczynia! jak tu zdobyć Walden przez odkręcenie

---

<sup>19</sup> Mowa o amerykańskiej wojnie o niepodległość 1775-83.

<sup>20</sup> Thoreau pracował przedtem jako nauczyciel oraz w wytwórni ołówków należącej do jego ojca.

<sup>21</sup> Potem lasy powróciły nad staw Walden dzięki temu, że utworzono tam rezerwat.

kurka czy hydrantu!<sup>22</sup> Ten diabelski Żelazny Koń, którego przewiercające uszy rzenie sły-  
chać w całym mieście, zmącił kopytem Wrzące Źródło i to właśnie on oskubał wszystkie  
lasy nad brzegami Waldenu – ten koń trojański z tysiącem mężów w brzuchu, wymyślony  
przez chytrych Greków! Gdzież się podział bohaterski siłacz, Moore z Dworu Moore’ów<sup>23</sup>,  
który by stawiał mu czoło nad Głębokim Jarem<sup>24</sup> i wraził włócznie zemsty między żebra tej  
opasłej zarazy?

Niemniej jednak, ze wszystkich znanych mi istot Walden trzyma się chyba najlepiej i  
w największym stopniu zachowuje czystość. Porównywano z nim wielu ludzi, tylko nie-  
licznym atoli należy się ten zaszczyt. Wprawdzie świstaki ogołociły najpierw jeden brzeg,  
potem drugi, wprawdzie Irlandczycy zbudowali nad stawem swoje chlewy, kolej naruszyła  
jego granice, a chodzący po lodzie ludzie przemierzali go od brzegu do brzegu, staw pozo-  
stał nie zmieniony i woda w nim wciąż jest ta sama, na którą patrzyły moje młodzieńcze  
oczy; cała zmiana dokonała się we mnie. Drobne falki na jego tafli nie przerodziły się w ani  
jedną stałą zmarszczkę. Jest wiecznie młody, mogę jak niegdyś stać i patrzeć na jaskółkę  
obniżając lot, aby porwać z jego powierzchni owada. Dziś wieczorem znów mnie to ude-  
rzyło, jak gdybym nie widywał go prawie codziennie przez ponad dwadzieścia lat. Jakżeż,  
oto Walden, ten sam – położony wśród lasów staw, który odkryłem tyle lat temu; tam gdzie  
zeszłej zimy wycięto las, nowy już wyrasta na brzegu z taką samą pasją jak przedtem, ta  
sama co przedtem myśl bije niby źródło i wypływa na powierzchnię, jest on taką samą  
płynną radością dla siebie, dla swojego Stwórcy i owszem! również może być dla mnie.  
To z pewnością dzieło dzielnego człowieka, który nie miał w sobie fałszu!<sup>25</sup> Zaokrąglił go  
ręką, pogłębił i wyklarował myślą oraz zapisał w testamencie Concord. Z oblicza stawu  
wnioskuję, że nawiedziła go ta sama refleksja, i niemal mogę zapytać: Waldenie, to ty?

Ani mi w głowie  
Układać wiersze ku ozdobie;  
Nie mógłbym bliżej Boga i Niebios się znaleźć,  
Niżem jest nad Waldenu wodami.  
Jam jego brzegiem kamienistym  
I jam wietrzykiem bystrym;  
W zagłębieniu mojej dłoni  
Jego piasek, jego toń i  
Jego zakątek najskrytszy  
Wśród mych najwznioślejszych myśli.<sup>26</sup>

---

<sup>22</sup> Obywatele Concord rozpatrywali swego czasu możliwość pociągnięcia wody do miasteczka właśnie z Waldenu, lecz ostatecznie zdecydowali się pociągnąć ją ze stawu Sandy.

<sup>23</sup> „Lecz More z Dworu More’ów gołymi rękami /Uśmiercił smoka z Wantley.” Fragment *The Dragon of Wantley* pochodzący ze zbioru Bishopa Percy’ego *Reliques of Ancient English Poetry*.

<sup>24</sup> Podczas budowy kolei przebiegającej na zachód od stawu Walden zrobiono tam wykop.

<sup>25</sup> „Oto prawdziwy Izraelita, w którym nie ma fałszu.” Nowy Testament, Ewangelia św. Jana 1, 47.

<sup>26</sup> Wiersz Thoreau. Przełożył Piotr Sommer.

Wagony nigdy się nie zatrzymują, aby na niego popatrzeć, aczkolwiek myślę, że bardziej odpowiednimi widzami tego widoku są maszyniści, palacze i hamulcowi oraz pasażerowie, którzy mają bilety sezonowe i często go oglądają. Maszynista, czy też jego natura, nie zapomina w nocy, że za dnia przynajmniej raz ujrzał ten obraz pogodnego spokoju i czystości. Wprawdzie widział go tylko raz, lecz pomogło mu to zatrzyć widok State-street i zmyć sadzę<sup>27</sup>. Ktoś proponuje, aby staw nazwać Boża Kropla.

Wspomniałem, że Walden nie ma widocznego dopływu i odpływu, lecz z jednej strony połączony jest na odległość i pośrednio z położonym wyżej stawem Flinta przy pomocy łańcucha małych stawków, który bierze początek w tym kwartale, a z drugiej strony bezpośrednio i w sposób widoczny z płynącą niżej rzeką Concord za pomocą podobnego łańcucha stawów, przez które woda Waldenu pewnie przepływała w innym okresie geologicznym i mogłaby znów przepływać dzięki – niech Bóg broni – odrobinie pracy łopaty. Jeżeli żyjąc od tak dawna powściągliwie i surowo niczym pustelnik wśród lasów, uzyskał tak cudowną czystość, w kimże nie budziłoby to żalu, gdyby mieszały się z nim stosunkowo nieczyste wody stawu Flinta albo gdyby płynął do oceanu, w którego falach straciłby swą słodycz?<sup>28</sup>

Staw Flinta czy też Sandy, nasze największe jezioro i morze śródlądowe, położony jest w Lincoln, około mili na wschód od Waldenu. Jest o wiele większy, ma podobno sto dziewięćdziesiąt siedem akrów powierzchni, i o wiele bardziej obfituje w ryby, lecz jest stosunkowo płytki i nienadzwyczajnie czysty. Często urządzałem sobie dla odprężenia spacerów w tamtejszych lasach. Warte to było zachodu, chociażby dlatego że poczułem na policzkach powiew wiatru, patrzyłem na biegnące fale czy rozmyślałem o życiu żeglarzy. W wietrzne jesienne dni chodziłem tam na kasztany, które spadały do wody i podpływały mi pod stopy, pewnego zaś razu, kiedy wlokłem się jego porośniętym turzycą brzegiem, a wiatr opryskiwał mi twarz rześkim pyłem wodnym, natknąłem się na zbutwiały wrak łodzi bez burt, o płaskim dnie ledwie majaczącym wśród sitowia; jej kształt był jednak ściśle określony, przypominał jak gdyby duży gnijący liść kwiatu wodnego, z zarysowanymi żyłkami. Robił tak samo wielkie wrażenie jak wrak, który można by sobie wyobrazić na brzegu morza, i wyrażał podobny morał. Do tego czasu stał się ledwie zbutwiałą rośliną wtopioną w brzeg stawu, przez którą utorowały sobie drogę sitowie i tatarak. Podziwiałem pomarszczone piaszczyste dno po północnej stronie stawu, zbite i utwardzone pod stopami brodzącego, co było efektem ciśnienia wody, oraz tatarak rosnący gęsiego, falującymi rzędami, zgodnie z rysunkiem owych zmarszczek, rząd za rzędem, jak gdyby zasadzony został przez fale. Znajdowałem tam również znaczne ilości dziwnych kulek utworzonych najwyraźniej z cienkiej trawy czy korzonków, może pieprzycy, o średnicy od połowy cala do czterech cali, doskonale krągłych. Kulki owe pływają tam i z powrotem w płytkiej wodzie ocierając się o piaszczyste dno, a czasami fale wyrzucają je na brzeg. Utoczone są albo tylko z trawy, albo mają w środku troszkę piasku. Na pierwszy rzut oka chciałoby się powiedzieć, że zostały utworzone pod wpływem działania fal, podobnie jak kamyki, najmniejsze jed-

---

<sup>27</sup> State-street – nazwa dzielnicy bankowej w Bostonie.

<sup>28</sup> „Ileż kwiatów pachnących zapłonie o brzasku! I nim je oko dojrzy, w skwarze dusznym zginie!” Thomas Gray, *Elegia napisana na wiejskim cmentarzu*. Przełożył Jerzy Pietrkiewicz.

nak, mające pół cala długości, formują się z równie szorstkich substancji i to tylko o jednej porze roku. Ponadto podejrzewam, że działanie fal nie tyle formuje, ile niszczy substancję, która już przedtem stała się zwarta. Kulki po wyschnięciu zachowują swój kształt przez czas nieograniczony.

Staw Flinta!<sup>29</sup> Jakież ubogie jest nasze nazewnictwo. Jakie prawo miał nadać mu tę nazwę nieczysty i głupi farmer, którego gospodarstwo graniczy z tą niebiańską wodą o bezwzględnie ogołoconych przez niego brzegach? Sknera, któremu bardziej się podobała połyskliwa powierzchnia dolara czy błyszczącego centa, albowiem mógłby w nich ujrzeć własną mosiężną twarz; który nawet zadomowione na stawie dzikie kaczkę uważał za intruzów, którego palce wyrosły w zakrzywione rogowate szpony od nabytego dawno temu zwyczaju chwytania sposobem harpi. A zatem staw nie został nazwany dla mnie. Nie chodzę tam, aby odwiedzać owego farmera ani dowiadywać się, jak mu się powodzi, jemu, który nigdy stawu nie widział, który nigdy w nim się nie kąpał, który nigdy go nie kochał, który nigdy go nie chronił, który nigdy nie powiedział o nim dobrego słowa ani nie podziękował Bogu za to, że go stworzył. Niech staw lepiej weźmie nazwę od gatunków pływających w nim ryb, od ptactwa czy odwiedzających go czworonogów, od dzikich kwiatów rosnących na jego brzegach czy od jakiegoś żyjącego dziko mężczyzny lub dziecka o historii splecionej z historią stawu. Lecz niech nazwa nie pochodzi od owego człowieka, który nie jest do tego niczym upoważniony, chyba że jedynie tytułem własności nadanym mu przez podobnie myślącego sąsiada czy prawnika; od owego człowieka, dla którego istotna była tylko wartość stawu liczona w pieniądzach, którego obecność mogła stanowić przekleństwo dla całego brzegu, który wyjął otaczającą staw ziemię i gotów jest uczynić to samo z jego wodą, który jedynie żałował, że staw nie jest łąką porośłą bujnie angielską trawą czy żurawinami – zaiste, w jego opinii staw nie miał jak się zamortyzować – i osuszyłby go po to, aby sprzedać muł na jego dnie. Staw nie wprawiał w ruch jego młyna, a oglądanie tafli wody nie było dla farmera przywilejem<sup>30</sup>. Nie mam szacunku dla jego pracy ani dla gospodarstwa, gdzie wszystko ma swą cenę. To człowiek, który powiódłby na targ krajobraz, który powiódłby swojego Boga, gdyby mógł coś za to nabyć, który i tak jeździ na targ po swojego boga; to człowiek, w którego gospodarstwie nic nie rośnie za darmo, którego pola nie wydają plonów, łąki nie rodzą kwiatów ani drzewa owoców, tylko dolary; to człowiek, który nie miłuje piękna swych owoców, którego owoce nie są dla niego dojrzałe, póki nie zamieni ich na dolary. Pokażcie mi biedę cieszącą się prawdziwym bogactwem. Farmerów darzę szacunkiem proporcjonalnym do ich ubóstwa – biedni farmerzy. Modelowe gospodarstwo! Gdzie dom niczym grzyb stoi na kupie gnoju, a pomieszczenia dla ludzi, koni, wołów i świń – porządkowane i nie porządkowane – mieszczą się wszystkie jedno przy drugim! Gospodarstwo wyposażone w ludzi! Wielka tłusta plama rozsiewająca zapach nawozu i maślanki! Wysoki poziom upraw nawożonych ludzkimi sercami i mózgami! Jak gdyby ziemniaki uprawiano na przykościelnym cmentarzu! Oto modelowe gospodarstwo. Nie, nie. Jeśli nazwy najład-

---

<sup>29</sup> Thoreau pierwotnie planował właśnie nad tym stawem zbudować swoją chatę, lecz właściciel stawu, farmer Flint, udaremnił te plany.

<sup>30</sup> Właściciele ziemi w Nowej Anglii musieli otrzymać na piśmie „przywilej” wybudowania grobli w celu spiętrzenia wody w rzece.

niejszych elementów krajobrazu mają pochodzić od ludzi, niech to będą tylko ludzie najszlachetniejsi i najbardziej wartościowi. Niech nasze jeziora otrzymują prawdziwe nazwy takie jak Ikaryjskie Morze<sup>31</sup>, którego „brzeg nadal rozbrzmiewa [...] odważnym przedsięwzięciem”<sup>32</sup>.

Niewielki staw Goose<sup>33</sup> położony jest po drodze znad Waldenu do stawu Flinta, staw Fair Haven, przedłużenie rzeki Concord, mający podobno jakieś siedemdziesiąt akrów, leży o milę na południowy zachód, a staw White, o powierzchni około czterdziestu akrów, leży półtorej mili za Fair Haven. Oto moja dzielnica jezior<sup>34</sup>. Stawy oraz rzeka Concord stanowią moje wodne przywileje – dzień i noc, cały Boży rok miał takie ziarno, jakie im dostarczam.

Ponieważ świstaki, kolej i ja sprofanowaliśmy Walden, najbardziej chyba pociągający, jeśli nie najpiękniejszy ze wszystkich naszych jezior jest staw White – perła lasów. Nazwę ma marną, bo pospolitą<sup>35</sup>, niezależnie od tego, czy pochodzi od niezwyklej czystości jego wody, czy od koloru piasku. Jednakże z tych względów, podobnie jak innych, jest pomniejszym bliźniakiem Waldenu. Wyglądają tak podobnie, że można by powiedzieć, iż pod ziemią są połączone. Staw White ma takie same kamieniste brzegi i wodę o tym samym zabarwieniu. W upalne dni kanikuły patrząc z góry przez drzewa na jego zatoczki, które nie są takie głębokie, lecz zabarwione odbiciem od dna, widać, że wody stawu mają kolor mglistoniebieskozielony czy modry, zupełnie jak wody Waldenu. Chodzę nad ten staw, odkąd przyjeżdżałem tam wozem po piach do wyrobu papieru ściernego<sup>36</sup>. Ktoś, kto bywa nad nim, proponuje, aby go nazwać Zielonym Jeziorem. Mógłby chyba nazywać się Jeziorem Sosny Żółtej, a to z następujących powodów. Otóż około piętnastu lat temu widać było sterczący z głębokiej wody, wiele prętów od brzegu, wierzchołek sosny smołowej, w tych okolicach nazywanej też żółtą. Ktoś nawet snuł przypuszczenia, że staw zatopił pierwotny las, który niegdyś rósł w tym miejscu. Okazuje się, że już w 1792 roku w *Opisie topograficznym miasta Concord*, pióra jednego z obywateli miasta<sup>37</sup>, znajdującym się w zbiorach Towarzystwa Historycznego Massachusetts, autor wspomniawszy o stawach Walden i White dodaje: „Na środku tego drugiego, gdy poziom wody jest bardzo niski, widoczne jest drzewo, które wygląda tak, jak gdyby ongi rosło tam, gdzie teraz stoi, chociaż korzenie ma pięćdziesiąt stóp pod wodą; wierzchołek drzewa jest ułamany, a pień w tym miejscu mierzy czternaście cali średnicy.”<sup>38</sup> Wiosną 1849 roku rozmawiałem z człowiekiem, który mieszka najbliżej stawu w Sudbury i który mi powiedział, że to właśnie on wyciągnął to drzewo przed

---

<sup>31</sup> Ikaryjskie Morze – część Morza Egejskiego; według mitologii greckiej miał tutaj spaść Ikar.

<sup>32</sup> „Bowiem brzeg nadal rozbrzmiewa moim odważnym przedsięwzięciem.” William Drummond of Hawthornden, *Icarus*.

<sup>33</sup> Goose – Gęsi, Fair Haven – Jasna Przyszań.

<sup>34</sup> Angielską Dzielnice Jezior opiewał William Wordsworth.

<sup>35</sup> White – Biały.

<sup>36</sup> Rodzina Thoreau zajmowała się częściowo wyrobem papieru ściernego.

<sup>37</sup> William Jones, *A Topographical Description of Concord*.

<sup>38</sup> *Ibid.*

dziesięcioma, piętnastoma laty<sup>39</sup>. Pamiętał dokładnie, że stało dwanaście, piętnaście prętów od brzegu, gdzie woda miała trzydzieści, czterdzieści stóp głębokości. Było to w zimie, przed południem wyrąbywał lód i postanowił, że po południu wyciągnie z pomocą sąsiadów ową starą sosnę żółtą. Wyrznął w lodzie kanał biegnący w stronę brzegu, wyciągnął drzewo wołami na lód i powlókł dalej. Aliści od razu na początku stwierdził ze zdziwieniem, że drzewo stoi niewłaściwym końcem do góry, to znaczy kikuty gałęzi zwrócone są ku dołowi, a cienki pień przy wierzchołku jest wbity w piaszczyste dno. Średnica grubszego końca wynosiła około stopy, mężczyzna zatem myślał, że przyda mu się jako pniak do piłowania na nim drewna, lecz pień okazał się tak zbutwiały, iż jeśli do czegokolwiek się nadawał, to tylko na opał. W szopie mężczyzny leżały kawałki tej sosny. Na pniaku były znaki uderzeń siekiery i zębów świstaków. Jego zdaniem sosna owa mogła być martwym drzewem zwianym przez wiatr z brzegu na staw. Po jakimś czasie wierzchołek nasiąknął wodą, podczas gdy dolna część pnia nadal pozostawała sucha i lekka. Drzewo woda zniosła dalej od brzegu, po czym zatoneło pogrążając się niewłaściwym końcem. Osiemdziesięcioletni ojciec mężczyzny twierdził, że sterczało tak, odkąd sięgał pamięcią. Nadal na dnie widać kilka ładnych dużych kłód, które gdy powierzchnia faluje, wyglądają jak wijące się olbrzymie wodne węże.

Staw ten rzadko profanowała obecność łodzi, albowiem niewiele w nim pokus dla rybaka. Zamiast białej lilii, która występuje w jeziorach o błotnistym dnie, albo pospolitego słodkiego kosaćca rosną tam niebieskie kosaćce (*Iris versicolor*) rzadko rozrzucone w czystej wodzie, wyrastające z kamienistego dna wzdłuż całego brzegu. Odwiedzają je w czerwcu kolibry, kiedy to niebieskawy kolor liści i kwiatów, a zwłaszcza ich odbić w wodzie, szczególnie harmonizuje z modrą taflą.

Stawy White i Walden są wielkimi kryształami na powierzchni ziemi, Jeziorami Świata. Gdyby były na stałe zamrożone i dostatecznie małe, aby dało się zawrzeć je w dłoni, pewnie niewolnicy porwaliby je jako drogocenne kamienie i przyozdobili nimi głowy władców. Lecz skoro są płynne i duże oraz gwarantowane nam i naszym następcom na zawsze, nie zważamy na nie i uganiamy się za brylantem Koh-i-noor<sup>40</sup>. Są zbyt czyste na to, aby mieć wartość rynkową, nie ma w nich brudu. O ileż piękniejsze są od naszego życia, o ileż bardziej przejrzyste od naszych charakterów! Nigdy nie uczyliśmy się od nich nikczemności. O ile czystsze są od sadzawki przed drzwiami farmera, w której pływają kaczkę! Nad stawy zlatują się czyste dzikie kaczkę. W Naturze brak jest mieszkańca – człowieka, który by ją właściwie – doceniał. Ptaki swoim upierzeniem i śpiewem harmonizują z kwiatami, lecz jakież młodzieniec czy panna spiskuje z dzikim wybujałym pięknem Natury? Ona rozwija się poważnie sama, daleko od miast, w których oni mieszkają. Mówicie o niebiosach! Wyście zakała ziemi.

---

<sup>39</sup> Człowiekiem tym był niejaki Haynes. Jego wnuk, Adrian Hayward, zamieszcza zabawny opis wyciągnięcia drzewa w „Naturę Outlook” (IV, 1945) w artykule zatytułowanym *The White Pond Tree*. Haynes opowiadał: „Thoreau tak bardzo chciał usłyszeć wszystkie szczegóły, jakby na tym drzewie rosły złote jabłka.”

<sup>40</sup> Koh-i-noor (Góra Świata) – jeden z największych brylantów na świecie, ważący 109 karatów, znaleziony w Indiach, obecnie stanowi część brytyjskich klejnotów koronnych.

# Farma Bakera

Niekiedy udawałem się na wędrowkę przez sosnowe zagajniki strzeliste niby świątynie czy też przypominające flotyllę statków na morzu, z postawionymi wszystkimi żaglami, powiewające gałęzmi, falujące światłem, tak ciche, zielone i cieniste, że druidzi porzuciliby swe dęby, aby tutaj móc odprawiać modły. Albo chodziłem do cedrowego lasu za stawem Flinta, gdzie drzewa obsypane niebieskimi jagodami pokrytymi białym meszkiem, pnące się strzeliście coraz to wyżej, mogłyby rosnać przed Walhallą<sup>1</sup> i gdzie pełzający jałowiec pokrywa ziemię wieńcami obsypanymi owocem. Albo wybierałem się na mokradła, gdzie ze świerków zwisają girlandami porosty, ziemia usiana jest muchomorami, niby okrągłymi stolikami bagiennych bożków, a ozdobą pniaków są jeszcze piękniejsze grzyby niby motyle czy muszle, roślinne małże; gdzie rosną świetliki i dereń, czerwony żywokost iskrzy się jak oczy chochlików, woskowiec żłobi i kruszy swymi zwojami najtwardsze drewno, a jagody dzikiego ostro krzewu sprawiają swym pięknem, że patrzący na nie zapomina o domu, ponadto oślepiiony i kuszony innymi nieznanymi dzikimi i zakazanymi owocami, zbyt delikatnymi jak na podniebienie śmiertelnika. Zamiast składać wizyty jakiemuś uczonemu, wiele razy odwiedzałem konkretne drzewa takich gatunków, jakie rzadko występują w tej okolicy, rosnące daleko, pośrodku jakiegoś pastwiska albo w głębi lasu, na bagnie czy na wierzchołku wzgórza, na przykład brzozę cukrową, której mamy kilka ładnych okazów o dwóch stopach średnicy, jej kuzynkę brzozę żółtą o luźnej żółtej kamizelce, pachnącą jak ta pierwsza, i buk o tak kształtnym i pięknie pomalowanym porostami pniu, doskonały we wszystkich szczegółach, rosnący to tu, to tam, a głównie w jednym zachowanym w tym okręgu małym, znanym mi lesie z drzewami sporej wysokości, zasadzonym – zdaniem niektórych – przez gołębie przenoszące owoce buczyny<sup>2</sup>; kiedy rozłupie się bukowe drewno, warto popatrzeć, jak słoje iskrzą się srebrem. Odwiedzałem również lipy, graby, *Celtis occidentalis*, czyli wiązowiec, jedyny dobrze wyrosnięty w okolicy, wysoką jak maszt sosnę, dąb używany na szalunek czy doskonalszy od innych świerk stojący niby pagoda pośród lasu. Mógłbym wymienić jeszcze wiele innych. Były to miejsca święte, które odwiedzałem zarówno w lecie, jak i w zimie.

Pewnego razu zdarzyło mi się stać w samym środku łuku tęczy<sup>3</sup>, który wypełniał niższą warstwę atmosfery, zabarwiając trawę i liście dookoła, a mnie oślepiając tak, jak gdybym

---

<sup>1</sup> Walhalla – w mitologii skandynawskiej sala nieśmiertelnych, do której wpuszczane są dusze bohaterów poległych w bitwie.

<sup>2</sup> Chodzi o gołębie wędrownie, które niegdyś występowały tak licznie, iż setki ich wytępiono, tak że w czasach Thoreau były już gatunkiem wymarłym.

<sup>3</sup> Jest to oczywiście niemożliwe. Jednakże Charles D. Steward w *A Word for Thoreau* („Atlantic Monthly”, CL VI, 1935) usiłuje nas przekonać, że Thoreau mógł tego doświadczyć.



patrzył przez kolorowy kryształ. Było to jezioro tęczowego światła i przez krótką chwilę żyłem w nim niby delfin. Gdyby trwało to dłużej, mogłoby zabarwić moje zajęcia i życie. Gdy szedłem nasypem kolejowym, moją ciekawość budziła otoczka światła wokół cienia, który rzucałem, i rad byłem wyobrażać sobie, że jestem jednym z wybrańców. Pewien mój gość oświadczył, że cienie rzucane przez idących przed nim Irlandczyków nie miały tej otoczki, czyli że wyróżniani w ten sposób są tylko tubylcy, Benvenuto Cellini<sup>4</sup> opowiada nam w swoich pamiętnikach, że po strasznym śnie czy widzeniu, jakie miał, gdy przebywał w zamknięciu na zamku Sant' Angelo<sup>5</sup>, nad cieniem jego głowy rano i wieczorem pojawiało się oślepiające światło, niezależnie od tego, czy znajdował się we Włoszech, czy we Francji, szczególnie jaskrawe, kiedy trawa była mokra od rosy. Prawdopodobnie idzie o to samo zjawisko, o którym ja wspominałem, obserwowane zwłaszcza rano, lecz również o innych porach, nawet przy księżycu. Wprawdzie ma charakter stały, atoli przeważnie nie bywa zauważane, a w wypadku pobudzonej wyobraźni, jak u Celliniego, mogłoby uchodzić za zabobonny wymysł. Ponadto Cellini opowiada, że pokazywał je naprawdę nielicznym osobom. Wszelako czy tymi rzeczywiście wyróżnionymi nie są ci, którzy mają świadomość, że w ogóle zwraca się na nich uwagę?

Pewnego popołudnia wybrałem się na ryby nad staw Fair Haven. Szedłem przez las, aby uzupełnić swoją skąpą porcję warzyw. Droga moja prowadziła przez Przyjemną Łąkę sąsiadującą z Farmą Bakera, owym ustroniem opiewanym przez poetę następująco:

Wejściem – poletko miłe, co otwiera drogę,  
A omszałe dzisiaj drzewa owocowe  
Rdzawemu je oddają strumykowi, który  
Opanowały gładkie piźmoszczury,  
I ruchliwy pstrąg,  
Co pruje wodę w krąg.<sup>6</sup>

Zanim zamieszkałem nad Waldenem, myślałem o osiedleniu się właśnie tam. „Kradłem” jabłka, skakałem przez strumień, płoszyłem piźmoszczury i pstrągi. Było to jedno z owych popołudni, które wydają się nieskończenie długie, w które wiele może się wydarzyć, skoro minie spora część przeznaczonego nam życia, chociaż zaczynałem owo popołudnie akurat wtedy, gdy połowa mojego życia już upłynęła. W pewnej chwili nadciągnęła ulewa i zmusiła mnie do stania pół godziny pod sosną i spiętrzania gałęzi nad głową, którą przykryłem chustką. A gdy w końcu zarzuciłem raz wędkę nad sitowiem rosnącym w wodzie na wysokość mojego pasa, nagle znalazłem się w cieniu chmury i z taką siłą zaczął się przetaczać grzmot, że mogłem jedynie mu się przysłuchiwać. Bogowie muszą być dumni, pomyślałem, że takimi rozszczepionymi błyskami rozgromili nie uzbrojonego rybaka. Pobiegłem zatem pośpiesznie do najbliższej chaty, która stała oddalona o pół mili od jakiegokolwiek drogi, za to o wiele bliżej stawu, i od dawna była nie zamieszкана.

<sup>4</sup> Benvenuto Cellini (1500-71) – znany włoski artysta rzeźbiarz.

<sup>5</sup> Sant' Angelo – Mauzoleum Hadriana w Rzymie, znane pod nazwą Zamku św. Anioła.

<sup>6</sup> William Ellery Channing, *Baker Farm* (z drobnymi zmianami Thoreau). Przełożył Piotr Sommer.

Tu dom poeta budował,  
W dawno minionych latach,  
Lecz spójrz, ku upadkowi  
Chyli się skromna chata.<sup>7</sup>

Tak baje Muza. Lecz w chacie, jak się okazało, mieszkał teraz John Field, Irlandczyk, z żoną i kilkorgiem dzieci w różnym wieku – od chłopca o szerokiej twarzy, który pomagał ojcu w pracy, a teraz przybiegł obok niego z moczarów, aby schronić się przed deszczem, do pomarszczonego, przypominającego Sybillę<sup>8</sup> niemowlęcia o stożkowatej głowie, które siedziało u ojca na kolanach, zupełnie jak w pałacach szlacheckich rodów, i korzystało z przywileju dziecka wpatrując się natarczywie w nieznanego w swoim domu przesiąkniętym wilgocią i nędzą, jak gdyby przekonane, że jest ostatnim ze szlacheckiej linii, że jest nadzieją i ośrodkiem zainteresowania świata, a nie biednym, zagłodzonym brzdącem Johna Fielda. Siedzieliśmy tak razem pod tą częścią sufitu, która najmniej przeciekała, podczas gdy na dworze lał deszcz i huczały grzmoty. Siedziałem tam wiele razy na długo przedtem, zanim zbudowano statek, którym ta rodzina przyплыła do Ameryki. Uczciwym, zaharowanym, lecz niewątpliwie niezaradnym człowiekiem był John Field, a jego żona równie dzielnie gotowała kolejne obiady w czeluściach tutejszego wysokiego pieca. O okrągłej tłustej twarzy i odsłoniętej piersi, nadal ufna, że pewnego dnia jej życie odmieni się na lepsze, trzymała w ręce nieodłączną ścierkę na kiju, lecz nigdzie nie można było się dopatrzeć widocznych tego rezultatów. Niby członkowie rodziny, po izbie przechadzały się kurczaki, które także skryły się przed deszczem, zbyt upodobnione do ludzi, moim zdaniem, aby mogły się dobrze upiec. Stały patrząc mi w oczy albo znacząco dziobały przy moim bucie. Tymczasem gospodarz opowiedział mi swoją historię, jak ciężko pracuje dla farmera z sąsiedztwa, „grzęznąć” przy przekopywaniu łąki łopatą lub specjalną motyką używaną na torfowiskach, za stawkę dziesięciu dolarów od akra oraz dzierżawę tej urodzajnej ziemi przez rok. Jego synek o szerokiej twarzy pracował radośnie u boku ojca nie zdając sobie sprawy, jak nędzny interes zrobił ten drugi. Usiłowałem przekazać mu swoje doświadczenia mówiąc, że jest jednym z moich najbliższych sąsiadów i że ja, który przyszedłem tu na ryby i wyglądam jak próżniak, również zapewniam sobie utrzymanie w podobny jak on sposób, że mieszkam w jasnym, ciasnym i czystym domu nie kosztującym chyba więcej aniżeli roczny czynsz za taką ruinę jak ta jego, że mógłby sobie w miesiąc czy dwa zbudować własny pałac, że nie używam herbaty, kawy, masła, mleka ani świeżego mięsa, toteż nie muszę na nie pracować, a nie pracując ciężko nie muszę dużo jeść, żywność zatem prawie nic mnie nie kosztuje. Tymczasem jeśli on zaczyna od herbaty, kawy, masła, mleka i wołowiny, musi pracować ciężko, aby móc za nie zapłacić, a pracując ciężko musi z kolei dużo jeść, aby podreperować straty w organizmie – toteż nie ma żadnej różnicy, a właściwie jest wielka, albowiem rozgorzyczony, marnuje życie wdając się w ten interes. Wszelako on

<sup>7</sup> William Ellery Channing, *Baker Farm* (również z drobnymi zmianami Thoreau). Przełożył Piotr Sommer.

<sup>8</sup> Według mitologii greckiej Sybilla mogła żyć tyle lat, ile ziarenek piasku trzymała w dłoni. Im była starsza, tym bardziej robiła się zmizerowana i zgrzybiała.

uważał, że i tak zyskał na przyjeździe do Ameryki, gdyż tu można codziennie pić herbatę i kawę oraz jadać mięso. Aliści jedyną prawdziwą Ameryką jest kraj, w którym możesz poszukiwać takiego sposobu życia, jaki pozwoli ci się bez nich obyć, kraj, w którym państwo nie usiłuje zmusić cię do popierania niewolnictwa, wojny i innych kosztownych zbytków, będących bezpośrednim lub pośrednim wynikiem spożywania takich rzeczy. Celowo bowiem rozmawiałem z Irlandczykiem tak, jakby był filozofem lub pragnął nim być. Cieszyłbym się, gdyby ludzie postanowili pozostawić wszystkie łąki na ziemi w stanie dzikim, aby w ten sposób rozpocząć okupywanie swych win. Człowiek nie będzie potrzebował uczyć się historii, aby wiedzieć, co jest najlepsze dla jego własnej kultury. Lecz niestety! Kultura Irlandczyka stanowi zadanie, do którego należy się zabrać czymś w rodzaju moralnej motyki używanej na torfowiskach. Powiedziałem mu, że skoro pracuje tak ciężko kopiąc torf, potrzebuje koniecznie solidnych butów i grubego ubrania, które i tak niebawem robią się brudne i ulegają zniszczeniu. Natomiast ja noszę lekkie buty i cienkie ubranie kosztujące mniej niż połowę tego, aczkolwiek może jego zdaniem ubrany jestem jak dżentelmen (co jednak mija się z prawdą), a gdybym chciał, mógłbym w godzinę czy dwie – nie pracując, tylko zażywając rozrywki – złapać tyle ryb, ile bym potrzebował na dwa dni, albo zarobić na tygodniowe utrzymanie. Gdyby on i jego rodzina chcieli żyć w prostocie, mogliby wszyscy chodzić latem na jagody dla przyjemności. Na to John westchnął ciężko, jego żona zaś patrzyła przed siebie podparłszy się pod boki, i oboje wyglądali tak, jakby się zastanawiali, czy mają na początek dość kapitału, aby obrać podobną drogę, lub też czy umieją na tyle rachować, aby przeprowadzić ją do końca. Idea ta płynęła ku nim niby statek według kursu i logu, lecz nie widzieli jasno, jakżeby dali radę zawinąć nim do portu, dlatego też przypuszczam, że nadal dzielnie na swój sposób borykają się z życiem, stawiając mu czoło, walcząc zawzięcie, nie potrafiąc rozsadzić jego masywnych kolumn cienkim klinem, aby rozsypały się na kawałki – uważając, że z życiem należy się obchodzić brutalnie, podobnie jak z ostem. Wszelako walka ta działa druzgocąco na ich niekorzyść, albowiem niestety, brak rachunku w życiu Johna Fielda doprowadza go do klęski.

„Czy pan chodzi czasami na ryby?“, zapytałem. „Ależ tak, od czasu do czasu łapię ich całą miskę, na ogół dobrych okoni.“ „A na jaką przynętę?“ „Najpierw łapię na robaki sieje, a potem na sieje okonie.“ „John, lepiej już idź“, odezwała się jego żona, której twarz rozbłysła nadzieją, John jednak zaoponował.

Ulewa już minęła, a tęcza nad lasami na wschodzie zapowiadała pogodny wieczór, postanowiłem zatem odejść. Gdy wyszedłem z chaty, poprosiłem o wodę do picia mając nadzieję, że zerknę w głąb studni, aby dokończyć oględzin tego domostwa. Lecz niestety, ujrzałem na dnie grząski piasek, a do tego zerwany sznur i bezpowrotnie stracone wiadro. Tymczasem kobieta wybrała odpowiednie naczynie kuchenne, starała się przedestyłować wodę i po długiej zwłoce spowodowanej potrzebą konsultacji podała ją spragnionemu – taką jeszcze nie ochłodzoną i nie ustała. Dzięki tej brei utrzymuje się tutaj życie, pomyślałem i przemykając oczy oraz zręcznie unikając brudów, zaczerpnąłem spod powierzchni najsolidniejszy z łyków, pijąc za prawdziwą gościnność. Nie płoszę się, gdy idzie o zachowanie dobrych manier.

Wychodziłem po deszczu spod gościnnego dachu Irlandczyka kierując swe kroki z powrotem nad staw, albowiem spieszno mi było do łowienia młodych szczupaków – pluskających się na ustronnych łąkach, trzęsawiskach i bagnach, w zapomnianych i dzikich zakątkach – lecz w pewnej chwili wydało mi się to trywialne, mnie, który kształciłem się w szkole i na uczelni; aczkolwiek gdy zbiegałem ze wzgórza w stronę czerwieniejącego zachodu, nad ramieniem mając tęczę, a w uszach lekkie dzwonięcie, które niosło się przez przejrzyste powietrze nie wiadomo skąd, mój Dobry Duch jak gdyby mówił: chodź na ryby i poluj wszędzie dookoła, dzień po dniu, zataczaj coraz szersze kręgi i bez obawy zażywaj odpoczynku nad wielu strumieniami i przy paleniskach. „Pamiętaj o swoim Stwórcy w kwiecie swojego wieku.”<sup>9</sup> Wstawaj wolny od trosk przed świtem i poszukuj przygód. Niech południe zastanie cię nad innymi jeziorami, a noc zaskoczy gdziekolwiek, gdzie będziesz się czuł jak w domu. Nie istnieją pola większe od tutejszych ani zajęcia bardziej godne aniżeli te, które można tutaj uprawiać. Rośnij dziko, zgodnie ze swą naturą, podobny do owych turzyc i zarośli, które nigdy nie zmieniają się w angielską trawę. Niechaj grzmot się przetacza – cóż, jeśli grozi zniszczeniem zbiorów farmera? Wszak nie przychodzi w tej sprawie do ciebie. Schroń się pod chmurą, podczas gdy inni uciekają na wozy i do szop. Niechaj zapewnienie sobie środków do życia nie będzie twoim zawodem, lecz rozrywką. Ciesz się ziemią, nie posiadaj jej jednak na własność. Z braku inicjatywy i wiary ludzie są tam, gdzie są, sprzedają i kupują, pędzą życie niewolników. Och, Farmo Bakera!

Okolica, gdzie rzecz najwartościowsza,  
To ten niewinny promyk słońca.

\* \* \*

Nikt nie biegnie się bawić  
Na ogrodzonej twej łące.

\* \* \*

Do sporów z ludźmi nie masz ty powodu,  
Wątpliwości nie dręczą cię z wieczora ni z rana,  
Tak łagodna dzisiaj, jak byłeś za młodu,  
W zwykłe sukno, a jakby w gabardynę odziana.

\* \* \*

Wy, co kochacie, nadejdźcie,  
I wy nienawidzący,  
Dziatwo od Gołębicy Najświętszej,  
I przeciw państwu spiskowcy,  
I niechaj wasze knowania  
Zawisną na drzew konarach!<sup>10</sup>

Ludzie wracają bojaźliwie wieczorem do domu zaledwie z sąsiedniego pola czy ulicy, gdzie straszą echa ich domostwa, toteż i życie ich marnieje, oddychają bowiem wciąż od

<sup>9</sup> Stary Testament, Księga Kaznodziei Salomona 12, 1

<sup>10</sup> William Ellery Channing, *Baker Farm* (również z drobnymi zmianami). Przełożył Piotr Sommer.

nowa tym samym powietrzem; ich cienie rankiem i wieczorem sięgają dalej aniżeli kroki, które postawili w ciągu dnia. Do domu powinniśmy wracać z dalekich stron, po przeżyciu przygód i pokonaniu niebezpieczeństw, po zrobieniu codziennie nowych odkryć – powinniśmy wracać z nowymi doświadczeniami i właściwościami.

Zanim dotarłem do stawu, pojawił się John Field, przygnany jakimś nowym impulsem, albowiem zmienił zamiary i porzucił kopanie torfu przed zachodem. Lecz, biedaczysko, tylko spłoszył kilka ryb, podczas gdy ja nałapałem cały ich sznur, na co oświadczył, że takie już jego szczęście. Aczkolwiek gdy zamieniliśmy się miejscami w łódce, szczęście też się przesiadło. Biedny John Field! – ufam, że tego nie przeczyta, chyba że po to, aby czegoś się nauczyć – w tym prymitywnym nowym kraju chce żyć w sposób przywieziony ze starego kraju: uważa, że okonie należy łowić na sieje. Przyznaję, że niekiedy to dobra przyzęta. Biedak, który ma wyłącznie własny horyzont, który urodził się, aby żyć w ubóstwie, spadkobierca irlandzkiej biedy i marnego życia, ze swoją Adamową babką i zabagnionym sposobem bycia nie stanie na nogi w tym świecie – ani on, ani jego potomkowie – dopóki u brodzących, płetwowych, brnących przez torfowiska stóp nie wyrosną im skrzydła jak Merkuremu.

# Szczytne zasady

Gdy o zupełnym zmroku wróciłem przez las do domu z rybami nanizanymi na sznurek w jednej ręce, w drugiej zaś wlokąc za sobą drąg, przez ścieżkę przemknął ukradkiem świstak. Przeszył mnie osobliwy dreszcz dzikiego zachwytu i ogarnęła przemożna pokusa, aby go złapać i pożyć na surowo; nie dlatego abym był głodny, łaknąłem jedynie owego posmaku dzikości. Odkąd zamieszkałem nad stawem, raz czy dwa przyłapałem się na tym, że z dziwnym brakiem opanowania oblatuję las niczym na wpół zagłodzony pies, w poszukiwaniu jakiejś dziczyzny do pożarcia, i nie było kęsa, który okazałby się dla mnie zbyt surowy czy pierwotny. Najdziksze sceny stały się osobliwie znajome. Podobnie jak większość ludzi znajduję w sobie pociąg zarówno do wznioślejszego – czy inaczej mówiąc – duchowego życia, jak i do sfery prymitywnej i dzikiej, lecz obie jednakowo poważam. Kocham dzikość nie mniej niż dobro. Wciąż pociąga mnie łowienie ryb, albowiem towarzyszy mu atmosfera żywiłowej przygody. Niekiedy lubię spędzić dzień podobnie jak zwierzęta, aby brać życie garściami. Temu zajęciu oraz polowaniu w młodym wieku zawdzięczam chyba najbliższe obcowanie z przyrodą. Wcześniej nas one zaznajamiają z okolicą i skłaniają do przebywania na łonie Natury, podczas gdy w innym wypadku mało byśmy ją w młodości znali. Rybacy, myśliwi, drwale i inni ludzie, którzy spędzają życie wśród pól i lasów, sami są w pewnym sensie częścią Natury i często podczas przerw w pracy mają lepszą sposobność obserwować jej tajniki aniżeli filozofowie czy nawet poeci zbliżający się do niej pełni oczekiwań. Ona bowiem nie boi im się pokazać w pełnej krasie. Ten, kto podróżuje przez prerię, jest naturalnie myśliwym, kto płynie górnym biegiem Missouri i Columbii – traperem, kto zaś łowi przy Wodospadzie Świętej Marii<sup>1</sup> – rybakiem. Ten, kto jest tylko podróżnikiem, uczy się wszystkiego z drugiej ręki, i to połowicznie, a zatem kiepski z niego autorytet. Interesują nas nade wszystko raporty naukowe na temat tego, co ludzie owi znają już z praktyki lub instynktownie, albowiem tylko wówczas dają one prawdziwy obraz natury ludzkiej i mogą służyć za relację o ludzkich doświadczeniach.

Mylą się ci, którzy dowodzą, że Jankes niewiele ma rozrywek, ponieważ ustanowiono tylko kilka świąt państwowych, i że nasi mężczyźni i chłopcy nie grają w tyle gier, ile znanych jest w Anglii, ponieważ u nas prymitywniejsze, z ustronnymi miejscami związane rozrywki, jakimi są: myślistwo, łowienie ryb i tym podobne, nie ustąpiły jeszcze miejsca grom. Wszyscy spośród rówieśników w Nowej Anglii nosili śrutówkę na ramieniu między dziesiątym a czternastym rokiem życia, a tereny ich polowań i łowów nie były ograniczone jak rezerwy angielskiego arystokraty, lecz jeszcze bardziej bezkresne aniżeli królestwo

---

<sup>1</sup> Prawdopodobnie mowa o Wodospadzie Świętej Marii na południowym wschodzie Brytyjskiej Kolumbii.

człowieka dzikiego. Nic więc dziwnego, że chłopcy nie pozostawiali częściej się bawić na błoniach. Wprawdzie zmiany już zachodzą, lecz nie tyle dzięki wzrostowi humanitaryzmu, ile z powodu niedostatku zwierzyny, myśliwy bowiem – nie wyłączając członków Towarzystwa Humanitarnego – jest chyba największym przyjacielem zwierząt, na które poluje.

Ponadto, mieszkając nad stawem, miałem czasem ochotę urozmaicić swój wikt dodając do jadłospisu rybę. Łowiłem ryby kierowany doprawdy tą samą potrzebą co pierwsi rybacy. Nawet gdybym chciał ją w sobie zwalczyć z jakichś pobudek humanitarnych, nie byłyby czyste i wypływałyby raczej z mojej filozofii aniżeli uczuć. Mówię teraz tylko o łowieniu ryb, albowiem do polowania na ptactwo dawno miałem odmienny stosunek i sprzedałem strzelbę, zanim zamieszkałem w lesie. Nie żebym był mniej humanitarny niż inni, lecz nie zauważyłem, aby moje uczucia były szczególnie poruszone. Nie żałowałem ani ryb, ani robaków. Łowienie stanowiło mój nawyk. Co się tyczy polowania na dzikie ptactwo, to w ostatnich latach, gdy nosiłem strzelbę, miałem wymówkę, że studiuje ornitologię i poszukuję tylko nieznanych albo rzadkich ptaków. Jak teraz atoli przyznaję, istnieje subtelniejszy sposób studiowania ornitologii. Wymaga poświęcenia o tyle większej uwagi zwyczajom ptaków, że – choćby tylko z tego powodu – wolę zaniechać śrutówki. Jednakże mimo obiektywności natury humanitarnej, zmuszony jestem wątpić, czy kiedykolwiek owe sporty zastąpi się równie wartościowymi. Przeto gdy kilku zaniepokojonych przyjaciół pytało mnie o radę, czy powinni pozwolić swoim synom polować, odpowiedziałem: „tak”, pamiętając, że była to jedna z najlepszych stron mojej edukacji. Zróbcie z nich myśliwych, rzekłem, ale w miarę możliwości zadbajcie, aby najpierw traktowali to jedynie po sportowemu, dopiero zaś potem stali się znakomitymi myśliwymi, którzy w tej czy innej leśnej głuszy nie znajdą wśród zwierzyny równego sobie przeciwnika – zróbcie z nich i myśliwych, i rybaków ludzi<sup>2</sup>. Jak dotąd jestem tego samego zdania co mniszka u Chaucera:

I nie przejmował się takim przesądem,  
Jakoby świętym nie mógł być myśliwy.<sup>3</sup>

Zarówno w historii pojedynczego człowieka, jak i całego gatunku ludzkiego istnieje okres, w którym myśliwi uchodzą za „najlepszych ludzi,” wedle określenia Algonkinów. Nad chłopcem, który nigdy nie oddał strzału, możemy się tylko litować; nie ma on dzięki temu więcej uczuć humanitarnych, natomiast poważnie zaniedbano jego edukację. Tak też odpowiedziałem, pytany, czy zapalonym młodzieńcom należy pozwolić na uprawianie myślistwa, odpowiedziałem w przekonaniu, że szybko minie im zapał. Żadna istota ludzka wyrosła z bezmyślnego wieku chłopięcego nie zamorduje bez powodu żadnego stworzenia, oboje bowiem mają takie samo prawo do życia. Bliski końca zając płacze jak dziecko. Matki

<sup>2</sup> „I rzekł do nich Jezus: «Pójdźcie za mną, a sprawię, że staniecie się rybakami ludzi.»” Nowy Testament, Ewangelia św. Marka 1, 17.

<sup>3</sup> Geoffrey Chaucer, *Opowieści kanterberyjskie. Prolog główny*, 178-179, przełożyła Helena Pręczkowska, Ossolineum 1963. Thoreau popełnił tutaj błąd, słowa powyższe wypowiedział mnich, a nie mniszka. Tłumaczka przekłada: „...takim przesądem” to, co w oryginale cytowanym przez Thoreau brzmi dosłownie: „...that text [...] That saith” (tym tekstem [...] który mówi). Chodzi tu albo o dekret Gracjana (XI w.), w którym cytuje on komentarz św. Jeremiego do Psalmu 90, albo o Księgę Rodzaju, albo o regułę św. Augustyna.

ostrzegam, że nie zawsze w swoich sympatiach kieruję się zwykłymi względami filantropijnymi.

Takie najczęściej bywa wprowadzenie młodego człowieka w las i w najbardziej pierwotną sferę jego własnej osobowości. Najpierw przemierza ostępy jako myśliwy i rybak, a w końcu Jeśli nosi w sobie załączki lepszego życia, dostrzega swoje właściwe cele – jako poeta albo może przyrodnik – i porzuca strzelbę oraz wędkę. Nadal większość mężczyzn na zawsze pozostaje pod tym względem młodzieńcami. W niektórych krajach pastor na polowaniu to nierzadki widok. Może i dobry z niego owczarek, aliści daleko mu do Dobrego Pastera. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że niewątpliwie jedynym zajęciem, poza ścinaniem drzewa, rąbaniem lodu czy tym podobną robotą, jakie kiedykolwiek, o ile mi wiadomo, zatrzymało na całe pół dnia nad Waldenem kogoś z mieszkańców mojego miasteczka – biorę pod uwagę zarówno ojców, jak i dzieci – było, z jednym wyjątkiem, łowienie ryb. Na ogół – mimo że przez cały czas mieli sposobność patrzenia na staw – nie uważali, że sprzyja im szczęście ani że otrzymują godziwą zapłatę za pracę, o ile nie złowili długiego sznura ryb. Mogli chodzić tam tysiąc razy, zanim osiadłby na dnie wzniecony przez wędkę muł dowodząc, że cel ich łowienia był czysty, lecz niewątpliwie taki oczyszczający proces zachodziłby przez cały czas. Gubernator i jego doradcy słabo pamiętają staw, na ryby bowiem chodzili w dzieciństwie. Teraz zaś są zbyt starzy i dostojni, aby łowić, przeto już nigdy lepiej stawu nie poznają. Jednakże oni też spodziewają się pójść ostatecznie do nieba. Jeśli Izba Prawodawcza interesuje się stawem, to głównie po to, ażeby regulować liczbę zarzucanych tam haczyków, nie ma pojęcia atoli o haczyku najlepszym z najlepszych, którym można złowić sam staw, biorąc Izbę Prawodawczą na przynętę. Zatem nawet w społeczeństwach cywilizowanych rozwijający się embriion ludzki przechodzi przez stadium łowiectwa.

Okazuje się, że ostatnimi laty nie potrafię łowić i nie popadać w lekkie samouwielbienie. Ileż razy chodziłem na ryby. Mam wprawę w łowieniu i, podobnie jak wielu ziomków, odczuwam do niego pewnego rodzaju pociąg, który budzi się od czasu do czasu; gdy jednak wracam z połowu, zawsze mam wrażenie, że byłoby lepiej, gdybym w ogóle nie zarzucał wędki. Sądzę, że się nie mylę. Nieśmiałe czynię wyznanie, lecz takie są pierwsze promyki poranka. Bezsprzecznie odczuwam ów pociąg ku niższym rodzajom istnienia, z każdym wszelako rokiem mniej czasu poświęcam na łowienie, choć dzięki temu nie staję się ani bardziej humanitarny, ani nawet mądry. W chwili obecnej już wcale nie chodzę na ryby. Wszelako widzę, że gdybym miał żyć w leśnej głuszy, znów uległbym pokusie i zostałbym zapalonym rybakim i myśliwym. Nawiasem mówiąc, mięso zdobywane tymi i innymi sposobami ma w sobie coś zasadniczo nieczystego, dlatego też zaczynam rozumieć, skąd się biorą domowe obowiązki i ciężki wysiłek, aby codziennie wyglądać schludnie i porządnie, aby dom był posprzątnany i nie unosiły się w nim żadne nieprzyjemne zapachy. Jako swój własny rzeźnik, pomywacz i kucharz, a także dżentelmen obsługiwany przy posiłku, mogę się wypowiedzieć na podstawie niezwykle wszechstronnego doświadczenia. W moich oczach pożywienie zwierzęce ma na dobrą sprawę podstawową wadę – nieczystość. Istotny wydawał mi się również fakt, że gdy złapałem, oczyściłem, ugotowałem i zjadłem rybę, okazywało się, że nie zaspokoilem nawet pierwszego głodu. Cała robota wydawała się



bezsensowna i niepotrzebna, kosztowała zaś więcej, aniżeli była warta. Równie dobrze wystarczyłby chleb albo kilka ziemniaków, a mniej byłoby kłopotu i nieporządku. Podobnie jak wielu mi współczesnych, przez wiele lat rzadko spożywałem pokarm zwierzęcy, kawę, herbatę i inne tego typu produkty, może nie tyle ze względu na niezdrowe działanie, jakie im przypisywałem, ile na to, że mi nie odpowiadały. Wstręt do pożywienia zwierzęcego nie wynika z doświadczenia, lecz jest instynktowny. Z wielu względów piękniejsze wydawało się życie prymitywne i surowe odżywianie; wprawdzie nigdy się do nich nie ograniczyłem, atoli posunąłem się dostatecznie daleko, aby zaspokoić swoje wyobrażenia na ten temat. Uważam, że szczególnie człowiek, który istotnie pragnie jak najlepiej zadbać o bardziej wysublimowane wartości wewnętrzne, stara się unikać pożywienia zwierzęcego, i w ogóle obfitych posiłków. Znamienne, że według entomologów – zetknąłem się z tym u Kirby'ego i Spence'a – „niektóre owady w stadium wykształconym, choć zaopatrzone w układ pokarmowy, wcale z niego nie korzystają”<sup>4</sup>. Fakt ten uznano za „ogólną regułę, wedle której prawie wszystkie owady w tym stadium jedzą dużo mniej aniżeli larwy. Żarłoczna gąsienica, kiedy przekształci się w motyla [...] i łapczywa larwa, skoro stanie się muchą”<sup>5</sup>, zadowolają się jedną albo dwiema kropelkami miodu lub jakiegoś innego słodkiego płynu. Odwłok pod skrzydłami motyla nadal przypomina larwę. Jest smakołykiem, kuszącym owadożerny los. Człowiek w stadium larwy to tłusty żarłok, a istnieją narody, które całe mają tę postać, narody bez fantazji i wyobraźni, poznać je można po ogromnych odwłokach.

Ciężko jest zdobyć i ugotować tak proste i czyste pożywienie, aby nie raziło uczuć estetycznych. Myślę, że powinno je się karmić jednocześnie z ciałem, a zatem wszyscy powinni siadać przy tym samym stole. Chyba to możliwe do przeprowadzenia. Spożywanie darów Bożych z umiarem nie musi przysparzać nam wstydu za apetyt ani przerywać najbardziej szacownych zajęć. Skoro jednak dosypimy do jedzenia dodatkowo przyprawę, niewątpliwie możemy się otruć. Nie warto prowadzić obfitej kuchni. Większość ludzi spółęłaby rumieńcem wstydu, gdyby przyłapano ich na własnoręcznym gotowaniu dokładnie takiego samego obiadu – czy to mięsnego, czy wyłącznie jarskiego – jaki codziennie przyrządza im ktoś inny. Dopóki wszelako tak się dzieje, nie jesteśmy ludźmi cywilizowanymi, a panowie i panie nie są prawdziwymi mężczyznami i kobietami. Nasuwa się niewątpliwie pytanie, jakie zmiany powinno się zaprowadzić. Próżno pytać, dlaczego uczucia estetyczne nie pozostają w zgodzie z ciałem i otyłością. Cieszę się z takiego stanu rzeczy. Czyż fakt, że człowiek jest zwierzęciem mięsożernym, nie przynosi mu ujmy? Wszak w wielkiej mierze żyje polując na inne zwierzęta; przykry to sposób, o czym przekona się każdy, kto zacznie łąpać w sidła króliki albo zarzynać jagnięta. Przeto ten zostanie uznany za dobroczyńcę ludzkości, kto nauczy człowieka ograniczania się do bardziej niewinnego i zdrowego pożywienia. Niezależnie od tego, co sam praktykuję, nie mam wątpliwości, że przeznaczeniem gatunku ludzkiego w miarę stopniowego postępu jest po części skończyć z jedzeniem zwierząt. To niechybnie nastąpi, podobnie jak u dzikich plemion skończono z jedzeniem siebie nawzajem wskutek zetknięcia się z ludźmi bardziej cywilizowanymi.

---

<sup>4</sup> William Kirby, William Spence, *An Introduction to Entomology*, Filadelfia 1846.

<sup>5</sup> *Ibid.*

Jeżeli ktoś słucha najdelikatniejszych, lecz ustawicznie powtarzanych podszeptów swego rozumu, podszeptów, które z pewnością są słuszne, nie uświadamia sobie, do jakich skrajności albo nawet szaleństw może go to doprowadzić; wszelako podąża w tym właśnie kierunku, zyskując coraz większą śmiałość i coraz bardziej oddając się sprawie. Wystarczy, aby jeden zdrowy człowiek uparcie obstawał przy swoich zastrzeżeniach, a uda mu się w końcu zwalczyć argumenty i zwyczaj ludzkości. Nikogo jeszcze nie zawiódł głos własnego rozumu, za którym szedł. Gdyby nawet doprowadziło to w rezultacie do osłabienia ciała, nikt chyba nie mógłby stwierdzić, że należy żałować konsekwencji, skoro oferowały życie w zgodzie z wyższymi zasadami. Jeżeli dzień i noc pozwalają człowiekowi radośnie się z sobą witać, a życie rozsiewa woń podobną do zapachu kwiatów i słodkich ziół, jest bardziej prężne, promienne i bliższe nieśmiertelności – człowiek osiągnął sukces. Gratuluje mu cała Natura, on zaś w każdej sekundzie winien sobie błogosławieństwo. Największe korzyści i wartości najrzadziej bywają doceniane. Łatwo zaczynamy wątpić w ich istnienie. Szybko o nich zapominamy. Stanowią najwyższą sferę rzeczywistości. Być może jeden człowiek nigdy nie pokazuje drugiemu najbardziej zdumiewających i realnych faktów. Prawdziwe żniwo mojego dnia jest do pewnego stopnia tak nieuchwytnie i niemożliwe do opisania jak barwy poranka czy wieczornej zorzy. Jak odrobina gwiazdowego pyłu na dłoni, jak skrawek tęczy zamknięty w garści.

Co się tyczy atoli mojej osoby, to nigdy nie byłem nadzwyczajnie wybredny; czasami mógłbym zjeść z apetytem smażonego szczura, gdyby zaszła konieczność. Zadowolony jestem, że przez tak długi czas piłem wodę, z tego samego powodu, dla którego prawdziwe niebo przedkładam nad niebiosą opiofaga. Rad bym zawsze zachować trzeźwość, wszak liczba szczebli pijaństwa osiągnęła nieskończoność. Uważam, że jedyny napój mądrego człowieka stanowi woda. Wino nie jest już tak szlachetnym płynem, a pomyśleć, że nadzieje poranka można zniweczyć filiżanką ciepłej kawy, wieczoru zaś – filiżanką herbaty! Och, jakże nisko upadam, gdy dam im się skusić! Nawet muzyka może być trunkiem. Takie pozornie niewinne przyczyny doprowadziły do upadku Grecję i Rzym, a doprowadzą Anglię i Amerykę. Kto nie woli się upić powietrzem – najlepszym trunkiem?<sup>6</sup> Za największą wadę pospolitej i czasochłonnej pracy uważam fakt, że zmusza ona do równie pospolitego jedzenia i picia. Prawdę jednak mówiąc, wydaje mi się, że obecnie jestem trochę mniej grymaśny pod tym względem. Z mniejszym nabożeństwem traktuję stół, nie proszę o błogosławieństwo. Nie dlatego, bym był mądrzejszy niż ongi, lecz – zmuszony jestem wyznać – dlatego, że z biegiem lat spospoliciałem i zobojętniałem, choćbym najbardziej tego żałował. Może kwestie te istotne są tylko w młodości, podobnie jak – według opinii większości – poezja. W moim przypadku praktyka nie istnieje, uprawiam zaś teorię. Wszelako daleki jestem od tego, aby uważać się za jednego z owych uprzywilejowanych, o których wspominają *Wedy* głosząc, że „ten, kto wierzy we Wszechobecną Najwyższą Istotę, może jadać wszystko bez wyjątku”, to znaczy, nie musi się upewniać, jakie przysługuje mu pożywienie ani kto je przyrządza. Znamienne jednak, że nawet w ich wypadku – jak zauważył hinduski filozof – *Wedy* ograniczają ów przywilej do „okresu niedoli”.

---

<sup>6</sup> Patrz wiersz Emily Dickinson *I Taste a Liquor Never Brewed*.

Któż nie doznawał czasami niewypowiedzianej przyjemności jedząc potrawę, na którą nie miał apetytu? W takich razach nurtowała mnie myśl, że przeżycie umysłowe zawdzięczam niewybrednemu na ogół zmysłowi smaku, że czerpię natchnienie z podniebienia, że kilka jagód zjedzonych na zboczu daje zadowolenie mojemu umysłowi. „Dusza nie jest panią siebie – twierdzi Konfucjusz – człowiek patrzy i nie widzi, słucha i nie słyszy, je i nie zna smaku pożywienia.” Ten, kto odczuwa prawdziwy smak potrawy, nie może być żarłokiem; ten, kto nie czuje go, nie może być przeciwieństwem żarłoka. Purytanin umie przystępować do jedzenia skórki razowego chleba z tak samo wielkim apetytem jak radny miejski do turkawki. Nie żywność, którą pochłaniają usta, plugawi człowieka, lecz apetyt, z jakim człowiek ją zjada<sup>7</sup>. Nie idzie ani o jakość, ani o ilość, tylko o oddanie zmysłowym woniom, o to, że spożywana przez nas potrawa przestaje być jedzeniem mającym utrzymać przy życiu tkwiące w nas zwierzę albo inspirować w nas życie duchowe, i staje się karmą dla robaków, które nami zawładnęły. Gdy myśliwy ma chęć na żółwie błotne, piżmoszczury i inne tego rodzaju smakołyki, elegancka dama zaś folguje zachciance na galaretkę z różek cielejących albo na zamorskie sardynki, jedno nie ustępuje drugiemu. On udaje się nad staw, ona do spiżarni. Zadziwiające, jak jedząc tak i pijąc mogą oni – jak możemy ty i ja – prowadzić to obłeśne życie bydłęcia.

Całe nasze życie jest wstrząsająco moralne. Cnota i występki nigdy nawet na chwilę nie zawieszają broni. Dobroć jest jedyną inwestycją, która nigdy nie zawodzi. Harfa rozbrzmiewająca po całym świecie muzyką porywa nas właśnie dzięki upieraniu się przy owej prawdzie. Harfa jest wędrowną katarynką, która głosi reguły Wszechświatowego Towarzystwa Ubezpieczeniowego, a na rzucone jej datki składa się tylko odrobina naszej dobroci. Aczkolwiek młodzież w końcu obojętnieje, prawa wszechświata nie obojętnieją i zawsze trzymają stronę najbardziej wrażliwych. Należy się wsłuchiwać w wiatr, albowiem nawet najlżejszy powiew na pewno zaszumi jakąś naganą, pozałowania zaś godny jest ten, kto jej nie usłyszy. Nie potrafimy poruszyć struny ani nacisnąć pedału, aliści przeszywa nas zachwycający morał. Skoro odejdziemy o wiele dalej, nieznośna kakofonia przemienia się w muzykę, w dumną, rozkoszną satyrę na podłość naszego życia.

Jesteśmy świadomi, że tkwi w nas zwierzę, które rozbudza się proporcjonalnie do stopnia uspienia naszej wyższej natury. Jest podłe i zmysłowe i chyba nie można całkowicie go zwalczyć, podobnie jak robactwa, które się lęgnie nawet w ciele żywego i zdrowego człowieka. Może udałoby się nam odseparować od niego, lecz nigdy nie zmienimy jego natury. Obawiam się, że ono chyba cieszy się swoim własnym zdrowiem, my zaś mimo dobrego samopoczucia nie będziemy czysti. Któregoś dnia znalazłem dolną szczękę wieprza z białymi, zdrowymi zębami i kłami symbolizującymi zdrowie i krzepę zwierzęcia w odróżnieniu od zdrowia i siły ducha. Stworzeniu temu dobrze się wiodło dzięki innym cechom aniżeli wstrzemięźliwość i czystość. „Ludzi różni od dzikich zwierząt – głosi Mencjusz – coś bardzo nieznacznego; prostacki motłoch traci to coś niezwykłego szybko, zaś ludzie niepospolici pieczołowicie to zachowują.” Kto wie, jakiego rodzaju życie byśmy prowadzili

---

<sup>7</sup> „Ale co z ust wychodzi, pochodzi z serca, i to kała człowieka.” Nowy Testament, Ewangelia św. Mateusza 15, 18.

osiągnąwszy czystość? Gdybym znał tak mądrego człowieka, że mógłby nauczyć mnie czystości, niezwłocznie udałbym się na jego poszukiwanie. *Wedy* głoszą, iż „tylko przez panowanie nad namiętnościami i zmysłami ciała oraz przez dobre uczynki dane jest nam się zbliżyć myślą do Boga”. Duch jednak może przenikać i kontrolować wszystkie członki oraz funkcje ciała i przeobrazić największą zmysłowość w czystość i poświęcenie. Energia twórcza, która się marnuje i zachęca nas do nieczystości, gdy oddajemy się rozpuście, daje nam nowe siły i natchnienie, skoro zachowujemy wstrzemięźliwość. Czystość jest kwiatem człowieczeństwa, to zaś, co nazywamy Geniuszem, Bohaterstwem, Świętością i tym podobnie, stanowi jedynie różne wyrosłe z niego owoce. Gdy się otwiera kanał czystości, człowiek natychmiast płynie nim do Boga. Nasza czystość niesie natchnienie, nieczystość zaś działa deprymująco. I tak na przemian. Ten jest błogosławiony, kto ma pewność, że dzień po dniu obumiera w nim zwierzę, a władanie przejmuje nad nim istota boska. Być może nie istnieje taki, kto by nie miał powodu wstydzić się swojego pokrewieństwa z naturą niższą i zwierzęcą. Obawiam się, że są z nas bogowie czy półbogowie równi tylko faunom i satyrom, istoty boskie spokrewnione ze zwierzętami, stworzenia opanowane przez żądzę, i że do pewnego stopnia samo życie nasze stanowi naszą hańbę.

Szczęśliwy ten, który wyznaczył należyte miejsce  
Bydlętom swym i myśli własnych las przetrzebił wielce!

Używa konia, kozła, wilka i bydła wszelakich,  
Sam sobie osłem nie będąc ni dla innych durakiem!  
Bo w innym razie człek nie tylko w stado świń się wciela,  
Ale i diabłów, które weń wstąpiły, tak w nim wiela,  
Że do wściekłości go skłaniają pogarszając sprawę.<sup>8</sup>

Jest tylko jedna zmysłowość, choć przybiera różne formy, istnieje tylko jedna czystość. Objawia się tym samym, niezależnie od tego, czy człowiek je, czy pije, czy żyje we wspólnocie małżeńskiej, czy ma zmysłowe sny. Wszystkie owe czynności rodzi ta sama żądza, i wystarczy kogoś zobaczyć w trakcie wykonywania jednej z nich, aby ocenić, na ile jest zmysłowy. Nieczysty nie potrafi ani stać, ani siedzieć niewinnie. Gad zaatakowany u jednego wylotu swojej nory, zjawia się u drugiego. Jeżeli człowiek ma być niewinny, musi zachowywać wstrzemięźliwość. Czym jest niewinność? Skąd ma człowiek wiedzieć, że jest niewinny? Nie może wiedzieć. Słyszeliśmy o tej cnocie, lecz nic o niej nie wiemy. Powtarzamy tylko wiadomości zasłyszane. Mądrość i czystość biorą się z wysiłku, niewiedza i zmysłowość – z lenistwa. U studenta zmysłowość jest nawykiem ospałego umysłu. Osoba nieczysta jest na ogół przesiadującym przy piecu leniuchem, któremu wciąż przyświeca wyczerpane słońce, który odpoczywa nie będąc zmęczonym. Jeżeli człowiek ma unikać nieczystości i wszelkich innych grzechów, musi pracować sumiennie, nawet przy wynoszeniu gnoju ze stajni. Trudno przewyciężyć naturę, aliści trzeba ją przewyciężyć. Co za pożytek z tego, że ktoś jest chrześcijaninem, jeśli nie zachowuje większej czystości aniżeli poganin, jeśli

---

<sup>8</sup> John Donne, *To Sir Edward Herbert [...] Being at the Siege of Juliers*. Przełożył Piotr Sommer.

więcej niż on sobie nie odmawia, jeśli nie jest bardziej religijny? Znam wiele religii uznanych za pogańskie, których przykazania napełniają czytelnika wstydem i prowokują do nowych wysiłków, chociażby miały dotyczyć jedynie dokonywania obrządków.

Waham się mówić o tych sprawach, lecz nie tyle ze względu na temat – nie zważam na sprośność moich słów – ile na to, że nie potrafię mówić o nich nie zdradzając się z nieczystością. Swobodnie i bez wstydu dyskutujemy o jednej formie zmysłowości, o innej zaś milczymy. Jesteśmy tak zwyrodniali, że nie potrafimy w prosty sposób mówić o niezbędnych funkcjach natury ludzkiej. We wcześniejszych stuleciach niektóre kraje każdą z nich z szacunkiem omawiały i regulowały prawem. Dla hinduskiego prawodawcy nic, co raziłoby współczesne poczucie smaku, nie było trywialne. Nadając godność temu, co przyziemne, naucza on, jak jeść, pić, współżyć w małżeństwie, wydalać kał, oddawać mocz, i tym podobne. Nie usprawiedliwia się obłudnie i nie nazywa tych rzeczy głupstwami. Każdy człowiek jest budowniczym świątyni – zwanej jego ciałem – ku czci wielbionego boga<sup>9</sup>. Buduje ją w całkowicie własnym stylu, którego nie może zastąpić kuciem w marmurze. Wszyscy jesteśmy rzeźbiarzami i malarzami, a naszym tworzywem jest nasze własne ciało, krew i kości. Każdy szlachetny uczynek natychmiast zaczyna wysubtelniać ludzkie rasy, każda podłość czy zmysłowość nadaje im cechy zwierzęce.

Pewnego wrześnieowego wieczoru John Farmer siedział na progu domu po dniu ciężkiej pracy, aliści wciąż powracał do niej myślą, mimo że umył się już i chciał odpocząć przed domem. Wieczór był raczej chłodny, niektórzy sąsiedzi Johna obawiali się nawet przymrozków. Siedział tak zamyślony od dłuższej chwili, gdy usłyszał, że ktoś gra na flecie; tony muzyki harmonizowały z jego nastrojem. Wciąż jednak myślał o pracy, co było o tyle uciążliwe, że choć wątek myśli nieustannie snuł mu się w głowie, zmuszając – na przekór jego woli – do planowania i obmyślenia, bardzo mało go to obchodziło. Nie więcej aniżeli ustawicznie zdzierany strup. Wszelako tony fletu dolatywały z innej sfery niż ta, w której John pracował, i podsuwały myśl o pracy nad innymi, drzemiącymi w nim zdolnościami. Najpierw łagodnie zatarły obraz ulicy, miasteczka i kraju, gdzie żył, potem zaś przemówił do niego głos: „Dlaczego pozostajesz tutaj i marnujesz na harówce to nędzne życie, skoro możesz prowadzić wspaniałą egzystencję? Nad wszystkimi polami świecą te same gwiazdy.” Jak jednak zmienić swoje położenie i naprawdę dalej wywędrować? Pomyślał, że najwłaściwiej byłoby narzucić sobie jakiś nowy rodzaj prostoty, aby umysł zstąpił do ciała i odkupił je, oraz traktować siebie z coraz większym szacunkiem.

---

<sup>9</sup> „Czy nie wiecie, że świątynią Bożą jesteście i że Duch Boży mieszka w was?” Nowy Testament, Pierwszy list św. Pawła do Koryntian 3, 16.

## Zwierzęta sąsiadami

Niekiedy przy łowieniu ryb miałem towarzysza<sup>1</sup>, który przychodził do mojego domu z przeciwnej strony miasta drogą przez miasteczko. Wówczas łowienie obiadu było takim samym wydarzeniem towarzyskim jak jego spożywanie.

PUSTELNIK Ciekaw jestem, co teraz porabia świat. Przez ostatnie trzy godziny nie słyzałem nawet konika polnego nad tym krzakiem. Wszystkie gołębie śpią tam, gdzie przycupnęły – żaden nawet nie drgnie. Czy przed chwilą grał za lasem róg wołając farmera na południowy posiłek? Robotnicy schodzą się na soloną gotowaną wołowinę, jabłecznik i indiańskie podplomyki. Dlaczegoż ludzie tak się zamęczają? Ten, kto nie je, nie musi pracować. Ciekawe, ile zebrali plonów? Kto by mieszkał w miejscu, w którym ciało nie może myśleć, ponieważ Burek nieustannie szczeka? Ach, te zajęcia domowe! Czyścić do połysku diabelskie gałki u drzwi i szorować cebry farmera w taki jasny dzień! Lepiej już nie mieć domu. Lepiej mieszkać, powiedzmy, w dziupli, przyjmować w niej porannych gości i urządzić przyjęcia wieczorem! Słysząc by było tylko pukanie dzięcioła. Och, aż się roi od ludzi, słońce za mocno tam świeci; jak dla mnie, zbyt głęboko wrośli w życie. Ja mam wodę w strumieniu, na półce zaś bochenek chleba. – Ciii! Słyszę szelest liści. Czy to jakiś głodny pies z miasteczka, wiedziony instynktem myśliwskim? Czy może zabłąkana świnia, która podobno krąży po lesie i której ślady widziałem po deszczu? Nadchodzi żwawo, drżą moje sumaki i krzaki dzikich róż. Ach to ty, panie poeto? Jakże ci się dzisiaj podoba świat?

POETA Spójrz na chmury, zawisły wysoko! To najwspanialsza rzecz, jaką dziś widziałem. Niczego podobnego nie znajdzie się na starych malowidłach ani w obcych krajach – chyba że przy wybrzeżu Hiszpanii<sup>2</sup>. To prawdziwie śródziemnomorskie niebo. Pomyślałem, że skoro muszę zdobyć coś do jedzenia, a dziś jeszcze nic nie jadłem, mógłbym pójść na ryby. To doskonała praca dla poetów. Jedyne fach, jaki posiadałem. No, chodźmy.

PUSTELNIK Nie mogę odmówić. Niedługo nie zostanie mi ani okruszyna czarnego chleba. Zaraz z przyjemnością z tobą pójde, lecz właśnie podsumowuję poważne rozmyślenia. Chyba zbliżam się do końca. Pozostaw mnie zatem na chwilę samego. A żeby jeszcze bardziej tego nie opóźnić, zajmij się tymczasem kopaniem robaków. Rzadko można je znaleźć w tych rejonach, albowiem tutejszej gleby nie wzbogacano nawozem, toteż robaki prawie wyginęły. Kiedy głód jeszcze nie bardzo daje się we znaki, kopanie przynęty jest niemal taką samą rozrywką jak łowienie ryb, a dzisiaj możesz się tym upajać zupełnie

---

<sup>1</sup> Był nim William Ellery Channing młodszy. W dialogu, który następuje, Thoreau to pustelnik, a Channing to poeta. J. Lyndon Shanley w *The Making of Walden* (Chicago 1957) sugeruje, że Thoreau wprowadził ten dialog jako zabawne interludium między poprzednim rozdziałem a bieżącym ze względu na różnicę we „wzniosłości” ich tematyki.

<sup>2</sup> Channing płynął wzdłuż wybrzeża Hiszpanii w drodze do Włoch w 1846 roku.

sam. Radziłbym ci wbić łopatę tam dalej, między orzeszkami ziemnymi, tam gdzie faluje dziurawiec. Mogę ci chyba zagwarantować jednego robaka na trzy odwrócone skiby, lecz musisz uważnie szukać między korzonkami trawy, podobnie jak przy pieleniu. A jeśli wolisz iść dalej, też postąpisz mądrze, albowiem zauważyłem, że ilość dobrej przynęty zwiększa się w postępie geometrycznym.

PUSTELNIK (znów sam) Chwileczkę, w którym to miejscu przerwałem? Zdaje się, że byłem mniej więcej tak właśnie usposobiony, widziałem świat pod takim kątem. Czy mam iść do nieba, czy na ryby? Jeżeli zaraz zakończę te rozmyślenia, czy może mi się nadarzyć podobnie rozkoszna okazja? Byłem tak bliski przeniknięcia istoty rzeczy, jak jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło. Boję się, że zgubiłem myśl bezpowrotnie. Gdyby to mogło pomóc, zagwizdałbym na nią<sup>3</sup>. Czy gdy składają nam propozycję, mądrze jest odrzec: „Zastanowimy się”? Po moich myślach nie zostało śladu, nie mogę odnaleźć do nich drogi. O czymże to myślałem? Był to bardzo mglisty dzień. Po prostu zrobię próbę z trzema zdaniem Konfucjusza – może one przywołają z powrotem ów stan. Nie wiem, czy szło o przygnębienie, czy o rodzącą się ekstazę. *Memorandum*. Ta sama okazja nigdy się nie powtarza.

POETA No i cóż, Pustelniku, czy nie za wcześnie? Mam trzynaście całych i kilka uszkodzonych albo zbyt małych, lecz będą się akurat nadawały na mniejsze ryby. Nie zakrywają całkiem haczyka. Robaki w miasteczku są zgoła za duże – sieja mogłaby się najęść kawałkiem jednego na obiad, nawet nie dotykając haczyka.

PUSTELNIK A zatem ruszajmy. Czy pójdziemy nad rzekę Concord? Dobrze tam się łowi, jeśli woda nie jest zbyt wysoka.

Dlaczego na świat składają się ściśle te przedmioty, które postrzegamy? Dlaczego człowiek ma za sąsiadów właśnie ten gatunek zwierząt? Jak gdyby tylko mysz mogła się wciśnąć w tę szparę. Podejrzewam, że Pilpay<sup>4</sup> i Ska wymyślili najlepszy sposób wykorzystania zwierząt, albowiem wszystkie ich zwierzęta są w pewnym sensie pociągowe, stworzone po to, aby dźwigać jakąś dozę naszych myśli.

Myszy nawiedzające mój dom nie były zwykłymi myszami, które podobno sprowadzono tu do kraju, lecz odmianą dzikich miejscowych (*Mus leucopus*), nie występujących w miasteczku. Posłałem jedną wybitnemu przyrodnikowi<sup>5</sup>, którego wielce zainteresowała. Podczas budowy jedna z nich miała gniazdo pod domem i zanim położyłem drugą podłogę oraz zamiotłem strużyny, pojawiała się codziennie w porze południowego posiłku i zbierała okruchy u moich stóp. Prawdopodobnie nigdy przedtem nie widziała człowieka, lecz szybko do mnie się przyzwyczaiła i biegała mi po butach i ubraniu. Potrafiła ochoczo wspinać się na ściany pomieszczenia krótkimi zrywami, podobnie jak wiewiórka, którą przypominała w ruchach. Wreszcie, gdy pewnego dnia oparłem się łokciem o ławkę, wbiegła po moim ubraniu, potem przeleciała po rękawie i zaczęła krążyć wokół papieru, w który

---

<sup>3</sup> Nieprzetłumaczalna gra słów. W oryginale *I would whistle for* (zagwizdałbym na) ma również przenośne idiomatyczne znaczenie „czekałbym daremnie”.

<sup>4</sup> Pilpay, znany również jako Bidpai, rzekomy autor *Pańcztantry*. Thoreau poznał sanskryckie bajki w angielskim przekładzie. Emerson także wykorzystał kilka z nich w piśmie „Dial”.

<sup>5</sup> Był nim Louis Agassiz. Pod koniec lat 1840-ych Thoreau zbierał dla niego różne odmiany ryb, gadów i ssaków. Agassiz pracował nad klasyfikacją gatunków na Uniwersytecie Harvarda.

miałem owinięty obiad. Trzymałem jedzenie przy sobie, a ona podskakiwała bawiąc się w chowanego. Gdy zaś w końcu chwyciłem kawałek sera między kciuk i palec wskazujący i trzymałem je nieruchomo, wskoczyła na moją dłoń, usiadła i skubała ser, a potem wytarła pyszczek i łapki podobnie jak mucha i uciekła.

Wkrótce w mojej szopie zbudowała gniazdo czajka, a drozd – dla osłony – w sośnie rosnącej naprzeciw domu. W czerwcu prowadziła swoją dziatwę przed moimi oknami kuropatwa (*Tetrao umbellus*), która jest bardzo płochliwym ptakiem – wynurzała się z lasu za domem i przydreptała przed drzwiami kwocząc i nawołując małe jak kura, lecz całym swym zachowaniem udowadniając, że jest leśną kurą. Małe, gdy usłyszały człowieka, nagle się rozpierschaly na sygnał dany przez matkę, jak gdyby rozwiała je trąba powietrzna. Tak bardzo przypominają one zeschnięte liście i gałązki, że wielu wędrowców nie podejrzewając, iż mogą być w pobliżu, stawiało nogę pośród stadka, a wówczas rozlegał się furkot skrzydeł odlatującej starej, jej niespokojne nawoływania i kwilenie lub też widać było, jak ciągnie skrzydłami po ziemi, aby skupić na sobie uwagę wędrowca. Niekiedy matka będzie kołysać się i kręcić przed człowiekiem tak rozneglizowana, że trudno przez kilka chwil rozpoznać, co to za stworzenie. Młode potrafią przycupnąć bez ruchu i całkiem się rozplaszyc, często aż wsuwając głowy pod liście, i zważać tylko na to, jakie wskazówki da im z oddali matka, tak że nie poderwie ich i nie zmusi do zdradzenia się i ucieczki nawet człowiek, który podszedł bardzo blisko. Można wprost nastąpić na nie czy patrzeć przez dobrą chwilę i w ogóle ich nie zauważyć. Trzymałem je w podobnej sytuacji na dłoni, a one, posłuszne matce i instynktowi, przejęte były tylko tym, aby przycupnąć i nie drzeć ze strachu. Taki doskonały mają ten instynkt, że pewnego razu, gdy położyłem je z powrotem na liściach i jedna przypadkiem upadła na bok, po dziesięciu minutach wszystkie zastałem w takiej samej pozycji, jak zostawiłem. Nie są nieopierzone jak większość piskląt, lecz lepiej rozwinięte i na swój wiek dojrzalsze aniżeli kurczęta. Trudno zapomnieć nadzwyczaj dorosły, a mimo to niewinny wyraz ich otwartych, pogodnych oczek. Znajduje w nich odbicie cała inteligencja. Przywodzą na myśl nie tylko niewinność dzieciństwa, lecz także mądrość skrytą dzięki doświadczeniu. Takie oko nie narodziło się wraz z ptakiem, ono równe jest wiekiem niebu, które w nim się odbija. To jedyny taki klejnot wydany przez lasy. Wędrowiec rzadko zagląda w taką kryształową studnię. Ciemny czy nierozważny myśliwy często zabija w taką porę matkę, a jej niewiniątka padają ofiarą jakiegoś poszukującego zdobyczy zwierzęcia czy ptaka lub stopniowo mieszają się z gnijącymi liśćmi, które tak bardzo przypominają. Podobno gdy jaja wysiedzi kura, pisklęta kuropatwy, jeśli coś je spłoszy, natychmiast się rozpierschają i giną, albowiem nie słyszą wołania matki, którym by zgromadziła je wokół siebie. Oto moje kury i kurczaki.

To nadzwyczajne, ile stworzeń żyje w tych lasach dziko, na wolności, aczkolwiek w ukryciu, utrzymując się nadal w pobliżu miast, czego domyślają się tylko myśliwi. Jakże na ubożu udaje się tu żyć wydrze! Osiąga cztery stopy długości, czyli tyle, ile wzrostu ma mały chłopiec, a bywa, że nigdy nie widziało jej ludzkie oko. Dawniej natykałem się na szopa w lesie za domem, a teraz pewnie w nocy nadal słyszę skamlenie jego towarzyszy. Zazwyczaj po sadzeniu roślin odpoczywałem w południe godzinę czy dwie w cieniu, jadłem posiłek i trochę czytałem przy źródle, które zasilało bagno i potok, a wypływało spod Wzgórza



Bristera, o pół mili od mojego pola. Droga do niego prowadziła przez kolejne coraz niżej schodzące dolinki porośnięte trawą, pełne młodych sosen smołowych, aż do większego lasu w pobliżu bagna. Tam, w bardzo ustronnym i zacienionym miejscu, pod rozłożystą sosną wejmutką można było usiąść na czystej i jędrnej murawie. Dokopałem się tam kiedyś do źródła i zrobiłem studnię pełną czystej szarej wody, w której mogłem bez zmacenia jej zanurzyć wiadro. W środku lata, gdy woda w stawie była najcieplejsza, chodziłem tam prawie codziennie. Tam też słonka prowadziła swoje małe, aby wydłubywać z błota robaki. Frunęła wzdłuż brzegu nad nimi, a one biegnąc zbite w gromadkę. W końcu, gdy mnie wysłedziła, zostawiała jednak małe i krążąc wokół mnie coraz to się przybliżała, aż na cztery czy pięć stóp, i aby zwrócić na siebie moją uwagę, a odwrócić ją od małych, udawała, że ma połamane skrzydła i nogi, małe zaś z delikatnym metalicznym piskiem już podjęły, zgodnie z jej wskazówkami, marsz gęsiego przez bagno. Bywało też tak, że słyszałem pisk młodych, aliści nie widziałem matki. Nad źródłem siadywały też turkawki albo fruwały nad moją głową z jednej gałęzi sosny wejmutki na drugą, czerwona wiewiórka zaś zbiegając po najbliższej gałęzi okazywała mi szczególne zainteresowanie i względy. Wystarczy, że w interesującym miejscu w lesie posiedzi się jakiś czas bez ruchu, a wszyscy jego mieszkańcy dokonają przed nami swojej prezentacji.

Byłem także świadkiem mniej spokojnych wydarzeń<sup>6</sup>. Pewnego dnia, gdy podszedłem do swojej sterty drewna, a właściwie sterty pniaków, zauważyłem dwie duże mrówki, które prowadziły zaciętą walkę – jedna była czerwona, a druga, większa od niej, czarna, o długości około pół cala. Gdy raz doszło do zwarcia, ani na chwilę się nie rozczepiły, tylko walczyły nieprzerwanie, mocowały się i turlały po drzazgach. Spoglądając dalej, ze zdziwieniem zobaczyłem takie liczby wojowników, że trudno było mówić o *duellum* – była to *helium*, wojna między dwoma gatunkami mrówek, w której rolę zaczepną odgrywały zawsze czerwone, a często dwie stawały przeciwko jednej czarnej. Legiony tych Myrmidonów<sup>7</sup> rojiły się na wszystkich wzniesieniach i w dolinkach przed moją drewnianą i ziemia była już usłana konającymi i trupami, zarówno czerwonymi, jak i czarnymi. Była to jedyna bitwa, jaką widziałem na własne oczy, jedyne pole bitewne, po którym stąpałem w ogniu rozgorzałej walki, wojna na śmierć i życie między czerwonymi republikanami a czarnymi imperialistami. Dookoła toczył się śmiertelny bój, a mimo to nie słyszałem wrzawy; wojownicy-ludzie nigdy nie walczą z taką zaciętością. Wśród drzazg słonecznej dolinki obserwowałem parę zwartą w mocnym uścisku, zdecydowaną teraz w południe walczyć, dopokąd słońce nie uda się na spoczynek albo dopokąd z niej samej nie ujdzie życie. Mniejsza czerwona wojowniczką przypięła się z przodu do swojej przeciwniczki niby imadło i gdy już wypchnęła przeciwniczkę za burtę, miotając się z nią po polu, nawet na sekundę nie przestała odgryzać jej czułek u nasady; tymczasem silniejsza czarna wojowniczką ciskała ją to w jedną, to w drugą stronę i, jak spostrzegłem przyglądając się bliżej, już ją pozbawiła kilku członków. Walczyły z większą zawziętością aniżeli buldogi. Żadna z nich nie przejawiała najmniejszej ochoty do odwrotu. To oczywiście, że ich okrzykiem wojennym było: „Zwyciężaj albo

---

<sup>6</sup> Następujący poniżej opis bitwy mrówek należy do najsłynniejszych fragmentów książki.

<sup>7</sup> Na ich czele Achilles ruszył pod Troję. Patrz też: Gdzie żyłem... przyp. 14.

giń.”<sup>8</sup> Tymczasem na jednym ze stoków okalających tę dolinę pojawiła się jedyna czerwona mrówka, oczywiście bojowo nastawiona, która albo już wyprawiła na tamten świat swoją przeciwniczkę, albo jeszcze nie włączyła się do bitwy; przypuszczalnie prawdą było to ostatnie, albowiem nie została jeszcze okaleczona; jej matka poleciła jej wrócić z tarczą lub na tarczy. A może był to jakiś Achilles, który rozgniewany, trzymał się na uboczu i teraz ruszył pomścić lub ratować Patroklosa<sup>9</sup>. Oceniała z daleka, że walka jest nierówna – wszak czarne były niemal dwukrotnie większe od czerwonych – po czym gwałtownie przybliżyła się do walczących i stanęła pół cala od nich bacznie obserwując. Upatrzysz sposobną chwilę, skoczyła na czarną wojowniczkę i zaczęła działania w okolicy nasady jej prawego przedniego odnóża, po czym pozostawiła wroga, aby ten wybierał wśród własnych kończyn, i tak trzy szepiły się do końca życia, jak gdyby doszło do wynalezienia nowych więzi, które narobiły wstydu wszystkim innym stworzynom i spoiwom. Wcale bym się teraz nie zdziwił, gdybym stwierdził, że każda ze stron wystawiła na jakiejś znaczniejszej drzazdze orkiestrę, która przez cały czas grała melodie narodowe, aby zagrzewać do walki opieszale wojowniczkę i dodawać otuchy konającym. Sam odczuwałem nawet pewne podniecenie, jak gdyby była to bitwa prowadzona przez ludzi. Im dłużej się o tym myśli, tym mniejszą dostrzega się różnicę. Z pewnością przynajmniej historia Concord, jeśli nie historia Ameryki, nie odnotowała takiej bitwy, która by choć przez chwilę wytrzymała porównanie z tą, czy to z racji liczby walczących, czy też z racji zademonstrowanego przez strony patriotyzmu i bohaterstwa. Biorąc pod uwagę liczebność wojska oraz rzeź, do jakiej doszło, przypominała bitwę pod Austerlitz lub Dreznem. Bitwa pod Concord!<sup>10</sup> Po stronie patriotów dwóch zabitych, a Luther Blanchard ranny! Dlaczegoż tutaj każda mrówka była Butfrickiem? „Ognia! Na miłość boską, ognia!” – i tysiące podzieliły los Davisa i Hosmera. W bitwie mrówek nie brał udziału ani jeden najemnik. Nie mam wątpliwości, że podobnie jak nasi przodkowie walczyły one o zasadę, a nie o to, aby nie płacić trzech pensów podatku za herbatę<sup>11</sup>, i że skutki tej bitwy będą co najmniej tak istotne i pamiętne dla tych, których dotyczy, jak konsekwencje bitwy pod Bunker Hill<sup>12</sup>.

Podniosłem drzazgę z trzema walczącymi mrówkami, którym poświęciłem najwięcej uwagi, zaniósłem ją do domu i umieściłem pod szklanką na parapecie, aby zobaczyć, jak się sprawa zakończy. Trzymając lupę nastawioną na pierwszą wspomnianą przeze mnie

---

<sup>8</sup> Dewiza regimentów księcia Kentu.

<sup>9</sup> W dziesiątym roku oblężenia Troi Achilles, obrażony za odebranie mu przez Agamemnona branki Bryzeidy, wycofał się z walki. Dopiero zrozpaczony śmiercią przyjaciela Patroklosa podjął walkę na nowo.

<sup>10</sup> Bitwa pod Concord, stoczona z Brytyjczykami 19 kwietnia 1775 r., jest jedną z najsłynniejszych bitew w historii Ameryki. Wymienione nazwiska należą do sławnych uczestników tej bitwy.

<sup>11</sup> Mowa o wydarzeniu, które przeszło do historii pod nazwą „Boston Tea Party”, a nastąpiło 16 grudnia 1773 r. Patrioci, czyli zwolennicy oderwania się kolonii amerykańskich od Korony Brytyjskiej, zatopili w porcie bostońskim 342 skrzynie z herbatą, należące do Kompanii Wschodnioindyjskiej, aby zaprotestować przeciwko nakładanym na herbatę podatkom. Wydarzenie to dało początek walkom mającym na celu zdobycie niepodległości.

<sup>12</sup> Bitwa pod Bunker Hill, niedaleko Bostonu – stoczona z Brytyjczykami 17 czerwca 1775. Zakończona militarną klęską Amerykanów, okazała się zarazem ich moralnym zwycięstwem prowadzącym do zbytniej ufności we własne siły.

czerwoną mrówkę, zobaczyłem, że choć uporczywie odgryza przeciwnicze lewą przednią nogę, oderwawszy jej uprzednio ostatni czułek, własną pierś ma rozszarpaną i wystawia wnętrzności na pastwę szczęk czarnej wojowniczkii, której napierśnik jest najwyraźniej za gruby, aby czerwona mogła go rozpruć. Z ciemnych rubinów oczu cierpiącej ziało takie okrucieństwo, do jakiego tylko walka potrafi pobudzić. Walczyły pod szklanką jeszcze pół godziny, a gdy ponownie na nie spojrzałem, u obu boków czarnej wojowniczkii wisały głowy przeciwniczek, oderwane przez nią od odwłoków, lecz nadal dające oznaki życia, wczepione w swoją pogromczynię najwyraźniej wciąż tak samo mocno, przypominające upiorne trofea u łęku siodła. Zwycięzcy usiłowała się od nich uwolnić, z trudem podejmując walkę, pozbawiona atoli czuzków, z zachowanym tylko kikutem jednej nogi i nie wiem iloma jeszcze zadanyimi jej ranami, zdołała tego w końcu dokonać dopiero po następnej półgodzinie. Gdy podniosłem szklankę, odeszła, okaleczona, po parapecie. Nie wiem, czy ostatecznie pozostała po tej walce przy życiu i resztę swych dni spędziła w jakimś Hôtel des Invalides<sup>13</sup>, pomyślałem atoli, że w przyszłości nie na wiele się zda jej gorliwość. Nigdy się nie dowiedziałem, która strona zwyciężyła ani też jaki był powód wybuchu wojny, lecz przez pozostałą część dnia czułem się tak poruszony i udręczony, jak gdybym oglądał przed swoimi drzwiami bitwę prowadzoną przez ludzi, okrutną i krwawą.

Kirby i Spence<sup>14</sup> utrzymują, że od dawna wysławia się bitwy mrówek, jak również odnotowuje daty, kiedy się odbyły, aliści ich zdaniem Huber<sup>15</sup> jest chyba jedynym współczesnym autorem, który je oglądał. „Eneaszy Sylwiusz<sup>16</sup> – piszą – po zamieszczeniu bardzo szczegółowego opisu jednej z bitew stoczonych z wielką zaciętością między gatunkiem dużych mrówek i małych na pniu gruszy, dodaje, że: «Do starcia tego doszło za pontyfikatu Eugeniusza Czwartego<sup>17</sup> w obecności Nicolasa Pistoriensisa, sławnego prawnika, który opowiedział cały przebieg bitwy z największą wiernością.» Podobne zajście między gatunkiem dużych mrówek i małych odnotował Olaus Magnus<sup>18</sup>. Po zakończeniu bitwy małe mrówki, które zwyciężyły, podobno pochowały trupy swoich wojowniczek, a olbrzymie ciała wrogów pozostawiły na pastwę ptaków. Zdarzenie owo miało miejsce przed wygnaniem ze Szwecji tyrana Christierna Drugiego<sup>19</sup>.” Bitwa mrówek, której ja byłem świadkiem, odbyła się za prezydentury Polka<sup>20</sup>, pięć lat przed wprowadzeniem Ustawy o Zbiegłych Niewolnikach Webstera<sup>21</sup>.

---

<sup>13</sup> Hôtel des Invalides – szpital dla weteranów wojennych w Paryżu. Obecnie na jego miejscu znajduje się grobowiec Napoleona.

<sup>14</sup> William Kirby i William Spence – dziewiętnastowieczni entomologowie amerykańscy. Następujący dalej cytat pochodzi z ich pracy *An Introduction to Entomology*, Filadelfia 1846.

<sup>15</sup> Francois Huber (1750-1831) – wybitny entomolog szwajcarski.

<sup>16</sup> Eneaszy Sylwiusz Piccolomini – papież Pius II (1458-64).

<sup>17</sup> Eugeniusz IV – papież w latach 1431-47.

<sup>18</sup> Olaus Magnus (1490-1558) – arcybiskup Uppsali.

<sup>19</sup> Christiern II – szesnastowieczny władca Danii i Norwegii.

<sup>20</sup> James Knox Polk był amerykańskim prezydentem w latach 1845-49.

<sup>21</sup> Daniel Webster nie był autorem Ustawy o Zbiegłych Niewolnikach, ale abolicjoniści z Północy otwierali go potępiali za wkład w jej wprowadzenie.

Niejeden wiejski Burek, nadający się tylko do wypędzania żółwia błotnego z piwnicy pełnej wiktuałów, bez wiedzy pana gonił po lesie ciężkimi łapami za zdobyczą, bezskutecznie obwąchując stare lisie nory i jamy świstaków; może prowadził go jakiś mały kundel, który żwawo przemierzał las i naturalnie mógł budzić przerażenie wśród jego mieszkańców. Burek niespodzianie pozostawał daleko za swoim przewodnikiem, przystawał, aby obszczezać – niby wielki byk – małą wiewiórkę, ona uciekała na drzewo chcąc mu się lepiej przyjrzeć, on zaś pędził dalej przyginając swoim ciężarem krzaki do ziemi, gnany wyobrażeniem, że jest na tropie zabłąkanego gryzonia z rodziny *Gerbillus*. Pewnego razu ze zdziwieniem ujrzałem kota, który kroczył kamienistym brzegiem stawu, albowiem koty rzadko tak się oddalają od domu. Zaskoczenie było wzajemne. Niemniej jednak okazuje się, że najbardziej domowy z kotów, wylegujący się całe dni na dywaniku, czuje się w lesie jak u siebie, a jego przebiegłość i umiejętność skradania się dowodzi, że jest w większym stopniu dostosowany do warunków aniżeli stali mieszkańcy. Kiedyś będąc na jagodach spotkałem w lesie kotkę z młodymi, żyjącymi dziko stworzeniami, które podobnie jak ich matka wygięły w pałąk grzbiety i zawzięcie na mnie prychały. Kilka lat przed moim zamieszkaniem w lesie na jednej z farm w Lincoln, najbliższej położonej stawu, należącej do pana Giliana Bakera trzymano tak zwanego „skrzydatego kota”. Gdy zaszedłem tam, aby go zobaczyć w czerwcu 1842 roku, wybrał się właśnie swoim zwyczajem na polowanie (nie jestem pewien, czy to był samiec, czy samica, używam zatem bardziej pospolitego zaimka). Jego pani powiedziała mi, że pojawił się w okolicy ponad rok wcześniej, w kwietniu, i w końcu wzięli go do siebie do domu. Był ciemnobrązowoszarej maści, z białą plamką na szyi, z białymi łapkami i miał duży puszysty ogon podobny do lisiego; w zimie sierść mu gęstniała i układając się płasko wzdłuż boków, tworzyła pasma o dziesięciu, dwunastu calach długości i dwóch i pół szerokości, a na podgardlu robiła mu się mufka luźna w górnej części, w dolnej zaś zbita w kłaki niczym wojłok – wiosną owe dodatki linały. Gospodarze dali mi parę jego „skrzydeł”, które trzymam do dziś dnia. Nie ma w nich śladu błony. Niektórzy uważali, że była to po części fruwająca wiewiórka lub inne dzikie zwierzę, co nie jest niemożliwe, albowiem według przyrodników, w wyniku skrzyżowania kuny z kotem domowym rodzą się płodne hybrydy. Gdybym chciał mieć kota, ten byłby dla mnie najwłaściwszy, wszak dlaczego kot poety nie miały mieć skrzydeł, podobnie jak jego koń?<sup>22</sup>

Jesienią pojawił się jak zawsze nur (*Colymbus glacialis*), aby tracić pióra i kąpać się w stawie, napełniając las swoim dzikim śmiechem, zanim wstałem z łóżka. Gdy rozchodzi się wiadomość o jego przylocie, wszyscy myśliwi z Mill-dam<sup>23</sup> postawieni są w stan gotowości i ruszają dwukółkami, pieszo, dwójkami i trójkami, wyposażeni w popularne strzelby, stożkowate kule i lunety. Przemierzają las szeleszcząc jak jesienne liście, co najmniej dziesięciu ludzi na jednego nura. Jedni ustawiają się po tej stronie stawu, inni po drugiej, albowiem biedny ptak nie może być wszechobecny – jeśli zanurkuje po tej stronie, wypłynie po tamtej. Lecz nagle podnosi się przyjazny październikowy wiatr, szeleści liśćmi i marszczy powierzchnię wody, tak że nie słyhać ani nie widać żadnego nura, chociaż jego przeciw-

---

<sup>22</sup> Mowa, oczywiście, o Pegazie.

<sup>23</sup> Mill-dam – ulica handlowa w Concord.

nicy przeczesują staw lunetami, a po lesie niosą się odgłosy ich strzałów. Fale podnoszą się wspaniałomyślnie i pędzą zagniewane, biorąc stronę wszystkich ptaków wodnych, przeto nasi myśliwi muszą wykonać odwrót do miasta, warsztatu i nie skończonej pracy. Jakże często jednak ich wyprawy uwieńczone były powodzeniem. Gdy wcześniej rano wychodziłem zaczerpnąć wiadro wody, często widywałem tego wspaniałego ptaka kilka prętów dalej, jak wypływał z mojej zatoczki. Jeśli podejmowałem próbę prześcignięcia go łódką, aby zobaczyć, jaki wykona manewr, nurkował i zupełnie zniknął, tak że nie mogłem go znów wypatrzeć niekiedy przez resztę dnia. Wszelako gdyby trzymał się powierzchni, zapędziłbym go w kozi róg. Przeważnie odlatywał w deszczu.

Pewnego razu w bardzo spokojne październikowe popołudnie wiosłowałem wzdłuż północnego brzegu, albowiem zwłaszcza w takie dni nury trzymają się jezior, podobnie jak puch mleczy, rozglądałem się daremnie szukając tego dostojnego ptaka, aż tu nagle ukazał mi się kilka prętów przede mną, płynąc od strony brzegu ku środkowi – zaniósł się swym dzikim śmiechem, który go zdradził. Zacząłem wiosłować w pościgu, lecz on zanurkował, a gdy wypłynął, znajdowałem się bliżej niego aniżeli przedtem. Znów zanurkowałem, nie przewidziałem jednak właściwie kierunku, w jakim się uda, i gdy wypłynął na powierzchnię, tym razem dzieliło nas około pięćdziesięciu prętów, albowiem pomogłem mu się oddalić. I znów śmiał się długo i głośno, mając ku temu więcej powodów aniżeli uprzednio. Wykonywał tak sprytne manewry, że nie mogłem się do niego zbliżyć na sześć prętów. Za każdym razem gdy wypływał na powierzchnię, obracając głowę to w jedną stronę, to w drugą, z opanowaniem przyglądał się wodzie i ziemi i w sposób oczywisty wybierał taki kierunek, dzięki któremu mógł potem wypłynąć na szerokiej wodzie i w największej odległości od łódki. Zadziwiająco, jak szybko podejmował decyzje i wykonywał swe postanowienia. Pewnego razu wywiódł mnie na najszersze wody i nie potrafiłem go stamtąd wywabić. Powstała w jego mózgu myśl usiłowałem wnet odgadnąć swoim mózgiem. Była to przyjemna gra prowadzona na gładkiej powierzchni stawu – człowiek przeciw nurowi. Nagle pionek twojego adwersarza zniknął pod szachownicą, ty zaś musisz ustawić swój najbliższy miejca, w którym tamten znów się pojawi. Niekiedy wypływał niespodzianie z mojej drugiej strony, najwyraźniej przepłynąwszy wprost pod łódką. Miał takie zdrowe płuca i był tak niezmordowany, że po najdłuższym kursie znów mimo wszystko natychmiast się zanurzał, a wówczas żaden umysł nie potrafił przewidzieć, gdzie – ukryty na głębokiej wodzie pod gładką powierzchnią – może mknąć jak ryba, albowiem miał czas i możliwości, aby dotrzeć do dna stawu w najgłębszym miejscu. Podobno w jeziorach Nowego Jorku łapano nury na głębokości osiemdziesięciu stóp, na haczyki używane do łowienia pstrągów. Lecz Walden jest głębszy. Z jakimże zdziwieniem muszą patrzeć ryby na tego niezgrabnego gościa z innej sfery, mknącego wśród ich ławic! A jednak odnosiło się wrażenie, że pod wodą nur czuje się tak pewnie jak na powierzchni, pływa zaś o wiele szybciej. Raz czy dwa, gdy podpłynął pod lustro wody, dostrzegłem na niej zmarszczkę – on zaś tylko wystawił głowę, aby zorientować się w sytuacji, i znów natychmiast dał nurka. Stwierdziłem, że równie dobrze mogę wesprzeć się na wiosłach i odpoczywać w oczekiwaniu, że znów się pojawi, jak usiłować obliczyć, gdzie wypłynie, albowiem kiedy wysilałem wzrok lustrując powierzchnię w jednym kierunku, wciąż od nowa zaskakiwał mnie od tyłu, wybuchając

swym nieziemskim śmiechem. Lecz dlaczego wykazując taką przebiegłość, niezmiennie zdradzał tym głośnym śmiechem swą obecność w chwili wynurzenia? Czyż jego biała pierś niedostatecznie go zdradzała? Moim zdaniem był w istocie głupim nurem. Przeważnie gdy wypływał, słyszałem plusk wody, czyli dzięki temu również mogłem go wykryć. Po godzinie wydawał się tak samo nie zmęczony jak na początku, miał ochotę nurkować i pływać jeszcze dalej. Zadziwiające, z jakim spokojem i godnie wypiętą piersią odpływał po ukazaniu się na powierzchni, usilnie pracując wyłącznie płetwomatymi nogami pod wodą. Jego znakiem rozpoznawczym był ów demoniczny śmiech, przypominający jednak inne głosy ptactwa wodnego, lecz od czasu do czasu, gdy z największym powodzeniem udawało mu się mnie unikać przez wynurzenie się w dużej odległości, zaczynał przeciągle wyc nie samowitym głosem, co chyba bardziej przypominało wycie wilka aniżeli głos ptaka – zupełnie jakby to jakieś zwierzę przyłożyło pysk do ziemi i rozmyślnie wyło. Tak brzmiało jego nurowanie – chyba najbliższy dźwięk, jaki może się tu rozlegać napełniając lasy swym echem wzdłuż i wszerz. Doszedłem do wniosku, że śmiał się, aby szydzić z moich wysiłków, absolutnie pewien własnych możliwości. Wprawdzie do tej pory niebo zdążyło się zachmurzyć, atoli staw był tak gładki, że nie słysząc nura widziałem, gdzie wychylał się na powierzchnię. Jego biała pierś, bezruch powietrza i gładź wody działały przeciwko niemu. W końcu odpłynąwszy pięćdziesiąt prętów dalej, zawył po swojemu przeciągłym głosem, jak gdyby wołając o pomoc do boga nurów – nagle nadleciał od wschodu wiatr, zmarszczył lustro wody i wypełnił powietrze mglistym deszczem. Odniosłem takie wrażenie, jak gdyby modlitwa nura została wysłuchana i jego bóg rozgniewał się na mnie, toteż pozostawiłem ptaka, który zniknął hen w oddali na wzburzonym stawie.

W jesienne dni godzinami obserwowałem kaczki, jak sprytnie lawirują i zmieniają kierunek pływania trzymając się środka stawu, daleko od myśliwych – mniej będą potrzebowały stosować te sztuczki na rozlewiskach Luizjany. Zmuszone wzbić się w górę, niekiedy długo krążyły nad stawem na dużej wysokości, skąd bez trudu widziały inne stawy i rzekę. Wyglądały jak czarne punkciki na niebie. A gdy myślałem, że dawno już stąd odleciały, opadały skośnym lotem ćwierć mili dalej na odległy teren, który pozostawał wolny. Lecz nie wiem, co poza poczuciem bezpieczeństwa zyskiwały pływając na środku Waldenu, chyba że kochają jego wody z tych samych względów, z jakich ja je kocham.

# Ogrzewanie domu

W październiku wybrałem się na winobranie na położone nad rzeką łąki. Obładowany byłem kiściami drogocenniejszymi ze względu na ich piękno i woń aniżeli wartości odżywcze. Podziwiałem tam również żurawiny, małe woskowe klejnoty, koraliki wśród łąkowej trawy, perłowoczerwone, które farmer zrywa szpetnymi „widelcami” pozostawiając gładką łąkę zmierzwioną, a żurawiny niedbale odmierza na buszle i przelicza tylko na dolary, po czym sprzedaje owe trofea łąk do Bostonu i Nowego Jorku, gdzie przeznaczone są na dzemową masę, która ma dogodzić podniebieniom tamtejszych miłośników Natury. Podobnie rzeźnicy wygrabiają z traw prerii bizonie jęzory, nie bacząc na ciernie i zwiędłą roślinność. Lśniące owoce berberysu również stanowiły pożywienie, lecz jedynie dla moich oczu; zdecydowałem się atoli zebrać mały zapas dzikich jabłek na kompot, przeoczonych przez właściciela i wędrowców. Gdy dojrzały kasztany, zbierałem ich na zimę pół buszla. Jakże pasjonująca o tej porze roku była włóczęga po niezmiernych wówczas lasach kasztanowców w pobliżu Lincoln – teraz śpią one głębokim snem pod torami kolei<sup>1</sup> – z torbą na ramieniu i kijem do rozbijania łupin w ręce, albowiem nie zawsze czekałem na mróz, pośród szelestu liści i głośnych wymówek wiewiórek i sójki, którym niekiedy kradłem na wpół ogryzione kasztany, gdyż one były nieomyłne w wyborze przednich okazów. Niekiedy wspinałem się na drzewa i potrząsałem gałęziami. Kasztanowce rosły również za moim domem, a jeden rozłożysty, który go niemal całkiem ocieniał, stojąc w kwiatkach tworzył bukiet pachnący na całą okolicę, lecz wiewiórki i sójki wchodziły w posiadanie większości jego owoców; sójki przybywały stadami wczesnym rankiem i wydziobywały kasztany z łupin, zanim zdążyły one spaść na ziemię. Zrzekałem się tych drzew na ich rzecz i odwiedzałem bardziej oddalone lasy samych kasztanowców. Jeśli idzie o kasztany, to świetnie zastępowały chleb. Jakkolwiek można by pewnie znaleźć wiele innych jego namiastek. Pewnego dnia, gdy kopałem w ziemi szukając robaków na ryby, natrafiłem na orzech ziemny (*Apios tuberosa*) przytwierdzony do podłoża kłaczem – ziemniak tubylczych ludów, rodzaj bajecznego owocu; zacząłem wątpić, czy kiedykolwiek w dzieciństwie rzeczywiście wykopałem go i zjadłem, zgodnie z moją opowieścią, czy tylko o tym śniłem. Od tego czasu często widywałem jego czerwone pomarszczone i aksamitne kwiaty podpierane przez łodygi innych roślin, nie wiedząc, że to właśnie on. Uprawa ziemi niemal go wypleniała. Ma on słodkawy smak podobny do zmarzłego ziemniaka i lepiej smakował mi gotowany aniżeli pieczony. Bulwa ta była jak gdyby nieśmiałą obietnicą Natury, że kiedyś w przyszłości będzie ona tutaj wychowywała swoje dzieci i zapewniała im proste pożywienie. W tej dobie tuczonego bydła i falujących pól zboża ów skromny korzeń, który był ongi totemem

---

<sup>1</sup> W oryginale nieprzetłumaczalna gra słów: *sleep* – spać, *sleeper* – podkład kolejowy.

plemienia indiańskiego, jest całkiem zapomniany lub znany tylko ze swoich kwitnących pędów. Lecz jeśli tylko znów zapanuje tutaj dzika Natura, delikatne i zbytkowne angielskie zboże pewnie zniknie wygnane przez miriady wrogów, może ostatnie jego ziarno – zaniechane przez człowieka – kruk zanieśie z powrotem na wielkie pole indiańskiego boga na południowym zachodzie, skąd podobno je przyniósł; natomiast orzech ziemny, który teraz niemal wyginał, może odrodzi się i bujnie rozrośnie mimo mrozów i dzikich warunków jako zakorzeniona tu roślina, i odzyska swoje dawne znaczenie oraz godność pożywienia plemion myśliwskich. Wynałazła go i użyczyła nam jakaś indiańska Ceres czy Minerwa, to też gdy rozpocznie się tu era rządów poezji, liście i kłacza orzecha znajdą odzwierciedlenie w naszych dziełach sztuki.

Już przed pierwszym wrześnią stwierdziłem, że na przeciwległym brzegu stawu kilka małych klonów oblało się szkarłatem; stały pod rozwidleniem białych pni trzech osik, na cyplu, tuż przy wodzie. Ach, ileż bajecznych opowieści kryło się w ich kolorze! Stopniowo z tygodnia na tydzień objawiał się charakter każdego z drzew podziwiających swe odbicie w gładkim lustrze jeziora. Co rano kustosz tej galerii zamieniał na jej ścianach jakiś stary obraz na nowy, wyróżniający się bardziej olśniewającymi i harmonijnymi barwami.

W październiku domostwo moje odwiedzały tysiącami osy, jak gdyby ściągając na zimowe kwatery, sadowiąc się od środka na oknach i na ścianach nad głową, co niekiedy odstraszało gości od wejścia. Co rano wyrzucałem ich kilka, zdrętwiałych z zimna, na dwór, lecz nie zadawałem sobie zbyt wiele trudu, aby się ich w ogóle pozbyć, nawet uważałem, że spotkało mnie z ich strony wyróżnienie, jeśli wybrały mój dom na miłe schronienie. Nigdy poważnie mi się nie naprzykrzały, chociaż spędzały u mnie noce. Potem stopniowo zniknęły w niewiadomych mi szparach, chowając się przed zimą i niewypowiedzianym chłodem.

Ja sam, podobnie jak osy, przed ostatecznym udaniem się w listopadzie na zimową kwaterę odwiedzałem północno-wschodnią stronę Waldenu, którą słońce – odbijające się od sosnowego lasu i kamienistego brzegu – zamieniło w kominek stawu. O ile przyjemniej i zdrowiej jest grzać się w słońcu, jeśli można, aniżeli przy sztucznie rozpalonym ogniu. Toteż ogrzewałem się przy nadal rozżarzonych węglach, które pozostawiło lato niby ruszający w dalszą drogę myśliwy. Gdy zabrałem się do budowy komina, uczyłem się murrarki. Ponieważ cegły miałem używane, należało je oczyścić kielnią, przeto dowiedziałem się więcej aniżeli w innych warunkach o właściwościach cegieł i kielni. Zaprawa na nich miała pięćdziesiąt lat i podobno nadal się utwardzała, lecz to jedno z owych twierdzeń, które ludzie uwielbiają powtarzać, niezależnie od tego, czy są prawdziwe, czy nie. Takie twierdzenia same coraz bardziej się utwardzają i w miarę upływu lat coraz bardziej przywierają, aż trzeba wielu uderzeń kielni, aby oczyścić je ze starej i wątpliwej mądrości. Wiele wiosek w Mezopotamii zbudowano ze starych cegieł bardzo dobrej jakości, pochodzących z ruin Babilonu, a spoiwo na nich jest starsze i prawdopodobnie jeszcze twardsze. Jakkolwiek sprawa się przedstawia, uderzyła mnie szczególna odporność stali, której nie zdołały zniszczyć liczne silne ciosy. Jako że z moich cegieł już uprzednio był zbudowany komin, chociaż nie mogłem odczytać na nich imienia Nabuchodonozor, aby oszczędzić sobie pracy i strat, nabierałem tyle kominkowych cegieł, ile tylko udało mi się znaleźć, a przestrze-



nie między nimi przy palenisku wypełniałem nadbrzeżnymi kamieniami, łącząc zaprawą z białego piachu, również pochodzącego z nad stawu. Najwięcej czasu zeszło mi na budowie paleniska jako najistotniejszego miejsca w domu. Istotnie, pracowałem tak niespiesznie, że choć rano rozpoczynałem robotę tuż przy ziemi, warstwa cegieł wzniesiona kilka cali nad podłogę służyła mi wieczorem za poduszkę; a jednak, o ile pamiętam, to nie z tego powodu zeszywniał mi kark, miałem bowiem z nim kłopoty już o wiele wcześniej. W tym mniej więcej okresie przyjąłem na mieszkanie poetę na dwa tygodnie, co sprawiło, że chcąc go pomieścić zostałem wystawiony na próbę. Przyniósł swój własny nóż, chociaż ja miałem dwa. Oczyszczaliśmy je przez wbijanie w ziemię. Prace przy gotowaniu wykonywaliśmy wspólnie. Cieszyłem się patrząc, jak robota stopniowo się posuwa, wykonywana tak rzetelnie i solidnie, i dochodziłem do wniosku, że jej powolne tempo wróży trwałe efekty. Komin jest do pewnego stopnia niezależną budowlą, albowiem stojąc na ziemi, przechodzi przez dom i wznosi się ku niebu; niekiedy przetrwa nawet pożar domu. Ważkość jego roli oraz niezależność są oczywiste. Budowa odbywała się pod koniec lata. Teraz był listopad.

Północny wiatr zaczął już ochładzać wodę w stawie, chociaż aby doprowadzić swą pracę do końca, musiał stale dąć przez wiele tygodni, albowiem staw jest bardzo głęboki. Gdy zacząłem wieczorami rozpalać ogień, zanim otynkowałem dom, dym szczególnie dobrze przedostawał się przez komin dzięki licznym szczelinom między deskami. Jednakże w tej chłodnej i przewiewnej izbie spędziłem kilka wesołych wieczorów w otoczeniu szorstkich brązowych sękatych desek i obrosłych korą krokwi wysoko nad głową. Po otynkowaniu dom już tak mile nie wabił oka, chociaż musiałem przyznać, że zrobił się wygodniejszy. Czyż wszystkie zamieszkiwane przez człowieka pomieszczenia nie powinny być na tyle wysokie, aby nad głową pozostawał niejasny obszar, w którym wieczorem igrałyby migocące cienie między krokwiami? Owe formy miłsze są fantazji i wyobraźni aniżeli freski czy inne najkosztowniejsze wyposażenie domu. Mogę powiedzieć, że dopiero od tej chwili zacząłem naprawdę zamieszkiwać w swoim domu, albowiem szukałem w nim zarówno ciepła, jak i schronienia. Miałem u kominka starą parę wilków, dzięki której bierwiona pozostawała poza paleniskiem; z upodobaniem obserwowałem, jak w głębi zbudowanego przeze mnie komina osiada sadza, jak również czułem, że mam większe aniżeli zwykle prawo do grzebania w ogniu, co dawało mi więcej zadowolenia. Pomieszczenie było małe, toteż z trudem budziłbym w nim echa, lecz zarazem wydawało się większe ze względu na to, że stanowiło osobne mieszkanie, oddalone ponadto od sąsiadów. W jednej izbie skupiały się wszystkie domowe atrakcje – była kuchnią, sypialnią, salonem i pokojem najchętniej używanym przez domowników; z zamieszkiwania w tym domu czerpałem przeto wszelkiego rodzaju zadowolenie, jakie może czerpać rodzic lub dziecko, pan czy służący. Katon twierdzi, że głowa rodziny (*pater familias*) musi w swej wiejskiej willi posiadać „*cellam oleariam, vinariam, dolia multa, uti lubeat caritatem expectare: et rei et virtuti et gloriae erit*”, to znaczy „piwnicę z oliwą i winem, a w niej wiele beczek, aby z przyjemnością można było myśleć o ciężkich czasach; przyniesie mu to pożytek, zapewni o jego cnocie i przysporzy mu chwały”. Ja w mojej piwnicy trzymałem pół baryły ziemniaków, około dwóch kwart grochu z wołkiem zbożowym, a na półce odrobinę ryżu, słoje melasy i po garncu żyta i mąki kukurydzianej.

Niekiedy marzę o większym domu rojącym się od mieszkańców, postawionym w złotym wieku, z trwałego budulca, bez ozdobnych ślimacznic<sup>2</sup>, o domu, który jednak składałby się tylko z jednego pomieszczenia – ogromnej, surowej, solidnej, prymitywnej izby bez sufitu i nie otynkowanej, z nagimi krokwiemi i płatwiami wspierającymi rodzaj niższego nieba nad głową, chroniącego przed deszczem i śniegiem. O domu, w którym filar króla i filar królowej<sup>3</sup> stałyby na eksponowanych miejscach, aby przyjmować hołd składany im po uprzednim oddaniu na progu czci powalonemu Saturnowi<sup>4</sup> z dawniej panującego rodu. O przepastnym domu, którego dach można dojrzeć tylko w świetle latarni na podniesionej wysoko żerdzi. O domu, w którym można mieszkać w kominku, w niszy okiennej, w skrzyniach służących za ławy, w jednym końcu izby czy w drugim albo też wysoko na krokwiach razem z pajakami, jeśli ma się na to ochotę. O domu, do którego aby wejść, wystarczy otworzyć drzwi, bez zbędnych ceregieli. O domu, w którym strudzony wędrowiec może się umyć, zjeść, porozmawiać i przespać się, i nie ruszać w dalszą drogę. O takim schronieniu, do którego chciałoby się trafić w burzliwą noc, mającym wszelkie niezbędne atrybuty domu, lecz żadnych cech gospodarstwa domowego. O schronieniu, którego wszystkie domowe skarby widać na pierwszy rzut oka i gdzie wszystko, co może się człowiekowi przydać, wisi na kołku. O schronieniu będącym zarazem kuchnią, spiżarnią, salonem, sypialnią, składzikiem i strychem; w którym można ujrzeć takie potrzebne sprzęty jak beczka czy drabina oraz takie wygodne jak szafa; w którym można usłyszeć pomrukujący czajnik i złożyć uszanowanie ogniovi gotującemu obiad oraz piecykowi wypiekającemu chleb; którego główną ozdobę stanowią niezbędne meble i przybory. O domu, w którym nie oddaje się bielizny do prania, nie wygasza ognia i nie sprawia kłopotu gospodyni, w którym może się zdarzyć, że poproszą cię, abys się usunął z klapy w podłodze, albowiem kucharz chce zejść do piwnicy, i wtedy przekonasz się bez tupania, czy ziemia pod tobą tworzy zwartą masę, czy jest wydrążona. O domu, którego wnętrze jest takie otwarte i całe widoczne jak ptasie gniazdo, tak że nie można wejść frontowymi drzwiami i wyjść tylnymi nie dostrzegając jego mieszkańców<sup>5</sup>; w którym gość składający wizytę obdarowany jest wolnością poruszania się, a nie zostaje ostrożnie wyłączony z siedmiu ósmych domu, zamknięty w konkretnej celi przy jednoczesnych zachętach, aby się w niej rozgościł – w tym miejscu odosobnienia. W dzisiejszych czasach gospodarz nie dopuszcza nas do swojego ogniska, lecz najmuje murarza, aby ten zbudował dla nas osobne palenisko gdzieś na uboczu, albowiem gościnność stała się sztuką trzymania gości na największy dystans. Przyrządzanie posiłków otoczone jest taką tajemnicą, jak gdyby gospodarz miał zamiar nas otruć. Wiem, że byłem na terenie wielu domostw, z których zgodnie z prawem mogłem zostać wyproszony, nie czuję jednak, że byłem w wielu domach. Gdybym w swych wędrówkach natrafił na taki

---

<sup>2</sup> Modne w połowie XIX w. ozdoby architektoniczne.

<sup>3</sup> Dwa rodzaje podpór dźwigających spadzisty dach.

<sup>4</sup> Saturnowi oddawano cześć przez odkrycie głowy.

<sup>5</sup> Legenda głosi, że kiedyś Thoreau i Channing wybrali się na wędrówkę z kompasem ustawionym wprost na szczyt góry. W połowie wędrówki natknęli się na dom farmerski stojący na ich drodze. Ponieważ frontowe i tylne drzwi były otwarte na oścież (na ogół łączył je długi korytarz) i nie było widać żadnego z mieszkańców, skorzystali z przejścia przez dom.

dom, jaki opisałem, mógłbym, odziany w stare ubranie, złożyć wizytę królowi i królowej, którzy prowadziliby w nim proste życie, lecz gdyby zwabiono mnie do nowoczesnego pałacu, pragnąłbym jedynie usłyszeć, jak z niego się wycofać.

Okazuje się, że sam język naszych salonów stracił całą swoją moc, całkowicie się zdegenerował i zamienił w pustą gadaninę, że nasze życie upływa w dużym oddaleniu od swoich symboli, a jego metafory i tropy są z konieczności bardzo naciągnięte, jak gdyby przez prowadnice ślizgowe i windy ręczne; innymi słowy salon jest znacznie oddalony od kuchni i warsztatu. Nawet obiad jest na ogół ledwie przypowieścią o obiedzie. Jak gdyby tylko dzikus bytował dostatecznie blisko Natury i Prawdy, aby pożyczyć od nich przenośnię. Jak może uczoney mieszkający hen na Terytorium Północno-Zachodnim albo na Isle of Man<sup>6</sup> wiedzieć, co uchodzi za parlamentarne w kuchni?

Wszelako zaledwie kilku moich gości miało dość odwagi, aby zostać u mnie na „pospieszonym puddingu”, aliści gdy się zorientowali, że krytyczna chwila jedzenia jest bliska, podjęli decyzję o pośpiesznym odwrocie, jak gdyby ta potrawa miała wstrząsnąć domem od podstaw. Wszak przetrwał wiele „pospiesznych puddingów”.

Położyłem tynki dopiero wtedy, gdy zaczęły się mrozy. W tym celu przywiozłem łodzią bielszy i czystszy piasek z przeciwległego brzegu stawu – był to tego rodzaju środek transportu, jaki w miarę potrzeby skusiłby mnie do odbycia o wiele dalszej podróży. Tymczasem dom został ze wszystkich stron oszalowany aż do ziemi. Przybijając deski z zadowoleniem stwierdzałem, że potrafię jednym uderzeniem młotka wbić gwóźdź aż po łebek, jak również moją ambicją było, aby wyprawę wapienną przenosić z deski na ścianę sprawnie i szybko. Przypomniała mi się opowieść o pewnym zarozumiałym jegomościu, który miał kiedyś zwyczaj wałęsać się po miasteczku elegancko ubrany i udzielać rad pracującym ludziom. Pewnego dnia odważywszy się obrócić słowa w czyn zakasał rękawy, chwycił deskę do tynkowania, nabrał zaprawy na kielnię i obrzucając zadowolonym spojrzeniem szalunek nad głową, wykonał w jego stronę zamaszty ruch ową kielnią, aż nagle, ku jego absolutnemu zmieszaniu, cały jej ładunek znalazł się na jego ozdobionej wzburzonym żabotem piersi. Od nowa zachwycały mnie oszczędności i wygoda, jakie daje tynkowanie, tak skutecznie zabezpieczające przed zimnem i stanowiące bardzo eleganckie wykończenie; dowiedziałem się także, na jakie wypadki narażony jest tynkarz. Ze zdziwieniem patrzyłem, jak bardzo złaknione wody były cegły, które wysysały całą wilgoć z zaprawy, nim zdążyłem ją wygładzić, i ile wiader wody potrzeba, aby ochrzcić nowe palenisko. Poprzedniej zimy przygotowałem sobie dla eksperymentu niewielką ilość wapna z prażonych muszli *Unio fluviatilis*<sup>7</sup>, w które obfituje nasza rzeka, tak że wiedziałem, skąd pochodzą używane przeze mnie materiały. Gdyby mi zależało, mogłem skorzystać z dobrego wapienia występującego milę czy dwie dalej i z niego wyprażyć wapno.

Tymczasem na kilka dni czy nawet tygodni przed zamarznięciem całej powierzchni stawu cienka warstewka lodu pokryła najbardziej zacienione i najpłytsze zatoczki. Pierwszy lód jest szczególnie interesujący i doskonały – twardy, ciemny i przejrzysty, stwarza

---

<sup>6</sup> Isle of Man – wyspa należąca do Wielkiej Brytanii, położona między Anglią a Irlandią.

<sup>7</sup> *Unio fluviatilis* – mięczak słodkowodny.

najlepszą sposobność obserwowania dna w płytkich miejscach, można bowiem w wolnej chwili rozciągnąć się na tafli, podobnie jak nartnik na powierzchni wody, mimo że lód ma tylko cal grubości, i obserwować dno oddalone jedynie o dwa lub trzy cale, przypominające obraz za szkłem, gdyż woda stoi wówczas z konieczności nieruchoma. Widać w piachu liczne bruzdy wyrzeźbione przez jakieś wędrujące tam i z powrotem stworzenie, a co się tyczy wraków, dno usypane jest łuskami larw chruścika, zbudowanymi z drobin białego kwarcu. Być może właśnie te larwy pomarszczyły dno, albowiem trochę owych łusek widać w bruzdach, są jednak zbyt głębokie i szerokie na to, aby mogły je wyrzeźbić larwy. Sam lód stanowi atoli przedmiot największego zainteresowania, chociaż należy ulepszać stosowane tuż po jego pojawieniu się metody obserwacji. Jeżeli przyglądamy mu się szczególnie już pierwszego ranka po tym, jak ściał powierzchnię wody, okazuje się, że większa część baniek, które początkowo zdawały się występować w jego warstwie, znajduje się tuż pod nią i że coraz ich więcej pod pływa od dna; ponadto lód jest na razie stosunkowo lity i ciemny, tak że widać przez niego wodę. Owe bańki mają od jednej osiemnastej do jednej ósmej cala średnicy, są bardzo piękne i przejrzyste; przez lód odbija się w nich twarz. W jednym calu kwadratowym jest ich ze trzydzieści czy czterdzieści. Pojawiły się już w lodzie także bańki wąskie, wydłużone pionowo, mające około cala długości – zwięzające się stożki skierowane wierzchołkiem ku górze; albo też, częściej występujące w świeżym lodzie, drobniutkie kuliste banieczki jedna wprost nad drugą, tworzące niby sznur paciorków. Lecz bańki w lodzie nie są tak liczne jak te pod lodem ani też ich występowanie nie jest rzeczą tak oczywistą. Niekiedy rzucałem w lód kamieniami, aby wypróbować, na ile jest wytrzymały. Te, które go przedziurawiły, wprowadzały w środek powietrze tworzące natychmiast bardzo duże i okazałe białe bańki. Pewnego dnia, gdy po czterdziestu ośmiu godzinach wróciłem w to samo miejsce, stwierdziłem, że owe duże bańki nadal wyglądają doskonale, chociaż lód zgrubiał o cal, co widać było wyraźnie dzięki rowkowi na krawędzi powłoki. Ponieważ jednak poprzednie dwa dni były bardzo ciepłe niczym w porze babiego lata, lód stracił przejrzystość i nie przezierała już przez niego zieleń wody ani kolor dna; stał się mętny, białawy czy też szary i chociaż był dwukrotnie grubszy, chyba nie zrobił się twardszy, albowiem bańki powietrza niezwykle się powiększyły pod wpływem gorąca, połączyły razem, utraciły regularne kształty i nie występowały już jedna wprost nad drugą, często atoli przypominały srebrne monety, które wysypawszy się z woreczka nasunęły się jedna na drugą, albo też podobne były do cienkich płatków wypełniających drobne szczeliny. Lód utracił swą urodę i zrobiło się za późno na obserwowanie dna. Aby zaspokoić ciekawość, jakie położenie zajmują moje wielkie bańki w stosunku do nowej warstwy lodu, wykroiłem bryłę zawierającą bańkę średniego rozmiaru i przewróciłem spodem do góry. Nowa warstwa lodu utworzyła się wokół bańki i pod nią, toteż otaczały ją teraz dwie warstwy. Znajdowała się całkowicie w tej niższej, lecz prawie przylegała do górnej, była spłaszczona czy może lekko soczewkowata, o zaokrąglonej krawędzi, miała ćwierć cala grubości, średnicy zaś cztery cale. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że wprost pod bańką lód stopniał przyjmując niezwykle regularny kształt odwróconego spodka w środkowej swej części wysokiego na pięć ósmych cala, pozostawiając między bańką a wodą wąziutką ściankę, nie szerszą chyba aniżeli jedna ósma cala. W wielu miejscach małe bańki rozpierzchły się

ku dołowi, przeto pod tymi największymi, które miały stopę średnicy, nie pozostała ani warstewka lodu. Wyciągnąłem konkluzję, że podobnie wchłonięte przez lód zostały niezliczone ilości maluteńkich baniek, które pierwotnie widziałem pod jego warstwą, i że każda z nich osobno działała jak soczewka skupiająca promienie słoneczne na znajdujący się pod nią lód, a ten topniał i wietrzył. Są to małe działka powietrzne, które powodują, że lód pęka i wydaje głuche tąpnięcia.

Wreszcie na dobre zapanowała zima. Właśnie skończyłem kładzenie tynków, a wiatr zaczął tak hulać wokół domu, jak gdyby przedtem nie miał na to zezwolenia. Noc po nocy przylatywały gęsi, niezdarnie kołatając się w ciemności z głośnym gwizdem skrzydeł, nawet gdy ziemię już przykrył śnieg – niektóre siadały na Waldenie, inne fruwały dalej, nisko nad lasem w stronę stawu Fair Haven, podążając do Meksyku. Kilkakrotnie podczas powrotów z miasteczka o dziesiątej czy jedenastej wieczorem słyszałem stąpanie stada gęsi lub kaczek po suchych liściach przy małym stawku za moim domostwem, gdzie zbierały się na posiłek, jak również krzyk lub kwakanie przywódczyni, gdy ruszały w dalszą drogę. W 1845 roku Walden po raz pierwszy pokrył się całkowicie lodem w nocy dwudziestego drugiego grudnia, podczas gdy staw Flinta oraz pozostałe płytsze stawy i rzekę lód pokrywał już od co najmniej dziesięciu dni. W 1846 roku stało się to szesnastego, w 1849 około trzydziestego pierwszego, w 1850 około dwudziestego siódmego grudnia, w 1852 roku piątego stycznia, w 1853 roku trzydziestego pierwszego grudnia. Śnieg przykrywał już ziemię od dwudziestego piątego listopada, tworząc nagle wokół mnie zimową scenerię. Jeszcze głębiej zatem schowałem się w swoją skorupę i starałem podtrzymywać rozpalony ogień zarówno w domu, jak i we własnej piersi. Na dworze zajmowałem się teraz zbieraniem chrustu w lesie, przynoszeniem go do domu w rękach lub na plecach albo niekiedy przyciąganiem do drewnutni suchych pni sosnowych pod jedną i drugą pachą. Stary płot z żerdzi, którego najlepsze lata już przeminęły, był dla mnie wielką zdobyczą. Złożyłem go w ofierze Wulkanowi, albowiem w przeszłości służył bogowi Terminusowi<sup>8</sup>. O ileż to bardziej interesujące, że może on stanowić opał, na którym ugotuje się kolacja człowieka właśnie powracającego z myśliwskiej – ależ skądże, należałoby rzec rabunkowej – wyprawy wśród śniegów. Chleb jego i mięso są słodkie<sup>9</sup>. W lasach w pobliżu większości naszych miast znajduje się dość chrustu i wszelkiego rodzaju suchego drewna na wiele ognisk, lecz obecnie nie służy ono ogrzewaniu, jedynie, zdaniem niektórych, przeszkadza rosnać młodym drzewom. Na brzegu stawu można było również znaleźć wyrzucone drewno. W lecie natknąłem się na tratwę z nie okorowanych pni sosnowych, powiązanych razem przez Irlandczyków podczas budowy kolei. Zdobycz wyciągnąłem częściowo na brzeg. Po moczeniu się w wodzie przez dwa lata, a potem schnięciu na podporach przez sześć miesięcy drewno było zupełnie zdrowe, chociaż tak nasiąknięte wodą, że nie mogło w pełni wyschnąć. Pewnego zimowego dnia zabawiałem się jedną z kłód posuwając ją po zamarznętej tafli. Samjechałem na łyżwach prawie przez pół mili, a piętnastostopowa kłoda spoczywając jednym

---

<sup>8</sup> Wulkan – w mitologii rzymskiej bóg ognia, Terminus – w mitologii rzymskiej bóg granic państwowych i prywatnych miedz.

<sup>9</sup> „Kradziona woda jest słodka, a chleb pokątnie jedzony smakuje.” Stary Testament, Księga Rodzaju 9, 17.

końcem na moim ramieniu, drugim ślizgała się po lodzie, popychana przeze mnie naprzód. Robiłem też inaczej – wiązałem brzozowym łykiem po kilka kłód razem, a potem ciągnąłem je przez staw przy pomocy długiego pnia brzozy lub olchy zakończonego hakiem. Chociaż kłody były kompletnie nasiąknięte wodą, a zatem ciężkie niczym ołów, nie tylko długo się paliły, lecz ponadto dawały bardzo dużo ciepła. Ba, wydawało mi się, że nasiąknięte wodą, wręcz lepiej się spalały, jak gdyby żywica w otoczeniu wody paliła się dłużej, podobnie jak nafta w lampie.

Gilpin, w swojej pracy na temat lasów i sąsiadujących z nimi gospodarstw w Anglii, tak pisze: „wkraczanie na tereny lasów, budowanie domów i ogrodzeń na ich skraju według litery starego prawa chroniącego lasy uchodziło za wielkie naruszenie porządku publicznego i było surowo karane jako czyn *ad terrorem ferarum – ad nocumentum forestae, etc.*”<sup>10</sup>, czyli płoszący zwierzynę oraz szkodliwy dla lasu. Mnie jednak bardziej aniżeli drwalom i myśliwym zależało na tym, aby zachować florę i faunę, zależało mi na tym tak, jak gdybym był samym Panem Strażnikiem. A gdy część lasu się spaliła, to chociaż spaliłem ją sam przez przypadek, rozpacziałem potem dłużej i byłem bardziej niepokieszony aniżeli właściciele, ba, rozpacziałem, kiedy sami właściciele go ścinali. Życzyłbym sobie, aby naszych farmerów podczas wycinania drzew w lesie przeszywał podobny dreszcz grozy jak Rzymian, którzy przybywali do świętego gaju (*lucum conlucare*), aby go przerzedzić i wpuścić trochę światła, to znaczy życzyłbym sobie, aby farmerzy wierzyli, że las poświęcony jest jakiemuś bogu. Rzymianie składali ofiarę jako pokutę i modlili się: „Boże lub bogini, którym ten gaj jest poświęcony, bądźcie łaskawi dla mnie, mojej rodziny i dzieci.”<sup>11</sup>

Znamienne, że nawet w tych czasach i w tym nowym kraju drewnu nadal przypisuje się wartość, wartość trwalszą i powszechniejszą aniżeli złotu. Pomimo naszych wszystkich odkryć i wynalazków nikt nie przejdzie obojętnie koło sterty drewna. Jest dla nas tak samo cenne, jak było niegdyś dla naszych saksońskich i normandzkich przodków. Oni robili z drewna łuki, my wyrabiamy kolby strzelb. Ponad trzydzieści lat temu Michaux utrzymywał, że cena drewna opałowego w Nowym Jorku i Filadelfii „niemal równa się, a niekiedy przewyższa cenę najlepszego drewna w Paryżu, chociaż w tej olbrzymiej stolicy zużywa się go rocznie ponad trzysta tysięcy sągów, a miasto otoczone jest trzystumilowym pasem pól uprawnych”<sup>12</sup>. W naszym miasteczku cena drewna stale się podnosi, rodzi się zatem jedynie pytanie: o ile wyższa będzie w tym roku aniżeli w ubiegłym? Mechanicy i handlarze, odwiedzający osobiście lasy tylko w tym jednym celu, z pewnością wezmą udział w aukcji drewna, a nawet zapłacą wysoką cenę za przywilej zbierania drzazg po drwalach. Od wielu już lat ludzie udają się do lasu po opał i surowiec na dzieła sztuki; mieszkańiec Nowej Anglii i mieszkańiec Nowej Holandii<sup>13</sup>, paryżanin i Celt, farmer i Robin Hood, Goody Blake i Harry

---

<sup>10</sup> William Gilpin, *Remarks on Forest Scenery*, Edynburg 1834.

<sup>11</sup> „Przy przerzedzaniu lasu Rzymianie przestrzegali następującego zwyczaju: musieli złożyć w ofierze świnie oraz odmówić modlitwę.”<sup>10</sup> Katon, *op. cit.*

<sup>12</sup> F. Andrew Michaux, *North American Sylva*, Filadelfia 1818.

<sup>13</sup> Prawdopodobnie chodzi o okolice Nowego Jorku nazwanego pierwotnie Nowym Amsterdamem.

Hill<sup>14</sup>, niemal we wszystkich częściach świata księżę i wieśniak, uczonec i dzikus na równi potrzebują kilku gałęzi z lasu, aby się ogrzać i ugotować strawę. Ja również nie mógłbym się bez nich obejść.

Każdy człowiek popatruje na swoją stertę drewna jak gdyby z miłością. Lubilem ustawić swoją przed oknem, a im więcej drzazg walało się dookoła, tym lepiej, albowiem przypominały mi one o przyjemnej pracy. Miałem starą siekierę, do której nikt się nie przyznawał, a którą w zimowe dni zabawiałem się trochę po słonecznej stronie domu z pniakami wykarczowanymi z pola, gdzie posadziłem fasolę. Tak jak przepowiedział mi przy oraniu właściciel koni, dzięki pniakom rozgrzałem się dwukrotnie – raz, gdy je rąbałem, a drugi, gdy paliły się na kominku, tak że żadne paliwo nie może wydzielić więcej ciepła. Jeśli idzie o siekierę, to poradzono mi, abym dał ją do kowala w miasteczku, który skuje ostrze na cienko, lecz podarowałem to sobie i tylko oparłem ją na nowo dając hikorowe stylisko.

Nawet jeśli była tępa, przynajmniej mocno ją osadziłem. Kilka kawałków sosny żywicznej stanowiło wielki skarb. Interesujące, ileż tej strawy dla ognia nadal kryją trzewia ziemi. W poprzednich latach często chodziłem „na poszukiwania” na nagim zboczu wzgórza, gdzie niegdyś rósł las sosnowy, i wykopywałem korzenie sosny żywicznej. Są niemal niezniszczalne. Rdzeń pniaków mających co najmniej po trzydzieści, czterdzieści lat nadal okaże się zdrowy, chociaż biel pod korą już całkowicie spróchniała, co widać po zgrubieniach kory, tworzących poziomy w stosunku do ziemi pierścień przyrostu rocznego, cztery czy pięć cali odległy od rdzenia. Eksploatuje się tę kopalnię siekierą lub łopatą, zgłębia zapasy szpiku, żółte niby łój wołowy, czy też podobne do żyły złota sięgającej głęboko w ziemię. Lecz na ogół ogień rozniecałem suchymi liśćmi z lasu, które składowałem w szopie, zanim nastały mrozy. Drwal obozujący w lesie jako drewna na podpałkę używa cienkich drzazg zielonej hikory. Zdarzało mi się niekiedy też nimi się posłużyć. Gdy za horyzontem mieszkańcy miasteczka rozpalali ogień, ja również smużką dymu z mojego komina dawałem znać różnym dzikim mieszkańcom doliny Waldenu, że czuwam.

Dymie lekkopióry, Ikarowy ptaku,  
Co skrzydła swe roztapiasz w tym wysokim locie,  
Skowronku bez piosenki, wysłanniku brzasku,  
Który kołujesz nad domostwem jak nad gniazdem;  
Nocą przesłaniający gwiazdy, za dnia  
Zaciemniający światło, cętkujący słońce;  
Nieś się, kadzidło moje, nad to palenisko,  
I bogów prosz, by odpuścili płomieniowi.<sup>15</sup>

Lepiej aniżeli inne drewno nadawało się do mojego celu dopiero ścięte twarde zielone, chociaż niewiele go używałem. Czasami wychodząc na spacer w zimowe popołudnie, po-

<sup>14</sup> Goody Blake i Harry Hill – tytułowi bohaterowie wiersza Williama Wordswortha, opowiadającego o staruszce, która zmuszona zwrócić właścicielowi kilka drzazg ukradzionych w czasie ostrych chłódów, rzuca na niego przekleństwo, żeby nigdy nie było mu ciepło i żeby zawsze szczękał z zimna zębami.

<sup>15</sup> Jeden z najbardziej znanych wierszy H. D. Thoreau. Przełożył Piotr Sommer.

zostawiałem w domu rozpalony ogień, który nadal się żarzył, gdy wróciłem po trzech czy czterech godzinach. Mimo że byłem nieobecny, mój dom nie świecił pustkami. Jak gdybym pozostawił w nim uśmiechniętą gospodynię. Mieszkałem tam ja i mieszkał Ogień, i przeważnie mogłem ufać tej mojej gospodyni. Aliści pewnego dnia, gdy rąbałem drzewo, nagle przyszło mi do głowy, aby zajrzeć przez okno i sprawdzić, czy coś w domu nie zajęło się ogniem. Był to, jak pamiętam, jedyny raz, kiedy ogarnął mnie tego rodzaju szczególny niepokój. Skoro zatem zajrzałem do środka, na łóżku tlił się ogień zaproszony przez iskrę z paleniska. Wbiegłem do domu i ugasilem go, w chwili gdy wypalił już dziurę wielkości dłoni. Dom mój stał w takim słonecznym i osłoniętym miejscu i dach miał tak niski, że mogłem sobie pozwolić na wygaszenie ognia w połowie niemal każdego zimowego dnia. W piwnicy urządziły sobie zimowe leże krety. Ogryzły co trzeci ziemniak i nawet tam wymościły sobie przytulne gniazdo z włosia pozostałego po tynkowaniu i z papieru pakowego, albowiem nawet najdziksze zwierzęta kochają wygodę i ciepło, podobnie jak człowiek, i są w stanie przetrwać zimę, tylko dlatego że potrafią się przed nią zabezpieczyć. Niektórzy moi znajomi utrzymywali, że zamieszkałem w lesie po to, aby zamarznąć. Zwierzę ledwie przygotowuje sobie w zacisznym miejscu gniazdo, które ogrzewa własnym ciałem, lecz człowiek, odkąd wynalazł ogień, gromadzi w przestronnym mieszkaniu powietrze i ogrzewa je, sam ciepła nie oddając. W tak urządzonym leżu może się poruszać uwolniony od krępującego odzienia, utrzymywać jak gdyby porę lata w środku zimy, a za pomocą okien nawet wpuszczać światło, za pomocą zaś lampy przedłużać dzień. Przeto wykracza w pewnym stopniu poza potrzeby instynktowne i oszczędza trochę czasu na zajęcie się sztuką. Wszelako kiedy przez długi czas narażony byłem na najbardziej gwałtowne poddmuchy i ciało moje zaczynało drętwieć, z chwilą wkroczenia w ożywczą atmosferę domu odzyskiwałem siły i przedłużałem swe życie. Lecz ani mieszkaniem najbardziej luksusowego domu nie bardzo ma czym się w tym względzie przechwalać, ani też my nie musimy się zadrećcać spekulacjami, jak może w końcu dojść do zagłady ludzkości. Łatwo byłoby przeciąć w dowolnej chwili nici losu lekko ostrzejszym podmuchem z północy<sup>16</sup>. Trwamy, począwszy od Zimnych Piątków i Wielkich Śnieżyc<sup>17</sup>, lecz odrobinę zimniejszy piątek lub większy śnieg położyłyby kres egzystencji człowieka na ziemskim globie.

W następną zimę, jako że nie byłem właścicielem lasu, używałem małej kuchenki, ogień jednak nie palił się w niej tak dobrze jak na otwartym palenisku. A zatem gotowanie z procesu zasadniczo poetyckiego przemieniło się w chemiczny. Niebawem, w dobie piecyków, zapomni się o tym, że kartofle piekliśmy na indiański sposób w popiele. Piecyk nie tylko zajmował miejsce i napełniał dom zapachem, lecz także ukrywał ogień, przeto czułem się tak, jak gdybym stracił towarzysza. W płomieniach zawsze można dostrzec twarz. Spracowany człowiek patrząc wieczorem w ogień, oczyszcza swe myśli z nieczystego i przyziemnego

---

<sup>16</sup> Aluzja do czynności wykonywanej przez jedną z trzech parok, według mitologii rzymskiej bogini losów ludzkich.

<sup>17</sup> Zimnym Piątkiem nazwano dzień 19 stycznia 1810 roku. Wielka Śnieżycą rozszalała się w 1717 roku. Jej słynny opis można znaleźć w dziełach Cottona Mathera. Patrz też: Dźwięki, przyp. 16, i Poprzedni mieszkańcy... przyp. 18.



nalotu, którym pokryły się one w ciągu dnia. Nie mogłem już jednak siedzieć i wpatrywać się w ogień, toteż trafne słowa poetki powracały do mnie z nową siłą:

Oby nie poskąpiono mi, płomieniu jasny,  
Twej cieplej, niby życie, drogiej mi sympatii.  
Czyż nadzieja moja nie strzela wciąż wysoko?  
Czyż moje szczęście nie zapada w noc głęboką?  
Czemu to za próg domu zostałeś wygnany,  
Choć gościem jesteś miłym, przez wszystkich kochanym?  
Czy nazbyt żywe, jak na nasze obyczaje, I nudę życia, było twoje migotanie?  
Czy jasny blask twój zbyt śmiało poczynął sobie,  
Gdy z duszą naszą tajemniczą wiódł rozmowę?  
Cóż, dziś siedzimy czując bezpieczeństwo, siłę,  
Przy piecu, gdzie już cienie nie pełgają mile,  
Gdzie nic nie bawi, nic nie smuci; tylko ręce  
I stopy grzeje ogień – i nie chce nic więcej;  
Przy takim zwartym i utylitarnym kopcu  
Obecni mogą spocząć i w sen zapaść mocny,  
I nie bać się, że duchy z przyćmionej przeszłości  
Przy chwiejnym świetle leśnego ogniska przyjdą do nas w gości.<sup>18</sup>

PANI HOOPER

---

<sup>18</sup> Fragment wiersza Ellen Hooper opublikowanego w „Dial” (I, 1840). Przełożył Piotr Sommer.

# Poprzedni mieszkańcy i zimowi goście

Przetrwałem kilka wesołych śnieżyc i spędziłem przy kominku kilka radosnych wieczorów, podczas gdy za oknem wirowało śniegiem i nawet nie słyhać było pohukiwań sowy. Przez wiele tygodni nie spotkałem na spacerze nikogo, prócz ludzi, którzy od czasu do czasu przybywali do lasu, aby ścinać drzewa i ciągnąć je po śniegu do miasteczka. Aliści żywioty współdziałały ze mną i utworzyły ścieżkę w lesie wiodącą przez najgłębszy śnieg tam, którą raz przeszedłem – wiatr nawiał bowiem dębowych liści w moje ślady, a one spoczywając tam i pochłaniając promienie słońca, powodowały topnienie śniegu, dzięki czemu nie tylko utworzyła się ścieżka, po której mogłem stąpać suchą stopą, lecz także jej ciemna linia była dla mnie w nocy drogowskazem. Aby zapewnić sobie towarzystwo ludzi, musiałem wyczarowywać poprzednich mieszkańców tych lasów. Za pamięci wielu obywateli mojego miasteczka droga, blisko której stoi mój dom, rozbrzmiewała śmiechem i pogwarkami mieszkańców, lasy zaś po obu jej stronach pełne były wrębów z małymi ogródkami i domostwami, a także upstrzone nimi tu i tam, chociaż bardziej aniżeli dzisiaj zacieśniały się wzdłuż drogi. Za mojej własnej pamięci sosny w niektórych miejscach zahaczały z obu stron o bryczkę, a kobiety i dzieci, które musiały same iść pieszo tędy do Lincoln, robiły to ze strachem i często biegły spory odcinek. Wprawdzie była to skromna droga wiodąca głównie do sąsiednich miasteczek albo też droga drwali, lecz dostarczała podróżnemu więcej różnorodnych wrażeń aniżeli dzisiaj i dłużej też pozostawała mu w pamięci. Tam, gdzie teraz otwarte pola uprawne ciągną się od miasteczka do lasu, wówczas biegła droga przez porośnięte klonem podmokłe tereny, na których ułożono bale; szczątki ich do dziś niewątpliwie spoczywają pod obecnym zapyłonym traktem ze Stratton Farm, gdzie teraz mieści się przytułek, do Wzgórza Bristera.

Na wschód od mojego poletka fasoli, po przeciwnej stronie drogi mieszkał Cato Ingraham, niewolnik Duncana Ingrahama<sup>1</sup>, dzentelmena z miasteczka Concord, który wybudował swojemu niewolnikowi dom i zezwolił na zamieszkanie w Waldeńskich Lasach. Nie był to Cato Uticensis<sup>2</sup>, lecz Concordiensis. Niektórzy powiadają, że był Murzynem z Gwinei. Nadal żyje kilka osób pamiętających jego wąską ścieżkę między orzechami, które miały rosnąć po to, aby mu się przydały na starość, lecz w końcu wszedł w ich posiadanie młodszy i bielszy człowiek zajmujący się spekulacją. Wszelako on także spoczywa teraz w równie skromnej mogile. Na wpół zapadły dół po piwnicy Catona nadal istnieje, aczkolwiek niewiele o tym wie, przed wzrokiem podróżnego kryje go bowiem obramowanie z sosen. Dół

---

<sup>1</sup> Duncan Ingraham – pod koniec XVIII wieku najbogatszy obywatel miasteczka Concord.

<sup>2</sup> Katoni Młodszy Utycki był wnukiem często cytowanego przez Thoreau Marka Porcjusza Katona Cen-zora.

porośnięty jest teraz gładkim sumakiem (*Rhus glabra*) i jednym z najwcześniejszych gatunków nawłoci (*Solidago stricta*), występującym niezwykle obficie.

Tutaj, w samym rogu mojego pola, jeszcze bliżej miasteczka mieszkała w niewielkiej chacie Zilpha, kobieta kolorowa, która tkła płótno dla mieszkańców miasteczka napęlniając Waldeńskie Lasy swoim przenikliwym śpiewem, albowiem miała donośny, przejmujący głos. Ostatecznie chatę jej podpalili angielscy żołnierze podczas wojny 1812 roku<sup>3</sup>, jeńcy trzymani na wolności pod słowem honoru. Stało się to pod nieobecność Zilphy, spłonęło wszystko, łącznie z kotem, psem i kurami. Miała ciężkie życie i w pewien sposób nieludzkie. Stary bywalec tych lasów pamięta, że gdy przechodził któregoś popołudnia mimo jej chaty, słyszał, jak mamrocze do siebie nad bulgocącym garnkiem: „Wszystko to kości, kości!” Ja zaś widziałem tam cegły pośród dębiny.

Dalej wzdłuż drogi, po prawej stronie, na Wzgórzu Bristera mieszkał Brister Freeman, niegdyś „murzyński parobek” dzentelmena Cummingsa<sup>4</sup> – tam gdzie nadal rosną jabłonie sadzone i pielęgnowane przez Bristera. Teraz są to duże stare drzewa, lecz owoce ich wciąż mają dla mnie smak kwaśnych dziczek. Niedawno temu czytałem napis na jego trochę zapadłym nagrobku na starym cmentarzu w Lincoln, nie opodal bezimiennych grobów brytyjskich grenadierów poległych podczas odwrotu spod Concord. Napis głosił: „Sippio Brister – miał niejake prawo nazywać się Scipio Africanus<sup>5</sup> – kolorowy”<sup>6</sup>, tak jak gdyby mógł być bezbarwny. Napis podawał także w nachalny sposób datę śmierci Sippiona, co informowało mnie pośrednio o fakcie, że w ogóle kiedyś żył. Mieszkała z nim Fenda, jego gościnnie żona, która przepowiadała przyszłość ograniczając się jednak do przyjemnych wróżb. Była duża, krągła i czarna, czarniejsza od wszystkich dzieci nocy – takie śniade ciało niebieskie, jakie nigdy nie wznosiło się nad Concord ani przedtem, ani potem.

Dalej, u stóp wzgórza, po lewej stronie, przy starej leśnej drodze widać ślady domostwa rodziny Stratton, do której należący sad porastał nigdyś cały stok Wzgórza Bristera, dawno już atoli zastąpiły go sosny smołowe i pozostało tylko kilka pniaków – ich stare korzenie nadal zasilają pnie wielu dzikich rozkwitających wiejskich drzew.

Jeszcze bliżej miasteczka, po przeciwnej stronie drogi, tuż na skraju lasu położona jest działka Breeda, ziemia słynąca z wybryków demona, o którym stara mitologia wyraźnie nie wspomina, lecz który odegrał wybitną i zdumiewającą rolę w naszym życiu w Nowej Anglii i zasłużył sobie, podobnie jak inni bohaterowie mityczni, na to, aby pewnego dnia napisano jego biografię. Który najpierw pojawia się w przebraniu przyjaciela lub najemnego parobka, a potem obrabowuje i morduje całą rodzinę – to Rum z Nowej Anglii<sup>7</sup>. Aliści

<sup>3</sup> Mowa o wojnie z Anglią (1812-14), zwanej „drugą wojną o niepodległość”. Przebieg jej był na ogół dla Stanów niepomysłny, nie tylko na morzu, gdzie górowali Brytyjczycy, lecz także na lądzie amerykańskim. Jednak pokój w Gandawie zawarty został na warunkach stanu sprzed wojny.

<sup>4</sup> F. B. Sanborn (*Walden*, Boston 1909) podaje, że rzeczony Cummings był concordzkim lekarzem, zmarłym w 1788 r.

<sup>5</sup> Scipio Africanus – sławny wódz rzymski, w 209 r. zdobył Nową Kartaginę.

<sup>6</sup> Napis na nagrobku, który nadal stoi, dokładnie brzmi: „Pamięci Sippio Bristera, kolorowego, zmarłego 1 listopada 1820 r.”

<sup>7</sup> Według notatki w dzienniku Thoreau (*Journal*, II, 20, 1850 r.) John C. Breed był concordzkim golarzem. Byron Rees podaje o nim następującą informację (w: *Walden*, Nowy Jork 1910): „John C. Breed, golarz i pijak;

historia nie powinna jeszcze opowiadać o tragediach, jakie tu się rozegrały, niech czas w pewnym stopniu zatrze ich kontury i zabarwi je błękitem. Najbardziej mglista i budząca wątpliwości tradycja głosi, że niegdyś stała tu gospoda – studnia była ta sama, rozcieńczała napoje podróżnych i orzeźwiała ich rumaki. Tutaj ludzie wymieniali pozdrowienia, słuchali nowin i opowiadali swoje, a potem znów się rozjeżdżali.

Chata Breeda stała tu zaledwie dwanaście lat temu, aczkolwiek już długi czas była nie zamieszkana. Była mniej więcej tej samej wielkości co moja. Podpaliła ją, jeśli się nie mylę, grupa nicponi w pewien wieczór po wyborach. Mieszkałem wówczas na skraju miasteczka<sup>8</sup> i akurat pograżyłem się w lekturze *Gondiberta* Davenanta<sup>9</sup> – było to owej zimy, gdy zmagalem się z ospałością, co do której, nawiasem mówiąc, nigdy nie wiedziałem, czy należy ją uważać za obciążenie rodzinne, jako że mój wuj zasypiał przy goleniu, a w niedziele musiał się w piwnicy zajmować obrywaniem kielków wypuszczonych przez ziemniaki, aby nie zasnąć i przestrzegać święta, czy też że jest owa ospałość wynikiem moich prób przebrnięcia bez żadnych opustek przez wybór poezji angielskiej Chalmersa<sup>10</sup>. Niemal uspokajało to moich Nerwiów<sup>11</sup>. Otóż właśnie zagłębiłem się w czytaniu, gdy nagle uderzono w dzwon pożarowy. W wielkim pośpiechu wozy potoczyły się drogą, na ich czele zaś biegła rzadka grupka mężczyzn i chłopców, wśród których ja znalazłem się na samym przedzie, albowiem przeskoczyłem przez strumyk. Myśleliśmy, że pali się daleko na południu, za lasem – stodoła, sklep, domostwo lub wszystko naraz – my, którzy biegliliśmy już do niejednego pożaru. Ktoś zawołał: „To stodoła Bakera”, inny znów: „To dom Codmana”<sup>12</sup>. Aż nagle nad lasem buchnął snop iskier, jak gdyby zawalił się dach, i wszyscy zawołaliśmy: „Concord na ratunek!” Wozy przemknęły z szaloną szybkością, obciążone do granic wytrzymałości, wioząc zapewne między innymi agenta Towarzystwa Ubezpieczeniowego, który by pojechał choć na kraniec świata. Ustawicznie bił dzwon, bardziej powolny i utwierdzony w swej misji, na samym zaś końcu – jak potem szeptano – ciągnęli ci, którzy byli sprawcami podpalenia i wszczęli alarm. My podążaliśmy naprzód jak prawdziwi idealisci, to znacząco odrzucając dowody poznania zmysłowego, aż na zakręcie drogi usłyszeliśmy trzaski i poczuli rzeczywiście żar ognia buchającego znad ściany, a wówczas zdaliśmy sobie sprawę, że niestety, przybyliśmy na miejsce. Bliskość pożaru tylko ostudziła nasz zapał. Zrazu chcie-

---

w końcu znaleziono go martwego na drodze w 1824 r. [...] skrajny przypadek nieposkromionych ciągót do rumu [...] stał się w pełni jego niewolnikiem. Był od niego całkowicie uzależniony, nie miał innych potrzeb ani słabości. Gdyby trafiła mu się okazja zarobienia za golenie sześciu centów, wydałby jednego centa na suchary, a pięć centów na rum.”

<sup>8</sup> Musiało to być wówczas, gdy Thoreau mieszkał w domu Emersona.

<sup>9</sup> Mowa o utworze Williama Davenanta *Gondibert: An Heroic Poem*, Londyn 1672.

<sup>10</sup> Mowa o dwudziestojednotomowym dziele Alexandra Chalmersa *The Works of the English Poets from Chaucer to Cowper*, Londyn 1810. Podobno Thoreau przeczytał wszystkie tomy „w wolnym czasie” podczas studiów na Uniwersytecie Harvarda.

<sup>11</sup> Nerwiowie – plemię celtycko-germańskie podbite we Flandrii przez Cezara. Thoreau stosuje tu grę słów: Nerwiowie/nerwy.

<sup>12</sup> James Baker mieszkał w Lincoln, około mili na południe od stawu Walden. To właśnie jego gospodarstwo Thoreau nazywa Farmą Bakera. Dom Codmana, najzamożniejszego obywatela Lincoln, był pięknym trzy piętrowym domem zbudowanym na zachód od dworca w Lincoln.

liśmy przelać na palący się budynek zawartość sadzawki, lecz w końcu pozostawiliśmy go na pastwę płomieni, albowiem stał cały w ogniu i był już stracony. Toteż ustawieni dookoła wozu, wyrywaliśmy się do przodu jeden przez drugiego wydając polecenia przez tubę, rozprawiając po cichu o pożogach, jakie zdarzyły się na tym świecie, również o pożarze sklepu Bascoma, kiedy to – między nami mówiąc – gdybyśmy znaleźli się w porę z naszą „beczułką”<sup>13</sup> oraz mieli w pobliżu pełną sadzawkę, moglibyśmy obrócić ten pożar zagrożający nam ostateczną ogólnoswiatową pożogą w drugi potop. W końcu zawróciliśmy nie wyrządzając żadnej szkody – zawróciliśmy do łóżek i do *Gondiberta*. Co się tyczy *Gondiberta*, to jednak wyłączyłbym z przedmowy ustęp mówiący o tym, że rozum jest prochem wymyślonym przez duszę – „lecz większości rodzaju ludzkiego obcy jest rozum, podobnie jak Indianom obcy jest proch”<sup>14</sup>.

Nazajutrz wieczorem szedłem przypadkiem tą samą drogą przez pola, mniej więcej o tej samej porze, gdy nagle usłyszałem ciche jęki dolatujące z pogorzelska. Podeszedłem po ciemku bliżej i natknąłem się na jedynego członka znajomej mi rodziny, który się uratował, spadkobiercą zarówno jej cnót, jak i wad, jedynego zainteresowanego pogorzelskiem. Leżał na brzuchu i znad ściany piwnicy przyglądał się rozżarzonym nadal węglom w dole, mamrocząc coś do siebie, jak to było jego zwyczajem. Jak dzień długi pracował na odległych łąkach nad rzeką, a potem skorzystał z pierwszej wolnej chwili, aby odwiedzić dom ojców, dom swojej młodości. Przez cały czas leżąc na brzuchu, zaglądał do piwnicy ze wszystkich możliwych stron i punktów widzenia po kolei, jak gdyby ukryty był tam przywalony kamieniami skarb, o którym nie zapomniał. Aliści nie znalazł niczego prócz sterty cegieł i popiołu. Dom padł pastwą płomieni, mężczyzna zatem oglądał, co pozostało. Współczucie, na które wskazywała sama moja obecność, przyniosło mu ulgę. Pokazał mi – na ile pozwoliły ciemności – miejsce, gdzie była zakryta studnia, albowiem jej nic nigdy nie zdoła – dzięki Bogu – zasypać. Długo macał koło ściany w poszukiwaniu żurawia, wyciosanego z pnia i osadzonego przez ojca, chcąc znaleźć po omacku żelazny hak czy pętlę z drutu, którą przymocowano ciężar do końca belki – oto było wszystko, czego mógł się teraz chwycić – aby przekonać mnie, że to nie jest zwyczajny „ciężarek”. Dotknąłem go ręką, a teraz przypomina mi się podczas codziennych spacerów, na nim bowiem zawieszona jest historia rodziny.

Trochę dalej, po lewej stronie, tam, gdzie widać studnię i krzewy bzu przy ścianie na otwartym teraz polu, mieszkali Nutting i Le Grosse<sup>15</sup>. Lecz powróćmy na drogę prowadzącą w stronę Lincoln.

Daleko w głębi lasu, o wiele dalej aniżeli miejsca, o których była dopiero mowa, tam, gdzie droga biegnie najbliżej stawu, osiedlił się na gruncie nie będącym jego własnością garncarz Wyman; zaopatrywał on mieszkańców miasteczka w wyroby z gliny i pozostawił potomków trudniących się tym samym rzemiosłem. Oni też nie opływali w dobra tego

---

<sup>13</sup> W czasach Thoreau do gaszenia pożaru używano małych ręcznych wózków nazywanych „beczułkami”.

<sup>14</sup> Cytat z przedmowy Williama Davenanta do *Gondiberta*.

<sup>15</sup> Mowa prawdopodobnie o Samie Nuttingu wspomnianym w rozdziale *Zwierzęta zimą*. John Le Grosse to najprawdopodobniej farmer, który mieszkał przy drodze do Westford.

świata, mieszkali na gruncie, na którego zajmowanie mieli tylko niepisane zezwolenie, a szeryf często na darmo przychodził zbierać podatki i aby formalnościom stało się zadość, „przyczepiał kwit zastawny „Jak czytałem w jego sprawozdaniach, albowiem nie było w chacie niczego, co mógłby zarekwirować pod zastaw. Pewnego dnia w środku lata, kiedy okopywałem grzędę, przystanął na koniu przy moim poletku człowiek, który wiózł garnki na rynek, i zapytał mnie o młodszego Wymana. Dawno temu kupił bowiem od niego koło garncarskie i był ciekaw, co u Wymana słyhać. Czytałem w Piśmie Świętym o glinie garncarskiej i kole, lecz nigdy nie przyszło mi do głowy, że używane przez nas garnki nie są takimi, jakie zachowały się nie potłuczone z tamtych czasów czy też rosły gdzieś na drzewach niby tykwy, z zadowoleniem przeto słuchołem, że taka garncarska sztuka w ogóle rozwija się w mojej okolicy.

Ostatnim przede mną mieszkańcem tych lasów był Irlandczyk, Hugh Quoil (mam nadzieję, że napisałem jego nazwisko w dostatecznie skomplikowany sposób<sup>16</sup>), który zajmował chatę Wymana. Nazywano go Pułkownikiem Quoil. Krążyła pogłoska, jakoby walczył pod Waterloo. Gdyby żył, skłoniłbym go, aby od nowa prowadził swe bitwy. Tutaj był dróżnikiem. Napoleon udał się na Wyspę Świętej Heleny, Quoil przybył w Waldeńskie Lasy. Wszystko, co o nim wiem, brzmi tragicznie. Był człowiekiem z ogładą, takim, co to obracał się po świecie, i potrafił lepiej się wysławiać, aniżeli inni umieli go słuchoać. Twarz miał koloru karminowego i cierpiał na drżączkę, przeto w środku lata nosił obszerny płaszcz. Zmarł przy drodze u stóp Wzgórza Bristera wkrótce po tym, jak zamieszkałem w lesie, toteż nie pamiętam go jako sąsiada. Byłem w jego chacie, zanim została zburzona przez kamratów, którzy omijali ją potem z daleka jak „pechowe zamczysko”. Widziałem tam sfaitygowane ubranie Quoila, zwinięte na wysokiej pryczy, jak gdyby to on sam tam leżał. Na palenisku porzucono złamaną fajkę, zamiast przy źródłu potłuczony dzban<sup>17</sup>. Ten ostatni nie mógł być symbolem śmierci Quoila, albowiem ów przyznał mi się kiedyś, że słuchoał o Źródle Bristera, lecz nigdy go nie widział. Na podłodze leżały rozrzucone i powalane ziemią karty – król karo, pik i kier. Do następnego pomieszczenia nadal przychodziło spać na grzędzie jedno czarne kurczę, którego rządca nie zdołał złapać – czarne jak noc i jak ona ciche, albowiem nawet nie popiskiwało czekając na Renarta<sup>18</sup>. Za chatą majaczyły zarisy ogrodu, w którym Quoil posadził różne rośliny, lecz nigdy ich nie okopał z powodu ataków drżączki, chociaż nadeszła właśnie pora zbiorów. Ogród zarośnięty był piołunem i rzepami, które jako ostatnie z wszystkich mających obrodzić owoców przyczepiły mi się do ubrania. Na tylnej ścianie chaty wisiała od niedawna rozciągnięta skóra świstaka, łup Quoila spod ostatniego Waterloo – lecz nie będzie już potrzebował ciepłej czapki ani rękawic.

Teraz po tym domostwie pozostało jedynie zagłębienie w ziemi, kryjące kamienie piwniczne; słoneczną murawę porastają krzewy poziomek, malin, jeżyn, leszczyny i sumaka;

---

<sup>16</sup> Mowa o tym, że pisownia irlandzkich nazwisk w języku celtyckim jest bardziej skomplikowana niż po angielsku.

<sup>17</sup> „Zanim zerwie się srebrny sznur i stłucze złota czasu, i zbiję się dzban nad źródłem, a pęknięte koło wpadnie do studni.” Stary Testament, Księga Kaznodziei Salomona 12, 6.

<sup>18</sup> Główny bohater francuskiego poematu heroikomicznego z XII-XIII w. *Powieść o Lisie*. Imię Renart stało się z czasem francuską nazwą gatunkową lisa.

na miejscu dawnego komina rośnie teraz jakaś sosna smołowa czy pochyłony dąb, a tam, gdzie leżał kamień przy progu, może kołysze się brzoza cukrowa o słodkim zapachu. Niekiedy widać wylot studni, z której niegdyś tryskało źródło, a którą teraz zarosła sucha, nie roszona trawa. Bywa również i tak, że po odejściu ostatniego członka rodu przez długi czas studnia jest nie do odkrycia, albowiem zawała ją się płaskim kamieniem i zasypuje darnią. Jakaż to musi być smutna czynność owo zasypywanie studni! – zbiegające się z wykopywaniem studni łez. Te wykopy piwniczne, podobne do opuszczonych lisich nor czy starych dziur, to wszystko, co pozostało z miejsca, w którym ongi panowała krzątanina i pulsowało ludzkie życie i w którym rozprawiano w takiej czy innej formie po kolei o „przeznaczeniu, wolnej woli, przeczuwaniu absolutu”<sup>19</sup>. Lecz wszystko, czego mogę się dowiedzieć o ich wnioskach, sprowadza się do jednego: „Cato i Brister sypali piaskiem w oczy”, co jest niemal tak budujące jak historia słynniejszych szkół filozoficznych.

Wprawdzie od czasu gdy zniknęły drzwi, nadproże i próg, wyrośło nowe pokolenie, atoli nadal kołysze się tu żywotny bez rozkwitający co wiosną słodko wonnym kwieciem zrywany przez zadumanych wędrowców – zasadziły go kiedyś na podwórzu przed domem i pielęgnowały ręce dzieci, teraz zaś stoi pod rozsypującym się murem na leżącym odłogiem pastwisku, które ustępuje miejsca nowo wyrastającym lasom – ostatni z rodu, jedyny pozostały przy życiu członek tej rodziny. Smagle dzieci raczej nie zastanawiały się nad tym, że słabowity szczepek z ledwie dwoma oczkami, który zasadziły w ziemi w cieniu domu i codziennie go podlewały, tak się ukorzeni, przeżyje je i sam dom rzucający na niego z tyłu cień, przeżyje również ogród i sad dorosłych, a w pół wieku po tym, jak same dojrzały i pomarły, opowiadać będzie nieśmiało ich historię samotnemu wędrowcowi – rozkwitając tak ślicznie i pachnąc tak słodko jak pierwszej wiosny. Mam w pamięci jego jak zawsze delikatne, niejaskrawe, wesołe odcienie lila.

Lecz dlaczego ta mała wioska, zarodek czegoś większego, przestała istnieć, podczas gdy Concord nadal pozostaje na swoim miejscu? Czyż warunki naturalne nie były tu dość sprzyjające – czy doprawdy brakowało wody? Przeciwnie – głęboki staw Walden i chłodne Źródło Bristera zapewniały przywilej pociągania długich, zdrowych łyków bez żadnych urządzeń – dość tutejszym ludziom rozcieńczyć płyn w szklance. Powszechnie uchodzili za lud nękania pragnieniem. Czyż nie mogły się tu rozwijać takie farchy, jak wyplatanie koszy i wycieraczek, wyrabianie mioteł, prażenie kukurydzy, tkanie lnu i garncarstwo, dzięki którym to pustkowie rozkwitałoby jak róża, a liczni potomkowie dziedziczyliby ziemię ojców?<sup>20</sup> Jąłowa gleba byłaby przynajmniej odporna na degenerację charakterystyczną dla niektórych terenów nizinnych. Niestety! Jakże mizernie pamięć o tych mieszkających tu ludziach podnosi piękno krajobrazu! Pewnie znów Natura – wraz ze mną jako pierwszym osadnikiem oraz moim domem postawionym zeszłej wiosny – postara się być najstarsza w tej wiosce.

Nic mi nie wiadomo, aby na miejscu, które zajmuję, budował już kiedyś ktoś inny. Niech mnie Opatrzność chroni przed miastem zbudowanym na miejscu starszego, przed mia-

---

<sup>19</sup> John Milton, *Raj utracony*, II, 650.

<sup>20</sup> „Niech się rozweseli pustynia i spieczona ziemia; niech się rozraduje i zakwitnie step!” Stary Testament, Księga Izajasza 35,1.

stem, którego budulec pochodzi z ruin, a ogrody to cmentarze<sup>21</sup>. Gleba jest tam jałowa i przekłeta i zanim budowa stanie się nieodzowna, sama Ziemia ulegnie zniszczeniu. Mając takie reminiscencje zaludniłem lasy i ukołysałem się do snu.

O tej porze roku rzadko zaglądali do mnie goście. Bywało, że w największe śniegi ani jeden wędrowiec nie zapuścił się aż do mojego domu przez tydzień czy dwa, i żyłem wtedy w zaciszu niczym mysz polna lub bydło i drób, które podobno przetrwały długi czas nawet bez pożywienia, zagrzebane pod zaspami; albo jak rodzina wczesnych osadników w mieście Sutton w naszym stanie – jej chatę pod nieobecność ojca zupełnie zasypała Wielka Śnieżyca w 1717 roku<sup>22</sup>, a uratował Indianin natrafiając na dziurę powstałą w zaspie dzięki tchnieniu z komina. O mnie jednak nie kłopotał się żaden przyjazny Indianin, ale też nie musiał, gospodarz bowiem przebywał w domu. Wielka Śnieżyca! Jakże wesoło o niej się słucha! Wówczas to farmerzy nie mogli dotrzeć zaprzęgami do lasu ani na mokradła, byli zmuszeni ścinać drzewa przeznaczone do ocieniania domów, a na mokradłach, gdy skorupa stwardniała, ścinali drzewa dziesięć stóp nad ziemią, jak się później okazało wiosną.

W największe śniegi dróżka, którą utorowałem od gościńca do mojego domu, mająca około pół mili długości, mogłaby się na rysunku przedstawiać jako kręta kropkowana linia o dużych przerwach między kropkami. Przez tydzień jednakiej pogody wędrując tam i z powrotem, robiłem dokładnie tyle samo kroków takiej samej długości, stąpając rozmyślnie po własnych głębokich śladach z precyzją nóżek cyrkla – oto do jakiej rutyny sprowadza nas zima; lecz ślady owe często wypełniał błękit nieba. Aliści nie było takiej pogody, która by przeszkodziła mi zdecydowanie w moich spacerach czy raczej dalekich wędrowniach, często bowiem przebywałem osiem, dziesięć mil brnąc przez najgłębszy śnieg, aby tylko dotrzeć na spotkanie z bukiem czy brzozą żółtą, czy też ze starą znajomą sosną. Wówczas ich gałęzie, obciążone lodem i śniegiem, tak obwisały, a wierzchołki robiły się tak spiczaste, że sosny przemieniały się w jodły. Brnąłem na szczyty najwyższych pagórków przez śnieg niemal na dwie stopy głęboki w płaskim terenie, za każdym krokiem rozpętując sobie nad głową nową śnieżną nawałnicę; czasami, gdy myśliwi wynieśli się na zimowe kwatery, pełzałem i wlokłem się na czworakach. Pewnego popołudnia zabawiałem się obserwowaniem sowy mszarnej (*Strix nebulosa*), która w pełnym świetle dnia siedziała na jednej z niższych suchych gałęzi sosny wejmutki przy samym pniu, a ja stałem w odległości pręta. Mogła mnie słyszeć, gdy się poruszałem chrzęszcząc stopami po śniegu, aczkolwiek na pewno nie mogła mnie dobrze widzieć. Skoro wszcząłem największy hałas, wyciągała szyję, na której stroszyły jej się pióra, i szeroko otwierała oczy, lecz znów powieki jej opadały i chwytiała ją drzemka. Po półgodzinie patrzenia na sowę, gdy tak siedziała z półotwartymi oczami niby kot, skrzydlaty brat kota, również ogarnęła mnie senność. Między jej powiekami była tylko wąska szpara, przez którą utrzymywała ze mną półwyspowy kontakt; a zatem spoglądała na mnie z krainy snu półzamkniętymi oczami i usiłowała uświadomić sobie, kim jestem ja – niewyraźny przedmiot czy pyłek, który przerywał jej marzenia. Wreszcie, gdy

---

<sup>21</sup> Za czasów Thoreau dokonano kilku najważniejszych odkryć archeologicznych: odkrycia Babilonu, odkopania zabytków Asyrii oraz ponownego odkrycia Petry.

<sup>22</sup> Mowa o niej w poprzednim rozdziale, przyp. 18.



zaczynałem głośniejsz hałasować czy bardziej się zbliżyłem, niepokoiła się i kręciła ospale na gałęzi, jak gdyby zniecierpliwiona, że przerywają jej sny. Skoro zaś poderwała się i poruszyła wśród sosen skrzydłami, rozkładając je nadspodziewanie szeroko, nie doleciał mnie nawet szmer. Przeto wiedziona między gałęziami sosen raczej delikatnym zmysłem wyuczającym ich bliskość aniżeli wzrokiem, jak gdyby po omacku wynajdując swą drogę przez świtanie wrażliwymi lotkami skrzydeł, znalazła sobie nową gałąź, na której mogła w spokoju czekać brzasku swojego dnia.

Krocąc długim nasypem kolejowym przecinającym łąki, odbywałem liczne spotkania z zawadiackim, szczypiącym wiatrem, nigdzie bowiem nie miał on szerszego pola do popisu; a gdy mróz poraził mi jeden policzek, tak jak i ja pogański, nadstawiłem mu również drugi<sup>23</sup>. Na drodze dla wozów, prowadzącej ze Wzgórza Bristera, było niewiele lepiej. Albowiem nadal chodziłem do miasta niby przyjazny Indianin, mimo że pomiędzy skrajami waldeńskiej drogi spiętrzyły się całe zasoby szerokich otwartych pól i wystarczyło pół godziny, aby zatarły się ślady ostatniego z podróżnych. A gdy wracałem, brnąłem już przez nowe zasy, powstałe tam, gdzie pracowity północno-zachodni wiatr nawiał sypkiego śniegu na ostrym zakręcie drogi i gdzie nie było widać ani śladu królika, ani nawet drobnego niby druk małej czcionki śladu myszy. Rzadko jednak się zdarzało, nawet w środku zimy, abym nie zdołał znaleźć jakiegoś ciepłego sprężystego bagna, na którym trawa i kurzyślad wyteżały swą zielen bylin i jakiś bardziej odporny ptak czekał na powrót wiosny.

Bywało, że pomimo głębokiego śniegu, gdy wracałem wieczorem ze spaceru, przecinałem ślady drwała prowadzące do moich drzwi i na palenisku znajdowałem kupkę jego ostrużyn, w całej zaś izbie czułem zapach jego fajki. Czy też w niedzielne popołudnie, jeśli zdarzyło mi się być w domu, słyszałem chrzęszczące po śniegu kroki długogłowego farmera, który przybywał z daleka przedzierając się przez las, aby „uciąć” sobie ze mną towarzyską pogawędkę, jednego z niewielu mających jego powołanie „panów na gospodarstwie”, który przywdział fartuch zamiast profesorskiej togi i który tak samo jest gotów wyciągnąć morał z nauk Kościoła czy państwa, co wywlec furę nawozu z podwórza za stodołę. Rozmawialiśmy o surowych i prostych czasach, gdy podczas rześkich chłódów ludzie zasiadali wokół wielkich ognisk zachowując jasne umysły; jeśli zaś inny deser nie spełnił naszych oczekiwań, próbowaliśmy zębów na orzechach, z których mądre wiewiórki dawno temu zrezygnowały, albowiem orzechy o najgrubszych skorupach są na ogół puste.

Tym, który przybył z najdalszych okolic do mojego domostwa, brnąc przez najgłębsze śniegi wśród najbardziej ponurych nawałnic, był poeta<sup>24</sup>. Zniechęcić może się farmer, myśliwy, żołnierz, reporter, a nawet filozof, lecz nic nie powstrzyma poety, albowiem kieruje nim czyste uczucie miłości. Któż przewidzi, kiedy się pojawi i kiedy odejdzie? Głos obowiązku wzywa go o każdej porze, nawet wówczas gdy lekarze pogrążeni są we śnie. Mój mały dom dźwięczał w takie chwile wybuchami wesołości i rozbrzmiewał pomrukiem rozmów o wiele spokojniejszych, a wszystko to wynagradzało dolinie Waldenu długie okresy

---

<sup>23</sup> „...a jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi.” Nowy Testament, Ewangelia św. Mateusza 5,39.

<sup>24</sup> Mowa o Williamie Ellerym Channingu młodszym, który mieszkał z przeciwnej strony Concord.

ciszy. W porównaniu z tym na Broadwayu panował spokój i pustka. Chwilami rozmowę przerywały prawdziwe salwy śmiechu, które mogły być zarówno reakcją na właśnie usłyszany żart, jak i antycypacją nowego dowcipu. Nad talerzem kleiku ukuliśmy wiele nowych „jak spod igły” teorii życiowych, co łączyło w sobie przyjemność biesiadowania z możliwością zachowania jasnego umysłu, niezbędną przy filozofowaniu.

Nie powinienem pominąć jeszcze jednego mile widzianego gościa, który w moją ostatnią zimę nad stawem przybrnął z miasteczka przez śnieg, deszcz i ciemności, aż dostrzegł wśród drzew światło lampy i spędził ze mną kilka długich zimowych wieczorów. To jeden z ostatnich filozofów – dało go światu Connecticut – który najpierw handlował jako domokrażca towarami tego stanu, a potem, jak sam twierdzi, swoim umysłem<sup>25</sup>. Handluje nim nadal, podpowiadając Bogu i uchybiając człowiekowi, rodząc jedynie owoce własnego umysłu, podobnie jak orzech rodzi swoje jądro. Myślę, że to właśnie musi być człowiek największej wiary ze wszystkich żyjących. Jego słowa i stosunek do spraw zawsze zakładają lepszy stan rzeczy, aniżeli by to wynikało ze stanowiska innych ludzi, i będzie on ostatnim człowiekiem, którego rozczaruje obrót spraw w cyklu stuleci. Teraźniejszość nie jest dla niego próbą sił. I mimo że teraz ludzie go raczej lekceważą, to gdy nadejdzie jego czas i zapanują prawa, których istnienia większość nie podejrzewa, do niego zwrócą się po radę głowy rodziny i rządu.

Cóż za ślepcy, że nie widzą spokoju!<sup>26</sup>

To prawdziwy przyjaciel człowieka, niemal jedyny sprzymierzeniec postępu ludzkości. Stara Śmiertelność<sup>27</sup>, czy raczej Nieśmiertelność, której niewyczerpana cierpliwość i wiara rozjaśnia obraz wyryty w ciele człowieka, Bóg, którego są ludzie tylko gorszymi i słabszymi wizerunkami. Swoim gościnnym umysłem obejmuje on dzieci, żebraków, obłąkanych i uczonych i życzliwie się ustosunkowuje do myśli ich wszystkich, nadając jej zwykle rozmach i elegancję. Sądzę, że powinien prowadzić karawanseraj przy gościńcu świata, w którym mogliby się zatrzymywać filozofowie wszystkich narodów, a na jego szyldzie powinien widnieć napis: „Noclegi i wikt dla ludzi, zwierząt nie przyjmujemy<sup>28</sup>. Wejdźcie ci, którzy cieszyacie się wolnym czasem i spokojem ducha, ci, którzy gorliwie szukacie właściwej drogi.” Jest on chyba najrozsądniejszym i mającym najmniej dziwactw człowiekiem ze znanych mi ludzi; taki sam jak wczoraj będzie jutro. Spacerowaliśmy ongi pogrążeni w rozmowie i skutecznie zapomnieliśmy o Bożym świecie, gdyż on, wolno urodzony, *ingenueus*, nie miał zobowiązań wobec światowych instytucji. Obecność jego tak uwydatniała piękno krajobrazu, że w którąkolwiek stronę się obróciliśmy, niebiosy i ziemia jak gdyby się zlewały. Człowiek w niebieskiej szacie, dla którego najodpowiedniejszym dachem jest

---

<sup>25</sup> Mowa o transcendentaliście Amosie Bronsonie Alcotcie, który w młodości był domokrażcą na Południu. Thoreau jako jeden z pierwszych zainteresował się jego niezwykłą umysłowością.

<sup>26</sup> Thomas Storer, *The Life and Death of Thomas Wesley Cardinal*, Londyn 1599.

<sup>27</sup> Stara Śmiertelność – tytułowy bohater powieści Waltera Scotta, pod polskim tytułem *Purytanie szkoccy*.

<sup>28</sup> Na szyldach widniały na ogół w tamtych czasach napisy: „Noclegi i wikt dla ludzi i zwierząt.”

sklepienie niebios, odzwierciedlające pogodę jego ducha. Nie pojmuję, jak on może kiedyś umrzeć; wszak Natura nie jest zdolna bez niego się obejść.

Gdy w każdym z nas pewne myśli już wyschły niby drewno, siadaliśmy, aby je ostrugać wypróbując noże i podziwiając wyraźne żółtawe słoje sosny wejmutki. Posuwaliśmy się naprzód tak bardzo uważnie i z takim uszanowaniem, jak również powściągaliśmy się razem tak gładko hamując, że nie płoszyliśmy ze strumienia narybku myśli ani nie napędzał mu strachu żaden rybak na brzegu, toteż myśli przyływały i odpływały dostojnie niby chmury przeciągające po zachodnim niebie czy perłowe stada ptaków, które niekiedy zbierają się na nim i rozpierzchają. Oto pracowaliśmy robiąc powtórkę z mitologii, wymyślając gdzieś jakąś baśń, budując zamki na lodzie, dla których ziemia nie była stosownym gruntem. Wielki Widz! Wielki Przewidujący! Rozmowa z nim stanowiła Ucztę Nowoangielskiej Nocy<sup>29</sup>. Ach! Jakąż dyskusję prowadziliśmy: pustelnik i filozof oraz stary osadnik, o którym wspominałem – we trzech; rozsadzała ona mój dom i zadawała mu tortury. Nie śmiem się przyznać, ile funtów wagi ponad ciśnienie atmosferyczne przypadało na każdy cal sześcienny; dom pękał w szwach, przeto trzeba potem było go uszczelnić długim i głuchym milczeniem, aby zabezpieczyć przed przeciekaniem. Miałem już atoli zgromadzoną dużą ilość pakuł tego rodzaju.

Był jeszcze jeden człowiek, z którym spędziłem na długo zapamiętane „nieprzerwane godziny” w jego domu w miasteczku i który też mnie od czasu do czasu odwiedzał<sup>30</sup>; poza tym nie miałem innego towarzystwa.

Niekiedy oczekiwałem tam – podobnie jak wszędzie – Gościa, który nigdy się nie zjawia. *Wisznupurana* rzecze: „Właściciel domu winien pozostać wieczorową porą na swoim podwórzu tak długo, jak trwa dojenie krowy, albo i dłużej, jeśli ma chęć, i oczekiwać przybycia gościa.”<sup>31</sup> Często wypełniałem ów obowiązek gościnności czekając tak długo, że można by w tym czasie wydoić stado krów, lecz nie wypatrzyłem nikogo, kto by się zbliżał od strony miasta<sup>32</sup>.

---

<sup>29</sup> Odniesienie do tytułu *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*.

<sup>30</sup> Mowa o Emersonie.

<sup>31</sup> Na podstawie angielskiego przekładu *Wisznupurana*.

<sup>32</sup> Odniesienie do wiersu ze starej angielskiej ballady *The Children in the Wood*.

## Zwierzęta zimą

Gdy stawy pozostawały skute lodem, nie tylko można było poprowadzić przez nie nowe krótsze drogi do wielu miejsc, lecz także patrząc z ich tafli oglądać nowe widoki znajomego krajobrazu. Staw Flinta, po którym często wiosłowałem i jeździłem na łyżwach, pokryty śniegiem wydał mi się niespodzianie tak wielki i obcy, gdy przez niego przechodziłem, że przywodził na myśl jedynie Morze Baffina. Dookoła wznosiły się pagórki Lincoln urastające do skrajnie potężnego śnieżnego płaskowyzu, na którym – miałem wrażenie – nigdy nie stanęła moja stopa, a rybacy hen daleko na skraju lodu, poruszający się powoli ze swoimi przypominającymi wilki psami, wyglądali jak łowcy fok czy Eskimosi, we mgle zaś majaczyli niby postacie z bajki i nie wiedziałem już, czy to olbrzymy, czy liliputy. Szedłem tedy śpiesząc na odczyt, który miałem wygłosić wieczorem w Lincoln; brnąłem przez śnieg nie napotykając między moją chatą<sup>1</sup> a salą odczytową ani jednego domostwa. Ma stawie Goose, mijanym po drodze, miały swoją kolonię piżmoszczury, których siedziby wznosiły się wysoko ponad powierzchnię lodu, chociaż gdy przechodziłem przez staw, z daleka nie było ich widać. Walden – podobnie jak inne stawy na ogół nie przysypany śniegiem, chyba że tu czy tam leżała płytka, nierówno nawiana zaspą – był moim podwórzem, po którym mogłem swobodnie chodzić, gdy tymczasem gdzie indziej, na płaskim terenie, śnieg miał prawie dwie stopy głębokości i mieszkańcy miasteczka mogli się poruszać jedynie po ulicach. Tam, daleko od miejskiej ulicy i od dźwięczenia dzwonek przy sankach, które tylko z rzadka mnie dolatywało, ślizgałem się i jeździłem na łyżwach jak gdyby po ogromnym udeptanym wybiegu dla łośi, a dookoła stały dębowe lasy i chyliły się pod śniegiem czy jeżyły soplami uroczyście sosny.

Co się tyczy dźwięków, jakie słyszałem w zimowe noce, a często i w zimowe dni, to dolatywało mnie gdzieś z oddali smutne, lecz melodyjne pohukiwanie sowy; przypominało dźwięk wydawany przez zmarzniętą ziemię, gdy uderza się w nią odpowiednim plektro-nem, był to sam *lingua vernacula* Waldeńskich Lasów, z którym dobrze się w końcu zaznajomiłem, chociaż nigdy nie widziałem ptaka wydającego owe dźwięki. Rzadko kiedy się zdarzało, abym otworzył drzwi w zimowy wieczór i ich nie słyszał – „Hu, hu, hu, hurer, hu” rozlegało się donośnie, a początkowe trzy sylaby jak gdyby brzmiały: „hau der du”<sup>2</sup>, czy niekiedy po prostu słychać było tylko „hu, hu”. Pewnego wieczoru na początku zimy, zanim staw zamarzył, około godziny dziewiątej poderwał mnie głośny krzyk gęsi, a gdy podszedłem do drzwi, usłyszałem szum skrzydeł stada przelatującego nad domem, niby burza przetaczająca się nad lasem. Przeleciały nad Waldenem kierując się ku stawowi Fair Haven

<sup>1</sup> Mimo że budynek wzniesiony przez Thoreau nad Waldenem nazywany jest chatą, on sam nazwał go tak tylko dwukrotnie. W innych wypadkach mówi o nim „dom”.

<sup>2</sup> Fonetycznie zbliżone do powitania: *How do you do*.

– nie usiadły w pobliżu, najprawdopodobniej odstraszone palącym się u mnie światłem, nieustannie wzywane przez swojego przewodnika regularnymi sygnałami. Wtem gdzieś bardzo blisko mnie odezwał się niewątpliwie puchacz najbardziej chropowatym i potężnym głosem, jaki kiedykolwiek słyszałem u mieszkańca lasu, i zaczął w regularnych odstępach odpowiadać gąsiorowi, jak gdyby stanowczo gotów zdemaskować i okryć hańbą tego intruza z Zatoki Hudsona, dysponując jako tubylec większą skalą i siłą głosu, którym chciał go wygnać poza horyzont Concord. Co wy sobie myślicie wszczynając alarm nad twierdzą o tej nocnej porze, która jest mnie poświęcona?<sup>3</sup> Czy wam się wydaje, że o tej godzinie można mnie przyłapać na drzemce i że nie mam takich jak wy płuc i krtani? „Bu-hu, bu-hu, bu-hu!” Była to jedna z najbardziej porywających swymi dysonansami kłótni, jakie zdarzyło mi się słyszeć. A jednak ktoś obdarzony wrażliwym uchem mógł rozróżnić w niej tak zgodne asonanse, jakich te równiny nigdy nie widziały ani nie słyszały.

Dochodziły mnie również stękania lodu na stawie, wielkiego dzielącego ze mną łożo towarzysza po tej stronie Concord, jak gdyby zmęczony bezsennością pragnął się przewrócić na drugi bok, jak gdyby dokuczało mu wzdęcie i złe sny. Budziły mnie również trzaski pękającej od mrozu ziemi, jakby ktoś podjechał zaprzęgiem i uderzył w moje drzwi, a rano się okazywało, że w ziemi zrobiła się szczelina o długości ćwierć mili i szerokości jednej trzeciej cala.

Niekiedy w księżycowe noce słyszałem, jak po zaskorupiałym śniegu przebiegają lisy w poszukiwaniu kuropatwy czy innego żeru, szczerkając jak opętane chropowatym głosem niby leśne psy, jak gdyby zmagaly się z trwogą czy szukały sposobu wypowiedzi, walczyły o dostęp do światła, o to, aby stać się zwykłymi psami i biegać swobodnie po ulicach; albowiem jeśli weźmiemy pod uwagę stulecia historii, czyż nie mówią nam one, że podobnie jak istnieje cywilizacja ludzi, może istnieć cywilizacja zwierząt? Lisy przypominały mi pierwotnych ludzi wyjących w norach, nadal pozostających na pozycjach obronnych w oczekiwaniu na swoje przeobrażenie. Niekiedy jeden lis podchodził pod okno zwabiony światłem, kłął mnie przebiegle szczekliwym głosem i zawracał.

O świtaniu budziła mnie zazwyczaj wiewiórka (*Sciurus Hudsonius*), biegając po dachu czy w górę i w dół po ścianach domu, jak gdyby przysłano ją z lasu właśnie w tym celu. W zimie wyrzuciłem na zaskorupiały śnieg przy drzwiach pół buszla kaczanów kukurydzy, która nie dojrzała, i z rozbawieniem obserwowałem ruchy przeróżnych zwabionych nią zwierząt. O zmroku i wieczorem przychodziły regularnie króliki i spożywały obfity posiłek. Przez cały dzień zjawiały się i znikaly wiewiórki, ich manewry zaś dostarczały mi wiele rozrywki. Początkowo jedna zbliżała się ostrożnie przez krzewy dębiny, biegnąc zrywami po śnieżnej skorupie niby liść porwany przez wiatr, a to kilka kroków w jedną stronę z niebywałą prędkością i utratą energii, niedostrzegalnie szybko przebiegając „nogami”, jak gdyby poszła z kimś o zakład, a to znów tyle samo kroków w drugą stronę, lecz nigdy nie przebywając za jednym razem dłuższego odcinka niż pół pręta; nagle stawała ze śmiesznym wyrazem pyszczka i wywijiała wdzięcznego koziołka, jak gdyby wszystkie oczy

---

<sup>3</sup> Odniesienie do gęsi kapitollińskich, które zaalarmowały gęganiami resztki załogi na wzgórzu kapitollińskim, broniącej Rzymu przed Galiami w 390 r. p.n.e.

wszecłwiata zwrócone były na nią – albowiem każdy ruch wiewiórki nawet w najbardziej odludnych leśnych zakątkach przypomina ruchy tancerki, która liczy się z obecnością widowni – tracąc przez tę zwłokę spowodowaną przezornością więcej czasu, aniżeli by wystarczyło na przejście całej odległości – nigdy atoli nie widziałem, aby któraś z nich po prostu szła – potem zaś nagle, w mgnieniu oka wdrapywała się na czubek młodej sosny smołowej i nakręcając sprężynę swojego zegara<sup>4</sup> besztła wszystkich wyimaginowanych widzów, mówiąc do siebie samej i zarazem rozmawiając z całym wszecłwiatem – z powodów, których nigdy nie potrafiłem odkryć ani też ona sama, jak podejrzewam, nie znała. W końcu sięgała po kukurydżę i wybierając odpowiedni kaczan, dawała podobnie niezdecydowanego trygonometrycznego susa na najwyżej leżące bierwiono na mojej stercie drewna przed oknem, a stamtąd patrzyła mi w oczy przesiadując tak godzinami i od czasu do czasu zaopatrując się w nowy kaczan, który początkowo oskubywała żarłocznie, potem zaś odrzucała na wpół ogryziony, aż wreszcie robiła się jeszcze bardziej wybredna i bawiła się kukurydżą smakując tylko sam środek – kaczan oparty o bierwiono z jednej strony i przytrzymywany łapką z drugiej, wysuwał się z tego niedbałego chwytu i padał na ziemię, a wówczas wiewiórka przyglądała mu się niepewnie, ze śmiesznym wyrazem pyszczka, jak gdyby pełna podejrzeń, że jest żywy, i nie mogąc się zdecydować, czy ruszyć po niego, czy po nowy, czy uciec do lasu; najpierw rozmyślała o kukurydzy, potem nasłuchiwała, co niesie wiatr. W ten oto sposób mała zuchwała spryciarka marnowała w południe wiele kaczanów, aż w końcu uchwyciwszy jakiś dłuższy i grubszy, znacznie większy od siebie samej, zgrabnie trzymając go w pyszczku ruszała do lasu niby tygrys z bawołem, tą samą zygzakowatą drogą, z częstymi przystankami, ciągnąc kaczanem po ziemi, jak gdyby był zbyt ciężki i przez cały czas jej się wymykał tworząc przekątną między pionem a poziomem. Ona jednak bezwzględnie się uparła dociągnąć go do końca – osobiwie lekkomyślna i kapryśna istota – i udawało jej się dotrzeć tam, gdzie mieszkała: chyba wdrapywała się ze zdobyczą na czubek odległej o czterdzieści czy pięćdziesiąt prętów sosny, bo później znajdowałem kaczany porozrzucane we wszystkie strony lasu.

Wreszcie pojawiły się sójki, których nieskoordynowane wrzaski słycać było na długo przedtem, albowiem nadlatywały ostrożnie z odległości jednej ósmej mili przemykając się ukradkiem, frunąc chyłkiem z drzewa na drzewo coraz to bliżej, i porywały objedzone kaczany porzucone przez wiewiórki. Potem usadziwszy się na gałęzi sosny smołowej, każda usiłuje spiesźnie połknąć swą resztkę kaczana, lecz nie mieści się ona w zbyt małym gardle i sójka się dławi; dopiero po długich zmaganiach wypluwa kaczan i przez godzinę usiłuje rozłupać bijąc w niego dziobem. Zachowywały się jawnie jak złodziejki, toteż nie darzyłem ich wielkim szacunkiem; co innego wiewiórki – aczkolwiek początkowo nieśmiałe, do roboty zabierały się tak Jakby sięgały po swoją własność.

Tymczasem nadleciały również stada sikor, które porwały kawałki porzucone przez wiewiórki, pofrunęły na najbliższą gałąź i umieściwszy je pod pazurkami tak długo dziobały, jak gdyby wydłubując owady z kory, dopóki nie rozłupały ich na kruszyny odpowiadające rozmiarami niewielkim gardziółkom. Sikory te przylatywały codziennie małym sta-

---

<sup>4</sup> Wiewiórka może wydawać dźwięk podobny do głośnego tykania

dem, aby wydłubać sobie obiad z mojej sterty drewna czy porwać okruchy sprzed drzwi, a przemykając jakby lekko szeleściły niby sople pobrzękujące wśród traw albo wesoło wołały „dzień, dzień, dzień”, albo też rzadziej, w dni podobne do wiosennych, rzucały od strony lasu metaliczne kanikułowe „fi-bi”. Czuły się tak swobodnie, że wreszcie jedna usiadła mi na naręczu chrustu i nic się nie bojąc dziobała gałęzie. Pewnego razu, gdy gracowałem motyką w ogrodzie w miasteczku, przysiadł na chwilę na moim ramieniu wróbel, którym to faktem poczułem się bardziej wyróżniony, aniżeli gdyby zdobyły mnie szlify oficerskie. Wiewiórki również w końcu się oswoiły i niekiedy przebiegały mi po bucie, jeśli tak było im wygodniej.

Gdy śnieg jeszcze nie całkiem pokrywał ziemię, jak również pod koniec zimy, skoro na południowym stoku mojego wzgórze i wokół sterty drewna śnieg stopniał, przybywały z lasu kuropatwy na poranny i wieczorny posiłek. Którąkolwiek stroną lasu podąża wędrowiec, wystrzela z furkotem skrzydeł kuropatwa, podrywając z uschłych liści i gałązek wysoko w górę śnieg, który opada przez sito promieni słońca niby złoty pył; temu dzielnemu ptakowi bowiem niestraszna zima. Często przysypują go zasy i bywa, że „niekiedy wygrzebuje się z nich skrzydłami i zagłębia w puszystym śniegu, gdzie pozostaje w ukryciu przez dzień czy dwa”. Płoszyłem je również na otwartej przestrzeni, na którą wyszły z lasu o zachodzie, aby „pączkować” dzikie jabłonie. Kuropatwy będą się pojawiały regularnie co wieczór pod określonymi drzewami – gdzie czeka na nie sprytny myśliwy – przez co odległe sady położone w pobliżu lasu cierpią niemało. W każdym razie ja się cieszę, że kuropatwa znajduje pożywienie. To należący do Natury ptak, który żywi się pączkami i pije dietetyczne napoje.

W ciemne zimowe poranki czy w krótkie zimowe popołudnia niekiedy dolatywały mnie ujadanie i skowyt sfory psów myśliwskich przeczesującej cały las, niezdolnej oprzeć się instynktowi polowania, i od czasu do czasu granie rogu myśliwskiego, co dowodziło, że na tyłach obecny był człowiek. Lasy znów rozbrzmiewają wrzawą, a jednak ani jeden lis nie wyskoczy na otwartą przestrzeń stawu ani nie zrobi tego sfora goniąca swego Akteona<sup>5</sup>. I być może wieczorem ujrzę myśliwych powracających z jedną lisią kitą uwieszoną jako trofeum u sań, myśliwych poszukujących zajazdu. Podobno gdyby lis pozostał w łonie zmarzniętej ziemi, wyszedłby z tego bez szwanku, a gdyby biegł po linii prostej, nie przegoniłby go żaden pies myśliwski; lecz gdy pozostawi pogoń daleko za sobą, przystaje, aby odpocząć i nasłuchiwać, aż pogoń znów nadciągnie; gdy zaś ucieka, kluczy wkoło, zanim dotrze do swoich starych nor, gdzie już czekają na niego myśliwi. Aliści czasami będzie biegł po murku granicznym przez wiele prętów, aż nagle odskoczy daleko w bok; ponadto robi wrażenie, jakby wiedział, że w wodzie nie pozostawia tropu. Pewien myśliwy opowiadał mi, że był świadkiem, jak goniony przez psy lis wypadł na Walden, na którego pokrytej lodem powierzchni stały płytkie kałuże; lis przebiegł kawałek, a potem wrócił na ten sam brzeg. Niebawem nadciągnęły psy, lecz zgubiły trop. Czasami zdarzało się, że sfora, która wypuściła się samopas na polowanie, przebiegała przed moimi drzwiami i okrążała dom

---

<sup>5</sup> Akteon – wychowanek centaura Chirona, słynny myśliwy. Za to, że podpatrywał kąpiącą się Artemidę, został przez nią zamieniony w jelenia, a potem rozszarpany przez własne psy.

szczując się nawzajem i skowycząc, zupełnie nie stropiona moją obecnością, jak gdyby dotknięta jakąś odmianą obłądzenia, tak że nic nie mogło odwrócić jej uwagi i przerwać pogoni. Krążyła tak dopóty, dopóki nie natrafiła na świeży trop lisa, albowiem mądry pies myśliwski zapomina wówczas o wszystkim. Pewnego dnia przyszedł do mojej chaty myśliwy z Lexington, aby zapytać, czy nie widziałem jego psa, który wybrał się sam na długie, trwające już tydzień polowanie. Obawiam się jednak, że niewiele skorzystał z tego, co mówiłem, gdyż za każdym razem, gdy próbowałem odpowiedzieć na jego pytania, przerywał mi innym pytaniem: „Co pan tu robi?” Zgubił psa, lecz znalazł człowieka.

Pewien stary myśliwy, oschły w swych wypowiedziach, który przychodził kąpać się w Walden raz do roku, gdy woda była najcieplejsza, i wówczas wstępował do mnie, opowiadał, że pewnego popołudnia, wiele lat temu, chwycił strzelbę i ruszył na obchód Walden'skich Lasów; idąc drogą do Wayland usłyszał wrzawę zbliżającej się sfory, a po chwili skacząc przez murek wypadł na drogę lis, lecz w mgnieniu oka znów zniknął w lesie, przeto chyba kula myśliwego nawet go nie tknęła. Krótco po tym wypadła pędem pogoń – stara suka z trzema szczeniętami, polująca na własny rachunek, wszelako i ona na powrót zniknęła w lesie. Późnym popołudniem, gdy myśliwy odpoczywał w leśnej gęstwinie na południe od Waldenu, usłyszał dolatującą go z oddali od strony Fair Haven wrzawę sfory, która nadal goniła za lisem – pogoń trwała, las dookoła rozbrzmiewał coraz to bliższym ujadaniem psów, a to od strony Studziennej Łąki, a to od Farmy Bakera. Długi czas stał bez ruchu i słuchał tej muzyki, tak milej uchu myśliwego, aż nagle pojawił się lis przemierzając dostojne dukty swobodnym truchtem, tłumionym przez szelest życzliwych liści, chryzą i równomiernym, nieustępliwym, pozostawiającym pogoń daleko w tyle; wtem lis wskoczył na leżący wśród lasu głaz, usiadł na nim prosto i nasłuchiwał odwrócony tyłem do myśliwego. Temu zaś litość na chwilę powstrzymała rękę, lecz uczucie to nie na długo wzięło nad nim górę, albowiem naraz, z szybkością przemykającej przez głowę myśli, wycelował strzelbę i trrach! – lis stoczył się z głazu i padł martwy na ziemię. Myśliwy wciąż nie opuszczał swojego miejsca i słuchał ujadania psów. Nadal biegły w jego stronę i teraz wszystkie dukty rozbrzmiewały ich demonicznym skowycem. W końcu spośród drzew wypadła stara suka z pyskiem u ziemi, kłapiąc w powietrzu jak opętana, i rzuciła się wprost w stronę głazu, alści wytropiwszy martwego lisa, nagle zakończyła łowy, jak gdyby oniemiała ze zdumienia. Krążyła wokół niego w milczeniu, a przybyłe jedno po drugim jej szczenięta podobnie jak matka umilkły, otrzeźwione tajemniczym faktem. Wówczas myśliwy stanął wśród psów i tajemnica się wyjaśniła. Czekały w milczeniu, gdy obdzierał lisa ze skóry, potem biegły jakiś czas za lisią kitą, aż wreszcie na powrót ruszyły w las. Tego samego wieczoru concordzkiego myśliwego odwiedził w jego chacie właściciel ziemski z Weston<sup>6</sup>, aby się dowiedzieć o swoje psy, które według jego relacji polowały same od tygodnia w westońskich lasach. Myśliwy z Concord opowiedział, co wie na ten temat, i wystąpił z propozycją ofiarowania mu lisiej skóry, lecz tamten odszedł nie przyjąwszy podarunku. Nie odnalazł swoich psów tego wieczoru, a nazajutrz powiedziano mu, że przeprawiły się przez rzekę i spędziły noc gdzieś na farmie, którą opuściły – dobrze nakarmione – wcześniej rano.

---

<sup>6</sup> Miasteczko położone na południe od Concord.



Myśliwy, od którego słyszałem tę opowieść, pamiętał niejakiego Sama Nuttinga polującego ongi na niedźwiedzie na skrajach Jasnej Przystani i wymieniającego w miasteczku Concord ich skóry na rum. Tenże mówił mu nawet, że widział tam łosia. Nutting był właścicielem słynnego, używanego w polowaniach na lisy psa, który wabił się Burgoyne – co jego pan wymawiał Bugine – i którego mój informator niekiedy pożyczął. Taki oto zapisek znalazłem w „Księdze kredytowej” starego kupca z naszego miasteczka, który był również kapitanem, urzędnikiem miejskim i reprezentantem w Izbie. Pod datą osiemnastego stycznia 1742, pozycja 3 czytamy: „John Melven Cr. zastawił 1 szarego lisa 0-2-3.” Obecnie już się ich tutaj nie spotyka. A w swojej głównej księdze rachunkowej kupiec zanotował, że siódmego lutego 1743 roku Hezekiah Stratton otrzymał kredyt „zastawiwszy ½ skóry kota 0-1-4½”. Idzie oczywiście o dzikiego kota, czyli żbika, Stratton był bowiem sierżantem w czasie dawnej wojny francuskiej<sup>7</sup> i nie dawałby pod zastaw upolowanej, mniej szlachetnej zwierzyny. Kredytu udzielano również pod zastaw jelenich skór, sprzedawanych z dnia na dzień. Pewien człowiek do dziś przechowuje rogi ostatniego jelenia, którego ustrzelono w naszej okolicy, inny znów opowiadał mi szczegóły polowania z udziałem swego wuja. Niegdyś myśliwi stanowili tutaj liczną i wesołą kompanię. Dobrze pamiętam pewnego wychudzonego Nimroda<sup>8</sup>, który podnosił ze skraju drogi liść i wydobywał z niego żywsze i bardziej melodyjne tony – jeśli nie zawodzi mnie pamięć – aniżeli ktoś z rogu myśliwskiego. Niekiedy o północy, gdy świecił księżyc, spotykałem na ścieżce grasujące po lesie psy myśliwskie, które ustępowały mi cichaczem z drogi, jak gdyby ze strachu, i stały cicho w krzakach, dopóki nie przeszedłem.

Wiewiórki i polne myszy prowadziły spory o mój zapas orzechów. Dookoła domu było mnóstwo sosen smołowych, o średnicy od jednego do czterech cali, ogryzionych z kory przez myszy poprzedniej zimy, która była dla nich zimą norweską, długo bowiem leżał głęboki śnieg i zwierzęta musiały włączyć do swojego jadłospisu duże ilości sosnowej kory. Drzewa owe nadal żyły i w lecie najwyraźniej okrywały się bujną zielenią, a wiele z nich urosło o stopę, chociaż ogryzione były dookoła; następnej zimy jednak wszystkie bez wyjątku uschły. Godne uwagi, że w ten sposób na obiad jednej polnej myszy przypadła cała sosna, zamiast bowiem ogryzać korę w górę i w dół, mysz robiła to dookoła; lecz może właśnie należy przerzedzać las, gdyż przeważnie zarasta gęstwina.

Bardzo oswojone były zające (*Lepus Americanus*). Jedna zajęczyca miała przez całą zimę gniazdo pod moim domem, oddzielone ode mnie tylko podłogą. Co rano, gdy zaczynałem się poruszać, napędzała mi strachu swą pośpieszną ucieczką – puk, puk, puk, stukała szybko głową o deski podłogi. O zmierzchu zające przychodziły pod moje drzwi oskubywać wyrzucone tam obierki kartofli, a barwa ich sierści przypominała kolor ziemi, toteż gdy się nie poruszały, trudno je było odróżnić. Niekiedy w półmroku na przemian a to widziałem, a to traciłem z oczu jednego z nich, który siedział nieruchomo pod oknem. Gdy wieczorem otwierałem drzwi, czmychały kicając i popiskując. Będąc w pobliżu, tylko wzbudzały

<sup>7</sup> Mowa o jednym z epizodów ciągnącej się od 1689 r. z przerwami wojny z Francuzami o posiadłości kolonialne w Ameryce. Ostatnim jej etapem była wojna francusko-indiańska, która toczyła się w tych samych latach co w Europie Wojna Siedmioletnia (1754-63).

<sup>8</sup> „Dzielny myśliwy przed Panem jak Nimrod.” Stary Testament, Księga Rodzaju 10, 9.

we mnie litość. Pewnego wieczoru jeden usiadł przy drzwiach o dwa kroki ode mnie – z początku drżał ze strachu, aliści nie ruszał się z miejsca, wychudły i kościsty, biedaczek z poszarpanymi uszami i zaostrzonym nosem, rzadkim ogonem i cienkimi łapkami. Wydawało się, że Natura nie dysponuje już tym gatunkiem o szlachetniejszej krwi<sup>9</sup>, lecz goni resztkami. Duże oczy zająca wyglądały na młode i niezdrowe, niemal obrzmiałe. Postąpiłem krok i oto czmychnął giętym łukiem nad śnieżną skorupą, wyciągając wdzięcznie tułów i kończyny, tak że niebawem rozdzielił nas zagajnik – dzikie, żyjące na wolności zwierzę, które dowodziło swojej siły i potwierdzało dostojeństwo Natury, Nie bez powodu był zwinny. Taką miał naturę. (*Lepus, levipes*, jak niektórzy twierdzą „chyży”<sup>10</sup>.)

Co to za kraj bez królików i kuropatw? Są jednymi z najbardziej naturalnych okazów miejscowej fauny, starymi i czcigodnymi rodzinami znanymi zarówno w starożytności, jak i w czasach nowożytnych, tej samej barwy i z tej samej materii co Natura, najbliższe liściom i ziemi – oraz sobie nawzajem: jedne są skrzydlate, drugie mają nogi. Gdy pojawi się zagała kuropatwa czy królik, trudno uważać, że widzi się dzikie stworzenie, ich istnienie jest bowiem tak naturalne, wręcz tak samo oczywiste jak szmer liści. Kuropatwa i królik z pewnością przetrwają jako gatunek, jako najprawdziwsi autochtoni ziemi, niezależnie od rewolucji, jakie mogą nastąpić. Po wycięciu lasu dostarczają im schronienia odbijające pędy i krzewy i kuropatwy oraz króliki mnożą się obficie anizeli kiedykolwiek. Kraj, w którym zając nie może przetrwać, musi być naprawdę ubogi. Nasze lasy roją się od jednych i drugich, wszędzie wokół moczarów widuje się spacerujące kuropatwy czy króliki, osaczone płótkami z gałązek i sidłami z końskiego włosia, zakładanymi przez pastuchów.

---

<sup>9</sup>„Rzymie, wysechł w tobie źródł krwi szlachetnej!” William Szekspir, *Juliusz Cezar*, akt I, sc. 2. Przełożył Józef Paszkowski.

<sup>10</sup>„Zdaniem Lucjusza Aeliusza zającowi nadano nazwę *Lepus* dlatego, że rącho biega, że jest *levipes*, chyży.” Warron, *Rerum Rusticarum* 3, 12.

## Staw w zimie

Po spokojnej nocy przebudziłem się z uczuciem, że postawiono mi jakieś pytanie, na które usiłowałem na próżno we śnie odpowiedzieć, pytanie: co? jak? kiedy? gdzie? Lecz oto budził się świt w Naturze, w której bytują wszelkie stworzenia, ona zaś zaglądała w moje szerokie okna z pogodnym i zadowolonym obliczem i na jej ustach nie błądziło pytanie. Przebudzenie dało mi zatem pełną odpowiedź, a była nią Natura i światło dnia. Pokrywająca ziemię głęboki śnieg poznaczony młodymi sosenkami oraz stok wzgórzka, na którym stoi mój dom, wydawały się mówić: „Naprzód!” Natura nie zadaje pytań ani nie udziela odpowiedzi na te, które my, śmiertelnicy, stawiamy. Takie postanowienie powzięła dawno temu. „O Książę, nasze oczy z podziwem kontemplują i przekazują duszy owo cudowne, urozmaicone widowisko tego wszechświata. Noc niewątpliwie w jakiejś części okrywa wolałem ten prześwietny byt, nastaje jednak dzień i odsłania przed nami to wielkie dzieło rozciągające się od ziemi aż po równiny sklepienia niebieskiego.”<sup>1</sup>

Potem ruszam do porannych zajęć. Najpierw biorę siekiere i wiadro i idę na poszukiwanie wody, jeśli nie okaże się to płonnym życzeniem. Po zimnej i śnieżnej nocy należało jej szukać za pomocą różdżki. Każdej zimy płynna i rozedrgana powierzchnia stawu, tak wrażliwa na najłżejszy powiew, odbijająca wszelkie światło i cień, tężeje aż na głębokość jednej lub półtorej stopy, tak że utrzyma najcięższe zaprzęgi, a na niej leżeć może śnieg tej samej głębokości, toteż staw niczym się nie różni od innych płaskich fragmentów terenu. Zamyka swe powieki i zapada w sen na trzy miesiące lub dłużej, podobnie jak świstaki. Stojąc na pokrytej śniegiem płaszczyźnie, jakby na pastwisku pośród wzgórz, najpierw toruję sobie drogę przez głęboki na stopę śnieg, potem zaś przez gruby na stopę lód, w którym otwieram pod stopami okienko i pochylając się, aby zaspokoić pragnienie, zaglądam do ciemnego salonu ryb przesyconego łagodniejszym światłem, jak gdyby przez okno z zimnego szkła, i widzę jasną piaszczystą podłogę, taką samą jak w lecie – króluje tam wieczny, nie burzony przez fale spokój niby na bursztynowym niebie<sup>o</sup> zmierzchu, pozostający w zgodzie z zimną naturą, a nawet temperamentem mieszkańców. Niebo mamy i pod stopami, i nad głową.

Wcześniej rano, gdy wszystko aż skrzypi od mrozu, przybywają mężczyźni ze szpulami żyłek i haczykami na ryby oraz ze skromnym drugim śniadaniem; wpuszczają cienkie żyłki pod śnieżną pokrywą i łowią młode szczupaki i okonie; dzicy ludzie, którzy hołdują instynktownie innym zwyczajom oraz uznają inne autorytety aniżeli ich ziomkowie, a swą krzątaniem spajają miasta tam, gdzie w przeciwnym razie pozostałyby one rozpęknięte. Siedzą na brzegu w grubych kastorowych kurtach na suchych liściach dębu i spożywają drugie

---

<sup>1</sup> Źródło tego cytatu pozostaje do dziś nie ustalone.

śniadanie; mają taką instynktowną wiedzę, jakiej obywatel nabywa. Nigdy nie korzystali z konsultacji książek, toteż wiedzą i potrafią opowiedzieć o wiele mniej aniżeli zrobić. To, co praktykują, nie jest podobno jeszcze powszechnie znane. Oto jeden łowi młode szczupaki używając dorosłego okonia na przynętę. Do jego wiadra zagląda się ze zdumieniem niby do stawu w lecie, jak gdyby zamknął lato u siebie w domu czy też wiedział, dokąd sobie poszło. Jakże, na Boga, zdobył to w środku zimy? Cóż, robaków nałapał w spróchniałych pniach, jako że ziemia zamarzła. Jego życie związane jest głębiej z Naturą, aniżeli wdzierają się w nią badacze swoimi studiami, których on sam pozostaje przedmiotem. Badacz poszukując owadów zdejmuje delikatnie nożem mech i korę, natomiast nasz rybak rozłupuje siekierą pnie aż do samego ich rdzenia, a tymczasem mech i kora fruwają we wszystkie strony. Zarabia na życie okorowując drzewa. Taki człowiek ma pewne prawo łowić ryby, a ja kocham Naturę, która w nim znajduje spełnienie. Okoń połyka pędraka, młody szczupak połyka okonia, a rybak połyka szczupaka. W taki oto sposób wypełniają się wszystkie luki na skali istnienia<sup>2</sup>.

Czasami, gdy przechadzałem się dookoła stawu w mglistą pogodę, ubawiłem się patrząc na prymitywny sposób łowienia stosowany przez pewnego bardziej obcesowego rybaka. Nad wąskimi przerębiami wykutymi w lodzie o cztery, pięć prętów jedna od drugiej i w takim samym oddaleniu od brzegu układał chyba gałęzie olchy i przywiązawszy koniec linki do patyka, który chronił ją przed wciągnięciem, luźną linkę przerzucał przez gałązkę olchy, stopę lub wyżej ponad lodem, i przywiązywał do niej suchy liść dębu, aby ten, skoro zostanie szarpnięty w dół, wskazywał, że ryba bierze. Gdy obchodziło się staw dookoła, olchy te majaczyły we mgle w regularnych odstępach.

Ach, młode szczupaki z Waldenu! Kiedy patrzę na nie ułożone na lodzie czy w dołku wyrąbanym w lodzie przez rybaka, z małą dziurką, aby miała którędy wpływać woda, zawsze zadziwia mnie ich niepowszednie piękno, jak gdyby były rybami z bajki – takie są obce naszym ulicom, nawet lasom, obce niby Arabia concordzkiemu życiu. Emanują osłepiające i transcendentne piękno, toteż między nimi a trupim dorszem i łupaczem, którego sławią na naszych ulicach<sup>3</sup>, wytwarza się głęboka przepaść. Nie są zielone tak jak sosny ani szare jak kamienie, ani niebieskie jak niebo; mają bowiem w moich oczach barwy jeszcze rzadziej spotykane – jeśli to możliwe – podobne do kolorów kwiatów i kamieni szlachetnych, jak gdyby były perłami, animalistycznymi jądrami czy kryształami wody Waldenu. To oczywiście, że są całkowicie i na wskroś Waldenem, są małymi Waldenami w królestwie zwierząt, waldensami<sup>4</sup>. Zaskakujące, że można je tutaj złowić – że ta wspaniała złoto-szmaragdowa ryba pływa w tym głębokim i pojemnym źródle o wiele niżej położonym aniżeli waldeńska droga rozbrzmiewająca turkotem wozów i bryczek oraz dzwonekami sań. Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć podobnego gatunku na żadnym z targów; zwróciłyby się na niego

---

<sup>2</sup> Odniesienie do niezwykle popularnej, szczególnie w osiemnastowiecznej Anglii, koncepcji „wielkiego łańcucha istnienia”. Patrz Arthur O. Lovejoy, *The Great Chain of Being*, Cambridge 1933.

<sup>3</sup> W czasach Thoreau handlarze ryb chodząc ulicami miasteczek dęli w rogi reklamując swój towar.

<sup>4</sup> Waldensi – ruch religijno-społeczny w XII-XV w., zapoczątkowany przez P. Valda; postulowali reformę Kościoła, praktykowali ubóstwo. Głównie Francja, Włochy.

wszystkie oczy. Ledwie kilka konwulsyjnych drgawek wystarczy, aby oddały swego wodnego ducha, niby śmiertelnik przeniesiony przedwcześnie w eteryczne powietrze niebios.

Skoro pragnąłem odnaleźć dawno temu zagubione dno stawu Walden, na początku 1846 roku, zanim łód zaczął pękać, przeprowadziłem dokładne pomiary za pomocą busoli, łańcucha i sondy<sup>5</sup>. O dnie stawu, a właściwie o jego braku istniało wiele opowieści, które z pewnością były bezpodstawne. Zadziwiające, jak długo ludzie mogą wierzyć w to, że staw jest bezdenne, nie zadając sobie trudu rzucenia sondy. Podczas jednego spaceru w tutejszej okolicy odwiedziłem dwa takie Bezdenne Stawy. Wielu ludzi wierzyło, że Walden sięga aż do przeciwnej półkuli. Niektórzy kładli się na długi czas płasko na lodzie i starając się – pewnie angażując do tego również wilgotne oczy – przejrzeć ten zwodniczy ośrodek oraz wyciągając pochopne wnioski w strachu, że przeziębą sobie piersi, dostrzegali przepastne dziury, „w które dałoby się wpakować furę siana”, gdyby miał kto nią powozić – niewątpliwie źródło Styksu i wejście prowadzące z tych stron do Regionów Piekieł. Inni wyruszyli z miasteczka z „pięćdziesiątką szóstką”<sup>6</sup> i zwojem jednocalowej liny na wozie, lecz nawet im nie udawało się natrafić na dno; albowiem podczas gdy „pięćdziesiątką szóstką” odpoczywała po drodze, oni popuszczali linę na próżno usiłując zgłębić swoje prawdziwie niezmiernie braki w zdolności pojmowania. Mogę jednak zapewnić czytelników, że Walden ma umiarkowanie szczelne dno i to nie na nieumiarkowanej, choć prawda, że niezwyklej, głębokości. Wysondowałem je z łatwością za pomocą żyłki na dorsze i kamienia o ciężarze około półtora funta – potrafiłem dokładnie określić, kiedy kamień oderwał się od dna, albowiem zanim dostała się pod niego woda i mi pomogła, musiałem ciągnąć o wiele mocniej. Największa głębokość wynosiła dokładnie sto dwie stopy, a po dodaniu owych pięciu stóp, o które się od tego czasu woda podniosła – sto siedem. Jest to nadzwyczajna głębokość jak na taką niewielką powierzchnię, aliści wyobraźnia nie potrafiłaby się pogodzić z utratą ani jednego jej cala. A gdyby wszystkie stawy były płytkie? Czyby to nie miało wpływu na umysły ludzi? Jestem wdzięczny, że ten staw powstał głęboki i czysty, aby stanowić symbol. Ludzie wierzą w nieskończoność, niektóre stawy zaś mogą uchodzić za bezdenne.

Pewien fabrykant słysząc, jaki głęboki jest staw według moich pomiarów, stwierdził, że to niemożliwe, albowiem opierając się na swojej znajomości grobli uważał, iż piasek nie utrzyma się pod takim ostrym kątem. Aczkolwiek najgłębsze stawy nie są aż takie głębokie proporcjonalnie do swojej powierzchni, jak niektórzy sądzą, i gdyby je osuszono, nie pozostałyby po nich szczególnie znaczne zagłębienia. Nie przypominają pucharów pomiędzy wzgórzami, albowiem ten, który wydaje się tak niezwykle głęboki jak na swoją powierzchnię, w przekroju pionowym przez środek okazuje się nie głębszy aniżeli płytki talerz. Po większości stawów, gdyby spuścić z nich wodę, pozostałyby łąki w zagłębieniach wcale nie znaczniejszych niż te przeważnie przez nas widywane. William Gilpin, autor tak zachwycających i na ogół bardzo dokładnych relacji o krajobrazach, stojąc na brzegu Loch Fyne w Szkocji, które to jezioro opisuje jako „słonowodną zatokę głęboką na sześćdziesiąt czy

---

<sup>5</sup> W 1939 roku Edward S. Deevey, pracownik Osborn Zoological Laboratory Uniwersytetu Yale porównał pomiary przeprowadzone przez Thoreau z ówczesnymi pomiarami dokonanymi za pomocą nowoczesnych przyrządów. Okazało się, że pomiary Thoreau były niezwykle dokładne.

<sup>6</sup> Ciężar pięćdziesięciosześcioletni.

siedemdziesiąt sążni, szeroką na cztery mile”<sup>7</sup>, a około pięćdziesięciu mil długą, otoczoną górami, zauważa, że: „Gdybyśmy mogli ją widzieć tuż po przełomie dyluwialnym czy innym wstrząsie, którego doświadczała Natura, zanim wtargnęły wody, jakże przerażającą musiała być rozpadlina!”<sup>8</sup>

Góry ogromne powstały dźwignawszy  
Grzbiety szerokie ku chmurom, a szczytem  
Sięgając nieba. A jak się dźwignęły  
Wzgórza wypukłe, tak nisko opadło  
Dno w dół rozległy, wód przestronne łoże.<sup>9</sup>

Aczkolwiek jeśli biorąc średnicę Loch Fyne w jego najwęższym miejscu porównamy wymiary owej zatoki do wymiarów Waldenu, który – jak wykazaliśmy – już w przekroju pionowym wygląda jak płytki talerz, teraz okaże się cztery razy płytszy. Tyle, jeśli idzie o to, o ile bardziej przerażająca mogłaby się stać rozpadlina Loch Fyne, gdyby spuszczone z niej wodę. Bez wątplenia wiele radosnych dolin z rozkołysanymi łąkami zbóż jest właśnie takimi „przerażającymi rozpadlinami”, z których cofnęły się wody, choć aby przekonać ich niczego nie podejrzewających mieszkańców, że tak właśnie się stało, geolog zmuszony byłby przedstawić sprawę dogłębnie, jak również z dystansu. Często zdarza się, że w starych warstwach skalnych wzgórz ciekawe oko wypatrzy zarysy brzegów pradawnego jeziora, których historię niekoniecznie musiało skryć późniejsze wypiętrzenie się doliny. Najłatwiej wszelako jest wypatrzeć zagłębienia terenu po przelotnym deszczu, albowiem powstają w nich kałuże, o czym wiedzą robotnicy drogowi. Oznacza to, że jeśli choćby najlżej puścimy wodze wyobraźni, sięga ona głębiej i wzbija się wyżej aniżeli Natura. Toteż może się okazać, że głębokość oceanu jest naprawdę nieznaczna w porównaniu z jego szerokością.

Skoro sondowałem przez powierzchnię lodu, mogłem ustalić profil dna z większą dokładnością aniżeli w zbiornikach, które nie zamarzają; zdumiała mnie również regularność owego profilu. W najgłębszym miejscu kilka akrów okazało się bardziej płaskich niż większość pól narażonych na działanie słońca, wiatru i pługa. W jednym wypadku, mierząc wzdłuż dowolnie wybranej linii, nie stwierdziłem większych różnic głębokości aniżeli o stopę na odcinku trzydziestu prętów, a ogólnie mówiąc, bliżej środka różnice te potrafiłem z góry oszacować jako nie większe niż trzy, cztery cale na odcinku stu stóp, niezależnie od kierunku. Niektórzy mają zwyczaj opowiadać o głębokich i niebezpiecznych dziurach na dnie nawet takiego jak Walden spokojnego, wysłanego piachem stawu, lecz działanie wody wygładza w takich wypadkach wszelkie nierówności. Regularność profilu dna, jego przystosowanie do linii brzegu oraz pasma pobliskich pagórków były tak doskonałe, że sondowanie dna zdradzało istnienie przyłądka po przeciwnej stronie stawu, a kierunek, w

---

<sup>7</sup> William Gilpin, *Observations on [...] the Highlands of Scotland*, Londyn 1808, II, 4.

<sup>8</sup> *Ibid.*

<sup>9</sup> John Milton, *Raj utracony*, VII, 338-342. Przełożył Maciej Słomczyński.

którym leżał przylądek, można było ustalić obserwując przeciwległy brzeg. Przylądek staje się piaszczystą łachą, gładką mielizną, zagłębieniem, gardzielą pełną wody oraz kanałem.

Gdy sporządziłem mapę stawu w skali dziesięciu prętów do cala i naniosłem na nią wyniki pomiarów głębokości, a dotyczyły one ponad stu punktów, zauważyłem szczególnie zbieg okoliczności. Otóż widząc, że punkt oznaczający największą głębokość znajduje się najwyraźniej pośrodku, przyłożyłem do mapy linijkę wzdłuż stawu, następnie zaś wszedź i stwierdziłem, że długość przecina się z szerokością dokładnie w punkcie oznaczającym największą głębokość, pomimo że środek jest niemal płaski, obrys stawu daleki od regularnego, a największa długość i szerokość mierzone w miejscach, w których były zatoczki. Przeto pomyślałem sobie: czyżby należało rozumieć, że w podobny sposób można oznaczyć najgłębsze miejsce w oceanie, w stawie czy kałuży? Czy stanowi to również zasadę obliczania wysokości gór, skoro są odwróceniem dolin? Wiadomo, że wzgórze nie jest najwyższe w swojej najwęższej części.

Stwierdzono, że w trzech spośród pięciu zatoczek, a zatem we wszystkich, które sondowano, ciągnie się u wejścia łacha piachu, dalej zaś zaczyna się głębina, tak że wody ich wdzierają się w łąd nie tylko w płaszczyźnie poziomej, lecz także pionowej i tworzą baseny czy też niezależne stawy, przy czym końce języków dwóch cypli wyznaczają punkty, między którymi ciągną się owe piaszczyste łachy. Istnieją one również u wejścia do wszystkich zatok morskich. W takim samym stosunku, w jakim wejście do zatoki było szersze od jej długości, woda nad łachą piachu była głębsza aniżeli w samej zatoce. Znając więc długość i szerokość zatoki oraz charakter pobliskiego brzegu jest się w posiadaniu niemal wszystkich danych, które pozwalają napisać wzór właściwy dla wszystkich przypadków, Aby przekonać się, z jaką dokładnością mogę dojść – wiedząc to, co już wiedziałem – gdzie znajduje się najgłębsze miejsce stawu na podstawie obserwacji samych tylko konturów lustra wody oraz charakteru brzegów, sporządziłem mapę stawu White, który liczy około czterdziestu jeden akrów powierzchni i podobnie jak Walden nie ma wyspy ani żadnego widocznego wpływu czy odpływu. Skoro linia największej szerokości wypadła bardzo blisko linii najmniejszej szerokości, gdzie dwa przeciwległe cyple zbliżyły się do siebie, a dwie przeciwległe zatoczki wdzierały się w łąd, zaryzykowałem oznaczenie punktu największej głębokości w niewielkiej odległości od tej drugiej linii, lecz nadal na linii największej długości. Okazało się, że najgłębsze miejsce znajdują się w istocie nie dalej aniżeli sto stóp od tego przeze mnie oznaczonego, trochę dalej w tym samym kierunku, w jakim ja go szukałem, i głębokość stawu wynosiła tylko stopę więcej, to znaczy sześćdziesiąt stóp. Oczywiście, gdyby do stawu wpływał strumień albo była na nim wyspa, problem stałby się o wiele bardziej skomplikowany.

Gdybyśmy znali wszystkie prawa Natury, potrzebowalibyśmy tylko jednego faktu lub opisu jednego rzeczywistego zjawiska, aby w tym punkcie móc wyciągnąć wnioski co do wszystkich konkretnych wyników. Teraz znamy tylko kilka praw i wynik, jaki uzyskujemy, wypaczony jest oczywiście nie przez zakłócenia czy nieregularności w Naturze, lecz przez naszą nieznaną podstawowych danych potrzebnych w obliczeniach. Nasze pojęcia o prawie i harmonii ograniczają się na ogół do tych przypadków, które dostrzeżemy; tymczasem harmonia, która wynika z daleko większej liczby pozornie sprzecznych, acz w rzeczy-

wistości współdziałających praw nie odkrytych przez nas, jest jeszcze bardziej doskonała. Poszczególne prawa są jak nasze punkty widzenia, podobnie jak zarys góry zmienia się dla wędrowca z każdym jego krokiem i góra ma nieskończoną liczbę profili, aczkolwiek tylko jedną formę. Przedzielona rozpadliną czy przewiercona, nie jest już pojmowana jako całość.

Moje obserwacje stawu w takim samym stopniu jak do niego odnoszą się do etyki. Mowa o prawie średniej. Taka reguła o dwóch średnicach nie tylko wiedzie nas w kierunku słońca w układzie słonecznym oraz serca u człowieka, lecz także gdy się narysuje linie prowadzące przez długość i szerokość skupiska konkretnych codziennych zachowań człowieka oraz fal życia wpływających w jego zatoki i zatoczki, to w miejscu ich przecięcia otrzyma się wzniosłość czy głębię jego charakteru. Może aby wywnioskować, jaką człowiek ma głębię i ukryte dno, wystarczy wiedzieć, jak przebiega linia jego brzegów oraz jaki kraj jest jego sąsiadem i w jakim on sam jest położeniu. Jeśli otoczony jest górami, to znaczy ma wokół siebie wybrzeże Achillesa<sup>10</sup>, którego szczyty rzucają cień na jego pierś i w niej się odbijają, można sądzić, że znajdują w tym człowieku odpowiadającą im głębię. Natomiast niski i płaski brzeg dowodzi, że człowiek jest płytki. Patrząc zaś na wygląd zewnętrzny – śmiałe i wypukłe czoło wskazuje na odpowiadającą mu głębię myśli. Ponadto wejście do każdej z naszych zatoczek, czyli konkretnych skłonności, przecina ława piachu, one zaś stanowią dla nas port sezonowy, w którym jesteśmy przetrzymywani i częściowo otoczeni przez ląd. Skłonności te nie są zazwyczaj kaprysmi, lecz formę ich, rozmiary i kierunek określają cyple wystające z brzegu, starodawne osie, których punkt styku wyznacza nasze położenie. Gdy stopniowo owa piaszczysta łacha powiększa się na skutek sztormów, przypliwów czy prądów albo wyziera na powierzchnię, skoro wody opadają, to, co pierwotnie było tylko tendencją brzegu, przy którym zakotwiczyła myśl, przekształca się w osobne jezioro odcięte od oceanu, jezioro, gdzie owa myśl zapewnia sobie własne warunki, zmienia się, być może ze słonej wody w słodką, staje się słodkim morzem, martwym morzem, mokradłem. Czyż nie możemy przypuszczać, że wraz z nastaniem życia każdego człowieka gdzieś zaczyna wyzierać spod powierzchni owa piaszczysta łacha? To prawda, tacy z nas kiepscy nawigatorzy, że myśli nasze przeważnie lawirują wzdłuż brzegu, na którym nie ma przystani, są obeznane tylko z zakolami zatoczek poezji albo sterują ku publicznym portom i gromadzą się w suchych dokach nauki, gdzie jedynie przywracają się do stanu użyteczności dla tego świata, a naturalne prądy zdolne je indywidualizować nie mają do nich dostępu.

Co się tyczy dopływu i odpływu Waldenu, nie odkryłem żadnych innych prócz deszczu, śniegu i parowania, aczkolwiek może za pomocą termometru i linki można by znaleźć takie miejsca, albowiem tam, gdzie woda zasila staw, byłaby najzimniejsza w lecie i najcieplejsza w zimie. Gdy na przełomie lat 1846-47 pracowali tu rębacze lodu, bryły posyłane przez nich na brzeg nie zostały pewnego dnia wykorzystane przez tych, którzy układali

---

<sup>10</sup> Achilles urodził się w Tesalii. Thoreau najprawdopodobniej mówi właśnie o jej górskim, urwistym wybrzeżu.



je w sterty, gdyż nie były dostatecznie grube i odstawały od pozostałych<sup>11</sup>. Wówczas rębacze stwierdzili, że na niewielkiej powierzchni lód jest dwa lub trzy cale cieńszy aniżeli gdzie indziej, co dało im do myślenia, że właśnie tam znajduje się dopływ. W innym miejscu pokazali mi coś, co nazwali „dziurą w kadzi”, przez którą woda stawu przeciekała pod wzgórzem na pobliską łąkę. Aby to zobaczyć, pchnęli mnie na bryle lodu. Ujrzałem małą dziurę dziesięć stóp pod wodą; chyba mogę dać gwarancję, że dopóki nie odkryję większej dziury, stawu nie będzie trzeba lutować. Jeden z rębaczy rzucił myśl, że gdyby odkryto taką „dziurę w kadzi”, to można by udowodnić, jak jest połączona z łąką – jeśli rzeczywiście była – wsypując do dziury trochę barwionego pyłu lub trocin, których drobiny niesione przez prąd dałoby się wyłowić sitem na łące, tam gdzie by wypływało źródło. Gdy przeprowadzałem swoje obserwacje, lód, gruby na szesnaście cali, pod wpływem lekkiego wiatru falował jak woda. Powszechnie wiadomo, że na lodzie nie daje się używać poziomnicy. W odległości jednego pręta od brzegu największe wahania, które mierzyłem za pomocą poziomnicy ustawionej na łódce i skierowanej w stronę palika z podziałką stojącego na lodzie, wynosiły trzy czwarte cala, chociaż wydawało się, że lód połączony jest mocno z brzegiem. Prawdopodobnie na środku były większe. Być może, gdyby nasze przyrządy były dostatecznie czułe, moglibyśmy zmierzyć falowanie w skorupie ziemskiej? Skoro dwie nogi mojej poziomnicy stały na brzegu, trzecia zaś na lodzie i celownik skierowałem ponad tę ostatnią, minimalne podnoszenie się i opadanie lodu rzutowane na drzewo na przeciwległym brzegu stawu uwidoczniło się jako różnica kilku stóp. Gdy zacząłem robić przeręble potrzebne do sondowania, natrafiłem na lodzie pod grubą warstwą śniegu na wodę trzy lub cztery cale głęboką uwięzioną tam na dobre; aliści natychmiast ruszyła do przerębla i płynęła tak przez dwa dni obfitymi strumieniami, które po obu swoich brzegach wyflukiwały lód, czym w zasadniczym stopniu, jeśli nie w ogóle, przyczyniły się do osuszenia powierzchni stawu, albowiem dzięki dopływowi wody lód na nim się podnosił. Przypominało to sytuację, jak gdyby w dzień statku wyrąbano dziurę, aby spuścić z niego wodę. Skoro podobne przeręble zamarzają, po czym spadnie deszcz i wreszcie nowy mróz zetnie wszystko świeżym gładkim lodem, jego środek porysowany jest pięknie w ciemne desenie, które przypominają swym kształtem pajęczynę, i można je nazwać lodowymi rozetkami utworzonymi przez kanaliki wyflukiwane wodą spływającą ze wszystkich stron do środka. Czasami też bywało, że gdy na lodzie stały płytkie kałuże, widywałem swój podwójny cień, jeden na głowie drugiego – pierwszy na lodzie, drugi na drzewach albo na zboczu pagórka.

Podczas gdy jeszcze trwa zimowy styczeń, gdy śnieg i lód leżą grubą i zwartą warstwą, z miasteczka przybywa przezorny gospodarz po lód, którym będzie chłodził swe napoje latem. Cóż za imponująca, wręcz wzruszająca mądrość, aby już w styczniu przewidywać lipcową spiekotę i pragnienie, jakie ona wzbudzi, będąc ubranym w gruby płaszcz i rękawice!

---

<sup>11</sup> Mowa o Frederiku Tudorze, „królu lodu” przemysłu chłodniczego w Nowej Anglii w XIX w., oraz jego byłym wspólniku Nathanielu Jarvisie Wyethu, którzy prowadzili wojnę o handel lodem w połowie lat 1840-ych. Nie chcąc kupować lodu od Wyetha, mającego monopol na jego pokłady, Tudor, którego statki handlowały lodem na całym świecie, urządził swe własne żniwa na stawie Walden. Tudor wygrał wojnę i już nie potrzebował lodu z Waldenu, pozostawił więc bryły na brzegu. Patrz: Richard O. Cummings, *The American Ice Harvests*, Berkeley 1949.

Zwłaszcza że o tyle innych rzeczy się nie zadbało. Zapewne na tym świecie nie ciuła on skarbów<sup>12</sup>, które w przyszłym ochłodzią jego letni napitek. Tnie i piłuje zwartą taflę stawu, pozbawia ryby dachu nad głową, wywozi furą ich żywioł i powietrze, związane mocno łańcuchami i palikami niby drewno opałowe, ciągnie je w przychylnym zimowym powietrzu do lodowatych piwnic, aby tworzyły podstawę lata. Daleko na ulicach miasteczka wieziony przez nie lód wygląda niby stężały lazur. Owi rębacze lodu to wesoła kompania skora do żartów i figli, toteż gdy znajdowałem się w ich gronie, zazwyczaj zapraszali mnie, abym piłował z nimi trzymając piłę pionowo, przy czym ja miałbym stać pod lodem.

Pewnego zimowego ranka na przełomie lat 1846-47 przybyło nad nasz staw stu ludzi z Hyperborejskiego oddziału wydobywczego. Przywieźli wiele fur topornych narzędzi rolniczych, sań, pługów, świdrów, szpadli do torfu, łopat, pił i grabi, a poza tym każdy z ludzi wyposażony był w pikę zakończoną dwoma szpicami, której opisu nie znajdzie się w „Nowoangielskim farmerze” czy „Rolniku”<sup>13</sup>. Nie wiedziałem, po co przybyli, może na siew żyta ozimego lub innego zboża niedawno sprowadzonego z Islandii. Skoro nie widać było nawozu, mieli zamiar – jak uznałem – zdjęć górną warstwę ziemi – podobnie jak ja to zrobiłem – wychodząc z założenia, że warstwa płodnej gleby jest gruba i dostatecznie długo leży odłogiem. Opowiadali, że pewien posiadacz ziemski, który za tym stoi, pragnie podwoić swoją fortunę już teraz wynoszącą, jak zrozumiałem, pół miliona; a po to, aby na każdym swoim dolarze móc położyć drugiego, zerwał z Waldenu jedyny płaszcz, ba, właściwie skórę w środku srogiej zimy. Od razu zabrali się do roboty w godnej podziwu kolejności: orali, bronowali, walcowali i rowkowali, jak gdyby się uparli założyć tu wzorcowe gospodarstwo. Gdy jednak zacząłem dokładnie się przyglądać, jakiego rodzaju nasiona posiali w bruździe, grupa jegomości u mojego boku nagle poczęła odrywać od podłoża dziewiczy czarnoziem osobliwie gwałtownymi targnięciami, aż ukazywał się sam piach, a właściwie woda – była to bowiem bardzo sprężysta gleba. Odrywali w istocie jedyną *terra firma*, jaka istniała, i wywozili ją saniami; wówczas to domyśliłem się, że chyba wycinają cegielki torfu na bagnie. Przyjeżdżali tak i odjeżdżali dzień w dzień ze” szczególnym piskiem parowozu, przybywali skądś z polarnej krainy i tam powracali niby – takie odniosłem wrażenie – stado arktycznych śnieżnych ptaków. Niekiedy jednak Squaw Walden miała okazję się zemścić – najęty człowiek prowadzący zaprzęg wpadał do śliskiej szczeliny w ziemi, sięgającej głęboko aż do Tartaru<sup>14</sup>, i z dzielnego chwata robiła się zaledwie dziewiąta część człowieka<sup>15</sup>, z którego niemal zupełnie uszedł zwierzęcy żar, przeto z zadowoleniem chronił się w moim domu, uznając pewne zalety pieca. Niekiedy się zdarzało, że zmarznięta ziemia odrywała kawałek stali od lemiesza albo też pług ugrzązł w bruździe i trzeba go było stamtąd wyrąbywać.

---

<sup>12</sup> „Ale gromadźcie sobie skarby w niebie...” Nowy Testament, Ewangelia św. Mateusza 6, 20.

<sup>13</sup> „Nowoangielski farmer” („New England Farmer”), pismo dla rolników, wydawany był w Quincy Hali w Bostonie. Ponadto istniały pisma: „Nowoangielski rolnik” („New England Cultivator”) i „Bostoński rolnik” („Boston Cultivator”) wydawane w Bostonie.

<sup>14</sup> Tartar – najniższa, mroczna część podziemnego świata równie odległa od Hadesu jak Hades od ziemi.

<sup>15</sup> „Jeden człowiek to dziewięciu krawców.” Patrz Gospodarka, przyp. 56.

Co dzień przybywało z Cambridge dosłownie stu Irlandczyków z jankeskimi nadzorcami, ażeby wyrąbywać bryły lodu. Ciosali go na bloki metodami zbyt dobrze znanymi, aby wymagały opisu, potem zaś transportowali saniami na brzeg, pospiesznie wrzucali na platformy i za pomocą haka i krążka linowego, do którego zaprzęgnięte były konie, podciągali w górę i układali jeden blok na drugim, w tak stabilne sterty jak z beczek mąki w podobnej liczbie ustawionych równo krawędź przy krawędzi, rząd przy rzędzie, jak gdyby tworzyły trwałą podstawę obelisku mającego przedziurawić chmury. Mówili mi, że w dobry dzień potrafią wyrąbać tysiąc ton, co było urobkiem z powierzchni około akra. Lód zorany był głębokimi bruzdami i „koleinami”, podobnie jak na *terra firma*, pozostawionymi przez sanie posuwające się tym samym śladem, a konie niezmiennie pojadały owies z wydrążonych bloków lodu zastępujących wiadra. Robotnicy ustawiali bloki na świeżym powietrzu w stertach wysokich na trzydzieści pięć stóp, a szerokich i długich na sześć czy siedem, upychając siano między zewnętrzne warstwy, aby przeciwdziałać dopływowi powietrza; albowiem gdy wiatr, choćby najzimniejszy, wedrze się do środka sterty, wydrąży w lodzie wielkie jamy i pozostawi tu i tam jedynie cienkie podpory czy słupki, aż w końcu wszystko się zawali. Początkowo wyglądało to jak ogromny niebieski fort czy Walhalla; gdy jednak zaczęli utykać w szczeliny szorstkie siano i gdy pokryło się ono szronem i sopelkami, sterta przybrała wygląd czcigodnej, porosłej mchem wiekowej ruiny marmurowych bloków o błękitnym odcieniu, siedziby Zimy, owej staruszki z almanachu<sup>16</sup> – była chatą Zimy, która jak gdyby zamierzała spędzić z nami lato. Obliczano, że nawet nie dwadzieścia pięć procent lodu dotrze na miejsce przeznaczenia i że dwa czy trzy zmarnuje się w wagonach. Wszakże los jeszcze większej części owej sterty miał się okazać inny od tego, co pierwotnie zakładano; otóż nie dotarła ona na rynek albo dlatego, że ostatecznie lód nie był tak trwały, jak oczekiwano, miał bowiem w sobie więcej powietrza niż zwykle, albo z jakiegoś innego powodu. Ową stertę zgromadzoną zimą 1846-47 roku, ocenianą na dzieśięć tysięcy ton, ostatecznie przykryto sianem i deskami; wprawdzie w lipcu zdjęto z niej to zabezpieczenie i część odtransportowano, lecz reszta pozostała, wystawiona na działanie promieni słonecznych. Przettrzymała tak lato oraz następną zimą i jeszcze we wrześniu 1848 roku całkowicie nie stopniała. Staw jednak odzyskał jej większą część.

Podobnie jak woda Waldenu, lód na nim – gdy mu się przyjrzeć z bliska – ma zabarwienie zielone, lecz z oddali wydaje się pięknego niebieskiego koloru i można go łatwo odróżnić od białego lodu na rzece czy ledwie zielonkawego na innych stawach odległych o ćwierć mili. Niekiedy jeden z owych wielkich bloków zsuwa się z sań rębacza na ulicę, gdzie przez tydzień leży niby wielki szmaragd budząc zainteresowanie wszystkich przechodniów. Zauważyłem, że ta część Waldenu, w której woda była zielona, gdy zamarznie, nabiera – oglądana z tego samego miejsca – zabarwienia niebieskiego. Toteż oczka w sąsiedztwie stawu będzie niekiedy wypełniała zimą woda niebieskawa, podobnie jak w samym Waldenu, lecz nazajutrz mróz zetnie ją na niebiesko. Być może woda i lód są niebieskie na skutek działania światła i zawartego w nich powietrza – najbardziej przejrzyste są najbardziej niebieskie. Lód stanowi interesujący temat do rozmyślań. Mówiono mi, że w

---

<sup>16</sup> Mowa o okładce „Old Farmer’s Almanac” z 1850 r.

specjalnych szopach przy stawie Fresh od pięciu lat leży lód, który jest w jak najlepszym stanie. Dlaczego tak się dzieje, że woda w wiadrze po krótkim czasie stęchnie, skoro zaś zamrze, na zawsze pozostanie świeża? W powszechnym rozumieniu taka właśnie różnica istnieje między uczuciami a intelektem.

Tak to przez szesnaście dni oglądałem ze swojego okna stu ludzi zapracowanych niby farmerzy – przy wozach, koniach i najwyraźniej narzędziach rolniczych, i był to obrazek podobny do zamieszczonego na pierwszej stronie almanachu. Gdy tylko wyjrzałem, przypominała mi się bajka o skowronku i żniwiarzach<sup>17</sup> czy przypowieść o siewcy<sup>18</sup>, i tym podobne. Teraz już wszyscy odjechali, a prawdopodobnie kiedy za trzydzieści dni spojrzę przez to samo okno na czystą wodę Waldenu koloru zieleni morskiej, odbijającą chmury i drzewa, nad którą będzie się samotnie unosiła jej para, nie pozostanie tu żaden ślad świadczący o tym, że kiedykolwiek stanęła w tej okolicy stopa ludzka. Być może usłyszę, jak śmieje się samotny nur pluskając się w kąpeli i skubiąc pióra albo też ujrzę samotnego rybaka w łódce podobnej do płynącego po wodzie liścia, rybaka, który ogląda swój kształt odbijający się w falach tam, gdzie niedawno pracowało bezpiecznie stu ludzi.

Wydaje się zatem, że u mojej studni piją wodę oblani potem mieszkańcy Charlestonu i Nowego Orleanu, Madrasu, Bombaju i Kalkuty<sup>19</sup>. Rankiem kąpię swój intelekt w zdumiewającej kosmogonicznej filozofii *Bhagawadgity*, od której powstania przeminęły lata bogów i w porównaniu z którą nasz nowożytny świat i jego literatura wydają się małostkowe i błahe; mam również wątpliwości, czy tej filozofii nie należy odnieść do poprzedniego wcielenia, albowiem tak odstaje swą wzniosłością od naszych pojęć. Odkładam książkę, idę po wodę do studni i oto spotykam tam sługę braminów, kapłana Brahmy, Wisznu i Indry, który nadal zasiada w swojej świątyni nad Gangesem czytając *Wedy* albo żyje u stóp drzewa o chlebie i wodzie. Spotykam jego sługę, który przyszedł naciągnąć dla pana wody, i nasze wiadra jakby pocierają się jedno o drugie w tej samej studni. Czysta woda Waldenu miesza się ze świętą wodą Gangesu. Pomyślny wiatr niesie ją dalej poza legendarne wyspy Atlantydy i Hesperydy, odbywa ona *periplous* Hannona<sup>20</sup> i przepływając mimo Ternate, Tidor<sup>21</sup> i wejścia do Zatoki Perskiej, topnieje pośród tropikalnych zefirów mórz indyjskich, aż dopływa do portów, których nazwy mógł znać ze słyszenia tylko Aleksander<sup>22</sup>.

---

<sup>17</sup> Mowa prawdopodobnie o bajce La Fontaine'a *Skowronek i młode z właścicielem pola*.

<sup>18</sup> Mowa o przypowieści zawartej w Ewangelii św. Mateusza 13.

<sup>19</sup> Mar Van Doren w *Henry David Thoreau* (Boston 1916) jest zdania, że cały ostatni akapit tego rozdziału przypomina stylem rozprawy Sir Thomasa Browne'a, angielskiego pisarza i uczonego (1605-82).

<sup>20</sup> Hanno(n) – żeglarz kartagiński, który w 500 r. p.n.e. dotarł do zachodnich brzegów Afryki. O podróży tej, nazwanej *periplous* (gr. opłynięcie), wiemy z greckiego przekładu sprawozdania Hannona wrytego w świątyni Baala Molocha w Kartaginie. Sprawozdanie to Thoreau prawdopodobnie czytał w angielskim przekładzie zamieszczonym w: *The Phoenix: a Collection of Old and Rare Fragments*, Nowy Jork 1835.

<sup>21</sup> Ternate, Tidor – wyspy indonezyjskie w Molukach Północnych. Wzmiankuje o nich John Milton w *Raju utraconym*, II, 639.

<sup>22</sup> Mowa o Aleksandrze Wielkim, największym „podróżniku” swoich czasów.

# Wiosna

Skoro na głównych szlakach wodnych ruszają lody, na stawie kra pęka zazwyczaj szybko; nawet przy niskiej temperaturze woda poganiana przez wiatr kruszy okoliczny lód. Tego jednak roku wszystko wyglądało inaczej na Waldenie, albowiem lód spłynął tylko po to, aby wkrótce staw na nowo nim się pokrył. Zawsze kra pęka tutaj później aniżeli na okolicznych jeziorach, dlatego że Walden jest głębszy i nie mają w nim ujścia strumienie, które by stopiły ją albo skruszyły. Nigdy nie słyszałem o tym, aby pękała w środku zimy, nie wyłączając przełomu lat 1852-53, kiedy to zimowa zawierucha wystawiła stawy na ciężką próbę. Pęka zazwyczaj około pierwszego kwietnia, w tydzień czy dziesięć dni później niż na stawie Flinta i Fair Haven. Zaczyna topnieć od północnego brzegu i na płycznach, czyli tam, gdzie woda najpierw zamarza. Walden lepiej aniżeli jakikolwiek inny zbiornik wodny w okolicy nieodwołalnie sygnalizuje zmianę pory roku, najmniej bowiem wpływają na niego chwilowe wahania temperatury. Ostre kilkudniowe chłody w marcu potrafią w dużym stopniu opóźnić ruszanie lodu na innych stawach, podczas gdy niemal nie wpływają na stały wzrost temperatury wody Waldenu. Szóstego marca 1847 roku na środku Waldenu termometr wskazywał 32 stopnie Fahrenheita, czyli temperaturę zamarzania, przy brzegu zaś 33 stopnie; tego samego dnia na środku stawu Flinta – 32,5 stopnia, a kilkanaście prętów od brzegu, na płycźnie pod lodem grubym na stopę – 36 stopni. Różnica trzech i pół stopnia pomiędzy temperaturą wody głębokiej a płytkiej w tym drugim stawie i fakt, że większa jego część jest stosunkowo płytka, wyjaśniają, dlaczego kra na nim pęka o tyle szybciej niż na Waldenie. Lód, który skuł najpłytszą część stawu, był w owym czasie kilka cali cieńszy niż na środku. W połowie zimy na środku panowała najwyższa temperatura i lód miał najcieńszą warstwę. Każdy, kto brodził przy brzegu stawu w lecie, musiał zauważyć, o ile cieplejsza jest tam woda, głęboka na trzy, cztery cale, aniżeli troszkę dalej od brzegu, blisko dna na głębini. W tym samym miejscu temperatura powierzchni wody zbliża się do temperatury przy brzegu. Wiosną słońce nie tylko ogrzewa powietrze i ziemię, lecz jego ciepło przenika także przez lód, gruby na cal lub więcej, i odbija się od dna płyczny ogrzewając w ten sposób wodę i topiąc lód od spodu. Zarazem bardziej bezpośrednio topi jego powierzchnię; lód staje się chropowaty i nierówny, a bańki powietrza pod powierzchnią rozprzestrzeniają się ku górze i dołowi, aż cała kra podziurawi się jak rzeszoto i w końcu nagle zniknie pod wpływem pierwszego wiosennego deszczu. Lód, podobnie jak drzewo, rośnie w słoje i skoro jego bryła zaczyna „wietrzeć” czy też „zamieniać się w plaster miodu”, niezależnie od jej położenia, komórki powietrza układają się pod kątem prostym w stosunku do płaszczyzny, która była uprzednio powierzchnią wody. Tam, gdzie sterczy kamień albo kłoda drzewa dosięgając prawie powierzchni, lód nad nimi jest dużo cieńszy i często topnieje pod wpływem odbitego

ciepła. Słyszałem, że w Cambridge wykonano doświadczenie zamrażając wodę w płytkim basenie obudowanym drewnem. Aczkolwiek od spodu krążyło zimne powietrze, które właściwie „omywało” też powierzchnię, słońce odbite od dna z nadwyżką równoważyło jego wpływ. Gdy w połowie zimy ciepły deszcz topi śnieg i krę na Waldenie, pozostawiając na środku stwardniały brunatny albo przezroczysty lód, wzdłuż brzegu tworzy się pod wpływem odbitego ciepła pas „zwietrzałego”, lecz grubszego lodu szerokości około pręta. Ponadto, jak już wspominałem, bańki powietrza w warstwie lodu działają jak soczewki, pod którymi lód topnieje.

Zjawiska zachodzące na stawie w ciągu roku występują na nim w mniejszej skali codziennie. Ogólnie mówiąc, co rano płytka woda ociepla się gwałtowniej aniżeli głęboka, choć jej temperatura nie musi być rzeczywiście wysoka, i co wieczór gwałtowniej się ochładza, aż do rana. Dzień stanowi streszczenie roku. Noc zastępuje zimę, ranek i wieczór – wiosnę i jesień, południe jest latem. Pęknięcie i tapanie lodu wskazują na zmianę temperatury. Dwudziestego czwartego lutego 1850 roku w piękny poranek po zimnej nocy wybrałem się na cały dzień nad staw Flinta. Ze zdumieniem spostrzegłem, że kiedy stuknąłem o lód ostrzem siekiery, w promieniu wielu prętów zadźwięczało tak, jak gdybym uderzył w gong albo mocno napiętą skórę bębna. Staw zaczął tąpać mniej więcej godzinę po wschodzie słońca, skoro znad wzgórz spłynęły ku niemu skośne promienie słońca; przeciągał się i ziewał coraz głośniejszym, niczym przebudzony człowiek. Trwało to trzy, cztery godziny. W południe urządził sobie krótką sjęstę, a gdy miało się ku wieczorowi i słońce zachodziło, ponownie zaczął tąpać. Przy dobrej pogodzie staw z niezwykle regularnością oddaje wieczorną salwę. W dzień atoli, w mniej elastycznym powietrzu spękana tafla zupełnie traci dźwięczność. Gdyby wówczas w nią stuknąć, nie ogłuszyłoby się prawdopodobnie ani ryb, ani piżmoszczurów. Rybacy opowiadają, że „grzmienie stawu” płoszy ryby, które wtedy nie biorą. Staw nie grzmi co wieczór i trudno przewidzieć, kiedy to ma nastąpić. Czasami zdarza się to, gdy nie dostrzegam żadnej zmiany pogody. Kto by się spodziewał, że taki wielki, zimny i gruboskórny stwór jest do tego stopnia wrażliwy. Aliści przestrzega swoich praw, którym posłuszeństwo deklaruje grzmotem, i pęka niby wiosenny pąk. Ziemia kipi życiem, całą ją pokrywają jak gdyby brodawki. Największy staw jest taki wrażliwy na zmiany atmosferyczne jak kulka rtęci w szklanej rurce. Zamieszkałem w lesie zwabiony między innymi myślą, że będę miał czas i sposobność obserwować nadejście wiosny. Z czasem lodowa tafla upodabnia się do plastra miodu, w który mogę na spacerze wbijać obcasy. Mgły, deszcze i cieplejsze słońce stopniowo topią śnieg; dni stają się wyraźnie dłuższe; stwierdzam, że nie będę musiał gromadzić więcej chrustu, albowiem już po zimie i nie trzeba dużo palić. Czujnie wyglądam pierwszych oznak wiosny, okazji, aby posłuchać świergotu nadlatującego ptaka albo pisku wiewiórki czikari, której zapasy już się chyba wyczerpały, obserwuję, jak świstak ryzykuje wyjście ze swojej zimowej kryjówki. Trzynastego marca słyszałem już droszka modraka, melospizę-melodię i droszka rdzawobocznego, a tafla lodu wciąż jeszcze miała prawie stopę grubości. Kiedy zrobiło się cieplej, nie było widać, aby podmywała ją, łamała czy też unosiła w dal woda, tak jak na rzece. Wprawdzie wzdłuż brzegu stopniał pas lodu szerokości pół pręta, lecz na środku tafla dopiero podziurawiła się jak rzeszoto i nasiąknęła wodą. Miała sześć cali grubości i dawała się przebić nogą. Gdyby jednak spadł

ciepły deszcz, a potem spłynęła na staw mgła, lód zniknąłby następnego dnia wieczorem, odpłynąłby wraz z mgłą, rozmyłby się jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Któregoś roku przeszedłem środkiem stawu z jednej strony na drugą zaledwie pięć dni przed zupełnym zniknięciem lodowej powłoki. W 1845 roku Walden był całkowicie od niej wolny pierwszego kwietnia, a w 1846 roku – dwudziestego piątego marca, w 1847 roku – ósmego kwietnia, w 1851 roku dwudziestego ósmego marca, w 1852 roku – osiemnastego kwietnia, w 1853 roku – dwudziestego trzeciego marca, w 1854 roku – około siódmego kwietnia.

Te wydarzenia związane z ruszaniem lodu na rzekach i stawach i ustalaniem się pogody interesują szczególnie nas, to jest ludzi żyjących w klimacie o tak dużych skokach temperatury. Skoro nadejdą cieplejsze dni, ten, kto mieszka w pobliżu rzeki, słyszy w nocy, jak lodowa skorupa trzaska z wstrząsającym hukiem przypominającym salwy armatnie, jak gdyby lodowe okowy rozpekły się od brzegu do brzegu. Po paru zaś dniach kra gwałtownie spływa. Ziemia trzęsie się jak grząskie błoto, z którego wypelza aligator. Znam pewnego staruszka, wielkiego znawcę i obserwatora Natury, który tak gruntownie zgłębił wszystkie zachodzące w niej procesy, jak gdyby w jego dzieciństwie ułożono ją na blokach, a on pomagał stawiać jej stępkę. Teraz w podeszłym wieku trudno by mu było jeszcze poszerzyć wiedzę przyrodniczą, nawet gdyby żył tyle lat co Metuszelach<sup>1</sup>. Gdy rozmawiałem z nim, zdziwiło mnie jego zdumienie pewnymi procesami zachodzącymi w przyrodzie, albowiem myślałem, że oboje nie mają już przed sobą tajemnic. Opowiadał mi o tym, jak to raz pewnego chwyciwszy strzelbę wsiadł do łódki i wybrał się na kaczki. Łąki wciąż jeszcze iskrzyły się lodem, ale rzeka była już od niego wolna, przeto bez przeszkód spłynął z Sudbury, gdzie mieszkał, do stawu Fair Haven, całkiem niespodzianie pokrytego jeszcze w większej części twardą lodową skorupą. Dzień był ciepły, przeto zdziwił go ten widok. Rozglądając się za kaczkami, ukrył łódkę po północnej stronie wyspy na stawie, sam zaś położył się w krzakach po stronie południowej. Trzy, cztery pręty od brzegu staw wolny był od lodu. Pomyślał, że kaczki lubią takie gładkie tafle ciepłej wody z mulistym dnem i pewnie niedługo nadlecą. Leżał tak około godziny, aż nagle doszedł go niski i na pozór bardzo daleki pomruk. Brzmiał osobliwie imponująco i wstrząsająco, a zarazem zupełnie obco dla staruszka, narastał stopniowo i wzrastał się tak, jakby jego ostatnie akordy miały przeniknąć cały świat i pozostawić niezatarte wspomnienia. Potem rozległ się ponury i gwałtowny huk, który nagle wydał się staruszkowi podobny do trzepotu skrzydeł olbrzymiego stada ptactwa siadającego przy brzegu. Chwyciwszy strzelbę zerwał się, poruszony, na nogi. Ku swojemu zdumieniu atoli ujrzał, że to ruszyła cała lodowa powłoka. Przyplłynęła do wyspy, podczas gdy on leżał w krzakach, i tarła o brzeg krawędzią robiąc tyle huku. Początkowo delikatnie pękała i kruszyła się, lecz w końcu ruszyła naprzód i spiętrzywszy się rozrzuciła wzdłuż brzegu wyspy znacznej wysokości złomowisko swoich lodowych szczątków. Wreszcie znieruchomiła.

Z czasem promienie słońca zaczynają padać pod większym kątem, ciepłe wiatry rozpraszają mgłę i deszcz oraz roztapiają śnieżne zasy. Rozganiając mgły słońce uśmiecha się

---

<sup>1</sup>„Metuszelach przeżył dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć lat i umarł.” Stary Testament, Księga Rodzaju 5, 27.

rdzawo-białym krajobrazem, odymionym kadzidłem. Tędy podróżny wędruje od wysepki do wysepki, a towarzyszy mu radosna muzyka tysiąca szemrzących strumyków i potoków, w których żyłach płynie zimowa, niesiona dalej krew.

Niewiele zjawisk zachwycało mnie bardziej aniżeli kształty wyryte podczas odwilży w piasku i glinie przez roztopy spływające po zboczach wysokiego nasypu kolejowego, który minąłem w drodze do miasteczka. Nieczęsto spotyka się to zjawisko rozwinięte na tak wielką skalę, chociaż liczba świeżo wzniesionych nasypów z odpowiedniego materiału musiała niezwykle wzrosnąć, odkąd wynaleziono kolej. Owym materiałem był piach różnej grubości i o przebogatych barwach, na ogół mieszany z małą ilością gliny. Skoro wiosną czy też w zimowy dzień puszcza mróz, piach zaczyna spływać zboczem niby lava, tryskając czasami przez śnieg i zalewając miejsca, w których przedtem go nie było. Niezliczone małe strumyki łączą się i przeplatają tworząc coś w rodzaju produktu mieszanego, w połowie rządzącego się prawami strumieni, w połowie zaś roślinności. Płynąc piach przyjmuje kształty soczystych liści albo winorośli, nanosi grube na stopę albo i więcej sterty rozrartych na miazgę gałązek. Z góry przypomina strzępiaste, wygięte w łuk i łuskowate plechy jakichś porostów; albo przywodzi na myśl korale, łapy leoparda czy ptasie pazury, mózg, płuca, wnętrzości i wszelkiego rodzaju ekskrementy. Owa doprawdy groteskowa roślinność, której kształty i odcienie widzimy uformowane w brązie, to rodzaj architektonicznego akantu, bardziej starodawnego i typowego aniżeli wzorowany na liściach rożdżeńca, cykorii, bluszczu, winorośli czy niektórych warzyw. W pewnych warunkach mogłaby stanowić zagadkę dla przyszłych geologów. Cały wykop robił na mnie wrażenie jakby jaskini, w której stalaktytach połyskiwałoby światło. Kolory piachu są szczególnie soczyste i harmonijne, mienia się przeróżnymi odcieniami żelaza, brązu, szarości, żółtości i czerwieni. Skoro ta płynąca niby-lawa dociera do drenu u podnóża zbocza, rozwidla się na kilkanaście bardziej ospałych niteczek, to jest osobnych strumyków, które tracą swój półcyldryczny kształt i płyną stopniowo coraz szerzej i ospalej, coraz bardziej zaś wzbogacając się w wodę, toczą razem swe nurty, aż naniosą niemal gładką warstwę piachu o wciąż pięknych, różnorodnych odcieniach, lecz z dostrzegalnymi śladami oryginalnych form roślinności; wreszcie w rowie zamieniają się w piaszczyste łachy, podobne do owych tworzących się u ujścia rzek. Wówczas ornamenty roślinne giną pod zmarszczkami na dnie.

Mnóstwo tego jakby listowia czy ornamentów rzeźbionych w piasku pokrywa na odcinku ćwierć mili jedno albo oba zbocza, wysokości od dwudziestu do czterdziestu stóp. To produkt jednego wiosennego dnia, tym bardziej godny uwagi, że powstaje tak raptownie. Gdy widzę z jednej strony uśpione zbocze – słońce pada najpierw tylko na to pierwsze – z drugiej zaś owo bujne listowie wyrzeźbione w ciągu godziny, wrzuszam się tak, jak gdybym w szczególny sposób znalazł się w pracowni artysty, który stworzył świat i mnie, jak gdybym zastał go jeszcze przy pracy w szczycie natchnienia, z nadmierną energią rozrzucającego po wykopie nowe wzory. Czuję się tak, jak gdybym przebywał bliżej narządów kuli ziemskiej, albowiem ta masa piasku swoją gmatwaniną liści przypomina splecione zwierzęce organy. W piasku dostrzega się zwiastuny prawdziwych zielonych liści. Nic dziwnego, że ziemia wypowiada się na zewnątrz w liściach, ideę bowiem rodzi w swoim wnętrzu. Atomy pojęły już to prawo i dzięki niemu są brzemienne. Liść, który rośnie



na drzewie, tutaj widzi swój prototyp. Wnętrze, czy to kuli ziemskiej, czy ciała zwierzęcia, stworzone jest jak gdyby z wilgotnego, mięsistego *lobe*, czyli płatu – słowo to szczególnie trafnie opisuje wątrobę, płuca i płaty tłuszczu (□□□□□, *tabor*, *lapsus* – opadać lub osuwać się, spadek; □□□□□, *globus*, *lobe*, *globe*; także *lap*, *flap* i wiele innych wyrazów)<sup>2</sup>. Tymczasem zewnętrzna powłoka stworzona jest z płatu suchego i cienkiego – *leaf*, tak jakby f lub v były sprasowanym i wysuszonym b. Zasadniczymi literami w *lobe* są lb, przy czym popychane są naprzód miękkim miąższem b (jednopłatowym albo w B z podwójnego płatu) i stojącym za nim płynnym l. W wyrazie *globe* literami tymi są glb, przy czym gardłowy dźwięk g dodatkowo świadczy o wydolności gardła. Pióra i skrzydła ptaków to jeszcze bardziej suche i cienkie płatki. Podobnie my – z ciężkiej larwy w ziemi przeobrażamy się w lekkiego, trzepoczącego skrzydłami motyla. Kula ziemską również prześciga nieprzerwanie sama siebie i pędzi naprzód szybko, uskrzydłona, po orbicie. Nawet lód tworzy się z delikatnych kryształowych płatków, jak gdyby woda wpływała przedtem do matryc wyciśniętych w lustrze stawu przez wielkie blaszki roślin wodnych. Całe drzewo jest tylko jednym liściem, rzeki zaś to liście jeszcze bardziej ogromne, wypełnione miąższem wdzierającej się ziemi, miasta i miasteczka to jaja owadów w pachwinach między liśćmi a gałęziami.

Gdy słońce się chowa, piasek przestaje spływać, rano atoli strumyki znów ruszą i znów będą się rozgałęziać w miriady niteczek. Można tu przypadkiem zaobserwować, jak tworzą się naczynia krwionośne. Z bliska widać, że najpierw z takiego tającego zbocza zaczyna się sączyć strumyk rozmiękłego piasku. Powoli toruje sobie po omacku drogę w dół niby kropla lub opuszek palca, aż w końcu, skoro słońce wzniesie się wyżej i mocniej przygrzewa, najbardziej wartki nurt strumyka, starając się przestrzegać prawa, któremu ulega też nurt leniwy, oddziela się od tego powolniejszego i wymywa sobie w nim kręty kanał albo arterię, w nich zaś widać mały srebrzysty strumyk połyskujący od jednego spiętrzenia rozmiękłych liści czy gałązek do drugiego i ustawicznie pochłaniany przez piasek. To cudowne, jaką szybkością, a zarazem sprawnością organizację zapewnia sobie spływający piach. Jego strumień potrafi z najlepszego materiału uformować kanciaste brzegi swojego koryta. Tak oto wyglądają źródła rzek. Z nanoszonego przez wodę krzemu tworzy się, być może, układ kostny, z jeszcze bardziej drobnoziarnistej gleby i szczątków organicznych – struktura cieleśna albo tkanka komórkowa. Czymże bowiem jest człowiek, jak nie masą tającej gliny? Opuszek ludzkiego palca to nic innego jak skrzepnięta kropla. Palce u rąk i nóg wyciągają się z tającej masy ciała na pożądaną odległość. Kto wie, jakich rozmiarów nabrałoby, nasze ciało pod łagodniejszym niebem? Czyż ręka nie jest rozpostartym liściem palmowym<sup>3</sup> z blaszkami i żyłkami? Przy odrobinie wyobraźni ucho można uważać na porost – *umbilicaria* – z boku głowy, w kształcie płatka albo kropli. Wargi – *labium* od *labor* (?) – są płatkami

<sup>2</sup> □□□□□ – gr. liść  
*globus* – łac. kula ziemską  
*lobe* – ang. płat  
*globe* – ang. kula ziemską  
*lap* – ang. płatek  
*flap* – ang. kłapa.

<sup>3</sup> W oryginale wymowa zdania wzbogacona jest dodatkową grą słów. Angielskie *palm* oznacza dłoń.

czy językami opadającymi z obu stron przepastnej jamy ustnej. Nos to wystająca zamrożona kropla albo stalaktyt. Broda jest jeszcze większą kroplą, zlewiskiem ścieków oblicza. Policzki tworzą łagodny uskoki z czoła w dolinę twarzy, nad którą górują szerokie kości policzkowe. Każda zaokrąglona blaszka liścia rośliny to również pękata, większa czy mniejsza kropla, którą można by nazwać maruderem. Blaszki złożone to jakby dłoń i palce liścia; ile ma palców, w tyle stron się rwie, aby popłynąć, a gdyby było cieplej albo w ogóle sprzyjały mu warunki, popłynąłby dużo dalej.

A zatem owo jedno zbocze chyba wyjaśnia zasadę wszystkich procesów w Naturze. Stwórca tej ziemi po prostu opatentował liść. Jaki Champollion odczyta dla nas te hieroglify, abyśmy mogli otworzyć wreszcie nową kartę? Zjawisko to uważam za bardziej frapujące aniżeli płodność bujnej winnicy. Doprawdy, kształty wyryte w piasku przypominają swym charakterem trzewia – nie widać końca stosom wątroby, mózgu i kiszek, jak gdyby świat wywrócił się na lewą stronę. Sugeruje to przynajmniej, że Natura ma jakieś wnętrzości<sup>4</sup>, a nadto, że jest matką rodzaju ludzkiego. Oto mróz zdejmuje z gleby okowy, zbliża się wiosna. Poprzedza wiosnę zieloną i kwitnącą, podobnie jak mitologia zjawiała się wcześniej aniżeli prawdziwa poezja. Pora ta najlepiej oczyszcza ziemię z zimowych wyziewów i niestrawności. Dla mnie to dowód, że ziemia wciąż jeszcze leży w powijakach, niby niemowlę śpiące z rozrzuconymi rączkami. Świeże kędziorki wyrastają na najbardziej łysym czole. Nie istnieje nic nieorganicznego. Te stosy liści zalegają wzdłuż nasypu niby żużel z pieca, na dowód, że wewnątrz Natura „płonie żarem”. Ziemia nie jest fragmentem martwej historii, warstwą na warstwie, którą mają badać głównie geolodzy, podobnie jak antykwariusze zgłębiają stronicę ksiązek, lecz jest poezją żywą jak liście na drzewie rodzącym potem kwiaty i owoce. Ziemia to nie skamielina, tylko żywa materia. W porównaniu z życiem jej wielkiego wnętrza życie wszelkich zwierząt i roślin można uważać za niemal pasożytnicze. Bólami porodowymi podniesie z grobu nasze wyliny. Można topić metale i odlewać je z najpiękniejszych matryc, nigdy wszelako nie będą cieszyły mnie tak jak ornamenty z owej tającej ziemi. To jednak nie wszystko – instytucje uformowane na niej są plastyczne niczym glina w rękach garncarza<sup>5</sup>.

Wnet nie tylko na owych zboczach nasypów, lecz także na wzgórzach, w dolinach i kotlinach mróz wyłazi z ziemi niby drzemiący czworonóg ze swojej nory i przy akompaniamencie muzyki ucieka do morza albo do innych krain spowitych mgłą. Odwilż znana z metod łagodnej perswazji ma większą władzę aniżeli bóg Thor, który wymachuje młotem. Pod jej wpływem Natura topnieje, on zaś potrafi tylko rozbijać wszystko w drobny mak.

Gdy na ziemi już ledwie gdzieś leży śnieg, a kilka ciepłych dni troszkę osuszyło jej powierzchnię, przyjemnie jest porównać pierwsze nieśmiałe próby wyjrzenia na świat młodzieńczego roku z majestatycznym pięknem suchych roślin, które przetrwały zimę – nieśmiertelników, nawłoci i pełnych wdzięku dzikich traw, bardziej malowniczych i przyciągających wzrok aniżeli w lecie, jak gdyby ich uroda nie zdążyła dojrzeć w letnim słońcu. Dalej zaś wełnianka, bazie, dziewanny, dziurawiec, tawuła i inne rośliny o sztywnych ło-

---

<sup>4</sup> W starożytności wierzone, że współczucie, zrozumienie czy litość rodzą się w trzewiach.

<sup>5</sup> „Oto jak glina w rękach garncarza...”, Stary Testament, Księga Jeremiasza 18, 6.

dygach, owe niewyczerpane spichlerze udzielające gościny ptactwu zwiastującemu wiosnę – skromne przeważnie chwasty, w które stroi się owdowiała Natura. Szczególnie lubię snopkowaty, łagodnie zaokrąglony czubek wełnianki; zima przypomina nam o lecie, a kształt owego czubka to jedna z ulubionych przez sztukę, często kopiowanych form; w królestwie roślinności owe formy pozostają w takim samym związku z kształtami, które stworzył umysł ludzki, jak w królestwie astronomii. Powstały w stylu antycznym, starszym aniżeli grecki czy egipski. Wiele zimowych zjawisk przywodzi na myśl niewypowiedzianą tkliwość i kruchą delikatność. Przyzwyczajeni jesteśmy słuchać opowieści o Królowej Ziemi jako o szorstkiej i gwałtownej tyrance, tymczasem ta sama zimna monarchini potrafi delikatnie jak kochanka przystrajać warkocze lata.

Na przedwiośniu zawitały u mego progu rude wiewiórki – dwie naraz. Siedziałem czytając czy pisząc, one zaś przykucnęły wprost u moich stóp i dalej dziwnie chichotały, cmokały, kręciły dźwięczne piruety i bulgotały. Niczego takiego w życiu nie słyszałem. A skoro na nie tupnąłem, jeszcze tylko głośniejszymi cmokniętymi, jak gdyby brakiem szacunku i butą szalone figlarki prowokowały ludzkość, aby je uspokoiła. Dość już, wiewióreczki, dość. Całkiem głuche na moje argumenty, może sobie nie uświadamiały, jaką moc posiadają, a sypały gniewnie inwektywami z taką zapalczliwością, że trudno było je powstrzymać.

Pierwsza jaskółka wiosny! Rok zaczyna się bardziej obiecująco aniżeli poprzednie! Delikatne srebrzyste głosy drozda modraka, melospizy-melodii i drozda rdzawobocznego rozbrzmiewają nad czarno-białymi polami, jak gdyby to pobrzękiwały ostatnie wirujące płatki zimy! Cóż w taką porę znaczą kroniki, chronologie, tradycje i wszelkie pisemne objawienia? Strumyki śpiewają wiosennie kolędy i radosne pieśni na głosy. Błotniak zbożowy szybujący nisko nad łąką szuka już pierwszego budzącego się w mule życia. Wszędzie w okolicznych dolinach słyhać omdlewający szept tającego śniegu. Lód na stawach topnieje szybko. Trawa na zboczach wybucha płomieniem niby wiosenny ogień – „et primitus oritur herba imbribus primoribus evocata<sup>6</sup>” – jak gdyby ziemia promieniowała wewnętrznym ciepłem, aby pozdrowić nim powracające słońce; jej płomień nie błyska żółtością, lecz zielenią; symbol wiecznej młodości, żdźbło trawy, niczym długa zielona wstążka wystrzela z darniny i wije się ku latu; powstrzymuje ją co prawda mróz, aliści ona niebawem znowu pospieszy naprzód, zbrojna we włócznię z zeszłorocznego siana, pod którą kryje swoje nowe życie. Rośnie równie miarowo, jak sączy się z ziemi strumyczek. Zresztą w coraz dłuższe czerwcowe dni, czy strumyk, czy żdźbło trawy to jedno i to samo, albowiem gdy strumyki wysychają, żdźbła trawy służą za koryta nowym. Rok w rok stada poją się w tym niewyczerpanym zielonym potoku, a kosiarz czerpie z niego zawczasu zapasy zimowe. Podobnie nasze ludzkie życie obumiera właśnie od korzenia, choć wciąż wypuszcza w wieczność zielone kielki.

Lód na Waldenie taje szybko. Wzdłuż północnego i zachodniego brzegu tworzy się kanał szeroki na dwa pręty, od wschodu zaś jeszcze szerszy. Od głównej tafli oderwała się wielka kra. Z kępy krzaków na brzegu dochodzi mnie świergot melospizy-melodii: ćwir, ćwir, ćwir. On również pomaga pękać lodowej tafli. Jakże piękne są wielkie zamaszyste łuki na krawędzi lodu, które odpowiadają jak gdyby wygięciom linii brzegu, z tym, że rysują się bardziej

---

<sup>6</sup> „I rośnie trawa przywołana przez wczesny deszcz.” Warron, *Rerum Rusticarum*.

regularnie! Kra jest niezwykle twarda po ostatnich ostrych, acz przejściowych chłodach. Cała zalana wodą albo pofalowana niby pałacowa posadzka. Zachodni wiatr daremnie jednak ślizga się po jej mętnej tafli, przydatny jest dopiero wtedy, gdy ją minie i dotrze do powierzchni żywej. Jakże wspaniale jest patrzeć na tę połyskującą w słońcu wstęgę wody, na to odsłonięte oblicze stawu kipiącego młodzieńczą radością, jakby wyrażało uciechę pływających w wodzie ryb i nadbrzeżnego piasku. Od stawu bije taki srebrzysty blask, jak gdyby to błyskała łuska *Leuciscusa*, jak gdyby cały był jedną ogromną zwinną rybą. Oto kontrast między zimą a latem. Walden stał martwy, teraz znowu ożył<sup>7</sup>. Lecz jak już wspominałem, tej wiosny lód puszczał bardziej miarowo.

Zamiana zimowych śnieżyc na bezchmurną i ciepłą aurę, godzin ciemnych i ospałych na jasne i żwawe to pamiętny przełom widoczny w całej Naturze. Ostatecznie następuje on pozornie nagle. Dom mój zajaśniał blaskiem w jednej chwili, chociaż zbliżał się wieczór, nad którym wciąż wisiały zimowe chmury, a z okapu spływał śnieg z deszczem. Wyjrzałem przez okno i oto... Tam, gdzie wczoraj słał się zimny, brunatny lód, dziś połyskuje przezroczysty staw, spokojny już i pełen nadziei jak w letni wieczór. Wprawdzie nad głową widać było tylko chmury, lecz w jego sercu odbijało się letnie wieczorne niebo, jak gdyby łączyło go porozumienie z jakimś odległym horyzontem. W oddali usłyszałem rudzika. Wydawało mi się, że to pierwszy od kilku tysięcy lat, że pieśni jego nie zapomnę przez wiele następnych tysiącleci – pieśni słodkiej i potężnej, jak to niegdyś bywało. Ach, ruzdzik w letni wieczór w Nowej Anglii! Gdybym mógł znaleźć kiedyś gałązkę, na której siada! Tak, znaleźć i jego, i ją. Wszak nie jest to *Turdus migratorius*<sup>8</sup>. Wokół mojego domu sosny smołowe i dębina, które na tak długo zapadły w omdlenie, nagle się obudziły i przystroiliły jak dawniej – stały jaśniejsze, bardziej zielone, wyprężone i żwawe, jak gdyby skutecznie obmył je i odświeżył deszcz. Wiedziałem, że już nie będzie padać. Patrząc na gałązki w lesie, na własną stertę zebranych na opał gałęzi można rozpoznać, czy dla nich zima już minęła. Skoro się ściemniło, zaskoczył mnie krzyk dzikich gęsi przelatujących nisko nad lasem. Krzyczały niczym zmęczeni wędrowcy, którzy przybywają późną porą znad południowych jezior i w końcu pozwalają sobie uskarżać się do woli i wzajemnie pocieszać. Stojąc na progu słyszałem łopot ich skrzydeł. Nagle, lecąc ku mojemu domowi, dostrzegły światło i ucichły, zatoczyły koło i usiadły na stawie. Wszedłem przeto do środka, zamknąłem drzwi i spędziłem pierwszą wiosenną noc w lesie.

Gdy rankiem stanąłem na progu, spostrzegłem gęsi we mgle, na środku stawu, pięćdziesiąt przętów od brzegu. Podnosiły taki zgiełk i takie były wielkie, iż Walden wyglądał jak sztuczne bajorko, które przeznaczono dla nich do zabawy. Skoro jednak podszedłem bliżej, natychmiast na znak przywódcy poderwały się z głośnym łopotem skrzydeł i w kluczu zatoczyły mi nad głową koło, potem zaś skierowały się ku Kanadzie – dwadzieścia dziewięć gęsi, prowadzonych przez gąsiora krzykliwą komendą wydawaną w regularnych odstępach, miało nadzieję zjeść po drodze śniadanie w bardziej bagnistych sadzawkach. W

---

<sup>7</sup> „...ten syn mój był umarły, a ożył...” Nowy Testament, Ewangelia św. Łukasza 15. 24.

<sup>8</sup> *Turdus migratorius* – drożdź wędrowny.

tym samym czasie poderwało się stado kaczek i odleciało na północ, w ślad za swoimi bardziej hałaśliwymi kuzynkami.

Przez tydzień słyszałem w mgliste poranki krzyk jakiejś samotnej gęsi, która krążąc wokoło szukała i wzywała towarzysza, napełniając lasy większym ożywieniem, niż mogły znieść. W kwietniu natomiast pokazały się gołębie. Nadlatywały pośpiesznie małymi stadkami. Niebawem zaś usłyszałem nad swoją polaną pisk jaskółek, aczkolwiek nie wydawało mi się, że jest ich w okolicy na tyle dużo, aby i mnie jakaś przypadła w udziale. Przeto wyobrażałem sobie, że to szczególnie stara rodzina, która przed pojawieniem się białego człowieka żyła w spróchniałych drzewach. Niemal we wszystkich krajach żółwie i żaby należą do prekursorów i zwiastunów tej pory roku, rozśpiewane ptak; furgoczą połyskliwymi skrzydłami, rośliny puszczają kielki i kwitną, wiatry wieją, a wszystko po to, aby skorygować owo lekkie oscylowanie biegunów i zachować równowagę w Naturze.

Wprawdzie każda kolejna pora roku wydaje nam się najprzyjemniejsza, atoli nadejście wiosny to jakby stworzenie kosmosu z Chaosu i spełnienie Złotego Wieku.

Eurus ad Auroram, Nabathacaque regna recessit,  
Persidaque, et radiis juga subdita matutinis.<sup>9</sup>

Powstał człowiek. Czy boskim dał mu życie tchnieniem  
Twórca lepszego świata, pan nad przyrodzeniem,  
Czy ziemia od powietrza świeżo oddzielona,  
Pokrewnych sobie niebios ukryła nasiona.<sup>10</sup>

Jeden drobny deszczyk i trawa przybiera soczysty odcień głębokiej zieleni. Podobnie wraz z przyływem weselszych myśli rozjaśniają nam się perspektywy. Pędzilibyśmy szczęśliwy żywot, gdybyśmy zawsze żyli terażniejszością i cieszyli się wszystkim, co nam się przydarza – tak jak trawa, która przyznaje, że wpływ na nią mają nawet najmniejsze kropelki rosy – gdybyśmy nie marnowali czasu na pokutę za nie wykorzystane w przeszłości okazje, co nazywamy naszym obowiązkiem. Marudzimy jeszcze pośród zimy, podczas gdy oto już wiosna. W piękny wiosenny poranek wybacza się wszystkie ludzkie grzechy. Taki dzień kładzie kres występkom. W rozpalonym słońcu zapiekły grzesznik nawrócić się może wnet<sup>11</sup>. Dzięki własnej odzyskanej niewinności dostrzegamy niewinność bliźnich, wczoraj wiedząc, że sąsiad jest złodziejem, pijakiem lub lubieżnikiem, tylko żałowało się go albo lekceważyło nie mając nadziei na poprawę tego świata. Tymczasem w ten pierwszy wiosenny ranek jasne i ciepłe słońce zmienia świat. Zastaje się sąsiada przy spokojnym zajęciu, i kiedy z cichą radością wzbiera krew w jego wyjałowionych rozpustą żyłach, on zaś błogosławi nowy dzień odczuwając wpływ wiosny z niewinnością dziecka, zapomina się o wszystkich winach sąsiada. Wyczuwa się w nim nie tylko dobrą wolę, lecz także otacza go

<sup>9</sup> „Eur w państwie Nabata, /W krajach Zorzy i w Persji swe rządy rozszerza.” Owidiusz, *Przemiany*, I, 58-59. Przełożył Bruno Kiciński.

<sup>10</sup> Owidiusz, *op. cit.* I, 77-80. Przełożył Bruno Kiciński.

<sup>11</sup> „W lampy rozpalonej kręgu zapiekły grzesznik nawrócić się może wnet.” Isaac Watts, *Hymns and Spiritual Songs*.

nawet atmosfera urokliwej świętości, która szuka po omacku wyrazu, po omacku i chyba bezskutecznie, jak nowo narodzony instynkt. Przez godzinę południowe zbocze nie musi odpowiadać echem na wulgarne żarty. Widać, że kilka niewinnych jasnych pędów – delikatnych i rześkich świeżością najmłodszych roślin – szykuje się do przebiccia chropowatej skorupy jego skóry, aby spróbować pożyć przez następny rok. Nawet sąsiad dzieli radość swego Pana<sup>12</sup>. Dlaczego dozorca więzienny nie rozwiera bram więzienia? Dlaczego sędzia nie oddała skargi? Dlaczego kaznodzieja nie każe się rozejść zebranych wiernym! Dlatego, że nie stosują się do rady, którą służy im Bóg, ani nie przyjmują hojnie udzielanego im przez Boga odpustu.

„Podobnie jak dzięki codziennemu powrotowi do dobroci w niezmaconym i dobroczynnym powiewie poranka miłość cnoty i nienawiść do występku trochę przybliżają nas – niby odrastające pędy w wyrąbanym lesie – do prymitywnej natury człowieka, tak pod wpływem zła wyrządzonego w ciągu dnia niszczą zarodki na nowo kiełkujących cnót, które mogłyby się rozwinąć.

Jeśli zarodkom cnót kilkakrotnie przeszkadzono w rozwoju, dobrotliwy wieczorny powiew niedostatecznie chroni je przed zniszczeniem. Dopokąd ów powiew wieczoru nie jest w mocy zapewnić im przetrwania, natura człowieka niewiele się różni od natury zwierzęcia. Patrząc na człowieka o zwierzęcej naturze, ludzie odnoszą wrażenie, że owego nieszczęśnika nigdy nie obdarzono wrodzonymi władzami umysłowymi. Pytają, czy właśnie takie są prawdziwe atrybuty człowieczeństwa?”<sup>13</sup>

Złoty najpierw wiek nastał Nie z bojaźni kary,  
Lecz z własnej chęci człowiek cnoty strzegł i wiary.  
Kary, trwogi nie znano. W spiżowych tablicach  
Groźby praw i wyroku na sędziego licach  
Lud nie czytał: bez sędziów byli bezpiecznemi.  
Jeszcze sosna dla obcej odwiedzenia ziemi  
Nie zstąpiła do morza ze swych gór rodzinnych,  
A człowiek prócz ojczystych nie znał brzegów innych.

Wiosna była wieczysta. Zefiry łagodne  
Rozwijały tchem ciepłym kwiaty samorodne.<sup>14</sup>

Dwudziestego dziewiątego kwietnia łowiłem z brzegu rzeki ryby nie opodal mostu Nine-Acre-Corner, stojąc na korzeniach wierzby, porośłych śliską trawą, gdzie przyczały się piżmoszczury, gdy nagle usłyszałem osobliwe stukotanie, podobne trochę do stukania patyków, którymi bawią się chłopcy. Podniósłszy głowę ujrzałem niezwykle lekkiego i pełnego wdzięku kozodoja przypominającego lelka, który a to wzbijał się jak fala, a to opadał o pręt czy dwa, pokazując spód skrzydeł, połyskliwych w słońcu jak satynowa wstążka albo perłowa macica muszli. Widok ten przypominał mi polowanie z sokołem i uprzytamniał, ile

<sup>12</sup> „...wejdź do radości Pana swego.” Nowy Testament, Ewangelia św. Mateusza 25, 1.3.

<sup>13</sup> Mencjusz, *Kapu Tsze*.

<sup>14</sup> Owidiusz, *op. cit.*, 1, 89-101. Przełożył Bruno Kiciński.

szlachetności i poezji wiąże się z owym sportem. Pomyślałem, że to jednak musi być chyba Merlin<sup>15</sup> – ale nazwa jest w końcu nieistotna. Szybował nieziemsko – nigdy nic podobnego nie widziałem. Nie trzepotał ot, tak sobie skrzydłami jak motyl ani nie wzbijał się jak większe sokoły, lecz popisywał się w powietrznych przestrzeniach z dumą i pewnością siebie. Coraz to wznosił się z dziwnym chichotem i swobodnie, pięknie opadał koziółkując jak latawiec, aż raptem podrywał się z tego dumnego upadku, jak gdyby nigdy nie tknął *terra firma*. Wydawało się, że w całym wszechświecie jest zupełnie sam, że sam się tam popisuje i niezbędne mu tylko poranek i powietrze, z którym igra. Nie czuł się samotny, to cała ziemia pod nim osamotniała. Gdzie podziewała się matka, z której jaja się wykluł, krewni i ojciec w niebiosach? Oto mieszkańiec powietrznych przestrzeni – z ziemią łączy go tylko jajo wysiedziane kiedyś w szczelinie turni. A może jego rodzinne gniazdo założone w załomie chmury uwito ze strzępków tęczy i czerwonego zachodem nieba, wymoszczono odrobiną letniej mgiełki uchwyconej na ziemi? Teraz zaś gniazdem tym wielka urwista chmura.

Przyglądałem się też rzadko spotykanej gromadzie złotych, srebrnych i jasnomiedzianych ryb przypominających sznur klejnotów. Ach, przemierzałem te łąki w wiele pierwszych poranków wiosny, skacząc z jednego lodowego wzgórzka na drugi, z jednego korzenia wierzby na drugi, a dzika rzeczna dolina i las skąpane były w tak czystym i jasnym świetle, że zmarłych podniosłoby ono z grobów, gdyby rzeczywiście w nich drzemali, jak to niektórzy sobie wyobrażają. Wystarczający byłby to dowód nieśmiertelności. Wszelkie stworzenie musi żyć w takim świetle. O śmierci, gdzież twoje żądło? O grobie, gdzież twoje zwycięstwo?<sup>16</sup>

Życie w naszym miasteczku popadłoby w stagnację, gdyby nie okoliczne niezbadane lasy i łąki. Potrzeba nam eliksiru leśnej głuszy – jakże wspaniale jest brnąć czasami przez bagna, gdzie wśród trzciny przycupnął bąk i derkacz, i słuchać beczenia bekasa, jakże cudownie czuć zapach szepczącej turzycy, w której tylko jakaś dzikszka i bardziej samotna samiczka buduje gniazdo, norka zaś czołga się z brzuchem przy ziemi. Z niecierpliwością chcemy poznać wszystko i nauczyć się wszelkich sekretów, a zarazem wymagamy, aby wszystko było tajemnicze i nieznanne, aby ląd i morze pozostały nieskończenie dzikie, nie zbadane i nie zgłębione, albowiem są bezkresne. Nigdy nie nasycimy się Naturą. Musimy odświeżać się widokiem niewyczerpanej żywotności, ogromnych, przepastnych przestrzeni, wybrzeża morskiego usianego wrakami, puszczy pełnej żywych i próchniejących drzew, chmury burzowej i deszczu, który lejąc przez trzy tygodnie pluszcze w wezbranych potokach. Pragniemy zobaczyć, jak przekraczamy swoje własne granice i jak tam, gdzie nigdy nie docieramy, wypasa się swobodnie jakieś życie. Cieszy nas widok sępa żywiącego się padliną – zarazem jednak napawa wstrętem i zniechęca – bo czerpie z niej zdrowie i siłę. W dole przy ścieżce wiodącej do mojego domu leżał martwy koń, co zmuszało mnie czasem do zbaczania z drogi, szczególnie w nocy, gdy powietrze stało ciężkie, aliści po-

---

<sup>15</sup> Merlin – tajemnicza postać celtyckiego czarodzieja-pieśniarza związana z arturiańską legendą o rycerzach Okrągłego Stołu; żył w VI w. w górach Szkocji. Merlin to także nazwa małego sokoła amerykańskiego (też: *pigeon-hawk*).

<sup>16</sup> „Gdzież jest, o śmierci, zwycięstwo twoje? Gdzież jest, o śmierci, żądło twoje?” Nowy Testament, Pierwszy list św. Pawła do Koryntian 15, 55.

cieszał mnie ten dowód dobrego apetytu i niespożytego zdrowia Natury. Rozkoszuję się myślą, iż Natura jest tak przebogata w życie, że czasami tonie we krwi, że można poświęcić miriady jednych stworzeń, aby na nich żerowały inne, że delikatne organizmy można spokojnie zgnieść na miazgę, jak na przykład kijanki, które pożerane są przez czaple, czy żółwie i ropuchy rozgniatane na drodze. Musimy zrozumieć, że biorąc pod uwagę ryzyko wypadków, niewielkie temu należy przypisywać znaczenie. Mądry człowiek prawdy owe pojmuje jako niewinność wszechświata. Mimo wszystko trucizna nie jest trująca, a od ran się nie umiera. Nie sposób utrzymać litościwej postawy. Litość musi szybko działać. Jej wstawiennictwo nie zniesie wtłoczenia w ramy stereotypu.

Wcześniej w maju dęby, hikory, klony i inne drzewa, wyzierające spośród sosen obrastających staw, niby słońce rozjaśniały krajobraz, szczególnie w pochmurne dni, jak gdyby promienie słońca przedzierały się przez mgły i padały na zbocze raz tu, raz tam. Trzeciego albo czwartego maja spostrzegłem na stawie nura, przez pierwszy tydzień popisywały się: kozodój, *Toxostom rufum*, *Hylocichla fuscescens*, czajka, *Pipilo* i inne ptaki. Na długo przedtem usłyszałem drozda. Miesiąc obrócił się jeszcze raz i znów zajrzał do mnie przez drzwi i okno, aby sprawdzić, czy dom mój może służyć mu za jaskinię. Unosił się na szumiących skrzydłach, wczepiony szponami w powietrze, dokonując przeglądu swego obejścia. Niebawem staw, kamienie i spróchniałe drzewa powalone wzdłuż brzegu pokryły się jakby siarkowym pyłem sosny smołowej. Można go było zebrać całą beczkę. Zdarzają się takie „siarkowe ulewy”. Nawet w dramacie *Siakuntala* Kalidasy czytamy o „strumykach zabarwionych na żółto złotym pyłem lotosu” Tak oto minęła zima i wiosna i nadeszło lato, niby wędrowiec przedzierający się przez coraz to wyższą trawę.

Tedy upłynął mój pierwszy spędzony w lesie rok. Drugi był do niego bardzo podobny. Wyprowadziłem się znad stawu Walden szóstego września 1847 roku.



# Zakończenie

Chorym mądrzy doktorzy zalecają zmianę klimatu i otoczenia. Dzięki Bogu Nowa Anglia nie jest całym światem. Nie rosną tu kasztany amerykańskie i rzadko śpiewają drozdy. Dzika gęś to większa kosmopolitka od nas; śniadanie jada w Kanadzie, obiad w Ohio, a pióra wygląda sobie na noc w południowym zalewisku<sup>1</sup>. Nawet bizon w pewnym stopniu stosuje się do pór roku, skubie bowiem pastwiska nad Colorado tylko dopóty, dopóki w okolicach Yellowstone nie zazieleni się bardziej soczysta i słodka trawa. My jednak uważamy, że jeśli na naszych farmach rozbiera się płoty i stawia kamienne mury, zakreśla się w ten sposób granice naszemu życiu i decyduje o naszym losie. Zaiste, jeżeli ktoś zostaje urzędnikiem miejskim, nie pojedzie tego lata do Tierra del Fuego. Może jednak się udać do krainy ognia piekielnego. Wszechświat jest rozleglejszy, aniżeli myślimy.

Powinniśmy pójść za przykładem co bardziej ciekawskich pasażerów i częściej wyglądać ponad reling rufowy naszego statku, zamiast podróżować jak marynarze, którzy bezmyślnie rozplatają liny na pakuły. Przeciwna strona kuli ziemskiej to nic innego jak dom naszego odpowiednika. Żeglując kręcimy się jedynie wokoło, zataczamy wielkie kręgi, podczas gdy doktorzy zalecają podobne postępowanie tylko przy chorobach skóry. Ktoś spieszy do Afryki Południowej w pogoni za żyrafą, aliści nie jest to z pewnością zabawa, której się odda bez reszty. Powiedzcie, jak długo polowałby na żyrafy, gdyby miał taką możliwość? Bekasy i słonki również mogą dostarczyć rzadkiej rozrywki. Jestem wszelako przekonany, że szlachetniej by się człowiek zabawił strzelając do samego siebie.

Skierujże oko swe ku wnętrzu, potem zdziw się. Na widok tych obszarów w swym umyśle Nie odkrytych. I przemierz je, i wytycz mapy, Boś odtąd znawcą własnej kosmografii<sup>2</sup>.

Co się kryje za słowem Afryka? Co się kryje za słowem Zachód? Czyż środkowe regiony naszego własnego kraju nie są białą plamą na mapie? A może okażą się czarną jak wybrzeże, kiedy je odkryto. Czy na naszym kontynencie mielibyśmy znaleźć źródło Nilu, Nigru, Missisipi albo Cieśninę Północno-Zachodnią?<sup>3</sup> Czy akurat te problemy najbardziej interesują ludzkość? Czy Franklin jest jedynym zaginionym człowiekiem<sup>4</sup> i dlatego jego żona szuka go z takim przejęciem? Czy pan Grinnell<sup>5</sup> wie, gdzie sam się znajduje? Należy raczej być

<sup>1</sup> Południowe zalewisko – tak nazywano stan Luizjana.

<sup>2</sup> William Habington (1605-54), *To My Honored Friend Sir Ed. P. Knight*, Przełożył Piotr Sommer.

<sup>3</sup> Cieśnina Północno-Zachodnią – później nazwana Cieśniną Beringa.

<sup>4</sup> Sir John Franklin (1786-1847) – angielski oficer marynarki, badacz Arktyki, dowódca 129-osobowej wyprawy, która wyruszając w 1845 r. z Zatoki Baffina miała najkrótszą drogą osiągnąć dzisiejszą Cieśninę Beringa oraz przeprowadzić badania nad magnetyzmem, lecz po paru miesiącach słuch o wyprawie zaginął. Poszukiwało jej dwadzieścia jeden ekspedycji.

<sup>5</sup> Henry Grinnell (1799-1874) – kupiec amerykański, który finansował wyprawę do Arktyki w poszukiwaniu J. Franklina w 1850 roku, a następnie Kanea w 1853 r.

Mungo Parkiem, Lewisem, Clarkeiem i Frobisherem<sup>6</sup> własnych strumieni i oceanów, penetrować własne strefy podbiegunowe na statkach wyładowanych mięsem konserwowym, jeśli to konieczne dla utrzymania się przy życiu, i puste puszkę ustawiać aż pod niebo na znak, że wszystko przebiega pomyślnie. Czy konserwy mięsne wynaleziono po to, ażeby konserwować wyłącznie mięso? Ba, należy być Kolumbem całych naszych kontynentów i światów we własnym wnętrzu. Należy otwierać nowe kanały – nie handlowe jednak, lecz kanały myśli. Każdy człowiek jest panem królestwa, w porównaniu z którym ziemskie imperium cara wygląda jak malutkie państewko, pagórkowata wysepka na lodzie. Tylko ci wszelako potrafią być patriotami, którzy nie odczuwają miłości własnej i większe poświęcają mniejszemu. Kochają ziemię, albowiem mieści ich groby, lecz nie mają zrozumienia dla ducha, który jednak może w ich prochy tchnąć życie. Patriotyzm jest dla nich zachcianką. Po co zorganizowano paradną i kosztowną wyprawę badawczą na Morza Południowe, jeśli nie po to, aby pośrednio się przekonać, że w świecie moralności istnieją kontynenty i morza, w porównaniu z którymi człowiek jest nie znanym sobie przesmykiem czy zatoczką, aby się przekonać, że łatwiej jest przepłynąć wiele tysięcy mil na rządowym statku – nawet gdy nęka człowieka zimno, sztormy i ludożercy – ma on bowiem do pomocy pięciuset mężczyzn i chłopców, aniżeli zbadać własne prywatne morze, Atlantyk i Pacyfik własnej samotności.

Erret, et extremos alter scrutetur Iberos.  
Plus habet his vitae, plus habet ille viae.<sup>7</sup>

Nie warto opływać świata dookoła, ażeby policzyć koty w Zanzibarze<sup>8</sup>. Z drugiej jednak strony należy dokonywać podobnych czynów, aż przyjdzie czas na lepsze i znajdzie się, być może, jakąś „Dziurę Symmesa”<sup>9</sup>, przez którą dotrze się wreszcie do wnętrza. Anglia i Francja, Hiszpania i Portugalia, Złote Wybrzeże i Wybrzeże Niewolnicze wszystkie zwrócone są frontem do tego prywatnego morza, lecz ani jedna ich barka nie odważyła się wypłynąć tak daleko, aby nie było jej widać z brzegu, choć niewątpliwie tamtędy wiedzie prosta droga do Indii. Gdyby ktoś znał wszystkie języki i dostosował się do zwyczajów wszystkich narodów, gdyby podróżował dalej niż inni wędrowcy, czuł się swojsko we wszystkich krainach i skłonił Sfinksa, aby ten roztrzaskał sobie głowę o kamień, nawet wtedy powinien być posłuszny przykazaniom starego filozofa i poznać samego siebie. Potrzeba do tego wytrwałości i odwagi. Kroki wojenne wszczynają tylko pokonani i dezercerzy, tchórze, którzy uciekają po

<sup>6</sup> Mungo Park (1771-1806) – szkocki podróżnik i badacz Afryki. Meriwether Lewis (1774-1809) – amerykański podróżnik, dowódca pierwszej amerykańskiej wyprawy transkontynentalnej. Edward Daniel Clarke (1769-1822) – angielski podróżnik i mineralog. Martin Frobisher (1535?-94) – angielski żeglarz, dowódca wyprawy poszukującej cieśniny między Pacyfikiem a Atlantykiem w 1576 r., wiceadmirał w wyprawie Drake’a do Indii Zachodnich w 1586 r.

<sup>7</sup> „Niechże inni wędrują, niech wdzierają się aż w głąb Hiszpanii! /Niech mają dłuższą drogę. On – wśród pól swych ma życie większe.” Klaudiusz Klaudian, *Spokój jesienny*, przełożył Zygmunt Kubiak, *Muza rzymska*, PIW 1974.

<sup>8</sup> Z dziennika Thoreau dowiadujemy się, że w 1853 r. czytał on opis podróży po świecie Charlesa Pickeringa *The Races of Man* (Londyn 1851), w której autor opisuje koty domowe w Zanzibarze.

<sup>9</sup> John Cleves Symmes (1780-1829) – ogłosił w 1818 r. teorię, że Ziemia jest w środku pusta, a na biegunach ma otwory.

to, aby się zaciągnąć. Należy teraz wyruszyć w tę najdalszą wiodącą ku zachodowi drogę, która się nie kończy na Missisipi ani Pacyfiku, ani też nie prowadzi ku wyczerpanym Chinom czy Japonii, lecz dalej wiedzie prosto styczną do tej sfery, ku latu i zimie, ku dniowi i nocy, ku zachodowi słońca i księżycy, a wreszcie kresowi ziemi.

Podobno Mirabeau został rozbójnikiem, „albowiem chciał się przekonać, ile trzeba stanowczości, ażeby stanąć formalnie w opozycji do najświętszych praw społeczeństwa”. Twierdził, że „żołnierzowi walczącemu w szeregach potrzeba mniej odwagi aniżeli rozbójnikowi, że honor i religia nigdy nie stały na drodze dobrze przemyślanej i pewnej decyzji”. Jakież to męskie i stare jak świat, a jednak błahe, jeśli nie rozpaczliwe. Ktoś mądrzejszy uważałby, że dostatecznie często staje „formalnie w opozycji” do tego, co uznano za „najświętsze prawa boskie”. A dokonuje tego dzięki posłuszeństwu jeszcze świętszym prawom, o czym się przekonał nie zbaczając z drogi. Człowiek powinien mieć do społeczeństwa taki stosunek, jaki pozostawałby w zgodzie z prawami jego osobowości, a wówczas nigdy nie stałby w opozycji do sprawiedliwego rządu, gdyby zdarzyło się człowiekowi z takim mieć do czynienia.

Przestałem mieszkać w lesie z powodów nie mniej ważnych, aniżeli zacząłem<sup>10</sup>. Może wydawało mi się, że dysponuję jeszcze paroma innymi życiami, po co zatem właśnie na to jedno poświęcać więcej czasu. Znamienne, jak łatwo i niedostrzegalnie wstępujemy na jakąś drogę i wydeptujemy z niej utarty trakt. Jeszcze tydzień nie upłynął, odkąd zamieszkałem w lesie, a już wydeptałem ścieżkę od drzwi nad brzeg stawu. I choć od tego czasu minęło już pięć czy sześć lat, widać ją całkiem wyraźnie. Prawdę mówiąc, zachowała się jednak dzięki temu, iż inni zaczęli nią uczęszczać. Powierzchnia ziemi jest miękka i wrażliwa na dotyk ludzkich stóp. Podobnie jak ścieżki, którymi wędruje umysł. Jakże zatem zniszczone i zakurzone muszą być światowe trakty, jakże głębokie koleiny tradycji i przystosowania! Nie pragnę przesiedzieć podróży w kabinie, wolę zająć miejsce przy maszcie, na pokładzie świata, stamtąd bowiem najlepiej widać księżyc pośród gór. Nie chcę teraz schodzić pod pokład.

Doświadczenie nauczyło mnie przynajmniej tego, że jeśli ktoś zmierza pewnie w wymarzoną przez siebie kierunku i stara się żyć zgodnie z tym, co sobie wyobraził, spotka go niepowszedni sukces. Niektóre sprawy zostawi za sobą, przekroczy niewidzialną granicę, a otoczą go i w nim samym powstaną nowe uniwersalne i bardziej liberalne prawa. Albo szersze kręgi zakreślą stare, które interpretować się będzie na jego korzyść i nada się im bardziej liberalny sens. Otrzyma tedy świadectwo istoty wyższej miary. Proporcjonalnie do coraz prostszego sposobu życia, prawa wszechświata okażą się mniej skomplikowane, a samotność nie będzie samotnością, bieda – biedą ani słabość – słabością. Jeżeli ktoś budował zamki na lodzie, praca jego nie musi iść na marne, albowiem mogą stanąć właśnie na lodowej tafli. Wszelako trzeba położyć pod nie fundamenty.

Śmieszne wymagania stawiają Anglia i Ameryka – należy mówić takim językiem, aby one rozumiały. Wszak ani ludzie, ani muchomory nie rodzą się z tą umiejętnością. Jak

---

<sup>10</sup> Bezpośrednim powodem wyprowadzenia się autora znad Waldenu była prośba Emersona, aby zaopiekował się jego domem i rodziną. Emerson wyjeżdżał z serią wykładów za granicę.

gdyby to było ważne, jak gdyby nie wystarczało, aby to, co się mówi, rozumieli zamiast nich wszyscy inni. Jak gdyby Natura potrafiła zapewnić tylko jeden porządek porozumienia, jak gdyby nie mogła utrzymać zarówno ptaków, jak i czworonogów, istot fruujących i pełzających, jak gdyby „sza!” i „kto” – zrozumiałe dla wołu – były wyrazami z najpoprawniejszej angielszczyzny. Jak gdyby bezpieczeństwo zapewniała sama głupota. Ponad wszystko obawiam się głównie tego, że mój sposób wyrażania się nie będzie dostatecznie ekstrawagancki, że niedostatecznie wykroczy poza wąskie ramy mojego codziennego doświadczenia, aby odpowiadać prawdzie, o której jestem przekonany. Ekstrawagancja! Cóż, zależy od tego, do jakiej zagrody człowieka wpędzono. Wędrujący bawół, który szuka nowych pastwisk na innej szerokości geograficznej, nie jest tak ekstrawagancki jak krowa, która kopniakiem przewraca wiadro, przeskakuje płot i biegnie za cielakiem w porze dojenia. Chciałbym móc się gdzieś wypowiedzieć bez ograniczeń, jak budzący się człowiek, który przemawia do budzących się ludzi, albowiem jestem przekonany, że nie mogę przesadzić nawet do tego stopnia, ażeby położyć fundamenty prawdziwej wypowiedzi”. Kto spośród tych, którzy słyszeli kiedyś tony muzyki, obawiał się, że może sam przemawiać przesadnie? Z myślą o przyszłości lub prawdopodobnych wydarzeniach powinniśmy wieść życie na zewnątrz swobodne i bez ograniczeń, niewyraźnie i mgliście po tej stronie zarysowane; tymczasem nasze cienie spływając niedostrzegalnym potem wyciągają się ku słońcu. Ulotna prawda naszych słów powinna bezustannie zdradzać niewłaściwość reszty wypowiedzi. Prawdę słów natychmiast się tłumaczy, to, co pozostaje, jest tylko sztancą jej dosłowności. Słowa, które wyrażają naszą wiarę i pietyzm, są niekonkretne, a jednak dla natur wyższej miary istotne i wonne jak kadzidło.

Dlaczego zawsze mamy się zniżać do najbardziej przytępionego sposobu postrzegania i chwalić go jako zdrowy rozsądek? Najzdrowszym rozsądkiem cieszą się ludzie śpiący, co wyraża się chrapaniem. Przejawiamy czasami skłonność do tego, aby ludzi bardziej niż przeciętnie inteligentnych klasyfikować razem z półgłówkami, albowiem doceniamy tylko jedną trzecią część rozumu. Niektórzy mogliby winić za to poranną jutrzenkę, gdyby choć raz wstali dostatecznie wcześniej. Słyszałem, że „podobno w poezji Kabira nakładają się cztery różne płaszczyzny: iluzji, ducha, intelektu i ezoterycznej doktryny *Wed*”. W naszej jednak części świata możliwość zastosowania więcej aniżeli jednej interpretacji czyjejs twórczości uważa się za podstawę do krytyki. Dlaczego kiedy Anglia usiłuje przeciwdziałać gniciu kartofli, nikt nie próbuje przeciwdziałać gniciu mózgu, które jest o wiele bardziej rozpowszechnione i prowadzi do zguby?

Sądzę, że nie zacząłem się wyrażać niejasno. Będę dumny, jeżeli na tych stronicach nie znajdzie się bardziej nieszczęsnej nieudolności aniżeli w strukturze skorupy lodowej Waldenu. Gościom z południa nie podobało się jego błękitne zabarwienie, tak samo jak nie podobałoby im się muliste dno, a przecież był to dowód jego czystości. Woleli lód w Cambridge, dlatego że jest biały, smakuje jednak zielskiem.

Czystość ukochana przez ludzi przypomina mgły otulające ziemię, a nie lazuruowy eter przestrzeni.

Niektórzy bębnią nam w ucho, że my, Amerykanie, i w ogóle ludzie współcześni jesteśmy intelektualnymi karłami w porównaniu z ludźmi żyjącymi w starożytności czy w epoce

elżbietańskiej. Jaki wszelako ma to związek z tematem? Lepszy żywy pies aniżeli martwy lew<sup>11</sup>. Czy człowiek ma się powiesić, tylko dlatego że należy do rasy Pigmejów? Czy zamiast tego nie powinien się stać możliwie największym Pigmejem? Niech każdy pilnuje swojego nosa i stara się być tym, kim został stworzony.

Dlaczego mamy z takim pośpiechem pędzić ku sukcesowi czy podejmować takie rozpaczliwe przedsięwzięcia? Jeżeli człowiek nie dotrzymuje kroku swoim towarzyszom, może dzieje się tak dlatego, że słyszy dźwięki wybijane przez innego dobosza? Przeto niechaj kroczy w rytm jego bębna, choćby najbardziej miarowy czy daleki. Rzecz nie polega na tym, aby dojrzywać tak szybko jak jabłoń czy dąb. Czy człowiek ma zamienić swoją wiosnę w lato? Jeżeli porządek rzeczy nie dorównuje jeszcze kondycji, do której nas stworzono, jaką rzeczywistością możemy go zastąpić? Nie będziemy rozbitkami próżnej i bezowocnej rzeczywistości. Czy mamy zadać sobie trud i wznieść nad sobą niebo z lazurowego szkła, jeśli wiadomo, że skoro to uczynimy, nadal będziemy wypatrywać prawdziwego eterycznego nieba daleko wyżej, jak gdyby tego szklanego wcale nie było?

Niegdyś w mieście Kuro żył artysta, który dążył do doskonałości. Pewnego dnia wpadł na pomysł, że robi berło. Wziąwszy pod uwagę, że czas jest składnikiem pracy niedoskonałej, podczas gdy w doskonałą się nie wlicza, powiedział sobie: „Będzie pod każdym względem najlepsze, choćbym już nic w życiu nie miał zrobić.” I natychmiast udał się do lasu po drzewo, postanowiwszy, że berła nie może wykonać z nieodpowiedniego materiału. Gdy tak szukał odrzucając drąg za drągiem, przyjaciele stopniowo opuszczali go, albowiem osiągnęli tymczasem sędziwy wiek i pomarli, podczas gdy on nie postarzał się ani o sekundę. Jedność celu, stanowczość i wzniosły pietyzm sprawiły – bez jego wiedzy – że pozostał wiecznie młody. Ponieważ nie związał się umową z czasem, czas nie wchodził mu w drogę i tylko z daleka wzdychał, że nie może pokonać artysty. Zanim ów znalazł odpowiedni pień, miasto Kuro już dawno popadło w ruinę. Usiadł na jednej z porośniętych chwastem hałd i zaczął zdierać korę z drąga. Zanim nadał mu odpowiedni kształt, dynastia Kandaharu właśnie wygasła. Końcem drąga wypisał przeto na piasku imię ostatniego władcy i na nowo podjął pracę. Skoro wygładził i wypolerował berło, kalpa<sup>12</sup> przestała już być Gwiazdą Polarną, a zanim wyrzeźbił ornament i głowę berła ozdobił szlachetnymi kamieniami, Brahma wiele razy zdążył się przebudzić i pójść na spoczynek. Ale dlaczego przetrwał swój wywód, aby przytoczyć tę oto opowieść? Otóż gdy artysta wykonał ostatnie pociągnięcie dłutem i skończył pracę, jego zdumionym oczom nagle się ukazał najpiękniejszy ze wszystkich wizerunek Brahmy. Strugając i rzeźbiąc berło artysta ustanowił nowy system, świat pełnych i czystych proporcji, w którym stare miasta i dynastie zastąpione zostały piękniejszymi i wspanialszymi. I teraz patrząc na stos jeszcze świeżych ostrużyn u swoich stóp zrozumiał, że dla niego upływ czasu to jedynie złudzenie, że minęło tylko tyle

---

<sup>11</sup> „...gdyż żywy pies jest lepszy niż martwy lew.” Stary Testament, Księga Kaznodziei Salomona 9, 4.

<sup>12</sup> Podstawowym cyklem dziejów wszechświata w kosmologii indyjskiej jest kalpa, „dzień Brahmy”, czyli 4 320 000 000 lat ziemskich. Taką samą długość ma „noc Brahmy”. 360 owych dni i nocy składa się na „rok Brahmy”, a całe życie Brahmy ma liczyć sto takich lat. Najdłuższy cykl obejmuje więc 311 040 000 000 000 lat. Po nich następuje unicestwienie. Obecnie Brahma przeżywa 51 „rok Brahmy”, który nazywa się „Kalpą białego dzika”.

czasu, ile potrzeba na to, aby jedna iskra błysnąwszy w umyśle Brahmy rozpałała hubkę umysłu śmiertelnika. Zarówno materiał, jak i sztuka były czyste. Czyż rezultat mógłby nie okazać się wspaniały?<sup>13</sup>

Nigdy stworzone przez rias pozory nie przysłużą nam się tak jak prawda. Ona jedna się sprawdza. W większości wypadków nie znajdujemy się tam, gdzie jesteśmy, lecz w fałszywym położeniu. Na skutek ułomności naszej natury położenie nasze nie pozostaje w zgodzie z naszym o nim wyobrażeniem, przez co znajdujemy się naraz w dwóch sytuacjach, z których wyjście nastęrcza podwójne trudności. W chwilach gdy dopisują nam zdrowe zmysły, bierzemy pod uwagę tylko fakty, to znaczy sytuację. Należy mówić śmiało to, co się musi, a nie to, co się powinno. Każda prawda lepsza jest od pozorów. Oto jak druciarz Tom Hyde stojąc na szubienicy odparł na pytanie, czy chce coś powiedzieć przed śmiercią: „Przypomnijcie krawcom, aby pamiętali o zawiązaniu supełka, zanim zaczną pierwszy ścieg.” Nikt nie pamięta, o co prosił jego towarzysz.

Choćby życie człowieka było najnędniesze, nie powinien od niego stronić ani ciskać na nie siarczystych przekleństw. Jest lepsze od człowieka. Najnędniej wygląda wówczas, gdy otaczają nas największe bogactwa. Szukający dziury w całym wyraża swe niezadowolenie nawet w raju. Trzeba kochać swoje życie niezależnie od jego nędzy. Nawet w przytułku można przeżyć miłe, wzruszające i wspaniałe godziny. Zachodzące słońce odbija się w oknach przytułku tak samo jasno jak w rezydencji bogacza i śnieg na progu topnieje wiosną tak samo szybko. Wydaje mi się, że spokojna dusza może żyć tam zadowolona i radosna, jak w pałacu. Często mam wrażenie, że biedni w mieście prowadzą najbardziej niezależne życie ze wszystkich ludzi. Może są dostatecznie wielcy, aby bez obawy brać od innych. Większość sądzi, że jest wyższa ponad to, aby utrzymywać ją miasto, ale częściej się zdarza, że nie ma nic przeciwko utrzymywaniu się środkami nieuczciwymi, co wydaje się bardziej haniebne. Kultuwujemy ubóstwo podobnie jak zioło hodowane w ogrodzie, jak szalwię. Człowiek nie powinien specjalnie dbać o zdobywanie nowych rzeczy: ani odzieży, ani przyjaciół. Powinien się zwracać ku rzeczom posiadanym, wciąż do nich powracać. Rzeczy się nie zmieniają, to my się zmieniamy. Należy sprzedawać odzież, a zachowywać myśli. Bóg zrozumie, że człowiek nie potrzebuje społeczeństwa. Gdybym całymi dniami musiał niby pająk mieszkać w kącie na strychu, świat byłby dla mnie wciąż tak samo rozległy, pozostawałbym bowiem wśród swoich myśli. Zdaniem pewnego filozofa: „Gdy armię składającą się z trzech dywizji pozbawi się generała, zapanuje w niej nieład; natomiast człowiekowi najwięksi nędznicy i prostacy nie mogą odebrać myśli.”<sup>14</sup> Nie powinno się z taką niecierpliwością poszukiwać dróg rozwoju ani podporządkowywać wielu zniewalającym wpływom – to wszystko powoduje rozproszenie. Pokora, podobnie jak ciemność, odsłania niebiańskie światła. Wokół nas gromadzą się cienie ubóstwa i małoduszności, lecz „oto przed okiem naszym ściele się świat szeroko”<sup>15</sup>. Dobrze byłoby, abyśmy pamiętali, że gdyby nawet obdarzono nas bogactwem Krezusa, zarówno cele nasze, jak i środki powinny pozostać zasad-

---

<sup>13</sup> Badacze twórczości Thoreau są zdania, że on sam jest autorem tej legendy.

<sup>14</sup> Konfucjusz, *Wiosny i jesienie albo Kronika państwa Lu*.

<sup>15</sup> Joseph Blanco, *Night and Death*.

niczo te same. Nadto, jeśli ubóstwo ogranicza działanie człowieka, jeśli, na przykład, nie może on kupować książek i gazet, zakres jego doświadczeń i przeżyć zawęża się do tych najbardziej istotnych i żywotnych; zmuszony jest wówczas obcować z materią, która wytwarza najwięcej cukru i skrobi. Życie najbliższe swej istocie smakuje najlepiej. Broni się człowiek przed błahością. Nikt na niższym poziomie nigdy nie traci na skutek wspaniałości myślności na wyższym. Nadmierne bogactwo pozwala kupować jedynie to, co zbyteczne. Potrzeby duchowe zaspokajają się bez pieniędzy.

Żyję w kącie między ścianami z ołowiu, który wymieszano ze stopem metalu do odlewania dzwonów. Często, gdy w południe odpoczywam, do uszu moich dolatują z dworu pomieszane dźwięki delikatnych dzwoneczków. To głosy współczesnych mi ludzi, opowieści sąsiadów o przygodach ze sławnymi dżentelmenami i damami, o znakomitościach spotkanych przy obiedzie. Aliści takie sprawy tyle mnie obchodzą co treść „Daily Timesa”. Zainteresowania i rozmowy obracają się głównie wokół mody i obyczajów. Lecz nawet w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu. Opowiadają mi o Kalifornii i Teksasie, o Anglii i Indiach, o szanownym panu X z Georgii albo Massachusetts i tym podobnych ulotnych i przemijających zjawiskach, aż gotów jestem dać susa z podwórka sąsiada niby bej mameluk. Rozkoszuję się swoją sytuacją, tym, że nie krocę w pysznym i paradnym pochodzie, wystawiony na widok publiczny, podążam atoli krok w krok – jeśli wolno – z Budowniczym wszechświata: rozkoszuję się tym, że nie żyję w naszym niespokojnym, nerwowym, rozbieganym, trywialnym dziewiętnastym stuleciu, tylko stoję albo siedzę rozmyślając, podczas gdy czas sobie przemija. Po cóż te uroczyste obchody? Albowiem wszyscy ludzie tworzą komitet do spraw zarządzeń i co godzinę oczekują czyjegoś przemówienia. Bóg jest tylko prezesem doby obecnej, Webster<sup>16</sup> Jego oratorem. Uwielbiam ważyć, ustalać, grawitować ku temu, co pociąga mnie najmocniej z najsłuszniejszych powodów. Nie wiszę przy języczku wagi, aby mniej wskazywała, nie wyobrażam sobie spraw, lecz biorę je takimi, jakimi są, wędruję jedyną możliwą drogą, tą, na której nie przeciwstawi mi się żadna siła. Nie odczuwam odrobiny zadowolenia wznosząc łuk zanim zbuduję jego solidną podstawę. Nie bawmy się w bieganie po cienkim i kruchym lodzie. Dno wszędzie jest twarde. Znamy z lektury opowieść o wędrowcu, który spotkawszy na drodze chłopca chciał się od niego dowiedzieć, czy rozciągające się przed nim bagno ma twarde dno. Chłopiec odpowiedział, że owszem. Niebawem jednak koń wędrowca zapadł się po popręg. Wówczas wędrowiec zauważył: „Wszak mówiłeś, że dno jest twarde.” „Ano twarde – odpowiedział chłopiec – lecz przebyliście do niego dopiero połowę drogi.” Podobnie ma się sprawa z bagnami i ruchomymi piaskami społeczeństwa, aliści wie o tym sędziwy człowiek. Tylko to, co się myśli, mówi czy robi w pewnych rzadkich okolicznościach, jest dobre. Nie będę jednym z tych, którzy jak głupcy wbijają gwóźdź po prostu w deskę i tynk; podobny uczynek spędzałby mi sen z powiek przez długie noce. Należy wziąć młotek i wymacać nim cegłę. Nie można polegać na glinie. Trzeba wbić gwóźdź do końca i przyklepać tak dokładnie, aby budząc się w nocy można było myśleć o swojej pracy z zadowoleniem i nie wstydzic się odwołać do muzy. Tak nam

---

<sup>16</sup> Daniel Webster (1782-1852) – polityk, senator stanu Massachusetts, najsłynniejszy mówca amerykański swoich czasów, autor słownika jęz. angielskiego.

dopomóż Bóg, tylko tak. Każdy wbity gwóźdź powinien być kolejnym bolcem w maszynie wszechświata obsługiwanej przez człowieka.

Bardziej aniżeli miłości, pieniędzy, bardziej aniżeli sławy łaknę prawdy. Zaproszono mnie do stołu, przy którym unizona służba podawała obfite potrawy i nalewała w kielichy wina, lecz brakowało tam szczerości i prawdy, przeto odszedłem głodny z niegościnnego domu. Gościnność miała temperaturę lodów. Moim zdaniem nawet bez tego deseru biesiadnicy byli zmrożeni. Mówili mi o rocznikach wina i sławie winnicy, ja jednak myślałem o starszym, młodszym i bardziej czystym winie ze wspanialszej winnicy, winie, którego nie mieli i nie mogli kupić. Nie przykładam wagi do stylu, domu, posiadłości i „rozrywek”. Złożyłem wizytę królowi, kazał mi atoli czekać na siebie w westybulu, jak człowiek niezdolny traktować innych gościnnie. Lepiej bym zrobił odwiedzając pewnego człowieka w sąsiedztwie, mieszkającego w dziupli. Miał naprawdę królewskie maniery.

Jak długo będziemy siedzieli wśród kolumn naszych portyków, kultuwując gnuśne i zaśniedziałe cnoty, które w porównaniu z każdą pracą okazałyby się zuchwałością? Zupełnie jakby ktoś mając rozpocząć dzień ćwiczeniem cierpliwości, najął człowieka do okopywania kartofli, po południu zaś ruszał z ukartowaną dobrocią uprawiać chrześcijańską skromność i miłosierdzie. Pomyślmy o chińskiej dumie i ospałym samozadowoleniu ludzkości. Pokolenie nasze chełpi się nieraz tym, że przypadła mu rola ostatniej generacji znakomitego rodu. Spoglądając na długą linię przodków, z zadowoleniem głosi w Bostonie, Londynie, Paryżu i Rzymie swój postęp w sztuce, nauce i literaturze. Istnieją tam Archiwa Towarzystw Filozoficznych i obywatelskie Pochwały dla Wielkich Ludzi! Oto dobry Adam kontemplujący swoją własną cnotę. „Patrzcie, dokonaliśmy wielkich czynów, śpiewaliśmy boskie pieśni, które nigdy nie popadną w zapomnienie” – to jest, dopóki my będziemy je pamiętać. Gdzież są uczone społeczeństwa i wielcy Asyryjczycy? Jacy z nas młodzi filozofowie i eksperymentaliści! Wśród moich czytelników nie ma ani jednego, który przeżyłby całe ludzkie życie. W życiu gatunku ludzkiego to dopiero wiosna. Jeśli przeżywamy kryzys co siedem lat, nie przeżyliśmy jeszcze tu w Concord plagi szarańczy, która nęka ludzi co siedemnaście lat. Mieszkając na kuli ziemskiej znamy zaledwie jej powłokę. Większość z nas nie wryła się w głąb ziemi nawet na sześć stóp ani nie wykonała skoku na podobną wysokość. Nie wiemy, gdzie pędzimy egzystencję. Nadto, prawie połowę naszego czasu twardo przesypiamy. Mimo wszystko jednak uważamy siebie za ludzi mądrych i na ; zewnątrz trzymamy się ustalonego porządku. Zaiste, głębcy z nas myśliciele i ambitne duchy! Gdy stoję nad owadem, który wędruje między igłami sosny wśród leśnego podszycia, usiłując się skryć przed moim wzrokiem, i pytam sam siebie, dlaczego chce pielęgnować swe skromne myśli i chować przede mną głowę, choć mógłbym może zostać jego dobroczyńcą i podzielić się z gatunkiem owadów jakimiś podnoszącymi na duchu wiadomościami, przypomina mi się większy Dobroczyńca i wyższa Inteligencja, stojące nade mną, owadem ludzkim.

Na naszym świecie bezustannie pojawiają się przeróżne nowości, nasze zajęcia atoli są niewiarygodnie nudne. Wystarczy, że przypomnę, jakiego rodzaju kazań nadal się słucha w najbardziej oświeconych krajach. Wprawdzie istnieją takie słowa jak „radość” i „smutek”,



lecz są one ledwie refrenem psalmu śpiewanego z nosowym akcentem<sup>17</sup>, podczas gdy wiarę pokładamy w zwyczajności i skromności. Uważamy, że zmieniać można jedynie odzież. Podobno Imperium Brytyjskie jest bardzo rozległe i cieszy się szacunkiem, a Stany Zjednoczone stały się pierwszorzędnym mocarstwem. Nie wierzymy, że fala wzbiera i opada za każdym, kto potrafi przepłynąć Imperium Brytyjskie niby łupina, jeśli taki śmiałek w ogóle zaprzętałby sobie takim przedsięwzięciem myśli. Kto wie, jaki następny gatunek zjawiającej się co siedemnaście lat szarańczy wypełźnie spod ziemi? Rządu świata, w którym żyję, nie stworzono – w przeciwieństwie do brytyjskiego – podczas poobiednich rozmów przy kieliszku wina.

Życie pulsujące w nas przypomina rzekę. W tym roku może wezbrać tak jak nigdy przedtem i zalać wypalone słońcem wyżyny. Nawet taki rok może być pamiętny, w którym popotpią się wszystkie nasze piźmoszczury. Tu, gdzie mieszkamy, nie zawsze rozciągała się sucha kraina. Daleko w głębi lądu odkryłem brzegi dawnego strumienia z czasów, kiedy to nauka jeszcze nie zaczęła rejestrować potoków. Zapewne wszyscy znają opowieść krążącą po Nowej Anglii o krzepkiej i dorodnej pluskwie, która wylęgła się w suchym blacie starego stołu z drzewa jabłoni. Przez sześćdziesiąt lat stół stał w kuchni farmera, najpierw w Connecticut, a potem w Massachusetts. Pluskwa wylęgła się z jaja złożonego w żywym jeszcze drzewie wiele lat wcześniej, co można było stwierdzić licząc wyrastające co roku słoje. Jajo „wysiedział” przypadkiem ciepły dzbanek na kawę. Czy ten, kto utrzymuje, że nie wierzy w zmartwychwstanie i nieśmiertelność, pokrzepił się słuchając tej opowieści? Kto wie, jaka piękna, uskrzydłona istota może niespodzianie wyfrunąć spośród najbardziej banalnych, wraz ze społeczeństwem ciosanych mebli, aby w końcu cieszyć się życiem w pełni lata! Jajo tego skrzydlatego stworzenia pogrzebano na wieki pod licznymi wyrośniętymi w słoje warstwami drewna w martwym i suchym życiu społeczeństwa. Najpierw złożone zostało w warstwie bieli żywego i zielonego drzewa, a ta z kolei stopniowo stworzyła dla jaja coś na kształt dobrze wysuszonego grobu, w którym przez długie lata słyszała, być może, chroboczącą już istotę zdumiona rodzina człowieka zebrana wokół świątecznego stołu.

Nie twierdzę, że John czy Jonathan<sup>18</sup> pojma to wszystko; istota jutra bowiem polega na tym, że zwykły upływ czasu nigdy nic zdoła zmusić poranku do świtania. Światło, za którego sprawą gasną nam oczy, jest dla nas ciemnością. Tylko taki dzień wstaje, jaki witamy przebudzeni. Wiele ich czeka na nasze zaproszenie. Słońce to jedynie blask jutrzeńki<sup>19</sup>.

---

<sup>17</sup> Aluzja do wymowy Amerykanów.

<sup>18</sup> John – żartobliwa nazwa Anglika. Jonathan – żartobliwa nazwa Amerykanina. Patrz: Gospodarka przyp. 49.

<sup>19</sup> Istotna jest paralela między tym ostatnim zdaniem a myślą Emersona wyrażoną w eseju *Politics*: „Uważamy, że cywilizacja nasza już osiągnęła zenit, a tymczasem znajduje się ledwie w punkcie, gdy pieje kogut i wstaje jutrzeńka.”

Anarcho-Biblioteka  
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Henry David Thoreau  
Walden  
Czyli życie w lesie  
1854

Przekład: Halina Cieplińska

**[pl.anarchistlibraries.net](http://pl.anarchistlibraries.net)**